

Peter Straub
KRAINA CIENI
Przekład Irena Lipińska

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 1993

MI

3ZUVSIZNVZ" M IAI01

Obie szkoły, stara i nowa, zostały wymyślone przez autora i nie należy mylić ich z jakimikolwiek realnie istniejącymi szkołami. Podobnie Kraina Cieni, jej usytuowanie oraz mieszkańcy, jest całkowicie fikcyjna.

Hiram Strait i Barry Price zechcą przyjąć ode mnie wiele podziękowań za wskazówki i objaśnienia dotyczące magii i czarodziejów, a Corrie Crandal za zapoznanie mnie z nimi oraz z Pałacem Czarów.

?wieczór. Pelerynę nosił tylko w czasie rozgrzewki, bzdurnej części przedstawienia, a potem, kiedy zabierał się do poważnego występu, odrzucał ją niemal gwałtownie i ruch ramion wskazywał, iż był zadowolony, że się jej pozbył. Nosił albo smoking, albo po prostu codzienne odzienie, w którym w „Za-nzibarze” wypijał piwo z którymś z przyjaciół. Tweedowa marynarka w nieokreślonym kolorze, krawat zwisający spod nie zapiętego na guziczek kołnierzyka koszuli od „Braci Brooks”, szare spodnie, które złożone na kant, zostały wyprasowane pod materacem. Wiedziałem, że chusteczki prał w umywalce i suszył je, rozkładając na kaflach pieca. Rano odrywał je jak wielkie białe liście, roztrzepywał i jedną wkładał do kieszeni.

— O mój stary druhu — powiedział wstając. Światło odbite od lustra za barem osrebrzało nowo odsłonięte skrawki skóry na skroniach. Zauważyłem, że był wciąż zadbany, miał mu skularną sylwetkę, chociaż znużenie pogłębiło zmarszczki wokół oczu. Wyciągnął rękę i gdy ją uściśnąłem, poczułem zgrubiałą bliznę na jego dłoni, co zawsze było zaskoczeniem, gdyż ręce miał delikatne. — Rad jestem, żeś mnie odwiedził. — Usłyszałem, że jesteś w mieście. Miło znów cię zobaczyć.

— To takie przyjemne, że się spotykamy — oznajmił. — Nie pytasz, jak idą sztuczki?

Był najlepszym iluzjonistą, jakiego kiedykolwiek widziałem. — Jeśli chodzi o ciebie, nie muszę pytać — odparłem.

— Staram się nie wyjść z wprawy — oświadczył i wyjął z kieszeni talię kart. — Chcesz spróbować?

— Skoro dajesz mi jeszcze jedną szansę — odparłem. Potasował karty jedną ręką, potem obiema, rozdzielił na trzy kupki, a następnie zebrał w talię w odwrotnej kolejności. — W porządku?

— W porządku — odparłem, a on przesunął karty w moją stronę.

Uniosłem prawie dwie trzecie talii i odwróciłem kartę, która teraz znajdowała się na wierzchu. Był to walet treflowy.

— Połóż z powrotem. — Tom sączył piwo i nawet nie spojrział.

Wsunąłem kartę w inne miejsce w talii.

— Lepiej dobrze uważaj — uśmiechnął się Tom. — Zaraz będzie hokus-pokus. — Uderzył w wierzch talii dość mocno, że wywołał głuchy odgłos. — Już podchodzi. Czuję. — Znow uderzył i mrugnął do mnie. Potem wziął kartę z wierzchu talii i zwrócił ją ku mnie, sam nie trując się nawet spojrzeć.

9

Przeszło dwadzieścia lat temu, pewien niedoceniany uczeń z Arizony o nazwisku Tom Flanagan został zaproszony przez innego chłopca, aby spędził z nim, w domu jego wuja, ferie bożonarodzeniowe. Ojciec Toma Flanagana umierał na raka. W szkole nikt o tym nie wiedział, a wuj kolegi mieszkał tak daleko, że szybki powrót Toma byłby niemożliwy. Tom odmówił zatem. Pod koniec roku przyjaciel ponowił zaproszenie, tym razem Tom Flanagan przyjął je. Ojciec od trzech miesięcy nie żył, potem w szkole wydarzyła się tragedia. Tom usiłował wyrwać się z rozpacz, wciąż jednak czuł się roztrzęsiony, wyczerpany i nieszczęśliwy. Marzył o czymś nowym, o nie-f spodziankach. Miał jeszcze jeden powód, dzięki któremu wyraził zgodę — powód niemądry, ale dla niego istotny: uważał, że musi chronić przyjaciela. Wydawało się to najważniejszym zadaniem w życiu.

Kiedy pierwszy raz słyszałem tę historię, Tom Flanagan pracował w nocnym klubie na zachodnim skrawku Los Angeles i wciąż był niedoceniany. „Zanzibar” był to nędzny lokal, odpowiedni akurat dla szarej eminencji show-businessu. Panowała tam atmosfera totalnego zaniedbania. Być może z pomieszczeniami podobnymi do „Zanzibaru” stykał się już od dawna i tak często, że teraz zaledwie zauważał ich szpetotę. W każdym razie Tom pracował tutaj dopiero dwa tygodnie. Zatrzymał się po prostu przed kolejną zmianą miejsca, tak jak robił to od czasów szkolnych — zatrzymywał się gdzieś, potem ruszał* dalej, zatrzymywał się i znow zmieniał miejsce.

Nawet na tle krzykliwego, tandetnego „Zanzibaru” Tom wyglądał prawie tak samo jak przed siedmiu czy ośmiu laty, kiedy jego rudoblonde, kędzierzawe włosy zaczynały się przerzedzać. Pomimo wykonywanego zawodu, mało w nim było pożytku teatralnej czy scenicznej. Nie miał żadnego pseudonimu. Na wywieszonym afiszu widniało tylko: Tom Flanagan co

8

kowe pytania, robiłeś dziwne uwagi... chciałeś, żebym o tym napisał.

Uśmiechnął się lekko i uroczo, i przez moment był znow tamtym chłopcem, którego roznosiła energia.

— No dobrze. Rzeczywiście myślę, że mógłbyś to wykorzystać.

— Tylko tyle? — zaprotestowałem. — Jest to tylko coś, co mógłbym wykorzystać?

— Po upływie tak długiego czasu może to być istotnie tematem twojej książki. I ja ostatnio myślałem, że pora już, aby o tym opowiedzieć.

— Och, z przyjemnością posłucham.

— Dobrze — odparł. Był chyba zadowolony. — Myślałeś już, jak zaczniesz?

— Książkę? Myślałem, że od domu. Od Krainy Cieni. Rozważał to przez chwilę.

— Nie. Do tego i tak wreszcie dojdiesz. Zacznij od anegdoty. Zacznij od kociego króla. — Jeszcze chwilę o tym myślał i kiwał głową, widząc w tym problem jak w swoich sztuczkach. Byłem świadkiem, jak ulepszał je na wiele sposobów, zmieniał z gorliwością sumiennego rzemieślnika, starając się coraz

bardziej zbliżyć do doskonałej iluzji, co uczyniłoby go sławnym. — Tak. Koci król. Może rzeczywiście powinieneś zacząć od szkoły.

— No cóż, może.

— Jeśli już zaczniesz, pomogę ci.

Znowu uśmiechnął się i jego zamysłona twarz, okraszona tym przelotnym uśmiechem zdradzała mężczyznę, który potrafi w życiu szukać. Pomyślałem, że pomimo warunków, w jakich żył, tylko ktoś całkowicie pozbawiony wyobraźni mógłby nazwać go bankrutem.

— Może to być dobry pomysł — zgodziłem się. — Ale co to za historia z tym kocim królem?

— Och, tym się nie przejmuj. Samo wypłynie. Zawsze tak bywa. Słuchaj, muszę teraz przygotować rekwizyty.

— Jesteś za dobry jak na lokal taki jak ten.

— Tak uważasz? Nie, myślę, że zupełnie nieźle do siebie pasujemy. „Zanzibar” to nie najgorsza stara buda.

Powiedzieliśmy sobie do widzenia i odszedłem od baru w stronę rysującego się jaśniej prostokąta otwartych drzwi. Przemknął samochód, dziewczyna w niebieskich dżinsach Przeszła w słońcu, kołysząc biodrami i zdałem sobie sprawę, że z przyjemnością opuszczam ten klub. Mimo że Tom powiedział, że ten klub mu odpowiada, poczułem nagle, że jest tu jak

11

— Nie potrafię wyobrazić sobie, jak ty to robisz — oświadczyłem. Gdyby chciał, mógłby wyjąć tę kartę z mojej kieszeni, ze swojej albo z zapieczętowanego pudełka w zamkniętej teczce.

— Jeśli teraz nie spostrzegłeś, nigdy nie spostrzeżesz. Zo stań przy pisaniu powieści.

— Przecież mogłeś ukryć w dłoni. Nawet jej nie dotknąłeś.

— To dobra sztuczka, ale nie na scenę. Niezbyt też dobra w klubie, gdzie widzowie mogą podejść blisko, ta klientela uważa zresztą, że sztuczki karciane są nudne. — Tom spoglądał na rzędy pustych stolików, a potem przeniósł wzrok na scenę, jakby oceniał dzielącą je odległość i kiedy rozmyślał nad bezużytecznością swego talentu, który przez dziesięciolecia doprowadził do doskonałości, ja oceniałem odległość, lecz tę pomiędzy mężczyzną, jakim był obecnie, a chłopcem, którego niegdyś znałem. Nikt, kto znał go wtedy z jego rudoblond czupryną wydającą się rzucać iskry i młodym ciałem promieniującym energią, nie mógł przewidzieć przyszłości Toma Flanagana.

Oczywiście ci z naszych nauczycieli, którzy jeszcze żyją, uważają go za żenującego nieudacznika, to samo sądzi większość kolegów klasowych. To nie Flanagan sprawił nam najtragiczniejszy zawód, lecz Marcus Reilly, który zastrzelił się w samochodzie, kiedy mieliśmy po trzydzieści lat, ale Flanagan wprawiał w największe zakłopotanie. Inni obierali zły kierunek i szli spokojnie ku zagładzie. Jeden na przykład, o nazwisku Tom Pinfeld, urzędnik bankowy, wywołał skandal, gdy rewidenci wykryli brak setek tysięcy dolarów na rachunkach deponentów. Wydawało się jednak, że tylko Tom Flanagan odwraca się rozmyślnie i wręcz z premedytacją od sukcesu.

Tom, jakby czytając w moich myślach, spytał, czy ostatnio widziałem któregoś z kolegów i przez chwilę rozmawialiśmy o Hoganie, Fieldingu i Shermanie, naszych obecnych przyjaciółach, a przed dwudziestu laty pełnych życia, często psotnych współcierpiętnikach szkolnej niedoli. Potem Tom zapytał, nad czym obecnie pracuję.

— Teraz — odpowiedziałem — mam zamiar rozpocząć

książkę o lecie, które spędziliście razem, ty i Del.

Tom odgiął się do tyłu i spojrzął na mnie z udawanym zdumieniem.

— Nie próbuj znowu — ostrzegłem go. — Niemal za każdym razem, gdy cię widziałem w ciągu ubiegłych pięciu czy sześciu lat, starałeś się zaintrygować mnie tą historią. Stawiałeś zagad-
10

bezbłędny01 ruchem i znów stanął na nogach. Opuścił białą chustkę na ciało kota. Chustka spadła na płaską powierzchnię stołu. Trzy cale dalej przerażony gołąb łopotał skrzydłami.

A więc to tak — mówił czarownik. — Kot i ptak. Ptak

j j^rt — Wciąż miał uśmiech na twarzy. — Ale skoro nasz mały przyjaciel jest taki przestraszony, może będzie lepiej, żeby też zniknął. — Strzelił palcami, machnął chustką i ptaka nie było — Koty przypominają mi pewną prawdziwą historię — zwrócił się do odrętwiałych ze zdumienia chłopców. Mówił tak, jakby chciał ich tylko zabawić. — To stara opowieść, ale najprawdziwsze historie są zwykle bardzo stare. Tę opowiedział Sir Walter Scott Washingtonowi Irvingowi, potem Monk Lewis poecie Shelleyowi, a mnie mój przyjaciel, który sam to widział. Pewien podróżnik, innymi słowy mój przyjaciel, wędrował pieszo do domu swego towarzysza, nie do mego, gdzie zamierzał zanocować. Szedł przez cały dzień, było już późno i nadchodziła noc, a on był tak zmęczony, że gdy doszedł do jakiegoś opuszczonego opactwa, postanowił dać nogom odpoczynek. Usiadł, zdjął buty, oparł się o żelazne ogrodzenie i zaczął sobie masować stopy. Jakieś dziwne hałasy sprawiły, że odwrócił się i spojrzął uważnie poprzez pręty ogrodzenia. Poniżej, na pokrytej trawą starej posadzce opactwa, ujrzał procesję kotów. Uformowane były w dwa długie rzędy i bardzo powoli posuwały się naprzód. Niczego podobnego, oczywiście, nigdy dotychczas nie widział, pochylił się więc, żeby lepiej się przyjrzeć. Spozregł wtedy, że koty na czele procesji niosły na grzbietach maleńką trumienkę i noga za nogą zbliżały się do otwartej mogiły. Kiedy mój przyjaciel zobaczył ten grób, z przestachem obejrzał się na trumnę niesioną przez koty. Na trumnie umieszczona była korona. Przyglądał się dalej, jak koty opuszczały trumienkę do grobu. Tak go to przeraziło, że nie chciał już ani chwili dłużej pozostać w tym miejscu, wsunął nogi do butów i pomimo zmęczenia niemal popędził do domu przyjaciela. W czasie kolacji nie zdołał się opanować, żeby nie opowiedzieć tej przedziwnej sceny, której był świadkiem. Zaledwie skończył, gdy kot jego przyjaciela drzemający przed ogniem zerwał się na nogi i zawołał: „A więc ja jestem królem kotów!” i w mgnieniu oka wybiegł z domu przez komin. Tak było, moi mili... tak się zdarzyło, urocze ptaszęta.

To opowiadanie nie zaczyna się naprawdę od słów „Przeszło dwadzieścia lat temu, pewien niedoceniony” itd., ale „Niegdyś, Przed wielu laty” albo „Dawno, dawno temu, kiedy wszyscy żyliśmy w lesie...”

13

w więzieniu. Odwróciłem się i zobaczyłem go siedzącego w mroku. Rękawy koszuli miał podwinięte, wyglądał jak władca tego mrocznego, pustego pomieszczenia.

— Będziesz tu jeszcze ze dwa tygodnie?

— Dziesięć dni.

— Ja zostanę w mieście tylko tydzień. Spotkajmy się, zanim wyjadę.

— Doskonale — odparł Tom Flanagan. — Och, a przy okazji...

Podniosłem głowę.

— Walet treflowy.

Roześmiałem się, a on w geście pozdrowienia uniósł szklanekę piwa. Nie rzucił okiem na tę kartę, nawet gdy już sztuczka się skończyła. Takie właśnie małe cuda potrafił wyczyniać.

Koci król? Nie miałem najmniejszego pojęcia, co to za historia, ale jak Tom obiecał, w parę tygodni później natrafiłem na nią w jakiejś przygodnej książce. Gdy ją przeczytałem, przekonałem

się, że Tom ma nieomylny instynkt.

Kiedy pisałem tę historyjkę, zapragnąłem oddać ją w kontekście, w jakim Tom po raz pierwszy ją usłyszał.

Anegdota

— Wyobraźcie sobie ptaka — powiedział czarownik. —

W tej właśnie chwili trzepoczącego skrzydłami, przerażonego, niemal umierającego ze strachu, a wydobywającego się z tego kapelusza.

Ściągnął szybko białą chustkę z cylindra i gołąb w kolorze chustki, będąc skrzydłami, upadł niezdarnie na stół. Przerażony, sparaliżowany strachem ptak, niezdolny pofrunąć, głośno uderzał skrzydłami o polerowany blat stołu.

— Ładny ptak — powiedział magik i uśmiechnął się do dwóch chłopców. — Teraz wyobraźcie sobie kota.

Znów śmignął chustką nad kapeluszem i biały kot zsunął się z ronda. Wypełzył z kapelusza niczym wąż i rozciągnął się na stole, patrząc jedynie na gołębia. Powoli, jak drapieznik, kot czołgał się w stronę ptaka.

Magik, przebrany za smętnego klauna z białą twarzą, w czerwonej peruce, w czarnym fraku, w uśmiechu wyszczerzył zęby do chłopców i niespodzianie podskoczył, zrobił efektownego fikołka i wylądował, stając na rękach w białych rękawiczkach. Przez chwilę trzymał nogi sztywno wzniesione do góry, potem zgiął je i pochylił tułów jednym harmonijnym,

12

CZĘŚĆ PIERWSZA

SZKOŁA

Wstańcie i zaśpiewajcie pochwalny hymn o szkole na wzgórzu.

Pieśń szkolna

żeby rozmontować huśtawkę. Cissy Harbinger wychodzi właśnie z basenu i idzie w stronę leżaka. Kroczy tak, że wiadomo, iż kafelki parzą ją w stopy. Podchodzi i kładzie się, żeby jeszcze przyciemnić swoją orzechową opaleniznę. Są tam jeszcze dwa rozleglejsze dziedzińce, jeden z plastikowym brodzikiem. A tutaj, Collis Falk, ogrodnik zwolniony właśnie przez rodziców chłopca, przejeżdża wielką czarną kosiarką po trawniku wokół białego domu. Nie pozostają żadne mlecze: Collis Falk jest bezlitosnym tępidłem mleczy.

Dalej, poza domami i ogrodami, jakiś człowiek spaceruje aleją na skarpie. Na tym starym przedmieściu piesi nie są taką rzadkością jak w rozległych nowych dzielnicach, na przykład na Quantum Hills, ale pomimo to jest to wyjątkowy i interesujący widok.

Chłopiec wciąż nie wie, że śni.

Idący aleją mężczyzna zatrzymuje się. Jest pewnie klientem Collisa Falka i czeka, żeby ogrodnik odwrócił się w jego stronę, to będzie mógł go pozdrowić. Ale nie, wydaje się, że nie czeka na ogrodnika. Przechyliła głowę i patrzy na chłopca. Chyba go wypatruje, myśli chłopiec. Mężczyzna ujmuje się pod boki. Jest oddalony o około trzysta jardów, jego sylwetka drży trochę w upale bijącym z chodnika. Chłopca opanowuje nagle przekonanie, że ta mała figurka stara się go odnaleźć... a chłopiec nie chce, żeby go zauważono. Przywiera mocniej do ziemi i niespodziewany strach budzi się w jego piersi.

To interesujący sen, myśli. Dlaczego się go boję?

Powietrze staje się bardziej mroczne, bardziej srebrne. Mężczyzna, który go dostrzegł, a może nie, idzie dalej. Wyłania się nagle Collis Falk, jakby z zamiarem wykoszenia brodzika. Teraz chłopiec zasłonięty jest przed wzrokiem mężczyzny i może się poruszyć.

Naprawdę jestem wystraszony, myśli, dlaczego? Całe otoczenie stało się nagle nieprzyjemne, skażone i niepokojące. Chociaż nie może już dostrzec sylwetki w alei na skarpie, to jednak

mężczyzna ten promieniuje chłodem i złem...

(Jego twarz zrobiona jest z lodu).

Nie, to nie to, ale chłopiec zrywa się na nogi i zaczyna biec, * nagle zdaje sobie sprawę, że to mu się śni, bo na swoim dziedzińcu widzi jakiś budynek, a wie, że go tam nie ma i że nie wa też gęstych drzew, które go otaczają. Dom ma tylko około dwudziestu stóp wysokości i słomiany dach. Po bokach brązowych drzwi są dwa okienka. Ten bajkowy domek wygląda gościnnie i chłopiec wie, że powinien tam wejść, a znajdzie

17

Sny na jawie

Ostatni dzień letnich wakacji, bezchmurne niebo, suche upalne powietrze; w górze, na skrzydłach żalu unosi się kres i wszelkie początki, obietnice i śmierć. Być może żal odczuwa tylko chłopiec — ten chłopiec, który leży na brzuchu w trawie. Patrzy na mlecz i zastanawia się, czy ma go zerwać. No bo jeśli zerwie ten, to czy ma też zerwać tamten, rosnący dalej, którego lwia głowa pochyla się i kiwa na łódźce zbyt wątej dla niej? Od mleczy cuchną ręce. Co go obchodzi ostatniego dnia wakacji, że ręce będą miały zapach mleczy? Chwyta i szarpie wielki, rosnący najbliżej kwiat i wyciąga go z ziemi razem z korzeniami. Wydaje mu się, że słyszy, jak mlecz wzdycha, rozstając się z życiem, więc odrzuca go pospiesznie. Potem przesuwa się ku następnej roślinie. Wydaje się bardzo delikatna z tą wielką główką i cienką szyjką, że zostawia ją w spokoju. Przekręca się na plecy i spogląda w niebo.

Żegnaj, żegnaj, mówi do siebie. Żegnaj swobodo. Tkwiło w nim jednak wyczekiwanie nowej sytuacji, pójścia do szkoły średniej, rozpoczęcia dojrzewania. Spodziewał się, że w jego życiu nastąpią wielkie przeobrażenia. W tej chwili, jak wszystkie dzieci stojące na progu zmiany, pragnął przewidzieć przyszłość, żyć teraz tym, co będzie — skosztować tamtej wody.

Samotny ptak kołuje w górze tak wysoko, że oddycha już innym powietrzem.

Chyba się zdrzemnął, bo później uważał, że to, co wydarzyło się potem, gdy zobaczył tego ptaka, musiało być snem. Najpierw powietrze zmieniło kolor — stało się mgliste, prawie srebrne. A chmury? Nie było żadnych chmur. Przewrócił się na brzuch i bezmyślnie rozglądał dokoła. Mógł obserwować cztery podwórka. Huśtawka ustawiona na trawniku Trumbullów jest tak przerdzewiała, że należałoby ją zdjąć — dzieci Trumbullów były od niego starsze, ale pan Trumbull jest za leniwy,

16

. Nie masz braci ani sióstr, prawda?

Chłopiec potakuje. Czarownik uśmiecha się.

— Możesz iść, synu. Jego już nie ma. A ty prowadź zaciętą walkę.

Chłopiec zostaje odprawiony; logika snu zmusza go do wyjścia; oczy czaroumifca znów są zamknięte. Nie ma jednak ochoty odejść, nie chce się już obudzić. Patrzy przez okienko i widzi las, a nie teren wokół własnego domu. Z wielu drzew widać pajączyny.

Czaroumik porusza się, otwiera oczy i spogląda na ociągającego się chłopca.

— Będziesz miał złamane serce — mówi. — Czy czekałeś, aby to usłyszeć? Zostanie złamane. Nigdy jednak niczego nie zdołałbyś dokonać, gdybyś nie miał drzazgi ID sercu. Tak to już jest, chłopcze.

— Dziękuję — mówi chłopiec i idzie w stronę drzwi.

— Tak już jest i nie może być inaczej.

— Dobrze.

— A teraz miej oczy otwarte i uważaj na ułki.

— Będę uważał — mówi chłopiec i wychodzi.

Myśli, że czaroumik już zasnął. Kiedy przechodzi koło drzew, których nie ma, spostrzega siebie samego śpiącego na trawie, leżącego na boku tuż koło chwiejącego się mlecza.

Z wielu przyczyn Szkoła Carson nie jest już tą szkołą, którą była i ma nową nazwę. Carson była

szkolą dla chłopców, osobliwą i staromodną, a czasem tak surową, że aż zęby cierpną. Później my, którzy byliśmy uczniami, zrozumieliśmy, że ta cała raczej groźna dyscyplina miała na celu ukrycie faktu, że była to w najlepszym razie szkoła drugorzędna. Tylko szkoła tego rodzaju mogła zaangażować Lakera Broome'a na stanowisko dyrektora, może tylko trzeciorzędna zatrzymałaby go.

Przed laty, kiedy John Kennedy był jeszcze senatorem z Massachusetts, Steve McQueen grał w telewizji Josha Randa, a McDonald sprzedał dopiero dwa miliony hamburgerów, kiedy wąskie krawaty oraz kołnierzyki w szpic wchodziły w modę, Szkoła Carson była spartańska, dbająca o pozory i świadoma swego statusu. Obecnie uczęszczają tam chłopcy

19

ocalenie przed tym, co chodzi tam i z powrotem po alei na skarpie.

Wie, że to dom czarownika.

Kiedy przechodzi wśród drzew i otwiera drzwi, wszystko wokół niego wydaje się wzdychać: porzewiała huśtawka i brodzik, Cissy Harbinger i Collis Falk, każde brązowe i zielone żdźbło trawy wysyła falę zawodu i żalu. Prawdziwy jednak żal płynie stamtąd, od tego człowieka, który ma świadomość, że chłopiec jest od niego oddzielony.

— A więc jesteś tu — mówi czarownik, uśmiechając się. Jest to staruszek z pomarszczoną twarzą ukrytą w kędzierzawej brodzie, odziany w wyszarzałą kapotę. Siedzi oparty na krześle. Jest to najstarszy czarownik na świecie, chłopiec wie o tym i wie też, że sam tkwi w baśni, której nikt nigdy nie napisał. — Jesteś tu bezpieczny — powiada czarownik.

— Wiem.

— Chcę, żebyś sobie zapamiętał. Nie wszystko jest tak jak... gdy jest się poza tym.

— To sen, prawda? — pyta chłopiec.

— Wszystko jest snem — oznajmia czarownik. — Twój świat... flaga na wietrze, jakaś zabawka, która coś znaczy. Uwierz mi na słowo. Coś znaczy. Jesteś dobrym chłopcem, ty to wykryjesz. — W jego rękę pojawia się fajka, pociąga z niej i wydmuchuje gęsty kłąb dymu. — Och, tak. Odnajdziesz to, co masz odnaleźć. Wszystko będzie dobrze. Będziesz musiał, oczywiście, walczyć o życie, będziesz musiał przejść egzaminy... egzaminy, do których nie można się przygotować, hi, hi, hi... i będzie też dziewczynka i wilk, i wszystko inne, ale przecież nie jesteś idiotą.

— Jak w Czerwonym Kapturku? Dziewczynka i wilk?

— Och, jak to wszystko — mówi czarownik wymijająco. — Powiedz mi, jak się ma twój ojciec?

— W porządku. Tak sądzę.

Czarownik kiwa głową i wypuszcza następną chmurę dymu. Wydaje się chłopcu bardzo słaby i stary. Stary czarownik u kresu swej potęgi, tak zmęczony, że ledwo może podnieść fajkę.

— Och, mógłbym pokazać ci różne rzeczy — rzecze czarownik. — Ale to na nic się zda. Chciałem po prostu, żebyś wiedział... Chyba wszystko powiedziałem. To jest gęsty, gęsty las. Szkoda, że jestem taki stary.

Wydaje się, że zasnął na moment. Fajka zwisa mu z ust, a ręce złożone na kolanach drżą. Jednak otwiera zażawione oczy.

18

1958, dzień zapisów

Ciemny korytarz, źle oświetlone schody, biurka ze świecami kapiącymi woskiem na podstawki, ustawione wzdłuż ściany. Spalił się bezpiecznik albo popsuła się instalacja, a woźny przyjdzie dopiero jutro rano, gdy będą przyjmowane ostatnie zapisy do szkoły. Dwudziestu nowych kotłuje się na długim korytarzu. Nawet bardzo opalone twarze wyglądają blado i chorobliwie w świetle świec.

— Witajcie w szkole — zażartował któryś z czterech czy pięciu obecnych nauczycieli, którzy stali w grupie u wejścia do jeszcze ciemniejszego korytarza prowadzącego do biur administracji. — Nie zawsze jest taki bałagan. Czasem bywa gorzej.

Paru chłopców roześmiało się, to ci, którzy przeszli do wyższych klas i całe życie spędzili w Carson, uczęszczając do niższych klas w budynku z mansardowym dachem, stojącym dalej na tej samej ulicy.

— Możemy zacząć za chwilę — powiedział starszy nauczyciel bezbarwnym głosem, ucinając śmieszki. Był wyższy od innych, miał wąską głowę i otyłą twarz z wydatnym nosem. Jego binokle świeciły, kiedy wyciągał głowę do przodu i wykręcał do tyłu, żeby dojrzeć w mroku, kto się śmiał. Miał kręcone włosy, przedzielone na środku głowy przedziałkiem, co upodabniało go do bufetowego z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. — Niektórzy z was, chłopcy, powinni zrozumieć, że żarty i zabawy już się skończyły. To nie jest szkoła dla maluchów. Jesteście wprawdzie najmłodszy, na najniższym stopniu drabiny, ale oczekuje się od was, że będziecie za chowywali się jak mężczyźni. Zrozumiano?

Nikt nie odpowiedział, a on wydał przez nos parsknięcie oznaczające najwyraźniej zły humor.

— Zrozumiano? Czy wy, osły, nie macie uszu?

— Tak, panie profesorze.

— To byłeś ty, Flanagan?

— Tak, panie profesorze.

Mówiący był szczupłym, żylastym chłopcem z rudoblonde włosami uczesany na modę „Princeton” — gładko przy głowie. Twarz, oświetloną bladym migocącym światłem świec, miał bystrą i przyjazną.

— Będziesz grał w młodzieżowej drużynie piłki nożnej na jesieni?

?— Tak, panie profesorze.

21

i dziewczęta z bogatych domów mający kłopoty w szkołach publicznych. Wtedy chesne wynosiło sto pięćdziesiąt dolarów rocznie, teraz prawie cztery tysiące.

Zmieniła także swoje pomieszczenia. Kiedy chodziłem tam z Tomem Flanaganem, Delem Nightingale'em i innymi, szkoła mieściła się w starej gotyckiej rezydencji usytuowanej na szczycie wzgórza, do której dobudowano nowoczesne skrzydło — stalowe ramy i wielkie płaszczyzny szkła. Stara część szkoły w jakiś sposób pomniejszała współczesną przybudówkę stojącą w jej cieniu i całość miała wygląd ponury i odstręczający.

Pierwotny budynek oraz obszerne sale gimnastyczne, mieszczące się w pawilonie z tyłu, były wzniesione głównie z drewna. Części starej budowli, gdzie było biuro dyrektora, biblioteka, korytarze i klatki schodowe, przypominały Klub Garricka. Wiekowe drewno wypolerowane i lśniące, dębowe półki na książki, poręcze oraz piękne, śliskie drewniane posadzki. Ta część szkoły miała działać zachęcająco na rodziców przyszłych uczniów, którzy, jak to powszechne w ich warstwie społecznej, byli anglofilami. Niektóre pokoje były maleńkie niczym skarbcze na klejnoty, miały okna ze słupkami i małymi szybkami, ściany z filunkami i obrzydliwe grzejniki dające niewiele ciepła. Jeśli budynek szkoły był niegdyś szlacheckim dworem, co sugerował jego wygląd,

to nie tylko mógł być nawiedzany przez duchy, ale sam straszyl.

Raz na dwa lub trzy lata, kiedy wracałem i przejeżdżałem obok nowej siedziby szkoły na Quantum Hills, widziałem długą, w stylu staroangielskim, fasadę z czerwonej cegły, podłużne zielone trawniki i w dali boisko do piłki nożnej — wszędzie świeża zieleń i ciepła cegła jak na kampusie, wszystko tak szablonowe, że wprost nierzeczywiste. Ta imitacja uniwersytetu wydawała się odległa, mglista, pogrążona w złudzeniach. Patrząc na szkołę, wiedziałem, że uczniowie nie harują tam tak, jak my harowaliśmy, że jest im łatwiej. Zastanawiałem się, czy wciąż jeszcze słyszą: Jestem twoim zbawieniem, pęta-» ku, jestem drogą, prawdą i światłem.

Jestem twoim zbawieniem — głos złego ducha, zazdrosnego diabła drugiej kategorii upominającego się o swoje prawa.

20

— Łącznik?

— Przypuszczam, że tak, panie profesorze.

Nauczyciel prychnął, dokonując znów przeglądu grupki uczniów. W korytarzu wznosił się swąd woskowych świec, ciepły i tłusty. Nagle wyrzucił do przodu grubą rękę i złapał Dave'a Bricka za włosy, które były ułożone w fale opadające na czoło.

— Brick! Zetnij te obrzydliwe włosy albo ja to zrobię!

Brick wzdygnął się i odrzucił głowę do tyłu. Coś konwulsyjnie przetykał, myślałem, że zwymiotuje.

Wąskogłowy mężczyzna cofnął rękę i wytarł ją o swe luźne oodnie.

— Sekretarka przygotowuje papiery, które będą wam potrzebne, formularze do wypełnienia i inne druki, skoro więc... wydaje się, że mamy trochę czasu, poznam was z nauczycielami, którzy tu są dzisiaj. Ja jestem profesor Ridpath. Moim przedmiotem jest historia powszechna. Jestem też trenerem piłki nożnej. Nie będę was uczył przez dwa lata, ale będę was widział na boisku. — Zrobił krok w bok i odwrócił się tak, że jego twarz znalazła się w cieniu. Tylko kosmyki włosów nad uszami połyskiwały w świetle świec. — Ci panowie, to prawie wszyscy nauczyciele, którzy będą was uczyć w tym roku. Pojutrze będziecie mieli przyjemność poznać pana Thorpe'a, wykładowcę łaciny. Łacina jest przedmiotem obowiązkowym, podobnie jak futbol, tak samo jak angielski, jak matematyka. Pan Thorpe jest tak samo wymagający jak ja. To wspaniały nauczyciel. Był lotnikiem w czasie pierwszej wojny światowej. Jest zaszczytem być w klasie łaciny pana Thorpe'a. A teraz, pan Weatherbee. Będzie was uczył matematyki i jest waszym wychowawcą. Możecie przychodzić do niego ze swoimi problemami. Przy był do nas z Harvardu, zapewne przeto nie będzie was wysłuchiwał.

Niski mężczyzna w okularach w rogowej oprawie, w wygniezionej marynarce zarzuconej niedbale na ramiona, uniósł głowę i uśmiechnął się do nas.

— Ten obok pana Weatherbeego to pan Fitz-Hallan. Uczy angielskiego. Jest z Amherst. — Wyglądający raczej apatycznie mężczyzna, z przystojną chłopięcą twarzą, uniósł rękę. To on powiedział żart o bałaganie, a teraz był tak znudzony, że prawie zasypiał na stojąco.

— Pan Whipple, historia Ameryki. — Był okrągły, łysy, o twarzy cherubinka. Do poplamionej sportowej kurtki przy-

it miał na agrafce herb szkoły. Złożył dłonie wzniesione na
23

Wszystkich nowych chłopców opanowało podniecenie.

— Dobrze. Na bramce?

— Tak, panie profesorze.

— Świetnie. Jeśli popracujesz nad nogami, za dwa lata będzie z ciebie materiał do szkolnej drużyny reprezentacyjnej. Przyda nam się dobry bramkarz, — Nauczyciel zakaszłał, osłaniając usta ręką, utopił wzrok w ciemnym korytarzu administracyjnym i skrzywił się. — Powinienem wyjaśnić. Ta niewiarygodna... sytuacja zdarzyła się, ponieważ sekretarka szkoły nie mogła znaleźć klucza do tych drzwi. — Uderzył] pięścią w solidne, drewniane, ozdobione łukiem drzwi. — Tony mógłby je otworzyć, gdyby tu był, ale zjawi się dopiero jutro. Trudno, musi tak być. Będziemy pracować przy świecach. — Obrzucił nas wyzywającym wzrokiem i zauważyłem, że jego głowa była płaska jak deska. Oczy miał tak blisko siebie osadzone, że nieomal się stykały.

— A przy okazji, wszyscy będziecie w młodzieżowej reprezentacyjnej drużynie futbolowej — oznajmił. — Mała klasa, dwudziestu. Jedna z najmniej licznych w szkole. Potrzebujemy was wszystkich na boisku. Nie, żebyście wszyscy przebrnęli przez ten... krytyczny rok, ale my będziemy starali się zrobić z was piłkarzy.

Widać było, że niektórzy nauczyciele stają się niespokojni, ale on to zignorował.

— Wiem, że część z was dobrze pracowała z trenerem Ellinghausenem w ósmej klasie, ale niektórzy są nowi. Ty! — Wskazał palcem na wysokiego, tęgiego chłopca koło mnie. — Nazwisko!

— Dave Brick.

— Dave Brick, co?

— Panie profesorze.

— Wyglądasz na środkowego.

Brick wyraźnie przeraził się, ale skinął głową.

— Ty. — Wskazał drobnego, o oliwkowej cerze chłopca, z czarnymi wilgotnymi oczami.

Chłopak niemal zapiszczał. y

— Nazwisko. **"

— Nightingale, panie profesorze.

— Będziemy musieli trochę cię podtuczyć, co Nightingale? Nightingale potaknął, a ja widziałem, jak mu się nogi trzęsły.

— Mów pełnymi zdaniami, chłopcze. Tak, panie profesorze. To jest zdanie. Skinienie głową nie jest zdaniem.

— Tak, panie profesorze.

22

ep

nimi.

ze

Szkołą

o_

Stara kobieta skłoniła się, wyrwała swoją latarkę panu Whipple'ow* i pomaszerowała schodami do góry.

— pojedynczym szeregiem — zarządził Ridpath.

Rozpychaliśmy się i niezdarnie ustawialiśmy w kolejkę, żeby podejść do biurka i z każdego wziąć odpowiedni arkusz. Chłopiec za mną coś wymamrotał, a pan Ridpath ryknął:

Nie masz ołówka? Nie masz ołówka? Pierwszy dzień w szkole i ty nie masz ołówka? Jak się nazywasz?

— Nightingale, panie profesorze.

— Nightingale — syknął Ridpath pogardliwie. — Do jakiej szkoły chodziłeś, zanim tu przyszedłeś?

— Do takiej samej, panie profesorze — zabrzmiał dziewczęcy głosik Nightingale'a.

— Co takiego?!

— Andover, panie profesorze. Zeszłego roku byłem w Andover.

— Ja pożyczę mu pióro, panie profesorze — odezwał się Tom Flanagan i już bez dalszych zakłóceń przeszliśmy wzdłuż biurka. Na końcu korytarza stanęliśmy i czekaliśmy w ciemności, aby nam powiedziano, co mamy dalej robić.

— Na górę, rzędem, do biblioteki — nakazał Ridpath znużonym głosem.

— ..o^yscy jesteście nowi? f»

Rozległo się ogólne mamrotanie. *k

— Będziecie musieli pracować. Pracować jak nigdy dotychczas. Damy wam w kość i oczekujemy, że zdobędziecie się na największy wysiłek. Zrobimy z was ludzi. Ludzi Carson. A to jest coś, z czego można być dumnym. — Rozejrzał się wokół, krzywiąc pogardliwie twarz. — Nie sądzę, żeby wszyscy zdołali sprostać naszym wysokim wymaganiom. Poczekajcie, aż pan Thorpe weźmie was w swoje ręce.

Zwalista, starsza kobieta w brązowym swetrze wyłoniła się z korytarza, za nią pan Whipple z latarką. Oboje nieśli stosy papierów posegregowanych i poukładanych ni' krzyż. Kobieta zrzuciła plik papierów na pierwsze z brzegu biurko.

— Proszę mi pomóc porozdzielać to, poszczególne kupki na osobne biurka.

Każdy z nauczycieli wziął garść papierów i podszedł do innego biurka. Pan Ridpath oznajmił uroczystym głosem:

— Pani Olinger, sekretarka szkoły. 24

Poszliśmy schodami na górę w słoneczne światło, które iskrząc się, wpadało przez małe szybki wprawione obok wysokich, ciężkich drzwi frontowych. Po przeciwnej stronie holu znajdowała się biblioteka. Pomiędzy półkami na książki stojącymi pod ścianami były duże okna. Brązowe drewno

i grzbiety nie oprawionych książek sprawiały jednak, że w bibliotece było ciemno, więc w normalne dni szkolne paliły się tam ogromne żyrandole zwisające z sufitu. Bez tego oświetlenia w bibliotece panowałyby bardzo posępny nastrój.

Dwa rzędy długich płaskich pulpitów, również drewnianych, zajmowały środkową część sali i tam zanieśliśmy papiery. Naprzeciw stała półka z katalogami, za nią biurko bibliotekarki oraz szafki z aktami i rejestrami. Pani Olinger obserwowała, jak wmaszerowujemy do biblioteki i zajmujemy miejsca. Stała obok chudej kobiety z mocno zondulowanymi siwymi włosami, w okularach w złotej oprawie i w czarnej sukni ozdobionej sznurem pereł. Profesorowie weszli na końcu i usiedli za

iz

-npod Z3ZJd

sou zazid -ISazon auoajs M ais

IUUI fazij, BIJAUP pazjd uop auozotA\ ?reisoz az 'ojBMoiaSns OD 'B:UBAVJO ^Aq

B^aprid

{pp pp ^p pzsajj^ aIB§

itt ZTU faiuui 5qoojł UBSBUB^ 'tuazsBńsazjd i^ą XodoroD BUBSBUBIJ ^UIOJ 'iSaio-ą O8BA\S
jidind d fe

i p aza

isn aiBSmiqStjM ^uozBjazad OD 'SOD DBąaziSAM 5is DBPBJBIS

łs pod jBifnzs fe^BJd 'zjaratoii BZ B^

feAvaq B^uo^d ZIEMI BJISBM oSaf

pod ofeunsazad

^03 ^03 —

az uiiCupaf BZ IBłS az '

UBJ aiuMo^BMS ats maj aiirezsaiurez

ZCJ BIUBMOMBjdS op q[Di«UOZDBUzXAV MOIUZOTI

BJISIAVZBU A/Łą

-ZOU I^ld op 3{STOq '

— nnBqasBq t fau

— SBp{ qoXZSJBłS

A\ 5iazBisj{ eq

i BiuazpoqDOd» '

BUDaqO pod

T06T M fauozo^z

oSazsAviaxd isoun

B? ais <(siiJloj.d

w ajoo/zs o lusaid BMOłs iuiBDdotqo

SEU Efgoui az .IUOTaiz XDBI -EQ nuiautqnSBz 'nuiauoDods nsidoSnjp

28

~ No, więc. ij5Camysz- awuchwyciDreWnianyłukstwarzalżudzenie, że znaleźliśmy się
wpokoju.

kołnierz i rozejrzał się"°Zyciel szarpnął chłopca m ? Na podłodze leżał wschodni dywan. Na
antycznym stole stała Nie mogę tego noi ^S^fkł°Ścia i niedowierza0^^ * biblioteczna lampa i

perska miska. Naprzeciw łuku znajdowały

sorte

— Miał mi pokazać n , Flanagan. Wytlumi, m » się ogromne, drewniane drzwi jak wejście do średniowiecz-

ze- WJ* karcianą sztuczkę na • nego kościoła, olistwowane na krzyż żelaznymi sztabami.

— Nową. Karciana S PPOfe Staliśmy cicho w mrugającym płomyku świeczki. Pan kołnierz i skręcił tak i* 1 zkę' — Chwycił ie^r™ Fitz-Hallan zastukał raz w wielkie drzwi. Pani Olinger pożeg-

Poducho.-NoWzKtuZ« krawat Nightingale'a nSL^T^ nała się * °ddaliła korytarzem z charakterystycznym sobie

i karty, i chłopca Griv t i mana-"~potem wvn.,,ć -f "Il poirytowanym pośpiechem, oświetlając drogę latarką. Fitz-

dłonią. - Trzeba tQ ^ talia spadła na stoł ^ZP"ScłzrąJ -Halan otworzył drzwi i wtoczyliśmy się do gabinetu pana

swe odeszła między pulpitemi R" OUnger? ' nał M Broome'a.

kart nawet nie spojSła^ metalowy kowJd^ SStJ^f^ do Nagła jasność i zapach wosku: na każdej wyżej usytuowanej

dowcipnisie po " ri ? ^^ płaszczyźnie stały przynajmniej dwie świece. Wrażenie obec-

No, tym razem l^T1 Pan RidPath — pip ności w kosciele stało się jeszcze silniejsze. Dyrektor siedział za

"" kolejno na chł™ UJdzie- — Opierał sie n 7™SZeg0 biurkiem, bez marynarki, z rękoma założonymi za głowę.

—., ^wwjeK pomie-

. .Uic. oiszycie? — Nightingale i Flanagan

.-vax głowami. — Dowcipnisie! Lepiej nie traćcie czasu, tylko

starajcie się zapamiętać, co jest na tych arkuszach. Musicie to wiedzieć, bo inaczej rzeczywiście pozostaną wam jedynie karciane sztuczki. — Miał jeszcze ostatnią pogrózkę. — Twoja kariera źle się zaczyna, Flanagan. — Wrócił do stołu nauczycielskiego, usiadł i wbił pięści w oczodoły.

— Przekażcie ankiety na koniec każdego rzędu, chłopcy — nakazał pan Fitz-Hallan.

Zobaczyłem, że drobna, oliwkowa twarz Nightingale'a stała się szara z przerażenia. Po kilku minutach spływaliśmy przez ciemny hali w dół ku małym, drewnianym schodom na pierwsze spotkanie z Lakerem Broome'em.

Gabinet dyrektora znajdował się na parterze najstarszego budynku, w sercu starej budowli. Pani Olinger szła na przodzie, oświetlając wielką latarką drogę po ciemnych schodach. Mruczała coś do siebie. Inni nauczyciele postępowali za nią, a za nimi kroczył pan Whipple z chybotliwym ogarkiem dla wygody chłopców. Blask płomyka świeczki Whipple'a został na chwilę przygaszony światłem wpadającym przez oszklone drzwi na małym kwadratowym podeście. To światło sięgało do następnego ostrego zakrętu schodów, a potem szliśmy jedynie za drgającą świeczką Whipple'a aż do poczekalni.

Nie była to prawdziwa poczekalnia, był to właściwie koniec ciemnego korytarza, przy którym mieściły się biura szkoły. 28

Łokcie tworzyły wierzchołki trójkątnych skrzydeł. Uśmiechał się.

— No — powiedział — podejdźcie chłopcy, niech się wam przyjrzę.

Kiedy ustawiliśmy się w dwóch szeregach przed biurkiem, opuścił ręce i wstał.

— Żebyście tylko nie powywracali świec. Ładne to, ale niebezpieczne. — Roześmiał się. Był to szczupły, niski mężczyzna, siwe włosy miał ostrzyżone na jeża. Koło ust rysowały się głębokie bruzdy. — Nawet gdy w szkole nie ma lekcji, dyrektor musi tkwić za biurkiem. To znaczy, że znajdziecie mnie tutaj prawie zawsze. Nazywam się Broome. Nie obawiajcie się. Jeśli będziecie mieli jakiś problem, o którym chcielibyście ze mną

porozmawiać, to po prostu przez panią Olinger uzgodnicie termin spotkania. — Odsunął się do tyłu i oparł o ciemną, drewnianą półkę z książkami, ręce skrzyżował na piersi. Dyrektor nosił okulary w rogowej oprawie rudego koloru. Kieszonkę miał świeżutką. Był ostatnim doskonałym szczegółem tego wyłożonego boazerią, zasłanego wschodnimi dywanami, pełnego książek gabinetu, szczegółem świetnie współgrającym z delikatnym, przemyślanym, staroświeckim wystrojem wnętrza.

— Oczywiście — kontynuował — jest raczej bardziej prawdopodobne, że wasze wizyty tutaj będą miały mniej przyjemny charakter. — Usta mu się wykrzywiły. — To jednak będzie dotyczyło tylko niewielu z was. Nasi chłopcy na ogół ciężko słyszą i nie ma czasu na szukanie kłopotów. Jedno ostrzeżenie. Ci, którzy będą szukali kłopotów, nie po-

zostaną tu długo. Jeśli chcecie cieszyć się przywilejami ucznia tej szkoły, pracujcie pilnie, bądźcie posłuszni, ok; żujcie szacunek przełożonym i przykładajcie się do sportów. Biorąc pod uwagę korzyści, nie jest to wygórowane żądanie. — Znów ten jego wymuszony uśmiech. — Powinienem jeszcze powiedzieć, co mamy prawo, by nie rzecz obowiązek wymagać od was. Jest moją intencją, jest intencją szkoły, chcemy wycisnąć na was nasze piętno. Gdziekolwiek znajdziecie się później, ludzie będą mogli powiedzieć „Oto człowiek z Carson” To tyle.

Ponad naszymi głowami spojrzeli na nauczycieli. Większość z nas też odwróciła się do tyłu. Pan Whipple kartkował formularze, które wypełniliśmy. Pan Ridpath stał jak żołnierz po komendzie „spocznij!” z rozstawionymi nogami i rękoma założonymi do tyłu. Dwaj inni wpatrywali się w podłogę, jakby odcinając się od słów dyrektora.

— Ma je pan, panie Whipple? To proszę je tu przynieść. Whipple podszedł szybko i położył stos ankiet na biurku, tuż przed skórzanym fotelem dyrektora.

— Te dwie na wierzchu, panie dyrektorze — wymamrotaj i oddalił się.

— Ach? Tak, rozumiem. — Wyprostował się. Oprawka jego okularów zaświeciła na moment czerwono, gdy przechodził przed lichtarzem, i wziął dwa leżące na wierzchu formularze. — Uczniowie Nightingale i Sherman zostaną na chwilę. Reszta może powrócić do biblioteki, zabrać książki i plan lekcji. Proszę ich wyprowadzić, panie Ridpath.

Po piętnastu minutach Nightingale i Sherman pojawili się w drzwiach biblioteki i skierowali w stronę założonych książkami pulpitów. Policzki Shermana były bardzo zaczerwienione.

— No i co? — szepnąłem do niego. — Co powiedziały? Sherman starał się z trudem uśmiechnąć.

— Ale z niego zimny stary drań, co?

Nasze szkolne szafki znajdowały się na drugim piętrze, w korytarzu przybudówki. Zamiast ścian były tam wmontowane wielkie szklane płyty.

Na dziedzińcu wysypanym żwirem rosła samotna lipa.

Parę tygodni później dowiedziałem się od Toma Flanagan, dlaczego Del Nightingale został zatrzymany przez dyrektora. Nightingale nie wstawił w odpowiedniej rubryce ankiety imion

rodziców. Nie zrobił tego, ponieważ jego 30

odzice nie żyli. Nightingale mieszkał u dziadków, którzy łaś»ie przenieśli się z Bostonu do domu w Alei Zachodzącego Słońca, o cztery albo pięć budynków od szkoły.

Nowy Jork, sierpień 1969 — Bob Sherman

— Dlaczego tu jestem? — zapytał Sherman. — Możesz na to odpowiedzieć? Co, u diabła, robię tutaj, kiedy mógłbym być na wyspie, popijać colę i patrzeć na ocean?

Znajdowaliśmy się w jego biurze. Musiał prawie krzyżeć, żeby było go słyhać przez muzykę rockową wylewającą się z głośników stereofonicznych. Biuro mieściło się w pokojach dawnej ambasady niemieckiej. Wszystkie sufity były ozdobione gipsowymi gzymsami. Skórzane kanapy stały pod ścianami gabinetu i przed długim biurkiem. Wielka, zielona, bostońska paproć wyglądała, jakby intensywnie była nawożona. Na puszystym dywanie walały się płyty.

— Zwykle masz odpowiedź. Dlaczego jestem w tej zasranej dziurze? Ty jesteś tu, bo ja tu jestem, ale dlaczego ja jestem? Jeszcze jedno odwieczne pytanie. Wyłączyć tę płytę? Mnie już mdli od tej muzyki.

Telefon zadzwonił po raz szósty, od chwili gdy znalazłem się w jego biurze. Zawołał:

— Chryste! — Podniósł słuchawkę i powiedział: — Taak? — Dał mi znak, żebym położył nową płytę na tarczy gramofonu.

Nastawiłem płytę i rozsiadłem się na kanapie. Sherman tokował. Miał doktorat z prawa, miał też wrzód żołądka, rozstrojony system nerwowy i, jak przypuszczałem, najwyższe dochody spośród wszystkich z naszej klasy. W tamtych czasach jego garderoba była bardzo starannie dobrana, a dziś miał na sobie brązową sportową kurtkę i miękkie, wysokie do kolan, musztardowe buty. Wsunął słuchawkę pod podbródek, skrzyżował ramiona, oparł się o okno i obdarzył mnie kwaśnym uśmiechem.

— Powiem ci coś — oznajmił, kiedy skończył telefoniczną rozmowę. — Fielding powinien Bogu dziękować, że nie zdecydował się poświęcić muzyce, choć miał więcej talentu niż większość tych bałwanów, którymi się zajmujemy. Czy wciąż stara się uzyskać doktorat z filozofii?

31

Iconawca pjeśni folklorystycznych wytarł resztki jedzenia

brody i opowiadał o milionowej transakcji narkotykami awartej przez dwóch jego równie sławnych kolegów. Blondynka o wyglądzie angielskiej szlachcianki, która zawsze Dociągała Boba, otworzyła butelkę koniaku. Sherman wspierając się na łokciu, wybierał kawałeczki boczku z sałatki.

— Mój przyjaciel, ten po drugiej stronie stołu, chciałby usłyszeć pewną historię — powiedział.

Wspaniale — zachwycił się piosenkarz ludowy.

Pragnie, żeby mu przypomnieć osławionego Węża Boa

i jak tenże powitał mnie w szkole. Pierwszego dnia musieliśmy wypełnić odpowiednie formularze. W rubryce, w której miałem wymienić przedmiot, który mnie najbardziej interesuje, napisałem „finanse”. — Dziewczyna i śpiewak zachichotali. Sherman zawsze był dobry w opowiadaniu anegdot. — Wąż Boa był dyrektorem i kiedy ten mały, tłusty szczur o nazwisku Whipple, nauczyciel historii, pokazał mu moją ankietę, Wąż Boa, po wygłoszeniu przemówienia powitalnego do uczniów, zatrzymał mnie w swoim gabinecie. Zatrzymał jeszcze jednego małego chłopaka, ale tego zaraz odesłał. Ze strachu prawie robiłem w majtki. Wąż Boa wyglądał jak karawaniarz z Ivy League* albo najemny morderca wyższej kategorii. Siedział za biurkiem i uśmiechał się do mnie. Był to jednak uśmiech, jakim obdarza się kogoś, komu zamierza się obciąć jaja. „No, odezwał się, widzę, że jesteś komikiem, Sherman. Mnie to jednak nie wystarczy. Nie, to wcale nie wystarczy, ale dam ci szansę. Rozśmiesz mnie. Powiedz coś naprawdę zabawnego”. Zaciskał ręce. Nie

przychodziło mi nic do głowy. „Jakiż z ciebie rozbrajający chłopiec, panie Sherman, oświadczył, jak brzmi motto tej szkoły? Nie odpowiadasz? Alis volat propriis. Unosi się na własnych skrzydłach. Przypuszczam, że od czasu do czasu dotyka również ziemi. Takiego rodzaju chłopca chcemy tutaj. Taki nie rozgląda się za tandetną rozrywką, ani nie szuka rynsztokowej satysfakcji. Skoro jesteś zbyt wielkim tchórzem, żeby się odezwać, to ja ci coś powiem. Historię pewnego chłopca. Słuchaj uważnie. Kiedyś, dawno temu, pewien chło-Piec, który miał, zaraz, ile? czternaście lat, porzucił swój mały, ciepły, przytulny domek i poszedł w szeroki świat. Myślał, że Jest zabawnym małym chłopcem, ale w rzeczywistości był

Ivy League — grupa uczelni o wysokiej reputacji w północno--wschodnich stanach USA (Yale, Harvard, Princeton, Columbia itd.) (. tłum.).

2 - _

Kraina Cieni

33

Potwierdziłem.

— Może to śmieszne, ale gdy przed chwilą opierałeś się
0 okno, przypomniałeś mi Węża Boa.

— Naprawdę chciałbym teraz być na wyspie. Wąż Boa. -^
Roześmiał się głośno. — Laker Broome. Dlaczego o nim
pomyślałeś?

— Po prostu sposób, w jaki stałeś.

Usiadł i położył nogi na biurku.

— Ten facet powinien być przymknięty. Jest tam jeszcze?

— Zrezygnował parę lat temu... właściwie został zmuszony.
Dla niego nie pracowałbym. — Sam odszedłem właśnie stam-
tąd, po trzech latach uczenia angielskiego. — Nigdy dotychczas
nie pytałem cię, a może pytałem, tylko wyleciało mi z pamięci,
co Wąż Boa powiedział ci wtedy, tego pierwszego dnia? Kiedy
zatrzymał cię i Nightingala w gabinecie.

— Pierwszego dnia? — Uśmiechnął się szeroko. — Mówiłem
ci, ale zapomniałeś, stary draniu. Moja ulubiona historyjka ku
uciesze gości. Zapytaj mnie znów w sobotę wieczorem po
kolacji, jeśli zamierzasz przyjść.

Wtedy przypomniałem sobie—byliśmy w „norze” jego ojca, pewnego ciepłego dnia późną
jesienią, popyając mrożoną herbatę z wysokich szklanek z wypukłym napisem: Wesolej zabawy!

— Przyjdę choćby dlatego, aby to usłyszeć — powiedział
łem.

Zatrzymałem się w Nowym Jorku w drodze do Europy, a Sherman i Fielding byli jedynymi
osobami, z którymi chciałem się zobaczyć. Do tego Sherman był doskonałym kucharzem
1 jego przyjęcia zawsze były przygotowane z kawalerską
fantazją.

— Świetnie, świetnie — zapewnił mnie, ale chyba myślał
już o kłopotach, jakie sprawiają mu jego dwudziestoletni
geniusze. — Któregoś dnia widziałem na ulicy Toma Flanaga-
na. Wyglądał naprawdę osobliwie. Jakby miał ze czterdzieści
lat. To naprawdę dziwak. To co robi, nie ma najmniejszego
sensu. Produkuje się w jakiejś speluncie „Pod Czerwonym
Kapturkiem”, gdzieś w Brooklynie. — Sztuki kuglarskie staną

się znów modne, jeśli Glenn Miller przepłynie Kanał Panamski,
a miss Ameryki będzie miała...

— Zepsute zęby?

— Amputowane piersi — dokończył Sherman.

W sobotę wieczorem Sherman starał się, aby rozmowa po kolacji była ożywiona. Siedzący po
mojej lewej stronie sławny

32

?ac na pointę, a ja wiedziałem, że tę historię, którą teraz ?Lrzypomniałem sobie doskonale,
opowiadał już wiele razy.

Sherman uśmiechnął się do mnie.

Widzę, że to wszystko pamiętasz. Kiedy byłem już blisko
drzwi, ten sadysta za biurkiem wydeklamował: „Alis volat propriss, panie Sherman”. Na ścianie
przy wyjściu z gabinetu zobaczyłem wywieszoną tak, żeby każdemu rzucała się w
oczy, z napisem: Nie czekaj, aż staniesz się wspaniałym człowiekiem, bądź wspaniałym chłopcem.

— Bądź zapieprzonym sukinsynem — powiedział wykonawca ludowych piosenek, ale zmieszał
się, gdyż ja i Sherman śmialiśmy się. Blondynka śmiała się również. Sherman zawsze potrafił
rozbawiać kobiety. Już dawno dostrzegłem, że ta umiejętność w znacznym stopniu przyczyniała się
do jego sukcesów seksualnych.

Tom Flanagan i Del Nightingale, podobnie jak reszta chłopców, wzięli z kartonowego pudła
stojącego w drzwiach biblioteki czapeczki przysługujące nowicjuszom i zatrzymali się przez chwilę
u wejścia do szkoły, żeby je przymierzyć.

— Są chyba jednego rozmiaru, nie pasują na nikogo —
powiedział Tom. Czapeczki obu chłopców były dla nich o wiele za
duże. — Nie ma zmartwienia, jutro je wymienimy. W pudle
zostało jeszcze bardzo dużo. Ale czy wiesz, jak je się nosi? Ten
mały dziobek ma znajdować się o dwa palce powyżej nasady nosa.

Zademonstrował, jak należy włożyć czapeczkę. Nightingale starał się go naśladować.

— To tylko na pierwszy semestr — pocieszał Tom.

W istocie, w duchu, obaj cieszyli się, że mogą nosić te niedorzeczne czapeczki. Dla Toma
znaczyło to, że znalazł się w średniej szkole — na progu dojrzałości. Tom uważał średnią szkołę za
królestwo osobników będących prawie mężczyznami — przynajmniej uczniowie starszych klas
wyglądali dorośle. Dla Dela było to coś prostszego i łatwiejszego. Myślał o szkole, nie zdając sobie
jasno sprawy z tych myśli, jak o miejscu, które mogłoby stać się domem. W tej chwili pragnął,
bardziej niż czegokolwiek w świecie, zaprzyjaźnić się z Tomem Flaganem.

Oczywiście wcale nie mam pewności, że czternastoletni Del Nightingale żywił te uczucia, które
mu przypisuję. Z pew-

35

prostakiem i tchórzem, i wcześniej czy później czekał go marny koniec. Szedł przez miasto, robił
drobne figle, a ludzie śmiali się. Myślał, że śmieją się z jego żartów, ale oni śmiali się z jego
arogancji. Zdarzyło się, że król tego kraju przejeżdżał prze* miasto i chłopiec ujrzał jego złotą
karetę. Była wspaniała, wykonana przez najlepszych królewskich rzemieślników z prawdziwego
złota, a ciągnęło ją sześć okazałych rumaków. Kiedy karoca mijala chłopca, ten zwrócił się do
stojącego obok poczciwego obywatela i spytał: «Kim jest ten dureń w tym cudacznym wozie? Musi
być ciężki, skoro trzeba aż sześciu koni. Założę się, że zdobył bogactwo, łupiąc ludzi takich jak ja i
ty, bracie». Widzisz, jego interesowały «finanse». Oczekiwał, że zapytany roześmieje się, lecz ten
był przerażony. Wszyscy obywatele w tym kraju kochali, ale i bali się swego króla. Król usłyszał
uwagę chłopca. Zatrzymał powóz, rozkazał jednemu ze swych ludzi zsiąść z konia i zaprowadzić
małego zuchwalca do pałacu. Sługa chwycił chłopca i wrzeszczącego ciągnął przez ulice miasta aż
do siedziby króla, potem przez wszystkie komnaty pałacu, aż doprowadził go do sali tronowej. Król
siedział na tronie i spoglądał, jak służący popycha chłopca. Dwa dzikie psy na łańcuchach

stróżowały po obu stronach tronu, kłapały zębami i warczały. Chłopiec omal nie zemdleł z przerażenia. Psy, jak zauważył, nie tylko były dzikie, lecz również wychudzone i wygłodzone. «A więc, mój żartownisiu, albo mnie rozśmieszysz, albo umrzesz», oznajmił król. Chłopak tylko trzął się ze strachu. «Masz jeszcze jedną szansę, powiedział król, rozśmiesz mnie». Jednak chłopiec nie mógł wydobyć z siebie głosu. «Bierz go, Piszczel!», krzyknął ostro król. Pies z prawej rzucił się na chłopca, w mgnieniu oka trzymał jego prawą rękę między zębami. Król ponownie nakazał chłopcu zażartować. Chłopak zbladł. «Bierz go, Upiór!» Pies z lewej rzucił się i odgryzł lewą rękę chłopca. «Wi-dzisz, dokąd doprowadziły cię niesmaczne uwagi? Jedzcie, moje pieski» oznajmił król". Jedzcie, moje pieski — powtórzył Sherman potrząsając głową. — Mało brakowało, a byłbym upadł na podłogę i wyrzygał. Wąż Boa przyglądał mi się. „Wynoś się stąd”, rozkazał. Chwiejnym krokiem skierowałem się ku drzwiom i wtedy usłyszałem warczenie. Obejrzałem się. Wielkie, sakramencki doberman podnosił się z dywanu koło krzesła Broome'a. „Wynoś się!” wrzasnął Wąż Boa, a ja uciekłem z gabinetu, jakby gonili mnie wszyscy diabli. — O, cholera — wymamrotał śpiewak od folkloru. Przyjaciółka Shermana wpatrywała się w niego tępo, czeka-

34

Nie przejmuj się Ridpathem — odezwał się nagle
„oin — On zawsze wrzeszczy. Jest dość dobrym trenerem. Powiem ci, kto już znalazł się w kłopotach.

Kto? — spytał przestraszony Del, gdyż przypuszczał, że Tom ma na myśli jego.

Ten Brick. On się nie utrzyma. Założę się, że nie dotrwa do końca roku.

Czemu tak mówisz?

— Nie wiem dokładnie. Wygląda jakoś beznadziejnie, prawda? Jest taki niemrawy. A Ridpath już czepiał się jego włosów. Gdyby jego ojciec był w Zarządzie czy coś takiego, albo inni członkowie rodziny przedtem chodzili do tej szkoły... no, wiesz.

Flanagan szedł, jak to później uświadomił sobie Del, charakterystycznym „krokiem Carson”, lekko kołysząc ramionami z boku na bok, co powodowało, że krawat poruszał się jak wskazówka metronomu.

— Chyba tak — powiedział Del.

— Och, na pewno. Poczekaj, aż zobaczysz Harrisona... jest w niższej klasie. Harrison ma włosy takie same jak Brick, ale jego ojciec jest grubą rybą. W zeszłym roku sprezentował szkole piętnaście tysięcy dolarów na nowe wyposażenie laboratorium. No, gdzie jest ten dom?

Dela rozmarzyło upalne słońce. Świadomość posiadania nowej szkolnej czapeczki, przyjemność z towarzystwa Toma rozplynęły się w poczuciu pewnej nierealności. Zapomniał nawet dokąd idą.

— Och, następna ulica.

Doszli do rogu i skręcili. Delowi wydawało się nieprawdopodobne, że naprawdę tutaj mieszka.

— Pan Broome chciał z tobą rozmawiać — odezwał się Tom.

— Uhm.

— Przypuszczam, że twój ojciec musi być ambasadorem czy coś takiego.

— Mój ojciec nie żyje. I moja mama również.

— Ojej, jak mi przykro — powiedział Tom i zmienił temat.

Jego ojciec rozpoczął ostatnio otoczoną tajemnicą kurację Promieniami X i przebywał w szpitalu św. Marii. Hartley Flanagan był radcą prawnym, potrafił podnieść się na drażku

do wysokości brody dwanaście razy i grał w uniwersyteckiej drużynie w Stanford. Palił trzy paczki dziennie. — Pan Ridpath °ie jest taki zły, tylko nie za bardzo subtelny — obaj chłopcy roześmiali się — ale uważaj na jego synalka. Steve Ridpath, Pamiętam go z poprzedniej szkoły.

37

nością w ciągu pierwszych tygodni pobytu w Carson czuł się bardzo osamotniony. Znacznie później Tom powiedział mi, że Del potrzebował przyjaciela bardziej niż ktokolwiek inny. Nawet nie przypuszczałem, co świadczyło o mojej niedojrzałości, że ktoś może tak bardzo potrzebować przyjaciela. Na ogół, jeśli czegoś pragniesz, bezpieczeństwa czy uczucia, jeśli tego bardzo pragniesz, możesz być pewny, że tego właśnie nie otrzymasz. Nie mam pojęcia, dlaczego tak jest. To stwierdzenie dowodzi, że Tom był bardziej wrażliwy, niż wskazywałyby na to jego powierzchowność. Z rudymi włosami, krępa atletyczną budową ciała, w dobrym ubraniu, choć trochę wygniecionym, wyglądał, jakby chciał bezustannie trzymać w ręku piłkę do gry w baseballa. Jeszcze jedna cecha wyróżniała Toma Flanaga-na — jego solidność i stateczność. Wydawało się, że nie jest zdolny do udawania, do przybierania jakiejś pozy, po prostu dlatego, że nigdy nie odczuwał takiej potrzeby.

Sądzę, że Del Nightingale patrząc, jak Tom naciągał szkolną czapkę na czoło i dwoma palcami odmierzał jej odległość od nasady nosa, natychmiast go zaakceptował.

— Tej sztuczki, którą mi pokazywałaś, nie ma w mojej książce — powiedział Tom. — Chciałbym kiedyś zobaczyć, jak to się robi.

— Przywiozłem ze sobą dużo książek o kartach — wyznał Del. Nie śmiał powiedzieć nic więcej.

— Chodźmy zobaczyć je. Zadzwoń do mamy od ciebie. Miała przyjechać po mnie, gdy skończą się zapisy, ale przecież nie wiemy, kiedy się skończą. Jak dostaniemy się do twojego domu? Ktoś po ciebie przyjedzie?

— To niedaleko, można się przejść — powiedział Del. — To nie jest mój dom. Moi dziadkowie wynajęli go.

Tom wzruszył ramionami, zeszli z frontowych schodów, minęli Bulwar Świętej Róży i weszli w słoneczną aleję Pokoju. Szkoła Carson mieściła się na przedmieściu, gdzie wiązy i dęby rosnące wzdłuż chodników były stare i okazałe. Domy, które myśli, podobne były do domów, jakie Tom widywał przez całe życie — przeważnie długie, dwupiętrowe, zbudowane z białych kamieni albo z białego drewna. Niektóre miały werandy. Betonowe płytki, ze starości spękane w dziwaczne wzorki, tworzyły miejscami nierówny chodnik. W większych szczelinach wyrastała twarda, pospolita trawa. Dla Dela, który wychowywał się > w miastach i odległych o tysiące mil szkołach z internatem, wszystko to było nierzeczywiste, nieomal jak sen. Przez chwilę nie miał pewności, gdzie się znajduje ani dokąd idzie.

36

Tom wciąż zastanawiał się, czy ma podać rękę lokajowi, • kiedy Del poprosił o colę, zorientował się, że odpowiedni oinent minął. Rękę miał już jednak wyciągniętą, więc powiedział:

— Poproszę o colę, panie Copeland. Miło mi pana poznać.

Lokaj uściskał mu rękę, uśmiechając się szeroko.

Mnie również miło, Tom. Dwie coli zatem.

Będziemy w moim pokoju, Bud — odparł Del i po prowadził Toma w głąb domu.

Tekturowe pudła i skrzynie zapełniały salon. Kiedy przechodzili przez jadalnię, Tom zdziwił się, gdyż cały prawie pokój zajmował ogromny, prostokątny mahoniowy stół.

— Skoro niedawno wprowadziliście się, to dlaczego szukają

nowego domu? — spytał.

— Szukają czegoś większego. Chcą, żeby wokół był większy teren, może basen... Uważają, że to otoczenie jest dla nich zbyt podmiejskie, no więc chcą się przenieść na dalsze peryferie. — Poszli na piętro, jaśniejsze plamy na tapecie wskazywały, gdzie wisiały obrazy. — Nie chcą się nawet rozpakować. Nie znoszą tego domu.

— Nic mu nie brak.

: — Powinieneś zobaczyć, co mieli w Bostonie. Mieszkam z nimi od dawna. W lecie... — Spojrzał przez ramię na Toma z taką jminą, że Tom nie wiedział, czy oznacza ona nieufność, obawę, że obędzie zapytany, czy też pragnienie, aby go wypytywać.

— A w lecie?

— Wyjeżdżałem gdzie indziej. Ich posiadłość w Bostonie: była naprawdę ogromna. Bud też tam pracował. Zawsze był dla mnie miły. O, tu jest mój pokój. — Del zatrzymał się przy drzwiach i obrócił. Tym razem Tom nie miał kłopotu z odczytaniem wyrazu twarzy kolegi: była rozpromieniona radosnym oczekiwaniem. — Gdybym był staromodny, powiedziałbym coś w rodzaju: „Witaj w moim królestwie”. Wejdz, proszę.

Tom Flanagan wszedł do pomieszczenia, które z początku wydawało się całkowicie ciemnym pokojem. Z tyłu, za nim, zapłonęło nagle światło.

— Wiesz chyba, co mam na myśli — doszedł go piskliwy głosik Dela.

— Gorszy od ojca?

— Wtedy był o wiele gorszy. Może teraz jest sympatyczniejszy.

Tom wykrzywił usta i Del zrozumiał, że jego nowy przyjaciel wątpi w słuszność swej ostatniej uwagi.

— Zbił mnie kiedyś na kwaśne jabłko, tylko dlatego, że nie spodobała mu się moja gęba. Był w ósmej klasie, ja w piątej. Jeden nauczyciel widział to, a jednak nic mu nie zrobiono. Od tego czasu trzymam się od niego z dala.

— To ten dom — powiedział Del, wciąż nie mogąc nazwać go swoim. — Jak wygląda ten chłopak?

Tom zdjął czapkę, zwinął i wetknął do kieszeni.

— Steve Ridpath? Ma przydomek Szkielet. Ale nigdy nie mów tak w jego obecności. W ogóle, jeśli ci się uda, to nigdy nie do niego nie mów. Wchodzimy czy jak?

Drzwi otworzyły się i czarna mężczyzna w liberii odezwał się:

— Widziałem, jak szedłeś ze swym przyjacielem, Del.

U

W domu

— Szkielet... — powtórzył Del, potrząsając głową.

Tom Flanagan spoglądał na wysokiego Murzyna, który ich wpuścił. Był tak zaskoczony, że nie mógł przestać gapić się. Niewiele rodzin w tej zamożnej dzielnicy miało stałą służbę, ale Tom nigdy nie widział lokaja. Pierwsze wrażenie, że człowiek ten był w liberii, okazało się mylne. Lokaj nosił szary garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat w tym samym szarym odcieniu co ubranie. Uśmiechał się do Toma wyraźnie rozbawiony zdumieniem chłopca. Miał szeroką twarz, wyglądał młodo, ale jego krótkie kędzierzawe włosy srebrzyły się już na skroniach.

— Widzę, że panicz Del dobrze będzie radził sobie w tej szkole, skoro tak szybko znalazł przyjaciela.

Tom zarumienił się.

— To jest Bud Copeland — oznajmił Del. — Pracuje u moich dziadków. Bud, to Tom Flanagan z mojej klasy. Są w domu?

— Państwo Hillman wyszli obejrzeć mieszkanie — od powiedział lokaj. — Jeśli mi powiesz, gdzie będziecie, to wam coś przyniosę. Colę? Mrożoną herbatę? i

— Dziękuję — powiedział Del. * ~ »

38

#

Ridpath w domu

Chester Ridpath zaparkował swego czarnego studebakera na podjeździe i sięgnął nad siedzeniem po teczkę. Tak samo jak tapicerka samochodu, również teczka była parokrotnie naprawiana czarną maskującą taśmą, której poszarzałe ze starości końce odklejały się od rączki. Z trudem przełożył ciężką torbę na kolana — była wypchana papierzykami dotyczącymi meczów piłki nożnej, składanymi przez te wszystkie lata prawie od chwili, gdy kupił sobie samochód, podręcznikami, planami lekcji i okólnikami dyrektora. Laker Broome uwielbiał różne pisemka. Lubił kierować na odległość. Większość decyzji administracyjnych i dyscyplinarnych przekazywał za pośrednictwem Billy'ego Thorpa, który był nie tylko nauczycielem łaciny, lecz także zastępcą trzech kolejnych dyrektorów szkoły. Chester Ridpath uważał, że Billy Thorpe jest jedynym człowiekiem na świecie godnym szacunku.

Odetchnął głęboko, przeciągnął ręką po czole, wcierając pot we włosy i przyglądając zmierzwione loki. Wysiadł z wozu. Słońce piekło mocno. Teczka wydawała się napełniona kamieniami. Ridpath odnalazł pęk kluczy w którejś kieszeni, potrząsał nim, aż klucz od zamka znalazł się na wierzchu i wszedł do domu. Ochryple dźwięki muzyki — muzyki dla bydła — bombardowały uszy. Przypuszczał, że inni rodzice też mają w domu taki harmider, ale czy aż tak nieznośny? Steve, kiedy przyniósł adapter do domu, przekręcił gałkę natężenia dźwięku maksymalnie w prawo i tak już zostało. Z jego pokoju bezustannie dochodził dziki jazgot. Ridpath nie potrafił porozumiewać się z nim poprzez tę odrażającą barierę dźwięku, a zresztą wiedział, że Steve'a i tak nie interesuje rozmowa z ojcem.

— Jestem w domu! — zawołał i mocno trzasnął drzwiami. Jeśli Steve nie usłyszy krzyku, może poczuje, że się dom zatrzęsł.

W mieszkaniu od dawna panował wielki nieład. Ridpath nie zauważał już ani stosu brudnych koszul i swetrów walających się na schodach, ani tłustych plam na dywanie. Razem, z Margaret kupili ten kwiecisty dywan z myślą o przyszłym salonie dwadzieścia lat temu, kiedy nabyli dom. W ciągu piętnastu lat, od czasu gdy opuściła go żona, Ridpatha podświadomie cieszyło niszczenie ich wspólnego nabytku. Na dywanie dostrzegał miejsca, szczególnie przy jego fotelu i przed kanapką, gdzie niegdyś kolorowy deseń był ledwie widoczny. > _ 40

Na stosach brudnego ubrania leżały wycinki z różnych pism oraz całe strony z komiksów, które Steve wykorzystywał do robienia swoich „rzeczy”. Trudno było znaleźć na to inną nazwę. „Rzeczy” Steve'a zdobiły ściany jego sypialni. Obecnie Korea dostarczała Steve'owi obrazów, które wolał od innych. Obklejone ściany przedstawiały przerażone, krzyczące dzieci pogruchotane dziopy, rozdęte trupy w kapokach, a również czołgi zjeżdżające ze wzgórz ku szkołom z rosyjskimi pionierami (to dzięki czasopismu „Life”) i włochate monstra z horrorów

CZL „ -

ru (to dzięki ^ui^i/uiuu „uic ; i wiocnaie monstra z horrorów tulące gwiazdy filmowe z trupimi głowami. Ridpath od dawna nie wchodził do pokoju syna.

Postawił teczkę obok krzesła i usiadł ciężko, po czym gwałtownie ściągnął przez głowę krawat, nie rozwiązując go. Zdjął marynarkę, rzucił na podłogę i sięgnął po telefon stojący na półce.

— Ścisz to, do cholery! — wrzasnął i poczekał chwilę. Potem znów zawołał, jeszcze głośniej: — Na miły Bóg! Ścisz! — Muzyka przycichła prawie niezauważalnie. Wykręcił numer Thorpe'a.

— Billy? Chester. Właśnie przyszedłem do domu. Pomyślałem, że może chciałbyś dowiedzieć się czegoś o nowych chłopcach. Na ogół wygląda to dość dobrze, ale jest parę szczegółów, które mogłyby cię zainteresować. Powinniśmy uzgodnić swoje stanowisko, prawda? Przede wszystkim mam na widoku dobrego, naprawdę dobrego piłkarza. To mały Hogan. Trzeba go będzie trochę przypilnować w klasie... Nie, nic konkretnego, tylko odniosłem takie wrażenie. Nie chcę nastawiać cię źle do tego chłopaka, Billy. Po prostu trzymaj go w cuglach. Może być z niego prawdziwy lider. A teraz złe nowiny. Mamy coś wyjątkowego wśród nowo przyjętych. Chłopak o nazwisku Brick, Dave Brick. Włosy jak u Zulusa, więcej w nich smaru niż w moim samochodzie. Wiesz, co to zapowiada. Sądzę, że powinniśmy w tym wypadku stosować od razu sankcje dyscyplinarne, bo takie jedno nadgniłe jabłko może zepsuć całą resztę. Oprócz tego jest pewien mądrała, Sherman, zdążył już zachować się zuchwale, wypisał jakieś androny w ankiecie personalnej. — Zapamiętałeś te nazwiska? — Wytarł znów twarz i skrzywił się, patrząc na schody. Jak można przez cały dzień słuchać czegoś takiego? — Jeszcze jedno. Przypominasz sobie chłopca, którego przenieśliśmy z Andover, sierotę z dużym depozytem finansowym? Nightingale. Możemy mieć z nim kłopoty, Billy. Nie wykluczam, że z Andover chętnie się go pozbyli. Po pierwsze, jego wygląd... Podobny jest do Greka. To jakaś kreatura... Do diabła, Billy, nic

41

M I

— azozsaf

UIBZBMT1 ^B* Bf UUifeu

o^zsBJisazjd aiuxa\jarais ap azom -BUZ ara %mu qoA\io:pt '•M-9iaiv3s z

OM^SOUtU BJ^ 'IZpjaiMł UO 3(Bł 3IZBJ UIA"pZBV •.'

uiA"uzoixqnd BU ^BC BPBX3A\M. az 'ais IBMoiuauoz jpsndo PQ — DiusBpŁw qoi ais Bp aiu i BI fes 'B5[nizs fes ZBMaiuod i uiaiuazpnęz OJJXA":I 4

BS XZ03ZJ ajOpptU 32 'jTZpjaiA^J, DIZpBjz S

TUI pepip aiu a^B 'uBjjod uo aji 'sA^^zja ^j ^ł

Diąojz BUZOUi az 'jBizpaiM0d ~æ% atujadnzai^ Buods^a DBpfejSo I\3ZDVZ ^pai5['tfetAzid CI auwojs BU azjpui^D A^ oa^Bd ^sciupod PQ — '3\ C9UI IMCUI SIBJ, osiiSiCzsm otąojcz zsazoui 'BzpiM. po tos fap{stxci A\, i^n^zs oiaoj zsgBAod il?af — "PO -\|ą z atSBUi 5pAv axuBAVopiCoapz Bf axB 'zsiąoj af ^ azoui atu Tmn aupnjł ozpjsą fes ttenn BU a^iBdo i -am aoiuuiaiei w\oxuox {BIUSBC/CM uiaso^S UII>IOSXM UIIOMS Ajcm 'Bpd MoqjB3(S pcjSM r[BAvoznq yfodopp 5urzpoŚ zazjj npo^ IUIB3HSO31 1 &uki% Ao uianija^sBid z UDAUOIUOJZSO '^oi^osiOw M 5xoo uii jsoruAzjd

•5

p \
oofefnsajatuí fói M. az 'šis IUI aCep^jy^ zoiu 5AVOI3 |soxun x ?\sAui BU o|zsXzjd Tfi fal M
rai OD 'soo p uiamod aiB 'uia^s^ui aiu uiXl o ^CpSiN —
iA V B1IV —

jBtumpz — i X
šis

po •?•BUAVBP po UIBUI Xzoazj — nzBJt po uia^qopz O3USXZSAV atu 'ojsl foMj
apsTAufczoazj o^łS/CzsM ox OBZDBZ uiox tBjdazsKM — azjayw aiu d
po 'uiaiM aij>i
-ZOJ

araaiumjis

X OJBIUBJSBZ

az BS[SBX BUJBZO 'aruasap auzci '
BU

oq

o aizpaq a^o^zs M nsjoj ?BUJBS

AV 'uinuBM^B

BU^O 3Z

AV feixBUia

op T|

i nto5[od napojg; aotcd BU aofefots pizfei Cara M feozDzsaium x

' B{A*zjazDzs nuBgBjSojoj psu t5flod z aoqo nui A*{A"q , auuj oSaiuipnojj i 'jBpBjsod fejcnf
'aofeif M IHBJSOJOJ Z B,au -JBOS Buqof fBuzodzoa qoB>[uiBJ M agBjSojoj — fajSa
BU B 'BqatU BdBUI B5[[apW B{BTSIA\ UiaifZCJ pBU aiUBpS
Xzoazj qDi3[łSA'zsa\ o^zoBqoz iSoui ara 'aiłatA\ •yCuoiuinpz auuijSo jXq az 'uxA"; Bzod 'r OD
'^UA\ad ozpjBq aiu 'urój, {Btzpapwod — auilC4iux
iZSIISA"UI OO I OJJ — •IUIB.SOU BIUBjnZS SOjSpO O;
8

ais JBQ — 'auBpBjjnod AXq Xzoazj afoui ^qaz 'uia{spq3 "tuo j{Bf qoBl[qr[BA\ BU oBjfsajui
uiajBpqa atu ajB — ^UBA\OA\J(aiuzBJA^iW ZBjaj 'iarr ?iA\our — n™ r~ -j ojaidop ni uia^saf
fojfod foAis opsndo

šis nui ojBZjBpz 3[Bupaf oaiM y •aiq^Czs BU Ł^JBM I SOU jBzozsBjd -ZOJ aAajs BUXS
OB^sod Buoznqo/fAv |XzoBqoz aruBMi^azoo -ara f tuqon5{ op ffeujfjaz 'rcr[BiAiBq z
pzpoqo^Av Xparjf •iSui azsAaid ais BUZOBZ UITUBZ 'fóMozaizpofui aiUifenjp o oais^Cu f
jBisnj^ -oj[jniq 3POAVS JBIUI aizpS 'jop BU

'3IS JpOJAipO 3IB 'MOpOqOS 3UOJJS AV

'i5ou BU 5IS

azoa aizpaq 'uia(adjojq,

fatuu

qooA\p JBIUI B

tuj - qo^

ntiA"s UIIOMS o 9

fBpqo d\?i \SOIKM. uiapnzon z 35{AVBqonjs jisaiMpo BfBłSBjOp ojfqXzs Abdopp njfaiM
uiA ^ *3fOJ BU jpazsazjd ^paiłf 'sis jtuaiuiz ł[Bf 'zsXzDBqo2 "nł[oj mał M MClodojsf aizpaq atu
uia.aAaig az 'apsiA\A"zoo — ioaqoatu feufad 'felatdBu JBIUI ZJBMJ, jBqonjs axtMqo zazjj
•uraiifoua uiA z uiazBJ

f3U{Bfoads A\ oS uiajpsatuin 'oatM o^j ???atqos zBjqo^A\ JB^O fyoojj feui az ais jaMBU 1

\0s1eB AV AJBJ(aj JBUIXZJJ, ?" ?9tzptAvazjd ais Bp aiu A*pStu O8B\ az 'uiatM 'i[B} OšL

•oSaiJfB} to A"zo 3foqtqo stłfBf aiusoJAJw B5fBdojqD oSał z az 'aisXj\ [^•iB5[aj

urafBMOsfsnuojfS Bosfatui z -uazofi 'aiizonjzs feuBp

^ ^BJ^ '33[ZDnłZS tA\OUBSBUB[j[JBA\yfZB3IOd 3Z 'jBIZpatMOJ
s?oafod ZSBJ\| aoajotxqiq M AJBJ[JBIUI Ź[Bx ?'JB3[BIJE; Z
^ apez fe^zsajz UIBJ^ azpiA\ o; łfBj az 'azpBJOd aiu

— Jest magikiem?

— Najlepszym. Ale nie pracuje jak inni w klubach, teatrach i podobnych miejscach.

— To gdzie on występuje?

— W domu. Daje prywatne pokazy. Właściwie nie są to, naprawdę pokazy. On to robi przeważnie dla siebie. Trudno to zrozumieć. Może kiedyś będziesz mógł go poznać, to się zobaczysz

Del siedział na łóżku i patrzył na Toma, jakby żałował, że tyle powiedział. Duma z wuja wzięła górę nad jego skromnością i nieśmiałością. Tom uświadomił sobie samotność swego nowego przyjaciela.

— On nie chce, żebyś o nim mówił, o tym czym się zajmuje, Del z wolna skinął głową.

— Tak, z powodu Tima i Valerie.

— Twoich dziadków?

— Uhm. Oni go nie rozumieją, nie są w stanie zrozumieć, Prawda jest taka, że on jest trochę pomyłony. — Del przechylił się do tyłu i powiedział: — Zobaczmy, co potrafisz. Masz karty, czy weźmiesz moje?

Po latach Tom Flanagan opowiedział mi, jak to wtedy Del upokorzył go.

— Uważałem, że jestem dość dobry z kartami jak na moje czternaście lat. Kiedy mój ojciec zachorował, rzuciłem się na sztuki karciane z prawdziwym zapałem. Chciałem oderwać myśli od tego, co się działo. W ciągu miesiąca umiałem prawie na pamięć książki o kartach.

Byliśmy w lokalu „Pod Czerwonym Kapturkiem”, gdzie pracował Tom. Nie była to spelunka, jak utrzymywał Sher-man, ale też nic szczególnego.

— Wiedziałem — kontynuował Tom — że Del reprezentuje wysoką klasę, kiedy pokazał mi wszystko, co miał w pokoju. Posiadał wyposażenie zawodowca i zdawał sobie z tego sprawę. Spodziewałem się jednak, że dorównam mu przynajmniej w sztuczkach z kartami, a zwłaszcza w pokazywanych z bliska, które szczególnie lubił. Okazało się, niestety, że byłem gorszy od Dela. Wiedział z góry, co miałem zamiar pokazać i robił to szybciej i lepiej ode mnie. Nie był zwolennikiem oczywistych metod, czyli okłamywania widza. Del miał fantastyczną pamięć i ogromny dar obserwacji, a te cechy mają największe znaczenie dla właściwego manipulowania kartami. Del po prostu przyćmił mnie swoją błyskotliwością... zmiotł mnie za burtę. Nigdy nie widziałem kogoś równie zręcznego. Nie widziałem zresztą wiele, nim spotkałem Dela. 44

Del obrócił rzucającą słabe światło lampkę w stronę ściany • nokoju stało się jeszcze ciemniej.

Sypialnia Dela była równie ciemna i mroczna jak biblioteka, w której byliśmy przed poł-

powiniennem zadzwonić do mamy — odezwał się Tom. —

Zastanawia się pewnie, co się ze mną stało.

— Będziesz musiał zaraz iść? — spytał Del.

Mogę powiedzieć, żeby przyjechała po mnie za jakąś godzinę.

Jeśli chcesz. Ja oczywiście chciałbym, abyś jeszcze został.

— Ja również.

— Wspaniale. W sypialni obok jest telefon. Możesz z niego

skorzystać.

Tom skierował się przez hol do wskazanego przez Dela pokoju. Była to najwyraźniej sypialnia dziadków Dela. Kosztowne skórzane walizy wypełnione odzieżą leżały otwarte na nie posłanym łóżku, na krzesłach wznosiły się stosy różnych pudeł opatrzonych nalepkami. Telefon stał na nocnym stoliku, obok leżała książka telefoniczna, a na jej zielonej okładce były wypisane nazwiska i numery telefonów agentów sprzedaży nieruchomości.

Tom wykręcił swój numer, porozmawiał z matką i odłożył słuchawkę akurat w chwili, gdy usłyszał samochód wjeżdżający na podjazd. Podszedł do okna i ujrzał wielkiego, szarego jaguara zatrzymującego się przed drzwiami garażu.

Dwoje ludzi wysiadło z auta. Ich miny wskazywały, że kłócili się przed chwilą. Mężczyzna był postawnym blondynem, rumianym na twarzy, o przyjemnych, mocnych rysach. Miał na sobie dość kolorową marynarkę z madrasu. Kobieta, również blondynka, ubrana w lekką niebieską suknię, też była poirytowana. Miała ścięty wyraz twarzy. Kiedy weszli do holu, rozległy się ich Podniesione głosy. Nazwisko Buda Copelanda powtórzyło się kilkakrotnie. Mówili z bostońskim akcentem. Del z pewnością zauważył powrót dziadków, lecz nie sprowadził Toma na dół i nie przedstawił go im. Wobec tego Tom wrócił do królestwa magii.

Kiedy przyjechała matka, Tora prowadzony przez Buda. Copelanda zszedł schodami do drzwi frontowych. Tim i Valerie "illmanowie stali ze szklankami w dłoniach w salonie, ale lawet nie odwrócili głów, by na niego spojrzeć. Bud Copeland °tworzył drzwi i wychylił się za Tomem.

~~ Bądź dobrym przyjacielem dla naszego Dela — powiedział miękko.

45

Tom skinął głową, a potem odruchowo wyciągnął rękę. B^ Copeland uśmiechając się ciepło, uścisnął ją. Wyraz uznani-przemknął po twarzy lokaja.

— Widzę, że Flanaganowie z Arizony są dżentelmenami v powiedział. — Uważaj, Red.

W samochodzie matka odezwała się:

— Nie wiedziałam, że ten dom sprzedano murzyńskie rodzinie.

„Uważaj, Red”.

Tom nocą

W swoim śnie, który w pewien sposób był związany z Budern Copelandem, Tom obserwowany był przez sępa, sam nie patrzył na ptaka, lecz na rosnące na piasku niskie zarośla. Od czasu do czasu widywał te groteskowe ptaki na dachach opuszczonych domów. Sęp przypatrywał mu się z nieznośną, irytującą akceptacją, wszystko bowiem o nim wiedział. Nic nie mogło zaskoczyć sępa; ani upał lub mróz, ani życie czy śmierć. Sęp wszystko przyjmował z pokorą. Wiedział, że świat toczy się i będzie się toczył swoim trybem.

Ten sęp był sępem w średnim wieku. Pióra miał zatłusz-czone, a dziób pociemniały, Zjadł swego ojca i teraz będzie go trawił. Nic tego procesu nie powstrzyma. Świat toczy się dalej, a on pożera to, co mu się nadarzy. Sęp jest przykładem ekonomii natury. Taki też był jego ojciec, z którego pozostał jedynie szkielet zwisający z drzewa. Sęp przemienił go w paliwo.

Obrzydliwe ptaszysko podskakiwało na szponiastych łapach i badawczo przyglądało się Tomowi. W pewnej chwili ptak odezwał się do chłopca. Wydawał tony takie, jak wąż, szczur albo nietoperz — szybkie i przenikliwe, nie do pojęcia. Tom wiedział, że musi zrozumieć, co mówi sęp. Z wielką uwagą przysłuchiwał się tym szybkim dziwnym dźwiękiem, zanim mógł zacząć rozszyfrowywać ich znaczenie. Miał nadzieję, że nigdy już ich więcej nie usłyszy.

Sęp obojętnie podniósł głowę, odwrócił się i począł od chodzić w kierunku pustyni. Wydawało się, że Tom znaczy dla niego tyle, co bylica czy juka. Wokół niego drgało rozgrzane powietrze. r

IOS-

wokół

pustyni. . Powietrze było

^^

wśród

Dalej, poniżej, jakis m^<sz.y^ia. „, ^Ł_o...,, „, miarowy, obojętny krok sępa. Oddalał się od chłopca, nie zwracając na niego uwagi. Sylwetka jego stawała się niewyraźna aż zniknął za dużym głazem, po chwili wyłonił się znowu, a potem z miejsca, gdzie był mężczyzna, poderwał się ogromny nieokreślonego koloru ptak i bezgłośnie uderzając skrzydłami, wzbiał się do góry.

Tom zbudził się, mając pewność, że jego ojciec nie żyje. Czuł potrzebę, aby natychmiast pójść do sypialni rodziców i sprawdzić. Serce tłukło mu się w piersi z bólu i rozpacz. Odrzucił nakrycie i przez ciemny pokój skierował się ku drzwiom. Jęknął, wiedział, że zaraz zacznie płakać lub krzyzczeć. Ciemność była wroga, przerażająca. Wysunął się z pokoju i przeszedł przez hol.

Drżąc, dotknął klamki drzwi do sypialni rodziców. Z trudem powstrzymywał krzyk. Zamknął oczy i delikatnie popchnął drzwi. Potem otworzył oczy i wszedł do środka. Oddychał tak ciężko, że aż zbudziła się matka. Leżała sama w wielkim podwójnym łóżku. Prześcieradło po stronie ojca było gładkie,

nie pogniecione.

— Tom? — odezwała się.

— Tatus.

— Och, Tommy, jest w szpitalu. Na badaniach. Nie pamiętasz? Wróci jutro. Nie martw się, Tommy. Wszystko będzie dobrze.

— Miałem koszmarne sen — usprawiedliwił się ochrypłym głosem i poczłapał do własnego łóżka.

10

Poez.ia

y b wiedzyO.

Przed południem następnego dnia kiedy V* Pojechała do szpitala odebrać męża, Tom p.-inapisał pierwszy i ostatni wiersz w swoim zya dlaczego ni stąd, ni zowąd nagle zapragnął P^^^odS nie czytał wierszy, ledwie wiedział, jak wygląda^J. c^ciaz kiedyś w szkole musiał nauczyć się na pamięć morahzator

skigo wierszyka:

47

stniczyć w modlitwie inaugurującej nowy rok szkolny. Pan groome, pani Olinger oraz wysoki, siwy mężczyzna o pociągłej, surowej twarzy, wyglądający na prezesa banku, siedzieli przed nami na krzesłach z oparciem z drewnianych prętów w kształcie wachlarza. Po prawej stronie stała mównica.

Kiedy obejrzałem się, zobaczyłem, że pan Weatherbee dołączył do grupy nauczycieli zgromadzonych pod tylną ścianą sali- Pomiedzy przechadzającymi się nauczycielami i naszą klasą zajmowała miejsca reszta szkoły: uczniowie drugiego roku tuż za nami, potem juniorzy, a w ostatnich rzędach seniorzy. Zauważyłem, że prawie każdy chłopiec miał na sobie niebieską zapinaną na guziki koszulę, gustowny krawat w paski i marynarkę. Wielu chłopców było w garniturach. Przywileje chroniły ich jak futerał, izolowały jak zbroja. Wyraz ich twarzy nasuwał

przypuszczenie, że nigdy niczego nie będą traktowali poważnie. Po raz pierwszy w życiu dostrzegłem prawdę w starym porzekadle, że bogaci są przystojniejsi.

Pan Broome wstał i podszedł do mównicy. Ogarnął wzrokiem pierwsze rzędy, a potem przybrał wyraz twarzy energicznego, suchego urzędnika administracyjnego.

— Chłopcy, rozpoczniemy modlitwą.

Rozległo się przesuwanie krzeseł, szuranie nogami, po czym setka chłopców upadła na kolana.

Daj nam mądrość, byśmy wiedzieli, co jest słuszne, daj nam zrozumienie, byśmy poznali, co jest dobre. Dozwól nam osiąść wiedzę i korzystać z niej tak, abyśmy stali się lepszymi ludźmi. Daj nam przeżyć ten nowy rok szkolny z nadzieją, w pilności i w karności oraz z wciąż wzrastającym zapałem do pracy. Amen.

Dyrektor uniósł wzrok ku górze i rozpoczął przemówienie:

— A więc, zaczynamy nowy rok. Co to oznacza? Oznacza to, że wam, chłopcy, postawimy pewne wymagania. Zażądamy, żebyście usilnie pracowali i wyczerali swoje władze umysłowe. College jest coraz bliżej was, lecz college nie jest dla leniwych. Dlatego nie będziemy tolerować próżniactwa. Weźcie sobie to do serca, zwłaszcza wy, seniorzy, będziecie bowiem musieli w tym roku pokonać wiele przeszkód. Nasza szkoła jednak nie usiłuje kształcić intelektu kosztem ducha. Jestem przeświadczony, że duch ten objawia się przede wszystkim we własnym zrozumieniu sensu szkoły, jej ducha. Niektórzy z was nie dotrważą do końca roku i nie zawsze przyczyną tego będzie głupota. Możecie, musicie manifestować tego ducha szkoły w swoim zachowaniu, w swojej klasie, podczas zajęć i w występach sportowych, we wzajemnych stosunkach, wykazując

49

Ten, który nigdy nie powiedział sobie, Oto moja ojczyzna, mój rodzinny kraj, Ten już za życia jakby leżał w gTobie.

Napisane przez niego linyki wydawały się tak niepodobne do prawdziwej poezji, że nawet nie trudził się, aby znaleźć dla nich tytuł.

Oto, co napisał:

Człowieku w powietrzu, czy unosisz się na własnych skrzydłach?
Zwierzęta i ptaki do ciebie mówią, a ty, w powietrzu, rozumiesz je.
Futbol, magia, sny dręczące,
które pamiętam; jedne karty zabijają drugie karty
i wszystkie rozrzucone po dolinie.

Człowieku w powietrzu, czy byłeś tym ptakiem, który jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej rozpląnął się w ciemności?

Człowieku w powietrzu, weź mnie znów za syna. Teraz, kiedy ty i ja, i on mamy jeszcze czas.

W dwa lata później z największym wysiłkiem starał się spłodzić poemat zadany przez pana Fitz-Hallana na lekcji angielskiego i doszedł do wniosku, że nie jest w stanie napisać choćby słowa, nawet gdyby wykorzystał wskazówki nauczyciela. „Możesz każdą lirykę zacząć tym samym słowem. Możesz w każdej linijce wymienić jakąś barwę. Możesz zakończyć każdą linijkę nazwą innego kraju”. Wydobył zatem z biurka swój stary wiersz i w rozpacz oddał go profesorowi. Otrzymał ocenę A i uwagę: Wiersz cechuje wrażliwość i dojrzałość. Musiałeś włożyć wiele trudu, aby go napisać. Nie masz pomysłu na tytuł? Chciałbym umieścić go w szkolnej gazetce, jeśli się zgodzisz.

Pod tytułem Kiedy wszyscy żyliśmy w lesie ukazał się w zimowym wydaniu szkolnej gazetki.

Trele-morele

W wielkim audytorium, położonym poniżej refektarza i naszej klasy, zapełniliśmy dwa pierwsze rzędy miejsc, żeby ucze-

48

Zrozumiano? Jeśli senior zada jakieś pytanie, macie zwrócić się do niego po nazwisku i odpowiedzieć. Jeśli zastosujecie się do tych zasad, będzie to dobry początek.

— Czy to wszystko? — spytał pan Thorpe. — Jeśli tak, możesz odejść.

Teagarden zabrał stos książek z biurka Thorpa i szybko opuścił klasę. Thorpe w dalszym ciągu patrzył na nas, ale dobroćliwość zniknęła z jego spojrzenia.

— Dlaczego to wszystko jest takie ważne? — zapytał, lecz nikt nie kwapił się z odpowiedzią. — Co dziś rano na modlitwie szczególnie podkreślił pan Broome? No?

Jakiś chłopiec, którego nie znałem, podniósł rękę i powiedział: — Ducha szkoły, panie profesorze.

— Dobrze. Ty jesteś... Hollingsworth? Dobrze, Hollingsworth. Słuchałeś z uwagą. Reszta musiała pewnie spać. W czym objawia się ten duch szkoły? W stawianiu szkoły na pierwszym miejscu. W stawianiu siebie na drugim miejscu, za szkołą. Wy jeszcze nie wiecie, jak to robić. Miles Teagarden już wie. Dlatego jest przewodniczącym klasy. — Wstał i oparł się o tablicę. Był bardzo wysoki. — A teraz zajmijmy się waszym wyglądem. Spójrzcie na siebie... Tylko... popatrzcie... na siebie. Niektórzy już nawet nic zobaczyć nie mogą, gdyż długie, brudne włosy opadają im na czoło. Wyglądacie nie dbale, chłopcy. Niedbale. To jest nieprzyzwoite. Jest obraźliwe. Jeśli będziecie obrażać seniorów swoim zaniedbanym wyglądem, to wam tego nie przepuszczą. Ta szkoła nie jest łatwa. O, nie! — Ostatnie słowa wprost wykrzyczał, aż podskoczyliśmy na krzesłach. — Nie! to nie jest łatwa szkoła. Musimy was przekształcić, chłopcy. Wymodelować. Zrobić z was chłopców naszego pokroju. W przeciwnym razie będziecie potępieni. „Potępiony” jest to przymiotnik oznaczający tego, kogo czeka zły los lub zagłada. „Zagłada” to rzeczownik oznaczający to, co ginie, rozpada się, zamienia w ruinę, ulega unicestwieniu. Będziecie skazani na unicestwienie, jeśli nie skorzystacie z moralnej nauki, jaką daje wam ta szkoła.

Thorpe głośno wciągnął powietrze przez nos, pogładził dłonią proste, siwe włosy. Wrzał ogniem namiętności. Takie zastraszające nas występy były dla niego typowe.

51

prawość, wykazując poświęcenie. Będziemy to traktować jako sprawdzian. Zapewniam was nowi i starsi uczniowie, że bez wahania będziemy eliminować tych, którzy zawiodą nasze nadzieje. Znajdzie się dla nich miejsce w innych szkołach. My ich tolerować nie będziemy. To uczeń wykazuje braki, nie szkoła. Otwieramy wam świat, panowie, ale musicie okazać się tego warci. To wszystko. Najpierw, proszę, wychodzą seniorzy. — Trele-morele — wymamrotał mi do ucha Sherman, kiedy podnieśliśmy się z miejsc. s>*

Tym wysokim, siwym, podobnym do bankiera mężczyzną, który siedział obok pana Broome'a, był pan Thorpe. Kiedy weszliśmy do jego pracowni, znajdował się już przy biurku. Znaleźliśmy się w małym, wykładanym boazerią pokoju w starej części szkoły. Jakiś chłopiec z gęstą blond czupryną, w ciemnych okularach, stał koło nauczyciela. Najwyraźniej rozmawiali, ale zamilkli, kiedy zajęliśmy swoje miejsca.

Pan Thorpe powiedział:

— To jest Miles Teagarden, senior. Zajmie nam parę minut, aby udzielić wyjaśnień dotyczących inicjacji pierwszoklasistów. Słuchajcie go uważnie. Jest on przewodniczącym klasy, jednym z prymusów w tej szkole. Proszę rozpoczynać, panie Teagarden. — Thorpe rozparł się na krześle i spoglądał na nas dobrotliwie.

— Dziękuję, panie profesorze — skłonił się senior. — Inicjacja pierwszoklasistów nie jest niczym, czego należy się obawiać. Jeśli będziecie znali materiał i włączyli się w arkana wiedzy, to świetnie. Macie swoje czapeczki i rozkład zajęć. Noście czapeczki cały czas poza klasą i poza szkołą, nim wrócicie do domu. Noście czapeczki w czasie gier sportowych i zebrań towarzyskich. Do wszystkich seniorów mówcie pan. Zapamiętajcie nasze nazwiska, to konieczne. Nauczcie się pieśni i innych informacji zamieszczonych na wręczonych wam drukach. Jeśli zdarzy się, że seniorom upadną książki na podłogę, macie je podnieść. Macie je zanieść tam, gdzie wam każe. Jeśli senior stoi przed drzwiami, macie zwrócić się do niego po nazwisku i otworzyć mu drzwi. Jeśli senior powie wam, żebyście zawiązali mu sznurowadła u butów, zawiążecie mu je i podziękujecie za wyróżnienie. Macie robić wszystko, co każe senior. Natychmiast. Nawet jeśli wyda wam się to śmieszne.

50

przed Delem Nightingale'em, a inny starszy uczeń nazywający się Hollis Wax ściąga Dave'emu Brickowi z głowy czapeczkę. Trzech lub czterech pozostałych seniorów popatrzyło na nas.

Uśmiechnęli się do Hollisa Wixa — nie był on wyższy od Dave'a Bricka — i poszli swoją drogą.

— Jakie mam nazwisko? — spytał Steve Ridpath.

Powiedziałem mu.

— A jakie ty masz, robaku?.

Powiedziałem, jak się nazywam.

— Podnieś moje książki. — Upuścił na podłogę cztery ciężkie podręczniki i plik papierów, które miał pod pachą. — Pośpiesz się, ofermo. Zaraz mam lekcję.

— Tak, panie Ridpath — powiedziałem i schyliłem się. Stał tak blisko, że musiałem wcisnąć się tyłem do swojej szafki, żeby móc podnieść te książki. Kiedy wyprostowałem się, patrzył mi prosto w oczy.

? — Ty gówniarzu — wysyczał.

i Powód, dla którego otrzymał swoje przezwisko, stał się dla mnie wyraźniejszy niż dotychczas. Szkielet Ridpath był niezwykle chudy, wyglądał jak strach na wróble — ręce tonęły w za szerokich rękawach, cienka szyja wystawała ze zbyt obszernego kołnierzyka. Naciągnięta na czaszce skóra twarzy była prawie biała, jedynie pod oczami rysowały się sflaczałe worki. Nad tymi szarosinymi workami świeciły wyblakłe oczy koloru starych, wytartych dżinsów. Brwi miał ledwo zaznaczone, srebrnobrązowe, nie miał wąsów, które zapewne nie zdołały wyrosnąć na tak anemicznej skórze. Między nami unosił się ostry zapach wody kolońskiej Old Spice.

— Zababrałeś moje sprawozdanie! — wrzasnął i podsunął mi pod nos jakiś złożony arkusz. — Pięć pompek, natychmiast!

— Do diabła, Steve — wtrącił się Hollis Wax. Rzuciłem ukradkiem wzrokiem i zobaczyłem, że „magluje” Dave'a Bricka, który stał wyprężony z łokciami przywartymi do tułowia, a na wyciągniętych przedramionach trzymał stos książek Waxa.

— Zamknij się. Pięć. Natychmiast.

Okrążyłem Ridpatha i zrobiłem na korytarzu pięć pompek.

— Kto był pierwszym dyrektorem, pacanie?

— B. Thurman Banter.

— Kiedy założył szkołę i jak się wtedy nazywała?

— Założył Akademię Lodestar w 1894 roku. — Podniosłem Się.

— Ty pryszczu! — zasyczał wykrzywając się. Potem wyciągnął długą, małą rękę i przyłożył mi pięścią w tył głowy, aż

i

13

Nauczyciele

ii

I ',,'.

Po upływie pierwszych tygodni osobowości naszych nauczycieli stały się dla nas wyraźne jak gwiazdy na niebie, a ich dziwactwa stałe jak pozy marmurowych posągów. Pan Thorpe krzyczał i tyranizował nas, pan Fitz-Hallan czarował, pan Whipple niezdolny wzbudzić w nas ani strachu, ani sympatii miotał się, czym sprawił, że jedynie pogardzaliśmy nim. Pan Weatherbee okazał się nauczycielem z powołania i po mistrzowsku wprowadzał nas w tajniki algebry. (Dave Brick niespodziewanie błysnął talentem matematycznym i ostentacyjnie nosił suwak logarytmiczny w skórzanym futerale przypiętym do paska). Thorpe potrafił każdego zmrozić i onieśmielić. Fitz-Hallan, który pochodził z bogatej rodziny, oddawał całą pensję szkole i dzięki temu zyskał przywilej dobierania przedmiotu wykładu wedle swej woli — czytaliśmy braci Grimm Bajki domowe, Odyseję, Wielkie oczekiwania i Przygody Hucka oraz utwory E. B. White'a. Whipple był tak leniwy, że przeważnie kazał na lekcjach czytać na głos teksty z podręcznika. Naprawdę interesował się tylko sportem i chętnie współdziałał na tym polu z Ridpathem.

Nie byliśmy w stanie wyobrazić sobie ich życia poza szkołą. Na tańcach widywaliśmy wprawdzie ich żony, ale trudno nam było uwierzyć w ich istnienie. Ich mieszkania były dla nas również tajemnicze. Podobnie jak my mieli wiele zajęć i obowiązków. Ich domem był stary budynek szkolny, nowoczesna dobudówka czy pawilon.

14

Opuściliśmy właśnie klasę Fitz-Hallana, kiedy grupka seniorów wyszła z sąsiedniej sali po lekcji francuskiego. Bobby Hollingsworth wskazał po nazwisku starszych chłopców tym z nas, którzy byli nowi w szkole. Większość z tych nazwisk znałem. Spoglądali na nas z wyższością, gdy zabieraliśmy książki ze swoich szafek i czułem, że coś knują. Marudzili, dopóki Fitz-Hallan nie zniknął w swoim gabinecie. Steve Ridpath stanął na wprost mnie. Musiałem spojrzeć do góry, żeby zobaczyć jego twarz. Niewyraźnie uświadamiałem sobie, że przewodniczący klasy o nazwisku Terry Peters stoi

52

reprezentacja przegrała swój pierwszy mecz. Z naszej grupy tvlk° Chip Hogan zdobył jedną bramkę. Ostateczny wynik był 2:17- Podczas czterech treningów po tym meczu, pan Whipple oraz pan Ridpath ćwiczyli z nami z szaleńczym zapałem różne oodania i zagrywki. Sherman i ja nie znosiliśmy tej odmiany futbolu i nie mogliśmy się doczekać, kiedy zaczniemy grać w prawdziwą piłkę nożną. Morris Fielding nie miał specjalnych zdolności, ale spisywał się dzielnie jako rezerwowy środkowy gracz w ataku, jego zacięta wytrwałość zjednała mu Ridpatha. Del, który ważył niewiele ponad dziewięćdziesiąt funtów, był zupełnie bezradny. Wszyscy w kombinezonach z ochraniaczami wyglądaliśmy jak nadmuchi powietrzem, a Del przypominał komara obciążonego workami z piaskiem. Wszystkie ćwiczenia męczyły go, a po biegu przez obręczę i wykonaniu pięćdziesięciu podskoków z przysiadem ledwo ruszał nogami. Po skokach z przysiadem Ridpath uszeregował nas przed urządzeniem do bicia bałwana. Była to ciężka metalowa rama jak sianie na rolkach z dwoma słupkami na przodzie wyścielonymi grubo niczym worki treningowe. Staliśmy w dwóch rzędach i kolejne pary rzucały się na słupki, żeby przesunąć bałwana. Chip Hogan i trzech inni chłopcy zdołali go tak mocno popchnąć, że aż podjechał na swoich płozach do góry. Morris Fielding i ja posunęliśmy go do tyłu o dwie lub trzy stopy. Kiedy Tom Flanagan i Del uderzyli, urządzenie zachwiało się gwałtownie. Obaj chłopcy przewrócili się.

— Doprowadźcie wszystko do porządku i powtórzcie ćwiczenie — nakazał pan Ridpath. — Odepchnijcie do tyłu! — krzyknął.

Flanagan i Nightingale ustawili właściwie ciężkie i nieporęczne urządzenie. Rzucili się półtora kroku do przodu i ponownie zaatakowali słupki. Znow większy wysiłek Toma sprawił, że słupek po jego stronie zadrgał i zachybotał się. Del upadł.

— Co z tobą u diabła, Florencjo Nightingale?! — ryknął Ridpath.

Florencja. Absurdalne, wiktoriańskie imię. Ridpath śmiał się ze swego pomysłu i my wszyscy też śmialiśmy się — Del został ochrzczony. W tym momencie pojawił się Whipple, czerwony na twarzy, w aksamitnej sportowej marynarce, więc Pan Ridpath pobiegł przez pole, tam, gdzie szkolna drużyna reprezentacyjna rozpoczynała gimnastykę rytmiczną. Zmiana trenerów nastąpiła jednak dla Dela za późno.

— Stań mi na ramionach, Florencjo, przesunę za ciebie! — zawołał muskularny, sympatyczny chłopak o nazwisku Pete Bayliss. I to przypieczętowało nowe imię Dela.

mi świeczki stanęły w oczach. Kłykcie miał ostre jak igły. Ten cios wcale mnie nie zdziwił, bo widziałem w jego oczach tępą nienawiść. Przekrzywił głowę i patrzył na mnie rozradowany. — Chodź! Muszę odrobić lekcje. Po paru krokach zatrzymaliśmy się.

— Kto to ten dziwaczny grubas, Waxy?

— Brick — odpowiedział Wax,

Dave Brick był cały spocony, czapeczka opadła mu na oczy.

— Brick. Jezu. Spójrzcie na niego. — Ridpath uchwycił fałdę skóry pod podbródkiem Bricka i skręcił kościstymi paluchami. — He książek jest w bibliotece, Brick? Jak się nazywam, Brick? — Dźgnął go palcem w policzek i mocno nacisnął. — Nie wiesz, co, grubasie?

— Nie, proszę pana — odpowiedział Brick, prawie łkając.

— Panie Ridpath. Tak się nazywam, głupi ośle. Zapamiętaj

to sobie, Brick. Brick Śmierdziel. Obetnij sobie lepiej swoje murzyńskie kudły, Bricku Śmierdzielu. Jest w nich więcej tłustego smaru niż w samochodzie.

Stojąc obok z jego książkami, dostrzegłem, że w naszą stronę idzie Tom Flanagan i Bobby Hollingsworthi. Zatrzymali się przy wejściu do refektarza.

— Kto to ta mała gnida? — Ridpath spytał Terry'ego Petersa.

— Nightingale — odparł Peters z głupim uśmiechem.

— Och! Nightingale — zawołał śpiewnie Ridpath. — Powinienem wiedzieć. Wyglądasz na cholernego małego Greka, co, Nightingale? Mały szuler z ciebie, co, Nightingale? Będę musiał później zająć się tobą, ptaszku. To byłoby dobre dla ciebie imię, słyszałem, jak szczebioczesz. — Wydawał się bardzo podniecony. Znów zwrócił do mnie swoją upiorną twarz. — Chodź, ofermo. Do diabła, daj mi te książki! — Pobiegł razem z Petersem i Waxem refektarzem w kierunku starej części gmachu.

15

Dave Brick skazany był na nieprzyzwoity przydomek, którym obdarzył go Szkielet Ridpath, pomysł na przezwisko Dela Nightingale'a został jednak zmieniony. Stało się to w czasie treningu piłkarskiego w pierwszy piątek października, wieczorem. Del, Morris Fielding, Bob Sherman i ja siedzieliśmy na ławce razem z kilkoma innymi chłopcami z pierwszego i z drugiego roku. W ubiegłym tygodniu nasza młodzieżowa

54

Hej, Szkielet, co do cholery wyrabiasz? — spytał zdumiony Twój stary będzie tu lada chwila.

Nie znoszę tych wypierdków — powiedział Szkielet z wyrazem obrzydzenia na brudnej, pokiereszowanej twarzy i odwrócił się.

Drzwi zewnętrzne otworzyły się i zatrzasnęły. Dotarł do nas głos pana Whipple'a:

— ...młodzi muszą jeszcze popracować i niech Hogan znaj-(jzie te słuchawki...

Bryce Beaver potrząsnął głową i zaczął wycierać nogi.

Pan Ridpath i pan Whipple weszli do szatni, wnosząc ze sobą powiew świeżego powietrza, który zaraz zresztą się rozplynął. Zauważyłem, że pan Ridpath z wielkim wysiłkiem starał się utrzymać uśmiech na twarzy, gdy spojrzął na swego syna.

16

W dwa tygodnie później, kiedy zespół młodzieżowy rozgrywał ćwiczebny mecz z rezerwową drużyną seniorów, zauważyłem, jak Tom Flanagan parokrotnie powalił na ziemię Szkieleta Ridpatha, nawet kiedy gra toczyła się po drugiej stronie boiska. Gdy zdarzyło się to po raz trzeci, Szkielet kopnął Toma w twarz. Tom Flanagan nie pozostał mu dłużny i przewrócił tak brutalnie, że aż na ławkach podniosły się głosy.

— Dobre zagranie! Wspaniale! — krzyczał pan Ridpath. — To się nazywa werwa!

17

Sobota o północy — dwie sypialnie

Obaj chłopcy leżeli w pokoju Dela na osobnych łóżkach i rozmawiali po ciemku. Dziadkowie Dela tak hałasowali, że trudno im było zasnąć. Tom słyszał, jak Tim Hillman co jakiś czas krzyczał: „Suka! Suka!” Oboje byli pijani, Tim bardziej niż Valerie. Bud Copeland nakrył chłopcom stół w kuchni.

— Mamy dziś kłopoty — powiedział. — Idźcie wcześniej do łóżek, koledzy, i zatkajcie sobie uszy. To jednak na nic nie mogło się przydać. Od wrzasków Tima i równie gwałtownych odpowiedzi Valerie trząsał się cały dom.

57

i

ara

BU

d

Bzsnmz az

-oatofa

auoodazad

ze wnikają mu pod skórę, że wdierają się pomiędzy i łóżko, unoszą jego ciało i pozwalają mu płynąć w powietrzu.

Szkielet wiedział, że stanowi kawałek wszechświata i że nienawiść, która jest jego najtrwalszą i najlepszą częścią, nrzeszywa wszechświat jak stalowy oścień. Szkielet też widywał pustynne sępy i wstęgi jaskrawych kolorów na pustynnym niebie i widział jak piaski płonęły purpurą, gdy zapadał zmierzch. Nawet mając jałowe i nieudane dzieciństwo wiedział, że takie rzeczy istnieją i że mogą poruszyć te same struny, na których grają uczucia gniewu kłębiące się w jego ciemnej głębi. Każdy człowiek jest zabójcą — o tym Szkielet wiedział. W każdym liściu, w każdym ziarnku piasku tkwi zabójca. Jeśli dotykasz drzewa, czujesz, jak pulsuje w nim czarna fala płynąca z głębi ziemi i poprzez korę przenika w powietrze. Ostatnio, gdy ze szczególną uwagą wsłuchiwał się w siebie, gdy dekorował ściany obrazami ukazującymi strach i cierpienie, coraz bardziej zbliżał się do tej prawdy. Sam dla siebie jawił się teraz zupełnie inny, ale z tym nowym wyobrażeniem niełatwo było mu się pogodzić. Było ono jednością, która obejmowała Szkieleta Ridpatha, jednakże było jeszcze coś...

Ostatnio...

ostatnio...

analizując je dokładnie, wydawało mu się, że towarzyszy mu jakiś człowiek, który przekonuje go, że ma wiele słuszności, ale jeszcze za mało wie. Ten człowiek był wszędzie i nigdzie. Był w jego snach i niknął z oczu, gdy gonił za nim z pokoju do pokoju, był zwierzęciem, drzewem, pustynią, ptakiem... nosił, na sobie długi płaszcz z paskiem, kapelusz osłaniał mu twarz — on był tym co było rzeczywiste. Gdy Szkielet o nim myślał, człowiek ow przemawiał: „Przybywam ocalić twe życie”. W zamian czegoś żądał od chłopca, dręczył go. Biedny Szkielet dałby sobie odciąć dla niego wszystkie palce u ręki. Człowiek ten miał moc zdolną łamać królów. Był jak muzyka u samego jej źródła.

On jest mną, myślał Szkielet. To ja. Uśmiechnął się szeroko do wiszącego na ciemnej ścianie obrazu wielkiego Ptaka.

59

i' HHH

— Wuj Cole powiada, że Tim tak dużo pije, żeby stać si?
inną osobą — rozległ się w ciemności głos Dela. — Gdy jest

pijany, wydaje się kimś innym. Kimś, kim chciałby być.

— Woli być taki? t

— Chyba tak. i

— Ojej!

— Wujek Cole zawsze ma rację. Naprawdę. Nigdy w niczym się nie myli. Chcesz wiedzieć, co mówi o magii?

— No pewnie.

— To samo co o Timie. Twierdzi, że iluzjonista musi wyjść poza zwykłe życie, że musi przekształcić się w kogoś zupełnie innego, ponieważ ma zrealizować specjalny plan. Żeby mógł poświęcić się magii, wielkiej magii, musi mieć świadomość, że jest częścią wszechświata.

— Częścią wszechświata?

— Małą częścią, w której jednak zawiera się cała reszta.

Wszystko, co jest na zewnątrz, mieści się także w nim. Pojmujesz to?

— Chyba tak.

— No więc, jeśli to pojmujesz, to rozumiesz, dlaczego chcę być czarodziejem. Wiedza to wszystko głowa, prawda? Sport to ciało. Czarodziej wykorzystuje całego siebie. Wujek Cole uważa, że czarodziej to jest synteza. Synteza. Mówi, że każdy jest w jakiejś części muzyką, w jakiejś krwią, w części myślicielem i w innej zabójcą. I jeśli potrafisz odnaleźć to wszystko w sobie i zapanować nad tym, to zasługujesz, żeby wyjść poza zwykłe życie.

— Chodzi tu więc o świadomą kontrolę. O moc i władzę.

— No właśnie. Chodzi o to, żeby stać się bogiem.

Tom wiedział, że Del czeka na jego reakcję, ale nie potrafił nic odpowiedzieć. Chociaż nie był pobożny i w kościele ostatni raz był na Boże Narodzenie, to jednak wypowiedź Dela głęboko go zatrwożyła.

Z drugiego końca pokoju doszedł go śmiech Dela.

— Wiesz, widziałem, jak dołożyłeś Szkieletowi. W tobie też tkwi zabójca.

Przedmiot ostatnich zdań Dela, nie mający wątpliwości, że tkwi w nim zabójca, leżał, tak samo jak dwaj młodsi chłopcy, w łóżku w ciemnym pokoju. To co chodziło mu po głowie, było zadziwiająco podobne do treści rozmowy chłopców, a podobieństwo to z pewnością zdumiałoby Dela Nightingale'a. Muzyka wypełniała przestrzeń wokół Steve'a — nagranie »Bo Diddleya.

Mocne. Dźwięki były tak intensywne, iż wydawało

58

18

Gęsiarka

— Nigdyś żyła stara królowa, której mąż dawno już zrnał. Miała piękną córkę — czytał pan Fitz-Hallan. — Tak brzmi pierwsze zdanie opowieści o Gęsiarce. Czy na podstawie tego zdania możecie wywnioskować, o czym będzie to opowiadanie

— O pięknej córce! — zawołał Bobby Hollingsworth, pojmując rękę.

— Słusznie. Stara królowa, zmarły król, młoda i piękna córka. Przypuszczamy, że wkrótce pozostanie sama na świecie. Jeżeli jest to typowa historia, nasza bohaterka wyruszy na jakieś poszukiwania... no i proszę, mamy następne zdanie. Została wysłana hen, daleko, aby poślubić księcia. I co się z nią

dzieje?

— Ma złą służącą, która zmusza ją, żeby zamieniły się rolami — powiedział Howie Stern.

— Właśnie. Pamiętajcie, jak mówiliśmy o tożsamości? Tutaj znowu występuje to zagadnienie. Służąca kradnie tożsamość księżniczki. Ginie chustka splamiona trzema kroplami krwi, czarodziejski talizman, w następstwie czego zła służebna zdo bywa władzę nad swoją panią. Przywłaszcza sobie jej suknie, a ją przebiera w swoje łąchmany. Ubranie może maskować tożsamość, jest ono naszym znakiem rozpoznawczym. No i służąca poślubia księcia, a prawdziwa księżniczka zostaje posłana do pracy z Conradem, który ma pod swą pieczęć stado gęsi. Czy mogło to się naprawdę kiedyś wydarzyć?

— Nie — odpowiedział Bob Sherman. — Nigdy. Jest milion sposobów pozwalających odróżnić księżniczkę od służebnej. Nie mówiłyby w ten sam sposób. Nawet to samo ubranie nosiłyby inaczej.

60

— Mnóstwo drobnych różnic socjalnych — potwierdził Fitz-Hallan. — Słusznie. Ale ta historia pokazuje, że toż samość może być skradziona. I chociaż masz rację, to jednak skutki takiej kradzieży mogą sięgać głębiej i dotyczyć nie tylko przynależności klasowej. W innych opowiadaniach na przykład cień człowieka zastępował właściciela i wtedy cło wiek zachowywał się jak cień. To jest może nawet bar dziej absurdalne, ale również bardziej przerażające. — Zrobił przerwę, dając nam czas na zastanowienie się, po czym za pytał: — W jaki sposób ta piękna księżniczka została przy wrócona do dawnej postaci? .V

Z odpowiedzią wyrwał się Del: —~

Ojciec księcia polecił jej opowiedzieć swoją historię ""«ń a sam słuchał u wylotu komina. W ten sposób odkrył piecowi,

Pra ___ "jak, ale co wzbudziło jego podejrzenia?

___ Falada — odparł Tom.

___ Falada. Koń, którego podarowała jej matka.

___ To magia... księżniczka została uratowana dzięki cza-om — oświadczył Del. Uśmiechał się.

___ Czary — powiedział Fitz-Hallan. — Zła służąca kazała odrąbać głowę Faladzie i przybić do ściany, a Conrad, gęsiarek, słyszał, jak księżniczka przemawiała do głowy konia i co zwierzę odpowiedziało: „O, nieszczęsna księżniczko / Gdyby się matuś twa kochana o tym dowiedziała / O jakże gorzkie by łzy wylewała". Świat, gdzie panuje zdrowy rozsądek i istnieją różnice społeczne, został odsunięty na bok, a zaczęła rządzić magia. Magia mówi językiem poezji. Zmienia świat. Pamiętajcie pierwsze zdanie? „Niegdyś żyła...” Nieważne, co jest dalej. Kiedy słyszymy takie słowa, wiemy, że przestają obowiązywać panujące zazwyczaj reguły. Zwierzęta będą mówiły, ludzie będą przemieniać się w zwierzęta, cały świat może stanąć na głowie. Ale w końcu... — Profesor podniósł rękę.

— Wszystko wraca do normy — dokończył Del. — Zgodnie z prawami magii.

— Czasem udzielasz trafnych odpowiedzi, Nightingale — stwierdził pan Fitz-Hallan.

Zadzwiećczał dzwonek, koniec lekcji. Podziwiałem, jak pan Fitz-Hallan dokładnie zmieścił się w czasie, gdy uwagę moją zwróciło coś, co na pierwszy rzut oka mogło należeć raczej do świata, o

którym przed chwilą mówiliśmy niż do rzeczywistości szkolnej. Pan Fitz-Hallan zabierał książki. Siedziałem koło Toma Flanagana i usłyszałem, jak wydał jakiś pomruk, bardziej z niezadowolenia niż ze zdumienia. Spojrzałem i zobaczyłem, że jego ołówek unosi się w powietrzu, jakąś stopę nad notatnikiem. Tom złapał go, żeby położyć na miejsce. Widziałem (sądzę, że widziałem), jak ołówek przez moment stawiał opór jakby przymocowany do powietrza.

Flanagan zarumienił się i wsadził ołówek do kieszeni koszuli. Kiedy zobaczył, że go obserwuję, spojrział wilkiem i wzruszył ramionami.

— Co, u diabła, tak cię bawi?

Doszedłem do wniosku, że to, co widziałem, było banalną, chociaż zręczną sztuczką: podrzucił ołówek do góry, a ja spojrzałem akurat w tej sekundzie, kiedy przestał podnosić się i zaczął spadać.

61

oteskowe obrazki, a do zdjęć przedstawiających śródo- podmiejskich bogaczy, którym pogardzał, dodawał str-

liwe okropności. W niektórych miejscach ścian były przy-

środzone nawet cztery warstwy różnych fotografii: kolejne warstwy poczynając od starych, łagodniejszych „rzeczy” aż

prawdziwie drastyczne ukazywały kształtowanie się jego prawdziwego wizerunku. Szkielet miał świadomość, że robi

postępy-

Już przed rokiem zachwyciło go odniesione wrażenie, że

znajdując się w tym pokoju, jest otoczony sobą samym, że stojąc tu, stoi wewnątrz siebie. Kiedy nasunęła mu się ta myśl, a jadł wtedy jakiś klops bez smaku i starał się nie słuchać niekończącego się monologu ojca o sporcie, drgnął tak gwałtownie, że zrzucił ze stołu szklankę z colą. W czasie następnego lata, ta wizja jego pokoju została zastąpiona inną wizją, bardziej imponującą, lecz zarazem bardziej groźną. Rzadko jednak pozwalał sobie rozmyślać nad tym szczegółowo. Kiedy jednak zamykał za sobą drzwi, zasadniczy element tej wizji zaczynał palić mu mózg.

Pokój nie otwierał się do środka, ale na zewnątrz.

Nie był zwierciadłem.

Pokój był oknem.

To okno otwierało się na niebo i ukazywało fragmenty tego, co było poza nim. Ostatnio na ścianach swego pokoju Steve Ridpath widywał mężczyznę w ciemnym płaszczu, mężczyznę podobnego do królów i wilków z bajek Fitz-Hallana. Kiedy odnajdzie prawdziwego człowieka w kapeluszu z rondem ocieniającym twarz i wzniesionym ku górze palcem, wtedy wszystko splecie się razem.

Szkielet zeskoczył z łóżka i zaczął szperać w stosie czasopism leżących koło łóżka.

Tom powiedział:

— Widzisz, w naszej szkole była tajemnica, a końcem tej tajemnicy stało się pewne straszne wydarzenie, które nastąpiło, gdy Del i ja urządziliśmy pokaz sztuk magicznych. Nie było ono rozwikłaniem tej tajemnicy, lecz jej zakończeniem. Rozwiązanie natomiast tkwiło w Krainie Cieni, albo inaczej — rozwiązanie było Krainą Cieni.

— Szkielet miał wizję mężczyzny w długim płaszczu i kapeluszu, mężczyzny, którego i ja widziałem we śnie. Oczywiście, nic nie wiedziałem o wizjach Szkieleta, nic by z resztą z tego nie przyszło. Pamiętaj, co zdarzyło się dnia w klasie po lekcji Fitz-Hallana, gdy mój ołówek

63

Druga trzydzieści w nocy. Szkielet Ridpath zbudził się nagi i odrzucił przykrycie. W domu było gorąco i duszno. Zza ścian' dochodziło chrapanie ojca — charczące, świszczące, wciągają" z przerwami powietrza przez zakatarzony nos. Szkieletowi ą tych dźwięków cierpła skóra, wykrzywił się z niesmakiem i zapalił lampę.

Omam nie krzyknął, bo wprost nad głową, pod sufitem zobaczył obraz ze snu, który widział, zanim zbudził się „ ogromnego, szarego ptaka rozpościerającego skrzydła i rc»2. capierzającego szpony. Nie, niezupełnie taki sam obraz. Ptak, którego wizerunek umieścił na suficie, był orłem, a ptak, który dręczył go we śnie był... Nie wiedział, ale nie był to orzeł Znajdował się za oknem i skrzydłami bił o szybę. Chciał do-stać się do środka, domagał się, aby go wpuścił i strach przed tym, co mogło lada chwila nastąpić, sprawił, że Steve zerwał się ze snu. Dzikie ptaszysko za oknem niemiłosiernie hałasowało — mówiło do niego, wydawało mu rozkazy — teraz rozpoznawał, że było to głośne chrapanie ojca.

Powoli uspokajał się, widok tego strasznego ptaka zacierał się w pamięci, a nasuwały się nowe obrazy, to co otaczało jego orła: lufy strzelb, pokrwawione trupy, maleńkie dziecko nadziane na włócznię i podniesione do góry. Potem zaczęły dominować samochody, urządzenia gospodarstwa domowego, a następnie fotografie kobiet, którym Szkielet pousuwał twarze, a na ich miejsce ponalepiał pyski zwierząt — lisów i małp. Poszczególne części ścian poświęcone były różnym „rzeczom", teraz jednak wszystko stopiło się w jedną wszechogarniającą „rzcZ". O tym, że tak się stanie, wiedział już dawno, przed laty, kiedy porzucił wszystkie inne pasje i zaczął przyklejać na ścianach obrazki. Szkielet przygotowywał się na nadejście dnia, kiedy te wszystkie obrazy przybiorą kształt jednej epickiej wypowiedzi.

Rozpoczął od wybierania zdjęć przedmiotów, które budziły jego nienawiść, czyli rzeczy, które reprezentowały styl życia lansowany przez Szkołę Carson: nowe samochody i groteskowo wielkie lodówki załadowane żywnością, podmiejskie domy z ogrodami, elegancko ubrane kobiety, graczy w piłkę^nożna.' Ponieważ nienawidził tego, ponieważ ojciec i koledzy ojca przypisywali tym atrybutom udanego życia specjalne wartości, ponieważ stanowiły elementy świata, który pragnąłby ujrzeć

gruzach, fotografie te dawały mu odczuć perwersyjny dreszcz — nienawidząc lubił na nie patrzeć. Usunął wszystkie 62 w

Każdej nocy miałem przerażające sny. Błąkałem się po jakimś lesie i polowały na mnie dzikie zwierzęta albo unosiłem się yusoko w powietrzu i wiedziałem, że zaraz spadnę... Ale najdziwniejsze w tych snach, bez względu na to jak były straszne, było to, że miałem świadomość, jak jest naprawdę. Było to tak, jakby świat został rozłupany i przez powstałą szczelinę dostrzegałem część maszyny, która wszystkim porusza, albo, nie tyle ją widziałem, ile czułem, że ona tam jest. I pomimo przerażenia miałem dziwne zadowolenie. To było zadowolenie z posiadanej wiedzy. Jeśli nawet nie rozumiałem tego w pełni, to przecież widziałem, jak to działa. Przypuśćmy, że zostało otwarte niebo i zobaczyłeś ogromne obracające się koło, to koło, po którym Ziemia kręci się wokół Słońca... takie właśnie to było uczucie.

— Nie zawsze miałem tę dziwną intuicję. W niektórych snach pojawiała się jakaś ciemna postać idąca w moją stronę... sunąca ku mnie, jakbyśmy oboje byli zawieszeni w powietrzu. Ten człowiek trzymał nóż albo sztylet. Przysuwał się coraz bliżej i bliżej, coraz bardziej wypełniał pole mego widzenia... i nagle obcinał mi ręce. A może czułem tak wielki ból, jakby mnie ich rzeczywiście pozbawił.

Spojrzałem na jego dłonie spoczywające na barze, na wyraźne bliznowate zgrubienia skóry.

— Dojdziemy do tego — powiedział.
20

W ciągu następnych paru tygodni wydawało się nam, że Szkielet Ridpath skulił się w sobie. Jego twarz stała się jeszcze bardziej niesamowita, szare worki pod oczami przybrały ciemniejszą barwę.

Pewnej soboty, na początku listopada, wyskoczył ze swego samochodu, który zatrzymał na czerwonym świetle, na Bulwarze Świętej Róży, podbiegł na chodnik koło sklepu z cukierkami i mocno uderzył w twarz Dave'a Bricka, Sdyż ten był bez czapeczki. Wówczas jednak zarówno seniorzy, Jak i rny byliśmy zaabsorbowani czym innym. Zbliżały się kwartalne egzaminy, zwykle trudne, miały bowiem pokazać t^k uczniom, jak i nauczycielom, czy poradzimy sobie na Półrocznych egzaminach w styczniu. Również akurat półtora tygodnia przed egzaminami drużyny futbolowe juniorów i starszych miały rozegrać doroczne mecze, z okazji przyjazdu ^Unuiów, z naszym tradycyjnym rywalem — Szkołą Larch.

3 ~ Kraina Cieni 65

w przedziwny sposób zatrzymał się w powietrzu, głętem, iż uznałeś natychmiast, że zwiódł cię oczy. Wbrew temu co sam widziałem, też byłem skłonny tak uważać. Pomirn^ wszystko, zawsze lepiej szukać najbardziej racjonalnego wy. jaśnienia zjawisk, które wydają się nieracjonalne. Powie ci j0 każdy czarodziej. Popatrz, jak powszechnie lekceważy się ludzi takich jak Uri Geller.

— Ale spostrzegłeś, że się zaczerwieniłem. Działy się ze mną dziwne rzeczy. Brak mi słów, żeby je opisać. Może właściwe określenie to „koszmar nocny”, chociaż nie oddaje tej atmo sfery. Czy istnieje „koszmar dzienny”? W każdym razie nigdy nikomu nie przyznawałem się do tego, nawet Delowi, ale przydarzały mi się dziwne rzeczy. Niekiedy bywało tak, jakbym się wcale nie obudził i czas w szkole, i resztę dnia spędzałem jak we śnie pełnym dziwnych aluzji i strasznych, wróżebnych znaków.

— Podać ci jakiś przykład ? Proszę. Czasem wyobrażałem sobie, że ptaki patrzą na mnie, obserwują mnie, śledzą. Idąc na lunch, widziałem stadko wróbli. Wszystkie wlepiały we mnie wzrok. Każdy ptaszek świdrował mnie swymi malutkimi, ruchliwymi oczkami. W domu, gdy wyjrzałem przez okno w bawialni, drozd na trawniku przekręcał łebek i wpatrywał się we mnie, jakby miał mi coś do powiedzenia. Ale to drobiazgi. Czasem wprawdzie myślałem, że dostaję bzika, ale to były drobiazgi.

— Inne wrażenia były mniej niewinne. Pamiętam, pew nego dnia, tydzień lub dwa tygodnie przed naszymi kwartal nymi egzaminami, gdy stanąłem we frontowym wejściu szkol nego budynku, omal nie zemdlałem. Nie widziałem bowiem tego, co tam powinno być. Nie było schodów wiodących na górę, nie było korytarza ani drzwi do biblioteki. Przez se kundę albo może przez dwie czy trzy sekundy znalazłem się jakby w dżungli. Powietrze stało się gorące i bardzo parne. Rosło tam więcej drzew niż widziałem kiedykolwiek w życiu. Tworzyły gąszcz, wyginały się w różne strony i były oplecione lianami. Zewsząd dochodził szum i brzęczenie. Czułem, że wypełnia mnie ogromna energia. Nagle zobaczyłem, że spoza liści przygląda mi się jakieś zwierzę. Przeraziłem się tak bardzo, że byłbym upadł, ale nagle wszystko się rozwiało. Znów były schody, były drzwi do biblioteki i był Terry Peters, który dał mi kuksańca w plecy, żebym się prędzej ruszał.

— Podobne sytuacje przeżywałem może raz w miesiącu, po tym jak zaprzyjaźniłem się z Delem. To były te „dzienne koszmary”. Ale też, mój przyjacielu, były i koszmary nocne.

64

Na cztery dni przed meczem Ridpath w bestialski sposób zmuszał nas do treningu wymagającego najwyższego wysiłku; po dziesięć, dwanaście razy powtarzaliśmy te same zagrywki. Staliśmy się na jego wykresach bezdusznymi literami — X i O, które można było bez końca i bezboleśnie przestawiać. Każdą godzinę ćwiczeń kończyło trzykrotne okrążenie biegiem boiska, co normalnie było karą wymierzaną najgorszym cymbałom. Dla nas to też była kara za to, że drużyna straciła Beavera i Willowa, którzy byli pierwszorzędnymi graczami. Z treningów tych wracaliśmy do domu, powłócząc nogami, posiniaczeni, z obolałymi krwawiącymi nosami, zbyt zmęczeni, aby odrobić jakiegokolwiek lekcje, a nawet oglądać Jackie Gleason i Arta Carneya w Miodowym miesiącu.

W dniu meczu boisko futbolowe zostało świeżo oznakowane i wszystkie linie lśniły kredową bielą. Niebo było zupełnie bezchmurne, ale w powietrzu niósł się już gorzki zapach jesieni. Z parkingu dla gości zaczął płynąć w kierunku trybun tłum rodziców odzianych w swetry polo, sportowe spodnie, w układane spódniczki i blezery. Zachowywali się z elegancką nonszalancją. Większość uczyła się niegdyś w Carson. Nie dostrzegłem wśród nich żadnej twarzy poblądłej, jak sądziłem, powinna wyglądać typowa twarz „Arizona”. Demonstrowali wielko-miejskość i wytworność w sposobie bycia.

Siedzieliśmy na ławce — Bob Sherman, Howie Stern, Morris Fielding i ja, a nasza drużyna reprezentacyjna przegrywała spotkanie. Zdołaliśmy strzelić tylko jedną bramkę. Zawodnicy zwycięskiej drużyny wybiegli, krzycząc i wiwatując. Niektórzy rodzice wznosili toasty płaskimi flaszeczkami z alkoholem. Dziewczeta z pobliskiej żeńskiej szkoły tańczyły, wykrzykując nazwę zwycięskiej drużyny. Reprezentantom Szkoły Larch udało się dotknąć piłką ziemi poza linią bramki przeciwników dwukrotnie w pierwszej połowie meczu i jeszcze raz w drugiej. Nam nie udało się ani razu. Ridpath popełnił elementarny błąd i zaprzepaścił nasze szansę.

W czasie rozgrywek seniorów zobaczyłem coś niesamowitego. Większa część zawodników naszej młodzieżowej drużyny reprezentacyjnej siedziała w ostatnim rzędzie na trybunach,

Wieczorem po meczach odbywały się w pawilonie pierwsze w tym roku wielkie tańce. Sześciu chłopców z pierwszego roku, w białych marynarkach i czapeczkach, usługiwało seniorom. Wszyscy mieliśmy świadomość, że Szkielet może oblać egzaminy, niektórzy wręcz żywili nadzieję, że zostanie wyrzucony ze szkoły. Ci, którzy mieli pełnić na tańcach funkcje kelnerów, spodziewali się, że żadna z uczestniczących w zabawie dziewczyn nie będzie aż tak zdesperowana, żeby umówić się ze Szkieletem.

Wszystkich nas łączyła niechęć do Szkieleta Ridpatha i obawa przed nim. Toma Flanagana uważaliśmy za bohatera za to, co zrobił w czasie meczu futbolowego, kiedy Ridpath kopnął go w twarz. To bardziej niż cokolwiek innego wykazało, że zdarzenia mogą się toczyć zgodnie z prawami magii. Kiedyś w czasie dwóch czy trzech miesięcy, kiedy uwaga Szkieleta odwróciła się od nas ku innym rzeczom, Tom i Bobby zobaczyli go, jak stał przed gabinetem dyrektora. Gdy ich zauważył, szarpnął się do tyłu i skrył za występem ściany. Przypuszczaliśmy, że czekał na burę od Węża Boa. W dwa dni później, kiedy Tom niósł do gabinetu listy obecności od pana Weatherbeetego, znów go tam spotkał. Tym razem Szkielet nie schował się, ale rozkazująco, po dyktatorsku wycelował w niego swą kościstą łapą i rozkazał:

— Zmywaj się!

Tom odwrócił się na pięcie i nieomal zderzył z Bambim Whipple'em niosącym stos druków z testami egzaminacyjnymi.

Tego samego dnia dowiedzieliśmy się, że Bryce Beaver i Harlan Willow zostali wydaleny ze szkoły za palenie papierosów, na czym przyłapano ich w jednej z wieżyczek pawilonu.

Wstrząs i podniecenie wywołane tym wydarzeniem usunęły w cień zagadkę tajemniczego czatowania Szkieleta Ridpatha koło gabinetu dyrektora. Laker Broome odwołał, mające się odbyć po lekcjach, treningi i zarządził specjalne zebranie wszystkich uczniów. Pan Ridpath wściekał się z powodu straty półtoragodzinnych ćwiczeń przed meczem, ale Broome beznamyślnie i nieustępliwie tłumaczył, iż pragnie ubiec plotki, wyjaśniając, że w życiu szkoły wydarzyła się „tragedia”, że dwaj zdolni chłopcy okryli się hańbą. Że była to tragedia, nie podlegało dyskusji, ale on nie miał wyboru — oni nie dali mu wyboru. Na jego twarzy nie malował się żal, lecz wyzierało z niej zadowolenie. Wszyscy słyszeli, jak Chester Ridpath, stojący w tyle sali, głośno kaszłał, ale być może tylko my w pierwszych rzędach mogliśmy dostrzec, jak twarz Lakera Broome'a rozjaśniał zachwyty nad sobą. —

66 ***

i pani Robbin. Pan Robbin wykładał w wyższych klasach fizykę i chemię, był drobny, posiwiały, patrzył badawczo spoza grubych szkielek. Żona była od niego wyższa, włosy miała ściągnięte w kok. Robbinowie siedzieli razem pod ścianą, wyglądali staroświecko i „naukowo” jak Piotr i Maria Curie, ponad nimi warowały jaskrawożółte, srebrystoniebieskie, a potem pomarańczowe i czerwone smugi rzucane przez wirujące koło zawieszone na środku pod sufitem.

Kiedy Robbinowie weszli, kiwnęli nam nieznacznie głowami. Potem pan Robbin zatrzymał wzrok na Delu i odezwał się:

— Jesteś Nightingale, prawda? Nowy chłopiec? Robisz po stępy? — Po szkole krążyły plotki, że Del Nightingale jest bajecznie bogatym sierotą, którego legalnym opiekunem jest bank będący właściwie jego własnością. Robbin siedział koło żony i trzymał uniesioną rękę. Palcem drugiej ręki wskazywał zegarek na przegubie. — Dziś wieczór satelita. Za pięć dziesiątka. Sztuczna gwiazda. Cud.

Oprócz Toma, Dela i mnie kelnerami byli Bobby Hollings-worth, Tom Pinfold — wciąż skwaszony z powodu przegranego meczu — i Morris Fielding. Morris, który dobrze grał na fortepianie, zgłosił się na ochotnika, chcąc posłuchać orkiestry.

Zaraz po ósmej pojawili się muzycy, niosąc instrumenty w futerałach. Wkrótce audytorium zaczęli napełniać uczniowie klas zarówno starszych, jak i młodszych. Ci, którzy mieli panny, poszli po papierowe kubeczki z ponczem, ci bez dziewczyn opierali się o ściany i obserwowali muzyków sadowiących się na przepaścistej scenie.

Jedenastu mężczyzn z orkiestry, zagubionych na wielkim proscenium, siadło na krzesłach i zaczęło kartkować nuty. Morris i ja wiele obiecywaliśmy sobie po saksofo-niście tenorowym, młodzieńcu w ciemnych okularach. Wreszcie przyłożyli instrumenty do ust i zaczęli grać Mały hotelik.

Hollis Wax i Paul Derringer, przewodniczący którejś klasy, Przyszli ze swymi dziewczynami tuż po wpół do dziewiątej. Widząc, że nikt jeszcze nie zaczął tańczyć, podeszli do stołów dla seniorów i skinęli na nas.

— Zapowiada się doskonała zabawa z okazji tych dorocznych odwiedzin absolwentów — usłyszałem, jak Wax mówił do swej dziewczyny, kiedy się zbliżałem. — I to po tym dzisiejszym fiasku. — Do mnie powiedział: — Dżin i tonik. Dla wszystkich. — Przekreślił głowę, żeby spojrzeć na orkiestrę. — ^opatrzcie na tych facetów. Banda roznamyślnionych sprzedawców ze sklepu z obuwem, do tego jeden ślepy. — Od-

stąd było widać porośniętą trawą wzniesienie po przeciwległej stronie boiska. Kiedy przeznaczony dla gości teren do parkowania wypełnił się, rodzice przejeżdżali przez trawę i ustawiali swoje samochody na całej długości żółtozielonego trawnika, przez który chodziliśmy zwykle do szkolnej jadalni na lunch. Nosy buicków, lincolnów i paru samochodów MG były skierowane w stronę trybun. Pod koniec pierwszej połowy meczu spojrzałem ponad rzędem masek i zderzaków zwróconych ku nam i zobaczyłem mężczyznę stojącego pomiędzy dwoma samochodami.

Nie wyglądał jak któryś z ojców będących absolwentem Szkoły Carson. Nie miał na sobie ani modnych spodni, ani swetra z wełny jagnięcej w stylu Paula Stuarta. Ubrany był w płaszcz deszczowy z paskiem. Na głowie miał miękką, brązową kapelusz zsuniętą na czoło. Ręce trzymał w kieszeniach. Na pierwszy rzut oka przypominał Sheldona Leonarda z telewizyjnego serialu Zagraniczna intryga emitowanego w latach pięćdziesiątych. Daleko stąd na abstynenckim Zachodzie, mężczyźni w trenczach znaczyło — szpiedzy, podróże, Europa. Nie wydawało się, aby ten egzotyczny osobnik mógł interesować się sportowymi wyczynami uczniów prywatnej szkoły. Wtedy zauważyłem, że Del Nightingale zareagował na widok tego człowieka. Del siedział koło Toma Flanagana o trzy rzędy niżej i na trawnik za boiskiem spojrzał chwilę po mnie. Wrażenie, jakie ów mężczyzna wywarł na Delu, było zdumiewające. Del zamrugał jak królik pod okiem węża i byłem przekonany, że drżał. Wydał jakiś nieokreślony dźwięk, coś podobnego do elektronicznego sygnału. Było to wyrazem jego osłupienia.

Szkielec Ridpath, ubrany w kombinezon sportowy, wydawał się również mocno poruszony ukazaniem się nieznanego. Myślałem, że spadnie z ławki. Tymczasem tajemniczy mężczyzna wycofał się poza samochody i zniknął.

23

Czasem jestem szczęśliwy

Z sufitu audytorium zwisały proporczyki, metalowe krzesła usunięto, tworząc dużą pustą przestrzeń dla tancerzy. Wokół sali ustawiono stoły ponakrywane ciemnoniebieskimi serwetami. Za dziesięć ósma w pokoju znajdowali się tylko ci pierwszoklasiści, którzy mieli być kelnerami, oraz opiekunowie, pan

68

u

Ąui

zoaf 'niiBuoiuiBj ofjA B^zsnjzM AV03[A!znui os op /Csojajdsd ojtzpBSM łSBiunpĄBU XzoBqaJł qaoM(i

•apapjBd BU qo/CoBzouB } pojs qoaiuis OBfszpnqzAV 'BłsrsBq { AzopBiAiso

— jBjapqo 'o —

BZJłaiMod oSazaiMs aqoojj apftinJ t \$Auazjd apqojz — jrjpfzejBz — aiMOUBd 'azłfBł A/& — -DBJS BfBłsazjd Xqaz 'ajjsatj]jo BU jfeuj3[s — jaouBj ziu azsfaiuzBAY zapazjd ox japzpoqo — .|BJOAVBZ AVOUZ BAIJOJS ośaf BU t3BAvn ippjAiz ani Xuui }3{iu BIU Bzod ajB 'aiuzsnjsod B|BJS AV BUOZ o3a? — ZJJBUAV -az BU aizppCM qoaiu 'pno oXzoBqoz aoqo o^Jf /ipz^

•{BtzpaiMod i }sn op i&i

t,+.o.ii /iu[eizptAvzfnf jsaf BłtpłBSiBJod

. BjzsapBU az 'pzpjaiM^s Apatii t m^seSaz BU auizpoS s ngfep UŁfzsiBp AV uiqqoy UBd Mcjf^znui ai"

„ >[Bfojs BZ ffeuifiuz i qDB3ipoqos od

[BJBUI BJsaiifJo Xpap{ az '

Ł,..^pBZ ZBJXAV ats {BMOJBUI /CzaeMł oSaf BJJ; -uiasou

pod ajs jBuqoaiuisn i ajozo od *>^^T *••

BU uafofezpBAiojd M93{poqos (...l ,,

BU fpBdo ja[at3[zs zaB^Joif BU jurepwzjp iuiXuzDoq jpazsAw i BqjBdpjłi op tuiBDajd 5is

jpoiMpo [8Q „jopuajo^ 'aupBdop ap Bf znf" :uiajBi^Czopo SJBM oSaf nnam ?» » «— -"

'^^^ jiujadBNr -a ' ^a^
?*uqazji
immmm

'faro _
i f^zooifspod

Ojg

paczą
i wyrazem głupiego zadowolenia, silnie zamachnął ra-
Nien i uderzył dłonią Dela o ciężką wazę z ponczem. Del ^zasnął- Waza zatrzęsała się i
purpurowobrazowy płyn roz-hryznął si? wokoło. Obaj chłopcy zostali nim oblani, Szkielet nieco
mniej, bo zdążył uskoczyć na bok.

Muszę wiedzieć — powiedział twardo Szkielet i wybiegł
przez drzwi na korytarz.

Kiedy reszta uczestników potańcówki powróciła do audytorium, po obejrzeniu maleńkiej
czerwonej plamki dryfującej na niebie, Tom i Del wycierali podłogę. Ręka Dela krwawiła na
główkach kości palcowych, twarz miał udręczoną. Jedną ręką trzymał ścierkę, drugą odsuwał
niezgrabnie, żeby krew kapiała do kubelka.

— Jezu, ale z was niezdary — oświadczył pan Robbin i polecił żonie, żeby przyniosła watę i
bandaż z apteczki w kancelarii.

25

Noc

— Ale dlaczego mi nie powiesz? Jestem twoim najlepszym
przyjacielem.

— Nie ma nic do powiedzenia.

— Założę się, że wiem, kto to był.

— Jakiś fircyk.

— Po co ta cała tajemnica?

— Nie pytaj mnie, spytaj Szkieleta. Ja nie wiem nawet,
kim on mówił.

26

Volat

W następnym weekend rozgrywaliśmy mecz w Szkole Vent-nor odległej o ponad sto mil na północ,
położonej w dzielący jeszcze bardziej zamożnej niż nasza. Była to bez wą- Pienia pierwszorzędna
szkoła. W przeciwieństwie do Carson Szkoła Yentnor znana była na całym południowym zachodzie.

73

i uśmiechnął do Toma i Dela wracających właśnie z łazienki.

— Czysty już? — zapytał. — Musiało ci być trochę nie
przyjemnie, gdy to świństwo spływało za koszulę.

— Zostaw go w spokoju — warknął Tom.

Obaj chłopcy okrążyli Ridpatha i skierowali się na drugi koniec długiego stołu.

— Zamkny się, idioto. Myślisz, że mówię do ciebie? —
Ridpath obrócił krzesło tak, że znów patrzył prosto na nich.

Paru muzyków pojawiło się na pustej scenie, kilka par pochyłało się ku sobie w odległym końcu sali. — Boisz się mnie, co, Florencjo?

Pytanie było rozbrajająco proste.

— Tak — odpowiedział Del.

— Tak, co dalej?

— Tak, panie Ridpath.

—• Tak. Teraz dobrze. Pamiętaj, masz robić wszystko, co ci powiem. Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę. Wiesz o tym, prawda? Wyglądasz jak pluskwa, Florencjo, jak śmierdzący mały karaluch... — Ridpath wstał.

Tom zauważył białą pianę w kącikach jego ust. Błyskawicznie Szkielet przesunął się do przodu stołu i zamierzył na Dela, który uskokzył, żeby uniknąć ciosu. Tom zdecydowanie wystąpił w obronie przyjaciela, ale Szkielet ostro zaprotestował.

— Trzymaj się od tego z dala, Flanagan, bo mocno obserwiesz. — Znow zwrócił błyszczące oczy na Dela. — Ty też go widziałeś.

Del potrząsnął głową.

— Wiem, że widziałeś. Obserwowałem cię. Kto to jest? No, gadaj, szczeniaku. Kto to? Chce, żebym coś zrobił, prawda?

— Oszalałeś — powiedział Del.

— Och, nie, nie oszalałem. Nie, wcale nie jestem szalony — oznajmił miękko Szkielet, a potem nagle pochylił się przez stół w stronę Dela. — Widzisz, nikt nie patrzy. — Chwycił Dela za rękę i zacisnął mu palce na przegubie. — Kto to był? Del milczał.

— Widziałeś go. Znasz go.

Del prawdziwie przestraszony usiłował oswobodzić rękę. Szkielet zmienił uchwyt z wprawą zapaśnika i ścisnął teraz dłoń Dela.

— Dziewczyńko — wymamrotał. — Starasz się ukryć go przede mną, co dziewczynko?

Tom rzucił się na Szkieleta. Ten szarpnął się, nieomal unosząc Dela do góry. Potem spojrzął na Toma z furją, roz-

72

ludów na linii i tego olbrzymiego z tyłu? Znam ich z miasta. Dostają stypendia, dodatki na wyżywienie i ubranie. Podają im specjalne posiłki, a nie jak dla ptaszków. — Aż zazgrzytał zębami. — Zobaczymy się na tej zasranej herbatce — posiedział i puścił się biegiem, gdyż nie umiał poruszać się powoli.

po zejściu z trybun mogłem albo pójść drogą, którą pobiegł Chip. prosto przez boisko futbolowe i przez wzgórze do głów-nego budynku, albo malowniczą ścieżką wijącą się wzdłuż niewielkiego wzniesienia okalającego sztuczne jezioro. Na tej ścieżce spotkałem prawie połowę uczniów mojej klasy. Byli tak zakłopotani naszą porażką, że nie chcieli pojawiać się na herbacie wcześniej, niż to było konieczne. Równie speszony podążyłem ścieżką za mymi przyjaciółmi.

— Jezu, kicham na tę ich herbatę — powiedział Bobby Hollingsworth, kiedy do nich dołączyłem.

— Nie mamy, niestety, wyboru — zauważył Morris. — Ale mówiąc prawdę, wolałbym położyć się tutaj i pospać.

— Może będzie trochę śmiechu w powrotnej drodze — wyraził przypuszczenie Tom.

— W autobusie, razem z Ridpathem? Bądź poważny. — Bobby wepchnął ręce w kieszenie i ostentacyjnie spoglądał na otaczający nas teren. — Możecie to sobie wyobrazić? Widzieliś

cie kiedy, żeby coś było bardziej nowobogackie? Aż robi mi się mdło.

— Mnie się wydaje, że jest tu dość ładnie — powiedział Del.

— To czemu, do cholery, Florencjo, nie kupisz sobie tego? — wybuchnął Bobby. — Żeby dać komuś na gwiazdkę?

— Przestań czepiać się go — zaproponował Tom. — Jesteś po prostu wściekły, bo znów przegraliśmy.

— No chyba — przyznał Bobby. Oczywiście nie przeprosi- — Ty pewnie lubisz przegrywać. Przegrać mecz, wsiąść do autobusu i jeszcze się zabawić, co? To może niech Florencja kupi autobus, wtedy moglibyśmy wykopać Ridpatha. O Boże!

Del czuł się bardzo niezręcznie, powiedział coś o pogodzie. Chciał zapewne, żebyśmy jak najszybciej przyłączyli do reszty drużyny w sali recepcyjnej.

2 miejsca, w którym staliśmy, można było objąć wzrokiem fBly teren szkoły. Większość graczy wzięła już prysznic, prze wala się i w małych grupkach zmierzała do pomieszczeń cji. Było zbyt ciemno, a oni za daleko, żebyśmy mogli

^ ich twarze, ale niektórych mogliśmy rozpoznać po P°stawie i sposobie chodzenia. Miles Teagarden i Terry Peters

75

W szkole, poza drużyną piłkarską, istniał zespół szermierczy i drużyna rugby. Uważaliśmy Ventnor za szkołę dla nieprze. ciętych snobów. Znajdowała się tam sławna kolekcja anty. cznej porcelany i wyrobów szklanych, co miało wywierać dodatni wpływ na uczniów.

Jazda autobusem zajęła nam dwie i pół godziny. Na miejscu dano nam coś do jedzenia — uznano zapewne, że przyda nam się cola i kanapki z rzeżuchą, żebyśmy pokrzepili się przed meczem.

Członkinie komitetu rodzicielskiego podawały nam cienkie jak opłatek kanapki w sali przypominającej gabinet Lakera Broome'a. Było to towarzyskie spotkanie zapoznawcze przed meczem, a po meczu miała być herbatka. Żadne jednak „zapoznanie się” nie nastąpiło, bo chłopcy z Ventnor zbili się w gromadę po jednej stronie pokoju, a my po drugiej.

Szkielet Ridpath nie odzywał się do nikogo w czasie drogi, a po przyjeździe wypił pięć albo sześć szklanek coli i spacerował po sali, oglądając porcelanę ustawioną na półkach. Była to wystawa sławnych antycznych eksponatów, które jednak nie wywierały na nim przewidywanego dodatniego wpływu. Wykrzywił się za każdym razem, gdy spoglądał na Dela. Wyglądał przerażająco, powinien leżeć w szpitalu.

Ręka Dela była zabandażowana i biała gaza jasno odbijała od jego oliwkowej cery. Miał na sobie uszytą na zamówienie niebieską sportową kurtkę, białą koszulę i krawat w nie-biesko-czerwone paski. W ubraniu tym wyglądał dojrzałe, lecz sztucznie.

Pan Ridpath zakaszłał, osłaniając usta ręką i powiedział:

— No, chłopcy — i skierował nas do szatni.

Obie kolejne rozgrywki zakończyły się klęską. Reprezentacyjna drużyna młodzieżowa przegrała przez trzy dotknięcia ziemi piłką poza linią bramki przeciwników. Zespół reprezentacyjny starszych wykonał dotknięcie w pierwszym kwadransie, ale rozgrywający z Ventnor przejął dwa podania, co wysunęło ich do przodu, a w drugiej połowie chłopak o nazwisku Creech odzyskał straconą piłkę i przebiegł z nią trzydzieści jardów. Po tym zagranju nasza obrona załamała się kompletnie. Zawodnicy Ventnor za każdym razem, gdy byli w posiadaniu piłki, po prostu maszerowali bez przeszkód przez boisko.

— Oni tu są tak bogaci, że kupują sobie atletów — odezwał się Chip Hogan, kiedy opuszczaliśmy trybuny, żeby przejść kilkaset jardów przez wypiełgnowany trawnik i powrócić do sali recepcyjnej na herbatę. — Widziałeś tych dwóch wielko-

74

Tak, chodźmy — odezwał się Del matowym głosem.

Szarpnął Toma za rękę i pociągnął ścieżką w kierunku, # którym odszedł Morris Fielding.

Należy odnotować jeszcze jedno wydarzenie tego dnia. Kiedy zebraliśmy się na herbacie, sala recepcyjna była bardziej zapełniona niż podczas spotkania zapoznawczego. Ojcowie uczniów pochylali się protekcjonalnie ku mężczyznom w pogniecionych, gabardynowych marynarkach, którzy byli z pewnością nauczycielami w Ventnor, a matki nalewały herbatę z ventnorskich sreber. Zrozumiałe, iż wszyscy byli zadowoleni. Jakaś kobieta, zgrabna i piękna jak modelka, podała mi filiżankę słabiutkiej herbaty. Wziąłem i stanąłem koło Dave'a Bricka.

— Właśnie wyliczyłem — powiedział Brick, wkładając suwak logarytmiczny do futerału. — Dwa, przecinek trzydzieści sześć naszej szkoły zmieściłoby się w tym, co oni tu mają. Mówię o całym terenie.

— Przerażające — stwierdziłem.

Szkielet Ridpath przesunął się z filiżanką herbaru w rękę. Wydawało się, że za chwilę uniesie się w powietrze. Brick i ja cofnęliśmy się, ale Szkielet wcale nie zwracał na nas uwagi. Podeszedł parę kroków w kierunku ściany, a potem jak lunatyk zrobił zwrot pod kątem prostym. Jego włosy były ulizane po kąpielii pod prysznicem. Szkielet pożegłował do półek z eksponatami, które oglądał przed meczem. Dave Brick i ja, nie wierząc własnym oczom, zobaczyliśmy, jak sięgnął po mały przedmiot z półki i wsunął sobie do kieszeni.

27

Pofcój Toma

tfie było tu map gwiazdozbiorów, czaszek ludzkich, egzotycznych rybek; nie było fotografii sławnych iluzjonistów, tylko zdjęcia Toma z ojcem — jadących na koniach, w łodzi z Wędkami, a także ze strzelbami, idących przez pola w Mon~nie. Ponadto wisiała reprodukcja Picassa z okresu nie-teskiego przedstawiająca akrobatów o smutnych twarzach. edną ścianę zajmowało biurko i rząd półek. Obaj chłopcy po P°Wrocie z Ventnor zjedli obiad z rodzicami Toma, a potem zli do sypialni, żeby się uczyć.

77

powoli szli obok siebie. Teagarden, który raz stracił piłkę, był tak pochylony do przodu, jakby szukał czegoś w trawie.

— Och — jęknął Tom, kiedy Szkielet Ridpath pojawił się w drzwiach budynku gimnastycznego; jego sylwetki nikt nie mógł pomylić.

Szkielet wolnym krokiem zbliżał się do tylnych drzwi administracyjnych. Porażka nie wywarła na nim żadnego wrażenia. Wtedy usłyszałem, jak Del idący sześć lub siedem, stóp przed nami cicho stęknął, jakby go ktoś uderzył w przyrodzenie. Dostrzegłem wyprostowanego mężczyznę z plecami zwróconymi ku nam, który szedł pod arkadami szkolnego gmachu w stronę głównej trybuny i boiska piłkarskiego. Miał opuszczone rondo kapelusza, pasek od płaszcza zwisał, a końce dyndały.

— Ruszajmy, Del — powiedział Tom.

Del stał jednak jak skamieniały; teraz wszyscy zauważyli mężczyznę w cieniu arkad.

—? Portier pracuje tu do późnych godzin — zauważył Bobby Hollingsworth. — Mam nadzieję, że skręci mu kark.

Del trzymał obandażowaną rękę na wysokości piersi, jakby dawał sygnał świetlny albo odparowywał cios.

— Nie ma sensu czekać, aż pokaże się portier — stwierdził Morris Fielding. — Mnie też robi się zimno.

— Nie, to jest ojciec jakiegoś ucznia z Ventnor — zaopiniował Bob Sherman. — Taki płaszcz musi kosztować ze dwieście kawałków.

— No to zobaczymy się przy herbacie — oświadczył zdecydowanie Morris, odwrócił się i

odmaszerował.

— Dwieście dolarów za płaszcz? — dziwił się Sherman.

Teraz już wszyscy jak zahipnotyzowani patrzyliśmy za oddalającą się sylwetkę mężczyzny. Po raz drugi tego dnia wyobrażałem sobie, że nie patrzę na zwykłego śmiertelnika, ale na postać ze świata fantazji. Zniknął gdzieś za wejściem na główną trybunę.

— Och, chodźmy już — odezwał się Tom. — Może uda nam się dogonić Morrisa.

Szkielet Ridpath, znajdujący się od nas w odległości około stu jardów, wydał dziki okrzyk. Nie był to krzyk grozy, ale jakiegoś niesamowitego spełnienia. Spojrzałem w jego kierunku i zobaczyłem chude ramiona uniesione nad głową, a ciało groteskowo drgające i podskakujące. Najwyraźniej tańczył! Potem doszło mnie łopotanie skrzydeł i gdy obejrzałem się, ujrzałem wielkiego ptaka unoszącego się nad główną trybuną.

76

ponieważ... — Tom zawahał się — ...ponieważ myślę, że to jest ten człowiek, o którym wciąż mówisz. Twój wujek.

Niemożliwe.

— Tak tylko powiadasz.

Del podniósł wzrok.

— Chcesz porozmawiać o moim wujku Cole? Dobra. Jest w Nowej Anglii. Wiem, że jest teraz w Nowej Anglii. Studiuje.

— Studiuje magię?

— Oczywiście. A czemuż by nie? Tym się przecież zajmuje.

1 jest tutaj. Nie wiedziałeś, bo nie spytałeś o to nigdy, bo nigdy dotychczas to cię nie interesowało. — Twarz mu drżała.

— Hej, Del... — Teraz Tom był w potrzasku. — Ja nie... ja nie wiedziałem, co... — „Nie wiedziałem, co byś mi powiedział”. Od tamtego pierwszego dnia, słyszałem ostrzegający głos Buda Copelanda: „Uważaj, Red”. — Ależ naturalnie, byłem zainteresowany — powiedział sztywno.

— Tak, ty i Szkielet. — Del znów opuścił głowę na kolana. — Wszystko się zmienia — wyszeptał zduszonym głosem.

— Jakże...?

— Po prostu zmienia się. Myślę, że wszystko powinno być zawsze tak samo. Wtedy zawsze można by wiedzieć...

— Gdzie byłeś? Co miało się wydarzyć?

Del spuścił nogi i usiadł wyprostowany na łóżku.

— Mam takie wrażenie... — zaczął. Był sztywny jak Hindus na posłaniu z gwoździ. — Czytałeś kiedy Frankensteina albo Opowieść o Gordonie Pymiel Nie? Mam wrażenie, jakbym zmierzał ku czemuś, co jest na końcu tych książek, wokoło lód, wszystko białe, wszystko marznie albo kipi, nie ma znaczenia... Nie ma stamtąd wyjścia. Góry lodu... I zbliża się coś naprawdę złego...

— Oczywiście — powiedział Tom. — A potem zjawia się książę, wypowiada magiczne zaklęcie, a trzy kruki dają ci czarodziejski pierścień i ryba niesie cię na swoim grzbiecie. — Próbował uśmiechnąć się.

— Nie. To tak, jak mówi pan Thorpe, kiedy ktoś nie potrafi odpowiedzieć na pytanie. Hic inquilans somniat. Śni na jawie,

^k jest ze mną. Jakbym miał sny, a nie żył naprawdę. Nie wierzę w nic, co mi się przydarza. Chciałbyś zamieszkać z Timem i Valerie Hillmanami?

— Nie sędzę...

Masz rację. Nie o tym rozmawialiśmy.

. — Dobrze. No więc wracajmy do gór lodowych, księcia i trzech kruków, i czarodziejskiej ryby.

79

^ °.jedenasteJ °el oznajmił, że bolą go oczy, zamknął

i i wyciągnął się na gościnnym łóżku ał

— Oblejesz matkę.

kp ~~ Wszystko mi jedno. — Zagłębił twarz w białą poduszkę.

*??. j- Nie jestem kujonem jak Dave Brick.

zar., JeŚh ty Się-nie PrzeJmujesz, to ja też, chociaż egzaminy zaczynają się w środę.

m Spojrzał przez ramię, lecz jego przyjaciel leżał bez z twarzą wtuloną w poduszkę. Wydawało się, że z jeKo T P°StaCi emanu^ fale cierpienia, które docierają do Toma, wywołując nagły lęk przed utratą bliskiej osoby i;udem Powstrzymał się od płaczu. Podczas obiadu Flanagan wydawał się nieobecny. Zachowywał się jak

L 'nS°7 Cał\SrJą UW3gę Skupił na jakimś górsk™ odlefiym ° kllk* mil. Po południu odbyło się kolejne

TorfG posiedzenie z Jego lekarzem. Instykt podpowiadał omowi, że wkrótce ojciec lub matka oznajmią mu, iż muszą bed* PtOWazme Porozmawiać, i że po tej rozmowie już nic nie inw! f!f Sam° T°m wPatl-ywał się w przeciwną ścianę niemal dostrzegając własną twarz wyzierającą z pomalowanego

g

!Sm°Z° tynkU ~ tWarZ' na któreJ ^sowały się zmiany: b,ie za dziesięć, dwadzieścia lat, tak samo odizolowa Szkielet Ridpath. Tak odizolowanego jak Del - przy- naglG d° głOWy- Odwrócił się, odsuwając książki

— Nie sądzisz, że powinieneś o tym powiedzieć? iJel odprężył się trochę. Nie wiem.

wif>rt~, -°ł mał° CO> a odSryzłbym sobie język w autobusie, ale wiedziałem, że nie chciałbyś tam rozmawiać.

JJel potrząsnął głową.

-- W czasie obiadu też nie mogliśmy o tym mówić.

— cle"~ Przewrócił się na plecy i spojrzał na Toma.

czvtał ,ledzimy tu Już od trzech godzin, niektóre strony prze-

zarn^if SJUZoPu° ^^ Tazy' wyg^dasz strasznie, a mnie oczy się zamykają. Chyba już pora?

— Pora na co? 3»~

H MS tO> ŻebyŚ powiedział mi o tym facecie.

Nic o nim nie wiem, a więc nic nie mogę powiedzieć. iJajze spokój, to nieprawda.

^ *!rawda; Dlaczego myślisz, że coś o nim wiem? -sie P.odcia?n3ł kolana i złożył na nie głowę. Tomowi wydało w węzelek1™6""82^ Slę jeSZCZe bardziej, jakby zawiązał się 78

Pokaz sztuk magicznych

W poniedziałek, przed dziewięcioletnimi egzaminami, Laker Broome oświadczył po modlitwie lodowatym tonem, że w Szkole Ventnor została skradziona osiem-nastowieczna szklana figurka przedstawiająca sowę i że dyrektor tej szkoły powiedział, iż kradzież ta musiała wydarzyć się tego popołudnia, gdy rozgrywany był mecz futbolowy.

— Pan Dunmoore jest człowiekiem taktownym i nie oskarżył wprost naszej szkoły, że daje schronienie złodziejowi, istnieją jednak pewne niewątpliwe fakty. Kolekcja jest regularnie

odkurzana. Ostatniej soboty, eksponaty w otwartych gablotach odkurzyła sprzątaczką o godzinie jedenastej piętnaście, na krótko przed naszym przybyciem. Dołożono wszelkich wysiłków, byśmy odnieśli jak najlepsze wrażenia z Ventnor, panowie. Po naszym odjeździe zauważono brak tego przedmiotu i natychmiast powiadomiono o tym pana Dunmoore'a. Jest to poważna strata, nie tylko dlatego, że wspomniany eksponat oceniany jest na około tysiąc dwieście dolarów, ale również dlatego, że wskutek tej kradzieży zbiory stały się niekompletne, co, oczywiście, wpłynęło na obniżenie wartości całej kolekcji. A to jest już kwestia kilku tysięcy dolarów. — Pan Broome zerwał okulary z oczu i odstał krok od pulpitu. — Jest to również sprawa honoru naszej szkoły, a to przekracza wszelką wartość. Nie mogę uwierzyć, że któryś z naszych uczniów mógł popełnić coś tak haniebnego, ale jestem zmuszony wziąć tę ewentualność pod uwagę. Jest to dla mnie odrażające, ale muszę uznać za fakt, że w tej chwili patrzy na mnie chłopiec, który ukradł tę sowę. Ventnor jest szkołą z internatem. Po tym wypadku, przeprowadzono dokładne poszukiwania zarówno w pomieszczeniach dla uczniów, jak i dla personelu. Nikt nie uchylił się od współdziałania. Wi-

81

— Rzeczywiście, zostawmy Hillmanów. Mam pewien pomysł.

— Najwyższy czas.

— Mówiłeś o wybawieniu. Książkę... kruki... takie rzeczy.

— Tak. Chyba tak.

— Czemu nie miałbyś pojechać ze mną odwiedzić Cola CoUinsa w czasie świąt Bożego Narodzenia? Powinienem go odwiedzić. Jedź ze mną. Wtedy będziesz mógł go poznać.

Tom doznał niezwyklego pomieszania uczuć. Owładnęły nim obawa i przyjemność, strach i oczekiwanie, chęć opieki i słabość. Patrzył na Dela, miał ochotę go objąć i przytulić. Widział go samotnego na tle arktycznego krajobrazu. Potem pomyślał o swoim ojcu i powiedział:

— Nie mogę. Po prostu nie mogę. Bardzo mi przykro. Zajął mu chwilę* nim zdał sobie sprawę, że Del płacze.

— Jeszcze kiedyś pojedę. Pojadę, Del. O Jezu, przestań. Zróbmy jakąś sztuczkę z kartami albo co... Może to tasowanie, które mi pokazywałeś.

— Nie muszę się obudzić, żeby tasować karty — oświadczył Del. — Cokolwiek pan sobie życzy, mistrzu.

—

W poniedziałek wywieszono przed biblioteką wyniki egzaminów. Przepchałem się do tablicy, gdzie były listy uczniów pierwszej klasy i odszukałem swoje nazwisko. Okazało się, że mam mniej więcej takie same stopnie jak koledzy. Spod tablicy z wynikami uczniów starszych klas dochodziły okrzyki niezadowolenia.

Pani Tute z ogromnym wysiłkiem przeciskała się do drzwi biblioteki, mrucząc: „Wielkie nieba, wielkie nieba”. Była zbolala i zła. Od czasu kradzieży w Ventnor wszyscy z personelu byli poirytowani.

Wracając z lunchu, zobaczyłem, że tylko Hollis Wax stoi przed listą, przeszedłem więc przez hol i stanąłem koło niego.

— Nie podałeś mi wtedy dzinu z tonikiem — odezwał się. — Nie można w tym roku polegać na pracy pierwszoklasistów.

— Tak jest, proszę pana — odpowiedziałem i wyszukałem wzrokiem nazwisko Ridpath, mając nadzieję, że ujrzę rząd ocen F. Byłem zdumiony, gdy zobaczyłem, że ma trzy A i dwa B. Hollis Wax nie otrzymał żadnej ponad C.

— Cuchnąca gnida — powiedział i rzucił swoje książki na podłogę. Podniosłem je, zrobiłem dziesięć pompek i zasznurowałem

wałem mu buty.

Dave Brick został wezwany do gabinetu Lakera Broome'a. Wezwanie zostało doręczone do klasy pana Thorpe'a przez panią Olinger, która zachowywała się odpychająco i zimno. Otworzył otrzymane pismo, wydawał się zadowolony i powiedział:

— Brick do dyrektora.

Biedny Brick Śmierdziel wsunął książki do teczki i drżąc skierował się ku drzwiom. Tuż przed egzaminami ostrzygł sobie włosy przy samej głowie. Wyglądał ohydnie, a odsłonięta skora na czaszce mocno zaróżowiła się. Brick nie pokazał się już w klasie, a nam wydawało się, że przez te dwie godziny przy Pustym biurku popłakuje jego przestraszona dusza.

No i fajno — stwierdził Sherman. — W ten sposób Boa 2robił porządek na pokładzie i już na nikim nie ciąży podejrzenie.

Nieobecność Brickia na lekcjach i później przy stole na

83

-fods .WBZS op

BU

5is

oo i — ouop zpfeR o% Bf az '

aiuB^soz Boda^saz.d az 'UIBM afno9?qo _ BfTBS

BU

?8

nie zrobiłem. Nie mogłem mu przecież donieść o Szkielecie, prawda?

— I tak po prostu puścił cię? — spytałem.

— W końcu. Powiedział, że mi wierzy. Powiedział, iż ma nadzieję, że wiem, jakie to ważne odnaleźć tego, kto zawinił. Potem wręczył mi coś, co mam oddać pani Olinger i panu Weatherbee.

— Wyjął dwie identyczne kartki z kieszeni kurtki. Jego palce pozostawiły na nich wilgotne plamy.

— Jakaś wiadomość.

— Musisz oddać — powiedziałem. — Pewnie przeprasza.

Kiedy przeczytaliśmy ich treść, okazało się, że pan Broome

wykorzystał po prostu Dave'a Bricka, żeby przesłać zawiadomienie, że uczniowie mogą w drugim semestrze zakładać kluby.

— To wszystko? — wymamrotał Brick. — To wszystko? —

Nogi mu się ugięły i usiadł ciężko na zwiniętej kurtynie.

Czuł zapewne i ulgę, i zawód. Myślę, że po tym co przeszedł, nie mogło mu pomieścić się w głowie, że Broome potraktował go jak chłopca na posyłki.

— Ależ wszystko w porządku! — zawołałem. — Po prostu mu ulżyło.

— A więc ulżyło mu — zamruczał ktoś z ciemnego otworu drzwi i wszyscy trzej odwróciliśmy głowy, żeby zobaczyć kto to.

Szkielet Ridpath zjawił się w kręgu nikłego światła. Przyszedł tu tak cicho, jakby był duchem albo smugą dymu, która precyzyjnie się przez dziurkę od klucza.

— A więc Brickowi Śmierdzielowi ulżyło, co? Wynoście się stąd, parszywe szczeniaki i nie pokazujcie się tu nigdy więcej. — Skręcił tułów i pochylił się w stronę Morrisa. — Fielding. Zostaw w spokoju ten cholerny fortepian.

— Mam prawo grać tutaj — spokojnie oznajmił Morris.

— Prawo? Ty masz prawo, gnojku? — Szkielet otrząsnął się jak mokry pies. Nagła wściekłość wykrzywiła mu twarz i rzucił się przez scenę do fortepianu. Zacisnął kościste dłonie na szyi

Morrisa i starał się ściągnąć go ze stołka. — Masz robić to, co Powiedziałem, słyszysz ty kreaturo? Zabierz swoje brudne łapy °d tego fortepianu. — Morris najpierw opierał się, ale potem uznał, że lepiej ponieść uszczerbek na honorze niż na zdrowiu. Szkielet uniósł go ze stołka i powalił na podłogę. — Żeby mi tu żaden z was, gówniarze, nie przychodził nigdy więcej, słyszysz cie? Zjeżdżajcie stąd i trzymajcie się z daleka. — Potarł długą łapą swoją obrzydliwą gębę. — Na co się gapisz? — warknął na Bi

Brick wciąż siedział na stosie materiału na kurtynę.

85

lunchu wywarła podobne wrażenie również na nauczycielach; stali się swobodniejsi. Większość z nas, widząc ich nowo odzyskany spokój, zdała sobie sprawę z pewnym zdumieniem, że także personel uważa Bricka za złodzieja. Postanowiłem, że jeśli Brick został rzeczywiście wyrzucony ze szkoły, to pójdę do pana Fitz-Hollana i powiem mu w zaufaniu, co widziałem.

Gdy wracaliśmy z lunchu, spostrzegliśmy Bricka siedzącego na kamiennych stopniach przy tylnym wejściu do szkoły i uderzającego futerałem od suwaka logarytmicznego o beton. Nasza piątka idąca razem zawahała się przez moment, niepewna jak się zachować. Szybko jednak uświadomiliśmy sobie, że przecież gdyby go Broome wydalili, już nie byłoby go w szkole, podeszliśmy więc i zarzuciliśmy go pytaniami.

Na większość pytań nie odpowiedział.

— Słuchajcie chłopaki, on chciał tylko porozmawiać ze mną... daję słowo. Nic więcej nie chciał. — Z bliska widać było, że płakał, nic jednak na ten temat nie mówił, a my nie mieliśmy śmiałości zapytać, chociaż zauważyłem, że Bobby Hollings-worth już miał zamiar powiedzieć coś, ale w porę pohamował się. Wąż Boa potraktował Dave'a bardzo surowo, mimo iż Dave wcale na to nie zasłużył, lecz zniósł to po bohatersku. Po tej sprawie otoczyliśmy go większą życzliwością, niż mógł się kiedykolwiek spodziewać.

4

Po następnej lekcji mieliśmy czas wolny i Brick usiadł koło mnie w bibliotece.

— Zejdźmy na scenę — wyszeptał. — Tu jest za dużo ludzi.

Otrzymaliśmy od pani Tute pozwolenie, żeby wyjść, wzięliśmy swoje książki i szerokimi schodami dostaliśmy się do wielkich drzwi prowadzących na ciemne zaplecze sceny. Morris Fielding ćwiczył coś na fortepianie i był tym tak pochłonięty, że zaledwie skinął nam głową. Brick pociągnął mnie na drugą stronę, gdzie było jeszcze ciemniej.

— Nic mu nie powiedziałem. Daję słowo. Nie powiedziałem.

Cisnął mnie i cisnął, jest okropny. Myślałem... — Zaczął pochlipywać, ale powstrzymał się, aby Morris nie usłyszał. Niski i gruby, ze swoją hollywoodzką fryzurą na czarnego baranka, wyglądał jak wielkie niemowlę i zrozumiałem, jaki musiał być dzielny, żeby nie powiedzieć prawdy Broome'owi. — Powtarzałem tylko, że ja tego nie zrobiłem... że tego

84

założenia klubów. To była druga sprawa, którą żyła nasza klasa przed Bożym Narodzeniem. W szkole pomysł klubów uważano raczej za żart i proponowano między innymi Klub Żarłoków (jego członkowie jadaliby w restauracjach, a nie w szkolnej jadalni), Klub Próźniaków, Klub Lekkołuchów, Klub Chłopców Hardiego (poświęcony dyskusjom nad dziełami F. W. Dbcona), Klub Elvisa Presleya (mniej więcej to samo). Te frywolne propozycje były eliminowane przez pana Weatherbe-ego i myślę, że tylko niektóre dotarły do pana Broome'a. Dyrektor zaaprobował trzy,

lecz jedno z nich, Towarzystwo J. D. Salingera, nigdy nie miało zebrania. Zgodził się też na Towarzystwo Jazzowe Morrisa Fieldinga i po pewnym czasie z drugiej klasy zostali wyłowieni perkusista i kontrabasista, mający więcej entuzjazmu niż umiejętności. Bez wątpienia, Broome potraktował działalność tego klubu jako tanie źródło rozrywki na szkolnych potańcówkach. Tom uważał, że Broome zgodził się na Kółko Iluzjonistów, ponieważ widział w tym nieszkodliwą zabawę.

Pewna okoliczność... właściwie pewna rzecz... skłaniała do przypuszczenia, że rozmowa przebiegnie inaczej. Del został wezwany z klasy Thorpe'a w tradycyjny już sposób. W przemyślnie zarzuconym książkami gabinecie dyrektora zauważył projekt wypisany przez niego na maszynie sześć dni temu. Leżał na pustym, lśniącym biurku. Delowi natychmiast nasunęła się myśl, że Broome chce z nim o tym pomówić i prawie całkowicie opuścił go strach. No bo przecież kto mógłby pomyśleć, że to on ukradł jakąś szklaną błahostkę?

— A więc twoje zainteresowania magią sięgają głębiej, poza sztuczki z kartami — powiedział Broome, uśmiechając się zagadkowo.

— O wiele głębiej, panie dyrektorze. — Del sądził, że został zapytany uczciwie, że Broome interesuje się nim, przeto dodał: — To jest coś, na czym mi najbardziej zależy.

— Rozumiem. — Broome rozsiadł się na krześle i oparł zelowki butów o krawędź biurka. W koszuli w paski bez Marynarki, w rogowych okularach wyglądał na poważnego naukowca i administratora. — Na tym najbardziej ci zależy. Może więc zamierzasz zrobić karierę w tej, hm, raczej niezwykłej dziedzinie?

— Bardzo bym chciał — przyznał Del. — Już jestem dość dobry.

— Tak, założę się, że jesteś dobry. — Broome roześmiał się. — Co myślisz o magii, o sztuczkach i o tym wszystkim? — Och, to znacznie więcej niż jedynie sztuczki — odpowiedział.

— Och... — powiedział.

— Spytałem, na co się gapisz?

— Nienawidzę cię — oświadczył Brick. — I ja... — Pierwsze zdanie wypowiedział bez zastanowienia, w nagłym porywie, drugie zamarło mu na ustach.

— I ty, co? — Szkielet znów przysunął się do nas.

— Nic.

— Nic. — Szkielet rozejrzał się, apelując do niewidzialnej widowni. Jego ramię wyleciało do przodu niczym atakujący wąż i wbił paluchy w szyję Bricka. — Teraz wynoście się — rozkazał. — I to szybko. I więcej niech was tu nie widzę.

Wyszliśmy. Dave Brick rozcierał sobie szyję. W czasie dwóch następnych lekcji chrypiał, ale po treningu, głos wrócił mu już prawie do normy.

— Jeśli jeszcze raz to zrobi, to go wydam — przysięgał, gdy szliśmy do szatni. — Potem może mnie zabić. Wszystko mi jedno.

W czasie tygodni poprzedzających przerwę bożonarodzeniową oraz następujące wkrótce po niej

egzaminacje semestralne, dwie sprawy drażyły życie szkoły, a szczególnie najniższą klasę. Pierwszą były prywatne poszukiwania złodzieja szklanej sowy prowadzone przez Lakera Broome'a. W tydzień po tym, jak Dave Brick był przesłuchiwany przez dyrektora, Bob Sherman został przez niego wezwany z lekcji łaciny. Tym razem nie było żadnych pochopnych przypuszczeń, jak w przypadku nieszczęsnego Bricka. Tylko paru chłopców, między nimi Pete Bayliss, Tom Pinfold i Marcus Reilly uważali, że sprawa kradzieży została teraz wyjaśniona i można o niej zapomnieć.

Kiedy wracaliśmy z lunchu, Bob tak samo jak Brick siedział przy tylnym wejściu do szkoły. Był twardy, cyniczny, zmęczony i trochę speszony i nie w głowie mu było grać rolę bohatera.

— Gratulacje — powiedziałem.

— Powinien go zbadać psychiatra — zawyrokował Bob. —

Gdybym chciał zagrabić coś wartościowego, to porwałbym Florencję i wtedy już nigdy nie musiałbym myśleć o pieniądzach.

Na dwa dni przed wezwaniem Dela do gabinetu Broome'a na trzygodzinną rozmowę, należało złożyć propozycje dotyczące

86

—• Spodziewałeś się tego. — Spodziewałem się.

Sęp, wciąż na tym samym gorącym, piaszczystym miej- gdzie wie roa żadnego cienia, inteligentnie potakuje

n,

I wiesz, co się stanie, kiedy wkroczysz w tę dolinę?

Tom nie może odpowiedzieć: ogromny przytłaczający strach paraliżuje mu całe ciało.

— Umrzesz, chłopcze. To proste. Nie mając żadnej opieki, umrzesz.

Trup ojca dyndał na linie zwrócony ku niemu twarzą.

— Teraz ja jestem twoim ojcem, chłopcze. Ja. Jestem, teraz twoim tatusem.

Strach, który w nim siedział, sprawił, że zaczął się trząść. Sęp podszedł do niego, patrząc mu prosto w oczy. Ohyda żywiąca się padliną.

— Dosyć, ptaszku.

Sęp zaszumiał skrzydłami wysunął swój wielki, żółty dziób i wbił go w rękę Toma. Chłopca zbudził własny krzyk.

Tej samej nocy Szkielet Ridpath śnił o mrowisku. Zamieszkujące je mrówki miały twarze uczniów pierwszej klasy, spieszyły tu i tam w swoich sprawach, tłoczyły się w przejściach i korytarzach, szwargotały ze sobą w podnieceniu. Szkielet trzyma grabie i zamierza rozwalić mrowisko, gdy nagle słyszy jakiś narastający hałas jakby huk łamiących się olbrzymich fal. Przez moment widzi kapelusz nasunięty na czoło nieokreślonej, nieludzkiej twarzy i ogarnia go strach, a potem budzi się, ale huk i łoskot nie ustępują. Wie, co to jest, lecz boi się spojrzeć w okno. Wreszcie patrzy i fala wymiotów napływa mu do ust. Ogromna biała sowa, niesamowicie jasna na tle ciemnego okna, rozkłada skrzydła i bije nimi o szyby. Widzi każde pióro tych wielkich skrzydeł. Sowa chce dostać się do środka, domaga się, żeby ją wpuścić, ale Szkielet wie doskonale, że jeśli otworzy okno, zostanie rozdarty na strzępy. Łeb sowy jest prawie wielkości jego głowy. Przerażony Szkielet, dygocząc ze zgrozy, °Piera się o ścianę, a wyzwolony w nim prymitywny strach Podpowiada mu, że orzeł, który uwieszony jest u sufitu, ożyje v sfrunie, żeby wydziobać mu oczy. Zakrywa twarz rękoma a głowę w poduszkę.

dział uszczęśliwiony Del. — To wspaniałe widowisko pełne niespodzianek i... — Zawahał się. — Chodzi tu o zupełnie inne spojrzenie na rzeczy.

— Widzę, że naprawdę traktujesz to serio — stwierdzi }

Broome. Zdjął nogi z biurka i odsunął troszkę dalej kartki z projektem. — Dobrze się tu czułeś w czasie tego pierwszego semestru?

— Dość dobrze — odparł Del. — Przeważnie.

— Doszło do mnie, że dano ci godne pożałowania przezwis ko.

— Och, no, raczej przykre, panie dyrektorze — odparł Del.

— Wymyśliłem dla ciebie parę lepszych.

To całkowicie uśpiło czujność Dela i zapytał:

— Jakie, panie dyrektorze?

— Złodziej. Kanalia. Tchórz. Nie sądzisz, że odpowiednie?

Lekcja ekonomii

Kiedy ojciec Toma skrócił czas pracy w biurze o połowę, a potem ograniczył do jednej trzeciej, chłopcu znów śnił się sęp. Ostatni taki sen miał wtedy, gdy Hartley Flanagan stracił już czterdzieści funtów na wadze. Nawet gdyby ojciec chciał udawać, że jest zdrowym mężczyzną zdolnym wykonywać zawodowe obowiązki i uczestniczyć w treningach w klubie lekkoatletycznym, to jednak nie potrafiłby ukryć obwisłej skóry na policzkach ani wiszącego na nim jak na kiju ubrania. W końcu pozostały mu siły tylko na szpital i dom.

Pierwszy tydzień zimowej pogody i zazwyczaj zaczyna się sezon koszykówki. Tom stracił energię i zaniedbuje się w pracy; obawia się nawet, że obleje egzaminy, ogarnia go szaleństwo na myśl, że mogą go wyrzucić z młodzieżowej reprezentacji siatkówki, jednak najbardziej przeraża go to, co dzieje się z ojcem. Śmierć nie była dla niego nigdy tak rzeczywista jak w chwili obecnej. Kiedy wyobraża sobie życie bez ojca, widzi jedynie ciemną dolinę, w której kłębi się groza.

— Tak — mówi do niego sęp. — Tak. Tak to tołaśnie jest.

Czarna dolina pełna grozy. Ale, drogi chłopcze, czegoż się spodziewałeś? Że zawsze będziesz dzieckiem?

— Nie, ale...

88

Gdy wyszedłem, dostrzegłem Szkieleta na końcu korytarza. Udawał, że reguluje zegarek. później, tego popołudnia pan Broome przesłał wiadomość a pośrednictwem pani Olinger i pana Weatherbeego, że życzy obte> aby Towarzystwo Jazzowe Morrisa i kółko iluzjonistów sprezentowały swoje umiejętności wobec całej szkoły w godzinnym programie, w wyznaczonym dniu, w kwietniu. Pan ffeatherbee odczytał nam tę informację pod koniec dnia. Morris wyglądał na zdenerwowanego, Tom i Del byli najwyraźniej podnieceni.

8

Przerwa na Boże Narodzenie była jak zwykle radośnie witanym wytchnieniem dla wszystkich, być może z wyjątkiem jednego chłopca w naszej klasie. Wybraliśmy się odwiedzić dziadków w Los Angeles, Morris z rodzicami pojechał na narty do Aspen; podczas zjazdów długimi zbozami zastanawiał się, jakie utwory mogłoby zagrać jego trio w czasie zapowiedzianego występu. Pozostali chłopcy święta spędzali w domu. Kiedy wróciliśmy z Kalifornii, wsiadłem w autobus i pojechałem do Toma Flanagan. Powiedziano mi jednak, że Tom wyszedł. Nie dostrzegłem ani choinki, ani żadnych dekoracji bożonarodzeniowych. Matka Toma była bardzo wymizerowana. Na jej twarzy malowała się udreka.

Egzaminy semestralne, które odbywały się przez cztery dni w pełnym przeciagów pawilonie ozdobionym fotografiami graczy w piłkę nożną, były trudne. Przeprowadzono je rzetelnie, dowodząc, że zapewnienia o solidności szkoły nie były tylko C2czymi słowami. Chłopcy w sweterkach polo, porosadzani w szachownicę w długich rzędach, kręcili się na swoich krzesłach, wydmuchiwali nosy, ssali cukierki, drapali się po głowach i wpatrywali w fotografie niegdysiejszych futbolistów. Pano-^6 Fitz-Hallan i Ridpath, usadowieni przy długim stole przed ^Cdami, czytali odpowiednio — „Drugą Stronę Raju" i „O cwiercbeku". Tomowi Flanaganowi wydawało się, że wielogodzinne egzaminy trwają poza czasem, a nawet być może poza

91

Na dwa dni przed przerwą bożonarodzeniową przyszła n mnie kolej zaniesienia przed poranną

modlitwą listy obecność' do biura administracji. Pani Olinger, ubrana jak zawsze w swo. ją szarą workową, wełnianą kamizelkę, prowadziła jedna z tych złośliwych potyczek słownych, powszechnych w każdej szkole pomiędzy nauczycielami a personelem. Jej ofiarą był pan Pethbridge, nauczyciel francuskiego. Pethbridge był zgrzybiały i znużony, miał blond włosy i duże, pełne usta. Nosił garnitur z tweedu, lekko dopasowane na modę francuską, a na twarzy cienkie, eleganckie okulary. Pani Olinger miała mało czasu, a dyskusja z nim sprawiała jej przewrotną przyjemność, nie chciała więc jej przerywać ze względu na mnie.

— Doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego za każdym razem ma to być w innym miejscu — narzekał pan Pethbridge. Niósł plik papierów egzaminacyjnych.

— Nie może pan.

— Obawiam się, droga pani, że nie.

— Tutaj jest miejsce pracy, panie Pethbridge. Wszystkie akta są w ciągłym użytku. Nasze kartoteki pęcznieją. Jest również kwestia zabezpieczenia.

— Och, moja droga.

— Sprawia to panu jakąś niedogodność, panie Pethbridge?

— Tak, proszę pani. Zamiast po prostu włożyć papiery egzaminacyjne do registratora, który mogę łatwo odnaleźć, muszę czekać, aż pani postanowi, gdzie mają być umieszczone i ponadto, jestem przekonany, że jest to decyzja na chybił trafił, co oczywiście zabiera mi cenny czas...

— A kiedy pan nie myje swojej filiżanki po kawie, panie Pethbridge, daje pan innym zły przykład, a mnie zabiera mój cenny czas.

Koło mnie zjawił się Szkielet Ridpath, trzymając w garści jakieś drobne pieniądze. Spojrzał wilkiem, postąpił krok do przodu i upuścił na podłogę stos podręczników.

Kiedy schyliłem się, aby je podnieść, klnąc w duchu i panią Olinger, i Szkieleta, sekretarka szkoły zaczęła z prawdziwą złośliwością trajkotać o większej wartości jej czasu w porównaniu z czasem nauczyciela francuskiego, ale wreszcie podeszła do biurka, wzięła pieniądze od Szkieleta i posunęła w jego stronę jakiś notes. Szkielet z pogardą odebrał ode mnie książki i oddalił się. Pani Olinger przyjęła przyniesioną przeze mnie listę i zapytała:

— Dlaczego wy, chłopcy, kręcicie się ciągle tu w biurze, nie macie nic innego do roboty?

90

w kaplicy. Pan Thorpe miał mowę tydzień przed to też mogło mieć wpływ na Whipple'a, gdyż wystąpienie naszego łacinnika było nadmiernie płomienne irozpalone poruszającymi go emocjami. Swoją mowę rozpoczął Ifrorpe od nawiązania do pewnych skrytych „praktyk”, wyczerpujących siły chłopców i pozbawiających męskości tych, którzy im się poddawali. Mówiąc o tym, stawał się coraz bardziej gwałtowny, tak jak to nieraz bywało w czasie lekcji, pryskał śliną, mierzwił palcami włosy, nawiązywał do Pana Jezusa i Dziewicy Maryi i młodzieńczych lat prezydenta Eisen-howera w Kansas. Wreszcie wspomniał o pewnym chłopcu, który uczęszczał do Carson.

— Był to wspaniały chłopiec, jednakże trafiły go te właśnie pragnienia i czasem im ulegał! — Zrobił przerwę, wciągnął powietrze nosem i ryknął: — Modlitwa! Oto co ocaliło tego chłopca. Pewnej nocy był sam w pokoju i to nieczyste pożąda nie tak gwałtownie nim zawładnęło, iż bał się, że znów popełni ten grzech. Upadł na kolana i modlił się, i modlił, i solennie przyrzekał sobie i Bogu... — Thorpe aż uniósł się na palcach na mównicy. — I żeby stale pamiętał o złożonym przyrzeczeniu, wyjął nożyk... — W tym momencie Thorpe wyciągnął scyzoryk

z kieszeni spodni i zaczął nim wymachiwać. — Chłopcy, ten młody, wspaniały człowiek wyciął krzyż na dłoni swej prawej ręki! Blizna miała mu zawsze przypominać o złożonej przysiędze! I już nigdy... — W podobny sposób kontynuował swoje przemówienie, okraszając je gestami.

Popis Bambiego Whipple'a w następnym tygodniu był znacznie mniej widowiskowy. Widać było, że starannie przygotował się. Z pewnością nie bez wpływu na monolog Whipple'a pozostała odrażająca historia, którą opowiedział Thorpe.

— Ho, ho! We śnie można znaleźć się w niezwykłych sytuacjach — mówił Bambi. — W zeszłym tygodniu śniło mi się, że popełniłem jakieś straszne przestępstwo, szukała mnie Policja i w końcu znalazłem się w jakimś wielkim domu towarowym i nagle zdałem sobie sprawę, że nie mam już dokąd uciekać, że mnie złapią i resztę życia spędzę w więzieniu... Och, chłopcy, to było potworne uczucie. Naprawdę straszne.

Tego popołudnia, na tablicy ogłoszeń pojawiła się kartka o treści: W zeszłym tygodniu śnito mi się, że jakiś nudziarz z New Hampshire zbit mnie na kwaśne jabłko poduszką. To było potworne. Naprawdę straszne. Pani Olinger zerwała ją, ale wkrótce pojawiła się następna: Śniło mi się, że do mojego pokoju wdarły się szczury i biegały po moim cieple. Kiedy pani Olinger wyszła z biblioteki i porwała tę kartkę, tablica była

przestrzenią — świat pozbawiony biurka i pochrząkujący chłopców mógł podlegać zmianom pór roku, mógł zostaj zmieciony huraganem albo pograżyć się w ciemnościach w pół nocy i zamienić w bryłę lodu.

Wyniki były na ogół podobne do uzyskanych w poprzednich egzaminach, lecz zawierały parę niespodzianek. Tom uzyskał jedno B, a resztę miał jak zwykle C, Delowi powiodło się zdumiewająco dobrze — cały rząd B. Kiedy Tom i Del spojrzeli ukradkiem na listę wyników starszych uczniów, zobaczyli, że Szkielet Ridpath otrzymał pięć A.

10

Dziwactwa

Po przesłuchaniu około pół tuzina podejrzanych młodszych i starszych uczniów, wśród nich nie było Szkieleta Ridpatha, wszystko na pozór powróciło do stanu normalnego — szkoła stała się miejscem pracy. W lutym i w marcu zapanowała nowa moda w strojach. Najpierw tylko paru uczniów z ostatniego roku zaczęło nosić kowbojskie buty, potem wszyscy. Doszło do tego, że pan Fitz-Hallan zaczął zwracać się do uczniów: Hoss, Pecos czy Hoot. Kiedyś z kolei wszyscy mieli podniesione kołnierze u marynarek.

Natomiast nieprzyjemna była fala głupich żartów, ale stanowiły one rodzaj podświadomego odprężenia po wyczerpującej szkolnej pracy. Co powiedziała matka Joeya, kiedy nie chciał przestać dłużyć w nosie? Joey, obetnę palce u twojej protezy. Co powiedział Drakula do swoich dzieci? Prędko, dzieciaki, jedzcie swoją zupkę, bo wystygnie i krew się skrzepnie. Co powiedziała mama, kiedy miała okres? To samo. I my rzeczywiście śmiałyśmy się z tych okropnych żartów.

Z kolei wręcz niepokojąca była moda na opowiadanie o nękających nas koszmarach sennych, która zapanowała w szkole w okresie pomiędzy przesłuchaniem ostatniego ucznia a wybuchem Lakera Broome'a na modlitwie, w końcu marca. Dowodziła ona w większym stopniu niż te ponure tak zwane żarty, że coś złowieszczego legło się w sercu szkoły, a to, co dotychczas w skrytości przeżywał Tom Flanagan, ogarniało nas wszystkich. Modę tę wprowadził Bambi Whipple w czasie swej pełnej wolnych skojarzeń mowy wygłoszonej podczas któregoś nabożeństwa. Każdy z nauczycieli raz do roku prze-

92

L

popuszczają cugli swojej fantazji, robią dokładnie to, ^e czym ostrzegał pan Thorpe w ubiegłym tygodniu. Zdzi-Lcie się, ale znam przyczynę. Tą przyczyną nie jest nic innego .^ poczucie winy. Koszmary nocne powoduje świadomość winy- RQ(izA się one z obciążonego winą umysłu i duszy. Skażone winą umysł i dusza są niebezpieczne, szerzą zepsucie. Wy wszyscy jesteście dotknięci tą chorobą. Przede wszystkim nakazuję wam, żebyście przestali folgować sobie w tym niecnym procederze.

Usłyszałem, jak poza mną, w drugim rzędzie pierwszoklasistów Tom Pinfold szeptał do Marcusa Reilly'ego:

— Czy ma na myśli trzepanie kapucyna?—Reilly parsknął.

— Nie będzie już więcej... nigdy więcej... żadnych rozmów w tej szkole o koszmarnych snach. Gdyby jednak któregoś z was w dalszym ciągu gnębiły takie sny, to radzę mu zwrócić się do szkolnego psychologa. Jeżeli jednak ktoś dalej będzie zawracał nam głowę opowiadaniem o snach albo wywieszał doniesienia o nich w miejscach publicznych, zostanie usunięty ze szkoły. To wszystko w tej sprawie. Koniec.

Okulary znów powędrowały na swoje miejsce, a twarz dyrektora przybrała srogi wyraz czyhającego na ofiarę myśliwego.

— Po drugie. Mam zamiar wyrwać z korzeniami to ze psucie, które rozrasta się między wami i wystawić je na światło dzienne. Chłopiec opanowany tym przewrotnym szaleństwem nie zasługuje, by pozostać tu choćby minutę dłużej. Pozbędzie my się go w czasie tej modlitwy, panowie, ujawnimy, kto to jest. Chłopiec, który dokonał kradzieży w Szkole Ventnor, opróżni swoją szafkę w przeciągu tej godziny...

Ośmieliłem się rzucić okiem na tylne rzędy i ujrzałem twarz Szkieleta Ridpatha. Była bez wyrazu, jakby bujał w obłokach.

Pan Broome rzucił się naprzód z podium jak błyskawica i wskazał na Morrisa Fieldinga, który siedział po prawej stronie na końcu pierwszego rzędu.

— Ty! Fielding, czy ukradłeś tę sowę?

— Nie, panie dyrektorze — wy dobył z siebie Morris.

— Ty! — Palec przesunął się do Bobby'ego Hollingswortha.

Potem palec minął mnie i doszedł do drugiego rzędu uczniów z pierwszego roku. Zatkąło mnie ze zdumienia, bo 2<iałem sobie sprawę, że będzie przepytował każdego z setki chłopców zebranych w kaplicy.

Skończył z młodszymi i przeszedł do drugiego roku. Rzędy stały ciasno, przepychał się pomiędzy siedzeniami tak gwałtownie, że czasem uderzał o oparcia i rozsuwał je, ale nie

95

pusta, ale tylko do następnego ranka. Ktoś przyczepił Patrzyłem w oczy węża. Wąż otwierał swą paszczę coraz szerzej, aż w nią wpadłem.

Tak zaczęły się te dziwactwa. Tablica ogłoszeń stale pokryt była takimi kartkami. Ledwie pani Tute albo pani Olinger zerwała jedną, przypinano dziesiątki następnych. Ujawnia}* , one prawdę o tym, co kryło się za rumianymi twarzami dobrze odżywionych zamożnych uczniów. Czytaliśmy między inny. mi: ...rzuciły się na mnie wilki i wiedziałem, że umieram., sam wśród lodów, wśród ogromnych gór lodowych... dziewczyna z włosami jak wijące się żmije i splamionymi krwią palcami... znajdowałem się wysoko w powietrzu i nikt nie mógł ściągnąć mnie na dół, wiedziałem, że zostanę gdzieś uniesiony i zgine... ktoś niby-mężczyzna, ale bez twarzy, gonił mnie i wiedziałem, że nie zrezygnuje... I tekst zainspirowany z pewnością przez Williama Thorpe'a: Jakiś mężczyzna

kaleczył mi rękę nożem, wyklinał mnie i nie chciał słuchać moich błagań

0 litość...

Musiano zwołać w tej sprawie zebranie nauczycielskie. Biedny Bambi Whipple pojawił się bardzo niepewny siebie

1 zatroskany. Pan Thorpe grzmiał w zwykły sobie sposób — nikt nie śmiał przeciwstawić się mu. Pan Fitz-Hallan spokojnie poprowadził z nami dyskusję na temat nocnych koszmarów i usiłował powiązać je z bajkami Grimmów, które właśnie czytaliśmy.

Jednak prawdziwą oznaką zaniepokojenia grona nauczycielskiego modą na widzenia sensne było wspomniane już wystąpienie pana Broome'a w kaplicy. Niespodziewanie zastąpił on panią Tute i kiedy zobaczyliśmy go rozwścieczonego, zamiast bibliotekarki, od razu wiedzieliśmy, że coś się wydarzy-Laker Broome przypominał górę dynamitu. Po krótkim, apodyktycznym wezwaniu do Boga (Panie. Uczyn nas uczciwymi i dobrymi. Doprowadź nas do sprawiedliwości. Amen), zdjął okulary i zaczął je wyginać.

— Chłopcy, ten rok jest dla szkoły złym rokiem. Strasznym rokiem! Mieliśmy przykłady łamania dyscypliny, palenie papierosów, zaniedbania w nauce i kradzież, a teraz spadła na nas plaga czegoś tak obrzydliwego, wręcz zaraza, czego w całej mojej karierze wychowawcy nigdy nie spotkałem! Nigdy! W żyłach naszej szkoły krąży trucizna i wszyscy dobrze o tym wiecie. Niektórzy z was, być może skłonieni pewną niewyważo-ną uwagą, która padła z tego podium — skierował mrozące spojrzenie na Whipple'a — pozwalają sobie na niezdrowe fan-
94

czasie następnej lekcji wyglądałem przez okno na par-kjpg i widziałem, jak pan Thorpe odwiózł pana Broome'a na 3Ulwar Świętej Róży. Po godzinie pan Thorpe wrócił sam. Pan groome nie pokazał się w Carson przez dwa kolejne dni.

11

Znęcanie się

Następnego dnia po lekcji angielskiego mieliśmy wolny czas. Morris i jego trio dostali pozwolenie, żeby ćwiczyć na scenie, również Del otrzymał takie zezwolenie. Występy miały się odbyć już za trzy tygodnie. Morris puścił się natychmiast tylnymi schodami i widzieliśmy, jak dwaj chłopcy z drugiej klasy, z kontrabasem i bębniem, przepychali się przez wielkie drzwi wahadłowe w korytarzu na dole. Del, niezdecydowany, marudził przez chwilę koło szafki, zastanawiając się, jak będzie mógł wykonać sztuki bez partnera. Tom pozostawał w domu. Krążyły plotki, że to z powodu ojca, który został zabrany do szpitala, tym razem „na dobre”. Del wymamrotał:

— Lepsze to niż się uczyć — i poszedł za Morrisem.

— Myślę, że ten gość to homo — powiedział Bobby Hollingsworth.

Sherman kazał mu zamknąć jadaczkę. Po pięciu czy dziesięciu minutach spędzonych w bibliotece, zorientowałem się, że książkę, która jest mi potrzebna, zostawiłem w szafce. Dave Brick siedział przy stole naprzeciw mnie, ale on też zapomniał przynieść tę książkę, trzeba było sporo czasu, żeby to z niego wydobyć. Od chwili niezwykłego przedstawienia, jakie Laker Broome dał w kaplicy, Brick zachowywał się jak odurzony, ożywał się tylko na lekcjach algebry.

— Hej, ja też muszę zajrzeć do tej książki — wyszeptał nieco trzeźwiej. — Możesz wziąć moją, jak skończę — odpowiedziałem też szeptem i dostałem pozwolenie, żeby wyjść z biblioteki.

Znalazłem książkę w bałaganie na dnie szafki i zamierzałem wracać. Korytarze były puste. Odgłosy żywej rozmowy dochodziły z pokoju Fitz-Hallana, a gderliwe pomruki z gabinetu Whipple'a. Na końcu korytarza zaskrzypiały drzwi od pokoju uczniów ostatniej klasy i wysunął się z nich Szkielec Ridpath, wciąż z dziwnie nieprzytomnym wyrazem twarzy. Nagle jakby zeszytniał, odwrócił się i pobiegł przez pusty hol. „Co u licha?” pomyślałem. Przez grubą szybę zobaczyłem, że skręcił

zwracał na to uwagi. Wszyscy z przodu odwróciliśmy się, móc go obserwować. Widzieliśmy jego wyciągnięty i słyszeliśmy oskarżający, podniesiony głos.

— Ty, Shreck. Ukradłeś?

Dostrzegłem, że drżały mu ramiona pod niebieską, sam0 działową marynarką.

Pan Thorpe, który siedział na drewnianym krześle, na przodzie, wstał i szybko przeszedł przy bocznej ścianie na koniec kaplicy, żeby naradzić się z panią Olinger. Inni wy. kładowcy też skupili się wokół nauczyciela łaciny i panj Olinger.

— Ty! Wax. Wax! Spójrz na mnie. Ty to zrobiłeś?

— Nie, panie dyrektorze.

— Peters! Ty, Peters. Czy to ty?

— Och, nie, panie dyrektorze.

Obserwowałem z przerażeniem, jak Broome zbliżał się do Szkiele^a. Miałem nadzieję, a jednocześnie trochę bałem się, że Szkielet zacznie krzyżeć. Gdy Broome przesuwał się pomię dzy krzesłami w jego stronę, Ridpath nawet nie spojrział, tylko wciąż miał wzrok utkwiony w suficie. ^

Wreszcie Broome znalazł się przy nim.

— Ty. Ridpath! Ridpath! Spójrz na mnie. Ty ukradłeś?

Nie było odpowiedzi.

— Odpowiedz mi!

Wciąż to niesamowite milczenie.

— Ukradłeś?

I wtedy wszyscy usłyszeliśmy, jak Szkielet cedząc słowa, odpowiedział:

— Ja nie, proszę pana. W ogóle o tym zapomniałem.

— Aaaaach! — Broome podniósł pięści do góry i jęknął.

Nauczyciele z końca sali wychylili się do przodu, bojąc się jednak poruszyć — wszyscy poza panem Thorpe'em, który zwawo postąpił dwa kroki w stronę dyrektora. Broome powstrzymał go skinieniem ręki.

— No dobrze. Następnj. Ty, Teagarden? Czy to ty?

I szło tak dalej, dopóki ostatni uczeń nie odpowiedział „nie” Pan Broome stał na końcu przejścia, plecami odwrócony do zebranych. Jego ramiona drżały. Bałem się, że się odwróci i zacznie wszystko od początku. Spojrzałem na zegarek i zobaczyłem, że minęła już pierwsza lekcja. Wtedy zabrzmiał dzwonek.

— Dobrze — powiedział pan Broome. — Jeszcze nie skoń czyliśmy. Jeden z was okłamał mnie i to dwa razy. Jeszcze z nim porozmawiam. Rozejść się.

Zaraz, poczekaj chwilę — zabrzmiał głos Fieldinga.

— Czekać? Czekać? A co innego, do diabła... — Szkielet nodniósł na wysokość czoła kościste pięści. — Nie mów mi, że jnam czekać — zasyczał. — Tu nie twoje miejsce. — Mówił do jjjorrisa, ale patrzył na Dela Nightingale'a. — Ostrzegałem cję.— dodał. Potem obrócił głowę w stronę Morrisa: — Odsuń się od tego zapieprzonego fortepianu. — Zaczął przysuwać się do Morrisa, wykonując kanciaste ruchy, a Morris zręcznie zerwał się ze stołka. Prawie łkając Szkielet powiedział:

— Do jasnej cholery, dlaczego mnie nie słuchacie? Dlaczego nie uważacie na to, co mówię? Odsuń się od tego... O, Chry

ste! — Wbił pięści w oczy i pomyślałem, że może rzeczywiście płacze. — Już na to za późno. O Jezu. Przekłęte szczeniaki. Dlaczego musicie się tu pętać?

— Ćwiczmy, durniu — odparł Morris. — A ty, co myślałeś?

— Nie do ciebie mówię — powiedział Szkielet i odjął ręce od oczu. Twarz miał wilgotną i szarą.

Morris otworzył usta.

— Myślisz, że wiesz wszystko — spokojnie powiedział Szkielet do Dela.

— Nie — zaprzeczył Del.

— Myślisz, że jest twoją własnością. Ale byś się zdziwił!

— Nikt nie jest niczyją własnością — oznajmił Del, co raczej mną wstrząsnęło.

— Ty zasrany gówniarzu! — wybuchnął Szkielet. — Nie wiesz nawet, o czym mówisz. I ty myślisz, że powinienem czekać. Do diabła. Wiem tyle samo co ty, Florencjo. On mi pomaga. Chce mnie poznać.

Teraz i Morris, i ja nie mieliśmy wątpliwości, że Ridpath kompletnie zwariował, a to, co nastąpiło później, tylko potwierdziło nasze przypuszczenie. Mimo przerażenia, jakie go opanowało, Del zdobył się na odwagę, żeby potrząsnąć głową. To rozwścieczyło Szkieleta. Zaczął drzeć, bardziej nawet niż Laker Broome podczas przesłuchiwań w kaplicy poprzedniego dnia.

— Ja ci pokażę! — krzyknął i rzucił się na Dela. Szkielet uderzył chłopca w twarz dwa razy, mocno i rozkazał: — Zdejmuj marynarkę i koszulę, ty cholero, chcę zobaczyć gołe ciało.

— Słuchaj, dajże spokój — odezwał się Morris. Szkielet odwrócił się w naszą stronę i wzrokiem niemal przymurował nas do sceny.

— To nie wasza sprawa. Nie ruszać się, bo i na was przyjdzie kolej.

Potem szarpnął za ciemną marynarkę Dela i ściągnął ją.

99

i zbiegł schodami. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że usłyszeć fortepian.

— Och, nie — powiedziałem głośno i zacząłem szybko iść korytarzem. Myślałem właśnie pokój uczniów ostatniej klasy gdy zobaczyłem, że górny lewy róg drzwi prowadzących na scenę zakołysał się. Pognałem w dół schodami i otworzyłem drzwi, przez które akurat wychodzili Brown i Hanna, chłopcy z drugiej klasy grający razem z Morrisem.

— Nie wchodź tam—powiedział Hanna i wbiegł na schody. Brown starał się wraz ze swoim kontrabasem precyzyjnie przejść przez wejście i patrzył na mnie jak na wariata. Dochodził do mnie głos Ridpatha, ale nie mogłem odróżnić słów. Brown zostawił oparty o ścianę, brzęczący jeszcze instrument i przemknął przez drzwi.

Wszedłem w mrok.

— ... i żebyście tu nie wracali, bo poobcinam wam jaja — usłyszałem Szkieleta. — A teraz zjeżdżajcie obaj.

Najpierw zobaczyłem bladą twarz Morrisa nad fortepianem; był przestraszony. Potem ujrzałem Dela stojącego koło stołu przykrytego czarnym aksamitem. Zwrócił się w moją stronę. Widać było, że też się boi. Przedemną, w odległości około dziesięciu stóp, chwiały się wydłużone plecy

Szkieleta. Z pozycji jego głowy zorientowałem się, że patrzył na Dela.

— Mają prawo być tutaj — oświadczyłem i miałem zamiar mówić dalej, ale Szkielet obrócił się i słowa zamarły mi w gardle. W życiu nie widziałem nic podobnego do jego twarzy. Wyglądał jak diabeł, diabeł pożerany obłędem. W słabym świetle, policzki jego wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte, a usta jakby gdzieś zniknęły. Włosy i skóra przybrały tę samą szarą, matową barwę. Wyglądał, jakby miał sto lat, czaszka unosiła się nad za obszernym ubraniem. W bezbarwnej twarzy płonęły oczy, z których wydobywał się głośny, lecz niemy krzyk przepojony bólem. Zamilkłem.

— Jeszcze jeden?! Jeszcze jeden?! — ryknął i rzucił się w moją stronę. Oświetlenie zmieniło się i jego twarz wróciła do normalnego wyglądu, czerwone worki pod oczami były wyjątkowo duże. — Niech cię diabli wezmą — powiedział *, nie zmienionym wyrazem oczu i zanim mnie uderzył, miałem czas pomyśleć, że widziałem prawdziwego Steve'a Ridpatha, tego który krył się za jego twarzą i przezwiskiem. Wymierzył mi cios pod żebra, złapał za klapy marynarki, zakręcił mną i popchnął między Dela i Morrisa.

Krew łomotała mi w uszach i ledwie usłyszałem stuk drewna o drewno — to Morris spokojnie zamknął przykrywą fortepianu.

98

długopis Dave'owi Brickowi—obraz zdrowej szkoły—nasunął i się mej wyobraźni podświadomie, nie myślałem bowiem, iż one oba są jak dwa punkty połączone linią prostą na jakimś wykresie.

— Ty mały zasmarkany bogaczu — wycedził Szkielet. — Ty masz wszystko. — Odsunął się od Dela, spojrzął dziko na Fieldinga i na mnie i postąpił w naszą stronę. Cofnęliśmy się. Szkielet nagle powiedział słowo „ptak” jak ktoś, kto nie zdaje sobie sprawy, że w ogóle coś mówi, odwrócił się i pobiegł w kierunku drzwi.

Usłyszeliśmy, jak się zatrzasnęły, a potem zapadła cisza.

12

Było tak, jakby gdzieś w przepastnej ciemności zabrzmiały czynele, a ich brzęczący dźwięk sparaliżował nas, trzymał nas tu, nie pozwalając się ruszyć. Morris i ja upadliśmy na deski sceny. Del zsunął się ze stołka i leżał koło fortepianu.

Wreszcie zacząłem czołgać się do niego na czworakach, Morris za mną. Twarz Dela była usmarowana. Okazało się, że był to kurz, który rozmazywał się na wilgotnej od łez twarzy.

— To nie ma znaczenia—powiedział Del.—Daj mi koszulę.

— Nie ma znaczenia? — zdumiał się Morris, wstał i poszedł po odrzuconą koszulę. — Teraz wydała go ze szkoły. Jest skończony. Pobił cię. Spójrz na swoje plecy.

— Nie mogę spojrzeć na swoje plecy — stwierdził Del.

Podniósł się na kolana i oparł ręką o stołek. — Czy mogę prosić

0 koszulę?

Morris wstał blady i podał mu ją. Twarz Dela była czerwona, ale spokojna.

— Mam ci pomóc, żebyś mógł się podnieść?—spytał Morris.

— Nie.

Wszyscy trzej usłyszeliśmy, jak znów otworzyły się drzwi

1 Morris ze świstem wciągnął powietrze, ja i Del prawdo podobnie uczyniliśmy to samo.

— Jesteście tu? — zabrzmiał znajomy głos. — Nie mogę Was znaleźć. — W pierwszej chwili myśleliśmy, że wrócił

Szkielet. — Wszędzie was szukałem — mówił Dave Brick, Wyłaniając się z ciemności. — Macie tę książkę? Święta krowo! — wykrzyknął, gdy zobaczył nas: Morrisa i mnie z Przerażeniem, a Dela z wojennym tatuażem na twarzy. —

Del zaczął pośpiesznie rozpinąć koszulę, która połyskiwała w przyćmionym świetle. Mimo tego pośpiechu, wydawał się spokojny, jakby to, że ma coś do roboty, pomagało mu opanować strach. Na policzkach miał purpurowe plamy, ślady uderzeń Szkieleta. Odezwał się Morris:

— Nie rób tego, Del.

Szkielet znów obrócił się do nas.

— Jeśli odezwiecie się choćby jednym słowem, którykolwiek z was, to zabę, jak Boga kocham.

Uwierzyliśmy mu. Był od nas wyższy i silniejszy, i do tego wściekły. Spojrzałem na Morrisa i zobaczyłem, że się boi i że tak samo jak ja nie jest w stanie pomóc Delowi.

— Ty pieprzona Florencjo — wymamrotał Szkielet. — Dla czego musisz tu być? No dobrze, już ja cię wprowadzę w życie. — Twarz ściągnęła mu się i zbladła, a potem zrobiła się szaroczerwona. — Swoim paskiem. Pochyl się nad tym stołkiem.

Morris wydał jakiś chrapliwy dźwięk i wyglądał, jakby miał zemdleć albo zwymiotować. Del opuścił błyszczącą, jedwabną koszulę na zakurzoną podłogę i podszedł do stołka przed fortepianem. Ukląkł i oparł się o ten stołek, wystawiając białe, chłopiące plecy. Szkielet oddychał bardzo dziwnie. Odpiął pasek, wyciągnął i złożył go we dwoje. Przez chwilę patrzył na Dela i zobaczyłem na jego twarzy ten wyraz, który widziałem już poprzednio: rozpaczliwą desperację i nieufność, a równocześnie pragnienie pewności, wszystko zmieszane ze strachem. Jęknąłem ze zgrozy. Szkielet nie wahał się. Przysunął się do chłopca, stanął z tyłu, podniósł złożony pasek i przeciągnął nim po plecach Dela.

— Och, Jezu — powiedział, lecz Del milczał. Po chwili, w miejscu, gdzie uderzył, wystąpiła czerwona pręga.

Szkielet znów podniósł pasek, twarz miał napiętą z wysiłku.

— Nie! — krzyknął Morris.

Pasek spadł ze świstem na plecy Dela. Del szarpnął się i zamknął oczy. Płakał po cichu. Szkielet powtórzył swą osobliwą modlitwę.

— Och, Jezu. — Podniósł pasek i znów go spuścił.

Del trzymał nogi stołka od fortepianu. Widziałem, jaTfc łyzy ściekały mu po brodzie i spadały na podłogę.

I to jest ten drugi obraz, który tak mocno utkwiał mi w pamięci z okresu pobytu w Carson. Trzy pręgi z pęczkami na białych plecach Dela Nightingale'a, pochylony Szkielet z wykrzywioną twarzą i z paskiem w ręku. Pierwszy obraz, widok pana Fitz-Hallana ofiarowującego z ironicznym uśmiechem

100

— Poruszyłeś stołkiem — powiedział Morris. Brick pochylił się i podniósł sowę. — To dlatego. Poruszyłeś stołkiem.

— Nie — oświadczył Del, ale nikt nie zwrócił na niego uwagi.

— No tak — mówi Brick. — Obaj poruszyliśmy.

— I to dlatego — stwierdził Morris. — Szklane sowy nie mogą fruwać. — Znów się schylił. — Co my tu jeszcze mamy? — I zaczął wyciągać arkusze egzaminacyjne, jeden po drugim. — Teraz wiem, czemu wciąż tu się zakradał. Chciał sprawdzić, czy

wszystko jest tak, jak zostawił. Jak wszyscy się o tym dowiedzą, to nie zagrzeje w szkole ani minuty dłużej.

— Teraz mamy go jak na tapecie! — wykrzyknął Brick oszołomiony nagłą radością.

Del popatrzył na nas wszystkich i powiedział:

— Nie. — Wyciągnął prawą rękę w stronę Bricka i Dave podszedł i położył mu sowę na dłoni.

— Zaczekaj! — zawołał Morris, ale Del wznosił już ramię do góry. Cisnął sowę na scenę, uderzyła z hukiem i rozpadła się na milion błyszczących kawałeczków. Dave gapił się przez chwilę na niego osłupiały, a potem rozplakał się.

Del wyszedł na moment przed dzwonkiem na następną lekcję.

— No i co robimy? — spytał Brick, ocierając twarz ręką wem.

— Idziemy do klasy — oświadczył stanowczo Morris.

— A potem? — zapytałem.

— Znajdziemy kogoś, komu można będzie to powiedzieć — oznajmił Morris.

— Mam w związku z tym wszystkim jakieś dziwne uczucie — przyznałem się.

— Że może Del nie będzie chciał nam pomóc? — Morris wzruszył ramionami. Był zakłopotany.

— Ta sowa — wymamrotał płaczliwie Brick. Wszyscy trzej spojrzeliśmy na leżące na scenie szczątki. Nic nie przypominało sowy.

— Wcale nie wytrząśliśmy jej ze stołka — oznajmił Brick.

— Musieliście to zrobić — powiedział Morris.

— Nie — odezwałem się, jakbym był echem Dela. „Nie” to było wszystko, co powiedział Del od chwili, gdy wybiegł Szkielet. Wciąż jeszcze słyszałem niesamowity szum, jaki rozległ się, gdy leciała nad sceną.

— Do licha — rzekł Morris. — Musimy iść. — Spojrzał na wierząc w dalszym ciągu, że jednak coś sensownego

103

Święta krowo! — powtórzył, gdy zbliżył się na tyle blisko, by ujrzeć plecy Dela, który usiłował wdziać koszulę. — Co wyście tu robili?

— Nic — odparł Del.

— Szkielet uderzył go paskiem — powiedział Morris, wstając i otrzepując z kurzu kolana. — Postradał zmysły.

— ...pasem...? — Brick zrobił ruch, chcąc Delowi pomóc włożyć marynarkę, ale Del odsunął go.

— Naprawdę zwariował? Nic ci nie jest, Del?

Del potaknął, że nie i odwrócił się od nas.

— Boli cię?

— Nie.

— Teraz naprawdę będziemy mogli pozbyć się Szkieleta —? upierał się Morris.

Brick nie mógł uwierzyć.

— Ojej... — usiadł na stołku przy fortepianie. — Tutaj? — zapytał głupio. — W szkole?

Morris spoglądał w zamyśleniu na fortepian i na stołek.

— Wiecie, co myślę? Myślę, że to już po raz drugi Szkielet wpadł we wściekłość, kiedy zobaczył, że gram na fortepianie.

— Nie żartuj — powiedział Brick i spojrzał ze zdumieniem na fortepian.

— Dlaczego? — zastanawiał się Morris. — Wiem. Ponieważ schował tu coś i nie chce, żeby ktoś to znalazł. Czy nie brzmi to rozsądnie?

Brick i ja spojrzeliśmy na siebie, wreszcie pojmując.

— Mój Boże — wyszeptalem. — Zejdź z tego stołka, Brick.

Brick wstał i razem unieśliśmy siedzenie, Morris patrzył z ciekawością. Brick krzyknął. Coś małego wypadło spod siedzenia, jakiś mały srebrzysty przedmiot zabrzączał jak żuk. Krzyk Dave'a Bricka wyrwał Dela z odrętwienia. Del odwrócił się i razem z nami w zdziwieniu patrzył, jak z wyraźnym szumem przedmiot przefrunął nad sceną i z głuchym odgłosem upadł przy leżącej kurtynie.

— Co to takiego? — spytał Morris.

Brick ciężkim krokiem przebiegł przez scenę i schylił się, ale cofnął rękę.

— To ta sowa. Z Ventnor.

— Ależ ona fruwała... — nie wierząc sobie, "powiedział Morris.

— Fruwała — powtórzyłem.

— Tak — potwierdził Del.

Spojrzałem na niego i zdumiał mnie cień uśmiechu, jaki przemknął mu po twarzy.

102

,jować się na scenie. Steven Ridpath oczywiście nie mógł o tym „riedzieć. Być może działał nieroztropnie, ale działał w interesie przestrzegania dyscypliny. Prosiłem pana Hillmana, żeby obejrzał plecy swego wnuka i oznajmił mi, że nie widział nic takiego, co wskazywałoby na pobicie, jak ty i Fielding utrzymujecie.

— Żadnych śladów? — Nie mogłem uwierzyć.

— Absolutnie żadnych. Jak to wytłumaczysz?

Pokręciłem głową. Te pręgi nie mogły tak prędko zniknąć.

— W takim razie, ja ci wytłumaczę. Nic takiego nie wyda rzyło się. Wierzę Stevenowi Ridpathowi, gdy mówi, że kazał młodemu Nightingale'owi zrobić parę pompek i uderzył go przez marynarkę i koszulę, ponieważ pompki robił niedbale. Inicjacja w życie szkolne wprawdzie oficjalnie skończyła się, w wyjątkowych jednak okolicznościach szkoła przemyka oczy na jej ciągłe funkcjonowanie. Gdy mamy przekonanie, że dzieje się to w celu przestrzegania porządku.

— Porządku — powtórzyłem.

— To jest coś, o czym wydaje się, wiesz niewiele. Ale mówmy dalej. Oczywiście nie znaleźliśmy na scenie żadnych szczątków sowy z Ventnor, ponieważ nigdy jej tam nie było. Owszem, znaleźliśmy arkusze egzaminacyjne wypełnione pis mem młodego Ridpatha, które były wykorzystywane przez niego jako pomoce naukowe po zakończeniu egzaminów.

— To przecież nie ma sensu. Korzystał z nich jako z pomocy naukowej po egzaminach?

— Dokładnie tak. Powtarzał stary materiał. I muszę powie

dzieć, że jest to bardzo rozsądne.

— A więc ujdzie mu to na sucho? — Nie mogłem się powstrzymać, żeby tego z siebie nie wyrzucić.

— Cisza! — Pan Thorpe uderzył w metalowe biurko, aż ołówki podskoczyły. — Weź pod uwagę, chłopcze, że chcemy być wobec ciebie wyrozumiali. Ponieważ od pięćdziesięciu lat członkowie rodziny Fieldinga uczęszczali do Szkoły Carson, a on myśli, że widział to samo co i ty mówisz, że widziałeś, pan Fitz-Hallan i ja doszliśmy do wniosku, że nie zamierzaliście świadomie wprowadzić nas w błąd. Ale zbyt szybko wyciągasz wnioski i zastępujesz wyobraźnią to, co rzeczywiście dostrze gasz, i jest to typowy przykład absurdalności, która opanowała szkołę i przeciwko której pan Broome tak stanowczo występuje. — Myśl o tym wzmogła jeszcze jego wściekłość. — Takie dziwactwa, jakie mieliśmy tu w ubiegłych miesiącach, Przechodzą moje wyobrażenia. Być może niektórzy powinni Poddać się specjalistycznym badaniom. — W tym momencie

105

wyniknie z faktu, że jeden uczeń zbił drugiego paskiem a szklana sowa przeleciała trzydzieści stóp nad sceną. -^ Fitz-Hallan bardzo cię lubi. Może byś z nim o tym porozmawiał? Skinąłem głową. Idąc do klasy, przechodziłem koło pokoju starszych. Ktoś śmiał się. Przeszły po mnie ciarki. Atawistycz-na wiedza jaskiniowca powiedziała mi, że był to śmiech Szkiele-ta Ridpatha i, że jest sam. Na przerwie poszedłem do Fitz--Hallana, ale to na nic się zdało. Szeregi Carson były zwarte, nie dopuszczały żadnej zdrady.

13

Thorpe

— Rozmawiałem z panem Fitz-Kallanem, a wczoraj wieczorem skomunikowałem się z Nightingale'em i z jego dziadkami, państwem Hillmanami. Dziś rano mówiłem z Morrisem Fieldingiem, a teraz muszę cię spytać, czy chciałbyś może coś zmienić w swojej opowieści, ze względu na jej zupełnie nie zwykły charakter? — Pan Thorpe spoglądał na mnie, kontrolował swój gniew, ale czułem, że jest wzburzony. Byliśmy w gabinecie, z którego Thorpe korzystał jako zastępca dyrektora, było to gołe pomieszczenie po drugiej stronie korytarza, naprzeciw biur sekretariatu. Pan Fitz-Hallan siedział na krześle obok pana Thorpe'a, ja stałem przed metalowym biurkiem. Pan Weatherbee, mój wychowawca, stał koło mnie.

— Nie, panie profesorze — powiedziałem. — Ale czy mogę zadać jedno pytanie?

Skinąłem głowę.

— Czy rozmawiał pan również ze Steve'em Ridpathem? Zamrugnął oczami.

— Dojdziemy do tego w swoim czasie. — Ułożył trzy leżące na biurku ołówki zaostrozonymi końcami w moją stronę; wyglądały jak rząd maleńkich pali. — Po pierwsze, chłopcze, zupełnie nie mogę pojąć, jaki cel możesz mieć w wymyśleniu tej nieprawdopodobnej historii. Mówiłem ci, że rozmawiałem z młodym Nightingale'em. Absolutnie zaprzecza, że został zbity paskiem. Przyznaje, że syn pana Ridpatha, uczeń drugiej klasy, spotkał was na terenie normalnie niedostępnym dla młodszych

i zganił was za to, że tam przebywacie. — Podniósł rękę, żeby nie dopuścić mnie do protestu. — To prawda, że dwaj z was, Morris Fielding i Nightingale, mieli pozwolenie znaj-

104

czy dyrektor zdoła się utrzymać na stanowisku. Co za okropny rok! Wziął ze stojącego przed nim podnóżka aluminiową rynienkę od obiadu i wychodząc z pokoju, zabrał też nie dojedzony posiłek Steve'a. Chłopak uśmiechnął się blado, jakby dziękując albo kpiąc sobie z niego.

Dzięki Bogu, że Billy Thorpe nigdy nie widział pokoju Steve'a. To bowiem był problem. Każdy chłopak, który żył wśród takich śmieci, zdolny był zbić paskiem młodszego kolegę i oszukiwać na egzaminie.

Do diabła, Steve nie oszukiwał.

Czy naprawdę?

Ridpath zgniótł dwie pofalowane rynienki i wrzucił do worka z odpadkami. Marnotrawstwo. Jego ojciec byłby mu dobrze przetrzepał skórę za wyrzucanie jedzenia. A spojrzeć na Steve'a — jeśli mu mucha siądzie na nosie, to nawet jej nie zgoni. Trzeba z nim porozmawiać. Przez cały długi dzień mówisz do dzieciaków. Besztasz ich. Lepsze to niż nic. Nie, to nie jest lepsze. Czasem, gdy coś opowiadał, widział twarz Steve'a. Obojętność. Bez wyrazu, jak twarz nieboszczyka. Nawet kiedy Steve był chłopaczkiem w krótkich spodenkach i zdarzało się, że dał mu w tyłek, to na buzi tego gówniarza pojawiał się ten sam wyraz... O Jezuu, jak to dobrze, że Billy Thorpe nigdy nie widział tego straszliwego rozgardiaszu w pokoju Steve'a. Jeżeli ten chłopak tylko to miał w głowie... Powinienem pójść tam i pozrywać te wszystkie ohydne śmieci, po prostu pozrywać. Potem powiedzieć mu, dlaczego. Dla jego dobra. Już dawno powinien to zrobić. Nie, najpierw powiedzieć mu dlaczego, a potem pozrywać. Ale, oczywiście, było już na to za późno. Od jak dawna tak naprawdę nie rozmawiali ze sobą? Cztery lata? Dłużej?

Chester skończył wycierać srebrne sztućce, przeszedł przez nie sprzątniętą bawialnię i stanął u stopni schodów. Przynajmniej nie brzmiała ta barbarzyńska muzyka. Tak jak jego dobre stopnie mogły to być znakiem, że Steve zmądrzał, że jest już na tyle dojrzały, żeby wiedzieć, iż pora spalić ten cały przekłety śmietnik, zapomnieć o tym i wykrzesać w sobie nowy zapach. Czy nie to powinien ojciec powiedzieć synowi?

— Zajęty jesteś, Steve?! — zawołał w górę schodów. Nie było odpowiedzi. — Może byśmy pogadali?! — Zdziwił się, bo serce zabiło mu szybciej.

Steve nie słuchał. Przemierzał sypialnię, stukając butami w linoleum — łup, łup.

— Steve?

107

rzucił palące spojrzenie na Fitz-Hallana. — Szkoła nie jest miejscem, gdzie można puszczać wodze fantazji. Świat nie jest miejscem, gdzie można puszczać wodze fantazji. Powiedziałem już to Morrisowi Fieldingowi. Panie Weatherbee...

Wychowawca wyprostował się.

— Powinien pan zwracać baczniejszą uwagę na pierwsze objawy hysterii wśród uczniów pierwszej klasy. Tutaj w Carson, nauczyciele muszą robić znacznie więcej niż tylko uczyć.

Kiedy nasza klasa poszła do szatni, żeby przebrać się przed rozgrywkami w siatkówkę, spojrział ukradkiem na plecy Dela Nightingale'a, gdy ściągał koszulkę. Nie było śladów. Morris Fielding zauważył to również. Przypomniałem sobie, jak szklana sowa pofrunęła albo wydawało się, że pofrunęła ze stołka z furkotaniem jak żuk i z wyrazu twarzy Morrisa wiedziałem, że on też o tym myśli. I chociaż chciałem wykorzystać minuty przed grą, żeby pomówić z Delem, teraz zrezygnowałem, czując coś niesamowitego w tej historii.

Ojciec Toma zmarł w końcu marca. - ?

14

Słyszę cię

Chester Ridpath wyłączył stary dwunastocalowy telewizor w bawialni i spojrział ukradkiem na

syna, który zjadł tylko pół porcji, reklamowanego przez TV, dania z kurczaka firmy Swanson. Ten dzieciak głodzi się — stale zapomina, że przed nim stoi jedzenie i patrzy tępo w przestrzeń jak jakiś nieboszczyk przywrócony do życia przez afrykańskiego czarnoksiężnika albo jakieś dziwadło z tych jego ulubionych filmów, coś co tylko udaje, że jest normalne... Chester natychmiast odsunął te myśli i wrzucił do otchłani zapomnienia, gdzie składował wszystko, co przyszło mu do głowy, w związku z tym „niejasnym” wydarzeniem sprzed dwóch tygodni. Stary Billy Thorpe wziął Steve'a w obronę, ale Ridpath dostrzegł, iż pomimo lojalności wobec kolegi, Billy nie miał pewności, że postąpił słusznie — zachowywał się jak piłkarz, który strzelił samobójczego gola. Wszyscy, oczywiście, mieli w pewnym stopniu podobne uczucie, a od załamania nerwowego Lakera Broome'a po jego mowie w kaplicy nikt nie miał pewności,

106

To niemożliwe, ale przecież musi być jakiś powód, że nie widzi, jak mokasyny Steva przechodzą za drzwiami... jakiś powód... te przekłete dzieciaki i ich nie kończące się rozmowy o złych snach. „Unosiłem się w powietrzu i nikt nie mógł ściągnąć mnie na dół”. Chester Ridpath poczuł, że robi mu się zimno. Szmer w lewej stronie pokoju i — w moment później — w prawej stronie.

— Przyjdź porozmawiać, jak skończysz — powiedział Ridpath, właściwie do siebie.

To było w piątek wieczorem. Chester Ridpath zbiegł do sutereny i odkorkował butelkę „Cztery Róże”, którą trzymał ukrytą pod swym warsztatem stolarskim.

15

W dwie niedziele później Tom Flanagan po raz pierwszy od dnia pogrzebu ojca opuścił matkę. Po śmierci Hartleya Flana-gana jego syn i żona byli niemal nierozłączni; razem poszli do zakładu pogrzebowego, żeby załatwić wszystkie formalności, razem spożywali każdy posiłek, razem spędzali wieczory rozmawiając. Pan Bowdoin, agent ubezpieczeniowy, poinformował oboje, że Hartley Flanagan zostawił wystarczającą sumę na opłacenie wszelkich rachunków w nadchodzącym roku. Razem omówili z wielebnym Dawsonem Tyme'em szczegóły ceremonii pogrzebowej. Tom siedział obok Racheli, kiedy przeprowadzała rozmowy telefoniczne. Towarzyszył jej, kiedy płakała. Siedział wówczas koło niej i nic się nie odzywał. Kiedyś powiedziała:

— Lepiej, że odszedł, tak bardzo cierpiał.

Siedział po przeciwnej stronie pokoju na niewygodnym wiktoriańskim krześle, kiedy tłusty wielebny pan Tyme powrócił i usadowił się obok matki na kanapce i kiedy mówił:

— Każda tragedia ma swe miejsce w Bożych planach. —

Wiedział, że oboje mają sceptyczny stosunek do sensu tych planów i nie ufają nikomu, kto się na nie powoływał.

Tom wraz z matką robił sprawunki. Razem witali w drzwiach gości odwiedzających ich. Chłopiec stał przy matce w zatłoczonej sali pogrzebowej podczas tak zwanej wizytacji. Wreszcie w ciepłą niedzielę stał z nią nad grobem i zdał sobie sprawę, że był to pierwszy kwietnia, czyli prima aprilis. Patrzył na tłum kolegów ojca, na ich żony, na innych przyjaciół Hartleya, na kuzynów. Na niektórych twarzach widział smu-

109

Łup, łup, kroki odbijały się echem w sercu ojca. Wszedł na schody i zatrzymał się na stopniu, z którego mógł widzieć drzwi pokoju syna. Były zamknięte. Przez szczelinę nad progiem, znajdującą się akurat na wysokości jego oczu, dostrzegł zelówki butów Steve'a. Łup, łup, łup, łup. Steve maszerował z jednego końca pokoju w drugi jak metronom. Gdy dochodził do ściany, odwracał się i szedł z powrotem w prostej linii. Kiedy tak maszerował, mruczał coś do siebie. Chesterowi wydawało się, że brzmiało to: słyszę cię, słyszę cię. Słyszę, łup, cię, łup, słyszę, łup, cię, łup...

— No dobrze, słyszysz mnie — odezwał się — może w takim razie zejdziesz wypić piwo ze starszym panem? — W gardle mu zaschło. U licha, można by pomyśleć, że boi się własnego syna. — Piwo to niezły pomysł, co? — Sam sobie wydał się patetyczny.

Słyszę, łup, cię, łup, słyszę, łup, cię, łup, słyszę, łup... Czarne podeszwy butów znów pojawiły się w szczelinie, raz, dwa, lewa, prawa, powracają znów za pięć czy sześć sekund, znikają.

— Piwo? — wymamrotał Chester i zdał sobie sprawę, że to nie jego słucha Steve.

Czasem Steve zachowywał się tak, jakby był w innym świecie, gdzieś w przestrzeni kosmicznej.

— Aaach — Steve wydał nieokreślony jęk, gdy znów przeszedł koło drzwi. Wyglądało to tak, jakby ktoś skończył coś mu wyjaśniać.

Wtedy Ridpath, z twarzą przyklejoną do słupków balustrady schodów, przypomniał sobie straszny sen, musiał to być sen z poprzedniej zimy — ogromny ptak dobijał się do okna Steve'a, tłukł szyby, drapał szponami mur i uderzał skrzydłami...

— Och, mój Boże — wyszeptał.

Steve znów jęknął, ale tym razem Ridpath nie zobaczył czarnych podeszew mokasynów przechodzących koło drzwi.

Walenie skrzydłami, aż się dom trzęsie i ten okropny dziób, który przekrzywia się z jednej strony na drugą... Ridpath nagle nabrał irracjonalnego, dziwaczego przekonania, że ten ptak z sennego koszmaru znajduje się na górze, yv pokoju Steve'a...

Łup, jedna noga postąpiła w lewą stronę pokoju, gdzie było okno, potem łup, łup i obie nogi przeszły na prawo. Łup, jakby dotknął ściany pokoju z oknem... jakby ten koszmarny ptak prznosił go tu i tam, a radość, jaką dawał chłopcu ten lot, wydobywała z jego gardła okrzyki: aach, aach.

108

wszędzie była soczyście zielona. Markizy w paski osłaniały wóelkie okna. Na tym przedmieściu nikt nie spacerował. Co Del robił tutaj w tej niemal zjawiskowej, sztucznej scenerii, wśród basenów kąpielowych i tenisowych kortów? Państwu Hillma-nom z pewnością to miejsce odpowiadało, ale nie mogło być tym, czego pragnął Del. Ale — przyszło Tomowi do głowy, gdy wkroczył na krętą, pochyłą ulicę — było to właśnie miejsce, którego pragnęła dla nich szkoła. Istotnie wielu kolegów już tutaj mieszkało. Howie Stern i Marcus Reilly, Tom Pinfold i Pete Bayliss, sześciu uczniów z drugiej klasy dojeżdżało do Carson autobusem, który szkoła wysyłała na Quantum Hills. Wszystkie surowe przepisy obowiązujące w Szkole Carson miały na celu doprowadzenie ich w przyszłości do takiego właśnie miejsca. Gdyby nie poznał Dela, gdyby jego ojciec nie umarł, nigdy nie przekonałby się, jak bardzo jest mu ono obce. Przedtem wyobrażał sobie, że w przyszłości ma szansę dostać się na Quantum Hills i to bez trudu jak po wyslizganym torze. Teraz stwierdził, że nie odpowiada mu to miejsce, to życie. Doznał wstrząsu. Teraz własną przyszłość wymyśli sam, jak to robił Del.

Przez moment wydało się Tomowi, że lśniąca czerń jezdni podnosi się i oblepia mu mankiety spodni, że blade niebo pociemniało od kłębiących się czarownic. Na cienkiej gałązce zaskrzeczał szpak i wlepił w niego czarne oczka. Świat zachwiał się. Minęło to równie szybko, jak pojawiło się. Ulica opadła, niebo rozjaśniło się, domy znów stały prosto. Tom znalazł się przed posiadłością, którą nabyli dziadkowie Dela.

Była to klasyczna budowla z Quantum Hills, największa na tej ulicy, wznosząca się na środku dużego trawnika. Drzew tam nie było. Szeroki, asfaltowy podjazd prowadził pod sam dom, oświetlały go lampy osadzone na wysokich, ciemnych słupkach. Przy stopniach wejściowych umieszczona była żelazna figura małego, czarnego chłopaka, który trzymał w wyciągniętej ręce błyszczące, metalowe kółko. Dom był nowoczesny, trochę w stylu mauretańskim i wraz z całym otoczeniem świadczył o bogactwie jego nowych właścicieli.

Tom mozolnie posuwał się wzdłuż podjazdu, przeszedł koło samochodu Hillmanów i posągu chłopca, i wszedł na schody. Czuł, jak w piersiach coś mu drży. Przycisnął dzwonek i cofnął gwałtownie dłoń, jakby obawiał się porażenia. Białe drzwi rozsunęły się i Bud Copeland spoglądał na niego z uśmiechem.

ni

tek, na innych zniecierpliwienie, a także zażenowanie. Nie było czasu, żeby z kimkolwiek porozmawiać, nawet z Delem Musieli wracać do domu, aby ugościć przybyłych żałobników „Podnieś się z tego grobu”, mówił w myślach do ojca, „wyjdz stamtąd i bądź znów z nami”, ale nic się nie wydarzyło a wielbny pan Tyme przemawiał u grobu, udając, że był przyjacielem zmarłego. Kwietniowy wietrzyk wiał piaskiem na mogiły i poruszał kwiaty. Kiedy ceremonia skończyła się, on też płakał i nie chciał odejść od grobu. Patrzył na tłustego, pachnącego miętą Dawsona Tyme'a i zebranych wokół grobu. Wszyscy byli nienagannie ubrani — dobrze odżywione, mięsożerne bestie. Zawalił się mur, kotwica pękła — został bezbronny. Sęp zwyciężył i teraz była kolej na Toma, żeby wkroczył w tę długą dolinę.

— Nie musisz przez jakiś czas chodzić do szkoły, prawda? — spytała matka, gdy wreszcie znaleźli się sami w domu.

Nie. Nie musiał.

Po czterech dniach matka odezwała się:

— Czy nie chcesz wyjść z domu, Tom?

Odpowiedział, że nie. Po pięciu dniach powtórzyła swe pytanie i dodała, że powinien już wrócić do szkoły i nadrobić zaległości. Znowu odpowiedział, że nie chce. Podjęcie normalnego życia wydawało mu się zdradą wobec ojca. Kiedy Rachel Flanagan powtórzyła pytanie po sześciu dniach, zrozumiał, że czas na dorosłą decyzję.

— Nie widziałeś swego małego, miłego przyjaciela Dela od dnia pogrzebu — powiedziała matka. — Czy nie chcesz poćwiczyć przed waszym pokazem? Dobrze by ci zrobiło, gdybyś choć na trochę wyszedł.

— Teraz mieszka na Quantum Hills — rzekł. — Hillmanowie kupili wreszcie dom. Jest tam basen i kort tenisowy.

— Quantum Hills. — Głos matki zabrzmiał nieco ironicznie. — To ładnie. Podmiejski autobus dojeżdża stamtąd do samego centrum.

— Tak. To może tam pojadę.

Uściskała go. 2+,

Gdy minął centrum handlowe, szedł przez jakieś pół godziny ulicą o tak czarnej nawierzchni, że aż świeciła. Ogromne domy usytuowane na wzniesieniach, a inne w dolinkach, wznosiły się na końcu rozległych trawników niczym pałace z baśni. Mechaniczne urządzenia do zraszania kręciły się i bryzgały wodą, powodując powstawanie tęczy. Trawa

110

twary pojawił się taki wyraz, jakby wiedział wszystko o ptakach i snach Toma.

— Przepraszam, że byłem wścibski — powiedział Tom.

Uszy go paliły.

— Powiedziałbym, że byłeś zainteresowany, nie wścibski.

No, nie przejmuj się. Chcesz coś czy coś innego?

Tom potrząsnął głową.

— W takim razie zobaczymy się, jak będziesz wychodził. —

Bud znów uśmiechnął się i odszedł w stronę schodów.

Tom zawahał się chwilę. Obawiał się rozmowy o ojcu, którą będzie musiał odbyć z Delem, zanim wezmą się do pracy. Przez otwarte okno doszedł go plusk wody, gdy ktoś zanurkował w basenie. Przeszedł odległość dzielącą go od drzwi Dela i zatrzymał się. Spoza nich nie dochodził żaden hałas, żaden dźwięk. W pokoju Dela panowała taka cisza, iż Tom pomyślał, że jego przyjaciel pewnie śpi. Podniósł pięść, opuścił ją, potem znów podniósł i zastukał. Nikt nie odpowiedział. Tom pomyślał, że Del jest pewnie koło basenu. Bud jednak wiedziałby o tym.

— Del? — powiedział prawie szeptem i znów zapukał.

Wraz z perlistym śmiechem dochodzącym z zewnątrz, usłyszał spokojny głos Dela:

— Proszę, wejź. — Del też prawie szeptał, ale spowodowane to było wysiłkiem lub wielką koncentracją.

Tom nacisnął klamkę i delikatnie popchnął drzwi. Pokój był tak ciemny, że trudno było cokolwiek zobaczyć i Tom znowu miał uczucie, że zostaje wciągnięty do jakiegoś obcego świata, że ze słońca Arizony wkracza prosto w jądro tajemnicy.

— Del?

— Jestem.

Tom powoli wszedł w ciemność. Rozejrzał się i zobaczył tylko wielkie akwarium przed zaciągniętymi zasłonami i majaczące na szarej ścianie twarze. Ten pokój był chyba dwa razy większy od dawnego pokoju Dela. Po prawej stronie stały jakieś pudła i drewniane skrzynki zawierające zapewne wyposażenie dla czarodzieja. Zwrócił głowę na lewo, ale tam było zupełnie ciemno.

— Patrz — nakazał Del z centrum tej ciemności.

— Ojej — wymówił Tom, gdyż na razie dostrzegł jedynie zarys łóżka.

Potem nie mógł już wymówić ani słowa, bo nagle zobaczył sztywne ciało Dela zawieszona w powietrzu, jakieś cztery stopy nad łóżkiem. Del przekreślił głowę na bok. Szczyrzył zęby jak rekin. Tom nie potrafił wyobrazić sobie wyrazu własnej twarzy, ale Del wybuchnął radosnym śmiechem. Śmiejąc się,

113

— Halo, synu. Przyszedłeś zobaczyć się z Delem? Wejź zaprowadzę cię na górę. Mapa może nie jest potrzebna, ale za pierwszym razem przyda się przewodnik.

— Halo — odpowiedział Tom bezbarwnym głosem.

— Wejź młodzieńcze, wyglądasz, jakby ci było brak przy jaciela. Proszę tędy, przez te drzwi.

Tom wszedł i znalazł się na progu ogromnej bawialni, był tam marmurowy kominek o wysokości dziewięciu stóp, masa książek i różne meble porozstawiane tu i tam oraz okno zajmujące całą ścianę. Doznał kojącego uczucia, że jest tak, jak sobie wyobrażał i dręcząca go, nieokreślona obawa ustąpiła.

— Słyszałem o twym ojcu, synu — zabrzmiał mu przy uchu aksamitny głos Buda. — Straszna rzecz dla chłopca stracić ojca. Jeśli coś mógłbym dla ciebie zrobić, to powiedz.

— Dziękuję — odparł Tom zdziwiony i wzruszony prawdziwym współczuciem malującym się na twarzy i dźwięczącym w głosie tego człowieka. — Powiem.

— Uczynię wszystko, co będę mógł. No a teraz, co myślisz o naszych nowych apartamentach? %

— To wielki dom — odpowiedział Tom i wydało mu się, że dostrzegł ukryte rozbawienie na uprzejmym obliczu Buda.

— Moja matka też zawsze mi mówiła, żebym był ostrożny w wypowiedziach, Tomie Flanaganie — oznajmił Bud i po prowadził go schodami na górę. — Myślę, że do tej pory ty i Del wyszlifowaliście swoje sztuczki na to wasze przedstawienie. O ile wciąż je planujecie.

— Och, naturalnie, ale mamy z tym jeszcze trochę pracy — oświadczył Tom, postępując za szerokimi plecami Buda przez biały jak śnieg hol. — O, tak, na pewno damy to przedstawienie. Mogę się założyć.

— Cieszę się, że tak mówisz, synu.

— Słuchaj, Bud — zaczął Tom. — Nie musisz odpowiadać,

jeśli nie chcesz.

— Zapamiętam to — powiedział Bud uśmiechając się.

— Dlaczego tu jesteś? Czemu wykonujesz taką pracę? Bud roześmiał się szeroko i wyciągnął rękę, żeby poczocharać Toma po głowie.

— Zajęcie jak każde inne, Red. Gdybym był o dwadzieścia lat młodszy, zapewne robiłbym co innego, ale teraz odpowiada mi to miejsce postoju i moja rola. I sędzę, że może będę mógł zrobić coś dobrego dla twego przyjaciela. — Wskazał głową drzwi w końcu holu. — Być może, będę też kiedyś mógł zrobić coś i dla ciebie. Wystarczające powody? — Uniósł brwi i na jego

112

fen staruszek, chyba czarownik, przygotowywał wszystko na moje przyjście. Gdy doszedłem do drzwi, zajrzałem znów przez okienko i przeraziłem się. Starzec wyglądał okropnie; był chory i przestraszony. Oznaki strachu i choroby zupełnie nie korespondowały z jego twarzą. Należało raczej oczekiwać, iż taka twarz nie jest zdolna do okazywania słabości. Odsunął się od okienka, a ja otworzyłem drzwi.

W izbie było zupełnie ciemno. Gdzieś, chyba na kominku, paliła się świeczka, ale niewiele oświetlała, tylko po prostu paliła się. Drzwi zatrzasnęły się za mną. Odwróciłem się, żeby wyjść, bo bałem się, ale nie mogłem dostrzec wyjścia. Potem usłyszałem, że coś się do mnie zbliża i znów odwróciłem się, żeby zobaczyć co to. I wtedy omal nie padłem trupem ze strachu, bo zbliżało się do mnie coś, co było przerażające i złe... Mogło tego być parę sztuk, a mogły być setki. Nie umiałem powiedzieć. Wiedziałem jednak, że to jest od niego, od mężczyzny, którego widziałem albo o którym śniłem, że widzę go w alei na skarpie w przeddzień rozpoczęcia szkoły.

Jakaś twarz mignęła przede mną, szczerząc zęby w uśmiechu jak diabeł, potem wokół niej pojawiły się inne odrażające twarze wykrzywiając się i chichocąc; najobrzydliwsze twarze, jakie w życiu widziałem. Trwało to tylko moment, potem zniknęły.

Za świeczką dojrzałem jasne miejsce. W kręgu światła jakieś ręce rzucały cień psiej głowy. Uszy podnosiły się, język wysuwał. Takie tworzenie obrazów przez cienie rąk nazywa się zabawą w chińskie cienie. Widywałem to naturalnie przedtem, ale nigdy nie było robione tak doskonale. Morda psa zwróciła się ku mnie. To, jak wiesz, jest niemożliwe w zabawie w cienie, ale wyraźnie zobaczyłem sterczące uszy i szyję. Potem palce rozdzieliły się i załśniły oczy. Były przerażające jak tamte twarze. Wyglądały złowieszczo. Wiedziałem, że to nie pies. To była głowa wilka. Nagle oczy rozszerzyły się, ręce zatrzepotały i złożyły się na nowo, tworząc ptaka z wielkimi skrzydłami i ostrym dziobem.

— Frunął prosto w moją stronę z rozcapierzonymi szponami. Ptak-cień. Zrobiłem unik, w izbie rozległ się śmiech. Ptak-cień zniknął w ciemności. Usłyszałem łopot jego skrzydeł i odwróciłem głowę, by śledzić go wzrokiem i wtedy zobaczyłem kolejny pokaz chińskich cieni. Banda mężczyzn kopała chłopca. Otaczali go kołem, słyszałem ich pomruki, słyszałem uderzenia nóg. Jeden kopnął chłopca w głowę i widziałem bryzgającą krew. To wszystko działo się wciąż w tym samym kręgu światła, zastanawiałem się, jak możliwa była taka

115

zaczął się opuszczać. Najpierw opadł prawie o stopę i gwałtownie zahamował, jakby uderzył o jakiś występ, potem zaczął obsuwać się wolniej. Tom wyciągnął rękę, żeby go dotknąć, nie był jednak w stanie przysunąć się bliżej. Del zanosił się od śmiechu, nogi opadły mu na łóżko, a następnie całe ciało.

Tom był tak przerażony, że myślał, iż zemdleje, zrobiło mu się niedobrze. Tymczasem twarz Dela stała się normalna, ale jego ciało znów uniosło się nieco nad łóżkiem i zawisło w powietrzu.

— W ten właśnie sposób zakończymy nasz pokaz sztuk magicznych — powiedział Del.

16

— Następnego dnia wypadła niedziela — powiedział do mnie Tom, gdy siedzieliśmy w „Zanzibarze”. Byłem tam już trzeci raz, żeby z nim porozmawiać. — Wciąż byłem oszołomiony. Poraziła mnie wtedy całkowita niemożliwość tego, co zobaczyłem. Wiedziałem jednak, że tak było naprawdę. Ten mały drań istotnie znajdował się w stanie lewitacji. Była to prawdziwa magia. I w tym momencie wydawało się, że wszystko, wszystkie te szaleństwa, te ptaki i niesamowite wizje, że wszystko prowadziło do tego. Było mi niedobrze. Zostałem wciągnięty w świat magii i nie wiedziałem już, co jest prawdą, a co udawaniem. Wszedłem na zewnątrz. Sparky, mój pies, zbudził się i zaczął tańczyć wokół mnie domagając się, żebym mu rzucił jego starą piłkę tenisową. Podniosłem nasiąkniętą wilgocią obrzydliwą piłkę i rzuciłem w stronę ogrodzenia. Sparky puścił się za nią. I wtedy, zanim dobiegł do piłki, coś dziwnego zaczęło dziać się z powietrzem. Stawało się ciemne i gruzełkowane jak na starej fotografii. Sparky kręcił się w kółko i rozglądał, zaskowyczał, potem pobiegł w stronę kuchennych drzwi. Uszy położył po sobie, pamiętam, że to widziałem i że mi ulżyło. Pomyślałem, a więc nie oszalałem, to działa się rzeczywiście.

Ten domek z bajki stał przede mną, tam, gdzie powinno być ogrodzenie, domek z małymi, brązowymi drzwiami, otoczony drzewami i pokryty strzechą. Przez jedno z niewielkich okienek koło drzwi zobaczyłem starca, który palcami przeczesywał sobie brodę i przyglądał mi się. Szedłem ścieżką. Teraz, teraz, teraz myślałem, teraz mogę się dowiedzieć. Nie wiem, czego spodziewałem się dowiedzieć, ale takie miałem wrażenie.

114

a Flanagan był jedynym chłopcem, który miał w szafce zapasową. Brick wrywał garściami trawę powoli, metodycznie. Kiedy mnie zobaczył, zaczął to robić szybciej.

— Wcześniej jesteś — zauważył. — Ranny ptaszek.

— Ojciec miał rano spotkanie w mieście.

— Och. Ja zawsze przychodzę wcześniej. Więcej czasu na naukę. Woźny dziś się spóźnia. — Westchnął i przestał wreszcie zrywać trawę. Ponownie ukrył w niej twarz. — Znów wszystko zacznie się od początku.

— Co takiego?

— Przesłuchiwanie. Gestapowskie śledztwo. U nas.

— Skąd wiesz?

— Słyszałem wczoraj wieczorem, kiedy wychodziłem ze szkoły, jak Broome rozmawiał z panią Olinger. Chciał, żebym usłyszała.

— O, Boże — wyszeptałem pełen zniecierpliwienia i obawy.

— Tak. Myślałem nawet, żeby dziś w ogóle nie przyjść. — Podniósł się na rękach, a mnie obleciał strach o marynarke Toma. — Ale nie mogłem, bo wiedziałby dlaczego i czepiałby się mnie jeszcze bardziej.

— Może tym razem to cię ominie — powiedziałem.

— Może. Jeśli jednak wezwie mnie, to teraz już mu powiem.

Dłużej tego nie mogę znieść.

— Ja już powiedziałem Thorpe'owi i nic dobrego z tego nie wyszło.

— Ponieważ nie powiedziałeś mu, że ja też to widziałem. To ładnie. Jestem ci, no wiesz... wdzięczny. Ale już mnie Szkielet nic nie obchodzi. Jeśli Broome wywoła mnie z łaciny, to powiem.

— Nie sądzę, aby ci uwierzył.

— Uwierzy — stwierdził Brick. — Wiem, że mi uwierzy.

Zmuszę go. Nawet gdyby cała szkoła miała wylecieć w powietrze.

Kiedy pojawił się woźny, wszedłem za Brickiem do gmachu z uczuciem, jakbym wstępował do

labiryntu, w którym oszalała bestia z głową byka przyczaiła się i czeka.

W pięć minut po rozpoczęciu lekcji łaciny weszła pani Olinger ze złożoną kartką w rękę. Dave Brick spojrział na mnie przerażonym wzrokiem. Pan Thorpe jęknął i wyrwał papier z rąk pani Olinger. Rozłożył go, przeczytał i przetarł dłonią twarz. Z wyraźną niechęcią powiedział:

— Brick, do gabinetu dyrektora. Biegiem.

Brick tak się trząsał, że dwa razy upuścił książki, próbując włożyć je do teczki. Wreszcie wstał i powlókł się przez środek klasy. Spojrział na mnie, wznosząc do góry oczy, twarz

117

sztuczka. Potem cienie rozdzieliły się i ujrzałem wyraźnie słowo: KRAJNA. Następnie pojawiły się litery, tworząc drugie słowo: CIENI. Kraina Cieni. Wokół rozległy się śmiechy pełne kpiny i nie wiedziałem, czy te wszystkie obserwujące mnie twarze śmiały się, ponieważ chciały przestrzec mnie przed Krainą Cieni, czy dlatego, że wiedziały, iż skojarzę maltretowanego chłopca z Delem i że będę musiał tam iść.

— Musiałeś? — spytałem.

— Musiałem — potwierdził.

17

Rankiem tego dnia, kiedy miało odbyć się przedstawienie, przyjechałem do szkoły godzinę wcześniej. Ojciec, który mnie odwoził, był umówiony o siódmej trzydzieści na jakieś spotkanie w centrum miasta. Wysadził mnie po drugiej stronie ulicy przed budynkiem, gdzie mieściły się starsze klasy, przeszedłem przez jezdnię i wszedłem na schody. Drzwi frontowe były zamknięte. Zajrzałem przez szybkę i zobaczyłem puste mroczne wejście oraz schody prowadzące do biblioteki.

Przez pewien czas siedziałem na stopniach w porannym słońcu, czekając aż przyjdzie woźny lub któryś z nauczycieli i wpuści mnie. Szybko jednak znudziło mi się i zszedłem na chodnik. Kiedy obejrzałem się, wydało mi się, że szkoła zmieniła się. Można było odnieść wrażenie, że panuje w niej spokój i porządek, jakby była wyizolowana od reszty świata niczym klasztor. Wyglądała pięknie w ukośnych promieniach słońca.

Idąc dalej ulicą, doszedłem do prywatnego wejścia dyrektora i precyzyjnie się przez pręty w bramie. Z podjazdu zszedłem na trawę. Z tej strony widać było tylko stare budynki Szkoły Carson. I one wydawały się tajemnicze, otoczone czarami. Serce mi zadrgało, zapomniałem o wszystkich złych chwilach, które tu przeżyłem i poczułem, że kocham szkołę.

Potem, kiedy poszedłem dalej w kierunku tyłów budynku i przedostałem się przez szczelinę w gęstym żywopłocie, ujrzałem jakąś postać leżącą z twarzą w trawie, a obok teczkę. A więc nie byłem sam. Ostrzyżona głowa, tłuste plecy napinające materiał marynarki — był to Dave Brick. Moja euforia nagle zniknęła. Brick leżał na porośniętej trawie pochyłości, tam, gdzie pan Robbin zebrał nas w czasie tańców, żebyśmy oglądali satelitę. Marynarka należała do Toma Flanagana. Brick pożyczył ją, ponieważ dwa dni temu zostawił swoją w domu,

116

nowczo potrząsnął głową i odwrócił się od pana Ridpatha. Jego wzrok natrafił na mój i wskazał mi miejsce koło drzwi. Pan Ridpath też spoglądał na mnie. Pan Thorpe wydawał mi się bardziej zagniewany. Doszedł do drzwi wcześniej niż ja i z twarzą pozbawioną już wszelkiego wyrazu czekał, aż zbliżę się. Milczał parę sekund, a ja pocilem się, zanim przemówił.

— Bądź w moim gabinecie o trzeciej piętnaście, punktualnie. — Zamierzał powiedzieć tylko tyle, ale widocznie nie mógł się powstrzymać, aby nie ulżyć trochę swej wściekłości, bo dodał: — Sprawileś więcej kłopotów, niż możesz sobie wyobrazić. — Kiedy nie zdołałem nic na to odpowiedzieć, wydał z obrzydzeniem wargi i szczerką: — Zejdź mi z oczu do trzeciej piętnaście.

Wyrzuci mnie ze szkoły, byłem pewien. Poszedłem prędko do pierwszego rzędu i zająłem miejsce obok Boba Shermana. Większość uczniów stała jeszcze i rozmawiała.

— Chłopcy! — zawołała pani Olinger. — Siadajcie! —
Musiała powtórzyć parę razy, zanim ją posłuchano. Stop
niowo gwar rozmów cichł, lecz zastąpiło go szuranie krzesel
o podłogę.

— Spokój! — krzyknął pan Thorpe i dopiero wtedy zapadła
cisza.

Morris stojący z boku wraz z członkami swego trio wyglądał, jakby go sparaliżowała trema. Dopiero wtedy pomyślałem, żeby rozejrzeć się za Szkieletem Ridpathem. Jeśli znajdował się na sali, znaczyło to, że i on będzie o trzeciej piętnaście w gabinecie Thorpe'a. Spojrzałem do tyłu i okazało się, że nie ma go w rzędach starszych uczniów. A więc, być może, Broome wydalil go już ze szkoły.

Z podium przed sceną pani Olinger mówiła:

— Za chwilę będziemy mieli przyjemność obejrzeć występy
naszych dwóch klubów. Pierwsze zaprezentuje się trio Morrisa
Fieldinga. Phil Hanna gra na perkusji, a Derek Brown akom
paniuje na chordofonie smyczkowym.

Morris uśmiechnął się do niej z powodu tej nazwy i wiedział już, że przynajmniej z nim wszystko będzie w porządku. Cała trójka wstąpiła na schodki prowadzące na scenę. Brown podniósł swój kontrabas, Morris powiedział:

— Raz... raz... raz... raz...

Zaczęli grać Ktoś mnie miłuje. Brzmiało to jak złote promienie słońca i bystre górskie strumienie, i zapomniałem o wszystkim, oddając się słuchaniu muzyki. W czasie ostatniego numeru tria Morrisa usłyszałem jakieś szmery i szepty. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Laker Broome wszedł właśnie na

119

mu pobladła. W marynarce Flanagana wyglądał jak Oliver Hardy.

Wtedy znów ogarnęło mnie wrażenie, że szkoła tętni jakimś własnym, tajemniczym, niewidzialnym życiem. Po lekcji łaciny pani Olinger czekała przed klasą. Była niespokojna jak wszyscy posłańcy przynoszący złe nowiny. Dotknęła łokcia pana Thorpe'a i szepnęła mu do ucha parę słów.

— Psiakrew! — warknął pan Thorpe. — No dobrze, już
idę — i pospieszył w stronę dyrektorskiego gabinetu.

My poszliśmy do klasy pana Fitz-Hallana. Na tablicy było wypisane, że lekcji nie będzie i że mamy w wolnym czasie przeczytać dwa rozdziały z Wielkich oczekiwań.

— Co się dzieje? — spytał mnie Bobby Hollingsworth, kiedy
usadowiliśmy się i otworzyliśmy książki.

— Nie mam pojęcia — odparłem.

— Założę się, że wreszcie dobrali się do Bricka Śmierdziela
i wyrzucą go — oznajmił uszczęśliwiony Bobby.

Przeczytałem oba rozdziały i poszedłem do swojej szafki po następną książkę. Po drodze przechodząc koło pokoju starszych uczniów, usłyszałem głos, który wydał mi się głosem Terry'ego Petersa wypowiadający zdanie ze słowem „Szkielet”. Zatrzymałem się, żeby usłyszeć coś więcej, ale nic więcej nie doszło zza grubych drzwi.

Kiedy wziąłem książkę z szafki, zajrzałem przez szybę do holu i zobaczyłem, jak pan Weatherbee wypadł ze swego pokoju i pobiegł korytarzem, jakby przed czymś uciekał. Pani Olinger pomknęła za nim.

Paru starszych chłopców przebiegło korytarzem, słychać było zatraskiwanie szafek. W nieregularnych odstępach zabrzmiał dzwonek.

18

Kiedy schodziliśmy do audytorium, wciąż panowała atmosfera ogólnego podniecenia. Poniżej sceny, na której naprzeciw fortepianu znajdował się zestaw bębnow i porzucony kontrabas,

uczniowie gromadzili się w przejściach, przechodząc z jednej rozgadanej grupki do drugiej i nawołując się nawzajem. Morris zobaczył Philla Hanna i Derka Browna stojących w końcu sali i przyłączył się do nich. Wszyscy wyczekiwali jakiegoś oświadczenia. Zobaczyłem, jak pan Thorpe sta-

118

magiczne, które zademonstrują nam dwaj uczniowie pierwszego roku.

Wyglądało na to, że pan Broome chce dać widowisko na wielką skalę, z obcinaniem głów na widoku publicznym i rzucaniem ofiar lwom na pożarcie. W odpowiedzi na przedstawienie uczniów, chciał pokazać swoje własne. Diabeł, który wycierał z jego oczu, był demonem ambicji i zazdrości, i nie mógł przyjąć drugoplanowej roli. Tom i Del wstali spokojnie z miejsc i przeszli koło pana Broome'a, zmierzając do schodków wiodących na scenę.

Broome odzeglował na bok i oparł się o ścianę obok wielkich drzwi, ręce skrzyżował na piersiach. Uśmiechał się do siebie. Tom i Del zaciągnęli kurtynę i przez parę chwil słyszeliśmy przytłumione kroki i przesuwanie rekwizytów. Fortepian na rolkach odjechał do tyłu, dudniąc jak ciężarówka. Szeleścił jakiś materiał. Potem kurtyna drgnęła i łagodnie rozsunała się na boki, odsłaniając umieszczony na stojaku wymalowany afisz.

FLANAGINII NOC ILUZJONISCI

Większość uczniów zaczęła się śmiać. Na scenę wlewał się biały dym, włókł się, falował, a potem zaczął płynąć w kierunku lamp i reflektorów. Afisz zniknął, a na jego miejsce pojawił się Tom Flanagan. Był ubrany w coś, co wyglądało jak indiańska narzuta na łożko oraz w turban z tego samego materiału. Stał koło wysokiego stołu udrapowanego czarnym aksamitem, po drugiej stronie stołu dojrzałem Dela. Miał na sobie smoking i pelerynę. Znów rozległy się śmiechy. Obaj chłopcy skłonili się równocześnie. Kiedy wyprostowali się, dymu już nie było, na ich twarzach malowało się zdenerwowanie.

— Jesteśmy Flanagini i Noc — zaczął Tom pomimo gromkiego śmiechu publiczności. — Jesteśmy czarodziejami. Przybyliśmy, żeby zadziwiać i bawić, żeby przerażać i zachwycać. — Zerwał ze stołu aksamitne nakrycie i coś, co wyglądało jak płonąca kula albo spadająca gwiazda, uniosło się do góry na około sześć stóp ponad ich głowami, zamigotało i zniknęło. Laker Broome patrzył, jakby to było coś równie pospolitego jak koński giez. — I przede wszystkim, żeby was zabawić.

Del ściągnął pelerynę z ramion, zrobił nią młynka nad stołem i na stole podskoczył wysoki na cztery stopy, biały, wypchany królik, śmieszny i zupełnie jak żywy, tak że paru chłopcom aż dech zaparło. Wszyscy zresztą byliśmy przez

121

sala. Jedną ręką ścisnął ramię Dave'a Bricka. Brick był kredo-wobiały, a oczy miał podpuchnięte. Morris również odwrócił głowę, lecz szybko i z determinacją pochylił się nad klawiaturą. Usłyszałem, że w swoje solo zρέcznie włączył parę taktów z Witajcie chłopcy, już tu jest cała banda.

W tej trudnej do zniesienia sytuacji starał się jak mógł zachować pogodę, co jest jedną z oznak heroizmu. Aleja widząc sztywną postać Lakera Broome'a i jego kamienną twarz, pomyślałem, że bomba, której wybuchu spodziewałem się przez całe rano, została właśnie rzucona.

19

Dyrektor bił brawo wraz ze wszystkimi, kiedy Morris wstał i uklonił się. Dave Brick został usadzony na pustym krześle, na samym końcu sali, z dala od reszty uczniów. Pan Ridpath przyglądał mu się przez chwilę pogardliwie, a potem zaczął posuwać się w kierunku pana Broome'a, mając nadzieję, że zdola jeszcze coś powiedzieć, ale dyrektor spojrzał prosto w jego wąską, bezmyślną twarz i pan Ridpath przyrósł do podłogi.

— Uwaga, chłopcy! — zawołał Wąż Boa.

Zwróciliśmy się twarzami do niego, a on zaczął mówić spacerując od ściany audytorium do sceny, a my wodziliśmy za nim wzrokiem. Była to

demonstracja siły.

— Z przykrością przerywam te interesujące poczynania. Pragnę jednak podzielić się z wami fascynującą historią. Obiecuje, że zajmie to tylko chwilę i potem razem z przyjemnością obejrzymy drugą część tego doskonałego widowiska. Panowie, doszliśmy wreszcie do rozwiązania bezsprzecznie największego problemu, przed jakim stanęła nasza szkoła od chwili swego istnienia. Chcę, żebyście byli świadkami ostatniego aktu zamykającego tę sprawę. — Uśmiechnął się. W tym momencie znalazł się już na podium i z pozorną obojętnością oparł łokieć o jasne drewno. Był napięty jak chart wyścigowy. — Paru z nas spotka się o trzeciej piętnaście w gabinecie zastępcy dyrektora. Będzie to prywatne spotkanie. O czwartej piętnaście wszyscy mają zebrać się tutaj, jak w tej chwili. Szkoła jest chora i najwyższy czas odciąć zarażone gałęzie. — Znów miał na ustach wymuszony uśmiešek. Dojrzałem w nim tego samego diabła, który wзираł z twarzy Szkieleta Ridpatha, gdy zaczął bić Dela. — A teraz, zdaje się, zobaczymy sztuki

120

— Świat fizyczny to błahostka.

— A jak brzmi trzecie prawo magii?

— Realizm jest ostatecznością.

— A ile książek znajduje się w bibliotece?

— Nie pamiętam — zabrzmiał głos Toma Flanagana i cała sala ryknęła śmiechem.

Noc zamknął drzwiczki i z powrotem umieścił część dolną skrzyni pod górną. Potem ją otworzył i naszym oczom ukazał się Tom — cały i uśmiechnięty. Przyjęliśmy ten manewr z dzikim aplauzem.

— To tylko złudzenie — oświadczył Noc — polechtanie wyobraźni, zabawa.

Rozległy się pojedyncze chichoty sprowokowane słowem „polechtanie”. Noc wyprostował się, był poważny.

— Ale to, co jest iluzją, może być prawdą. Jest to czwarte prawo magii. Jak błyskawica, która rozbłyska i niknie, jak uśmiech czarodzieja.

Znów po scenie zaczął snuć się biały dym.

— Sny ludzi, ich fantazje, te nieomal realistyczne iluzje są prawdziwym rajem dla czarodzieja. Tak jak sen...

Wielkie drzwi z boku audytorium otworzyły się nagle z trzaskiem na całą szerokość. Któryś z chłopców, parę rzędów za mną, krzyknął.

— ...jest oknem duszy. — Rozłożył szeroko ramiona. — Otwiera się dusza i umysł, otwierają się ramiona, otwiera się ciało i wtedy możemy...

Dym, już nie biały, ale żółty i gęsty walił drzwiami. Del przerwał swoje czarodziejskie deklamacje i spojrzał na drzwi. Twarz mu poszarzała, opuściła go zawodowa pewność uwielbianego bożyszczka i znów stał się zagubionym czternastoletnim chłopcem. W sekundzie, która poprzedzała szalone zamieszanie w audytorium, miałem czas, żeby spostrzec, iż Tom również na coś patrzył i że też był przerażony. Spoglądał w tył sali, gdzieś wysoko, prawie na sufit.

Pan Broome zrobił krok przez otwarte drzwi, po czym odwrócił się i wskazując na dwie drobne postaci na scenie, wrzasnął:

— Wy to zrobiliście!

— Masz rację — powiedział Tom, gdy rozmawialiśmy

w „Zanzibarze”. — Dopiero w parę sekund później zobaczyłem, co było na zewnątrz. Stałem i czekałem, aż Del wypowie to ostatnie słowo „Leć”. Miał je powiedzieć po skończonym Przemówieniu i potem unieść się do góry i zadziwić wszystkich

123

chwile zaszokowani, a potem Del chwycił go za długie ucho i rzucił przez ramię w panującą z tyłu ciemność. Ruchy Dela odznaczały się instynktowną, profesjonalną elegancją i to oraz fakt, że królik był wypchaną zabawką, sprawiło, że teraz śmiałyśmy się z nimi razem, a nie z nich.

Pokazali parę zręcznych sztuczek z kartami, zapraszając do współdziałania chłopców z widowni, a następnie serię sztuk z wykorzystaniem szalików i sznurków, w tym jedną, w której Noc zademonstrował, iż potrafi w ciągu trzech minut uwolnić się z więzów splątanych przez dwóch graczy futbolowych. Wyczarowali także deszcz prawdziwych kwiatów spadających ze sufitu.

Potem Flanagini zamknął Noc w skrzynce, którą przebił sztyletami, a gdy Noc wyłonił się cały i zdrowy, z kolei on wysunął inną skrzynkę, czarną, pokrytą chińskimi wzorami, i umieścił w niej Flanaginię.

— Mówiąca głowa albo Falada — oznajmił Noc, uderzając w skrzynkę ze wszystkich stron, żeby przekonać widzów, że jest masywna. Zamknął polakierowaną górną część, tak że ciało Flanaginię było ukryte, a wystawała tylko głowa przyodziana w turban. — Jesteś gotów? — spytał Noc, a głowa« skinęła. Teraz zamknięta została też i pokrywa. Noc wy dobył długi miecz, wziął ze stołu pomarańczę, rzucił ją w powietrze, zamachnął się mieczem i pomarańcza została rozcięta na pół. — Dobrze wyostrzony miecz samuraja — oznajmił i wygiął go. — Śmiertelna broń. — Znow śmignął nim w powietrze, a potem wsunął w szczelinę, gdzie stykały się części pudła. Obie ręce owinął czarnymi chusteczkami i wepchnął miecz aż do miejsca, gdzie wydawało się, iż napotkał na przeszkodę. Noc zrobił przerwę, aby mocniej obwiązać chusteczki wokół dłoni, ujął miecz i znow popchnął. Odchrząknął i pchał dalej. Miecz przeszedł na drugą stronę skrzyni, Noc wyciągnął go i otarł o jedną z chusteczek. Potem odsunął dolną część skrzyni, tak że już nie podpierała górnej. Otworzył drzwiczki dolnej części i ukazało się ciało Flanaginię od szyi w dół. — Taniec śmierci — powiedział i uderzał boki skrzyni płazem miecza. Przez chwilę ciało w hinduskim przyodziewku trzęsło się i drżało. — Mówiąca głowa — oświadczył Noc, przesunął na lewo górną część i otworzył drzwiczki. Spod turbanu wyrzała kamienna twarz Flanaginię. — Jakie jest pierwsze prawo magii? — spytał Noc, a unosząca się głowa odparła:

— Jak na górze, tak na dole.

— A jakie jest drugie prawo magii? — pytał dalej Noc. *

122

towani, oszołomieni i przerażeni. Ze zdumieniem spostrzegłem, że jeden z nich, drugoklasista o nazwisku Wheland, nie miał t, rwi, a twarz mu poszarzała.

— Ty durniu! — syknął Thorpe na dyrektora. — Nie działeś? Byłbyś ich wszystkich przyprawił o śmierć.

Broome wlepił w niego oczy z wściekłością, a potem chwycił drugoklasistę za ramię.

— Co tam widziałeś, Wheland?

— Tylko ogień, panie dyktorze. Musimy wydostać się frontowym wejściem.

Pan Thorpe zlecił pani Olinger, żeby pobiegła do biura i wezwała straż pożarną.

— Prędzej!

— Nie można wyjść bocznymi drzwiami?

— Pałą się krzewy. Po obu stronach. Tamtędy nie da się wyjść.

Po słowach Whelanda wszyscy rzucili się w kierunku drzwi do holu. Były one znacznie węższe niż boczne drzwi z audytorium i w parę sekund kłębił się w nich tłum wrzeszczących chłopców. Zobaczyłem, jak Terry Peters powalił chłopaka z drugiej klasy o nazwisku Johnny Day, a potem na niego przewrócił Derka Browna.

— Mój kontrabas! — wydierał się Brown. Próbował przebić się przez szereg dryblasów z ostatniej klasy, żeby dostać się na scenę. Z przerażeniem spostrzegłem, że pani Olinger utknęła wśród szamoczących się chłopców. Nagle zdałem sobie sprawę, że sala napełnia się dymem.

— Trzeba zamknąć drzwi! — wołał Tom ze sceny. Zerwał z siebie hinduskie przebranie i skoczył na dół.

Pan Thorpe pospieszył, żeby mu pomóc. Pan Ridpath wykrzykiwał niepotrzebne polecenia. Inni nauczyciele podbiegli do Toma i pana Thorpe'a. Ja również przedostałem się do drzwi, żeby im pomagać. Po tej stronie sali dym był już bardzo gęsty. Zderzyłem się z panem Thorpe'em, który krzyknął:

— Chwyć to i ciągnij! — Była to metalowa sztaba od drzwi, bardzo gorąca.

— Liny — wymamrotał pan Fitz-Hallan, a Tom wyjaśnił:

— Wykorzystaliśmy je..., żeby można było ciągnąć zza kulis, wchodzą przez okno z tyłu...

— Psiakrew! — zaklął pan Thorpe. Przez jakiś czas szukał na ziemi tuż za drzwiami i wciągnął kawał liny do wnętrza. Wszystkim trudno było oddychać, gryzący dym dostawał się do oczu i do gardła.

125

kich. Już parę tygodni wcześniej opracowaliśmy sposób, żeby drzwi same się otworzyły. Del miał przelecieć aż za drzwi i t0 byłby koniec przedstawienia. Czekałem na to ostatnie słotoo „leć” i wtedy spojrzałem na koniec sali i zobaczyłem dwie rzeczy, które przeraziły mnie. Ujrzałem tam Szkieleta Rio. patha. Był straszny. Szczerzył zęby w niesamowitym uśmiechu. Wyglądał jak wielki nietoperz albo ogromny pajak, w każdym razie coś okropnego. Następna rzecz, którą zobaczyłem ułamek sekundy później, to był chłopiec ogarnięty płomieniami, pożerany przez ogień. Ogień, którego przecież tam nie mogło być, ogień, który jakby wydobywał się z niego. Oczy wyszły mi na wierzch, lecz płonący chłopiec zniknął. Nie mam pojęcia, w jaki sposób utrzymałem się na nogach. Kiedy Laker Broome zaczął na nas krzyczeć, dopiero wówczas zobaczyłem to, na co patrzył Del. Cały pawilon stał w ogniu, buchały kłęby dymu i strzelały płomienie. Odwróciłem się, ale Szkieleta już nie było. Może w ogóle go tam nie było. Potem wszystkich ogarnęło szaleństwo.

20

Wrzask Lakera Broome'a sparaliżował wszystkich. W trwającej moment ciszy słyszeliśmy tylko syczenie i buchanie tego monstrualnego pożaru. Potem wszystko zakotłowało się. Wszyscy zerwali się z miejsc i zaczęli pędzić w stronę drzwi, wywracając po drodze krzesła. Laker Broome krzychał:

— Wychodzić! Wszyscy wychodzić!

Może pięciu chłopcom udało się wydostać na zewnątrz, gdy pan Thorpe ryknął:

— Zostać na swoich miejscach! — W drzwiach było już istne piekło. Wszyscy tłoczyli się i pchali, żeby wyjść, a ci, którzy wyszli, wrzeszczeli i chcieli dostać się z powrotem. — Cofnąć się! — ryczał pan Thorpe i zaczął szarpać i odpychać chłopców w kierunku sali. Wnet poczuliśmy żar i cały tłum rzucił się do tyłu, przewracając się nawzajem. Kiedy przejście zostało opró

znione, ujrzeliśmy, że płomienie posuwały się i były już &*ześć albo siedem stóp od audytorium, dalej wznosiła się ściana ognia. Stary, drewniany pawilon stał w morzu płomieni. Jedna z jego wieżyczek przechyliła się trzeszcząc i przypominała pływaka, który zamierza skoczyć do wody.

Chłopcy, którzy wydostali się na zewnątrz, a potem przepchali z powrotem do środka, stali koło drzwi. Byli zdezorien-

124

Pan Fitz-Hallan zbliżał się z jednym jeszcze chłopcem, a za nimi tłoczyła się grupka pochlipujących uczniów; pani Olinger też płakała. Dostałem się na scenę razem z nauczycielem angielskiego. Udało mi się wyciągnąć Browna przez drzwi do holu. Nawet tutaj snuły się smugi dymu.

— Kontrabas — jęknął Brown, prostując się i przecierając oczy.

W odległym końcu korytarza pojawił się Hollis Wax. Przyszedł Tom i Fitz-Hallan. Kiedy Wax nas zobaczył, zaraz podbiegł.

— Niech was wszystkich Wax wyprowadzi na zewnątrz — zarządził Fitz-Hallan — i czekajcie na parkingu.

Pan Ridpath, zgięty we dwoje, wsunął się do holu w chwili, kiedy my wracaliśmy na salę. Za nim podążała gromada kaszlących chłopców oraz nauczycieli.

— Czy nie można... — zaczął Ridpath, ale pochylił się jeszcze niżej, wciąż kaszłąc.

— Na ulicę! — rozkazał Fitz-Hallan.

Tom już wrócił. Widziałem, jak przemykał przez ciemną scenę. Brown wziął pana Ridpatha za rękę i pociągnął szybko korytarzem, którym poszedł Wax.

Szedłem powoli przez scenę, starałem się nie oddychać. Oczy piekły od dymu. Kontrabas, pomyślałem i zauważyłem, że na scenie nie było nic oprócz fortepianu. Płonący pawilon buzował i huczał. Pan Broome wszedł na scenę i znalazł się koło mnie.

— Ty! — krzyknął. — Rozkazuję cię natychmiast opuścić ten budynek.

Zobaczyłem, że drzwi do audytorium palą się. Było gorąco jak w łaźni parowej. Ze dwudziestu chłopców leżało jeden na drugim u wejścia do holu, pan Weatherbee pochylił się i ciągnął dwóch w moją stronę. Skoczyłem na dół i pomogłem mu włączyć ich na scenę.

— Już nie mogę być tu dłużej — wykrztusił, chwycił chłopców za ręce i powłókł ich do tylnych drzwi. Kiedy tam dotarł, nie był już w stanie utrzymać się na nogach.

Tom i pan Fitz-Hallan wyciągali dalszych nieprzytomnych chłopców ze stosu skłębionych ciał. Nagle puściły wielkie drzwi i ogień wlał się do wnętrza.

— Podnieś się z tej podłogi, Whipple! — zawołał pan Broome.

Zdziwiony patrzyłem, jak dyrektor przechyla się nad krawędzią sceny niczym kiepski aktor.

— Usmażysz się jak boczek. Podnieś się!

Poprzez zgiełk wywołany pożarem usłyszałem wycie syren. Pan Broome krzychał:

127

— To wszystko — powiedział Tom.

Poprzez kłęby dymu widzieliśmy ścianę ognia. Obie wieżyczki pawilonu spłonęły, a ze środka gorejącej masy wzbijała się w górę kolumna czarnego dymu. Zatrzasnęliśmy drzwi przed napierającą falą płomieni.

Odwróciłem się i wpadłem na Dela, który zataczał się pomiędzy poprzewracanymi krzesłami.

— Nie widzę — powiedział.

Chłopcy w zatłoczonym przejściu wrzeszczeli. Del potknął się o przewrócone krzesło i runął jak długi. Wtedy w jakiś cudowny sposób znalazł się koło nas Tom i podniósł Dela.

— Nikomu nie uda się przedostać przez drzwi! — krzyknął mi do ucha. — Można wyjść jedynie przez scenę.

— Nasz sprzęt! — zawołał Del. — Musimy go ratować!

— Uratujemy — zapewnił Tom. — Chodź tu wyżej... będziesz lepiej widział, dym nie jest tu taki gęsty. — Przyciągnął Dela do sceny i wydzwignął na górę. Del gramolił się na czworakach i zbierał po omacku swoje rekwizyty czarodzieja.

— Gdzie Szkielet? — spytał mnie Tom. Jego twarz była usmarowana i napięta.

— Tu go nie ma.

— Musimy odsunąć ich od tych drzwi! — krzyknął.

Pan Broome i pan Ridpath wrzeszczeli po drugiej stronie audytorium, odciągając chłopców od zbitej grupy koło drzwi. Pan Fitz-Hallan wyłonił się z dymu koło mnie, niosąc w ramionach jakiegoś chłopca.

— Wejście dla aktorów — powiedział. — Niektórzy już przechodzą tamtędy. Paru jest rannych. — Pani Olinger zacięła kurczowo poły swego żakietu. — Zaraz wracam! — zawołał pan Fitz-Hallan, wdrapał się na deski sceny, posadził chłopaka i bezceremonialnie wciągnął panią Olinger.

Przez salę biegł Hollis Wax i wrzeszczał. Zobaczyłem, że Derek Brown wygrzebał się spod poprzewracanych krzeseł, płakał. Wax rzucił się do drzwi, które Flanagan z nauczycielami zdołali zamknąć, i zaczął walić w nie pięściami.

— Gorące! — wydierał się. — Zaraz się zapalą!

Tom, który mimo dymu widział jak nietoperz, podbiegł ku niemu i Wax zaczął zaraz przedzierać się na scenę. Potem, jak przez mgłę zobaczyłem, że Tom podniósł z podłogi Browna i ciągnie go w moją stronę.

— Wsadźmy go na scenę — rozkazał. Chwyciłem Browna pod ramiona, a Tom uniósł go za nogi i położyliśmy na deskach. — Trzeba go wynieść — dochodził skąd głos Toma.

126

Otarłem oczy.

— Chyba go tu nie ma.

— Mnie się wydaje, że jest — oznajmił Tom.

Odwrócił się i poszedł w kierunku nauczycieli, którzy na końcu parkingu skupili się wokół pana Broome'a. Jego twarz była nieomal czarna. Szare smugi znaczyły jego prążkowaną marynarkę. Spojrzał na Toma, nie dostrzegając go i kontynuował swoje przemówienie do pana Thorpe'a. Jego doberman leżał przy nogach; też wyczerpany i pobrudzony popiołem. Pies śmierdzał dymem, spalonym drewnem i stopionym metalem — było to czuć nawet tam, gdzie stałem — pomyślałem, że ja też pewnie śmierdzę.

— Nie powie mi pan, że chłopak nie palił — mówił pan Broome. — To zaczęło się w jednej z wieżyczek, sam wyraźnie widziałem. A przecież dzień po dniu ostrzegaliśmy tych chłopców. — Zachwiał się, a pan Thorpe podtrzymał go za łokieć. — Żądam listy wszystkich chłopców obecnych w audytorium. W ten sposób znajdziemy winnego. Przygotuj listę i odfajkuj...

— Panie dyrektorze... — zaczął Tom.

— Tutaj pracują ludzie — oświadczył Broome. — Nie wchodzi im w drogę.

— Czy Steve Ridpath był dziś rano w szkole? — spytał Tom.

— Wysłałem go do domu.

— Jest w domu — wykrztusił pan Ridpath. — Wziął samo chód. Dzięki Bogu.

— Wyrzucicie Dela ze szkoły? — zapytał Tom.

— Nie bądź osłem — powiedział Broome. — Tutaj ludzie pracują. Nie przeszkadzaj.

Tęgi mężczyzna, ubrany jak policjant, przeszedł po żwirze i stanął koło mnie i Toma. Miał odznakę z napisem: Naczelnik.

— Kto tu jest kierownikiem? — spytał.

Pan Broome zeszywniał.

— Ja jestem dyrektorem.

— Mogę prosić pana na chwilę?

— Służę — odparł pan Broome i udał się za naczelnikiem na środek parkingu.

— Gdzie jest Del? — dopytywał się Tom. — Widziałeś Dela?

— Zmarły? — powiedział głośno Broome, jakby nigdy dotychczas nie słyszał tego słowa.

Dwaj strażacy, którzy przebiegli koło nas wcześniej, wychodzili teraz z bocznych drzwi z ciałem na noszach.

— W klapie marynarki ma przypięty identyfikator z na zwiskiem Flanagan — oznajmił naczelnik straży.

— Flanagan wcale nie umarł — oświadczył impertynencko

—
5 _

Kraina Cieni

129

— Wychodzić! Natychmiast! Wszyscy wychodzić!

Pan Whipple był za ciężki, żeby można go było podnieść. Wciągnąłem w płuca haust gryzącego dymu, nogi ugięły się po_ de mną i upadłem na miękki brzuch nauczyciela. Koło mnie pojawił się Tom, który niósł jednego z nieprzytomnych chłopców.

— Wychodzić! Wychodzić! — wrzeszczał pan Broome.

Kurtyny na scenie zajęły się od ognia, zaskwierczały i zniknęły jak spalona bibułka. Pan Fitz-Hallan czołgając się na kolanach, zdołał odsunąć się o jakieś dwadzieścia stóp. Panu Whipple'owi zaburczało w brzuchu, przekręcił się i zwymiotował koło mojej głowy. Widziałem, jak Tom uczepiony ramienia pana Fitz-Hallana zakrywał ręką usta i postękiwał. Potem jakaś ogromna postać w czarnym, lśniącym ubraniu pochyliła się i uniosła mnie. Czułem tylko zapach dymu.

21

Narodziny bohatera

Strażak wyniósł mnie na parking, gdzie cztery samochody wylewały przez sikawki strumienie wody na zgliszcza pawilonu oraz na boczną ścianę audytorium. Położył mnie na trawie w pobliżu jednego z samochodów; usiłowałem wstać. Pana Fitz-Hallana wyprowadzono z parkingu, ciągnął za sobą Toma. Obaj wyglądali jak zwariowani naukowcy z jakiegoś komiksu, z usmarowanymi na czarno twarzami i popalonym odzieniem. Za nimi posuwał się rząd strażaków, niosąc ostatnich pięciu czy sześciu chłopców. Jeden strażak zataczał się pod ciężarem pana Whipple'a.

Karetką na sygnale wjechała na podjazd i zatrzymała się koło bocznych drzwi. Dwóch pielęgniarzy wyskoczyło i otworzyło tylne drzwi samochodu, żeby wyciągnąć nosze. Wreszcie udało mi się wstać. Morris Fielding, Bob Sherman, Bobby Hollingsworth i inni siedzieli na trawie

za ogrodzeniem parkingu i patrzyli na łuki wody znikające w ruinach pawilonu. Dostrzegłem czerwone linie na twarzy Morrisa — gdzieś się uderzył i rozciął skórę, był dzielny, zupełnie nie przejmował się swoją pokrwawioną twarzą; poruszyło to mną i zacząłem płakać.

— Wszystko w porządku — powiedział Tom. Raz jeszcze w cudowny sposób znalazł się koło mnie. — Patrzyłem wszędzie i myślę, że nikomu nic się nie stało. Widziałeś Szkieleta Ridpatha? / ..

128 *~*

najpoczytniejszej w mieście gazety widniał nagłówek: DYREKTOR PRYWATNEJ SZKOŁY WYRATOWAŁ STU CHŁOPCÓW i podtytuł: Zginął pierwszoklasista. Nikt już nie wspominał o wydaleniu kogokolwiek ze szkoły ani o kradzieży, tak jakby pożar rozwiązał ten problem.

Nie było zresztą z kim o tym mówić. Lekcje zostały do końca roku zawieszono, a nauczyciele wystawili ostateczne oceny na podstawie średniej ocen uzyskanych do dnia pożaru. Wielu chłopców nie wierzyło w opowiadanie Lakera Broome'a, że osobiście uratował większość uczniów, chociaż gazety przedstawiły go jako bohatera tych przerażających wydarzeń. Wszyscy jednak pamiętali, czego dokonał Tom Flanagan. Tylko zarząd szkoły i rodzice nie wątpili w doniesienia prasy, pragnęli bowiem wierzyć, że administracja szkoły zachowała się w sposób godny w tych krytycznych momentach.

Fotoreporter zrobił zdjęcie pana Broome'a na przyjęciu na trawniku, które zorganizowano z okazji rozdania promocji. Kiedy patrzyliśmy na wzgórze w kierunku budynku mieszczącego wyższe klasy, dostrzegliśmy brak w krajobrazie w miejscu, gdzie znajdował się kiedyś pawilon. Rodzice i uczniowie spacerowali po trawie, zjadając kanapki, które przygotowały dziewczęta pracujące w jadalni. Odszedłem od swoich rodziców stojących w małej grupie razem z Morrisem, Sternem i ich rodzicami koło prowizorycznej sceny, z której członek ostatniego gabinetu prezydenta Eisenhowera apelował do nas, żebyśmy usilnie pracowali i zbudowali lepszą Amerykę. Przy padkowo znalazłem się w pobliżu pana Broome'a, kiedy fotograf robił mu zdjęcie. Dyrektor spojrzał na mnie pobłaźliwie.

— Co myślisz o naszej szkole? — spytał. — Za parę miesięcy będziesz drugoklasistą. To pociąga za sobą dużą odpowiedzialność.

Patrzeliśmy na siebie przez chwilę.

— Zostaniesz wielkim człowiekiem. Wszyscy z was. — Nawet długie bruzdy na jego twarzy stały się inne, mniej ostre. Po latach zdałem sobie sprawę, że pożar bardzo go odmienił. Złagodniał.

Pożegnałem go i wróciłem do przyjaciół i rodziców. Tom i jego matka odeszli w towarzystwie Dela i Hillmanów. Nawet mając u boku rodziców i dziadków, Tom i Del wydawali się zagubieni i samotni.

— Czy pamiętam? — powiedział Tom w „Zanzibarze”. — Oczywiście pamiętam, o czym rozmawialiśmy. Mówiliśmy

131

Broome. — Flanagan jest z pewnością wśród nas. Sam pomagałem mu wyjść z audytorium.

— Och, nie! — zawołał Tom, ale nie miał na myśli kłamstwa dyrektora. Pan Fitz-Hallan i pani Olinger, a tuż za nimi pan Thorpe, byli już przy drzwiczkach karetki. Czterech chłopców, którzy pomdleli z zadymieniem, jęczało na noszach umocowanych jak koje w białym, metalowym wnętrzu. Usłyszałem, jak z trzaskiem i hukiem runęły resztki pawilonu. Chłopcy, którzy

to obserwowali, zawyli niczym na pokazie ogni sztucznych. Pan Fitz-Hallan pochylał się i delikatnie unióśł koc. Nie mogłem dosłyszeć dwóch czy trzech cichych słów, które wypowiedział.

— Ci ludzie wykonują, co do nich należy. Nie przeszkadzaj, Flanagan — napominał pan Broome.

Kiedy podnoszono przykryte ciało do ambulansu, suwak logarytmiczny z resztkami zwęglonego skórzanego futerału wysunął się i uderzył o białą stal.

Jest to ostatni z trzech obrazów, które utkwiły w mej pamięci z pierwszego roku pobytu w Carson — obrazy naprawdę niesamowite. Suwak logarytmiczny Dave'a Bricka uderzający o drzwiczki karetki, chłopcy krzyczący z radości na widok zgliszcz pawilonu, pan Broome powtarzający w kółko to samo. To było wszystko — martwy kolega, wesołe okrzyki, wrzaski szaleńca.

Tom i ja odnaleźliśmy Dela siedzącego na trawniku przed frontem szkoły. Pilnował rekwizytów do wykonywania sztuk magicznych, kontrabasu oraz bębnow Phila Hanny'ego. Udało mu się wynieść to wszystko w tym czasie, kiedy Tom ratował innych. Widział, jak przyjechała straż pożarna i karetka, ale nie poszedł tam, bo bał się, że ktoś może ukraść kontrabas Browna.

— Przywiązywał do niego taką ogromną wagę — powie dział. — A zresztą słyszałem, jak wszyscy krzyczą i kaszlą, no to myślałem, że nic im nie jest. — Spojrzał na twarz Toma, później na moją. — Nic się nikomu nie stało, prawda?

Tom usiadł koło niego.

22

Promocja

Czterech nauczycieli, w tym pan Fitz-Hallan i pan Thorpe, pozostało przez noc w szpitalu, bo nawdychali się dymu, tak samo dwudziestu czterech chłopców. W porannym wydaniu

CZEŚĆ DRUGA

KRAINA CIENI

Jesteśmy z powrotem u stóp wielkiego
gadającego drzewa, skąd opowieści
płyną... we wszystkie strony.
Roger Sale, Bajki i potem

0 przygotowaniach do mego wyjazdu z Delem do Krainy Cieni
Matka nie zgodziła się, żebym, leciał samolotem, mieliśmy więc
jechać pociągiem. Zapowiadało się wspaniale — wsiąść do
wagonu w Phoenix i przejechać przez cały kraj.

— Dlaczego chciałeś tam jechać? — spytałem.

— Z jednego tylko powodu — odparł Tom. — Chciałem
chronić Dela. Musiałem to uczynić.

Okręcił się na stołku barowym i obrzucił wzrokiem pustą salę. Promienie słoneczne padały z
okien jak światło reflektorów wprost na scenę. Nie patrzył na mnie, gdy mówił dalej.

— Wiedziałem, że nie zdołam powstrzymać go od wyjazdu,
musiałem więc pojechać razem z nim.

Westchnął, nie spuszczał oczu z żółtej świetlnej smugi na pustej scenie, jakby oczekiwał, że ujrzy
tam jakąś zjawę.

— Była pewna rzecz, o której rzeczywiście nie wiedziałem,
a powinienem. Szkoła również należała do Krainy Cieni.

Przez miesiące, blisko przez dwa lata, w innych barach

1 pokojach hotelowych, w innych miastach i w innych krajach,
gdziekolwiek spotkaliśmy się, zawsze słyszałem: A teraz po
wiem ci, co się wtedy stało.

— Biedny Dave Brick.

A więc on też to widział.

Zapadła noc. W oknach odbijały się ich twarze, niewyraźne, pozbawione indywidualnych rysów.

— Cholera — wymamrotał Tom prawie ze łzami.

Uczucia kłębiące się w jego piersiach były tak splątane, że trudno mu było je uporządkować. W jakiś sposób przeoczył Dave'a Bricka w tym istnym piekle, jakim stało się zadymione audytorium. Wiele razy prawdopodobnie przechodził obok niego, lecz zostawił go tam, poza nimi, w kraju, który z łoskotem kół oddalał się coraz bardziej. Wrażenie posuwania się naprzód, pokonywania przestrzeni było równie silne jak uczucie zagrożenia przeżyte przed domem Dela tamtego południa, gdy Del uniósł się w powietrze. W brudnym oknie zobaczył swoje zamglone odbicie; za szybą była ciemność i migwały tylko słupy telegraficzne niczym posępne wykrzykniki.

— Tak dużo zrobiłeś — stwierdził Del.

— No pewnie — burknął Tom, a Del powrócił do wer-
towania wykresów.

Po około dwudziestu minutach, w czasie których Del zabawiał się kartami, a Tom usiłował uporządkować swoje uczucia, Del podniósł oczy i powiedział:

— Hej, pora kolacji. Czy w tym pociągu można coś zjeść?

— Na przodzie jest wagon restauracyjny — oznajmił Tom.

Spojrzał na zegarek i stwierdził ze zdumieniem, że już dzie-
wiąta.

— Świetnie — ucieszył się Del i wstał. — Chcę ci coś
pokazać. Przeczytasz sobie, jak będziemy jedli.

— Ja nic nie rozumiem z tego, co przeglądałeś — powiedział
Tom, gdy szli korytarzem w stronę początku pociągu.

Del uśmiechnął się do niego przez ramię.

— Może i tego nie zrozumiesz. Choć jest to coś innego.

Każdy, kto na nich spojrział, domyślił się od razu, że chodzili do tej samej szkoły. Wyróżniali się spośród pozostałych pasażerów swoimi niebieskimi koszulami, świeżo podstrzyżonymi włosami, schludnością i młodością. Kowboje, w zakurzonych ubraniach, w kapeluszach z szerokim rondem i z tekturowymi walizkami, wsiadali na stacyjkach o takich nazwach, jak Gila Bend, Edgar lub Redemption, z rzadka rozrzuconymi na pustyni, a których całe zabudowanie stanowiło niekiedy parę zbitych z brązowych desek szop.

W wagonie restauracyjnym Tom zdał sobie sprawę, że obaj z Delem zwracają uwagę wszystkich. Skoro tylko weszli,

135

Ptaki wróciły do gniazda

Del był spokojny przez pierwszy dzień podróży.

Del był milczący przez pierwszy dzień wspólnej podróży. Tom wreszcie poniechał wysiłków, aby skłonić go do rozmowy. Kiedy uczynił jakąś uwagę na temat ogromnych pustych przestrzeni rozciągających się za oknami pędzącego pociągu, Del jedynie coś zamruczał i pogrążył się jeszcze bardziej w lekturze dwustustronicowego, odbitego na powielaczu rękopisu, który przysłał mu Coleman Collins. Rzecz dotyczyła tak zwanego potrójnego poprzecznego tasowania. Oprócz chrząknięć, jego jedyne zdanie dotyczące pustynnego krajobrazu brzmiało:

— Wygląda jak milion kowbojskich kapeluszy.

W tym czasie Tom przeczytał detektywistyczną powieść Rexa Stouta, przeszedł się wzdłuż wagonów, oglądając innych pasażerów — było wielu starych ludzi i młodych kobiet z niemowlętami, które były obskakiwane przez żołnierzy mówiących z południowym akcentem. Zajrzał do baru oraz wagonu restauracyjnego. Usiadł na przodzie pociągu w miejscu, skąd mógł podziwiać całą panoramę. Zdawało się, że pustynia ogarnia wszystko. W miarę jak pociąg posuwał

się naprzód, a dzień chylił ku zachodowi, zmieniały się kolory, z żółtego i pomarańczowego na złoty i czerwony, a tuż przed zmierzchem, który pokrył wielkie obszary niebieskawą szarością, barwy rozplomieniły się i wybuchły olśniewającym różem i purpurą. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale w tym momencie wydawało się, że cały świat stanął w ogniu. Kiedy Tom zgłódniały powrócił do przedziału, Del podniósł wzrok znad strony pełnej wykresów i powiedział:

134 _;

Poziom 1

— Przeczytaj jeszcze raz.

Tom ponownie przebiegł wzrokiem listę.

— Nie rozumiem.

— Ależ rozumiesz. — Del był cały rozpromieniony.

— Każdego lata otrzymujesz coś takiego?

Del potrząsnął głową.

— Pierwszy raz. Ale kiedy widziałem go na Boże Narodzenie, powiedział, że jeżeli przyjadę z tobą, to przyśle mi też opis.

— Czego? Tego co sam potrafi zrobić?

— Potrafi o wiele więcej. Ale sądzę, że miał na myśli opis tego, co powinien umieć każdy iluzjonista.

— Może zmienić posąg w człowieka? Może...? — Tom wzrokiem szukał na kartce. — Przemienić krajobraz?

— Chyba tak. — Del roześmiał się. — Widziałem takie rzeczy. Nie wszystko, ale dużo.

— Jeśli więc Róża Armstrong przynosi ci kawę, może to zrobić, trzymając filiżankę z kawą do góry dnem?

Del potrząsnął głową i wciąż się śmiał.

— Nie podoba mi się to „Żebyś wiedział, w co się pakujesz”.

— Mówiłem ci, że on czasem jest szalony.

— Ale to brzmi jak pogróżka. — I wtedy przypomniał sobie coś, co widział przed miesiącem, a uznał wtedy za złudzenie: Szkieleta Ridpatha unoszącego się pod sufitem audytorium, wiszącego tam jak pająk nad zdobyczą.

137

dostrzegł ogólne zainteresowanie reszty pasażerów. Parę osób uśmiechnęło się. Czuł się skrępowany. Poprzysiągł sobie, że przez resztę podróży będzie nosił koszulę w innym kolorze niż Del. Del wybrał mały, boczny stolik, zdjął serwetkę z talerza i sięgnął po menu. Tak był zajęty własnymi myślami, że zupełnie nie zauważał ciekawych spojrzeń pasażerów.

— Ach, jajka po benedyktyńsku — przeczytał. — Doskonałe. Ty też zjesz?

— Nie wiem, co to jest — powiedział Tom.

— No to spróbuj. Bardzo dobre. Moje ulubione danie.

Kiedy podszedł kelner, obaj zamówili jajka po benedyktyńsku.

— I kawę, proszę — zażądał Del, podając niedbale menu kelnerowi. Był to posepny, starszy Murzyn.

— A może mleko? — zażartował kelner. — Kawa szkodzi.

— Kawę. Czarną.

— A tobie, synu? — Kelner zwrócił swą zmęczoną twarz do Toma.

— Chyba mleko. — Del przewrócił oczami. Tom spytał: —

Pyasz kawę?

— W Vermont piję.

— Księżniczki i kruki co dzień rano przynoszą ci ją w złoty filiżankach?

— Czasami. Czasami przynosi ją Róża Armstrong. — Del śmiał się.

— Róża Armstrong?

— Róża Armstrong, właśnie. Poczekaj. Może będzie, a może nie. Mam nadzieję, że będzie.

— Aha. — Teraz i Tom się uśmiechnął.

— Tak. Jak będziesz miał szczęście, zobaczysz, co mam na myśli. — Del poprawił serwetkę na kolanach, rozejrzał się, jakby chciał upewnić się, że nikt nie podsłuchuje i poprzez stół wyszeptał: — Zanim posmakujesz raju, może powinieneś zobaczyć, co mi przysłał Collins.

— Jeżeli tak uważasz.

Del wydobył złożony arkusz papieru maszynowego z kieszeni koszuli i podał Tomowi.

— Nie zadawaj żadnych pytań, dopóki wszystkiego nie przeczytasz.

Tom rozłożył kartkę, na której widniał następujący schemat:

CZARY, WYOBRAŻENIA I ILUZJE

(Do uważnego przeczytania przez mych obu uczniów) ?

Żebyś wiedział, w co się pakujesz!

136

— Nic nie zrobimy.

— Uważam, że powinniśmy popatrzeć. Będziemy coś wiedzieć. Masz pewność, że to on?

— Chyba tak. Ale widziałem go przez moment... tylko mi mignął-

Pociąg zaczął ruszać ze stacji.

— Jednak taką twarz...

— Trudno nie zauważyć — przyznał Tom. — Tak.

— Chodźmy. — Del wstał od stołu. — Zapłacę kelnerowi, pójdę do przodu, a ty idź do tyłu. Jesteśmy prawie w połowie pociągu. — Del odetchnął głęboko i zakołysał się w takt ruchu wagonu. — Jeżeli to on... nie chcę ci nic sugerować... może będzie siedział twarzą do ciebie w którymś przedziale, gdy będziesz posuwał się korytarzem. Ale być może on po prostu podróżuje...

— Możliwe też, że się pomyliłem — powiedział Tom. Po czuł radość, że Del okazał zdenerwowanie. — Nie wykluczam, że jeśli go zobaczę, to wyrzucę za łeb z pociągu. — Teraz, kiedy Dela opanowała obawa, jego strach zmienił się w złość. — Lepiej już chodźmy.

— To właśnie powiedziałem — przypomniał Del, spoglądając przez ramię na Toma i wyciągając w stronę kelnera zwinięty banknot dziesięciodolarowy.

Tom wszedł do następnego wagonu i przyglądał się pasażerom. Wielu drzemało — małe dzieci rozkładały się na dwóch siedzeniach, żołnierze spali z czapkami naciągniętymi na oczy, chrapiąc niczym stado świń. Ci, którzy nie spali, spoglądali na niego znad czytanych gazet. Szkieleta Ridpatha nie było.

Przeszedł szybko na koniec wagonu, rozsunął ciężkie drzwi i przez chwilę stał na kołyszącym się połączeniu pomiędzy wagonami. Zaglądał przez zasmarowaną szybę — to był ich wagon. Tom pomyślał ze złością, że jeśli Szkielet jest w pociągu, to na pewno usiadł gdzieś w pobliżu nich. Ta myśl przyprawiła go o mdłości.

Rozsunął drzwi i wszedł. Jedna z zaspanych matek obdarzyła go uśmiechem. W przedziale było ciepło i przytulnie.

Pozostały jeszcze trzy wagony. Gdyby Szkielet znajdował się w tej połowie pociągu, którą sprawdzał Tom, to było trzydzieści trzy procent prawdopodobieństwa, że spotka go w następnym wagonie. Tom opuścił własny przedział i otworzył drzwi do drugiego wagonu.

Tutaj były wygaszone wszystkie światła. Tom zamknął za sobą drzwi. Jego wzrok pomału oswajał się z ciemnością.

139

— To wcale nie jest pogrożka — wyjaśnił Del. — Czasem wszystko jest normalnie, a kiedy indziej... — Machnął arkuszem papieru. — Kiedy indziej można się uczyć różnych rzeczy. Och, wspaniale, idzie nasza kolacja.

Tom ostrożnie przekroił jajko na swym talerzu, zobaczył, jak żółtko wypływa i miesza się z jaśniejszym żółtym sosem i podniósł ociekający widelec do ust.

— Pyszne — powiedział, gdy przełknął. — Od jak dawna to trwa?

— Sos holenderski bierze się z butelki — powiedział Del. ~
Masz już chyba ogólne pojęcie.

Kiedy jedli, pociąg zwolnił i zatrzymał się na stacji. Tom widział tylko metalową wieżę ciśnień i odrapaną szopę. Kilku mężczyzn w kowbojskich kapeluszach czekało, aby wsiąść.

— Jeśli chodzi o te poziomy, to sądzę, że można czasem zrobić coś z wyższego, nie będąc w stanie wykonać wszystkiego z niższego poziomu. Na przykład ja potrafię unieść się, no wiesz, ale wujek Cole twierdzi, że każdy może się tego nauczyć, jeśli się odpowiednio skoncentruje. Ale tak naprawdę to jestem na poziomie pierwszym, nie opanowałem jeszcze nawet głosu. Wciąż się uczę. „Trans” to hipnotyzm, każdy idiota może to zrobić. Aktorstwo natomiast...

Tom obserwował przechodzących kowbojów.

— ...to zwykłe umiejętności sceniczne, trzeba po prostu wiedzieć, jak to się robi i poznać zasady...

Tomowi nagle mignęła twarz, która kazała mu natychmiast zapomnieć o kowbojach. Opuściła go cała przyjemność podróży i ogarnął chłód.

— On, widzisz, uważa, że aktorstwo to rupieciarnia... —

Del spojrzał nieco zaskoczony. — Straciłeś apetyt?

— Nie wiem — odparł Tom. Wyciągnął szyję poprzez stolik, usiłując dojrzeć wśród gromady oczekujących mężczyzn tę posiniaczoną twarz.

— Zobaczyłeś kogoś z przyjaciół? Na tej stacyjce?

— To nie przyjaciel. Zdaje mi się, że widziałem Szkieleta.

Czekał, żeby wsiąść do pociągu.

Del odłożył nóż i widelec.

— Och, mnie też odszedł apetyt. — Był całkowicie opanowany. — Co zrobimy?

138 -*"-

kanie, znów przeżył szok. W końcu wagonu ujrzał bowiem tył głowy Szkieleta, wąskiej głowy

pokrytej meszkiem szarych włosów.

Teraz nie ma nad nami żadnej władzy, mówił Tom do siebie, nie może nam nic zrobić. Nie ma powodu, aby się go obawiać. W tym wypadku, może Del ma rację. Nie należy mu się pokazywać, lecz upewnić się tylko, że to on i mieć nadzieję, że ^rysiądzie na następnej stacji.

Tom chciał już się wycofać, ale powstrzymała go myśl, że wróci do Dela i powie; tak, on jest tutaj, a potem dwa dni i dwie noce będą żyć w strachu. Wyobraził sobie, jak on i Del zamiast spać, będą nastawiać uszu na każdy szmer. Nie mógł pozwolić sobie na takie dziecinne zachowanie.

Postąpił o krok bliżej nienawistnej głowy. Potem nabrał powietrza w płuca, szybko zaszedł Szkieleta z boku i upadł na siedzenie naprzeciwko. Nie zastanawiając się dłużej, wypalił:

— A co ty tu właściwie robisz?

I wtedy zatkało go — następny szok. Twarz była twarzą Szkieleta w wieku około pięćdziesięciu lat. Było to oblicze gada, kości obciążone skórą z ciemnymi workami pod pozbawionymi koloru oczyma; tylko o wiele starsze.

— Mam chyba prawo być tutaj — odparł mężczyzna. — A kimże ty jesteś, do licha. Wynoś się stąd! — Chudą, drżącą ręką mężczyzna usiłował chwycić swój krawat. — Zabierzcie tego dzieciaka! — Zwrócił się z żądaniem do pustych siedzeń. — Zjeżdżaj stąd, szczeniaku. Zostaw mnie w spokoju.

Teraz było zupełnie jak we śnie — mężczyzna był tak samo niesamowity jak Szkielet, a nawet, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej odrażający. Ale z pewnością nie był to Szkielet.

— Lepiej nie zaczepiaj mnie, chłopaku. Wynoś się, zanim ci przyłożę! — Nie mógł zrozumieć obecności Toma i był zły. Przypominał rozdrażnionego psa.

Tom bąkał coś na przeproszenie. Zobaczył na końcu wagonu konduktora i uciekł. Z filmów wiedział, że na końcu pociągu znajdują się jakby małe balkony. Otworzył więc ostatnie drzwi, żeby się tam dostać. Ale tu czekała go nowa niespodzianka. Przed nim kołysał się jeszcze jeden wagon. Wcale nie był na końcu pociągu. Ależ... Tego wagonu na pewno nie było rano, gdy wyruszyli w swoją podróż. Wsiadł z Delem do czwartego wagonu od końca, to pamiętał z całą pewnością. Ten wagon w magiczny sposób został doczepiony.

Tom zatoczył się.

— Proszę zabrać tego chłopaka — polecił mężczyzna konduktorowi.

i I

141

I

Wagon był prawie pusty, co było potwierdzeniem opinii niektórych pasażerów, że w pociągu dobrze się śpi. Jeden z mężczyzn, z wąsami, w niebieskich drelichowych spodniach, mrucał coś przez sen, wtulając twarz w chropawę obicie siedzenia. Tom od razu zorientował się, że żaden ze śpiących to nie Szkielet Ridpath. Był zmęczony, zapragnął też skulić się na siedzeniu i poczuć się bezpiecznie. I wtedy nagle ogarnęła go świadomość, że zna sny tych obcych ludzi.

Mężczyźnie, który unosi ramię, śni się wąż oplatający cały świat i wąż ten trzyma ogon w swojej paszczy? Innemu, siedzącemu dwa rzędy z tyłu, co śpi jak dziecko z odrzuconą głową i rozchylonymi kolanami, śni się pewnie jakaś Róża Armstrong, jakaś śliczna dziewczyna, o której wciąż marzy. A może wielka ropucha z mieniącym się klejnotem na czole i złotym kluczykiem w gębie? A tamtemu może śni się, że jest myśliwym w gwiazdzistym lesie na Orionie i już napina swój łuk? Albo może, że stał się drapieżnym ptakiem?

Po chwili Tom poczuł, że nie wdarł się w ich sny, tylko sam jest snem, który śnią. Stopami prawie nie dotykał ziemi. Ich chrapanie i westchnienia niosły go na koniec wagonu, a drzwi rozsunęły się

pod lekkim dotykiem jego ręki. Pocił się... głowę zasnuwały mu pajęczyny... drapieżne ptaki... płonące ropuchy...

Tom pocił się i czuł zawrót głowy, gdy szedł po huśtającej się platformie pomiędzy wagonami. Wydawało mu się, że traci kontrolę nad własnym umysłem, w którym lęgną się przedziwne fantazje. Znajdował się w jakimś miejscu, w którym nigdy dotychczas nie był. We śnie? On, zrównoważony Tom Flanagan? Pomyślał, że przyczyną tego jest Szkielet. I kiedy miał już otworzyć drzwi do następnego wagonu, zdał sobie sprawę, że zgodnie z wyliczeniem miał teraz pięćdziesiąt procent pewności, że w tym wagonie zobaczy Szkieleta.

Posuwał się korytarzem i rozglądał szybko na jedną i drugą stronę, obserwując twarze, chociaż miał pewność, że gdyby jego wróg znajdował się tutaj, byłby widoczny jak sygnał świetlny. Dwie dziesięcioletnie dziewczynki w identycznych perkalowych sukienkach rozstały się, aby go przepuścić.

Tom przeszedł do ostatniego wagonu. Teraz miał stuprocentową szansę spotkania Szkieleta. Chciało mu się siusiu tak jak przed egzaminem. Przełknął ślinę, miał nadzieję, że Del siedzi już bezpiecznie w swoim przedziale i myśli, że Szkielet już na dobre zniknął z ich życia. Ujął za rączkę i popchnął drzwi. Wiedział, że był tam Szkielet.

A jednak, chociaż myślał, że jest przygotowany na to spot-

..*? 140

Rano chłopcy zajadali grzanki ociekające syropem klono-vyym, twarde małe kiełbaski, które pachniały dymem z drzewa orzechowego, popijali sok pomidorowy. Za oknami wagonu restauracyjnego uciekało Ohio — piaszczyste równiny, czarne zadymione miasta. Nie pozostał już prawie żaden z pasażerów, którzy wsiedli do pociągu w Arizonie i śpiewny akcent mieszkańców Środkowego Zachodu zastąpił przeciągłą wymowę południowców. Najważniejszymi nowymi pasażerami byli czterej czarni mężczyźni w średnim wieku, ubrani w rzucające się w oczy eleganckie garnitury. Późną nocą, w Chicago, nadzorowali załadunek do wagonu bagażowego skrzyń z instrumentami. Byli zapewne sławnymi muzykami. Konduktorzy odnosili się do nich jak do bohaterów, jak do królów i rzeczywiście wyglądali jak królowie, biła z nich pewność siebie i nie zwracali na nikogo uwagi. Morris Fielding z pewnością znałby ich nazwiska.

— Jeden z nich nazywa się Coleman Hawkins — oznajmił Del. — Konduktor mi powiedział. Ale nigdy nie zgadniesz nazwiska tego spokojnego, tego bez włosów.

— Masz rację. Nie zgadnę.

— Tommy Flanagan. Gra na fortepianie i konduktor mówi, że jest fantastyczny.

— Tommy Flanagan? — Tom odłożył nóż i widelec i rozej rzał się po wagonie restauracyjnym.

— Myślę, że nie wstają tak wcześnie — powiedział Del kwaśno. — Nie patrz na to w ten sposób. Jeśli ktoś nazywa się tak jak ty, to przecież nie przeszkadza, aby był doskonałym pianistą.

— No tak, rzeczywiście... ale wolałbym raczej, żeby był doskonałym graczem drużyny baseballowej — powiedział Tom. Przez chwilę miał uczucie, jakby ten mężczyzna, skromny i uprzejmy jak anglikański pastor, skradł mu nazwisko.

— Ciekaw jestem, co tym razem będzie robił? — odezwał się Del.

— Będzie grał na fortepianie, głuptasie.

— Nie twój imiennik, tępaku. Wujek Cole. Ciekaw jestem, jak będzie tego lata.

Drzwi przesunęły się w jedną stronę i Tom przemknął, nie zwracając uwagi na krzyk konduktora. Myślał tylko o tym nowym wagonie — teraz Tom naprawdę stracił głowę. Jakby cofnął się o pięćdziesiąt lat. Migające gazowe lampy przytwierdzone do ścian wybitych tapetami, miękki wzorzysty dywan na podłodze. Sztychy ze scenami z polowań. Grupka mężczyzn w staromodnych kurtkach w kratkę przypatrywała mu się ciekawie. Większość miała brody, niektórzy palili długie cygara. Z ich szklanek dolatywał zapach whisky.

— Pomyliłeś się — powiedział spokojnie wysoki, krzepki mężczyzna w stojącym kołnierzyku i ze spiczastą bródką. — Proszę stąd wyjść. — Patrzył na Toma kamiennym wzrokiem przez cienkie, złote binokle.

Konduktor otworzył drzwi i położył ciężką rękę na ramieniu Toma.

— Nie zdołałem zatrzymać go w porę, panie Peet.

— W porządku, rozumiem, proszę go zabrać.

Konduktor pociągnął Toma do następnego wagonu. Stary

„Szkielet Radpath” odwrócił się na siedzeniu z niesmakiem i wyglądał przez okno.

— Żebyś tam więcej nie wchodził — powiedział konduktor.

Nie wydawał się zły. — Może wyglądają jak pomyłeńcy, ale to ich sprawa.

— Co to właściwie jest?

Konduktor puścił ramię Toma.

— Prywatna wycieczka, wagon jest ich własnością. Jedze nie? Napoje? Nigdy nie widziałeś nic podobnego. Trzeba być bardzo bogatym, żeby sobie na to pozwolić. Doczepili się na jednej z poprzednich stacji i będą tak jechać aż do Nowego Jorku. Zostaw ich w spokoju, synku. Masz cały pociąg, żeby sobie spacerować.

Kiedy Tom wrócił na swoje miejsce, Del poderwał się i wlepił w niego oczy:

— Jest tam?

— To tylko jakiś facet podobny do niego.

— Aaach. — Del westchnął i opadł na siedzenie. — Dzięki Bogu. — Pogładził swoje lśniące włosy i spojrzał na Toma z uśmiechem. — Ale się baliśmy! A przecież, gdyby nawet był w pociągu, co mógł nam zrobić? ;;;

— Może to jego duch? — powiedział Tom, a Del starał się zachować dobrą minę.

Tej noey, w pociągu toczącym się przez Illinois, na górnym łóżku, Tom śnił o obozowym ognisku w głębi lasu. Księżyc spoglądał jak wielkie oko, a wąż coś do niego szeptał.

142 ~*

v du, tak przynajmniej uważam. Jest po prostu trochę pomyłony. Voza letnimi miesiącami jest chyba cały czas sam. Magia to jest wszystko, co ma. No to czasem staje się bliski obłądu... a jeśli jeszcze pije...

— Tak też myślałem — powiedział Tom.

Take care, Red.

— Czy Bud Copeland go zna? — zapytał Tom.

Del potaknął.

— Spotkał go kiedyś, kiedy przyjechał do Vermont, żeby mnie zabrać. Mmm, złamałem nogę. To był wypadek. Wtedy się

poznali, tak. — Tom nie musiał stawiać tego pytania. — Bud uważał, że nie powinienem tam nigdy więcej jeździć. Jakoś go jednak przekonałem. On nie lubi wujka Cole. No bo widzisz, Tom, on nie pojmuje. To tyle.

— Rozumiem,

— Nie jest jednak tak zupełnie szalony. — Del bronił wujka. — Ale tylko nie zdobył tego uznania, jakim powinien się cieszyć i cały czas spędza w samotności. Naprawdę wszystko jest w porządku. To tylko takie wrażenie, że jest trochę pomyłony.

— Ale złamałeś nogę, bo jego poniosło, prawda?

— Tak. Ludzie przecież cały czas łamią nogi na nartach. To było niegroźne złamanie, doktor powiedział, że prawie pęknięcie. Miałem nogę w gipsie tylko trzy tygodnie, to nic takiego.

— Czy twój wujek wezwał lekarza?

Del zarumienił się.

— Bud wezwał. Wujek powiedział, że samo się zagoi. Miał rację, na pewno zagoiłoby się. Może nie tak szybko, ale zagoiłoby się.

— A jednak to się stało?

— Spadłem ze skały — wyjaśnił Del. Teraz twarz jego była bardzo czerwona. — Nie martw się. Nic takiego już się nigdy nie zdarzy.

Na stacji Pensylwania przesiedli się do innego pociągu. Ponieważ odjazd do Vermont miał nastąpić dopiero za dwie godziny, chłopcy umieścili bagaże w szafkach w przechowalni i spacerowali wokół stacji.

— Jeszcze tylko parę godzin — powiedział Del, gdy stali w przejściu i przyglądali się ludziom wchodzącym i wychodzą-

145

I

I

— Zawsze jest inaczej?

— Oczywiście. Jednego lata było jak w cyrku. Wszędzie pełno klaunów i akrobatów. To było wtedy, gdy byłem małym dzieciakiem. Innego znów lata było jak w kinie. Filmy o kowbojach i o policjantach. Kiedy wciąż chodziłem do kina, miałem dwanaście lat. Co sobotę oglądałem dwa filmy. Gdy przyjechałem do Krainy Cieni, to każdy dzień był jak inny film. Nigdy nie wiedziałem, co będzie. Był Humphrey Bogart i Marilyn Monroe, William Benedix i Randolph Scott...

— Tam, na miejscu? Ależ to niemożliwe.

— No, byli tacy sami jak oni. Wiedziałem, że to nie oni, ale... niekiedy były to kawałki z ich filmów. Poustawiał wszędzie aparaty projekcyjne. Potrafił zrobić tak, że wydawało się, iż to dzieje się naprawdę. Każde lato to odmienne przedstawienie. Ciekaw jestem, co będzie tym razem. — Zrobił przerwę. — Zawsze związane jest to z tym, co przeżywałeś przed przyjazdem. To wszystko jest częścią magii, tak on powiada, która wprowadza w życie to, o czym myślisz. Albo to, co ci leży na

sercu. A po tym wszystkim, co wydarzyło się w tym roku... — Del przez chwilę był zakłopotany.

— Chcesz powiedzieć, że to może być o szkole?

— No, jeszcze nigdy nie było. Wujek Cole nienawidzi szkół. Twierdzi, że on jest jedyną osobą, która wie, kto powinien dostać zezwolenie na prowadzenie szkoły.

— A może to będzie Szkielet i nasze przedstawienie, i...

— I pożar. Możliwe. — Del rozpromienił się. — Cokolwiek to będzie, nauczymy się czegoś.

— Myślę, że raczej wolałbym się tego nie uczyć — zapewnił Tom,

— Słuchaj uważnie, co powie zaraz na początku. Kiedy spotka nas na stacji. To będzie klucz do wszystkiego.

— A więc, doniosłość znaczenia pierwszych wypowiedzi nych słów — zauważył Tom.

Del znów poczuł się nieswojo.

— Skończyliśmy już śniadanie? No to może chodźmy stąd. — Zabrzącał widelec odłożony na talerz. Del spojrzał przez okno, za którym przesuwały się brudne, ceglane tyły budynków mieszczących biura i składy towarowe, oszpecone jeszcze schodami przeciwpożarowymi. Mijali kolejne ponure miasto w Ohio. Wreszcie wydusił z siebie to, co od dawna zamierzał powiedzieć: — Słuchaj, Tom. Musisz wiedzieć... To znaczy, powinienem ci już przedtem powiedzieć. Mój wujek... wszystko, co o nim mówiłem, to prawda. I to, że jest trochę pomyłony. On pije. Pije diabelnie dużo. Ale to nie z tego powo-
144

— Wam też nie pozostało nic innego tylko czekać — oznajmił bagażowy. — Nikt nigdzie nie pojedzie, dopóki nie uprzętną torów. Jeśli wasz tatuś czeka na was w Vermont, to już o tym wie. W Vermont też mają telewizję.

— Nie w tym domu — stwierdził z rozpaczą Del.

Tom wyrzwał przez okno i zobaczył, jak paru mężczyzn w garniturach i krawatach rzucalo zapalczywie kamieniami w krowy.

Z biegiem godzin Tom czuł, że cała energia gaśnie w nim niczym wypalająca się świeczka. Powieki opadały i wydawało mu się, że cały pociąg ogarnął trupi zapach. Dwa razy wychodził do toalety, chociaż panował tam nieprawdopodobny fetor, nieco mu ulżyło.

— Muszę się trochę przespać — powiedział, gdy przywłókł się za drugim razem.

Del leżał już skulony jak wyczerpany ptaszek w gniazdku.

Kiedy wreszcie pociąg ruszył, wstrząsy i szarpnięcia wagonu zupełnie wybiły Toma ze snu. Del spał.

Gdy mijali miejsce, gdzie wydarzyła się katastrofa, zarówno w wagonie chłopców, jak i w całym pociągu zapadło milczenie. Pasażerowie tłoczyli się w korytarzu, żeby wyrzeć przez okna, ale nikt nic nie mówił. Po lewej stronie toru leżał przewrócony pociąg. Wyglądał jak połamany wąż. W powietrze wystrzelił pęk iskier, szybko jednak zgasty, nim zdołali spaść. Poniżej toru zauważyli kilka ciał przykrytych kocami. Jeden z wagonów był niemal zwinięty, jakby był z papieru. W pobliżu kręciło się około pół tuzina policjantów, dokoła kłębił się ciężki, szary dym. Tom pomyślał, że oto poznał zapach katastrofy — zapach oleju i metalu, ostry swąd oraz przykrą woń krwi. Ten zapach czuł jak smak na języku; wypełnił mu usta, był to smak znany, zjełczały.

Hilly Vale

Gdy późnym wieczorem dojechali do miasta o nazwie Springville, Del powiedział:

— To będzie następny przystanek.

Wstał, ściągnął walizki z półki bagażowej i wystawił je na

147

cym z hotelu „Statler Hilton” po drugiej stronie ulicy. — Jak to się mówi, przeżyjemy przygodę.

— Ja czuję, jakbym ją już przeżywał — odparł Tom.

Czarni muzycy z pociągu przywołali taksówki i żartując, rozjeżdżali się w różnych kierunkach.

— Pewnego dnia będziemy tacy jak oni — zadumał się Del. — Wolni. Możesz to sobie wyobrazić? Będziemy podróżować, będziemy mieli występy... będziemy mogli chodzić, gdzie nam się spodoba. Lubię myśleć o przyszłości, to wprost za chwycające.

Nagle Tom ujrzał przyszłość w taki sposób, w jaki Del ją widział. Samotne włóczenie się po świecie, zawsze z biletem lotniczym w kieszeni, mieszkanie w hotelach, taksówki, pokazywanie sztuk w jakimś klubie, potem w innym... Uczuł drzenie w najgłębszych warstwach swej osobowości i po raz pierwszy dokonał ważnego wyboru. Zdecydował się na życie zupełnie odmienne od tego, jakie wybrałoby dla niego rodzice oraz Szkoła Carson.

6

Po południu pociąg zatrzymał się przymusowo na północ od Bostonu, wśród zielonych pól Massachusetts. Łaciate krowy unosiły łby i przyglądały się im wilgotnymi oczami. Ludzie przechadzali się po torach, siadali na nasypie i patrzyli na krowy.

— Długo tu jeszcze będziemy? — zapytał Tom konduktora.

— Może jeszcze parę godzin, jak słyszałem.

— Tak długo?

— I tak macie szczęście, chłopcy.

Co pewien czas, ktoś znudzonym głosem i niezbyt wyraźnie nadawał przez megafon komunikat:

— Przepraszamy za niedogodności spowodowane przerwą w podróży, ale... Uruchomienie pociągu nastąpi prawdopodobnie za...

W przedziałach słycać było ożywioną wymianę zdań.

— Poważny wypadek na następnej stacji węzłowej — wrzeszcze powiedział chłopcom bagażowy. — Pierwszy raz od bardzo wielu lat. Wagony wywróciły się i ludzie powypadali. Czarny dzień dla kolei.

— Co mamy robić? — spytał Del bardzo zdenerwowany. — Ktoś oczekuje nas na stacji w Vermont.

146

dził dość długie włosy. Tom pomyślał, że gdyby zobaczył go grającego w filmie rolę nauczyciela łaciny, wiadomo by było, że nim przekreśli się pierwsza szpula, uczniowie jego zaczną umierać na jakąś tajemniczą chorobę. Wuj Dela z trudem utrzymywał się na nogach i Tom zorientował się, że Collins był pijany.

— A więc ptaki wróciły do gniazda — powiedział.

korytarz. Robił to w skupieniu i metodycznie. Potem usiadł na swym miejscu wyprostowany i nie odzywał się. Przez ostatnie dziesięć minut stał przy drzwiach ze wzrokiem utkwionym przed siebie.

— Słuchaj, co... — zaczął Tom, ale Del nawet nie mrugnął.

— Hilly Vale — zabrzmiał metaliczny głos. — Hilly Vale.

Proszę uważać na stopnie, wysiadając z pociągu.

Del rzucił mu spojrzenie, ale Tom ciągnął już swoją walizkę w stronę drzwi. Wysiedli. Otoczyła

ich duszna, wilgotna noc. Przez chwilę Tom słyszał brzęczenie owadów; szum, bzykanie, skrzypienie i syczenie tak głośne, jakby znajdowali się w głębi dżungli. Po chwili pociąg ruszył. Stacyjka była mała jak na obrazku. Parę żarówek oświetlało zaledwie budynek, reszta tonęła w mroku. Pociąg odplynął w ciemność i po chwili stał się czerwonym punkcikiem, który zniknął za niewidzialnym zakrętem. Chmury owadów wirowały, brzęczały i bzykały.

— No i co? — odezwał się Tom. Miał wrażenie, jakby zo stał wysadzony na poboczu drogi, gdzieś na Alasce albo w Peru.

Kakofonia dźwięków wydawanych przez owady wzmogła się. Słychać było świsty, piski, dzwonki, cykanie, świergotanie, brzęczenie, gwizdy, pękanie butelek, szarpanie za struny, warkot miniaturowych samolocików kamikadze.

Del uciszył go:

— Szszsz.

Przez chwilę obaj chłopcy stali w żółtym świetle żarówek, zachowując milczenie. Z ciemności wyłonił się pan Thorpe.

8

Nie, to jednak nie był pan Thorpe, tak samo jak nieznajomy w pociągu nie był Szkieletem Ridpathem. Mężczyzna był wysoki, siwy, ubrany w ciemnoniebieski garnitur w białe, szerokie paski. Utykał lekko, lecz czynił to w sposób elegancki. Nos miał długi, zakrzywiony, twarz pociągłą, kanciastą, wyrażającą siłę woli. Coleman Collins wyglądał jak ambasador albo postarzały aktor, tak znakomity i wytworny, iż proponowano mu jedynie role dużej klasy aferzysty, wielkiego księcia lub nazistowskiego generała. Przygła-

148

Czarownik lodowate oczy skierował na Toma, który z ulgą zobaczył, że pod udawanym gniewem kryje się rozbawienie.

— Ach. Tajemnica staje się coraz trudniejsza do rozwikłania. — Oparł się niedbale o ogrodzenie. — Z pewnością je den z was, chłopcy, potrafi wytłumaczyć mi, dlaczego ja kiś wypadek, jakaś kawa porozlewana w zupełnie innym pociągu, spowodowała, że musiałem tu siedzieć nieomal cały dzień. Jesteś w stanie wyjaśnić to, Del?

Del odwrócił się i zaczął tłumaczyć. Zacinał się, plątał, miał tremę jak przed występem, ale jednak mówił do swego wuja. Tom odczuł, że to dziwne napięcie pomiędzy nimi powoli rozplywa się w powietrzu.

Kiedy Del skończył, wuj zapytał:

— Nie obejrzałeś miejsca katastrofy, dziecko? Nie przyjrzałeś się temu terenowi? Nie było krwi, rozbitych wagonów, oszołomionych i pokaleczonych ofiar, wścibskich reporterów i surowych policjantów? — zaskoczył obu chłopców, śmiejąc się. — Nie było trupów ani...

— Wujku Cole — odezwał się Del.

Czarodziej lypnął na niego okiem.

— Tak, słucham cię, kochanie?

— Czy Róża Armstrong jest tego lata?

Collins udawał, że zastanawia się nad tym pytaniem.

— Róża. Róża Armstrong. Zaraz, zdaje się, słyszałem... Czy to ta chora kuzynka z Missouli w Montanie? A może jakaś inna Armstrong? Taak. Pewna ponura panna Armstrong, a nie nasza mała Róża z Vermont. Tak, chyba ta dziewczynka weźmie udział w naszych doświadczeniach. Jeśli w ogóle je rozpoczniemy.

— A więc jest tu.

— Jest. Ta prawdziwa Róża.

— Wujku Cole — zaczął Del. — Przykro mi, że się spóźniliś my.

— No cóż — powiedział Collins. — Ale teraz, moi drodzy, popatrzcie na coś. — Wyciągnął dłoń i srebrna dolarówka ukazała się pomiędzy pierwszym i drugim palcem. Przekręcił rękę i moneta znalazła się między dwoma następnymi palcami. Kiedy znów obrócił dłoń, chłopcy zobaczyli, że moneta zniknęła. Pokazał wierzch dłoni, monety nie było. Nieoczekiwanie znalazła się w drugiej ręce i poruszała pomiędzy palcami tak szybko, jakby była żywa. Wuj podrzucił monetę w powietrze i złapał ją. — Potrafisz już to zrobić?

— Nie tak szybko jak ty — odparł Del.

— Jedźmy do domu — powiedział Coleman Collins.

151

Król elfów

Del podniósł swój bagaż i skierował się prosto do samochodu, największego i najbardziej czarnego lincolna, jakiego można sobie wyobrazić...

Del, bez słowa, podniósł swoją walizkę i zaczął iść w stronę stopni prowadzących na parking przy stacji. Tom w zakłopotaniu tak wielkim, że było prawie bólem, patrzył, jak mały chłopiec oddala się od niego, a potem obejrzał się na czarodzieja. Na zimnej twarzy Colemana Collinsa pojawił się przelotny uśmiech przeznaczony dla niego. Nie wyobrażałem sobie, że będzie taki stary, pomyślał Tom, jest pewnie starszy od pana Thorpe'a.

— Przywitaj się ze swoim wujkiem — odezwał się Collins. Chociaż wskutek nadużycia alkoholu wymawiał słowa trochę niewyraźnie, to jego głos brzmiał przyjemnie i donośnie. — Czekał na to dostatecznie długo.

Del zatrzymał się. Kiedy postawił walizkę i zapadła cisza, owady podjęły znów swój koncert.

— Wiem. Przepraszam. — Del odwrócił się, żeby spojrzeć na wuja. — Jest mi bardzo przykro. Ale zdarzył się poważny wypadek... pociąg wypadł z toru... — Del znów odwrócił się gwałtownie i Tom spostrzegł ze zdumieniem, że jego przyjaciel ma w oczach łzy.

— Poważny wypadek. Bardzo, bardzo, bardzo poważny wypadek, czy tak? A nie jakiś drobny, maleńki? Nie rozlana po prostu kawa, jakieś małe zderzenie na torach, niewielkie zamieszanie? Nie poplamieś sobie ubrania tą rozlaną kawą?

— To nie była katastrofa naszego pociągu — wyjaśnił Tom.

150 **' -,,

podążał do ogrodzenia, a za nim posuwały się dwa ciemne kształty, zapewne również konie. Potem znów wyrosła ściana lasu.

— Jak tu jest w zimie?

— Wszystko w śniegu, ptaszku. Bardzo pięknie.

W dalszym ciągu jechali wyboistą drogą pod górę. Tom spytał:

— Ma pan sąsiadów?

— Wszyscy moi sąsiedzi są w mojej głowie — odparł Collins i znów się roześmiał. Spojrzał na Dela. — Dobrze być tu z powrotem pomimo wypadków i zdenerwowania, prawda?

— O, tak — rzekł Del z przejęciem.

— Ach.

Po około dwudziestu minutach wjechali na brukowany podjazd, który najpierw zataczał koło, a później szerokim łukiem prowadził w dół do wielkiej, żelaznej bramy pomiędzy dwoma ceglanyimi słupkami. Od tych słupków, po obu stronach, ciągnął się mur niknący wśród drzew.

— Wybacz mi, Thomas, zastosowane przeze mnie środki ostrożności — powiedział Cole Collins, zatrzymując łagodnie samochód. — Jestem starym człowiekiem i mieszkam zupełnie sam w tych lasach. Jacyś wandalę mogą dostać się przez jezioro do letnich domków.

Oparł butelkę o oparcie siedzenia i wysiadł, żeby nacisnąć szereg ponumerowanych guziczków na jednym ze słupów. Brama rozsunała się. Kiedy wóz ruszył do przodu, a następnie zakreślił, ujrzeli dom. Była to wiktoriańska willa, modernizowana przez kolejne pokolenia właścicieli — dobudowano trzypiętrowy, o wyszukanej architekturze segment ze szczytami i kroksztynami oraz bardziej współczesne skrzydła. Tom zastanawiał się przez chwilę, dlaczego dom wydaje mu się dziwny. Prawdopodobnie wrażenie to wywoływały białe płaszczyzny ścian pozbawione okien. Lampy, zawieszane na drzewach po obu stronach domu, rzucały jasne kręgi na te bez-okienne fasady. Wyglądało to rzeczywiście niesamowicie...

— Szkoła — wymamrotał Tom. — Chcę powiedzieć... że Przepomina mi to naszą szkołę.
Del spoglądał na niego ze zdumieniem.

— Masz szczęście, chłopcze — mruknął Collins. Otworzył drzwi. — Zostawcie swoje rzeczy w samochodzie, ktoś przynie sie je wam później. — Zatoczył się lekko, wysiadając z wozu. Do Połowy opróżnioną butelkę wsunął energicznie pod pachę niemal wojskowym ruchem. — Wchodźcie rażno, wchodźcie śmiało, nie będziemy stać na dworze przez noc całą.

153

Samochód czarodzieja był jedynym wozem na parkingu. Był to czarny lincoln, bez znaku fabrycznego, bardzo długi. Wywierał tym większe wrażenie, że musiał mieć ponad dziesięć lat. Walizki chłopców powędrowały do ogromnego bagażnika, a oni usiedli na przednim siedzeniu koło wujka. Wnętrze samochodu wypełniał zapach whisky i papierosów. Wyjeżdżając z parkingu, Collins spojrzał nad głową Dela na Toma.

— A więc to ty jesteś pan Tom Flanagan.

— Jestem Tom Flanagan. Pan Tom Flanagan gra na for tepianie.

— Skromny i zdolny... bardzo zdolny, jak sądzę. Witaj w Vermont. Mam nadzieję, że spędzisz tu lato, które na zawsze zapamiętasz.

Sunęli przez dzielnicę ciemnych, małych sklepików, nieczynnych stacji benzynowych. Tomowi wydawało się, że czarodziej uśmiecha się.

— Wiesz, żyję tylko dla tych letnich miesięcy. Mogło być inaczej... pewnie Del mówił ci coś o mnie. Teraz mam tylko jedną ambicję. Zgadniesz? Żeby być najlepszym iluzjonistą na świecie. Zostać najlepszym iluzjonistą na świecie. Dokonałem tego. Listy... otrzymuję pocztę z całego świata z prośbami o wskazówki, z zapytaniami czy można się ze mną spotkać, czy można u mnie studiować? Nie, nie, nie. Mam tylko jednego ucznia. Teraz dwóch. Ot i cała wiedza, to wystarczy.

— Wiedza?

— O, tak. Wiedza. Zobacysz. Sam doświadczysz. Tym czasem to wszystko, więcej teraz nie powiem.

Znaleźli się na szerokiej głównej drodze przecinającej centrum ciemnego miasteczka. Potem

skręcili w wąską drogę prowadzącą prosto w gęsty las. Collins trzymał między kolanami butelkę i podnosił ją od czasu do czasu, żeby pociągnąć łyk. Wkrótce wysokie drzewa zakryły gwiazdy.

Wąska, kręta droga prowadziła przez las, a kiedy teren zaczął się wznosić, droga rozgałęziła się. Collins zakręcił w lewo. Ten odcinek był już niebrukowany i biegł stromo pod górę. Po paru minutach Tom uświadomił sobie, że po jego stronie rozciąga się pole. Siwy koń, zaledwie widoczny w mroku,

152

z przerażenia, ale podparł się ręką o ścianę, powiedział: — Uuups — i poszedł dalej. Del odetchnął z ulgą.

— Chodźmy umyć ręce.

Zaprowadził Toma do małej łazienki, tuż koło drzwi wejściowych. Gdy Del namydłał ręce w umywalce, Tom stał ve wejściu.

— Czy las jest zawsze tak oświetlony?

— Po raz pierwszy. Ale te świece! Miałem rację.

— Że tym razem będzie jak w szkole?

— Zobaczymy — powiedział Del. — Twoja kolej.

— Mam nadzieję, że nie będzie jak szkoła. — Tom przesunął się koło Dela w ciasnej łazience.

— Hej, a wiesz, w tym domu straszy.

— Daj spokój, Florencjo.

Tom przycisnął guziczek pod wyłącznikiem światła i nagle łazienkę zalał purpurowy blask. W umywalce ręce Toma świeciły jeszcze bardziej pałającą czerwienią. Spojrzał w lustro — Del śmiał się — i ujrzał swą twarz w tym samym odcieniu purpury, znikającą pod szkaradną maską, która jakby wychylała się z lustra. Efekt był na wpół komiczny, na wpół przerażający. Twarz z kauczukowymi wargami i trupa skórą, twarz uosabiająca żądzę i nieokiełznaną zachłanność patrzyła na niego jego własnymi oczami. Wysuwała się do przodu pomału, pomału, aż stała się jedyną rzeczą w pomieszczeniu. Tom cofnął się gwałtownie do tyłu, bo nie mógł dłużej znieść tej ohydy. Wpadł na Dela. Drgająca twarz zawisła w powietrzu.

— Znam to — śmiał się Del. — Podchodzi blisko, a potem z powrotem rozplywa się w lustrze. To wspaniała sztuczka. Gdy widziałem ją pierwszy raz, wyłem jak wszyscy diabli. —

Przycisnął guziczek i Tom znów znalazł się w zwyczajnej, wyłożonej tapetą, małej łazience. Twarz była jego własną twarzą, choć mocno pobladła.

— Wujek Cole nazywa tę sztuczkę „kolekcjoner” — powie dział Del. — Nie pytaj mnie, jak to się robi. Chodźmy na górę coś zjeść.

— Kolekcjoner — powtórzył Tom jak echo, teraz naprawdę wstrząśnięty, bo tak to rzeczywiście wyglądało.

Ich pokoje, w lewym skrzydle domu, były bez okien, jasne, absurdalnie nowoczesne, w stylu skandynawskim. Tak pewnie wyglądają pokoje w kosztownym motelu. Kremowe ściany zawieszane kolorowymi, abstrakcyjnymi malowidłami, czyste Pojedyncze łóżka przykryte niebieskim sztruksem, gruby,

155

Tom wysiadł i zobaczył wysoką postać Collinsa rysującą się na tle rozległego domu. Światło lamp poumieszczanych na odległych od siebie drzewach w głębi lasu było rozproszone, natomiast zawieszonych przy budynku blisko siebie, tworzyło jasne koła. Tom przypomniał sobie, że przez podobne koła przechodził Jimmy Durante na zakończenie swego popisu po tym, gdy powiedział: „Dobranoc pani Calabash, gdziekolwiek się pani znajduje”.

— Dlaczego pan tak oświetla las? — spytał.

— Dlaczego? Żebym widział, co się dzieje i kto idzie — od rzekł Collins. — Dlaczego masz takie wielkie oczy, babciu? Jasne?

Collins otworzył frontowe drzwi i stanął z boku, żeby ich przepuścić. Del wszedł przed Tomem, a gdy i Tom znalazł się we wnętrzu, ujrzał zwróconą ku sobie rozpromienioną i podnieconą twarz przyjaciela. I zaraz zrozumiał, dlaczego. Przy wejściu wszędzie płonęły świece. Świece paliły się na małym stolyczku zarzuconym gazetami, paliły się na półeczce, na którą Coleman Collins położył kluczyki od samochodu.

— Zdaje się, wysiadły korki w tej części domu — oświadczył Collins. — Ktoś je zapewne naprawia. Miło, że zapalono nam te świece na powitanie, prawda? A może uważacie, że za bardzo przypominają wigilię Wszystkich Świętych?

— Wiedziałeś — powiedział Del. — Zupełnie jak w szkole, jak w dzień zapisów. Wiedziałeś.

— Nie wiem, o czym mówisz — oświadczył Collins. — Muszę wziąć kąpiel i położyć się na chwilę. W swoich pokojach znajdziecie coś do jedzenia. — Oparł się plecami o ścianę przy wejściu i skrzyżował ramiona na piersiach. Del znów zwrócił błyszczące oczy na Toma. — Umyjcie się w łazience na dole. A potem na górę. Pokój Toma przylega do twego. Jak posilicie się, zejdźcie, spotkamy się w Małym Teatrze. Trafisz tam?

— Naturalnie.

— Zdumiewające. No więc, zobaczymy się tam o... — Spojrzał na zegarek. — Powiedzmy o jedenastej? Del skinął głową. -?•?

— Doskonale. Tomie, o tej godzinie mało co widać jezioro, ale jutro będziesz mógł je zobaczyć. Wspaniały widok. — Ton jego głosu był kpiący i sugerował, że wypowiedź zawiera jakieś ukryte znaczenie. Skłonił się im głową i wszedł na schody. W połowie drogi na górę zachwiał się do tyłu i chłopcy zamarli

154 "

oczekiwań i obietnic. — Chodź — powtórzył Del, niecierpliwy, chcąc już znaleźć się na dole.

Tom rzucił ostatnie spojrzenie przez okno i zobaczył pierwszego gościa — wilka albo coś, co wyglądało jak wilk. Wszedł w jeden z kręgów światła, miał wywieszony jęzor i patrzył bezczelnie na dom. Daleko, w świetle, wilk wyglądał jak na scenie, jakby pozował do obrazu. Stał tam jak drogowskaz, jakby chciał o czymś powiedzieć.

— Ojej — wyszeptał Tom.

— Chodźże! — wołał Del ze schodów. — Musimy iść do Małego Teatru.

— Idę — odparł Tom. Wilk zniknął. Ale czy był w ogóle? Wilk w Vermont?

Schodząc, zauważył, że rozkład domu nie był taki prosty, jak się wydawało. U szczytu klatki schodowej staromodne wahadłowe drzwi oddzielały ich od dużej ciemnej przestrzeni, gdzie Tom dostrzegł inne wysokie drzwi.

— Co jest za nimi? — spytał.

— Och, pokój mego wuja. Musimy zejść na dół.

Zbiegli po schodach i skręcili do głównego budynku. Minęli bawialnię, gdzie lampa paliła się na stole stojącym pomiędzy dwiema kanapami nakrytymi, nieoczekiwanie, jakąś damską materią, potem wejście do kuchni. Del otworzył następne drzwi, które, jak sądził Tom, prowadzą na zewnątrz. Zaprowadziły ich do innego motelowego korytarza, wysłanego ciemnobrązowym

dywanem, dyskretnie oświetlonego. Na początku korytarza znajdowała się nisza zakończona masywnymi, drewnianymi drzwiami, równie imponującymi jak drzwi do gabinetu Lakera Broome'a.

— A tam, co jest?

— Nie wiem. Tam nigdy nie pozwolił mi wejść.

Del popędził korytarzem aż do czarnych drzwi we wnęce oświetlonej jednym światłem. Na drzwiach przykręcona była mosiężna tabliczka, na wysokości głów chłopców, ale czysta. Del szybko sprawdził godzinę.

— Dobrze. Mamy jeszcze całą minutę.

Co teraz będzie, zastanawiał się Tom. Gabinet taki jak Węża Boa? Klasa z oknami wychodzącymi na Bulwar Świętej Róży?

Kiedy jednak Del otworzył drzwi, ukazał się miniaturowy teatrzyk, na mniej więcej pięćdziesiąt miejsc. Chociaż był Pusty, wydawał się tętnić życiem i po chwili Tom zauważył, że na ścianach wymalowane były rzędy krzesel zapełnione ludźmi — ludźmi z zachwyconymi twarzami. Jedni pili na-

157

biały dywan, w którym tonały stopy. Za białymi drzwiami z listewek, w głębokich szafach zawieszane były już ich ubrania i poukładana bielizna, walizki wstawiono z tyłu. Pod ścianami stały białe biurka, na nich lampy. W pokoju Dela, połączonym z pokojem Toma rozsuwanymi drzwiami, stał stół nakryty na dwie osoby. Na środku stołu królowała kryształowa karafka napełniona do połowy czerwonym winem, obok przykryte dwa dania i salaterka sałaty.

— Ojej! — zawołał Tom, czując zapach befsztyków.

Del podszedł do stołu, usiadł i położył serwetkę na kolanach. Nalał z karafki do szklanki Toma i do swojej.

— Pozwala ci pić wino?

— Oczywiście, że pozwala. Nie jest purytaninem, jeśli chodzi o picie, prawda? A poza tym, uważa, że kolacja bez wina nie jest kompletna. — Del skosztował i uśmiechnął się. — Kiedy byłem młodszy, zwykle dolewał wody.

— To już nie jest podobne do szkoły — zauważył Tom.

Befszyki były jeszcze ciepłe, krwistoczerwone w środku i delikatnie wysmażone z wierzchu. Drugi przykryty półmisek ukrywał górkę szpinaku i kopczyk grzybów oraz frytki. Tom podniósł swoją szklankę i wypił mały łyk wina — słaby zapach pleśni i posmak winogron były bardzo przyjemne — im dłużej trzymał w ustach, tym bardziej mu smakowało.

— A więc to takie jest dobre wino — powiedział.

— W każdym razie takie jest Margaux — stwierdził Del, żując mięso. — Dał nam coś dobrego, ponieważ to nasz pierwszy wieczór. — A po chwili dodał: — Wiedział. Wiedział o świecach. Dotychczas nie miałem pewności. Ale on wie o wszystkim, co się zdarzyło.

— Tak czy owak, twoja Róża Armstrong będzie tutaj — oświadczył Tom, a twarz Dela zarumieniła się z radości.

— To będzie wspaniałe lato — oznajmił.

Kiedy wyszli z pokoju Dela i schodzili na dół, zatrzymali się, żeby wyjrzeć przez jedno z wielkich okien w korytarzu. Widać przez nie było ogromny szmat lasu — reflektory i lampy oświetlały gmatwaninę gałęzi, powalonych pni i kamieni. Tam, gdzie kończył się las, zaczynała się czarna nicość, która zapewne była jeziorem. Tom ujrzał żelazne sztachety biegnące w dół ze skały poza domem. Hen, daleko w lasach graniczących z drugą stroną jeziora płonęły podobne światła, niewyraźne jak japońskie latarnie.

— Pora iść na dół — powiedział Del i odszedł od okna.

Tomowi wydało się to hasłem do podjęcia wyprawy pełnej

156 "*" --,,

niniejszej skazy-w jego opowieści, żeby ją przeciw niemu wykorzystać i zniszczyć go.

Tom zmuszał się, aby patrzeć prosto przed siebie. Całym wysiłkiem woli trzymał sztywno szyję. Czuł, jakby pan Peet i inni kręcili się na krzesłach.

— Iluzjonista jest generałem, a jego armia składa się z dezertersów i zdrajców. Żeby zdobyć ich lojalność, musi ich ożywić i zabawić, przerażać i schlebiać, zbić z tropu i zapanować nad nimi. A kiedy to osiągnie, może nimi dowodzić.

Tom czuł, że pomimo napięcia ogarnia go zmęczenie. Zdał sobie sprawę, iż wskutek wypitego wina i tyrady Collinsa staje się senny. Uśmiech wuja był teraz wymuszony, a słowa skierowane wprost do Toma.

— Powiadam, że uprawianie magii to szukanie samozniszczenia, to jeden z jej największych sekretów. Im bardziej zbliżysz się do tej prawdy, tym staniesz się potężniejszy. Słuchaj, magia wykorzystywana jest tylko po to, żeby budzić strach i spełniać życzenia, nawet te, których wolałbyś nie mieć. Sama w sobie jest bez znaczenia. Dostyc.

Obdarzył Toma uśmiechem jak wyzwanie.

— Chcesz nauczyć się fruwać? Chciałbyś, chłopcze, wznieść się nad tę ziemię?

— Nazwał nas pan ptakami — przypomniał Tom i po raz pierwszy od miesiący pomyślał o sobie z Ventnor. Collins potaknął.

— Boisz się?

— Tak — przyznał Tom. Chciało mu się ziewać i miał ochotę rozprostować nogi.

— Nie masz nawet najmniejszego pojęcia o tym, co to jest magia — zasyczał Collins.

Tom pomyślał: Nie mogę całego lata spędzić z tym szaleńcem.

— Ale dowiesz się. Jesteś niezwykle mądrym chłopcem, Tomie Flanaganie. Od razu to wiedziałem, gdy tylko usłyszałem o tobie. Kraina Cieni ofiaruje ci wszystko, co posiada, ponieważ jesteś zdolny do przyjęcia tych darów, jesteś ich godny. I jesteś akurat w odpowiednim wieku. Akurat!

Przeniósł wzrok z Toma na Dela i potem znów na Toma. Oczy miał teraz jak marmurowe kulki.

— Co za przeżycia czekają was tutaj! Zazdroszczę wam. Dałbym sobie obciąć obie ręce za to, co wy otrzymujecie za darmo. A teraz parę, hmm, podstawowych reguł. Pamiętajcie wszystko, co dotychczas powiedziałem? Rozumiecie, co mówię?

159

poje przez słomkę, ktoś inny podawał pudełko czekoladek. Było w tym jeszcze coś groteskowego... Ale musiał się odwrócić, bo Del popychał go do pierwszego rzędu.

— Ależ to fantastyczne — powiedział.

Patrzyli na małą scenę. Przed aksamitną brązową kurtyną stał wytworny stolik i bujany fotel. Spojrzał szybko przez ramię, żeby odnaleźć to, co zwróciło jego uwagę i zobaczył natychmiast. Był to Kolekcjoner, w czarnym garniturze, o parę rzędów z tyłu i w bok od mężczyzny pijącego przez słomkę, wysuwał do przodu swą pożądliwą gębę, jakby chciał pożreć wszystko, co znajdowało się na scenie. Groteskowy żart. Nagle Toma uderzyła myśl, że ta komiczna postać przypominała

Szkieleta Ridpatha.

W chwili, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi za aksamitną kurtyną, zauważył jeszcze coś, co go również zaskoczyło: w odległości paru krzeseł od Kolekcjonera znajdowała się grupa mężczyzn w niemodnych już, ale eleganckich ubraniach, ze starannie przystrzyżonymi brodami, z cygarami w ustach, grupa rozbawionych przyjaciół. Del dał mu kuksańca pod żebro i Tom zdążył odwrócić głowę akurat w chwili, gdy Cole CoUins rozsunął kurtynę i usiadł w fotelu. Spod przymkniętych powiek lśniły ładne oczy, twarz miał zaróżowioną. Zamiast marynarki miał na sobie ciemnozielony pulower, a wokół szyi szalik w kolorach zielonym i czerwonym. Uśmiechem podbijał całą salę, a Tom czuł za sobą obecność wymalowanych ludzi.

— Czarodziej i jego publiczność — powiedział wujek Dela, a miał przy tym minę jak ktoś, kto otwiera kufer ze skarbami. — To temat, nad którym należy się zastanowić. Jaki jest ich wzajemny stosunek? Jak pomiędzy aktorem i tymi, których chce poruszyć, zabawić? Jak między lekkoatletą a tymi, przed którymi demonstruje swoją zręczność? Niezupełnie, chociaż i takie elementy tkwią w tej relacji. — Uśmiech nie schodził mu z twarzy. — Publiczność zawsze zwalcza czarodzieja, chłopcy. Nigdy nie jest naprawdę po jego stronie. Odczuwa wobec niego wrogość, ponieważ wie, że jest oszukiwana.

Nie, to niemożliwe, myślał Tom. Przecież wysiedli z pociągu w Nowym Jorku i teraz są częścią zupełnie innej rzeczywistości, a ten okropny żart nie ma śc wspólnego ze Szkieletem.

— Czarodziej musi skłonić widzów, żeby w jego sztuce znaleźli upodobanie. Opowiada historię, której treścią jest on sam, a tymczasem na widowni każdy bez wyjątku, każdy pijak, każdy tępak, każdy cwaniak i niedowiarek wypatruje naj-

.. #• 158

4

Skrzynka i klucz

— Dawno, dawno, temu, daleko na północy, gdzie śniegi padają przez osiem miesięcy w roku, pewien chłopiec mieszkał razem z matką w małym, drewnianym domku u stóp stromego wzgórza. Żyli skromnie i bardzo pracowicie. Zawsze było coś do roboty: solenie zapasów, rąbanie i układanie sągów drewna, praca nie kończyła się. Chłopcy dzisiaj nie nazwaliby tej pracy zabawą, ale tamtemu chłopcu sprawiała radość. Całym jego światem był przytulny dom z trzaskającym ogniem i woskowanymi podłogami, zwierzęta, o które trzeba było troszczyć się, jego praca i jego matka oraz okolica, którą zamieszkiwali. Życie tworzyło doskonałe koło, doskonałą orbitę, gdzie każde działanie i każde uczucie było użyteczne i zharmonizowane ze sobą i z każdym innym działaniem i uczuciem.

Pewnego dnia matka chłopca poleciła, żeby poszedł i pobawił się na śniegu, a ona zajmie się pieczeniem ciasta. Przypuszczam, że nie chciała, aby kręcił się i przeszkadzał jej, prosząc by dała mu skosztować tego, co akurat przyrządzała. Ubrała go ciepło w wełniany sweter i grube skarpety, w buty i w obszerne niebieskie palto, w wełnianą czapkę i powiedziała: A teraz idź i baw się przez godzinę.

Chłopiec spytał: Czy mogę wspinać się na wzgórze?

Możesz wdrapać się nawet na sam szczyt, powiedziała matka, ale daj mi godzinę, żebym upiekła placki.

Więc chłopiec wyszedł. Bardzo lubił wspinać się na wzgórze, chociaż czasem matka bała się, że zgłodniałe dzikie zwierzęta mogą być niebezpieczne. Ze szczytu mógł zobaczyć swój dom, komin i okna oraz otaczającą go dolinę. Był to uroczy domek w malowniczej dolinie na dalekiej północy, gdzie czarne jodły wyrastały wprost ze śniegu.

Zajął mu to pół godziny, ale wreszcie doczłapał się na sam wierzchołek. Patrząc w jedną stronę, widział wzgórze ciągnące się w zimną, północną nieskończoność. A kiedy spojrzał w innym

kierunku, zobaczył w dole własną dolinę i wyglądający jak domek dla lalek swój dom. Dym wydobywał się z komina i rozpląwał w powietrzu, a matka pojawiała się i znikwała w oknie kuchennym, nosząc miski do wyrabiania ciasta i placki do pieca. Tak kojąco i optymistycznie wyglądał ten mały domek z zapracowaną wewnątrz kobietą i słupem dymu wydobywającym się z komina.

Chłopiec postanowił na ośnieżonym wzgórzu wykopać do-

6 ~ Kraina Cieni 161

Obaj równocześnie skinęli głowami.

— Czarodziej jest generałem, który kim dowodzi?

— Zdrajcami — odpowiedział Del.

Czarodziej patrzył tylko na Toma, a w jego oczach malował się triumf i zamroczenie alkoholowe.

— Podstawowe reguły. Zasady, które obowiązują w tym domu. Widziałeś drewniane drzwi w niszy, w połowie korytarza wiodącego do teatrzyku?

Tom potaknął.

— Zabrania ci się otwierać te drzwi. Wolno ci chodzić swobodnie, gdzie chcesz, poza tym pokojem i moim, który znajduje się za wahadłowymi drzwiami u szczytu schodów. Zrozumiałeś?

Tom znów potaknął, również Del, stojący obok, kiwnął głową.

— A więc zasadę numer jeden mamy za sobą. W tym teatrzyku ćwiczymy sztuczki z kartami i z monetami, to, na co patrzy się z bliska. Jutro zobaczymy *Le Grand Théâtre des Illusions* i będziecie uczyć się fruwać. Jeżeli, naturalnie, od dacie się całkowicie w moje ręce. — Potem ostro zwrócił się do Toma: — Twój ojciec nie żyje?

— Tak — wyszeptał Tom.

— W takim razie przez to lato będę twoim ojcem. To jest numer dwa. W tym domu ja stanowię prawo. Kiedy powiem, że nie wolno wam wychodzić, zostajecie w domu, kiedy powiem, że macie siedzieć w swoich pokojach, musicie mnie usłuchać. Zapewniam was, że zawsze będzie ku temu jakiś powód. No dobrze, są pytania?

Del siedział milczący i blady jak trup. Tom zapytał:

— Czy w Vermont są wilki? Widziano tu kiedy wilka?

Collins pochylił głowę.

— Oczywiście, że nie. — Spojrzał przy tym na chłopca zabawnie, lecz wymijająco. Potem rozparł się w fotelu. — Słyszeliście zapewne opowieść o tym, jak rozpoczynają się wszystkie bajki?

Obaj chłopcy zaprzeczyli ruchem głowy. W Tomie zbudził się nagle gwałtowny sprzeciw wobec tego wszystkiego. Ten człowiek nie jest jego ojcem. Jego opowieści to kłamstwa. Każda rzecz związana z nim jest niebezpieczna.

— Ta opowieść — zaczął Collins, szarpiąc delikatnie szalik — jest... raczej może być... tak, może być o zdradzie. Może też być o niszczycielskiej sile magii. To wy decydujecie.

160

^m do głowy Toma i rozbrzmiewał echem, nawet kiedy przestał już mówić.

— Zastanawiam się, czy niektóre z tych opowieści nie mogły pomieszać się wówczas z innymi. Może wiatr pogmatwał

to wszystko i połączył karłów z królami, księżniczkom ponakładał lisie głowy, a czarownicę pomylił z piękną dziewczyną w czerwonym płaszczu. Często zastanawiam się, czy to się nie stało. — Odsunął się od stołu i wstał. — To była bajka na dobranoc. Idźcie do swoich pokojów i spać. Nie wolno wam wychodzić aż do jutra rana. Zmykajcie. — Mrugnął okiem i zniknął za kurtyną, pozostawiając ich w pustym nagle teatrze. Po chwili wysunął przez środek kurtyny głowę, która wyglądała jak pozbawiona ciała. — Natychmiast. Na górę. Pan prowadzi, panie Nightingale. — Głowa cofnęła się za kurtynę. Za moment znów wyskoczyła jak figurka na sprężynce. — Wilki i ci, którzy je widzą, zostaną z miejsca zastrzeleni. Chyba, że jest to lupus in fabuła, który pojawia się, kiedy o nim mowa.

Głowa otworzyła usta w bezgłośnym śmiechu, ukazując dwa rzędy trochę pożółkłych i nieregularnych zębów, po czym znów schowała się za kurtyną.

— Lupus in fabuła? — spytał Del, zwracając się do Toma.

— Pan Thorpe używał czasem tego zwrotu. Wilk w bajce.

— Który pojawia się, kiedy...

— Kiedy się o nim mówi — dokończył udręczony Tom. —

Nie chodzi tu o prawdziwe wilki, można tak powiedzieć, kiedy... Och, mniejsza o to.

Wilk w bajce

— To lato nie jest takie jak inne — oświadczył Del, kiedy przechodzili przez mały hol kończący się drzwiami z listewek. — Nigdy dotychczas nie opowiadał mi bajek. Podobało mi się. A tobie?

— Chyba tak — powiedział Tom z wahaniem. — Nigdy nie byłeś ciekaw, co się za nimi znajduje?

Del wzruszył ramionami, ale czuł się nieswojo.

— Uważasz, że powinienem zajrzeć tam, pomimo że na kazał mi, żebym tego nie robił?

— No, niezupełnie. Co tam jednak może być aż tak waż-

163

łek. Może miał zamiar zbudować jakąś fortecę pod śniegiem. Wybrał garść śniegu, potem drugą, i przez cały czas miał świadomość, że tam, w dolinie, jest ciepły dom i że jego matka krząta się po kuchni. Wygrzebywał dziurę i spoglądał na swój dom i w pewnej chwili zdał sobie sprawę, że już niewiele czasu zostało mu na zabawę. Wygarnął jeszcze parę garści mokrego śniegu, lecz pora była wracać. Przyglądał się, jak kłęb dymu wydobył się z komina. Wtedy usłyszał jakiś wewnętrzny głos: Wydobać jeszcze jedną garść.

Rzucił okiem na dom i zanurzył rękę głęboko w śnieg. Jego palce natrafiły na coś twardego, gładkiego i zimniejszego niż lód. Odwrócił się, żeby spojrzeć na dom, gdy tymczasem matka specjalną łopatką z długim trzonkiem zdejmowała gorące placki z blachy. Potem zajrzał do otworu, który zrobił i zaczął szybko kopać dokoła, macając boki i krawędzie tego, co znalazł.

Była to skrzyneczka, srebrna skrzyneczka, tak zimna, że aż paliła go w ręce nawet przez rękawiczki. Wewnętrzny głos odezwał się znowu: Gdzie jest skrzynka, tam jest klucz.

Znowu spojrzął w kierunku domu. Wiedział, że tam jest ciepło... zobaczył snujący się z komina dym... matkę wyglądającą przez okno. Wsunął jedną rękę i delikatnie skrobał palcami po dnie jamy. Jego palce natrafiły na mały srebrny klucz. Gdzie jest klucz, jest i zamek, zabrzmiał mu znów w głowie jego własny głos.

Obracał zimną, srebrną skrzyneczkę w rękach i dostrzegł, że zameczek umieszczony był zmyślnie

w skomplikowanym wzorze ślimacznicy zdobiącej skrzynkę tuż przy brzegu pokrywy. Raz jeszcze obejrzał się na dom i włożył mały klucz do zamka. Przekręcił klucz. I wtedy ostatni raz spojrzął na swój ukochany dom, gdzie niecierpliwie czekała na niego matka i na to wszystko, co znał, i podniósł pokrywę skrzyneczki.

Coleman Collins uniósł ręce, dłonie zwrócił ku sobie i nagle podrzucił je do góry.

— Każda historia na świecie, każda kiedykolwiek opowiedziana historia, wyskakuje ze skrzyneczki. Książęta i księżniczki, czarnoksiężnicy, karły i olbrzymy, wiedźmy, wilki i drwale, królowie, elfy i piękne dziewczyny. Przez moment chłopiec widział ich wszystkich, jak unosili się w milczeniu w powietrze. Potem porwał ich wiatr i rozwiął, jednych w tę, drugich w inną stronę.

Położył z powrotem ręce na stole i uśmiechnął się. Tomowi wydawało się, że Collins jest pyany, ale jego dźwięczny głos

162

druga część drzwi i zasunął je, oddzielając swój pokój od pokoju Toma.

— Del? — odezwał się Tom.

Zobaczymy się rano. Jestem naprawdę zmęczony, żeby o czymkolwiek myśleć.

Tom odwrócił się. Jego pokój jaśniał — łóżko było starannie pościelone, oświetlenie łagodne. Drugi tom książki Rexa Stou-ta, który wiozł w walizce, leżał na nocnym stoliku. Przekręcił kontakt przy drzwiach i górne światło ściemniało. Kąt pokoju oświetlony lampą na stoliku, książka i łóżko wyglądały nęcąco.

Rozebrał się, pozostał tylko w slipkach i wsunął się do łóżka, sięgnął po książkę i otworzył na pierwszej stronie. Po paru minutach druk zaczął się rozplątać, a treść pomieszała się z fragmentami jakiejś innej historii. Zrozumiał, że śni i czyta. Zgasił światło i wtulił się w chłodną poduszkę.

Po jakimś nieokreślonym czasie Toma zbudziło szczekanie psów. Później dotarły do niego odgłosy walki. Gdzieś trzasnęły drzwi, jacyś mężczyźni klęli, jeden pies przeraźliwie wył, ktoś wrzasnął: „Cholera!”, a wycie psa zmieniło się w żałosny skowyt. Tom usiadł na łóżku. Ręka mu zdrętwiała, rozcierał ją przeto, nasłuchując z uwagą dochodzących dźwięków. Słyszał stukot o podłogę wchodzących i wychodzących z domu. Pękło jakieś szkło, jakiś pies zaczął warczeć.

— Del? — zawołał po cichu Tom.

Podszedł do rozsuwanych drzwi i odsunął trochę jedno skrzydło. Del leżał w ciemności, twarzą do poduszki i oddychał głęboko. Tom z powrotem zasunął drzwi i przeszedł po omacku przez pokój do drzwi od holu. Oczekiwał, że będą zamknięte. Ale nie były. Uchylił je tak, żeby powstała szczelina. Światła w holu były przyćmione. Teraz wyraźniej słyszał głosy ludzi i psów dochodzące z dołu. Tom otworzył drzwi szerzej i zobaczył swoje odbicie w dużym oknie naprzeciwko. Światła z lasu przeświecały przez jego ciało. Wszedł do holu. Na dole, z tyłu domu, jakiś mężczyzna krzyczał:

— Weźcie tego kundla! Do diabła... weźcie tego przekłete go... — Nie był to głos Colemana Collinsa.

Nagle na kamieniach tarasu pod oknem pojawiła się plama światła, ukazując wysoki cień mężczyzny. Tom dostrzegł krzepkiego mężczyznę w wojskowej kurtce, który ciągnął na łańcuchu czarnego psa. Pies warknął na niego, a mężczyzna podskoczył i zdzielił go w łeb.

— Jezu! — wrzasnął.

Z jednej kieszeni zielonej wojskowej kurtki wystawała

165

nego, że nie wolno nam nawet zobaczyć? Zastanawiałem się tylko, czy jesteś ciekaw.

— Nigdy nie mam czasu na takie rozmyślenia — oznajmił

Del. — Powiedział, żebyśmy poszli na górę. Mamy być w swoich pokojach.

— Często każe ci zostać w pokoju przez całą noc?

— Czasami. — Del stanowczym ruchem otworzył drzwi do starszej części domu i zaczął maszerować, myjąc kuchnię i bawialnię.

— A gdybyś nie posłuchał? Mam na myśli, dlaczego to ma być rozkaz? Dlaczego nie mielibyśmy wstać z łóżek w środku nocy i pochodzić w ciemności? Jeśli wydaje taki zakaz, to po prostu kusi nas, żebyśmy chcieli to zrobić. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Ja idę spać — stwierdził Del, wchodząc na schody.

— A co, jak zechce ci się pić? Albo będziesz musiał się wysikać?

— Masz koło swego pokoju łazienkę.

— A jeśli chciałbyś wyjrzeć na zewnątrz? W pokojach nie mamy okien.

— Słuchaj, nie jesteś zmęczony? — spytał Del z furją. — Idę spać. Nie mam zamiaru paradować naokoło i patrzeć na to, czego mi nie wolno oglądać. I nie będę gapił się na gwiazdy. Kładę się do łóżka, a ty rób, co chcesz.

— Nie złość się.

— Do diabła, wcale nie jestem zły — powiedział Del, odsunął się od Toma, otworzył drzwi do swego pokoju i zniknął wewnątrz.

Tom wszedł do swojego pokoju. Del ścigał koszulę przez głowę, nie trując się, żeby porozpinać guziki. Łóżka ich były posłane.

— No, to dlaczego zacząłeś się nagle wściekać?

— Idę do łóżka.

— Del.

Przyjaciel Toma zmiękł.

— Słuchaj, lecę z nóg ze zmęczenia. To nasza pierwsza noc. — Del usiadł na łóżku i zrzucił z nóg buty. Rozpiął pasek, wstał i ściągnął spodnie. — I zamknę drzwi, żebyś nie wiedział, jeśli wyjdiesz narobić sobie kłopotów.

— Ależ Del, on chciał, żebyśmy pomyśleli o...

— Jesteś zmęczony, prawda? — powiedział Del, ciągnąc ku sobie jedną część rozsuwanych drzwi.

— Tak.

— No więc idź do łóżka i zapomnij o tym. — Podszedł do

164

deja części drzwi i zasunął je, oddzielając swój pokój od pokoju Toma. *^ __ ?)el? — odezwał się Tom.

Zobaczymy się rano. Jestem naprawdę zmęczony, żeby o czymkolwiek myśleć.

Tom odwrócił się. Jego pokój jaśniał — łóżko było starannie ścielone, oświetlenie łagodne. Drugi tom książki Rexa Stouta który wiozł w walizce, leżał na nocnym stoliku. Przekręcił kontakt przy drzwiach i górne światło ściemniało. Kąt pokoju oświetlony lampą na stoliku, książka i łóżko wyglądały nęcąco.

Rozebrał się, pozostał tylko w slipkach i wsunął się do łóżka, sięgnął po książkę i otworzył na pierwszej stronie. Po paru minutach druk zaczął się rozplýwać, a treść pomieszała się z fragmentami jakiejś innej historii. Zrozumiał, że śni iż czyta. Zgasił światło i wtulił się w chłodną

poduszkę.

Po jakimś nieokreślonym czasie Toma zbudziło szczekanie psów. Później dotarły do niego odgłosy walki. Gdzieś trzasnęły drzwi, jacyś mężczyźni klęli, jeden pies przeraźliwie wył, ktoś wrzasnął: „Cholera!”, a wycie psa zmieniło się w żałosny skowyt. Tom usiadł na łóżku. Ręka mu zdrętwiała, rozcierał ją przeto, nasłuchując z uwagą dochodzących dźwięków. Słyszał stukot o podłogę wchodzących i wychodzących z domu. Pękło jakieś szkło, jakiś pies zaczął warczeć.

— Del? — zawołał po cichu Tom.

Podszedł do rozsuwanych drzwi i odsunął trochę jedno skrzydło. Del leżał w ciemności, twarzą do poduszki i oddychał głęboko. Tom z powrotem zasunął drzwi i przeszedł po omacku przez pokój do drzwi od holu. Oczekiwał, że będą zamknięte. Ale nie były. Uchylił je tak, żeby powstała szczelina. Światła w holu były przyćmione. Teraz wyraźniej słyszał głosy ludzi i psów dochodzące z dołu. Tom otworzył drzwi szerzej i zobaczył swoje odbicie w dużym oknie naprzeciwko. Światła z lasu przeświecały przez jego ciało. Wszedł do holu. Na dole, z tyłu domu, jakiś mężczyzna krzyczał:

— Weźcie tego kundla! Do diabła... weźcie tego przekłete go... — Nie był to głos Colemana Collinsa.

Nagle na kamieniach tarasu pod oknem pojawiła się plama światła, ukazując wysoki cień mężczyzny. Tom dostrzegł krzepkiego mężczyznę w wojskowej kurtce, który ciągnął na łańcuchu czarnego psa. Pies warknął na niego, a mężczyzna podskoczył i dzielił go w łeb.

— Jezu! — wrzasnął.

Z jednej kieszeni zielonej wojskowej kurtki wystawała

165

nego, że nie wolno nam nawet zobaczyć? Zastanawiałem się tylko, czy jesteś ciekaw.

— Nigdy nie mam czasu na takie rozmyślania — oznajmij Del. — Powiedział, żebyśmy poszli na górę. Mamy być w swoich pokojach.

— Często każe ci zostać w pokoju przez całą noc?

— Czasami. — Del stanowczym ruchem otworzył drzwi do starszej części domu i zaczął maszerować, mijając kuchnię i bawialnię.

— A gdybyś nie posłuchał? Mam na myśli, dlaczego to ma być rozkaz? Dlaczego nie mielibyśmy wstać z łóżek w środku nocy i pochodzić w ciemności? Jeśli wydaje taki zakaz, to po prostu kusi nas, żebyśmy chcieli to zrobić. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— Ja idę spać — stwierdził Del, wchodząc na schody.

— A co, jak zechce ci się pić? Albo będziesz musiał się wysikać?

— Masz koło swego pokoju łazienkę.

— A jeśli chciałbyś wyjrzeć na zewnątrz? W pokojach nie mamy okien.

— Słuchaj, nie jesteś zmęczony? — spytał Del z furją. — Idę spać. Nie mam zamiaru paradować naokoło i patrzeć na to, czego mi nie wolno oglądać. I nie będę gapił się na gwiazdy. Kładę się do łóżka, a ty rób, co chcesz.

— Nie złość się.

— Do diabła, wcale nie jestem zły — powiedział Del, odsunął się od Toma, otworzył drzwi do swego pokoju i zniknął wewnątrz.

Tom wszedł do swojego pokoju. Del ścigał koszulę przez głowę, nie trując się, żeby porozpinać guziki. Łóżka ich były posłane.

— No, to dlaczego zacząłeś się nagle wściekać?

— Idę do łóżka. ?<*

— Del.

Przyjaciel Toma zmiękł. T

— Słuchaj, lecę z nóg ze zmęczenia. To nasza pierwsza noc. — Del usiadł na łóżku i zrzucił z nóg buty. Rozpiął pasek, wstał i ściągnął spodnie. — I zamknę drzwi, żebyś nie wiedział, jeśli wyjdiesz narobić sobie kłopotów.

— Ależ Del, on chciał, żebyśmy pomyśleli o...

— Jesteś zmęczony, prawda? — powiedział Del, ciągnąc ku sobie jedną część rozsuwanych drzwi.

— Tak.

— No więc idź do łóżka i zapomnij o tym. — Podszedł do

164

był się brzydki, czarny dym. Chłopcy obserwowali, jak figurka upuściła skrzyneczkę i wtedy kłębiące się chmury dymu zakryły całą scenę.

— Jak na naszym przedstawieniu — wymamrotał Tom. — Jak dym się rozwieje, nie będzie chłopca.

— To nie był chłopiec — oświadczył Del, wracając do pokoju.

— Dziewczynka? — spytał Tom.

— To była Róża Armstrong. A teraz idź do łóżka. — Del odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

Tom spojrział przez okno. Resztki czarnego dymu snuły się nad opuszczoną skałą. Pod oknem ujadały psy. Jakiś ostry męski głos odezwał się:

— Weź tego zapieprzonego...

Inny odpowiedział mu:

— No, zaraz. U ciebie w porządku?

— Och, u mnie wszystko cacy.

— Czy wreszcie jesteście gotowi? — Usłyszał wyraźnie głos Colemana Collinsa.

Drzwi na dole otworzyły się z hałasem i na kamiennych płytach tarasu pojawiły się cienie, a zaraz za nimi gromada mężczyzn, niektórzy z łopatami, a dwaj prowadzili psy na łańcuchach. Coleman Collins szedł z tyłu, ubrany był w jaskrawą koszulę z zakładkami, sprane spodnie i sznurowane buty.

— Daj mi butelkę — zażądał. Mężczyzna w wojskowej kurtce wydobyl butelkę z kieszeni. Collins przechylił ją do ust i oddał. —No dobrze. Wróć, jak tylko...—Zobaczę, co z moimi gośćmi.

Tom pospieszył do swego pokoju. Wskoczył do łóżka, naciągnął na siebie przykrycie i czekał.

— Mógłbym zasnąć — mówił sam do siebie — i nic nie robić.

Ale serce mu biło i nie mógł opanować podniecenia. Słyszał kroki mężczyzn na tarasie, a potem stuk butów na schodach. Tom zeszywniał. Wuj przeszedł przez hol, zbliżył się do drzwi Dela i stanął. Drzwi Dela otworzyły się. Sekunda ciszy. Drzwi Dela zamknęły się, a kroki skierowały się w stronę jego drzwi. Otworzyły się i do jego pokoju wsączyło się światło.

— Trzymaj główkę pod skrzydełkiem — powiedział miękko Collins. Zabrzmiało to nieomal czule.

Drzwi zamknęły się i w pokoju zapanowała ciemność. Tom słyszał, jak Collins przeszedł przez hol i zszedł po schodach. Odczekał tylko moment, potem wyskoczył z łóżka, złapał koszulę i spodnie, nogi wsunął w mokasyny. Kiedy otworzył drzwi i podczołgał się na kolanach do okna, zobaczył, że

167

szyjka butelki. Puścił łańcuch, zniknął na chwilę i pojawił się z łopatą. Zamierzył się na psa, potem odłożył ją i znów wszedł do domu. Kiedy wrócił, niósł długie szczypce z metalowymi kleszczami na końcach. Zabrzęczały, gdy je położył na kamiennych płytach. Mężczyzna buńczucznie skierował się w stronę domu, coś pokrzykując. Miał krótką, szczeciniastą, brązową brodę. To jeden spośród grupy mężczyzn z pociągu: serce Toma przestało prawie bić, a oczy powędrowały w kierunku oświetlonego lasu.

Och, nie.

Na płaskim gładzie, pod jedną z lamp, tak daleko, że Tom nie mógł dostrzec szczegółów twarzy ani ubrania, drobna figurka w długim niebieskim okryciu i w czerwonej czapce na blond włosach trzymała małą połyskującą skrzyneczkę. Ta mała postać z zaciekawieniem obracała skrzyneczkę w rękach. W pewnej chwili odwróciła głowę i spojrzała wprost na Toma. Tom przestraszony odskoczył, a chłopczyk pokręcił głową najpierw w jedną stronę, potem w drugą.

— Del — wyszeptał Tom. Spojrzał na chłopca na skale. —

Del!

Chłopczyk wciąż obracał skrzyneczkę. Tom przesunął się w bok do drzwi Dela i dwa razy zastukał.

— Chodź tutaj — powiedział. Znowu zastukał. Hałasy na dole były tak głośne, że gdyby nawet młotem walił w drzwi, nikt by go nie usłyszał. Tymczasem jasnowłosego chłopiec położył skrzyneczkę obok na pniaku i sennie przesunął palcami po kamieniu. — Musisz to zobaczyć! — zawołał Tom.

Drzwi uchyliły się.

— Odejdź. Wracaj do swojego pokoju.

— Spójrz — powiedział Tom.

Teraz chłopczyk trzymał coś, co przypominało srebrny klucz.

— Och! — Del wydał okrzyk, otworzył drzwi i wyszedł do holu.

Na dole mężczyźni wciąż pokrzykiwali. Chłopczyk na maleńkiej kamiennej scenie trzymał klucz od skrzyneczki.

— Chce, żebyśmy zobaczyli — wyszeptał Tom.

Del, w pidżamie, kulił się koło niego. Jeden z czarnych psów znów zapiszczał. Czy ten brodaty mężczyzna uderzył go szczypcami? Tom nie podszedł bliżej do okna, żeby to sprawdzić.

Chłopczyk w niebieskim płaszczku przyłożył skrzyneczkę do ucha, a potem wysunął na odległość ramienia. Musiał pomóc sobie kciukiem, żeby otworzyć pokrywkę. Ze skrzynki wydo-

0(g)ą wznosił się budynek, który był zapewne przystanią Wioślarską. Nieco dalej, białe molo biegło w jezioro.

Tom wciąż zastanawiał się, co ci ludzie mogliby zrobić, gdyby schwytali dziewczynkę. A potem pomyślał, co zrobiliby, gdyby jego złapali. Na szczęście, dzięki blaskowi pochodni mógł ich śledzić i trzymać się od nich na tyle daleko, żeby nie mogli go dojrzeć. Kiedy znalazł się w lesie, spojrzał wstecz i stwierdził z ulgą, że oświetlone okna domu pozwolą mu znaleźć drogę powrotną.

Dwa razy wpadł na drzewo, podrapał sobie czoło i byłby upadł. Księżyc, chwilami tak jasny, że pozwalał widzieć poszczególne źdźbła trawy chylące się w podmuchach wietrzyku, czasami chował się nagle za wysokimi, czarnymi konarami i wówczas Tom błądził w ciemności. Jak Jaś z bajki nie przestawał oglądać się do tyłu. Dom coraz bardziej ginął w gąszczu drzew i krzewów. Wkrótce przestał być świetlnym drogowskazem i zaledwie kilka jasnych punkcików przezierają przez ściany lasu.

Przyrodę, jaką Tom tutaj spotkał, znał jedynie z opisów w książkach. Przyrodę, która walczyła o przeżycie — stłoczone, splątane, pnące się ku górze lub zginające się w dół tysiące różnorodnych

roślin. Ocierał się o pnie i gałęzie, mokasyny ślizgały się na mokrym mchu. Po raz trzeci wpadł na drzewo, kiedy księżyc skrył się, i tym razem przewrócił się.

Wtedy właśnie poznikały światła pochodni. Tom wstał i zastygł bez ruchu, bał się obrócić, żeby nie pomylić kierunku; to oznaczałoby zabłądzenie. Nagle pomyślał o owadach. Od chwili wyjścia z domu nie słyszał ich brzęczenia, a przecież parę godzin temu, na stacji, ich bzykanie i szum wypełniały ciemność.

Zza wzniesienia, za którym zniknęli ludzie, psy i pochodnie, dały się słyszeć niewyraźne pokrzykiwania. Pomalutku posuwał się naprzód, osłaniając rękoma twarz. Coś, jakieś zwierzę lub ptak, zaskrzeczało nad nim, pochylił więc głowę i coś miękkiego otarło mu się o czoło. Myśl, że to pająk, rzuciła go naprzód, potknął się o wystający korzeń i upadł twarzą w grząski muł. Serce biło mu jak szalone. Zdawał sobie sprawę, że ma pobłoconą twarz i przemoczoną koszulę. Otarł twarz ręką i zaczął się czoięgać.

Wreszcie głasy stały się bardzo bliskie. Leżał na brzuchu, pokonując cal po calu niewielkie wzniesienie, za którym zniknęły pochodnie. Jakiś mężczyzna odezwał się:

— Buster gotowy.

Psy warczały. Ludzie śmiali się.

mężczyźni i psy zmierzali do lasu. Niektórzy nieśli płonące pochodnie. Collins, wspierając się na lasce z gałką, przeszedł po kamiennych płytach tarasu, szybko zbliżył się do schodków i pospieszył za mężczyznami.

6

Przy wejściu wciąż jeszcze paliły się świece, teraz już ogarki. Kiedy odwrócił się w stronę wnętrza domu, zobaczył słabe światło przenikające z bawialni do holu. Minął rząd plakatów oprawionych w ramy, szereg afiszów teatralnych za szkłem odbijającym słabe światło płynące z bawialni. W panującej wokół ciszy Tom czuł, że jest obserwowany.

W bawialni krzesła były poprzestawiane, na popielniczkach tliły się cygara, puste szklanki stały na drewnianych stolikach koło kanap i na stoliku do kawy. W pokoju panował nieład. Oszklone drzwi na drugim końcu bawialni, prowadzące na wyłożony kamiennymi płytami wewnętrzny dziedziniec, były otwarte. Tom dostrzegł migające w lesie światła pochodni niesionych przez mężczyzn. Stąpnał na miękkim, puszystym dywan. W powietrzu unosiła się woń cygar.

Czy powinien trzymać główkę pod skrzydełkiem? Omijał meble, idąc w kierunku otwartych oszklonych drzwi. Oprócz tłących się cygar czuł zapach drzew, ziemi i nocy. Głowa pod skrzydło, Tomie?

— A do diabła — wyszeptał i wyszedł na kamienne płyty.

Światła pochodni chwiały się, pojawiając się i znikając za drzewami. Tom słyszał donośne głasy zmieszane ze szczekaniem psów, czuł w nich podniecenie, chociaż nie rozróżniał słów. Mężczyźni zmierzali ku lewej stronie jeziora, okrążając wzgórek, na którym on i Del widzieli Różę Armstrong.

Tom zastanawiał się, czy to jej właśnie szukają* Kamienny chodnik skończył się i długie, rozchwierutane, żelazne schodki prowadziły w dół ze wzgórza, aż tam, gdzie księżyc kładł się srebrną smugą przez jezioro. Tom zszedł w ślad za mężczyznami na małą plażę. Serce przestawało mu bić, kiedy metalowe stopnie drżały i trzęsły się pod jego stopami. Nad ciemną

168

Przestańcie... — powiedział pan Peet ostrzegawczo, ale było już za późno.

Korzeń okręcił łańcuchy wokół drzewa i rzucił się na tego, który trzymał łopatę. Inni przestali kopać i przyglądali się, jak zaatakowany mężczyzna zamachnął się na Korzenia płaską częścią szufli. Korzeń ugodzony w bok upadł.

— Zasraniec — wycedził mężczyzna.

— No, dobrze, Groch — uspokajał pan Peet. — Korzeń, trzymaj psy, jeszcze za wcześnie, żeby próbować. I dołóż do ognia.

— Śmierzący zasraniec — mruknął ten, którego nazwano Grochem, złapał łopatę i zaczął kopać z taką gwałtownością, że ziemia leciała aż do stóp Korzenia.

Po półgodzinie czterech kopiących wygrzebało tunel głęboki na około pięć stóp i długi na cztery. Korzeń za każdym razem, gdy niezręcznie podkładał polana do ogniska, ponuro rzucał okiem na psy. Tom przyglądał się temu wszystkiemu jak zaczarowany, chwilami morzył go sen. Do czego miały być wypróbowane psy? Po co ten wykop przypominający grób? W końcu czarodziej powiedział:

— Trzeba je poszturchać. Wy, Ziarno i Korzeń, zajmijcie się teraz norą.

— Aha — potwierdził jeden z kopiących, tęgi, brodaty mężczyzna wyglądający jak Burl Ives*.

Wykrzywił się w uśmiechu, ukazując szczyrby tam, gdzie powinny być przednie zęby. Ziarno wyskoczył z dołu, a za nim drugi. Przyłożyli łopaty do wzgóreczka i zaczęli szybko wybierać ziemię.

— Prędeż, prędeż — poganiał pan Peet. — Żeby wiedziały, że tu jesteście.

— Na pewno słyszą nas, dranie — oświadczył Ziarno, pokazując znów szczyrby w zębach.

— Wiesz, ile ich tam jest, Herbie? — spytał Głaz.

— Nawet jeden wystarczy — odrzekł Collins. — Słuchaj, niech i ten drugi wyjdzie z tunelu. Ślimak, ty przejdź na tamtą stronę.

Ślimak, Ziarno, Głaz, Groch, Cierń, Korzeń — co to za nazwiska?

Ten, którego nazwano Ślimakiem, wygramolił się z dołu i podszedł do wzgóreczka, podniósł łopatę i wbił jej ostrze w ziemię.

— Trzeba je dobrze postraszyć — powiedział i zaczął od rzucać ziemię równie gorliwie jak Ziarno i Głaz.

* Burl Ives — amerykański aktor i wykonawca pieśni ludowych (przyp. tłum.).

171

— Ty, Korzeń, uważaj z ogniem. Chcesz chyba zobaczyć — powiedział ostro Coleman Collins.

— Hm, do licha, czy to aby właściwe miejsce? — spytał ktoś grubym głosem, prawdopodobnie Korzeń, bo Collins odpowiedział:

— Powiedziałem przecież, że tu, prawda? Uważaj na podpałkę, polewaj ostrożnie! Ma być ogień, nie pożar.

Tom był tak przerażony, że dech zamierał mu w krtani. Dostrzegał teraz, iż światło pochodni lub ogniska, które rozpałił Korzeń, rzucało czerwony blask na pobliskie drzewa.

— Herbie, masz pewność, że to nora?

— Oczywiście, nora — odparł Collins.

Herbie?

Tom podczołgał się na sam szczyt wzniesienia i wyjrzał spoza pnia czerwonego klonu. Pan Peet i Coleman Collins stali koło buzującego ogniska, którego pilnował krępy mężczyzna w żółtej koszuli rozpiętej pod szyją i workowatych spodniach, jakie noszą cieśle. To był zapewne Korzeń. Głowę miał ogoloną niemal do gołej skóry. Inni wbili swoje pochodnie w miękką ziemię i z furją kopali dół w ziemi.

— Tu jest wasza nora — powiedział Collins, wskazując porośnięty trawą wzgóreczko po drugiej stronie ogniska. Z twarzą zarumienioną od ognia czarodziej wyglądał niezwykle zdrowo i krzepko jak pan Peet. — Skąd tym razem wzięłeś psy, Cierniu? — spytał.

Mężczyzna w wojskowej kurtce podszedł od drugiej strony wzgórka, trzymając oba czarne psy na łańcuchu.

— Od tego samego starego dziada. Zapłaciłem po pięć dziesiąt pięć za sztukę. Twierdził, że najsilniejsze, jakie miał. Nie udało mi się skombinować buldogów. — Twarz Cierń przypominała poobijaną dynię. — Najlepsze byłyby buldogi.

— Buldogi albo teriery — stwierdził Collins.

— Buldogi najlepsze — upierał się Cierń.

— Cierń, jesteś idiotą. Daj mi tę butelkę. — Cierń niechętnie wyciągnął whisky z kieszeni. Collins wypił i podał flaszkę panu Peetowi. — Te dwa na pewno spiszą się doskonale. Jestem z nich zadowolony. A teraz daj łańcuchy Korzeniowi, a sam pomóż kopać. •--.

— Dobra — odparł Cierń.

— No, to wpuśćmy tego małego! — zawołał Korzeń.

— Jezu Chryste — zaprotestował któryś z kopiających ziemię. — Dlaczego nie zrobimy choćby krótkiej przerwy? Albo sam przyjdź tu i pokop trochę, mądralo.

170 -?-

i większość zgarniał Korzeń, pan Peet i Collins. W pewnym momencie Tom zobaczył, jak Collins złapał łopatę wy-Oanego Ślimaka i zaatakował „norę” równie sprawnie jak młodszy mężczyźni. Wtedy nagle uświadomił sobie, że Collins Wcale nie kulał.

Złota żyła! Złota żyła! — nie przestawał krzyżeć Głaz.

Obserwując tych mężczyzn, Toma zastanowiło coś w ich wyglądzie. Wszyscy pomimo demonstrowanej siły i zręczności mieli ziemiste, blade twarze, co świadczyło o sporadycznym kontakcie ze świeżym powietrzem czy słońcem. Prawdopodobnie większość czasu przebywali pod dachem, a na dworze pracowali na ogół nocą. Ich zapamiętały wysiłek, wrzaski, palące się pochodnie i buchający ogień, wymiana banknotów, a nade wszystko pokrwawione psy — cała ta zgoła fantasmagoryczna sceneria rozgrywająca się przed oczyma Toma wydawała mu się prawdziwie nierealna. Myślał, że znajduje się w łóżku w pokoju bez okien i śni... Rzeczywiście zasnął i śniło mu się, że Del leży koło niego na tym wzgórku i objaśnia mu wszystko: Pan Ślimak jest skarbnikiem wielkiej korporacji w Bostonie, pan Ziarno i pan Cierń są prawnikami, panowie Groch i Korzeń są wielkimi akcjonariuszami w amerykańskim przemyśle stalowym i każdego roku uczestniczą w wyścigach o Puchar Ameryki, pan Peet jest ministrem handlu Stanów Zjednoczonych.

— Przygotujcie szczypce! — poderwał go krzyk. — Trzymaj te cholerne szczypce!

Tom jęknął i przekręcił się, łamiąc łokciem dobie gałązki klonu. Wtedy przypomniał sobie, gdzie się znajduje, przewrócił się znów na brzuch i skulił, jak tylko mógł. Szyja mu zeszywniała, zdrętwiały kolana i bardzo bolała głowa, ale obserwował ludzi w dole, wciąż będąc pod wrażeniem snu; i tak widział ministra handlu ściskającego rączki metalowych cęgów i klnącego na skarbnika korporacji, żeby się odsunął. Jeden z największych akcjonariuszy przemysłu stalowego trzymał psa w pogotowiu nad jamą. Prawnik z twarzą dyni, w wojskowej kurtce, wrzeszczał:

— Bierz go! Bierz go! — Drugi prawnik wymachiwał ręką pełną zwiniętych banknotów. W tunelu pod wzgórkami, inny pies wył jak dusza potępiona w piekle.

— Zaraz — powiedział minister, a skarbnik z Bostonu przykucnął i wykrzywił napiętą twarz.

Potem, jedno za drugim, nieomal równocześnie nastąpiły dwa szokujące wydarzenia. Bluzgając krwią, udreńczony pies wypełził spod wzgórka. Prawnik, którego ciało pokryte było

Ci trzej masywnie zbudowani mężczyźni przypominali monstrualne karty. Ślimak i Głaz mieli na bicepsach tatuaże a kiedy Ślimak ściągnął koszulę, Tom zobaczył, że jego pierś też była wytatuowana: z białej czaszki z czarnymi oczodołami wyłaził smok pokryty łuską, ze skrzydłami orła.

— Panie Ślimaku, poruszaj skrzydłami — zażartował Cole Collins a zagadnięty mężczyzna roześmiał się i kopnął jeszcze zajadlej.

— Cholerna dziura! — krzyknął. — To jedna z tych cholernych dziur.

Cierń wyskoczył z dołu, rycząc jak wariat i rzucił się w stronę Ślimaka, ale zamiast zaatakować go, czego obawiał się Tom, całkowicie rozbudzony jego wrzaskiem, wbił łopatę w ziemię koło Ślimaka i zaczął z powrotem wrzucać ją do jamy.

— Daj tu tego małego, Korzeń — powiedział pan Peet.

— Szkoda, że nie mamy buldoga — pożałował Cierń mający głowę jak dynia. Korzeń pociągnął mniejszego psa, zdjął mu łańcuch i wskazał odsłonięty otwór. — Ruszaj, kundlu — rozkazał.

Psu nie trzeba było dwa razy powtarzać, z szybkością błyskawicy rzucił się do dołu.

— Przygotuj drugiego — polecił pan Peet. — Założę się z każdym o dwadzieścia, że nie wytrzyma minuty. — Spojrzał na zegarek, a Cierń powiedział: — Dwadzieścia.

Tatuaż Ślimaka rozszerzył się i drżał w świetle ogniska. Widok ten był tak niezwykły, że Tom nieświadomie roześmiał się.

— Minuta — oznajmił Cierń, wzruszając ramionami.

Z jamy dochodziło skamlenie, warczenie i szczekanie. Potem rozległo się przeraźliwe wycie, jakie Tom słyszał już w sypialni.

— Uważaj na ogon, mały — powiedział pan Peet, a w chwilę potem rozgorączkowany pies wyskoczył z jamy. Łeb miał poznaczony jaskrawymi czerwonymi liniami.

— Dwadzieścia od Ciernia — oświadczył pan Peet. — Poślij cie drugiego!

Korzeń podprowadził drugiego, drżącego psa. Groch i Ziarno, ten gruby, podobny do Burla Ivesa, zaczęli grzebać łopatami na szczycie wzgórka. Wydawało się, że już od paru godzin Tom leżał pod czerwonym klonem, przysypiał i budził się na nowo. Psy poganiane do tunelów, które Groch i Ziarno odkrywali w „norze”, wyłaziły pokrwawione ze skowytem i znów je szczuto. Pieniądze przepływały między ósmioma mężczyznami?

„Idź spać, chłopcze”. Tom znalazł się znów w pociągu jadącym na północ od Bostonu. Koło niego siedział Coleman Collins, a nie Del.

Oczywiście to nie jest twój pociąg. To jest poziom pierwszy — mówił Collins.

— Trans — powiedział Tom. — Głos.

— Słusznie. Doskonała pamięć. Kiedy tu jesteśmy, chciał bym podziękować ci za wszystko, co zrobiłeś dla Dela. Od dawna potrzebny mu był ktoś taki jak ty.

Fala mdlących uczuć, symulujących życzliwość, płynęła od czarodzieja, a Tom w intuicyjny sposób wiedział, że miał on większe kłopoty, niżli mogli mu sprawić ci podobni do trollów ludzie.

— Chciałbyś zobaczyć brzuchomówcę? To zabawne. Za

wsze bawiło mnie brzuchomówstwo. — Uśmiechnął się do chłopca. Obaj kołysali się w zatłoczonym wagonie. — To są naturalnie rzeczy elementarne. Mam nadzieję, że zostaniesz dostatecznie długo, bym mógł ci pokazać coś trudniejszego. To wszystko jest w ramach twoich możliwości. Zapewniam cię. — Zostanę przez całe lato.

— Dwa i pół miesiąca to nie dość długo, ptaszku. Wcale nie. A teraz uważaj. Skąd powinien dochodzić ten głos? Wyobrażam sobie, że tu, z góry. — Uniósł swą rasową twarz w stronę kraty umieszczonej w suficie wagonu.

Natychmiast zaskrzeczał histeryczny głos: — Uwaga! Sytuacja awaryjna! Proszę przypiąć się pasami do siedzenia! Proszę przypiąć się...

Iluzjonista zniknął. Tęga kobieta w przejściu koło siedzenia Toma krzyknęła; trzymała karton zawierający parę filiżanek kawy. Kiedy poruszyła się pod wpływem krzyku, kawa podjechała do góry i wytrysnęła w powietrze. Teraz wiele innych osób krzyczało. Tom wtulił głowę pomiędzy kolana i czuł, jak gorąca kawa spływa mu po plecach.

Nagły wstrząs zrzucił go z siedzenia, a jazgot spowodowany katastrofą wwiercał mu się niby gwoździe do uszu. Widział, jak kobieta zatacza się w korytarzu, a na jej twarzy maluje się przerażenie. Wagon uniósł się przodem do góry i zaczął przechylać się na boki.

— Złamali mi nogę! — wrzeszczał jakiś człowiek. — Jezu! — To tylko usłyszał Tom tuż przed hukiem eksplozji, tak głośnym, jakby bomba bliskiego zasięgu spadła na tory. — Światło! — zabrzmiał głos czarodzieja.

175

tatuazem z wyobrażeniem smoka, rzucił jedno spojrzenie na psa i wznosił łopatę nad jego łeb. Tom zobaczył przednią łapę zwisającą na krwawym ścięgnię, ogołocone żebra błyszczące jak pomalowane zapalki, a potem prawnika opuszczającego łopatę i rozwalającego psa łeb. Prawniki kopnęli ciało psa w krzaki.

Drugą szokującą rzeczą było następstwo obrazów tak jaskrawych w kolorze, iż mogły być serią przeźroczy. Krótki i gruby łeb, pokryty futrem i mokry od krwi, wysunął się na moment, minister handlu dźgnął metalowymi szczypcami, a wszyscy finansisci zawyli z radości, minister wyrzucił silnie ramiona do przodu, żelazne szczęki szczypców zacisnęły się na brzuchu oszalałego, wyjącego, krwawiącego borsuka i uniosły go szerokim łukiem w oświetlonym ogniskiem powietrza. Minister obracał w górze wyące się, uchwycone w szczypce ciężkie ciało, a potem wrzucił je do dołu. Akcjonariusz amerykańskiego przemysłu stalowego spuścił pniącego się psa, który rzucił się głową naprzód do jamy. Finansisci zaczęli natychmiast przyjmować zakłady.

Tom zorientował się nagle, że zakładano się o to, jak długo borsuk przeżyje.

Krzyczący ludzie otoczyli jamę, pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Tom nie mógł dojrzeć, co działo się w jamie, ale mógł to sobie wyobrazić, co było jeszcze gorsze. Chwilami tryskały do góry krople krwi i ten lub ów finansista klnąc, odskakiwał do tyłu. Na łuskach wytatuowanego smoka połyskiwała krew, kwitnące na bicepsach róże krwawiły, na żółtej koszulce pojawiła się krew.

Po dwudziestu minutach jeden z mężczyzn uniósł, triumfując, ramiona. Pieniądze płynęły do niego strumieniem. Teraz słyhać było tylko oddychanie — nierówne oddychanie spracowanych ludzi i świszczące, przerywane oddychanie poranionego psa. Minister handlu wyjął z kieszeni pistolet i oddał do jamy jeden strzał.

Tom wzdrygnął się i zadrzał jak liść, przywierając do ziemi.

— W porządku. Mielicie swoją krew — powiedział Cole-man Collins. Było jednak za późno, bo czarodziej patrzył prosto w oczy Toma i mówił: — Jest tu jeszcze jeden, żeby go wrzucić do jamy. Idź spać, chłopcze.

Gruby, zaśliniony mężczyzna splunął i podbiegł ku niemu. Tom stracił przytomność.

174

Cień i Ślimak, Głaz i Ziarno... Usiłowaliście wywabić borsuka, żeby wyszedł z nory. Były też dwa psy, jednego zastrzelił pan peet.

— Rzeczywiście? — Czarodziej zmienił pozycję i z po błazaniem spoglądał na Toma. — Przypuszczałem, że poszedłeś za mną, bo chciałeś porozmawiać. Nie posłuchałeś mnie, to prawda. Ale każdy dobry iluzjonista wie, kiedy można złamać zasady. A ty robiąc to, wykazałeś odwagę i inteligencję. Sądziłem, że byłeś ciekawy, że chciałeś zobaczyć, jak wygląda ten teren.

„Teren”, to znaczyło więcej niż ziemia, na której siedzieli. Tom potwierdził skinieniem.

— Myślę, że musiałeś też przeczytać niektóre afisze, poza stałości po mojej publicznej karierze. Mam słuszość?

— Zauważyłem je — przyznał Tom. Pomyślał, że Colemanowi Collinsowi ufa mniej niż komukolwiek na świecie.

— Wszystko o tym usłyszysz. To będzie lato moich zwierzzeń. — Collins podciągnął kolana i oparł o nie splecione dłonie. Patrzył poważnie na Toma. Tomowi nagle przypomniał się Laker Broome. — Chciałbym ci teraz powiedzieć coś o Delu. A potem będzie bajka przeznaczona tylko, wyłącznie, dla ciebie. I wreszcie przyjdzie pora na spoczynek.

— Mój bratanek miał niespokojne życie. Bliski był oblania egzaminów w Andover, kiedy Hillmanowie przeprowadzili się. No cóż, można nie mieć najlepszej opinii o Hillmanach, widzisz, jestem z tobą zupełnie szczery, ale pomimo ich wszystkich wad, chcieli opiekować się Delem. A on potrzebuje opieki. Bez mocnej kotwicy, bez Toma Flanagana, rozbije się o skały. Potrzebna mu moja wszechstronna pomoc i twoja również. Opiekuj się nim, ale także miej go na oku.

— Mieć go na oku?

— Trzeba uważać, żeby Dela nie poniosły emocje. On nie ma, jak ty, zdrowych stosunków ze światem. — Podciągnął wyżej kolana. — To Del ukraść tę sowę ze Szkoły Ventnor. Nie domyślałeś się?

— Nie — odpowiedział Tom.

— Dowiedziałem się o tej kradzieży od Hillmanów. Wiedzieli, że ją wziął, nie chcieli jednak, aby wyrzucono go z jeszcze jednej szkoły.

— Zabrał ją kto inny. Paru chłopców widziało, jak to robił.

— Del chciał, żeby uczynił to inny chłopak. Del też jest czarodziejem, nawet lepszym niż przypuszcza, chociaż nie aż takim, jakim ty mógłbyś zostać. Del ukraść tę sowę, bez względu na to, czyje ręce ją zabrały. Miej Dela na oku. Ja znam swego bratanka.

177

Oślepiający blask spowodowany następną eksplozją ogarnął na moment wagon. Tuż przy głowie Toma wystrzelił płomieniem tekturowy kubek. Tom zdołał go odrzucić.

— Jeezus — jęczał mężczyzna ze złamaną nogą.

Wzniesiony do góry wagon przechylił się mocno na prawo i zaczął się przewracać.

Wokół Toma, który leżał na korytarzu twarzą w dół, a na plecach miał poparzenia bolące jak otwarta rana, ludzie jęczyli i krzyczeli. W całym wagonie rozlegały się nieludzkie ryki niczym w ogrodzie zoologicznym w czasie pożaru. Uchwycił podpórkę jakiegoś siedzenia i pomyślał: Zaraz

tu umrę. Czy nie umarło mnóstwo ludzi?

Kiedy wagon uderzył o ziemię, krzyki nasiliły się, stały się straszliwe i wstrząsające.

Tom otworzył oczy. Leżał w zagłębieniu, gdzie Groch, Cierń i inni szczuli borsuka. Coleman Collins, wyglądający czerstwo i zdrowo, i o dziesięć lat młodziej w kolorowej koszuli i sportowych spodniach, siedział koło rozkopanego wzgórka. Pociągnął dobrego łyka z butelki i mrugnął do Toma.

— To nie była po prostu magia — powiedział Tom.

— Co znaczy „po prostu magia”? — Czarodziej uśmiechnął się do chłopca. — Jestem przekonany, że nic takiego nie istnieje. Zasnąłeś i zapewne miałeś sny. — Podkurczył nogę i oparł wyciągniętą rękę na kolanie. Wyglądał jak druh gawę dzący przy ognisku z wyróżnianym harcerzem.

— Byłem tam, na górcie — Tom wskazał wzniesienie. — Powiedziałeś: „W porządku. Mieliście swoją krew”. Potem zobaczyłeś mnie i odezwałeś się: „Jest tu jeszcze jeden, żeby go wrzucić do jamy. Idź spać, chłopcze”.

— Jesteś zmęczony — oświadczył Collins, opierając się o to, co zostało z pagórka. — Miałeś bardzo długi dzień. Zapewniam cię, że nic takiego nie mówiłem.

— Gdzie są inni? — Tom usiadł i rozejrzał się po polance. Płonące ognisko oświetlało kopiec ziemi, pod którym znajdowała się nora.

— Nie ma żadnych innych. Jesteś tylko ty i ja. Czego, jak przypuszczam, właśnie sobie życzyłeś.

— Pan Peet — upierał się Tom. — On był tutaj. I wielu innych mających takie śmieszne nazwiska jak krasnoludki.

176

— Zrobiłeś to — powiedział, a Tom poczuł w ustach smak żółci.

— Ja tylko odrobinę cię popchnąłem, niezwykły chłopcze. A teraz posłuchaj bajki. Pewnego dnia, w lesie, pewien wróbel przysiadł się do drugiego wróbla siedzącego na gałęzce. Przez jakiś czas rozprawiły o wróblowych sprawach, żywo i niepoważnie, jak to robią wróble, a potem drugi wróbel odezwał się: „Czy wiesz, dlaczego żaby skaczą i dlaczego rechocą?” „Nie. I nic mnie to nie obchodzi” odparł pierwszy wróbel. „Jak się dowiesz, to będzie cię to obchodziło” zapewnił jego towarzysz. I opowiedział mu tę historię, ale ja opowiem ją na swój sposób, nie tak jak wróble.

Tom zobaczył, jak kłoda dziko wiruje pomiędzy niebem a ziemią.

10

Śpiąca królewna

Dawno, dawno temu, kiedy wszyscy żyliśmy w lesie i nikt nie mieszkał gdzie indziej, gromadka wróbli leciała przez głęboki i ciemny las. Fruwały bez celu, z dala od często odwiedzanych miejsc, aż wreszcie zaczęły szukać czegoś do zjedzenia.

Jak to jest w zwyczaju wróbli, na nic nie zwracały uwagi, tylko ćwierkały i przekomarzały się, przelatowały tu i tam, ze świstem prując powietrze.

— Spokojnie tu — powiedział jeden wróbel, a drugi zaraz wtrącił:

— Tak, ale wczoraj było o wiele spokojniej — z czym natychmiast nie zgodził się następny i wkrótce wszystkie

zaczęły się spierać.

Wreszcie zaczęły krążyć wysoko nad drzewami, nasłuchując, czy rzeczywiście jest cicho i spokojnie, żeby mieć nowe argumenty do dyskusji. Wróble znalazły się teraz, chociaż nie zdawały sobie z tego sprawy, prawie nad samym pałacem króla, który rządził tą częścią lasu. Nic nie było słychać.

Było to doprawdy zastanawiające, las bowiem normalnie pełen był różnorodnych hałasów, które znane były wróblom przez całe życie. Pałac był jak istny ul — konie wierzgały i tupotały w stajniach, psy ujadaly na dziedzińcach, a służba hałaśliwie krzątała się wszędzie. Zwykle słychać było kipiące

179

— To czyste szaleństwo — powiedział Tom z przekonaniem, mimo iż cień wątpliwości ogarnął jego duszę. — Tak samo absolutnie nie ma sensu opowiadanie, że ja jestem lepszy od Dela. Ja mu nigdy nie dorównam. Magia jest wszystkim, na czym Delowi naprawdę zależy.

— Jest lepszy w niektórych rzeczach, ale ty nauczysz się ich bardzo szybko. W tobie tkwią siły, z których zupełnie nie zdajesz sobie sprawy, mój ptaszku. — Spojrzał na Toma prawie jak wszystko wiedzący ojciec. — Nie jesteś o tym przekonany. A chciałbyś mieć dowód, zanim opowiem bajkę? Chciałbyś? — Odwrócił głowę. — Leży tam przewrócona kłoda. Widzisz ją? Chcę, żebyś ją podniósł. — Gdy Tom zaczynał wstawać, Collins powiedział: — Zostań, gdzie jesteś. Podnieś ją wysiłkiem umysłu. Pomogę ci. No, śmiało. Spróbuj.

Tom ujrzał kawał kłody sterczący nad polanką. Miała ze trzy stopy długości, była wyschnięta i sękata. Przypomniał mu się ołówek podnoszący się nad jego biurkiem pod koniec jednej z lekcji pana Fitz-Hallana.

— Boisz się spróbować? — spytał Collins. — Zrób to dla mnie. Powiedz w duchu „Kłodo, podnieś się”, a potem wyobraź sobie, że się podnosi. Proszę cię, spróbuj. Przekonaj mnie, - czy się nie mylę.

Tom miał ochotę powiedzieć: Nie chcę, ale zdał sobie sprawę, że byłoby to dziecinne. Zamknął oczy i powiedział w myślach: Kłodo, podnieś się. Zerknął na kłodę: leżała spokojnie na trawie.

— Nie wiedziałem, że jesteś tchórzem — oświadczył czaro-dziej.

Tom nie zamykał już oczu, ale myślał o tym, że koniec kłody unosi się. Wciąż ani drgnęła. Kłodo, unieś się, kłodo, unieś się! — powtarzał. Koniec kłody poruszył się. Tom spojrzał na rozbawioną twarz Collinsa.

— Mysz? — zdziwił się czarodziej.

W górę! — pomyślał Tom nagle rozwścieczony, bo wiedział, że się nie poruszy. Do góry! Kłoda posłusznie stanęła pionowo, jakby ją ktoś podciągnął na drucie. Do góry! Uniosła się i zakołysała w powietrzu. Potem Tom poczuł, że umysł zalewa mu fala mrocznej bezradności, jakby mu było niedobrze, a kłoda zaczęła się kręcić i kręcić, nabierając szybkości, aż jej kontury stały się niewidoczne. Nie. Dość — pomyślał Tom i kłoda zwała się na trawę. Patrzył na nią oniemiały ze zdumienia. Bolały go oczy, w żołądku kręciło, jakby najadł się pajaków. Chciał uciec, bał się, że zemdleje. Usłyszał klaskanie w dłonie i zobaczył, że to Collins wyraża mu swoje uznanie.

178

— Och, mały wróbelku — odezwała się — gdybyś mógł jnnie zrozumieć. — Wróbelek jeszcze bardziej przekręcił głowę. — Gdybyś mnie zrozumiał, opowiedziałabym ci, jak nasza

córka, księżniczka Róża, zachorowała i umarła. I jak jej śmierć zabrała życie z całego pałacu i również z całego naszego królestwa, wróbelku. Opowiedziałabym ci, jak najpierw wszystkie zwierzęta zapadły w sen, tak głęboki, że nie zdołaliśmy ich obudzić, a potem wszyscy ludzie, oprócz króla i mnie, ulegli tej samej chorobie i pozasypiali tam, gdzie stali. A przede wszystkim, mały wróbelku, powiedziałabym ci, jak śmierć mojej córki sprowadza śmierć na królestwo, bo jak widzisz, my wszyscy tutaj z całą pewnością umieramy, każdy z nas, w pałacu i w lesie, król i zwykły człowiek, wilk i niedźwiedź, koń i pies. Ach, mam wrażenie, że mnie rozumiesz — powiedziała, odwróciła się od wróbelka i podjęła znów swój smutny spacer.

Wróbelek precyzyjnie przeszedł przez ciężkie, dębowe drzwi i połączył ze swymi przyjaciółmi. Zagwizdał, żeby się uspokoił i wtedy powiedział im wszystko, co usłyszał od królowej. Kiedy skończył, jeden ze starszych wróbli oświadczył:

— Musimy coś zrobić, żeby im pomóc.

— My? My? Pomóc? — zaczęły ćwierkać wszystkie młodsze wróble, podskakując w podnieceniu. Bo przecież co innego być świadkiem interesujących, choćby i tragicznych wydarzeń, a co innego starać się zrobić coś, aby im przeciwdziałać.

— Oczywiście musimy pomóc — stwierdził najstarszy wróbel.

— Pomóc? My? — świergotały najmłodsze wróbelki.

A cóż my możemy zrobić?

— Jest tylko jedna rzecz, jaką możemy zrobić — powiedział najstarszy wróbel. — Musimy udać się do czarownika.

To już rzeczywiście wprawilo je w osłupienie, powstało zamieszanie i zaczęły się spory. Nawet najmłodsze wróble słyszały o czarowniku, nigdy go jednak nie widziały. Poza tym, każda wzmianka o nim przerażała je. Każdy wiedział, że czarownik, będąc uczciwy, zawsze jednak kazał płacić za wyświadczoną przysługę.

— To jedyna rzecz — zdecydował najstarszy wróbel.

— Gdzie on mieszka? Czy to daleko? Znajdziemy go? Czy jeszcze żyje? A może zabłądzimy? — szczebiotały wróble tysiące pytań.

— Kiedyś widziałem miejsce, gdzie mieszka — oznajmił najstarszy wróbel. — Wydaje mi się, że potrafię je odnaleźć, ale to daleko stąd, po drugiej stronie, za lasem.

— A więc prowadź nas! — zawołał odważny wróbel i wszyscy

—
garnki w kuchni, odgłosy stukania w warsztatach oraz odgłosy młotów z kuźni... Zamiast tych wszystkich dźwięków, które powinny słyszeć wróble, panowała cisza.

Wróble, wiadomo, są równie ciekawe jak koty, wszystkie więc sfrunęły, żeby zobaczyć, co się dzieje, zapominając zupełnie o swojej niedawnej sprzeczce. Leciały niżej, coraz niżej i niżej, lecz wciąż nie dochodził żaden głos.

— Uciekajmy stąd — powiedział jeden z młodych wróbelków. — Stało się tu coś strasznego i jeśli za bardzo zbliżymy się, to i nam może się coś złego przytrafić.

Nikt oczywiście nie zwracał uwagi na jego słowa. Ptaki sfrunęły w dół, aż znalazły się w obrębie murów pałacu. Niektóre usiadły na parapetach okien, inne na kamieniach na dziedzińcu, jeszcze inne na rynnach deszczowych, a niektóre na oddrzwiach stajni. Jedyne, co słyszały, to hałas, jaki same sprawiały.

Potem wyjaśniło się wszystko. W pałacu wszyscy byli uśpieni. Konie spały w stajniach, służba

spała, opierając się

0 ściany, psy spały na dziedzińcach. Nawet muchy, które przysiadły na klamkach u drzwi, spały.

— Przekleństwo, przekleństwo! — krzyczał młody wróbel. — Uciekajmy stąd, uciekajmy, bo stanie się z nami to co z nimi.

— Uspokój się natychmiast — rozkazał jeden ze starszych wróbli, gdyż właśnie coś usłyszał. Był to słaby dźwięk ludzkiego głosu i to nie byle kogo, bo samego króla.

— Biada mi, biada mi — powtarzał król w jednej z pałacowych wież, sam do siebie, a mówił tak żałośnie, że wszystkie wróble natychmiast odczuły współczucie.

Następnie drugi bardzo dzielny wróbel usłyszał jakiś inny głos. Ktoś za ścianą chodził tam i z powrotem. Wróbel wśliznął się przez drzwi, żeby zobaczyć, kto oprócz króla nie spał. Ujrzał długi, pełen kurzu pokój z ogromnym stołem pośrodku. Promienie światła przesączały się przez brudne szyby wysokich okien i padały na plecy kobiety w strojnej sukni, która wolnym krokiem oddalała się właśnie od niego. Gdy doszła do końca jadalni, do jadalnej sali bowiem wkroczył dzielny wróbel, odwróciła się i zaczęła iść w stronę wróbla. Załamywała ręce, wznosiła i ściągała brwi. Całe serce wróbelka wybiegało ku niej

1 pomyślał, że gdyby mógł w jakikolwiek sposób pomóc tej nieszczęsnej pięknej damie, zrobiłby to natychmiast. Wiedział oczywiście, że była to królowa — wróble są szczególnie wyuczulone na pozycję społeczną. Kiedy królowa zobaczyła go, gdy stał tak koło drzwi, przechylił główkę i spojrzał tak inteligentnie i życzliwie, aż przystanęła.

180

po tym pytaniu, jeszcze bardziej wzmógł się hałas.

Nie, nie możemy — powiedział najstarszy wróbel. — Bez piórek w ziemie czekałaby nas niechybna śmierć.

— Zrezygnujecie ze śpiewu?

Wróble zamilkły na moment, a potem odezwały się jeszcze głośniejszym głosem.

— Dobrze — zgodziły się wróble. — Niech to będzie nasza ofiara.

— Zgoda — oznajmił czarownik. — Wracajcie do pałacu.

Zdenerwowanie zwiększyło ich szybkość, wszystkie wróble zerwały się z drzewa i zatoczywszy koło nad chatką czarownika, rozpoczęły długi powrotny lot przez las.

Po paru godzinach, gdy dotarli do pałacu, znalazły wszystko bez zmiany. Mieszkańcy królestwa, poza królem i królową, wciąż spali. Wróble spoglądały na siebie z niepokojem, zastanawiając się, czy czarownik nie przyjął ich ofiary, lecz nic w zamian nie dał. Wtedy gdzieś z głębi pałacu doszedł stłumiony głosik: — Mamusiu! Tatusiu! Mamusiu! Tatusiu!

Otworzyły się wielkie, drewniane drzwi i wyszła mała dziewczynka, przecierając sobie oczy.

Pobudziły się też konie w stajniach, psy na dziedzińcach, muchy zerwały się z klamek, służący poruszyli się i zaczęli ziewać. W gęstym lesie również lisy ziewały i przeciągały się, niedźwiedzie potrząsały wielkimi łbami, wilki ruszały się pod drzewami.

W tym momencie każdy wróbel zaczął odczuwać, że zachodzą w nim zmiany — jakby jakaś zimna ręka wsunęła się do wnętrza i dotykała tam różnych części. W głowach im się mieszało, ciała zaczęły puchnąć, dzioby stawały się miękkie i rozszerzały się, rosły łapki. I wnet ptaki stały się żabami siedzącymi na parapetach okien, na balustradach i gałęziach drzew.

Na szczęście król był świadkiem tej przemiany i zrozumiał, co się stało. Podniósł ramiona w geście wdzięczności i obiecał, że od tego dnia wszystkie żaby w jego królestwie będą chronione,

ponieważ kiedyś były wróblami, które udały się do czarownika, żeby przywrócić życie jego córeczce.

— I dlatego żaby skrzeczą i skaczą—mówił jeden wróbel do drugiego siedzącego na gałązce w lesie. — Niegdyś były Ptakami, ale oszukał je wielki czarownik i teraz wciąż usiłują śpiewać i starają się fruwać. Mogą jednak tylko rechotać i Podskakiwać.

183

tkie uniosły się do góry i zataczając koła, oddaliły się od tego straszego milczącego pałacu.

Przez całe godziny leciały ponad gęstym borem, nad rozległymi łąkami, ponad rwącymi rzekami i krętymi dolinami. Nad jaskiniami niedźwiedzi i jamami lisów, nad wypróchniałymi pniami, gdzie drzemiały mrówki i nad stadami dzikich kucyków, które posnęły na urwistych skałach.

Wreszcie zobaczyły nad czubkami drzew mały pióropusz dymu.

— Tam jest domek czarownika — powiedział najstarszy wróbel.

Zaczęły więc zataczać kręgi coraz niżej. Oczom ich ukazał się mały, drewniany domek z dwoma maleńkimi okienkami po obu stronach ganku.

Wróble, jeden po drugim, siadały na gałęzi koło jednego z okienek, a kiedy było ich już tyle, że gałąź zaczęła się uginać, siadały na drugiej, wyższej i tak dalej, aż obsiadły całe drzewo. Wtedy wszystkie naraz zaczęły śpiewać.

Drzwi, małej, drewnianej chatki otworzyły się i wyszedł czarownik. Był to stary, bardzo stary człowiek, skórę miał koloru mleka. Czarne szaty, w które był przyodziany, ozdobione były haftowanymi księżycami i gwiazdami. Niegdyś musiały być wspaniałe, lecz obecnie tak wytarte, że przez gwiazdy przeświecała tkanina. Podniósł na drzewo swoje jasne, stare oczy i rzekł:

— Widzę, że wróble przyleciały z wizytą. Ciekaw jestem, czego chcą?

Wtedy najstarszy wróbel spojrział na dzielnego wróbla i ten zabrał głos, drżąc wprawdzie, gdyż bał się czarownika. Teraz, kiedy znaleźli się tutaj, wolałby, żeby byli gdzie indziej. Opowiedział jednak czarownikowi całą historię, którą usłyszał od królowej.

— Rozumiem — oświadczył czarownik. — Chcecie, żebym przwrócił życie księżniczce Róży?

— Tak, tak — odpowiedziały wróble.

— Nie jest to trudne — stwierdził czarownik — zanim jednak to zrobicie, musicie wyrazić zgodę, że i wy coś poświęćcie. *»-•

Wtedy wszystkie wróble zaczęły ćwierkać i protestować.;

— Czy oddacie swoje skrzydełka?

Znów podniosła się fala szczebiotów.

— Nie, to niemożliwe — oświadczył najstarszy wróbel.-"

Bez skrzydeł nie mogłybyśmy fruwać. w

— Czy zrzekniecie się piórek? -?**-?-

182

śni w rozety111 pociągu, ale ze strachu głos uwiązał mu w gardle. Drzewa rozmywały się jak na akwarelowym obrazku trzymanym pod strumieniem wody. Wszystko rozpuszczało się, roztapiało i powstawała bladozielona szyba. Otoczyła go zielona mgła, obca i zimna, i czuł jakby wypadł z samolotu i spadał. Nagle przed sobą ujrzał białe kolumny domu. Pod nogami poczuł ziemię.

Uczyniwszy krok, uderzył nogą o metalowe, wyściełane krzesło.

— O, mój Boże — wyszeptał. Znajdował się w wielkim jak krypta pomieszczeniu, na końcu była scena zasłonięta kurtyną. Tom stał na środku, w połowie drogi do rzędu ustawionych

krzesel. Zielonkawe ściany, ozdobione białymi kolumnami, prowadziły do sceny. Wysoko paliło się parę lamp. Był w wielkim teatrze, gdzie Collins miał uczyć ich fruwać.

— O, Boże — powiedział. — Nie byłem nawet na zewnątrz.

Tom przeszedł wzdłuż rzędów krzesel i wydostał się do holu.

Tutaj również płonęło kilka lamp. Znajdował się o około pięć stóp od wejścia do Małego Teatru.

Zamknął za sobą drzwi i spojrzął na mosiężną tabliczkę. Le Grand Thedtre des R-lusions. Pod tabliczką zatknęto białą kartkę papieru z napisem: Idź spać, synu.

Powlókł się ciężko, światła za nim gasły; marzył, żeby zwinąć się na łóżku i szybko, mocno zasnąć. Nie był w stanie rozplątywać zawiłych pętli, które Collins zarzucał na niego. „I dlatego żaby skrzeczą i skaczą. Niegdyś były ptakami, ale oszukał je wielki czarownik i teraz wciąż usiłują śpiewać i starają się fruwać”.

12

— Najpierw odpowiedz na moje pytanie.

— Nie, ty odpowiedz na moje. Powiedz mi o Róży Armstrong.

— Nie, dopóki nie powiesz mi, co robiłeś zeszłej nocy.

— Nie mogę.

— Wujek Cole zakazał ci?

— Nie.

— No, to możesz mi powiedzieć. Zszedłeś na dół? Wyszedłeś na dwór? — Del mieszał łyżką w misce owsianki. — Widział cię ktoś?

— No dobrze. Zszedłem na dół. A potem śledziłem tych facetów, co tam byli.

185

11

— To była druga bajka na dobranoc — powiedział czarodziej. — Teraz muszę cię opuścić, ale sądzę, że sam z łatwością odnajdziesz drogę powrotną do łóżka. — Zaczął podnosić się z wygniecionej trawy, ale wyraz twarzy Toraa powstrzymał go. — Tom, o czym myślisz?

— O dniu zapisów do naszej szkoły — zaczął Tom i twarz zaczerwieniła mu się w gniewie — dyrektor zatrzymał Dela i jeszcze jednego chłopca w swoim gabinecie. Każdemu z nich opowiedział bajkę. Wiesz o tym.

Czarodziej wstał, założył ręce na plecach i wyprostował się.

— Pomyśl, Tomie. Co dałbyś, żeby ocalić życie? Swoje skrzydła czy swoją pieśń? Wolałbyś życie wróbla czy żaby?

Uśmiechnął się szeroko do chłopca, uniósł ramiona i zniknął.

— Nie! — zawył Tom i skoczył do przodu, na rękach i kolanach. Obmacał miejsce, gdzie stał Collins, ale poczuł tam tylko trawę i ziemię. Rozejrzał się dzikim wzrokiem, oczekując, iż zobaczy Collinsa biegnącego przez las. Ujrzał jednak tylko drzewa i dogasające ognisko. Daleko w lesie dojrzał jedną z lamp płonących nad zaimprovizowaną sceną. Po czarodzieju nie było śladu. Tom opadł z jękiem na wilgotną trawę, kręciło mu się w głowie. Zmarła Róża, wróble zamienione w żaby, stary czarownik, wirująca kłoda... „W tym czasie, gdy przebywasz tutaj, ja jestem twoim ojcem”.

Tom opanował się i podniósł z trawy, sądził, że uda mu się dowlec do domu. Skoro jednak uczynił

pierwszy krok, las wokół niego zdawał się rozplęwać. Z początku myślał, że znów straci przytomność i znajdzie się w rozbitym pociągu, że wokół będzie słyszał przeraźliwe krzyki i pęknięcie grubych, metalowych płyt — i gorąca kawa będzie go parzyła w plecy („Nie poplamieś sobie ubrania tą rozlaną kawą?”) i zdał sobie sprawę, że czarodziej wiedział już na stacji w Hilly Vale, iż umieści go w rozbitym pociągu („Nie rozlana po prostu kawa, jakieś małe zderzenie na torach, niewielkie zamieszanie?”) i w sekundzie, która poprzedzała ostateczne zniknięcie lasu, Tom zdążył pomyśleć, że to Collins swoimi-sztuczkami spowodował ten wypadek, aby móc w sześć godzin później umieścić go w rozbitym wagonie.

To jest poziom pierwszy. Każdy dobry iluzjonista wie, kiedy złamać reguły. Mógłby wrzeszczeć równie głośno jak każdy inny nieszczę-
U*

Chodzisz z nią na randki?

Nie rozumiesz — zaprotestował Del. — To nie jest tak.

No, a bywa ona tu kiedy, żebyś mógł z nią pomówić?

Może powiedziec, co twój wujek zamierza?

Tak, bywa tutaj i możesz z nią pomówić. Ale ona nie zna

rZyCzyny, dla której wujek o coś ją prosi. To taka... wielka układanka. Ona jest tylko jedną małą częścią.

A czy całowałeś ją, no i takie rzeczy?

To moja sprawa — oświadczył krótko Del.

Kombinujesz z nią? Jest o rok starsza, no nie? Pozwala

ci?

— No chyba — odparł Del. — Czasami.

— Ładna?

— Sam zobaczysz.

— Ale z ciebie cicha woda, Nightingale — zdumiał się

Tom. Był oczarowany. — Chodzisz z nią? Całe lato spędzasz z dziewczyną o rok od nas starszą? No, no.

— Musimy zejść na dół — powiedział surowo Del. — A ty nie kombinowałeś z Jenny Oliver? Albo z Dianę Darling?

Były to dziewczęta z Seminarium Phipps-Burnwood i Tom zabierał je na szkolne potańcówki.

— Czasami — odrzekł Tom. — Czasami, oczywiście.

— No dobra — powiedział Del i wstał.

— Ale z ciebie cicha woda—powtórzył Tom. Wstał również i przeszli do słonecznego holu. Kiedy schodzili po schodach odezwał się: — Powiedz mi, jak ona wygląda. Blondynka?

— Daj spokój.

— No, jaka?

— Blondynka, ma dwoje oczu, nos i usta. Prawie tak wysoka jak ty. Twarz ma... och, jak można opisać czyjąś twarz?

— Spróbuj.

Zatrzymali się przed bawialnią. Była niepokalanie czysta, tak jakby nigdy nie było w tym domu trollów pana Peeta.

— No więc, wygląda, jakby... — Del zawahał się. — Jak by... była zraniona.

— Zraniona? — To było doprawdy dalekie od wszystkiego, czego Tom mógł oczekiwać, więc roześmiał się.

— Wiedziałem, że nie potrafię tego wytłumaczyć — powiedział Del. — Chodźmy. Będzie czekał.

Tom spojrzawszy przez ramię na serię plakatów na ścianie 1 zauważył tylko, że drukowane były przestarzałym krojem czcionek i że żadne z widocznych nazwisk nie było mu z^ajome. Potem

ruszył za Delem. Humor mu się poprawił — ^dł śniadanie, wypoczął i w ten słoneczny ranek widział, że
187

— Co zrobiłeś? — Del był kompletnie wytrącony z równowagi.

— Wyszedłem. Myślę, że to zrobiłem. Później wszystko potoczyło się niesamowicie. Wylądowałem w dużym teatrze.

— Och — Del odprężył się. — A więc było zaplanowane, żebym wyszedł.

— Wiedziałaś o tym?

— Naturalnie — odparł Del. Jedli śniadanie w pokoju Dela. O dziewiątej przed drzwiami pojawiła się taca. — Przeszedłem przez to już milion razy. Poddał cię działaniu magii. I nawet nie możesz mi powiedzieć dokładnie, co się wydarzyło, bo wszystko pomieszało ci się w głowie. To normalne. Po to tu jesteśmy. Możesz się więc uspokoić. A już bałem się, że nas obu przez ciebie wyrzucą.

— No więc skoro już po zmartwieniu, opowiedz mi o Róży Armstrong.

— Co chcesz o niej wiedzieć?

— Dlaczego robi to, co chce twój wujek? Mam na myśli, dlaczego wyszła i w środku nocy siedziała na kamieniu? Czy nie ma nic lepszego do roboty?

Del odsunął swój talerz.

— Myślę, że chyba chce pomóc wujkowi Cole. No, bo cóż innego?

— Ale dlaczego chce mu pomóc?

— Bo on jest wspaniały. — Del patrzył tak, jakby Tom wyznał, że nie potrafi pomnożyć sześciu przez dwa. — Ona go szanuje i lubi pracować dla niego.

— Płaci jej?

— Słuchaj, nie wiem, dobra? Wiem, że jej rodzice nie żyją. Mieszka w mieście z babcią. Musisz zdawać sobie sprawę, że jest tu znany. Niegdyś dużo podróżował po okolicy i ludzie pamiętają go. Jest znakomitością w Hilly Vale. Kochają go tu. Czytałeś te afisze na dole?

— Nie — odrzekł Tom. — Dzisiaj na nie popatrzę.

— No, to zobaczysz. Jeździł wszędzie. W końcu doszedł do wniosku, że marnuje talent i wrócił tutaj.

— Hę ona ma lat?

— Mniej więcej w naszym wieku. Może o rok starsza.

— Lubisz ją?

— Oczywiście, że lubię.

— Bardzo ją lubisz?

— Co to znaczy, bardzo?

— Wiesz, co to znaczy.

— No dobrze. Bardzo ją lubię. *

—
186

*? *? ?

soło po scenie, cały czas będąc na granicy upadku i popsucia *e oczy miał idealnie okrągłe, bez wyrazu, a ruchy nakręconej S bawki. Twarz pokryta pudrem była bezpłciowo młoda, ale ffrtry nie męski wizytowy garnitur, ta twarz i rude włosy mogłyby należeć do ładnej kobiety w wieku dwudziestu paru lat.

Następnie Collins zademonstrował jeszcze jedną ze swych umiejętności. Podrygując podszedł na środek sceny, zatrzymał się zwrócił twarz do chłopców i pozostał kompletnie bez ruchu przez około półtorej sekundy.

Uważaj — powiedział Del.

Zanim Del skończył mówić, podobna do robota figura zaczęła unosić się w powietrze. W górze obróciła się i wylądowała na rękach. Potem przechyliła się na jedną stronę, rozłożyła nogi i wykonała serię bezbłędnych młynków. Łądując na rękach, figura przegięła się do tyłu i stanęła na nogach, potem powtórzyła to samo z oszałamiającą szybkością. Następnie Collins wyprostował się i upadł twarzą na scenę — bezużyteczny robot odrzucony zdalnie sterowaną kontrolą. Z niesamowitą zręcznością i niezwykłym wysiłkiem mięśni zaczął prostować się, nie zmieniając położenia rąk i nóg. Czynił to bardzo powoli.

— O Boże — wymamrotał Tom.

Herbie Butter uklonił się i mrugnął do chłopców. W chwilę później był z powrotem, popychając stół, na którym leżał jedwabny cylinder.

— Wyobraźcie sobie ptaka — powiedział, ale nie był to głos Colemana Collinsa; był bardziej beztroski, młodszy.

Machnął białym, jedwabnym szalikiem i z cylindra wyszedł biały gołąb.

— Wyobraźcie sobie kota.

Biały kot przeskoczył przez rondo cylindra i zaczął natychmiast podkładać się do przerażonego ptaka.

Herbie Butter wykonał zdumiewającego koziołka do tyłu, wsparł się na czubkach palców rąk, potem przekoziółkował do przodu i stanął tam, gdzie przedtem. Zarzucił na kota biały szalik. Szalik sfrunął na powierzchnię stołu.

— I to właśnie jest tak. Kot i ptak. Ptak i kot.

Wtedy, pierwszego ranka, opowiedział Tomowi i Delowi "«ykę, która kończyła się słowami: „A więc ja jestem królem kotów!"

— Czy mogą zadać pytanie? — odezwał się Tom, podnosząc kś. jakby był w klasie na lekcji łaciny.

— Oczywiście. — Czarodziej siedział na małym stoliku, głos Jego wciąż był niefrasobliwy.

189

Kraina Cieni proponuje zabawę, ale zabawę rzucającą vyy. zwanie, z jakim się jeszcze dotychczas nie spotkał. Ubiegłe; nocy nie był zagrożony ani nie został skrzywdzony, był tyllj0 poddany próbie, lecz w taki sposób, w jaki może to zrobić tyllc0 wielki iluzjonista.

Kartka papieru z odręcznym pismem zniknęła z drzwi. Aie czy w ogóle tam była? Tom zastanawiał się i przyszło mu do głowy, że zaczyna go opanowywać duch Krainy Cieni.

— Słyszałeś kiedy imię Herbie... ma ono dla ciebie jakieś specjalne znaczenie? — zapytał.

— Herbie? Zobaczysz go — obiecał Del, idąc przodem.

Wewnątrz długiego teatru, zieleń ścian pomiędzy żłobionymi kolumnami wyglądała jak zasnutą mgłą, a krzesła stały jak rzędy otwartych gąb. Światła były przyćmione. Kiedy Tom wszedł, Del, siedzący w pierwszym rzędzie, śmiał się z tego, co działo się na scenie. A na scenie, ku zaskoczeniu Toma, siedział oparty sztywno na wysokim krześle manekin z domu towarowego. Ramiona sterczały mu do góry, a nogi miał wysunięte do przodu. Manekin miał na sobie czarny wieczorowy garnitur, a twarz była upudrowana czy umalowana na biało. Na czubku głowy siedziała ruda,

kędzierzawa peruka.

— To Herbie — wyjaśnił Del, kiedy Tom wsunął się na krzesło obok niego. — Herbie Butter.

— Lalka?

— Szszsz.

Jedna z rąk lalki uniosła się o czterdzieści pięć stopni do góry. Ruch był ruchem robota, nie człowieka. Głowa, z twarzą bez wyrazu, obróciła się najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Druga ręka szarpnęła się ku górze. Tom rozsiadł się wygodnie. Bawiło go to.

— Zdumiewający mechaniczny magik i akrobata — wyszeptał Del.

Jedna noga, potem druga ugięła się. Manekin-robot podniósł się z krzesła, a Tom nieomal słyszał zgrzyt mechanizmu. Manekin zaczął śmiesznie posuwać się po scenie. W pewnej chwili już byłby upadł. Potem z wielką godnością przeszedł za kulisy, skąd doszło skrzypienie i zgrzytanie.

— To twój wujek? -'»>

— Oczywiście, on — odpowiedział cichutko Del.

— Wspaniały.

Del przewrócił oczy. Wspaniały artyzm wuja nie podlegał kwestii.

Przez parę minut Coleman Collins, Herbie Butter, skakał

188 "*"?

13

Chcicie się zabawić? — spytał czarodziej. — Ale musicie zamknąć oczy.

Tom zamknął oczy. Czuł wciąż szorstkość palców Collinsa zaciskających się na przegubie jego ręki, wciąż odczuwał radość z usłyszanej pochwały. Dobiegły go słowa czarodzieja:

— To jest poziom drugi.

Otworzył oczy, przypomniał sobie rozbity pociąg i był zły, że tak łatwo dał się okpić. Przypuszczał, że Del również otworzył oczy, ale nie mógł zobaczyć, gdyż Del odwrócił głowę.

W dalszym ciągu znajdowali się w wielkim teatrze. Na scenie przed nimi nie było już stołu, lecz wielka, skomplikowana, drewniana zabudowa. Tomowi wydała się dziwna i obca. Ponad nimi rozbrzmiewała wesoła muzyczka. Piętnastolatkom, jakimi byli w 1959 roku, ten żywy, prosty jazz kojarzył się nieodparcie z tłem muzycznym do starych rycin prezentowanych w telewizji w sobotnie przedpołudnie. Budynek, choć[^] zapewne wygodny, miał przeładowaną fasadę, dużo małych okienek i gzymsów. Nad wielkim frontowym oknem widniał napis wymalowany czarną farbą: APTEKARZ.

— Zajrzyjmy do środka — powiedział Collins. Nosił teraz binokle i miał na sobie fartuch w paski, twarz, już nie upudrowana, błyszczała. Wyglądał jak dobry, stary wujaszek.

Budynek rozwarł się na oścież, ukazały się rzędy półek wypełnionych butelkami i słoikami, kontuar i duża, czarna kasa sklepowa.

— Nie potrzebujecie przypadkiem, młodzi panowie, jakie goś lekarstwa od kaszlu?

Słoiki z nalepkami Syrop od kaszlu, stojące rzędem na jednej z półek, zaczęły podskakiwać i pokasływać.

— Pigułki na sen?

Inny rząd buteleczek zachrapał głośno.

— Płyn przeciw puchlinie?

Dwie butelki zmniejszyły się o połowę.

— Przylepiec?

Pudełko z przylepcami podskoczyło i zagrało wesołą melodię, tę samą jazzową melodię, którą słyszeli na początku, gdy zamknęli oczy. Tom rozróżniał brzmienie trąbki, dźwięk puzonu...

— Krem na znikanie?

Słoik stojący obok pudełka z przyklepcami zniknął z oczu. I chichotał, Tom też się roześmiał.

— Karty okolicznościowe z pozdrowieniami?

191

— Jak możesz robić te rzeczy..., te wyczyny gimnastyczne skoro kulejesz?

Wyczuł dezaprobatę Dela, ale iluzjonista nie był urażony.

— Dobrze pytanie. Zbyt szczere, by mogło być obraźliwe. Rzeczywista odpowiedź brzmi: „ponieważ muszę”, ale ta odpowiedź może być dla ciebie, Tomie, nie dość wyraźna. Wkrótce udzielę ci bardziej szczegółowych wyjaśnień, spodziewam się bowiem, że i ty zrobisz coś bardzo podobnego. Obiecuję ci.

Dowiesz się. Czy to wszystko?

Tom potaknął.

— Chodź tutaj, podaj mi rękę. Proszę.

Tom wstał, podszedł do czarodzieja, który zsunął się ze stołu i zbliżył do krańca sceny. Herbie Butter pochylił się, żeby ująć Toma za rękę, ale zamiast tego ścisnął go palcami za nadgarstek. Tom podniósł głowę do góry i spojrzał w białą, anonimową twarz. Nie było w niej nic z Colemana Collinsa.

— Dla twego dobra. — Palce zacisnęły się jeszcze bardziej. — Wszystko, co tu zobaczysz, a będziesz widział wiele dziwnych rzeczy, pochodzi z twego własnego umysłu, z wnętrza ciebie. Z reakcji pomiędzy moim umysłem a twoim. Nic z tego nie istnieje gdziekolwiek indziej. — Herbie Butter puścił rękę Toma. — Tak długo jak tu pozostaniesz, to będzie twoim światem. Światem, który sam pomożesz stworzyć. — Uśmiechnął się. — Jest to jedna z treści zawartych w Królu kotów.

Tak, pomyślał Tom.

— Poddaj się temu. Proszę cię, ponieważ jesteś jednym z nielicznych, którym jest to dostępne.

Tak, jestem wyjątkowy, pomyślał Tom. Czuł wyraźnie, że Del przygląda mu się badawczo.

— I tego lata jesteś zupełnie sam. Twoja matka wyjeżdża jutro do Anglii. Jej kuzynka Julia wychodzi za mąż... za adwokata, prawda? A po ślubie twoja matka zamierza odbyć podróż po Anglii. Zgadza się?

— Ale skąd...?

— A więc będzie to lato, kiedy Tom Flanagan dorosnie i kiedy zrzuci ciężar z twoich pleców. Jesteś niepospolitym chłopcem, Tomie. Przekonałeś mnie o tym wczorajszej nocy. ""

Toma zaniepokoiłby wyraz twarzy Dela, skupiony i ponury, ale patrzył w białą, bezpłciową twarz i wreszcie dostrzegł w niej Colemana Collinsa, krzepkiego Collinsa z ubiegłej nocy.

— Dziękuję — powiedział. x

190

ierzał krótkie, skuteczne ciosy. Wytatuowany łotrzyk "zniósł nagle wielką jak świąteczną szynka pięść i zakreślił nią „jynka. Górną połowę ciała nadał w wielkim wysiłku. Uderzenie pięścią wywołało prąd powietrza, który przygniósł królikowa uszy do czaszki i zmierzwił włosy Tomowi.

Nie tylko górna część ciała boksera nadała się. Jego bokerskie spodenki pękły z tyłu z trzaskiem, odsłaniając kalesony w kropki. Twarz oblał mu rumieniec tak czerwony jak żar stopu, pochylił się do przodu i rękami w rękawicach zakrył wystającą tylną część ciała. Zaczął dreptać wokół ringu z

policzkami płonącymi jak neony.

— Chyba nie ma wstydu — zauważył miłośnik boksu. —

Ale wyobrażam sobie...

Pewny siebie królik, który chwilowo zniknął, znów się pojawił, tym razem na rowerze. Ubrany był w surdut i cylinder, wyglądał jak kompletnie zwariowany, w ręku trzymał dyndający dzwonek. Rower balansował z boku na bok w takt dźwięków dzwonka. Na szyi miał wywieszkę z napisem: Sty-chen Tyme, krawiec szyjący na poczekaniu.

Tyme, pomyślał Tom. Zaraz, kto to...? Przypomniał sobie. Wielebny pan Tyme, wygadujący pompacyjne nonsensy na pogrzebie ojca. Kwiecień — rześki wietrzyk dmuchający piaskiem na groby, poruszający kwiatami. Przeszedł go zimny dreszcz. W głębi duszy czuł przerażenie. Nie mogła to być przypadkowa zbieżność nazwisk.

Pewny siebie królik pedałowal naokoło mężczyzny z tatuażem, wymachując wielką igłą. Od czasu do czasu unosił rękę, pstrykał palcami i skłaniał głowę, zupełnie tak samo, jak robił to wielebny Dawson Tyme. Tom już nie czuł oburzenia. Gdy królik oplatał łotryka nićmi, robiąc z niego kokon, parodiując równocześnie zachowanie się pastora. Kiwał głową, zaciskał szczęki, przybierał wyraz przyjaznej zażyłości, wyższości i namaszczenia — aż Tom czuł nieomal rozsiewany przez niego zapach mięty.

Po chwili wytatuowany Bluto (Ślimak?) był już niewidoczny jak omotana poczwarka. Królik zeskoczył z rowerka - zaczął go przerabiać, wyprostował tworząc słupek, siodełko podpierało otwartą książkę. Pulpit. Królik skłonił się, złożył łapki i odprawił milczące nabożeństwo nad leżącym ciałem. Gestykulował w śmieszny sposób. Tom odczuł ogromną ulgę, widząc tak wybornie sparodiowanego wielebnego Daw-sona Tyme'a.

— Okropny stary nudziarz, prawda? — odezwał się miłośnik boksu.

? Kraina Cieni

193

Karty na stojaku przed kontuarem wołały:

— Cześć! Jak ci leci? Witaj sąsiedzie! Niech cię Bóg błogosławi! Wracaj szybko do zdrowia! Udanej podróży! Nie przejmuj się! Bonjour! Szalom!

— Chodźcie zając miejsca, będzie mecz bokserski — za_ prosił chłopców uprzejmie stary aptekarz.

Kiedy podnieśli się z krzeseł, krzyczące karty i grające na trąbce przylepce, kaszlące słoiki i chrapiące buteleczki usunęły się do tyłu. Na środku sceny, otoczony linami ring bokserski zajęty był przez kartonową figurę tłustego mężczyzny, mającego porośnięte szczecinę szczęki i płaską, niesympatyczną twarz. Ze ścieżki dźwiękowej rozległy się gwizdy. Mężczyzna wykrzywił się z karykaturalną dzikością, uderzył w piersi i napiął wytatuowane bicepsy.

— Bluto — powiedział zachwycony Del, ale Tom zaprzeczył:

— Nie, ja myślę... — Nie mógł sobie przypomnieć, co pomyślał.

Zadźwięczał dzwonek z przynaglającą natarczywością i uprzejmy, stary farmaceuta, ubrany teraz w płaską, tweedową czapkę i pstrą marynarkę w kratkę, zawołał:

— Proszę prędzej zajmować miejsca! Rozpoczyna się pierwsza runda! — Wdrapali się na scenę i zasiedli w metalowych, turystycznych krzeselkach, ustawionych poza ringiem. — To nie byle jaka walka, uważajcie, ta kanalia dostanie za swoje — oznajmił miłośnik boksu. Miał monokl i wystające zęby, mówił ze śmiesznym, angielskim akcentem. — Nasz bohater już tu

gdzieś jest... ach, tak. Facet trochę się spóźnia.

Dobrze znany królik wskoczył na ring, uniósł łapki nad głowę i klaskał razem z wiwatującym tłumem. Tłusty mężczyzna rzucał groźne spojrzenia, splunął na rękawice i uderzył jedną o drugą. Królik, który był prawie tego wzrostu co jego przeciwnik, rzucił się na niego i otoczył łapkami korpulentną talię. Potem odsunął się o parę stóp, zebrał siły i doskoczył z taką energią, że zarówno on, jak i grubas wylecieli w powietrze. Tom wykręcał szyję, żeby ich widzieć, oni tymczasem unosili się coraz wyżej, wreszcie stali się tylko punkcikiem na niebie, a następnie zaczęli spadać. Wydawało się, że się roztrzaskają, ale nagle królik wydobył plisowany parasol i opuścił się łagodnie na deski. Grubas natomiast spadł i rozpląszczył się jak naleśnik. Po chwili wstał, wstrząsnął swą dwuwymiarową postacią i w przedziwny sposób obrósł w pulchne ciało. Ślinił się z wściekłości i dyszał zemstą. Królik krążył wokół niego tanecznym krokiem na swych dużych, tylnych łapach i wy-

192

To ten obraz — powiedział.

Collins uśmiechnął się.

Muzyka nabrała głębszych tonów, stała się odrobinę głośniejsza. Rozległy się rytmiczne dźwięki fortepianu. Mężczyźni orzy stole zaczęli zgodnie poruszać rękami, potem wstali i zatańczyli przed stołem śpiewając:

La ba la ba, la ba la ba! La ba la ba, la ba la ba!

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

Nic innego nie ma do jedzenia,

Wystarczy nam sama ryba.

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

Wczoraj wieczór był chleb i ryba, Dzisiaj mamy rybę i chleb. Jutro będzie zmiana dań I podadzą samą rybę.

Ach!

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

Saksofon tak samo łatwo wysunął się spod szaty uczującego, jak trąbka z kieszeni wojskowej kurtki królika. Brodaty mężczyzna zagrał solo, a inni wymachiwali rękami, podskakując i przytupując. Inny uczeń wydobył trąbkę i dmuchał w nią. Po chóralnym śpiewie wszyscy wykrzyknęli:

Ach!

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

(scena zaczęła się obracać)

195

— Tak, tak — potwierdził Tom. To właśnie potrafi zdziałać magia, magia, która istnieje wbrew wszystkim hipokrytom i nudziarzom, również wbrew zasadom dobrego wychowania Tom nigdy nie czuł się tak doskonale.

Królik zaczął znów potrząsać rowerem, stukał młotkiem zakrętki i sworznie wylatywały, sypały się iskry. Kiedy go' podniósł, okazało się, że trzyma strzelbę. Teraz zerwał z siebie surdut, przewrócił go na drugą stronę i okazało się, że to wojskowa kurtka. Z bocznej kieszeni wyskoczyła

trąbka i królik zagrał sygnał. Do ramienia przyłożyła mu się strzelba, którą królik wycelował ponad siodełkiem roweru i oddał salwę. Potem wepchnął strzelbę lufą do przodu, w podłogę, szarpnął mocno ku sobie i omotane ciało Bluto wpadło w otwór zapadni.

Przez chwilę królik tańczył, niezgrabnie potrząsając strzelbą, aż znów stała się rowerem. Wsiadł na swój pojazd i odjechał, szybko stając się maleńkim punkcikiem w sinej dali.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawiliście — powiedział Cole Collins.

Tom pełen zachwytu i radości odwrócił się w stronę miłośnika boksu, ale teraz był to znów czarodziej w swoim garniturze w prążki. Trochę zmęczony, jowialny, starszy wujaszek, który zaprosił bratanka i jego przyjaciela na wesołe przedstawienie.

— Widzę, że ci się podobało — rzekł Collins. Wyciągnął rękę i położył ją delikatnie na głowie Toma. — Cudowne dziecko. Toma opuściła radość, zeszywniał.

— Czy wiesz jaki dziś dzień?

Tom pokręcił głową, a czarodziej zdjął rękę.

— Niedziela. Byłoby zaniedbaniem, gdybyśmy nie włączyli do naszego przedstawienia paru akcentów religijnych. W nie dziele wypada być pobożnym.

Zaklaskał w ręce i jedno skrzydło dekoracji znajdującej się przed nimi zaczęło się przesuwac. Brzęcząca wesoło muzyka zmieniła się w bardziej spokojną, choć wciąż rytmiczną melodię. Tom zaczął wybijać takt nogą, a czarodziej pokiwał głową z aprobatą.

Dekoracja usunęła się całkowicie. Na jej miejscu ukazał się refektarz, w nim długi stół zastawiony kielichami do wina i talerzami. W oknie za stołem widoczny był zielony, włoski pejzaż, piękny zachód słońca. Trzynastu mężczyzn w długich szatach siedziało za stołem.

Del roześmiał się głośno. Potem i Tom rozpoznał tę scenę — jedenastu mężczyzn pochylających się i spoglądających na wysokiego mężczyznę z brodą, siedzącego w środku, jeden z uczestników wieczerzy patrzył gdzie indziej.

. f

194 ~ -

yń wilk. — To ta sama noc, ale innego roku — i zachichotał.

Tom był cały przemarznięty, kulił się.

Czy fruwałem?

przez pysk wilka odezwał się Collins:

— Jesteś mój. Nic, co należy do magii, nie będzie przed tobą zakryte, mój chłopcze. Bo nie jesteś niczyj, tylko mój.

Drzewa pozostały za nimi, wydawało się, że mkną w górę przez kompletne pustkowie. „Mamy rybę na kolację”. Wilk powiedział:

— Raz byłem tobą. Raz byłem Delem. — Odwrócił się i uśmiechnął do zmarzniętego chłopca zakutanego w futro. — Ja sam uczyłem się u wielkiego iluzjonisty. Ten wielki iluzjonista został moim partnerem i razem odbywaliśmy tournée po Europie, aż on uczynił rzecz nie do opisanania. Po tym jak uczynił tę rzecz nie do opisanania, nie mogliśmy dłużej pozostać razem. Staliśmy się śmiertelnymi wrogami. Przekazał mi jednak całą swoją wiedzę i ja już wtedy byłem wielkim czarodziejem. Powróciłem więc tutaj, do swego królestwa.

— Twoje królestwo — powiedział Tom.

Wilk nie zwrócił na niego uwagi.

— Nauczył mnie zwłaszcza jednej szczególnej rzeczy. Jak szkodzić i zadawać ból. To jego własne słowa. No i wreszcie

zaszkodziłem mu i zadałem ból. — Błysnęły mocne wilcze kły.

— Czy to ty doprowadziłeś do tej katastrofy kolejowej?

Wilk zaciął konia batem, nie wilk, ale mężczyzna z wilczą głową.

— Nikt inny, tylko ty będziesz znał swą przyszłość. Będziesz jak człowiek, który przynosi brylanty, a oni pytają, czy to smoła? Będziesz jak ten, który przynosi wino, a oni pytają, czy to piasek?—Długi pysk zwrócił się w stronę Toma.—Kiedy tak się stanie, chłopcze, wyrządź szkodę i zadaj ból.

Koń dobrnął do krańca wzniesienia i stanął. W mroźnym powietrzu buchała z niego para, zwiesił łeb. Tom zobaczył, jak z boków konia spływała piana.

— Spójrz w dół.

Tom spojrzał ponad parującym, spienionym koniem w białą dal. Teren opadał, pojawiały się zielone jodły. Na dnie doliny było zamrożone jezioro. Tam gdzie dolina kończyła się, daleko, na skalnym urwisku, przycupnęła Kraina Cieni jak wysadzany drogimi kamieniami domek dla lalek. W oknach domu paliły się światła.

— Załóżmy, że to jest świat. To jest świat. Może być twój.

197

Mamy rybę na kolację,

Najpierw pierwsze, potem drugie danie.

(ludzie i stół zniknęli z oczu)

Muzyka przestała grać. Patrzyli na płaską, czarną ścianę.

— Zwykle efekty pirotechniczne — oświadczył Collins. —

A teraz, czy chcielibyście przejść na trzeci poziom i popfruć?

— Och, tak! — zawołali obaj chłopcy równocześnie.

14

Potem wszystko rozwiało się jak dym, jak sen, i była noc jeszcze mroźniejsza niż poprzednia — a on, nagi, opatulony w futra, ślizgał się w saniach wraz z Colemanem Collinsem. Wokół szalała śnieżycą, przesłaniająca nawet głowę konia przed nimi. Zdażali traktem wiodącym pod górę, pomiędzy ciemnymi drzewami. Jechali na ślepo. Na tle wszystko ogarniającej bieli pojawiał się tylko chwilami szary kształt konia.

Czarodziej zwrócił twarz do Toma, który wzdrygnął się, dotykając metalowej krawędzi sań. Twarz była jakby tylko z samej kości, twarda i biała.

— Wziąłem cię na bok — słowa te wymówiła zjawa. —

Wszystko jest tak jak było, tylko my usunęliśmy się na chwilę na bok. Na prywatną rozmowę. — Twarz stała się zwierzęca, była pyskiem białego wilka. — Nie zabraniam ci niczego.

Niczego — powiedział okropny pysk. — Możesz wszędzie pójść, możesz otworzyć każde drzwi. Ale, ptaszku, pamiętaj, że musisz być przygotowany, ażeby zaakceptować wszystko, co tam znajdziesz. — Długie szczęki rozwarły się w uśmiechu, ukazując rzędy zębów.

Koń gnał jak szalony wśród porywistego wichru i śniegu.

— Która to noc?! — zawołał Tom.

— Ta sama. Wciąż ta sama. -

— Czy fruwałem? ***

Wilk roześmiał się.

„Możesz otworzyć każde drzwi”.

W górę, w jeszcze ciemniejszą noc i bardziej przenikający mróz. Koń zarzucał bokami, przebijając się przez śnieg.

— To ta sama noc, tylko w sześć miesięcy później — po-

Przypomniał sobie. W wielkim, zielonym pokoju Coleman I stojąc przed nim i przed Delem, mówił:

— Siadźcie na podłodze. Zamknijcie oczy. Liczcie razem ze „mą wstecz, począwszy od dziesięciu. Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem, sześć, pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Jesteście spokojni, całkowicie rozluźnieni. To, co tu robimy, jest fizjologicznie niemożliwe. Musimy więc przyuczyć ciało, ażeby zaakceptowało to niemożliwe, a wtedy stanie się ono możliwe.

— Nie potrafimy oddychać w wodzie. Nie potrafimy fruwać. Nie potrafimy, dopóki nie odnajdziemy tych tajemniczych mięśni, które nam to umożliwią.

— Rozłóżcie ręce, chłopcy. Rozłóżcie ramiona. Przeanalizujcie w myśli swoje ramiona. Zobaczcie te mięśnie, zobaczcie te kości. Myślcie o tych ramionach otwierających się, otwierających... myślcie, jak się rozkładają.

Tom przypomniał sobie... zobaczył to, co już widział. Jego mięśnie wybrzuszały się i rozszerzały, w jego umyśle budziło się coś nowego i szaleńczego.

— Kiedy powiem „raz”, macie wdychać powietrze, kiedy powiem „dwa”, wydechajcie, myśląc spokojnie o wzniesieniu się o cal lub dwa cale ponad podłogę. Raz.

Tom pamiętał, jak napełnił płuca powietrzem, jak nowe wrażenia rozpałały się w nim jaskrawożółtym światłem.

— Dwa.

Pośród wspomnień o teatrze rozkwitło inne wspomnienie: Laker Broome przesuwający się jak szalony między rzędami chłopców siedzących w kaplicy, dźgający paluchem, krzyczący. Toma przepełniła nienawiść i wypuścił całe powietrze z płuc. Wydało mu się, że drewniana podłoga pod nim zadrżała.

— Pozwól, niech twój umysł buja swobodnie — doszedł go mocny, spokojny głos.

Zobaczył siebie unoszącego się jak balon napełniony wodorem. Potem znów ujrzał Lakera Broome'a, który stał jak aktor przed wypełnionym dymem audytorium i wydawał bezsensowne rozkazy. Zobaczył wielebnego pana Tyme'a puszącego się na pogrzebie ojca i widział Dela lewitującego w ciemnej sypialni. Następnie ukazały się jego oczom najbardziej wstrząsające obrazy — czołgi i żołnierze, pokrwawione trupy i kobiety z głowami dzikich bestii, a wszystko to polakierowane i wiszące na suficie nad nim. Obrazy te napełniły go przerażeniem i odrazą, wydawało się, że wirują wokół postaci mężczyzny w przeciwdeszczowym płaszczu z paskiem i w kapeluszu z szerokim rondem. To ten mężczyzna zmusił je, żeby tańczyły...

199

wszystkie

Tom spojrział tam, gdzie stał jarzący się dom i TM ?

okien na górnym piętrze uUUmł ST^? %

r4x

dziewczyna w oknie. — Patrz dalej. Za drugim oknem mężczyźni oddawali

drzwi

przez moment. Jego

A teraz spojrzij — usłyszał polecenie W następnym jasnym oknie zobaczył pokój z zielonymi

ścianami. Wznoszący l
bies. go gŚISf
Tom począł spadać i spadał poprzez fitro
1K

'Wysiadaj — rozkazał czarodziej. — Podejdz bliżej.

Tom nie ruszył się, wtedy Collins złapał go poprzez okrycie łokieć, szarpnął i wyrzucił z sań w śnieg. Futro zsunęło się, ^ rform naciągnął je z powrotem na siebie. Wstał, pod piekący-• stopami chrzęściła twarda skorupa śniegu. _- Naprawdę jesteśmy tutaj? — spytał.

— Podejdz i spójrz na prawdę. — Collins ostatnie słowo wymówił z żartobliwym naciskiem.

Tom pokuśtykał w stronę płonącego budynku. Dom nie był od niego wyższy. Rozpoznał pokój Fitz-Hallana i pokój Thor-pe'a. Metalowe pręty zwały się w płomieniach. Słyszał, jak szyby trzaskały i szkło rozsypywało się po dziedzińcu. Czy było tam karłowate drzewko cytrynowe, usychające i szerniałe? Budynek zapadł się w siebie. Czy był to tylko obraz filmowy, wyświetlony ze znajdującej się gdzieś niedaleko kabiny projekcyjnej? Poczł ciepłõ ognia. Zaczł płakać.

— Co ci to mówi? — spytał Collins, a Tom odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

W futrzanej szubie wyglądał jak rosyjski bojar.

— Tego już za wiele — zdołał wydobyć z siebie Tom, wściekły, że płacze.

— Oczywiście. To wszakże należy do sprawy. Popatrz jeszcze raz.

Tom znowu zwrócił wzrok na płonący budynek szkoły.

— Co ci to mówi? Miej oczy otwarte, pozwól, niech do ciebie przemawia.

— Powiada... odejdz stąd.

— Doprawdy? — Czarodziej roześmiał się.

— Nie.

— Nie. Powiada: „Żyj, póki możesz. Bierz, co możesz, kiedy możesz”.

Tom zaczął drzeć. Nogi miał zmarznięte, twarz płonęła mu jak ogień. Wydawało się, że Coleman Collins czytał w nim jak w otwartej książce, a to, co przeczytał, cynicznie odrzucał. Jak każdy młody, Tom potrafił intuicyjnie wyczuwać stosunek innych ludzi wobec siebie i przez moment przyszło mu na myśl, że Coleman Collins nienawidził zarówno jego, jak i Dela. „Sekret polega na tym, żeby umieć nienawidzić”. Trząsł się tak gwałtownie, że okrycie spadłoby mu z ramion, gdyby nie przytrzymał go obiema rękoma.

— Proszę — powiedział, prosząc o coś, czego nie potrafił zamknąć w słowach.

— Jest noc. Musisz iść do łóżka.

— Proszę.

201

Ależ tak, pomyślał, to właśnie tak. I nagle, pozbawiony ciężaru, przekręcił się na plecy i nie dotykał już ziemi. W głowie miał pożar.

Potem inny obraz wtłoczył mu się do mózgu, jeszcze okropniejszy od poprzednich. Zobaczył audytorium pełne chłopców i nauczycieli oraz siebie i Dela na scenie występujących jako Flanagini i Noc. Unosił się w górze ponad wszystkimi, oczy go piekły, w głowie czuł ucisk. Miał wrażenie, jakby jego ciało pokłute było igłami. Patrzył oczami Szkieleta Ridpatha, a jego ciało było ciałem Ridpatha z okresu przed pożarem.

Spadł ciężko na drewnianą podłogę. Z nosa rzuciła mu się krew.

— Więc teraz widzisz — szepnął Collins.

— Wierzysz teraz, że mógłbyś oddychać pod wodą? — spytał Collins.

Toma bolało całe ciało, mróz przenikał go do szpiku kości.

— Sekret jest nienawiść — powiedział łagodnie Collins. — A raczej sekret polega na tym, żeby umieć nienawidzić.

Ty nosisz w sobie załóżek człowieka, który umie nienawidzić.

Tom owinął się szczelniej futrzanym płaszczem. Uszy tak mu zmarzły, iż bał się, że odpadną.

— Chcę ci jeszcze coś pokazać, mój młody przyjacielu.

— Ale ja wcale nie fruwałem — stwierdził Tom. — Unio

słem się jedynie... i przekoziółkowałem...

— Jeszcze jedno.

Uderzył w nich lodowaty wichur i oblicze Collinsa znów stało się wilcze. Woźnica uniósł bat, drugą ręką zebrał lejce, spuścił bat ze świstem na konia, który nieomal ugrzązł w śniegu. Kiedy bat wylądował na końskim grzbiecie, zwierzę zerwało się i pomknęło ze wzgórza jak pocisk armatni. Wilcza twarz obróciła się do Toma, szczerząc w uśmiechu kły. Tomowi śnieg zasypywał oczy, świat był odległy, za mgłą, jak ściany wielkiego teatru. Naciągnął na twarz futrzane okrycie, poczuł stęchłą i słaby aromat dzikich zwierząt. Wreszcie sanie zaczęły zwalniać.

Wjechali na równinę. W świetle księżycy rozciągała się rozległa płaszczyna śniegu jak pokój bez ścian. Na środku wznosił się wysoki, ogarnięty ogniem budynek.

Kiedy podjechali bliżej, Tom wlepił oczy w płonący dom. Wydawało się, że płomienie pożerają go, zmniejszał się. Podjechali na tyle blisko, że czuli byący żar.

— Poznajesz?

— Tak.

200

I tak jak powiedział do Dela pierwszej nocy, czyż sam zakaz jkie otwierania tych drzwi, nie był utajoną zachętą, aby za nie zajrzeć?

Zrobię to. — Zdał sobie sprawę, że mówi głośno.

Zanim zdążył wyperswadować sobie chęć nieposłuszeństwa, przeszedł przez hol i położył rękę na klamce. Poczuł chłód mosiądzu. Pomyślał o tej trzeciej rzeczy, którą pokazał mu Collins tam, w tych lodowatych saniach — pokazał mu chłopca otwierającego drzwi, otoczonego poetycznym blaskiem.

Twoje skrzydła, czy twoja pieśń?

Popchnął i otworzył zakazane drzwi.

16

Bracia

— Spójrz, Jakob — powiedział mężczyzna siedzący przy biurku.

Uśmiechnął się do Toma, a mężczyzna siedzący przy drugim biurku uniósł głowę znad leżących przed nim papierów i obdarzył go podobnym żartobliwym, życzliwym uśmiechem.

— Widzisz? Gość. Młody gość. — Mówił z niemieckim akcentem.

— Mam oczy i widzę — odpowiedział zagadnięty.

Obaj byli w średnim wieku, gładko ogoleni. Staromodne okulary, tak samo jak ubiór, łagodziły ich stanowcze, zacięte rysy twarzy i nadawały im wygląd ludzi wykształconych. Siedzieli przy biurkach w kręgu światła rzucanego przez świece. Za nimi majaczyły półki z książkami.

— Powinniśmy zaprosić go, żeby wszedł? — spytał drugi mężczyzna.

— Myślę, że należy. Zechcesz wejść, chłopcze? Proszę wejść. Śmiało, dziecko. Tędy. Mimo wszystko pracujemy dla

ciebie tak samo, jak dla każdego innego.

— Nasza publiczność, Wilhelmie — zauważył drugi mąż czyzna i rozpromienił się.

Był bardziej krępy, o szerszej klatce piersiowej niż mężczyzna z miłą twarzą. Wstał i postąpił naprzód, a Tom spostrzegł, że buty miał zabłocone, pachniał dymem cygar.

— Proszę, usiądź. Tam będzie dobrze. — Wskazał stylową kanapkę po prawej stronie biurka.

Kiedy Tom posuwał się w słabo oświetlonym pokoju, do-
203

li:

— To też jest twoje królestwo, moje dziecko. W takim stopniu, w jakim uczynię je twoim. I w takim stopniu, w jakim będziesz zdolny przyjąć to, co tam znajdziesz.

— Proszę... zabierz mnie z powrotem.

— Sam znajdź drogę, ptaszku.

Collins świsnął biczem i koń pomknął do przodu. Czarodziej nawet nie obejrzał się. Tom nie zdołał uchwycić się za tylne oparcie sań i upadł. Mróz kąsał go w uda i lizał piersi. Podniósł głowę, żeby odszukać ogień, ale już wygasł. Sanki Collinsa zniknęły pomiędzy jodłami. Tom podciągnął kolana i wstał niezgrabnie, cały czas przytrzymując okrycie. Z drugiej strony równiny nadciągał wiatr, widać było, jak podnosił kłęby śnieżnej kurzawy i kręcił nimi. Wichura gnała prosto na niego, odwrócił się, żeby uderzyła go w plecy, przed oczyma zamigotały mu zielone płatki i podmuch wiatru zwałił go z nóg...

...i złożył go na falach zielonego powietrza, poprzez które spadał nie spadając, wirował nie poruszając się. Wyrzucił ramiona i natrafił na wyścielaną poręcz krzesła. •?

15

Był z powrotem w Le Grand Theatre des Illusions. Jedna lampa oświecała go z góry, ukazując porozrzucane wokół ubranie. Tom wciągnął spodnie i wsunął nogi w buty, zwinął skarpetki i bieliznę i wpakował do kieszeni. Potem włożył koszulę. Wszystko to zrobił mechanicznie, tępo, z odrętwiałym umysłem. Spojrzał na zegarek. Wskazywał dziewiątą. Minęło dziewięć lub dziesięć godzin od chwili, gdy Coleman Collins wystrychnął go na dudka.

Poszedł mrocznym holem. Co przez ten czas robił Del? Myśl o nim ożywiła Toma, chciał zobaczyć przyjaciela i pomówić o tym, co mu się przytrafiło. Tego ranka był nieomal szczęśliwy, że znajduje się w Krainie Cieni, teraz czuł się tu zagrożony. Wreszcie ciepło zaczęło powracać do jego przemarzniętych pleców.

Tom doszedł do tej części holu, gdzie, tuż przed zakrętem prowadzącym do starszej części domu, znajdował się krótki korytarzyk, a w nim zakazane drzwi. Stanął na połączeniu obu korytarzy i patrzył na drzwi umocnione poprzecznymi belkami. Przypomniał sobie słowa Collinsa: „To również jest twoje królestwo, moje dziecko”. Pomyślał — a więc dobrze, zobaczymy najgorsze.
202

A więc widzisz. Szybko się uczysz, chłopcze. — Jakob odłożył długopis, którym się bawił. — Sen Wilhelma... Czy «wiesz, że kiedy Wilhelm umierał, mówił spokojnie i pogodnie o swoim życiu?»

— Widzisz, nasze skarby mamy blisko serca, a one odwdzięczają się nam stokrotnie — oznajmił Wilhelm. — One stały się nam ojczyzną. Gdyby nasz ojciec nie zmarł tak młodo, gdyby nasze dzieciństwo miało normalny przebieg, być może

nigdy nie dowiedzielibyśmy się, co to znaczy żyć w tym kraju.

— Czy słyszysz, co do ciebie mówimy, chłopcze? — zapytał Jakob. — Rozumiesz, co powiedział Wilhelm?

— Chyba tak — odparł Tom.

— Te bajki, nasze skarby, są również i dla dzieci. Ale...

Tom skinął głową, rozumiał.

— Żadne dziecko nie może ich w pełni zaakceptować — powiedział Wilhelm.

— My oddaliśmy skrzydła — wtrącił Jakob — bo nasze śpiewanie jest naszym życiem. Ale jeśli chodzi o ciebie... Obaj spojrzeli na Toma pobłażliwie.

— Nie odrzucaj pochopnie żadnego z posiadanych darów — ostrzegł Jakob. — Gdy jednak ktoś zostanie wezwany...

— Musi odpowiedzieć. Wszyscy musimy dać odpowiedź — stwierdził Wilhelm. — Och, mój Boże, co też my opowiada my temu chłopcu? Już późno. Zechcesz, bracie, odłożyć pracę do jutra? Najwyższa pora, żebyśmy wrócili do naszych żon.

Zwrócili na Toma swe wielkie, brązowe oczy, najwyraźniej oczekując, żeby sobie poszedł.

— Ale co dzieje się później? — spytał Tom, jakby wierzył, że są tym, czym się wydają i że mogą mu to objaśnić.

— Wszystkie baśnie ujawniają jakąś prawdę — oznajmił Jakob. — Ale docierają do niej wieloma krętymi drogami. Nie zaprzepaść tego skarbu, dziecko. To nasza najlepsza rada. Teraz musimy odejść.

Tom wstał z kanapki, czuł wewnętrzny zamęt — to wszystko, co tu wydarzyło się, ma skończyć się takim nagłym rozstaniem?

— Dokąd idziecie? A w ogóle, gdzie my jesteśmy?

Wilhelm roześmiał się.

— W Krainie Cieni, mój chłopcze. Kraina Cieni jest dla nas wszystkim i wszystkim może stać się dla ciebie. W Krainie Cieni Pędzimy swoje pracowite życie. A ty może znajdujesz się w lesie, w baśniowym lesie...

— Albo okryty futrem w saniach, w głębokim śniegu...

205

BU

zp az 'fnzo zBMaiuod 'UIOJ, {Btzpamodpo — yęe?

iBpMBjd 'BpojiCzjd jsaf feuojaq Bzsdajfetf o% t BZOIS qoru M jsaf aiupauwodpo fes # { Bjp ani 'BJfoatzp oSapzBJ{ Bip fes atu i3{fBq aj, Biuaiumpz aiqad o^q araaazBjazjd oj ajB 'yCuoazBjaó!

sfajcjf M 5[Bf aiiądnz —płBili faj Aąjd zazjd oa

-Bisnj\ —/CjBiuaiuiBjfs i[Bf esftBpi pazad uiajB^s

' o uiajBiui uas ^UMizp is[B.f 'zsBłaitUBd y [B

i^aiajałUBd XUBI3[ZS oSani z a^ 'auoiuaójBU azłfBfajB 'aupdją ojaidod injzof^ ?,

Jłnj M pq BU Bjzsod BJfjoais Bupaiq aof8q faujoAiJ^ az 'zsaiM yfzo aMt^azozs ais feCnzEJfo

ijfj^Cuiod łAMBfij ą 5{Bf dis afnus ap^z aszBu i oq o^ oaizpapwod ousef oj — ^ojfBf

fBtzpapwodpo — t3ffHq auibS BU npajSzM a

zapazjd

jBizpapwod

BU u

'uiaraauwBqzoz z uiox |Bł^d

pq ^nj iCvi oo ?qoju op ats t^zofefAj
az 'atusopBJ i aiuupwaiu j[Bj §IS nBiuisazoj juziCzozaiu t urox lJBdpo — aisuas tzi^uMd
A iCzQ BJBjq Daiui zoazj BjBiuBdSM -od — XuotqnSBz atujadnz ais
aiuBM o; aiqos AV ^uiBffMzozj apXz ajBO BMPapaizp po znf
-Bf jitufBuzo — aiAvjsjauofD5faiO3f M ais yfuiaftiqn[feqo oSaj op ais jCuiafriMosofsop jn^^
po i izpojui oXq ./CUIBUI az 'SBU po 5is afnsfazoo zi 'Ctusij "O<JS 69aIzP3TMocI aT°los ° 3fBł
azoui nn Bp/Cz ośazssu i3 Ro^zs^aiMpeu z Bupaf ox — uiauiiaqxjww XUBMZBU -zau
jizpjaiMłod — oXq XUIBUI miA.JO^ 'TUIA yfuisajsaf —
aodBUBJi fapfjanu BU ipBisn i jBizpapwod ~_ apBiu iułyCjphii 'TUIA apsajsaf
apsalsaf uip{ 'utat^ —
?foBIUO.np ZSOI3[ifUB{3(ZS ' '
^UJBJ M iuiXuotMBjdo
BU CIOSAM 5{Bjd ^UBtJo
siun3[Bf i tuiBZBjqo i auzof faiuzBA
AßIM3

^

on przerażał. Sam w tym korytarzu bał się bardziej niż wtedy w zimnych saniach. Collins był bardziej apodyktyczny aniżeli dwunastu panów Thorpe'ów. Wyraz jego oczu niemal przygwoździł Toma do ściany.

Czyż nie tak powiedziałeś? Czy nie tego chciałeś?

Collins zrobił wydech i ściągnął usta. Wreszcie odezwał się:

— Arogancki karzełek. Czy ty naprawdę myślisz, że wiesz, czego ja chcę?

Tomowi zupełnie zeszywniał język. Collins podniósł głowę i oparł się o ścianę. Toma doleciał wyraźny zapach alkoholu.

— W ciągu dwóch dni dwukrotnie mnie zdradziłeś. Nie zapomnę tego.

— Ale ja myślałem...

Czarodziej poderwał się do przodu, Tom szybko uskoczył, bo bał się, że Collins go uderzy.

— Myślałeś! Dwa razy byłeś mi nieposłuszny. Takie jest moje zdanie. — Świdrował Toma wzrokiem. — Może następnym razem wejdiesz do mego pokoju? Przeszukasz moje biurko? Sądzę, że potrzebujesz czegoś więcej niż tylko śmiesznych rysunków i zabawy, mój chłopczyku.

— Ale przecież powiedziałeś mi, że mogę...

— Powiedziałem ci, że nie możesz!

Tom przełknął ślinę.

— A więc nie chciałeś, abym ich zobaczył?

— Zobaczył kogo, zdrajco?

— Tych dwu, tam. Jakoba i Wilhelma.

— Ten pokój jest pusty. Chwilowo. Idź, gdzie zamierzałeś, chłopcze. Ja chciałem pójść i powiedzieć twemu przyjacielowi słowo przestrogi. Możesz zrobić to za mnie. Zmykaj. Już cię nie ma!

— Przestrzec go? Przed czym?

— Będzie wiedział. Słyszałeś, co powiedziałem. Idź już. — Odsunął się na bok, więc Tom przemknął obok. — Jeszcze się

z tobą pobawię — powiedział czarodziej za jego plecami.

Tom szybko jak tylko mógł, ale starał się czynić to naturalnie, podążył na schody. Oblany był potem, czuł, że nawet nogi ma wilgotne. Słyszał, jak Collins, kuśtykając, oddala się przez stronę teatrów.

Następna chwila przyniosła znów coś zdumiewającego.

Gdy spojrział w górę schodów, zobaczył u ich szczytu starą kobietę o pomarszczonej twarzy, w czarnej sukni. Patrzyła na mego z przerażeniem, potem gwałtownie uniosła ręce i zaczęła uciekać.

— Hej! — zawołał Tom.

207

— Albo może umierasz z miłości do śpiącej królowny...

— Albo siedzisz przed dogasającym ogniskiem i w głowie kłębią ci się różne obrazy...

— Zawsze jednak znajdujesz się w Krainie Cieni.

Obaj bracia, śmiejąc się, pogasili świece na swych biurkach.

— Mam jeszcze jedno pytanie — rzucił Tom w ciemność.

— Szukaj odpowiedzi w bajkach — zabrzmiał oddalający się głos.

Coś zaszemrało, potem zapadła cisza. Tom zrozumiał, że odeszli.

— Nigdy nie dają tych samych odpowiedzi — powiedział głośno, choć w pokoju nie było nikogo.

Poszukał po omacku drogi do drzwi.

17

Kiedy skręcił do głównego korytarza, przed sobą, w mroku ujrzał Colemana Collinsa zagradzającego drogę. Tom poczuł nagły, nieopanowany strach, złamał bowiem jeden z zakazów i czarodziej o tym wiedział. Musiał przecież widzieć go, jak wychodził z małego korytarzyka. Z postawy Collinsa trudno było cokolwiek wywnioskować. Twarzy jego nie mógł dostrzec, gdyż była ukryta w cieniu. Czarodziej trzymał ręce w kieszeniach, ramiona miał przygarbione. Jego ciemna postać wydawała się bez wyrazu, tylko parę guzików na kamizelce świeciło niczym oczy tygrysa.

— Wszedłem do tamtego pokoju — oznajmił Tom.

Collins kiwnął głową. Wciąż był przygarbiony i ręce trzymał w kieszeniach.

— Wiedziałeś, że to zrobię.

Collins znów przytaknął.

Tom podszedł bliżej ściany, lecz Collins celowo tarasował mu drogę.

— Wiedziałeś, że to zrobię i chciałeś tego. — Śmiało przybliżył się, Collins jednak nie poruszył się. — Potrafię zaakceptować to, co widziałem — oświadczył Tom; w jego głosie brzmiała nuta zarówno obawy, jak i uporu. *»

Collins opuścił głowę, posunął po dywanie jedną nogę w stronę Toma. Teraz Tom mógł dojrzeć jego twarz — była zamyślona, nieobecna. Czarodziej poruszył głowę i zimny wzrok wbił prosto w oczy Toma. Może było w tym tylko aktorstwo. Tom nie umiał powiedzieć. Wiedział tylko, że Collins

206 *

główki oraz rebusy, które zawierała, wydawały się Tomowi niemal obce. Nie mógł przypomnieć sobie nic z tego, co czytał ubiegłego wieczoru. Rozsuwane drzwi pomiędzy jego pokojem i pokojem Dela były zamknięte.

Podszedł do nich i delikatnie zapukał. Nie było odpowiedzi. Gdzie był Del? Prawdopodobnie przedsięwziął wyprawę badawczą, naśladując wczorajsze poczynania Toma. Zapewne tego miała dotyczyć „przestroga” Collinsa. Tom westchnął. Po raz pierwszy od chwili, gdy wsiadł z Delem do pociągu, pomyślał o Jenny Oliver i Dianę Darling, dziewczętach z sąsiedniej szkoły; miał ochotę

pogawędzić z nimi. Tak dawno nie rozmawiał z żadną dziewczyną. Przypomniał sobie dziewczynę w oknie, którą pokazał mu czarodziej.

Jego pokój wydał mu się pusty i nieprzyjemny. Czystość, proste meble i surowe barwy pogłębiły uczucie samotności. Nie znośił pozostawać samotnie w tym pokoju, teraz to rozumiał, nie miał jednak dokąd pójść. Zateśnił do Arizony i do matki. Przez moment poczuł się całkowicie opuszczony. Usiadł na twardym łóżku i pomyślał, że znajduje się w więzieniu. Całe Vermont było więzieniem.

Tom wstał i zaczął spacerować po pokoju. Ruch sprawił, że poczuł się lepiej. W pewnej chwili, w szczególności, dojrzały, charakterystyczny dla młodego Toma sposób, równocześnie ocenił sytuację i powziął decyzję. Kraina Cieni, jak się zorientował, stanowiła próbę cięższą i ważniejszą niż każda inna, jakiej poddany był w Carson. Nie mógł pozwolić, żeby Kraina Cieni pokonała go. Wykorzysta dewizę Collinsa przeciwko niemu samemu, jeśli będzie musiał, i odkryje, jak robi się to, co niemożliwe.

Kiwnął głową, szykował się do walki. Już nie chciało mu się płakać jak przed chwilą. Wtedy usłyszał jakieś dźwięki dochodzące spoza zasuniętych drzwi. Zabłysło tam światło, rozległ się przyduszony śmiech, jakby ktoś zasłonił usta ręką. Tom ponownie zapukał.

Znów usłyszał jakiś głos, nieco wyraźniejszy.

— Del... jesteś tam?

— Na miłość boską, bądź cicho — doszedł szept Dela.

— Co się dzieje?

— Nic nie mów, zaraz przyjdę.

Po chwili lewa połowa drzwi odsunęła się nieco i Del spojrzał na niego wilkiem.

— Gdzie byłeś przez cały dzień? — zapytał.

— Muszę z tobą pomówić. Zrobił tak, że myślałem, iż jest zima...

209

Pobiegł za nią. Umykała jak oszalała wiewiórka. Kiedy pokonał schody i minął obie sypialnie, zobaczył, jak na końcu holu za zakrętem niknie rąbek jej czarnej sukni. Przez okno widać było płonące daleko w lesie światła i ich odbicie w ciemnej tafli jeziora. Dotarł do końca holu i zdał sobie sprawę, że nigdy dotychczas tu nie był. Staruszka otworzyła zewnętrzne drzwi, Tom nie wiedział że tam były, i zaczęła zstępować krętymi schodami prowadzącymi na wewnętrzny dziedziniec. Tom dobiegł do drzwi, nim się zamknęły i szybko położył rękę na ramieniu starej kobiety.

Zatrzymała się gwałtownie jak przestraszony zając. Potem spojrzała na niego. Jej stara twarz miała wyraz pełen napięcia i skupienia, nad górną wargą wyrastało parę siwych włosków, oczy miała brązowe, prawie czarne, a brwi gęste, zadziwiająco ciemne. Od razu pojął dwie rzeczy — była cudzoziemką i ogromnie zawstydzoną, że ją zobaczył.

— Przepraszam — powiedział.

Wyszarpnęła ramię spod jego ręki.

— Chciałem tylko z panią porozmawiać.

Potrząsnęła głową. Oczy jej były jak płaskie zimne kamienie osadzone w głębokich zmarszczkach.

— Czy pani tu pracuje?

Trwała w bezruchu, czekając, aż pozwoli jej odejść.

— Dlaczego kryje się pani przed nami? — Milczała uparcie. — Zna pani Dela? — Dostrzegł błysk zrozumienia na dźwięk wypowiedzianego imienia. — Co się tu dzieje? Chcę zapytać, jak tu to wszystko funkcjonuje? Dlaczego ukrywa się przed nami, że pani jest tutaj? Zajmuje się pani gotowaniem? Ściele nam łóżka?.

Żadnego znaku, tylko zniecierpliwienie, żeby go się pozbyć. Udawał, że rozbija jajka na patelnię i

robi jajecznicę. Skinęła głową. Zapytał:

— Mówi pani po angielsku?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Obrzuciła go smutnym spojrzeniem, odwróciła się gwałtownie i zbiegła ze schodów.

Tom pozostał jeszcze przez pewien czas na balkoniku. U stóp rozległego wzgórza opasanego lasami rozlewało się jezioro połyskujące tajemniczo. Tom usiłował odszukać miejsce, dokąd Coleman Collins zabrał go saniami, nigdzie jednak nie wypatrzył tak wysokiego szczytu. Czyżby rzeczywiście to wszystko miało miejsce jedynie w jego głowie? Usłyszał gdzieś daleko w lesie krzyk mężczyzny.

Jego pokój przygotowany był na noc. Łóżko posłane, nocna lampka świeciła nad książką Rexa Stouta. I książka, i łami-

208

Gęsiarka

Już sam jej widok wstrząsnął mną — zrozumiałem od razu, co Del miał na myśli, gdy mówił, że wygląda jak „zraniona”. Nie można było tego nie zauważyć. Ta twarz wyglądała tak, jakby spadły na nią tysiące zniewag, lecz po każdej z nich odżywała na nowo. Absolutnie nie mogłem uwierzyć, że Del każdego lata widywał tę zdumiewającą dziewczynę. I kiedy tak siedziała na łóżku Dela z podciągniętymi kolanami, wiedziałem, wiedziałem, wiedziałem, że moje stosunki z Delem uległy zmianie.

Miami Beach, 1975

Zanim jednak będziemy mogli spojrzeć na Różę Armstrong oczyma Toma Flanagana i spędzić wraz z trojgiem tych młodych ludzi ich ostatnie niezwykle miesiące w Krainie Cieni, muszę uczynić pewną dygresję. Aż do tego miejsca, w opowieści tej ukazywały się dwa duchy —jednym oczywiście jest Róża Armstrong, która w czarnym kostiumie kąpielowym i chłopięcej koszuli usiadła właśnie na dwuznacznie wygniecionym łóżku Dela, co ogromnie poruszyło Toma Flanagana. Drugi duch jest mniej znaczący i zapewne czytelnik do tej pory o nim zapomniał. Mam na myśli Marcusa Reilly'ego, który w pierwszej części tego opowiadania był wzmiankowany około pół tuzina razy. Może zresztą Marcus Reilly jest „duchem”, który dręczy tylko mnie. Jednak samobójstwo, zwłaszcza popełnione w młodym wieku, sprawia, że jego ofiara zapada głęboko w pamięci. Prawdą jest również, iż kiedy po raz ostatni widziałem Marcusa Reilly'ego, parę miesięcy przed jego samo-

211

— Obszar halucynacji — oświadczył Del. — Cały czas by} z tobą, a ja musiałem sam się tu obyć...

— I pamiętam, że fruwałem. — Oczekiwał, że Del mu zaprzeczy.

— No dobra — powiedział Del. — Przeżyłeś coś fajnego. Cieszę się.

— I spotkałem starą kobietę. Nie mówi po angielsku. Musiałem siłą pochwycić ją, żeby przestała uciekać. A twój wujek...

Głos uwiązał mu w gardle. W części pokoju Dela, która była dla niego widoczna, pojawiła się dziewczyna. Na czarnym kostiumie kąpielowym miała narzuconą koszulę Dela, włosy mokre, a oczy szare.

Del obejrzał się, a potem poirytowany znów zwrócił się do Toma:

— No więc zobaczyłeś ją. Po obiedzie pływała w jeziorze i poprosiłem, żeby przyszła do mnie na górę. Chyba teraz możesz już wejść.

Dziewczyna cofnęła się w stronę troszkę pogniecionego łóżka, szła na bosych stopach krokiem tanecznym jak faun. Tom nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Nie potrafiłby powiedzieć, czy

ona jest piękna, tak samo jak nie mógłby stwierdzić, czy na księżycu są skały czy pył. W każdym razie była zupełnie inna niż znajome dziewczyny w Phipps-Burn-wood. Nie mógł przestać na nią patrzeć. Dziewczyna opuściła oczy na swe gołe, opalone nogi, potem podniosła je na Toma. Otuliła się szczerzej koszulą Dela.

— Domyśliłeś się już na pewno, to jest Róża Armstrong — powiedział Del.

Dziewczyna usiadła na łóżku.

:— Nazywam się Tom Armstrong. O, Jezu, chciałem powiedzieć Flanagan.

Kiedy porobiłem już wystarczające notatki do artykułu, włem tymczasowo całą sprawę i postanowiłem odszukać hbv'ego Hollingswortha. Nie widziałem go co najmniej sieć lat. Mieszkał w Miami, o czym dowiedziałem się zetki alumnów, i posiadał przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne.

Kiedyś na lotnisku w Atlancie, w męskiej toalecie,

oirzałem w dół do miski i ujrzałem tam napis: PORCELANA SfjOLLINGSWORTH. Ciekaw byłem, co teraz u niego. Kiedy adzwoniłem, zaraz zaprosił mnie do siebie.

Mieszkał w wielkiej rezydencji w stylu hiszpańskim zwróco-nej frontem do Indian Creek, po przeciwnej stronie stał rząd hoteli. Na przystani przycumowana była łódź o długości czterdziestu stóp.

To jest dopiero miejscowość! — powiedział Bobby podczas obiadu. — Masz tu najlepszą pogodę na świecie, masz wodę i masz możliwość robienia świetnych interesów. Jak Boga kocham, to raj na ziemi. Nie wróciłbym do Arizony za żadne pieniądze. A jeśli chodzi o mieszkanie na północy... o, nie. — Potrząsnął głową.

Bobby w wieku trzydziestu dwóch lat był gruby i nalany jak gąbka. Brylant wielkości orzecha błyszczał na jego pulchnym niczym parówka paluchu. Wciąż na ustach miał ten swój uśmiech, który naprawdę nie był uśmiechem, lecz tylko wrodzonym skrzywieniem ust. Ubrany był w żółtą, welwetową koszulę i odpowiednio dobrane szorty. Cieszył się swoim bogactwem, a jego radość sprawiała mi przyjemność. Domyśliłem się, że to rodzina żony umożliwiła mu start w interesach i że raczej zadziwił ich swoim sukcesem. Monika, jego żona, rzadko zabierała głos w czasie posiłku, ale co parę minut zrywała się od stołu, żeby dopilnować kucharkę.

— Traktuj mnie jak króla — powiedział Bobby, gdy za którymś razem Monika odeszła do kuchni. — Mam królewskie życie. Dla niej cały świat to ta łódź, którą podarowałem jej w zeszłym roku na Boże Narodzenie. Piszcziała z radości jak mały szczeniaczek. Czy ja znam się na łodziach? Ale ona jest szczęśliwa. Słuchaj, jeśli grasz w golfa, moglibyśmy pójść jutro do klubu. Mam dodatkowy komplet kijów.

— Przykro mi, ale nie gram — oznajmiłem.

— Nie grasz w golfa? — Bobby'ego zamurowało ze zdumienia- Tak całkowicie włączył mnie do swego świata, iż zapomniał, że nie jestem tu stałym rezydentem. — O, do diabła, no, to może wyjedziemy łodzią? Pokręcimy się trochę, wypijemy parę szklaneczek? Monika byłaby zachwycona.

Powiedziałem, że to by mi odpowiadało.

213

bójstwem, powiedział mi pewne rzeczy, które, wydało mi s-później, miały związek z historią Dela Nightingale'a i Tom^ Flanagan. Być może jest to tylko z mojej strony usprawi/ dliwanie się.

Na początku tej opowieści wspomniałem, że Reilly bvj najbardziej wprawiającym w zakłopotanie

wykolejeńceji w mojej klasie. Będąc w Carson, odniósł wielki sukces, chociaż nie jako uczeń, ale doskonały sportowiec. Jego najbliższymi przyjaciółmi byli Pete Bayliss, Chip Hogan i Bobby Hollingsworth. Marcus, kędzierzawy blondyn nadzwyczaj podobny do młodego Arnolda Palmera * był inteligentnym chłopcem, choć trochę powierzchownym. Jego cechą charakterystyczną było to, że brał wszystko jak leci. Rodziców miał bogatych, ich dom był obszerniejszy i bardziej luksusowy niż siedziba Hillmanów. Mógł uchodzić za model ucznia z Carson, który pomimo że nigdy nie zostanie nauczycielem, zawsze będzie nosił na sobie piętno osobowości Fitz-Hallana.

Po naszej osobliwej, kulejącej maturze Reilly poszedł do jakiejś prywatnej uczelni na południowym wschodzie. Nie pamiętam, do której. Pamiętam natomiast, że był zadowolony, iż znalazł miejsce, gdzie opalenizna i życie towarzyskie były ważne w równej mierze jak oceny. Później zapisał się do szkoły prawniczej w tym samym stanie. Dyplom otrzymał z dobrym wynikiem i Chip Hogan powiedział mi w 1971 roku, że Reilly podjął pracę w biurze prawniczym w Miami. Poczuję się w pewnym sensie zadowolony. Było to uczucie nieomal estetyczne, którego doznaje się, gdy spełniają się oczekiwania. Wydawało się, że to doskonałe miejsce i doskonałe zajęcie dla niego.

Cztery lata później jedno z nowojorskich czasopism zleciło mi napisanie artykułu o pewnym sławnym ekspatriowanym pisarzu zimującym na Miami Beach. Sławny pisarz, z którym spędziłem dwa nudne dni, był zarozumiałą piłą. Wychodził ze swego hotelu na zalaną słońcem Collins Avenue we flanelowym garniturze, filcowym kapeluszu i z parasolem w ręce. Świadomie poświęcił dwa miesiące swego życia Miami Beach, ażeby rozplłomić swą pogardę dla wszystkiego co amerykańskie. Udawał, że nie zna się na amerykańskim systemie monetarnym. **

— Czy to naprawdę nazywa się ćwiartka? Boże mój, jakież to prozaiczne!

* Arnold Palmer—słynny amerykański gracz w golfa (przyp. tłum.).

212

esiątej Trzeciej Ulicy. Wiesz co? Spotkajmy się przed hote-lera, dobra? O dwunastej?

Zatelefonowałem do Bobby'ego Hollingswortha, żeby powiedzieć mu, iż nie będę mógł popłynąć łodzią.

— W porządku. Przyjdź innym razem, to wybierzemy się dziewczętami, które znam. Jesteśmy umówieni?

— Naturalnie — potwierdziłem.

Wyobrażałem go sobie, jak rozpiera się na pokładowym krześle, opierając szklaneczkę z drinkiem na przyodzianym w żółty welwet brzuchu i informując ładną dziwkę, że gdziekolwiek na południowym wschodzie ktoś siusia, może przeczytać jego nazwisko, patrząc na miskę klozetową.

Wokół Collins Avenue, gdzie mieszkał Marcus Reilly, nie można było dostrzec żadnej wspaniałości. Starzy mężczyźni w płóciennych kapeluszach i szerokich spodniach zebranych poniżej wystających brzuchów, stare kobiety w workowatych sukniach i słonecznych okularach roili się na chodnikach przed osłoniętymi markizami, małymi sklepikami. Magazyny z niechodliwymi towarami, bary, sklepy z przeceną, gdzie wszystko było pokryte przynajmniej calową warstwą kurzu. U wejścia do hotelu „Wentworth” wymalowane było na żółtym tynku motto: Życie tu to rozkosz. Rodzaj przedśionka wysunięty był na chodnik i tam znajdowała się recepcja.

O dwunastej piętnaście pojawił się Marcus i szybkim krokiem minął rzędy staruchów siedzących na krzesłach z aluminium i plastiku, jakby obawiał się, że ktoś może go zatrzymać.

— Wspaniale, że cię widzę, ogromnie się cieszę — potarzał, potrząsając moją ręką. Już nie przypominał młodego Arnolda Palmera. Policzki miał wydęte, a oczy wydawały się węższe. Wilgoć nasycająca powietrze sprawiała, iż włosy skrecały mu się w loki. Jego ubranie, tak samo jak garnitur

ekspatriowanego literata, było o wiele za ciepłe na ten klimat. Marcus pstrykał palcami, składał dłonie i rozglądał się po ulicy. Czułem w nim furię, tak jak czasami wyczuwa się ją u psa. — No i proszę! Ile to już lat? Piętnaście?

— Coś koło tego — powiedziałem.

— A więc ruszajmy, chłopie. Trzeba to i owo obejrzeć.

Dawno tu jesteś?

— Dopiero parę dni.

Marcus odsunął się ode mnie i zaczął iść spiesznie ulicą.

— Wielka szkoda. Gdzie się zatrzymałeś?

Wymieniłem nazwę swego hotelu.

— Dom noclegowy, nic szczególnego. Wierz mi.

Przeszliśmy za róg ulicy i Marcus otworzył drzwi zielonego

215

— Wspaniale, stary. Wiesz, to właśnie o to chodziło w tej naszej szkole, prawda?

— Co masz na myśli, Bobby?

Jego żona wróciła do stołu i Bobby odezwał się do niej:

— Jedzie z nami jutro łodzią. Wyrzucimy parę sznurków za burtę i złapiemy sobie obiad, co?

Monika uśmiechnęła się blado.

— Oczywiście. Będzie cudownie. A więc mówiłem, że nasza buda miała jeden cel. Doprowadzić nas do takiego miejsca, w którym ja obecnie jestem. I żebyśmy wiedzieli jak żyć, skoro już tam się dostaniemy. Tak ja to widzę. Zrobić z nas ludzi, którzy będą wszędzie pasowali. Mam za miar napisać do gazetki alumnów, że możesz przejechać całą południowy wschód i gdziekolwiek zatrzymasz się, żeby zrobić siusiu, zobaczysz w muszli moje nazwisko. Wcale nie przesadzam.

Monika odwróciła wzrok i zaczęła oglądać listek sałaty na swym talerzyku.

— Widziałeś kiedy Marcusa Reilly'ego?—spytałem. — O ile mi wiadomo, mieszka gdzieś tutaj.

— Widziałem, raz — odparł Bobby. — Nieudacznik. Marcus zamieszkał się w jakąś śmierdzącą sprawę i skreślono go z listy adwokatów. Trzymaj się od niego z daleka. Wykolejeniec.

— Doprawdy? — Byłem zdumiony.

— Och, przez pewien czas był nawet grubą rybą. Potem chyba zdziwaczał. Posłuchaj mojej rady... Dam ci numer jego telefonu, jeśli chcesz, ale trzymaj się z dala od niego. Jest na dnie. Musi z największym wysiłkiem wysadzać nos z wody, żeby zaczerpnąć powietrza.

Następnego ranka wykręciłem numer, który dał mi Bobby. Jakiś mężczyzna na drugim końcu drutu odezwał się:

— Wentworth.

— Marcus?

— Kto?

— Marcus Reilly? Można go prosić?

— Och, tak. Chwileczkę.

Zadzwieczył inny telefon. Została podniesiona słuchawka, ale osoba na drugim końcu nic nie powiedziała. J»,

— Marcus? To ty? — Podałem swoje nazwisko.

— Och, cudownie — doszedł do mnie matowy, chełpliwy głos Marcusa. — Jesteś w mieście? Może byśmy się spotkali?

— Mogę zaprosić cię dziś na lunch?

— O, do diaska, lunch ja stawiam. Jestem w hotelu „Wentworth” na Collins Avenue, zaraz po drugiej stronie Siedem-214

t bo miałem tyle samo. Wyglądał przynajmniej o dziesięć i*18 a j!zej — Nie wypadasz z gry, dopóki nie zrezygnujesz sam. ^s. z jni lub nie, ale to, że jestem tutaj, daje mi wielkie f ,j j przyjemności, nawet to, że mieszkam w „Went-Adresy na Collins Avenue są w tym mieście na wagę i ta Dwa, trzy lata i odzyskam swoją licencję. Zobaczysz. I o co Z łozysz się, że nasz przyjaciel Bobby zacznie się koło mnie kręcić i prosić o przysługi? Ja znam każdego, każdego. Mogę wszystko załatwić. A w tym mieście ludzie cenią takiego, który notrafi załatwić. — Dopił resztkę piwa. — Może coś byśmy zjedli?—Cisnął dwa dolary na kontuar i wyszliśmy spieszenie na ulicę.

Parę domów dalej otworzył drzwi do sklepu z pieczywem „Wujek Ernie”.

— Można tu dostać doskonałe sandwicze. — Kiedy usiadliś my przy stoliku w końcu sali, zamówił dla nas kanapki. — Ta szkoła, do której chodziliśmy, to całe miejsce, chłopie, nie może mi wyjść z głowy. Zauważ, że Hollingsworth zawsze mówi o szkole, jakby to było Eton czy coś takiego. — Nawet siedząc i jedząc, Marcus nie przestawał wykonywać tysiąca drobnych, nerwowych ruchów. Poruszał łokciami, bębnił palcami, czochrął swoje włosy, pocierał policzki. — Pamiętasz Węża Boa i modlitwę? — Pamiętam.

— Kompletny wariat. Szaleniec. A ten Fitz-Hallan i jego bajki. No, teraz to ja mógłbym mu opowiedzieć niejedną fantastyczną historię. Zeszłego roku, kiedy jeszcze posiadałem licencję, wpłatałem się w interesy z tymi ludźmi, no, wiesz, to trochę bezwzględni ludzie, ale ci byli poważni. Może nie byłem dość bystry, kto wie, tacy ludzie zawsze jednak potrzebują prawników. A jeżeli chciałem komuś dołożyć, to dostał. Wiesz, o czym mówię. W tym samym czasie, dzięki stosunkom tych poważnych ludzi, zbliżyłem się do pewnych Haitańczyków. W tym mieście pełno jest przybyszów z Haiti, większość z nich znalazła się tu nielegalnie, ale ci byli inni. Są inni. Nie skończyłeś jeszcze swojej kanapki?

— Niezupełnie.

Marcus swoją połknął od razu.

— Mniejsza o to. Chcę ci coś pokazać. Powinno cię zaciekać, pamiętaj, że wiem, czym się zajmujesz. Chcę ci to pokazać. Wiąże się to z tymi ludźmi z Haiti.

Kiedy skończyłem jeść, Marcus zeskoczył z siedzenia i rzucił Pieniądze na stół. Na zalanej słońcem, nędznej ulicy rumiana twarz Marcusa przysunęła się tuż do mojej.

— Jestem teraz z nimi ściśle powiązany, z tymi gośćmi.

217

?f

gremlina, mającego wielkie rdzewiejące wygięcie na tylnym błotniku.

— Całe to miasto mógłbym opisać jednym słowem. ^
Wsiadliśmy do samochodu.—Rzuć to do tyłu. — Usunąłem stos starych „Heraldów” i tłumok brudnych koszul. — Chcesz najpierw lunch czy drinka?

— Z przyjemnością coś wypiję, Marcus.

— Cudownie. — Dodał gazu i odbiliśmy od krawężnika. ~~
Parę przecznic dalej jest dobra spelunka. — Z pełną szybkością minęliśmy narożnik, Marcus cały czas gadał jak opętany.

Uważam, że ma to też dobre strony, a ja jeszcze nie leżę na deskach, ale tu jest bagno, no, bo jak inaczej nazwać miejsce tak pełne niewdzięczników? Mam rację? Tutaj jeden drugiego by zagryzł. Ludzie, których tu sprowadziłem, którym umożliwiłem dobry start, dla których robiłem wszystko... Wiesz, że zostałem pozbawiony uprawnień adwokackich, prawda? Mój telefon pewnie dostałeś o Bobby'ego?

— Tak — przyznałem.

— Zaszran król. „W szczęściu stanach możesz załatwić się na moje nazwisko”, tak? Dzisiaj Bobby jest cholernie ważny, a to ja pomogłem mu, gdy tylko przyjechał do Miami. — Marcus pocił się. Prowadził samochód, jakby to była pokaźna ciężarówka.

Włosy skręciły mu się jeszcze bardziej. — Nie dostaniesz kontraktów takich, jakie on dostał, choćbyś poślubił nie wie dzieć jak bogatą narkomankę, nie dostaniesz bez pomocy ludzi, którzy mają znajomości. Nie w Miami. I nigdzie. A teraz traktuje mnie jak śmiecia. Ach, cholera z Bobbym. Jak będzie tak obrastał w sadło, to go szlag trafi przed czterdziestką. Jesteśmy na miejscu.

Marcus uderzył gremlinem o krawężnik i pospiesznie wysiadł z auta. Nieomal wbiegł do baru o nazwie „Hurricane Pub”, który otwierał się na ulicę, jakby brakowało mu frontowej ściany.

— Mecenase! — zawołał bufetowy.

— Jerry! Podaj nam parę piw! — Reilly wskoczył na stołek, zapalił papierosa i znów zaczął mówić. — Jerry, ten gość, to mój stary przyjaciel.

— Doprawdy bardzo miło — powiedział Jerry i postawił przed nami piwa. ?•»•

Marcus opróżnił do połowy swój kufel.

— W tym mieście, widzisz, dobrze jest znać każdego. Dzięki temu wie się, gdzie pies leży pogrzebany. Jeszcze nie jestem skończony. Mam nakręcone takie interesy że nie uwierzyłbyś.

Do diaska, jestem przecież młodym facetem. — Wiedziałem, ile

216 "*"

czekałem godzinę na zegarku. Żałowałem, że nie wylem łocizną z Bobbym. Wokół mnie rozciągały się bezmiar i słuchałbym wynurzeń Hollingswortha na temat inter- dotyczących wyposażenia łazienki. Naprawdę muszę już iść — powiedziałem.

— Nie, nie możesz — zaprotestował Marcus i zrobił minę, jakby poczuł się dotknięty. — Daj że spokój, chcę ci coś po-
^ a? — Pociągnął mnie w stronę samochodu. Był zdesperowany-

Przez ponad pół godziny jeździliśmy bez celu po Miami Beach. Marcus mówił przez cały czas. Brał ostro zakręty, czasem zawracał, jakby chciał kogoś zgubić, często hamował niebezpiecznie blisko innych samochodów.

— Patrz, to biblioteka... widzisz tę księgarnię? Doskonała. Podobałaby ci się. W Miami Beach jest wiele ciekawych rzeczy dla gościa takiego jak ty. Mógłbym poznać cię z mnóstwem

ludzi, od których dostałbyś materiały, o jakich ci się nie śniło.

Byłeś kiedy na Haiti?

Nie byłem.

— Powinieneś pojechać. Wielkie hotele, plaże, świetne jedzenie. Tu jest park. Piękny park. Byłeś kiedy na Key Biscayne? Nie? To blisko. Chcesz tam pojechać?

— Nie mogę, Marcus — powiedziałem.

Od pewnego czasu podejrzewałem, iż to co chciał, abym zobaczył, wcale nie istniało. Albo zdecydował się, że jednak nie powinienem tego oglądać. Wreszcie skłoniłem go, żeby podwiózł mnie do hotelu. Kiedy wysiadłem, ujął moją rękę w swoje dłonie i spojrzał na mnie.

— Cholernie miło spędziliśmy czas, prawda? Miej teraz oczy otwarte, bracie. Przeczytasz o mnie w gazetach.

Motor ryknął i wydawało mi się, że widzę, jak mówi sam do siebie, kiedy jego pogruchotany samochód skręcił w stronę Collins Avenue. Poszedłem na górę, wziąłem prysznic i zamówiłem drinka do pokoju. Położyłem się na łóżku i spałem przez trzy godziny.

W dwa miesiące później usłyszałem, że Marcus zastrzelił się. Mnie wyznaczył na wykonawcę swego testamentu. Żadnego majątku jednak nie zostawił, poza jakimiś ubraniami i grem-'inem, w którym się zabił. Adwokat, który zatelefonował do mnie, powiedział, że Marcus wpakował sobie kulkę do głowy około szóstej rano, na parkingu pomiędzy kortami tenisowymi a budynkiem Centrum Kultury. Było to trzy przecznice od McDonalda, dokąd mnie wtedy zaciągnął.

219

Że pozbawiono mnie uprawnień adwokackich? A kto się przejmuje, jeśli jest Haitańczykiem? Oni mają elastyczne pOje cia o prawie. Mamy zamiar robić wielkie interesy. Wieś cokolwiek o Wenezueli?

— Niewiele.

— Zamierzamy kupić wyspę u wybrzeża... wielką wyspę zaklasyfikowaną jako park narodowy. Jeden z tych facetów ma znajomości w rządzie i możemy ją przeklasyfikować bez problemu. To jedna ze spraw, które omawiamy. Jest jeszcze wiele innych osobliwych spraw, no, wiesz, osobliwych. — Wziął mnie za łokieć i przeciągnął przez ulicę. — Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy wstąpili do McDonalda? Jestem wciąż głodny.

Skinąłem głową i Marcus wprowadził mnie do jasno oświetlonej restauracji.

— Podwójne danie firmowe — powiedział do dziewczyny. — Następnym razem, jak tu będziesz, pójdziemy „Pod Kraba” do Joe Stone'a. Fantastyczne miejsce. — Zabrał swój talerz pod okno i zaczął pochłaniać jedzenie na stojąco. — No dobra, pogadajmy. Co myślisz o tym, co mówił Fitz-Hallan? — O czym?

— O rzeczach, które zgodne są z prawami magii. Co to znaczy?

— To ty mi powiedz.

— Bobby uważa, że to wszystko co ma, to czary. Łódź i dom, i buty za dwieście dolarów. I ten niezwykle intratny kontrakt z jakuzą, który pomogłem mu zawrzeć. Ty zapewne uważasz, że to podpada pod paragraf.

— Czasem rzeczywiście tak myślę — odparłem. Wielki kotlet zniknął, a teraz zabrał się za frytki.

— A ja uważam, że to bzdury. Niejedno widziałem, będąc z tymi facetami. Oni... mają różne, dziwne wierzenia. — Marcus pochłonął frytki i wychodząc z restauracji, wycierał palce

o spodnie. — Twierdzą, że potrafią sprawić, żebyś zaniewidział, ogłuchł, miał przywidzenia. Magia. Uważam, że jeśli to magia, to nie może być nic dobrego. Nie istnieje nic takiego jak dobre czary, tego się już nauczyłem.

— Znasz Toma...

— Flanagan. Oczywiście. Nawet kiedyś poszedłem, żeby go zobaczyć. Ale... — Nagle jego twarz zupełnie się zniienila, zapadła. — Widzisz tam ptaka?

Spojrzałem: parę odrapanych wystaw sklepowych, starzy ludzie, jacy są wszędzie.

— Nieważne. Chodź, przejedziemy się. — Odbiło mu się; poczułem zapach mięsa.

218 *" Z^Z

IZZ

soo o ap aSour Azo 'zsaizpfapo untreg ?

-azojiui auzoajzaiu ojBMOUBdBZ '^WO. §pizs(M[arqais z
nzjz ipaiuisn ASfep 3fBf aiuaopod

; azoui a\ e ""uiałnzj&

fq [iA o; azoui

tU BU BfBZjfbds 5[Bf ' '

3{Bf ' '

[j fazo

niuaiiii od ais BIJOJ

atu nzBj IUB ogara oa psojpzez apnffn jnzood MOUZ UIOJ, zsaiM 'ou "Bf "\a(j OB^SOZ jfBupaf
uieuuMod ai

pi3['oaizpatAvod qQ

AV aizpaq osf^s^zsM auMadBz ojnjf ajy

apC —ais 5IMIZQ

ais tiuaiuitUBz fBłnj DsouDaqo BCOM} o

ojizpoao az 'ais uiB]rsXUIOQ oiqojz oSatu BZ OJ uiXqł?oui Bf az aj 'Btuazazj^so iMopo otptzpn

XqB 'aizpi az 'fBizpaiMoj kuBft t^g "nioq M oS uiajBJłods 'ajcS BU nj uiajpazs ^fpai^i

ioXzoBqazjd IUI XqjBim ooy i^zosqazjd zaj aiqoł Az^)?nsuas 01 Aqoimui ara aizBj 'o^z3Bqoz

aiuiu BUT soją az 'iDXzoBqoz aiqap Xuisipiui az ' '

T Oł —

•aiuBjqn o% tur

iaoiAis BUUI^P aj SBfliBdi

iBUiTZ B^q iCq3(Bf 'niUBjqn AV ajBijs aj BU SBjzsod oSazoB[a — :jBj^dBZ pcAiop oSaj imyi

hA\oi3 {Buił[S uiiox

•oznp BZ .. 5fBf 'ais Biuatuiz uiasBZ3 śiqn{ ara oSa; Bf B 'afid uo

'ON —

nui uiXqB^zoBq^M — amBi raix- o^syCzsM

ZB^M^usaroqizjBMirart; ! f9^Jifn O5foqals o A>BZOPBIAVS

9?UraodOD'ai«o,Sr,... "If^^ZO — BSUmo^ BUBd UIBBJTJodS

nui zsisnui ojsazo —

s5s"BBs?anuM^

a? 'iBsrdbW

odezwał, ani nie poruszył. Tom odwrócił się i wyszedł z pokoju. V^ holu było ciemno i cicho. W

lesie płonęły światełka jak znaki ostrzegawcze. Podszedł do szyby, osłonił twarz rękoma, żeby mieć lepszą widoczność. Róża Armstrong przeszła po płytach chodnika i zaczęła zstępować po żelaznej drabinie. Stał w oknie w holu, dopóki w smudze księżycowego światła na jeziorze nie ukazało się jasne, uniesione ramię oraz nie spieniła się woda, gdy uderzyły o nią stopy dziewczyny.

— Teraz wiesz — powiedział stojący za nim Del.

Tom skinął głową. W głowie przyjaciela usłyszał ton nieufności.

Wojna

— Historia ta jest prawdziwa — oznajmił czarodziej — i nosi tytuł „Śmierć miłości”. Ach, melodramat.

Lekki wietrzyk poruszał jego gęste, siwe włosy. Cała trójka siedziała na kamienistej plaży: Collins twarzą do stromo wznoszącego się brzegu, a chłopcy patrzyli na niego i na mieniące się, ciemnoniebieskie jezioro rozciągające się poza nim. Na prawo zmurszałe ze starości moło widniało nad taflą wody, dalej, na cementowej podmurówce wznosił się sklecony z szarych desek budynek przystani wioślarskiej. Jak przewidziała Róża Armstrong, w zachowaniu Collinsa nie było ani śladu złości z poprzedniego wieczoru. Na tacy ze śniadaniem chłopców położył kartkę, prosząc, żeby spotkali się z nim o dziesiątej rano na plaży. Obaj, zstępując za piętnaście dziesiąta po chwiejących się żelaznych schodach, byli wciąż pod wrażeniem spotkania z Różą Armstrong. Collins w białym letnim kapeluszu, ze zwiniętym pledem oraz z koszykiem zawierającym posiłek na piknik, pojawił się dwadzieścia minut później. Miał na sobie niebieską koszulę z długimi rękawami, szare spodnie i sandały. Koszula i spodnie były trochę za obszerne, jakby ostatnio schudł.

— Dzień dobry, uczniowie — powiedział. — Czy wszyscy dobrze spali w nocy po wczorajszych wysiłkach?

Collins rozłożył na plaży koc, postawił na nim wiklinowy koszyk, zdjął kapelusz i położył go na koszyku.

— Siadajcie, chłopcy. Lekcja historii, jeśli miłość nie oszoło miła was aż tak, że nie możecie słuchać. Pora teraz na jedną

223

— Czy są tu jacyś mężczyźni? Czy widziałeś w pobliżu grupkę mężczyzn?

— Tak. — Skierowała wzrok na Dela. — Nie byli tutaj rok albo dwa. Mieszkają w chacie po drugiej stronie jeziora. To jego przyjaciele.

— W porządku — powiedział Tom.

— Pracują razem z nim — dodała. Znów rzuciła spojrzenie na Dela. — Nie lubię, gdy tu przychodzą. Nie są do niego podobni. — Trzymała przed sobą koszulę, osłaniając się. — Są martwi.

Było to absolutnie nieoczekiwane.

— Ależ to niedorzeczne. — Zorientował się, że były to słowa Collinsa i ona je teraz powtarza.

— Możesz tak myśleć. Ale on mi o tym opowiedział, o tym, jak to się stało.

— A jednak, w dalszym ciągu uważam, że to niedorzeczne. — Słyszał własne słowa i pomyślał, iż brzmią równie głupio jak oświadczenie dziewczyny. — Kazał ci, żebyś nam to powiedziała?

— Nie. Muszę iść.

Tom poczuł wielkie zniecierpliwienie, a równocześnie palące pragnienie, żeby zatrzymać dziewczynę w pokoju.

— Gdzie mieszkasz? Tu, w tym domu?

— Nie mogę ci powiedzieć. Nie powinnam. — Położyła

koszulę na łóżko i uśmiechnęła się do Dela. — Łatwo odgadnąć, że twój przyjaciel jest tu pierwszy raz.

— Mogłabyś wziąć ode mnie list? Mogłabyś go wysłać?

— Nie jest przewidziane, aby coś stąd wychodziło — powie działa i zaczęła posuwać się w stronę drzwi od holu. —

Ale możesz poprosić Elenę.

— Tę kobietę? Ona nie mówi po angielsku.

— Przekonana jestem, że zrozumie słowo „poczta”. —

Obdarzyła go uśmiechem. — Mam nadzieję, że będziesz w lepszym nastroju, gdy spotkamy się następnym razem. — Była już przy drzwiach. — Do widzenia, Del. — Zwróciła swoje kocie oczy na Toma. — Do widzenia Tomie, nie bądź skwaszony. —

I już jej nie było.

Twarz Dela była pełna uniesienia i zachwytu — Iom słyszał stapanie bosych nóg oddalających się w kierunku, w którym biegł za kobietą zwaną Eleną. Potem dobiegł delikatny odgłos otwieranych drzwi. Zwrócił się do wciąż osłupiałego Dela:

— Widziałem na dole braci Grimm — powiedział. — Przy puszczam, że oni również są martwi. — Del jedynie uśmiechnął się. — A ona? Zahipnotyzowana, czy co? — Del ani się nie

222

nioże wejść w posiadanie mocy magicznych, odpowiedział, zapamiętajcie to chłopcy: „Taką moc może posiadać jedynie ten, jcto współżyje z żywiołami, kto pokonał naturę, wydzwignął się do nieba i wyniósł ponad anioły...”. Pokonać naturę. Lekarze też do tego dążą, ale jakimiż posługują się środkami? Skalpelem i zakładaniem szwów!

Wylądowaliśmy w Breście i natychmiast skierowano nas do baraków na parę dni odpoczynku przed rozpoczęciem zasadniczych ćwiczeń w okręgu Gondrecourt. Podróżowaliśmy jako część oddziału, mając ciężarówkę, dwa ambulanse oraz samochód marki Packard, w którym jechałem ja i kilku młodych lekarzy. Nasza trasa wiodła drogą Beaumont—Mandres. Z Mandres mieliśmy udać się do Głównej Kwatery Dywizji w Menil-la-Tour. Tu, w Bostonie, wydaje się to łatwe, ale Boston nigdy nie widział wojny. Jedyne zwłoki, jakie widziałem w Bostonie, to były zwłoki na stole sekcyjnym. I nie zapominajcie, że moje przeszkolenie wojskowe było bardzo krótkie i pobieżne. Nie przypominam sobie, czego właściwie oczekiwałem — sytuacji z propagandowych afiszów wojennych? Jak to dzielni, młodzi żołnierze wymachują zdobycznymi niemieckimi hełmami? Nie pamiętam.

Przebyliśmy zaledwie krótki odcinek drogi, a już mijaliśmy pole bitewne. Wielkie zygzakowate rozpadliny w ziemi, nad nimi poskręcane druty kolczaste. Wywołało to w nas przerażające uczucie, że krąży tu śmierć, że jej lodowaty oddech mrozi nam twarze. Okopy niemieckie istniały od roku tysiąc dziewięćset czternastego i ciągnęły się równolegle do drogi Flirey—Bouconville. Z dala dochodziła kanonada artylerii. Nigdy dotychczas nie widziałem niczego podobnego. Stratowane, ośnieżone pole, na którym śmierć zebrała swoje krwawe żniwo. Widok ten przypominał porozrzucane pozostałości wielkiego ogniska. Stosy zwęglonych przedmiotów, jakieś okopcone słupy i deski, wszędzie śmieci i nieład. Nie potrafiłem rozpoznać żadnej rzeczy spośród mnogości, które mijaliśmy. I to' był ostatni obraz cywilnego świata, jaki pozostał w mej pamięci przez następne dwa lata. Wojna to świat istniejący sam dla siebie, wojna zawiera się sama w sobie. Niewiele potrzeba, aby się o tym Przekonać.

Pojałem to po raz pierwszy, jadąc pięcioosobowym packar-dem. Nasz konwój znalazł się pod ostrzałem i to bardzo silnym. Było to bardzo niebezpieczne, lecz ostrzał drogi Beaumont—Mandres trwał dzień i noc i nasi zwierzchnicy musieli widocznie uznać, iż trzeba podjąć to ryzyko. Gdyby mogli

i 'ais

jpiAYOfzo uiaqosods imjfBf 'A*uB}A"dBZ A\ropf 'nsuBsauaj p[oda z BfsizpojBZD '/CdAjjJy
 ezsmiauojj Sjfzfersif zaru/woi uiajBiz^y '9P -ojq M ais Bzjnu UIBS aiuqA"ipani oj 'A"pfes
 aftipiuijoj aiMBjspot ipi BU sojjf az 'ais AzsAs A"paijf B 'auuiaizAzid aoruzoj fefaizp ofz i oaqop
 az 'oaruinzojz tui {Souiod iAaq uiafBAUJfnzsod qo/ticm 'ADOW op uaisampo aujad a^B
 'aiuzoAobqo fazoej auBsidBu uiAferd urAfeisatzpuiapais jastuatso ofeisA AV JJBUIZ ^JO^JI
 'Bfatzp -OJBZO 'iAaq sBqdi[3 ns[StAVZBU o BznouBJj oSauMad rv7fe." -AjbIf 'aiuBjqn .^zoazj
 ajaiMaiu feqos az uia^Bj o^aMOjfunjjBdo njifund op jBtzp^zjd utafi XoBfn}jodsuBJJ J[aiB;s
 BU ifouBjj op XuBMoSaia ^r- 4=eituqDA;BU uiajBjsoz i BZJBfaj uiojd^p uiajBuiAzjjo
 uiAsBUtuapais jas -oaiMaizp OBtsA /& XuIiquiB tfaz uiajA^ jfBupaf BZSMBZ ' " -oqanp
 UI^BJSOZ az 'uiBzozsncJAzid 'AUCISI^J aiuzoajBtSi uiAqAp?) Ifai BzpnqzM [Buiaru az
 'BJJPBZJ JBJJ jsaf ueruiz -[BtuaiBpunj BIUBAUAUO3(OP osou^faiuin arzpS '(Xm«n-aiuui
 azazad ousBfaru ojfiA) jBtAvs uaj JisAui BU UXBJ[t. _C,,,H qoBiuazjBui AV oSaJOi5[op
 'KZOJS i psouiBTzpaiA\odpo oM;sai -ojjf OI oXziiq^zjd B{Soui Bjpjff 'apaiAs uiAuzoAjfBjd \a&\
 AI fezoazj feuApaf ais B{BAVBPAAV BuA!oApaj\ oSauzajod aiujaruizatu soo 'uiajBMOUBdo
 apiuijoj[BUz ajojsf 'tjazonjzs qoAsojd zoojdo faoaiM soo fara M ais apCjff az 'uiafnzo 3ZSA\BZ
 ZBpoqo 'Aq -qoq jfB.f XpajM uia^BMOtJiBJt ai5Bj\ uiaj§jnjqD DBJSOZ " »-aiuiBZ BUfBnuBui
 osouMBJdg uiazjB[Sm{ urAuzoajz i w -aiuiajz uiAjqop uia{Xg Btsiuofznn OJfsf ofefhi[qoji
 urafBAiAuiAzjnn qoXuzoA:pauj qDBipnjs BU uta^pazjd B ',1JJCJ1 -a[ai{A5[Bjd SBZDAYOM
 uiap?A\Aqpo -Aoqo IUI t-^q i uiaodofao azozsaf }Aq 'Azspofui aiuui apo JB[aiosBUBMp o tfq
 'jBjq fout 'B[acr ospfO aIBSm;qSijM sapea^ X!pajA\ ofBiuzjq ojfsiMZ -BU afopyr -AufoAi
 fai3[iaAv op Bpdfe;sXzjd Bajamy uiifjo^ AV 'n^oj 'oSajsBuuiapais jasoapwatzp ofeisA rnfOJ op
 AuippjM -°d nlfaiAi ogaIsaizpnMp pjaiMo fazsMjaid op 'jBf psaijp -jajzo o zoa;sM ais Auiatuj03
 IUIBjis IUIAAYS psu a[ojjuoj] uiaj -BjfsAzn AzsMjard ZBJ od XpS 'nsBzo op 'qoBzoazj qoA o
 ^zpaiM uiajBAvAqopz UIBS Bf ApatJ['AYCSBZO op ais t[aujoo feuui az uiazBj apsA"qaz
 'doqo Avo}siuofzn[i qoAuut DBf- ' 'psoupni luaoojd oaiAiaizp lfeisatzpoaiMaizp aiA\ ziu
 faMizpMBJd niuBjBizp o faoatM apaiM zBjaj znf TEMP
 BAYIZpMBjd JSaf Bt
 9?aiA\odo — '^s {Buqoaiuisfl — SuojIsuuy atuuBd o OAZJBUT I 'SpoA\ BU oazj^Bd 1 J[OJZA\
 opojMpo apazoui 'apizpnuz ais ?lezaf B 'atuui BU apzjfodg uiajBoaiqo UIBAY ajplif 'psaiAvodo z

kawałkiem pogiętego metalu z ciężarówki, nie wiem. Leżał w rowie w kałuży własnej krwi. Podtrzymywał rękami jelita, które wypływały jak grube szkarłatnosine sznury.

— Daj mi coś, na miłość boską — wysyczał.

Nic nie miałem. Nic, poza Eliphasem Levim, talią kart i Korneliuszem Agrypą. Wszystkie medykamenty spłonęły wraz z ciężarówką.

— Jezu, pomóż mi — prosił Vendouris. Klęknąłem przy nim i obmaciałem ranę, chociaż wiedziałem, że nie można mu pomóc. Jego stan wskazywał na to, że powinien być nie przytomny, ale z nim było inaczej. Czuję, jak jego krew oblewa mi ręce.

Przy^OtUJ si? na najgorsze, bracie — powiedziałem. —

Nie mam żadnych "leków. WszyStiCO poszło w diabły z ciężarówką.

— Zanieś mnie do kwatermistrzostwa — błagał. Wywrócił oczy, białka były tak czerwone, jakby miały eksplodować. — To stąd tylko trzy mile. Boże, zanieś mnie tam.

— Nie mogę — odpowiedziałem. — Umrzesz, jeśli cię tylko ruszę.

— Umieram — wycharczał.

Wnętrznosci wymykały mu się z rąk i wylewały na zmarzniętą ziemię. Tracił przytomność i pragnąłem, żeby zemdlął. Przypominam sobie, że miał piękne, bardzo białe zęby, które wydawało się, iż należą do kogoś innego. Takie zęby powinny być ozdobą innej postaci.

Na kawał ośnieżonego pola nagle padł cień, podskoczyłem przerażony, pomyślałem, że któryś zmarły ożył i wstał. Potem znów coś się przesunęło i ujrzałem ogromnego, białego ptaka. Wielka, biała sowa. Jeszcze raz zobaczyłem ją we Francji podczas wojny, ale wtedy na polu sądziłem, że mam halucynacje. Sowa uderzyła skrzydłami, miały chyba ze cztery stopy rozpiętości, i zbliżała się powoli, unosząc się nad pobojowiskiem.

Vendouris też ją zobaczył i zaczął bredzić:

— To moja dusza, to moja dusza...

Krew buchał z niego. Olbrzymie ptaszysko usiadło na zwoju drutów i przypatrywało Się nam badawczo. Pod wpływem własnego strachu oraz majaczenia Yëndourisa, byłem nieomal pewny, że słyszę, jak ptak mówi:

— Zastrzel g@>. Nie ma innego wyjścia.

Dotknąłem rewolweru w futeTale na swym biodrze. Ven-douris zrozumiał ten gest.

— Och, Boże, Boże, Boże, proszę cię, nie!

227

przewidzieć, że z całej grupy przeżyje tylko jeden człowiek, sędzę, że zdecydowaliby inaczej.

Słyszałem, jak żołnierze w dostawczej ciężarówce śpiewali „Ciesz się bracie, ciesz z wojenki, na kwaterze piwa dadzą i będą panienki!” To była ulubiona piosenka obok Wspinamy się na ośnieżony szczyt i Powiedz au revoir, ale nie mów żegnaj. Nagle w powietrzu rozległ się gwizd i zagłuszył śpiew. Wiedziałem od razu, co to znaczy. Nasz kierowca wymamrotał:

— Mówiła, że będą takie dni. — Akurat w tym momencie samochód jadący przed nami eksplodował. — Jeezu — jęknął szofer i skręcił kierownicę.

Zobaczyłem ciało szybujące w powietrzu, jakby ktoś frunął. Podwozie ciężarówki przekoziółkowało i stanęło w płomieniach. Na drogę posypały się kawałki metalu. My wpadliśmy w lej po pocisku, wszyscy krzyczeli albo jęczeli. Wokół rozlegały się ogłuszające eksplozje. Byłem na wpół świadomy, że ambulans wyleciał w powietrze jak dziecinna zabawka. Ktoś płakał. Na masce packarda spotrzegłem jakieś ramię w wełnianym rękawie. Usiłowaliśmy wydobyć się z wozu. Tuż koło nas rozerwał się drugi granat.

Przyszedłem do przytomności na polu. Twarz i ręce miałem poparzone, bolało mnie całe ciało, wydawało mi się, że głowę mam rozłupaną na dwoje, ale właściwie nie odniosłem poważniejszych obrażeń. Miałem fantastyczne szczęście i od tej chwili wiedziałem, że zostałem zachowany dla jakiegoś wielkiego celu. Pociski padały wzdłuż drogi i z naszego konwoju nie pozostał nikt ani nic. W ciągu paru sekund zapanowało piekło. Ambulanse zostały zniszczone, wszędzie leżały trupy. Motocykl, który jechał poboczem, w ogóle zniknął. Tył samochodu sterczący z leja wyglądał jak ogromny, szary ser z dziurami. Na brudnym śniegu leżała moja skórzana torba z książkami. Podniosłem ją. Z początku myślałem, że jedyny ocalałem z naszego konwoju. Przed mymi oczyma rozpościerał się widok wprost niewiarygodnego zniszczenia. Ciała i części ciał wystawały z dołów i z palących się pojazdów. Przez pewien czas wciąż jeszcze padały pociski, bombardując pogruchtane samochody i leżące zwłoki. Było to jedno z bardziej niedorzecznych wydarzeń wojennych — cała kolumna sanitarna została zniszczona w wyniku rutynowej strzelaniny. Potem spostrzegłem, że ktoś się porusza, jakiś mężczyzna znajdował się w rowie pomiędzy drogą a polem. Znałem go.

Jechał razem ze mną samochodem. Nazywał się porucznik William Vendouris; był nowym lekarzem w szpitalu polowym, tak jak ja. Brzuch miał otwarty szrapnelem albo jakimś

226

acy. Zmienialiśmy się na polowym łóżku w małym na cie o parę jardów od większego namiotu, w którym "rsmymy" »sale operacyjną". Znaczyło to, że oddychaliśmy rDie- a piliśmy wojnę i spaliśmy z wojną. Nasza praca polegała

kładaniu opatrunków, zszywaniu otwartych ran klatki na rsiowej i hamowaniu krwotoków u żołnierzy znoszonych pie,j waiki i z okopów przez sanitariuszy Czerwonego Krzyża ZNorton-Harjes. Kiedy amputowaliśmy nogę lub założyliśmy łubki na złamaną kończynę, ranny odsyłany był do szpitala na dalszą kurację. Strata samochodu, którym jechałem, pozbawiła nas nie tylko drugiego lekarza, lecz również zapasu morfiny i innych medykamentów, które miały być dostarczone do szpitala. Tak więc operacje wykonywaliśmy przeważnie bez stosowania środków znieczulających. Często pracowaliśmy przy świetle latarni, takich jakie widzicie tam, w lesie. Podążaliśmy za zmieniającą się linią frontu w Les Islettes, Cheppy i Verennes. Oddziały, którym towarzyszyliśmy, składały się głównie z chłopców z Nowego Jorku, Pensylwanii i Connecticut, mających po dziewiętnaście i dwadzieścia lat. Kiedy budzili się na stole operacyjnym, pierwszym świadomym ruchem sięgali do krocza, żeby upewnić się, że tam wszystko w porządku. Nie minął tydzień, gdy cały personel medyczny i wielu żołnierzy wiedziało już o losie Vendourisa. Wydawało się, iż obaj lekarze, wysoki, rudy chłopak z Georgii o nazwisku Withers oraz bystry, wychudzony i łysy nowojorczyk Leach, zaaprobowali mój uczynek. Podobnie przeważnie myślano w oddziałach. Pomimo to otrzymałem przezwisko. Zgadnicie jakie? Przewzano mnie Kolekcjonerem. Czyn miłosierdzia wobec śmiertelnie ранego człowieka wyobcował mnie, nawet w warunkach takiego absurdu i nienormalności, jakie panowa-*y w polowym szpitalu numer osiemdziesiąt cztery. Czasami, gdy wchodziłem do kasyna, słyszałem, jak szeptano to przezwisko. Kiedyś operowałem jakiegoś biedaka, strzelca z od-aziału z Pensylwanii, starałem się umieścić mu żołądek z po-ri, °tem we właściwym miejscu, otworzył oczy — dwaj sanita-'sze przytrzymał go — spojrzął na mnie, schwytał po-

e i szepnął: Kolek... i skonał, ch powiedział:

ne-~~ ^e Przejmuj się. Gdybym ja znalazł się kiedyś w podob-sytuacji, mam nadzieję, iż wyświadczyłbyś mi tę samą ini cf^°ć- Wojna wykoleiła większość chłopców i nie potrafia J« właściwie rozumować. Odne ?eszcze jeden powód uzasadniający to przezwisko.

Wl*ego czasu zarabiałem trochę pieniędzy, grając w karty

229

I

Wsunałem mu więc ręce pod ramiona i usiłowałem podnieść. Wydał wrzask tak przeraźliwy, że podobnego słyszałem nigdy w życiu. Wydało mi się, że usłyszałem ró krzyk sowy, jakby to naprawdę była jego dusza.

— Jeżeli cię podniosę — powiedziałem — to połowa z cieh" zostanie na ziemi. To niemożliwe. le

— No, to sprowadź kogoś. — Głowa mu opadła, ale wciąż żył. Te doskonałe zęby, które mogłyby reklamować pastę <? zębów, lśniły w jego szarej twarzy. — Nie możesz mnie zastrzelić. Jestem tu niespełna miesiąc...

Było to dziwaczne rozumowanie, wymówka skazańca. Czuję za sobą obecność tego, być może, nierzeczywistego ptaka i to wrażenie zlewało się w jedno ze 5V.rę5e7n przypaioneg^ mięsa na mej twarzy, J.P Smrodem odchodów i gazów wydobywających się z wnętrzości Vendourisa, i z tą jego dziecinną skargą. Coś się we mnie poruszyło: byłem ogarnięty wojną, wojną, która rządzi się własnymi prawami.

— To niemożliwe — wyszeptał Vendouris.

Wiedziałem, iż ma na myśli, że niemożliwe jest to, co mu się przytrafiło. Pomyślcie teraz, jaki miałem wybór. Mogłem podnieść go, tak jak sobie życzył i to by go zabiło — na dodatek umierałby w strasznych cierpieniach. Mogłem zostać przy nim i czekać, aż umrze. Trwałoby to może pół godziny, może dłużej. W tym czasie znosiłby wszystkie męczarnie,

jakie znieść może człowiek. Zabić go podnosząc, byłoby czynem bardziej miłosiernym. Jego ból zaczynał już przerastać szok, jakiego doznał. Mógłbym go zostawić i pójść te trzy mile po pomoc do szpitala, a on tymczasem umarłby samotnie. Jego oddech stał się krótki i przerywany. Pozostało właściwie jedno rozwiązanie. Wyjąłem rewolwer z kabury. Zobaczył, co robię, oczy rozszerzyły mu się i przez moment znów był przytomny. Chciał się cofnąć i wypadły mu jelita. Być może wtedy skonał, choć nie sądzę. Myślę, że zabiła go kulka, którą wpakowałem mu w głowę.

Wokół mnie cuchnęło: moje własne spalone ciało i Pot> straszny smród martwego Vendourisa, krew, proch. Podniosłem swoje rzeczy i poszedłem skrajem drogi w kierunku ognia artyleryjskiego. Powinienem odczuwać Strach. Powinienem uciec do najbliższego portu i ukryć się na statku odpływającym"1 do Ameryki. Z«ITiast tego jednak miałem wrażenie, że idę w stronę swego przeznaczenia, za które nieszczęsny WiUiain Vendouris i czterech innych oddało życie. . . .

Posuńmy się teraz parę miesięcy naprzód. W szpital polowym brakowało personelu, Vendouris nie żył, a ja i « inni lekarze sypialiśmy po trzy godziny po dwunastu g^oa

228

marnowałem czas, zajmując się stolarką i rzeźbieniem w drewnie. Mogli odesłać mnie do domu albo z powrotem na front, posłali mnie do St. Nazaire.

To właśnie w St. Nazaire ujawniło się wreszcie wyraźnie moje przeznaczenie. To przeznaczenie bowiem przysłało mnie tu, a w dzień po moim wyjeździe na szpital polowy numer osiemdziesiąt cztery spadła niemiecka bomba i doktor Leach oraz wszyscy z wyjątkiem jednego zostali zabici na miejscu. Tylko Withers, który leżał na rozkładanym łóżku w osobnym namiocie, a który mnie nienawidził, przeżył. On również był częścią mego przeznaczenia.

— Zostałem zakwaterowany w fabryce zajętej przez wojsko — kontynuował Collins. Tom spostrzegł, że zaczyna się ściemniać. Słońce jak czerwona kula wisiało po drugiej stronie jeziora nad drzewami. Zegarek wskazywał dziesięć minut po godzinie trzeciej. To z pewnością znów jakaś sztuczka — pomyślał. — Nie ma się co przejmować, to zabawa.

— Zostało tam, oczywiście, niewiele z tego, co było przed wojną. Sądzę, iż Niemcy wykorzystali przed nami, co się dało. Okopy były ogołoczone i rzędy pryz dla poborowych wypełniały trzy czwarte ogromnego pomieszczenia. Oficerowie, jak ja, mieli maleńkie nisze z drzwiami, które można było zamknąć. Na piętrze fabryki znajdowały się biura sztabowe. Personel medyczny mógł korzystać również z wielkiej piwnicy oświetlonej lampami gazowymi, wypełnionej licznymi kanapami i sfatygowanymi krzesłami. Szpital był po drugiej stronie ulicy i o każdej porze, w dzień lub w nocy, można było zobaczyć młodych, nie ogolonych lekarzy śpiących na tych kanapach albo siedzących i puszczających kłęby dymu z trzeciorzędnych papierosów. Domyślałem się, iż moi lekarze doszli do wniosku, że cierpię na chwilowe załamanie nerwowe i mogę wrócić do siebie z dala od frontu, ale jednak pod ich opieką. A gdybym nawet nie wyszedł z tego, no, to cóż, mieli nadzieję, że przy najmniej osiągnę stan, ażeby móc operować; nie ma znaczenia Przy jakim nazwisku będę się upierał. Brakowało nam lekarzy i nikt nawet nie zaproponował, żeby odesłać mnie do domu.

Ordynans, który zaprowadził mnie do mego kącika, zwrócił się do mnie: „poruczniku

Nightingale", a ja zaprotestowałem, że to pomyłka.

231

z oficerami liniowymi i innymi lekarzami. Zapewniam was, że nie oszukiwałem. Po prostu wiedziałem o wiele więcej o kartach aniżeli oni. Po pewnym czasie jednak przestałem być mile widziany przy karcianym stoliku. Przypuszczam, że wygrałem prawie jedną czwartą wszystkich pieniędzy w pułku, głównie od Withersa, który był bogatym człowiekiem. Doszło do tego, że Withers poczuł do mnie niechęć i nieufność. Początkowo był po mojej stronie w sprawie Vendourisa, a potem uważał, że było w tym coś podejrzanego. Po zebraniu ciał poległych z pobjowiska, okazało się, że w kieszeniach kurtki Vendourisa nie było żadnych pieniędzy. No, a oczywiście Withers należał do tych, którzy z zasady żywili podejrzenia wobec wszystkich mieszkańców Północy. Tak samo zresztą nienawidził Murzynów. Jest też prawdą, iż ta wielogodzinna praca oraz nieomal stały ostrzał artyleryjski wywarły na mnie swój wpływ. Schudłem czterdzieści funtów. Kiedy nie byłem na służbie, piłem, żeby móc zasnąć. Kiedy jeszcze zapraszano mnie do kart, grałem namiętnie i lekkomyślnie; często zgarniałem duże sumy od Withersa, po prostu blefując.

Po trzech lub czterech miesiącach życia w tym strasznym napięciu załamałem się. Zacząłem wyobrażać sobie, że jestem biednym Williamem Vendourisem. Moje przeznaczenie, które w tajemniczy sposób wydawało mi się bliskie tego dnia, kiedy ruszyłem w stronę frontu, w równie tajemniczy sposób zniknęło. Chyba że to Vendouris był moim przeznaczeniem. Pewnego dnia zobaczyłem go, jak leżał na noszach wysuniętych właśnie z ambulansu i szczyrzył w bólu te swoje piękne zęby, podtrzymując obiema rękoma purpurowe jelita. Spojrzał w moją stronę i powiedział: — Moja dusza, Kolekcjonerze, moja dusza...

Zatoczyłem się; zobaczył to Leach i zastąpił mnie w pracy.

Następnego dnia stało się dla mnie jasne — byłem Ven-dourisem. Dano mi niewłaściwe papiery. Wyjaśniłem to Lea-chowi i Withersowi, a oni posadzili mnie i wezwali pułkownika. Jemu również wytłumaczyłem, że nie nazywam się Nightin-gale, ale Vendouris i że Nightingale został zabity pierwszego dnia pobytu we Francji. Kiedy patrzyłem w lustro, widziałem twarz Williama Vendourisa. Kiedy ubierałem się, wkładałem na siebie ubranie Vendourisa. Spytałem pułkownika, czy mógłby dać mi adres żony i rodziny w kraju, bo z powodu wojny umknęło mi to z pamięci.

Pułkownik zarządził, aby wysłano mnie do szpitala w Tours na oddział neurologiczny i po tygodniu ewakuowano mnie z linii frontu do szpitala okręgowego w La Fauche, gdzie

230

i przyglądał mi się uważnie, bo wiedział, że jestem stuknięty. Nie był zachwycony, że wtykają mu chorego umysłowo, bo tak określono mój stan, a nikt mu nie powiedział, iż potrafię leczyć na równi z najlepszymi w jego zespole. Odezwał się:

— Wiadomo mi, poruczniku, że nie przyznajecie się do nazwiska Charles Nightingale.

Wszystko, czego pragnął, to pozbyć się mnie jak najszybciej ze swego biura i posłać do pracy, gdzie moje wariactwo nie będzie go kłuło w oczy. Odparłem:

— Zgadza się, panie majorze. Aby jednak uniknąć kłopotów, zanim ta sprawa zostanie sprostowana, nie mam nic przeciwko temu, jeśli personel zechce zwracać się do mnie doktorze Kolekcjonerze. — Zamrugnął oczami. — To jest przezwisko — wyjaśniłem. Słyszał już, naturalnie, od Withersa.

— Niech pan nazywa się, jak panu się podoba, poruczniku. Ocena pana obowiązków jest bez zarzutu. A ja po prostu nie chcę mieć żadnych kłopotów.

— Widziałem jego aurę, kiedy do niego mówiłem. Była brudna, zaogniona. Był tchórzem, człowiekiem chorym. Nie tak jak wy, chłopcy. Wy macie cudowne, zdrowe aury. Czy

widzicie moją?

Promienie czerwonego słońca tworzyły jasną mgiełkę poza głową czarodzieja. Tom widział ją, patrząc na Collinsa z ukosa.

— Tak — odpowiedział Del siedzący z tyłu. Czarne strzały przebiły czerwień.

— W miesiąc później spotkałem niezwykłego człowieka. Jego aura była jak tęcza i wydawało się, że płonie.

Collins przerwał i pozwolił, aby ten obraz trwał przez chwilę w nas. Potem podjął swoją opowieść:

— Początkowo otaczała mnie atmosfera podejrzliwości, ale moje zachowanie na sali operacyjnej stopniowo położyło temu kres. Ten szpital był trochę lepszą placówką niż szpital osiemdziesiąty czwarty. Przeważnie mieliśmy morfinę i nie musieliśmy zamocowywać opatrunków sznurowadłami ani drutem. Trzeba było jednak pracować dziewięć lub dziesięć godzin na dobę w oparach krwi, wśród jęków rannych. Wiedziałem, że jestem silniejszy niż kiedykolwiek w życiu, czułem, że rośnie we mnie ta moc, której cały czas oczekiwałem, moc tak stała i nieugięta jak światło gwiazd. Raz w tygodniu miałem wolne przedpołudnie i wtedy chodziłem po księgarniach, które przetrzymały bombardowanie. Znalazłem francuskie tłumaczenie pism Fludda i Campanelli, sławnych szesnastowiecznych czarodziei oraz tłumaczenie Klucza Salomona Mathera. Nawet w czasie pośpiesznego łatania żołnierzy miałem świadomość

233

— Nazywam się porucznik William Vendouris. Niech szeregowiec postara się to zapamiętać. Spojrzał na mnie z przestraszeniem i ulotnił się. Spałem prawie dwa dni bez przerwy i obudziłem się zgłodniały. Wygładziłem mundur, zasznurowałem sztylpy i poszedłem przez ulicę do szpitalnej kantyny. Czarni obsługujący podawali potrawy i nalewali kawę. Stałem w kolejce i myślałem, że teraz już wszystko pójdzie dobrze. Wtedy dobiegł mnie od jednego ze stolików głos z południowym akcentem:

— Waaall, jest tu Kolekcjoner. Kolekcjoner monet.

Odwróciłem się. Doktor Withers wpatrywał się we mnie.

Ział nienawiścią. On również został przeniesiony do St. Nazai-re. Pochylił się poprzez stół i zaczął coś szeptać do lekarza, który z nim siedział. Nagle wydało mi się, że wszyscy w kantynie patrzą tylko na mnie. Odstawiłem tacę i wyszedłem. Kupiłem bochenek chleba, trochę sera i butelkę wina i wróciłem do swojej nory. Potem wyszedłem i przyniosłem jeszcze więcej wina. Czułem się kompletnie wyczerpany i bezużyteczny. Wiedziałem, że Withers będzie rozgłaszał potworne, nieprawdziwe historie o mnie. Chciałem wrócić do pracy, żeby móc się sprawdzić, ale mogłem to uczynić dopiero za pięć dni, taki był rozkaz. Do tego czasu istniałem jedynie jako nazwisko — niewłaściwe nazwisko — na drzwiach mego pokoiku.

Picie jest sakramentem, wiecie o tym. Każde picie jest sakramentem, a alkohol rozluźnia więzy krępujące, będącego w naszym wnętrzu, Boga. Przeczytałem powtórnie niektóre strony z *Le Dogme et Rituel* i zrozumiałem z nich więcej niż się spodziewałem. Potem wyrwałem długi pasek papieru, wypisałem na nim: Vendouris i przypiąłem na napisie: Porucznik Nightingale na swoich drzwiach. Następnie poszperałem w torbie, wyjąłem karty, potasowałem i przez parę godzin robiłem różne karciane sztuczki. Gdyby nie to, że miano na mnie oko, byłoby to doskonałe miejsce, gdzie mogłaby rozkwitać magia. Przez pięć dni piłem wino, jadłem ser i chleb i pogrążyłem się w

praktykowaniu magii. Było to ponowne oddanie się jej, bo czyż nie byłem człowiekiem, który powstał z martwych? Człowiekiem posiadającym tajemniczą władzę w swych palcach? Był to zapewne najintensywniejszy okres w moim życiu i kiedy minął, wiedziałem, że medycyna była dla mnie tylko poboczem, główną drogą była magia. Książkę Levi'ego przeczytałem dokładnie trzy razy, przewracając strony palcami Vendourisa, oczyma Vendourisa rozpoznając litery.

Szóstego dnia wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i zamel-[^] dowałem się w szpitalu. Przyjął mnie mający służbę major

232

Nie będę go operował — powiedział. — Nie jestem weterynarzem.

Pamiętajcie, że pochodził z Georgii i że był to rok tysiąc dziewięćset siedemnasty. To go nie rozgrzesza, ale pomaga zrozumieć. Pielęgniarki spojrzały na mnie, a inni lekarze przerwali pracę. Washfordowi groziło wykrwawienie się na śmierć, w czasie gdy my będziemy zastanawiali się, jak zareagować na odmowę Withersa.

— Zamienię się z tobą pacjentem — oświadczyłem. Withers odstąpił od swego stołu i przeszedł do mego.

— Nie zdziwię się, jeśli go zabijesz, Kolekcjonerze — powiedział. — Ale spotka cię zawód, on nie ma kieszeni.

Zignorowałem go i zająłem się Washfordem. Zdjąłem mu przesiąknięte bandaże. Pielęgniarka nałożyła mu na nos i usta maseczkę z eterem. Zrobiłem cięcie, usunąłem kulę i zacząłem zszywać rozległą ranę. I wtedy poczułem, że w moim ciele zachodzi dziwna zmiana. Byłem tak lekki, jakbym zażył eter, w głowie mi huczało, w rękach miałem uczucie mrowienia. Zadrzałem, wiedząc co teraz mogę zrobić. Pielęgniarka zobaczyła, że trzęsą mi się ręce i pomyślała, że jestem pijany. Wiedziano bowiem dobrze, że piję, zresztą piliśmy wszyscy. Ogarnęła mnie nagła świadomość, która spadła na mnie jak grom — mogłem go uleczyć! Odłożyłem instrumenty i przesunąłem palcami wzdłuż porozdzieranego krwawiącego ciała. Promieniowanie, niewidzialne promieniowanie płynęło ze mnie strumieniem. Rany, jakie spowodował pocisk przechodząc z płuc do wątroby i śledziony goiły się. Wszystkie porozrywane mięśnie i zniszczone tkanki goiły się. Pielęgniarka cofnęła się przerażona, spod maski ranego dochodziły stłumione dźwięki. Ja płonąłem. Serce biło mi gwałtownie. Zdjąłem rozwieracze, chwyciłem dwoma palcami rozcięcie i połączyłem razem oba brzegi skóry, które utworzyły gładką różowobrazową linię. Pielęgniarka Withersa zerwała z twarzy maskę i wybiegła z sali operacyjnej.

— Zabierzcie go — powiedziałem do zdumionego sanitariusza, który na wpół drzemał pod ścianą. Widział, jak wybiegła Pielęgniarka, ale operacji nie obserwował. Miałem wrażenie, że unoszę się w powietrzu. Wyszedłem na duży, wykładany kaflami korytarz. Kiedy pielęgniarka zobaczyła mnie, cofnęła się. Zacząłem się śmiać i zdałem sobie sprawę, że na twarzy wciąż mam maskę. Zdjąłem ją i usiadłem na ławce.

— Proszę się nie bać — powiedziałem do pielęgniarki.

— Święta Matko Jezusowa! — wykrzyknęła. Była Irlandką. Ta cudowna moc wpływała ze mnie. Twarz ukryłem

235

istnienia we mnie innego potężnego kunsztu. Lubiłem, kiedy mówiono na mnie doktor Kolekcjoner. Do swej kolekcji zali, czyłem Vendourisa albo on mnie, a jego nazwisko wciąż widniało na drzwiach mego pokoiku. Wydawało mi się, że wstąpiła we mnie część jego duszy i że to ona dawała mi siłę.

Następnego dnia po tym jak rozpamiętywałem fakt oddania miłosiernego strzału do umierającego kolegi lekarza oraz po tym jak powróciła do mnie moja stłumiona osobowość, zakładałem szew po wyjęciu kuli z płuca pewnego szeregowca o nazwisku Tayler z Fali Ridge w Arkansas. Żeby dostać

się do płuc, należy odciąć żebra od kości mostkowej i odsunąć je niczym drzwi prowadzące do klatki piersiowej. Wyjąłem pocisk razem z trzecią częścią płuca Taylera, która była już objęta gangreną. Uważałem, że ma spore szanse na przeżycie, a w tamtych czasach znaczyło to bardzo dużo. Nie była to wyjątkowa operacja — chyba trzecia tego rodzaju wykonana przeze mnie w tym tygodniu. Jednakże Tayler zmarł, kiedy go szyłem. Czułem, jak zatrzymało się jego serce, przestałem nagle słyszeć szmer jego bicia, zapanowała absolutna cisza. Wtedy, chociaż poprzednio nie zwracałem uwagi na jego aurę, nigdy bowiem nie robię tego, kiedy operuję, zobaczyłem, że staje się mroczna, ciemnieje. I wtedy wielki, biały ptak zatrzepotał nad jego piersią, ten sam wielki, biały ptak, którego widziałem na polu przy śmierci Vendourisa. Uniósł się zupełnie bezgłośnie, inni patrzyli, ale nie widzieli. Sowa wyleciała przez zamknięte okno, a ja wiedziałem, iż pofrunęła do tego, który wycelował broń w małego Taylera.

Dzień później uratowałem żołnierza wyłącznie dzięki własnym palcom. Uleczyłem go w cudowny sposób. Był to Murzyn amerykański o nazwisku Washford. Murzyni służyli w Dziewięćdziesiątej Drugiej Dywizji pod dowództwem własnych oficerów; obowiązywała ich surowa segregacja. Zazwyczaj widywaliśmy ich tylko przy pracy w charakterze służących, pomocy kuchennych albo w szpitalu jako sanitariuszy. Mieli własne miejsca spotkań, własne dziewczyny, własne życie towarzyskie niedostępne dla reszty z nas. Otóż Washford dostał strzał w żebra i kula wędrowała po jego ciele, dokonując spustoszenia.

Kiedy przywieziono go na salę, Withers właśnie skończył ze swym ostatnim pacjentem. Sanitariusz położył Washforda na jego stole. Withers odwrócił się nie patrząc, umył ręce i wrócił do stołu. Wtedy znieruchomiał. ->*" ~

234

na brzegu zlały się w jedną drżącą, ciemną masę. Kiedy sn^{^c} szczyt schodów, zatrzymali się w kręgu słabego, we jego światła elektrycznej lampy i spojrzeli w dół. Cole-

Colli stał na plaży i spoglądał na jezioro. I Wiedziałeś, że był lekarzem? — zapytał Tom.

— Nis. Aie to tłumaczy, dlaczego wtedy, kiedy złamałem nie posłał po doktora. Dopiero teraz to rozumiałem. —

n^ol wsadził ręce do kieszeni i uśmiechnął się. — Gdyby źle się iło, czy coś takiego, to uleczyłby mnie tak jak tego Murzyna. ^ __' przypuszczam — powiedział Tom bez zachwytu. — Myślę że tak. — Obserwował Collinsa. Iluzjonista wyciągnął jedno ramię, jakby dawał sygnał komuś na drugim brzegu jeziora. Po chwili ręka opadła i Collins ruszył wzdłuż plaży w kierunku przystani. — Czy to możliwe, że byliśmy tam przez cały dzień?

Del przytaknął.

— Miałem nadzieję, że ją dziś zobaczę. Ale dzień już się rozplynał.

— No właśnie — potwierdził Tom. — Rozplynał się. Była dziesiąta rano. Minęła może godzina, a okazuje się, że jest jedenasta wieczór. Ukradł nam trzynaście godzin.

Del patrzył na Toma niepewny jak psie szczenię.

— Zastanawiam się, czy cokolwiek mogłoby go powstrzymać, żeby zabrać nam tydzień? Albo miesiąc? Co on robi, Usypia nas?

— Nie sędzę — odparł Del. — Uważam, że wszystko wokół nas przyśpiesza się.

— To nie ma sensu.

— Brak także sensu, gdy powiadasz, że spotkałeś braci Grinnm. — Del mówił z rozmarzeniem, ale na jego twarzy Pojawił się wyraz goryczy. — Ja też chciałbym.

— No cóż, ja nie spotkałem nigdy Humphreya Bogarta ani Maryliiii Monroe.

~~ Wujek Cole powiedział, że powinienem strzec się twej ?azurości — wybuchnął Del. — Mam na myśli... powiedział to Kiedyś, gdy byliśmy sami. Powiedział, że pewnego dnia spadnie ° na ciebie i zapragniesz mieć Krainę Cieni wyłącznie na w«sność.

opanował ochotę, żeby powiedzieć, jak Collins ocenił ^ siostrzeńca.

To brednie. Chce zepsuć naszą przyjaźń. ^ Nie, nie chce. Po prostu powiedział... j Ze ja będę zazdrosny. No dobra. — Tom zastanowił się yznał w duchu, że Collins jednak miał rację, chociaż nie

237

w dłoniach. Moje ręce w obcisłych chirurgicznych kach wyglądały jak obdarte ze skóry.

— Święta Matko Jezusowa — powtórzyła pielęgniarka twarz z kredowobiałej stawała się koloru różowego hortia ^

— Zapomnij o tym — powiedziałem. — Zapomnij o tym a widziałaś. 'Co

Uciekła z powrotem do sali operacyjnej. Wciąż nie mog]e pojąć, co się ze mną działo. Było to tak, jakby postawiono na wielkim wzniesieniu, pokazano wszystkie cuda świata i powiedziano: Możesz mieć wszystko, co zechcesz. Przez chwilę czułem, że krew uderza mi do głowy i wszystko wokół wiruje. Stopniowo wróciłem do normalnego stanu. Mogłem podnieść się i pójść do sali operacyjnej. Whithers właśnie uporał się z chłopcem na moim stole. Spojrzał na mnie z obrzydzeniem skończył zakładać szwy i wrócił do swego stołu. Tego dnia wykonałem jeszcze pięć operacji, ale nie czułem już tej mocy, która pozwoliła mi uleczyć Washforda.

Czarodziej uniósł wzrok ku górze. Noc. Tom ze zdziwieniem zobaczył, że w lesie palą się lampy, a światła na plaży rzucały wydłużone cienie drzew w stronę jeziora.

— Pora iść spać. Jutro powiem wam o moim spotkaniu z Johnem Speckle'em i o tym, co stało się po wojnie.

— Pora spać? — zdumiał się Del. — Co stało się z...? Obaj chłopcy spostrzegli równocześnie pomięte opakowania od kanapek, papierowe talerzyki pełne okruchów.

— Tak, zjedliście — oświadczył Collins. Jego twarz była pogodna, choć zmęczona.

— Byliśmy tu tylko... — Tom spojrzał na zegarek, który wskazywał jedenastą. — Tylko godzinę.

— Byliście tu cały dzień. Zobaczymy się jutro o tej samej porze. — Wstał, a oszołomieni chłopcy zrobili to samo. ~ Wiedźcie jednak, że William Vendouris, którego nazwisKO nosiłem przez pewien czas, nałożył na mnie klątwę. W nie Vendouris, pozostałbym prawdopodobnie przeciętnym zjonistą, żyjącym z dala od tego wszystkiego. ^

Tom i Del wspinali się na górę po rozchwianych stopniac***" Rozum mówił im, że zbliża się dopiero południe, lecz wszystk wokół wskazywało, że już noc: gęste, liściaste krzewy i W

236

Chodź. Chcę ich o parę rzeczy zapytać. — Skręcił do korytarzyka i otworzył masywne drzwi.

Znów nasz młody gość, Jakobie — powiedział mężczyzna z miłą twarzą.

— A za nim, czy to nie drugi mały Geist?

— Nigdy dotychczas nie był ciekawy, ten mały.

— Nigdy dotychczas nie miał przy sobie odważnego brata.

Obaj odłożyli pióra i spojrzeli pytająco na Toma, ale Tom nie wchodził do pokoju. Czuł, że Del stoi za nim na palcach i wyciąga szyję, żeby coś zobaczyć. Tym razem zamiast w zagraconej, choć przytulnej pracowni, w której spotkał ich poprzednio, obaj

mężczyźni, w surdutach i wyszukanie zawiązanych chustkach pod szyją, znajdowali się w przedziwnie, choć prawdopodobnie celowo umeblowanym pokoju. Ściany pokryte były gliną odpadającą tu i ówdzie, a na powbijanych gwoździach zwisały bluzy w kolorze khaki, czapki z daszkiem i metalowe hełmy. Do szerokiej tablicy przytwierdzone były zielono-białe zawile mapy. Na stole wspartym na kozłach stała ciężka skrzynka z korbą, leżały zwinięte mapy, zwoje papieru powiązane sznurowadłami, wojskowe nakrycia głowy, grube kurtki oraz lampa naftowa. Wokół stołu ustawiono drewniane krzesła. W tym osobliwym pomieszczeniu przy dwóch ozdobnych biurkach siedzieli dwaj mężczyźni. Kwatera wojskowa? — przyszło Tomowi do głowy. — Sztab pułku?

— Tak, chłopcze — powiedział Wilhelm. — Pozwalają nam tu pracować.

— Bo nasza praca posuwa się — oznajmił Jakob, wstając i zapraszając chłopców do pokoju.

Tom wszedł, poczuł zapach mokrej gliny i dymu z papierosów. Del wkroczył za nim. Z daleka dochodził huk strzałów armatnich.

— Posuwa się dalej, żeby toczyła się opowieść.

— Gdzie teraz jesteście? — spytał Tom.

— W Krainie Cieni — obaj bracia odparli równocześnie. — Zawsze jest to Kraina Cieni.

— Chciałem zapytać, we Francji czy w Niemczech?

— Sytuacja staje się niewyraźna — stwierdził Jakob. — Może znów będziemy musieli zmienić miejsce i przenieść się ze swoją pracą i rodzinami. Ale opowiadanie będzie miało oczywiście dalszy ciąg.

239

o Krainę Cieni był zazdrosny, ale o Różę Armstrong. — co? Chcesz poznać braci Grimm?

— Zarazi W tej chwili? — Delowi wydawało się to podejrzan.

— Tak,

— Jesteś pewny, że to będzie w porządku?

— Niczego nie jestem pewny. Nie wiem nawet, czy oni tam będą.

— Gdzie?

— Zobaczysz.

Del wzruszył ramionami.

— Dobrze.

— No, to chodź.

Del zakłopotany spojrzął na plażę. Collins zniknął w budynku na przystani. Podążył za Tomem przez rozsuwane drzwi do bawialni.

— Chyba naprawdę powinniśmy iść spać — powiedział nerwowo Del.

— Możesz iść, jeśli chcesz. — Tomowi zrobiło się przykro, że był taki szorstki, więc zapytał: — Jesteś zmęczony?

— Nie bardzo.

— Ja również. Mam wrażenie, że jest jedenasta przed południem.

Powiedział to na przekór temu, co widzieli obaj. Kraina Cieni wydawała się uśpiona, pomimo że jej główni mieszkańcy nie byli jeszcze w łóżkach. Tylko koło kanapki paliła się jedna lampa, na dywanie widoczne były ślady po odkurzaczu, na stolikach lśniły popielniczki. Tom przeszedł przez mroczny pokój, mając nikłą nadzieję, że zobaczy, jak Elena poleruje meble.

— Na górę? — spytał Del.

— O, nie. — Tom zatrzymał się w miejscu, gdzie krótki

korytarz łączył się z holem prowadzącym do teatrów.

— Och, nie — zaprotestował Del. — Tego nam nie wolno.

— Ja już tam byłem.

— I on cię widział?

— Czekał na mnie, gdy wychodziłem.

— Był wściekły?

— Chyba tak. Ale nic się nie stało. Widziałeś, jaki był dzisiaj.

Może nawet o tym zapomniał. Był pijany. Del, on chce, żebyśmy ich zobaczyli. Po to tutaj są.

— Siedzą tam po prostu? Czy można z nimi rozmawiać?

— Można. Sami są wręcz gadatliwi — oświadczył Tom. —

238

zających kryją się dowcipy, a wiele żartów może zmrozić serce.

Tom nagle poczuł obawę. Ci mężczyźni byli tacy ogromni i nagle życzliwość zniknęła z ich twarzy.

— Jeśli chodzi o twą drugą uwagę — ciągnął Jakob — to czy wiecie, co myszka zaśpiewała królikowi?

Pokręcili głowami.

— W takim razie posłuchajcie. — Bracia stanęli przed swymi biurkami, ugięli lekko nogi w kolanach, przechylili głowy do tyłu i zaśpiewali:

Wśród rupieci na śmietniku, gdzieś na dnie Była puszka zardzewiała, a w niej kostki cukru dwie. Puszke precz rzuciłam, kostki cukru zjadłam, Całą noc hulałam, wcale się nie kładłam.

Nagle światła zgasły. W sekundę później nastąpiła potężna eksplozja. Tynk począł się sypać na głowę Toma. Cały pokój zatrzęsł się i Tom stracił równowagę. Czyjeś ręce brutalnie pchnęły go na Dela. Owionął go zapach kielbasy, dymu i kwaśny oddech po wódce. Ktoś szeptał mu do ucha:

— Czy myszka nałożyła klątwę na kostki cukru, chłopcze?

A może na królika? — Ręce popychały go do tyłu. Del, stojący za nim, potknął się i kopnął go w nogę. Ze ścian z brzękiem i łoskotem spadały różne rzeczy. Twarz mężczyzny znajdowała się tuż przy twarzy Toma. — Wśród rupieci na śmietniku znalazłem chłopczyka, gdzieś na dnie... potem nikt już nie zobaczył ani jego, ani mnie.

Otworzyła się przed nim pusta przestrzeń, którą raczej poczuł aniżeli zobaczył, usłyszał oddalające się pośpiesznie kroki.

— Wynoszę się stąd! — zawołał Del zdjęty grozą i zaczął wycofywać się w stronę drzwi.

Tom sięgnął do klamki, ale Del chwycił go za łokieć. Drzwi zatrzęsły się.

— Oszalałeś?! — wykrzyknął Del. Jego twarz była zielona jak wojskowy koc.

— Chciałem zajrzeć — powiedział Tom. — Chciałem zobaczyć więcej niż on chce, żebyśmy zobaczyli.

— Nie możesz mu się przeciwstawiać — oświadczył Del. — Tego nie należy robić.

— Och, Del.

— Ja wolę, żeby nie widział, jak stąd wychodzimy.

Tom pomyślał, że on również wolałby, żeby Collins nie zo-

241

— Nawet, jeśli Europa umiera, bracie?

— Wróble poświęciły swoje głosy.

— Ich wolna wola.

Del patrzył na obu mężczyzn jak zaczarowany.

— Zawsze można was tutaj znaleźć?

Wilhelm skinął głową na znak potwierdzenia.

— Zawsze. Znamy cię, chłopcze.

— Chcę was o coś zapytać — odezwał się Tom, a bracia zwrócili ku niemu twarze uprzejmie i z zainteresowaniem.

W oddali trwała przytłumiona, lecz wyraźna kanonada.

— Zapewne w tym celu tu przyszedłeś — rzekł Jakob.

Tom zawałał się.

— Znacie wyrażenie „nałożyć na coś klątwę”?

— Nie jest to wyrażenie, jakiego my używamy, lecz znamy je — odparł Jakob. Wyraz jego twarzy mówił: idź dalej w tym kierunku, chłopcze.

— No dobrze. A czy wujek Dela nałożył klątwę na tamten pociąg? Czy to on spowodował, że pociąg wykoleił się?

— Oczywiście — potwierdził Jakob. — Ależ z ciebie bystry chłopiec. To on nałożył na pociąg klątwę i sprawił, że się wykoleił. A zrobił to ze względu na tę opowieść, w której i ty bierzesz udział.

Tom zdał sobie sprawę, że drży. Dwa pociski eksplodowały bardzo blisko i ze ścian posypał się pył.

— Mam jeszcze jedno pytanie — oznajmił.

— Ależ naturalnie, moje dziecko — powiedział Jakob. — Chcesz dowiedzieć się o Kolekcjonerze.

— Tak — przyznał Tom. — Czy Kolekcjoner to Szkielec Ridpath? — Zauważył, że drugi z braci, Wilhelm, stłumił śmiech.

— Ze względu na twoją historię — powiedział Jakob — ze względu na twoją historię jest nim rzeczywiście.

— Czekajcie — wtrącił się Del. — Nie rozumiem. Kolekcjoner to Szkielec Ridpath? To przecież żarty, to manekin... jest tutaj od lat.

— Każdy może być włączony do kolekcji w każdej chwili — oznajmił Wilhelm. ~"

— Ale to przecież żart — upierał się Del. — I nie wierzę, że mój wujek doprowadził do katastrofy pociągu. Nie zrobiłby czegoś podobnego.

Wilhelm zapytał:

— Znasz naszą bajkę o chłopcu, któremu nie było wolno zadrzeć? Też jest żartobliwa. Ale też pełno w niej rzeczy niesłychanie przerażających. W wielu rzeczach przera-

240

ozyskać dla siebie. I on starał się pokazać mi, jaki ty S^o yaWdę jesteś. — Del potrząsnął zaciśniętymi pięściami, "kącikach oczu pojawiły mu się łzy i zniknęły za drzwiami swego pokoju.

Tom z posępną miną poszedł do siebie.

8

Zasnął natychmiast, a sny miał bardziej koszarne niż te, o których relacje ukazywały się na

tablicy ogłoszeń w Szkole Carson. Śniło mu się, że na zaimprovizowanej sali operacyjnej dokonywał operacji na zmarłym. Wiedział, że ten człowiek nie żyje, ale nie mógł przyznać się do tego wobec osób zgromadzonych wokół stołu. Uważano go za chirurga, nie miał jednak pojęcia, w jaki sposób ten człowiek został zabity i nie wiedział, co ma robić. Narzędzia, które trzymał, były mu całkowicie nieznane.

— W jego jelitach, gdzieś na dnie... — szeptała pielęgniarka o blond włosach i nieruchomych oczach. — Włączony do kolekcji. Czy był włączony do kolekcji? Czy był?

Coś poruszyło się pod jego zakrwawionymi rękami i jak zabawka na sprężynce z otwartej klatki piersiowej wysunęła się łysa głowa sępa. Załopotwały ogromne skrzydła.

— Chcę zobaczyć — prosił Tom płaczliwym głosem pielęgniarkę, pomimo iż wiedział, że za żadne skarby nie chce zobaczyć.

Coleman Collins, ubrany w aksamitną, czerwoną bonzurkę, pochylił się ku niemu.

— Chodź ze mną, chłopcze, chodź ze mną, chodź...

Szkielet Ridpath, którego wieku nie można było określić, siedział rozparty w fotelu, trzymał w ręku szklaną sowę, a z oczu płynęła mu krew...

W jasno oświetlonym korytarzu stał Murzyn o dobrotliwej, Poważnej twarzy i z wdziękiem czarodzieja trzymał prawdziwą sowę. Oczy sowy lśniły jak brylanty. Patrzyła na niego.

— Wpuśćmy go — powiedział czarodziej.

— Wpuść mnie — rozkazała sowa.

Tom poruszył się i wreszcie uświadomił sobie, że to czyjś za drzwiami mówił:

— Wpuść mnie. Wpuść mnie. — Przypomniał sobie, że mCzczyzną we śnie, który trzymał sowę, był Bud Copeland. Proszę cię — nalegał głos za drzwiami.

243

baczył go za tymi drzwiami. Del w ogóle zatracił się, w oczach malował mu się strach.

— No, dobrze. Chodźmy na górę — powiedział Tom.

— Nie potrzebne mi twoje pozwolenie.

Chłopcy wyjrzeni przez wielkie okno w korytarzu prowadzącym do ich pokoi i zobaczyli Colemana Collinsa wchodzącego na ostatnie stopnie żelaznych schodów. Jego postać oświetlona lampą na podeście rzucała długi cień na kamienne płyty chodnika.

— Dobrze, że cały czas był na dole — wyszeptał Del.

— Wiedział, gdzie byliśmy. Przecież to jego dziełem były te efekty dźwiękowe.

— W takim razie zrobiliśmy błąd, wchodząc do tego pokoju. Żałuję teraz, że się zgodziłem. — Spojrzał ze złością na Toma. — Byłeś moim najlepszym przyjacielem, ale myślę, że on ciebie słusznie ocenił. Jesteś zazdrosny. Chcesz, żebym stracił jego zaufanie.

— Nie... — Tom próbował zaprzeczyć, ale był zbyt skonsterowany. Po groźbach jednego z braci Grimm napaść Dela odebrała mu wprost mowę. — Nie teraz — to było wszystko, co zdołał z siebie wydobyć.

Del odsunął się od niego.

— Mówisz jak dziewczyna. — Gdy doszedł do drzwi, odwrócił się, by znów spojrzeć na Toma. — I zachowujesz się tak, jakbyś to ty był tu właścicielem. To ja powinienem ci wszystko pokazywać, a nie odwrotnie.

— Del — powiedział Tom błagalnie, ale ten skrzywił się wyraźnie urażony.

— Chcesz coś wiedzieć, bracie? Coś, czego nigdy ci nie powiedziałem? Sądzę, że pamiętasz, jak mój wujek pojawił się w Arizonie, wtedy na meczu piłki nożnej w Ventnor? Nigdy z tobą o tym nie rozmawiałem, a wiesz, dlaczego?

— Ponieważ on wprawił cię w zakłopotanie — odpowiedział Tom, szczęśliwy, że znów znalazł się na pewnym gruncie. — Ponieważ nie wypytywałem cię dość natarczywie o niego. A on był tutaj, a nie tam i...

— Zamknij się. Zamknij się wreszcie. Widziałem cię z nim, bałwanie. Byłeś koło niego, siedłeś razem z nim. Sam to widziałem, do diabła. Teraz wiem, dlaczego. Zawsze chciałeś

Przedtem to była zabawa. Nie uprzał się tak często. Nie 7~\ ie i nie był taki podniecony. Teraz jest tak, jakby tracił ^° ba kontrolę. Przeraza mnie. Tego lata wszystko jest in-nad S<vsriedziałabym szalone. Tak jakby jakaś maszyna obraca-"e'^szybciej i szybciej, sypała iskrami i dymiała, gotowa lada i3wUa wybuchnąć. Przynajmniej mnie tak się wydaje. ch __ Q0 ja mogę mieć z tym wspólnego?

Spojrzał na nią, jakby była wyrocznią. Jej kolana były (jkie a błyszczące włosy miała zaczesane do tyłu. Nawet 8 osób, w jaki mówiła wydawał mu się niezwykle, miała nosowy akcent z Vermont, połykała końcówki wyrazów. Nagle ;ego własny głos wydał mu się nieprzyjemny i matowy.

Myślę, że jest o ciebie zazdrosny. Widzi w tobie coś i twierdzi, iż jesteś zbyt młody, żebyś sam mógł to dojrzeć. Mógłbyś być lepszy niż on. Pragnie zawładnąć tobą. Chce, żebyś tu został na zawsze. Od chwili, gdy Del pierwszy raz wspomniał o tobie, wciąż mówi na twój temat. Sama słyszałam wiele razy jeszcze w zimie i wiosną. Bez przerwy rozprawiał o tobie i o Delu.

Obdarzyła go nic nie mówiącym spojrzeniem, które jednak przeniknęło głęboko i nagle ujrzał siebie, jak wysiłkiem umysłu unosi wielką kłodę i sprawia, iż wiruje ona nieprzytomnie w powietrzu.

— Naprawdę uważam, że powinieneś się stąd wydostać. Nie mówię tylko dlatego, że chcę, abyś mi pomógł.

— Naprawdę potrzebna jest ci pomoc?

— Och, bo... — Spojrzała na niego bacznie. — Czy mógłbyś wstać z tej śmiesznej podłogi i usiąść tutaj? — Wskazała wzrokiem łóżko.

Wykonał posłusznie, co mu poleciła. Kiedy usadowił się na brzegu łóżka, jej zdumiewająca twarz była tuż, blisko. Jej oczy, szeroko otwarte, nakrapiane bladoniebieskimi, złotymi i zielonymi cętkami, fascynowały go. — Potrzebuję pomocy, ponie-i przerażona. To ci mężczyźni...

Wspomniałeś o nich w pokoju Dela, gdy widzieliśmy się pierwszy raz. ~ Sprawiają ci jakieś kłopoty?

ws ~trueJe takie niebezpieczeństwo. Mogą posunąć się do ich eg°' Wiesz> Jacy sa.- To zwierzęta. Pan Collins zwykle miał różn U' ^e te^° ^ata zostawił icn samych sobie. Wykonują _ . Prace... dla niego, no, wiesz... ale obawiam się, że jak będą ' wolnych dni... — Nerwowo odgarnęła włosy. — Wiedzą, 'szkam. Pyą bardzo dużo. Dawniej pan Collins nie pojęto- Nigdy ich nie lubiłam. Ale wtedy byłam mała, byłam — Wyciągnięcie wniosku pozostawiła Tomowi.

245

— Dobrze, zaraz — powiedział Tom. — Kto tam?

— Proszę cię.

Tom zapalił nocną lampkę, wsunął nogi w dżinsy i narz koszulę na ramiona. Poczłapał do drzwi i otworzył je w „Uc^ nym korytarzu stała Róża Armstrong.

— Chciałam się z tobą zobaczyć — powiedziała. Tu jest odpowiednie miejsce dla ciebie.

— Nie musisz mi tego mówić — oświadczył Tom. Mi nie miła świadomość, że jego włosy są potargane, a piersi goł że twarz jest jeszcze zmartwiała ze snu. Róża wyminęła P0 i weszła do pokoju.

— Biedny, nieprzystępny Tom — powiedziała. — Muszę się stąd wydostać i chcę, żebyście mi, ty i Del, pomogli.

Teraz Tom już zupełnie obudził się, sny rozwiały się jak mgła i pozostała tylko ta śliczna dziewczyna z na wpół dorosłą twarzą, w żółtej bluzce i zielonej spódnicy. Kolory Carson, przyszło mu na myśl.

— Nie myślę, żeby natychmiast, bo to niemożliwe — wy jaśniła. — Ale wkrótce. Jak tylko nadarzy się okazja. Pomożesz mi?

— A Del? Czy on pomoże? — spytał. Znał powód przypuszczalnej odmowy Dela. — Nie wiem zbyt dużo o Colemanie Collinsie, ale założę się, że jeśli Del odjedzie stąd, to już nigdy nie będzie mógł powrócić,

— Może w ogóle nie powinien tego pragnąć? Mogę usiąść?

— Och, naturalnie, przepraszam. — Obserwował, jak podeszła do krzesła i wdzięcznie usiadła, cały czas nie spuszczać z niego wzroku. Była odprężona, a może po prostu miała taką twarz, na której nie odbijało się ani oczekiwanie, ani zawód. Jej obecność w pokoju sprawiała, że był zdenerwowany, ona natomiast wydawała się spokojna, chociaż to co powiedziała, musiało wymagać od niej wiele odwagi.

— Mówiłaś, że wszystko zawdzięczasz Collinsowi — przy" pomniał jej Tom. Usiadł na podłodze, bo oprócz łóżka nie by*0 gdzie.

— To prawda, ale on tak bardzo się zmienił. W tym wszystko jest inaczej, ponieważ ty tu jesteś. Tak myślę.

— Jak to jest inaczej?

Spuściła wzrok i patrzyła na swoje małe ręce.

244

Przysunęła się bliżej i jej twarz przesłoniła Tomowi cały pokój, wielka, enigmatyczna i piękna jak twarz modelki na afiszu. Gdy spotkały się ich usta, cała istota Toma skoncentrowała się na tych paru centymetrach skóry wokół jej warg. Instynktownie, chociaż niezręcznie, objął ją ramionami. Odsunęła się.

— Nie uwierzysz mi, ale od pierwszej chwili pragnęłam cię pocałować.

— Myślałam, że ty i Del...

— Del jest małym chłopcem — powtórzyła i znów się pocałowali. — Możemy czasem spotykać się poza domem. Powiem ci, gdzie i kiedy. Załatwię to. I już wiem, w jaki sposób uciekniemy. Pan Collins zamierza wkrótce dać wielkie przed stawienie... coś wspaniałego... Jeżeli ty i Del pomożecie, będzie my mogli wtedy wymknąć się.

— I dokąd pójdziemy?

— Do miasteczka. A stamtąd możemy udać się wszędzie.

W Hilly Vale będziemy bezpieczni.

— Muszę wysłać list.

— Daj Elenie. Tylko ona chodzi do miasteczka. — Róża wstała i obciągnęła spódniczkę. — Pamiętaj, bądź ostrożny.

I nie zwracaj uwagi na nic, co będę robiła... robię tylko dlatego, że muszę. On mnie zmusza. Czekał na wiadomość ode mnie.

Przyrzekasz?

— Przyrzekam.

— I ufasz mi?

— Tak. Ufam.

— Od tej chwili musimy nawzajem sobie ufać.

Tom potaknął, ona uśmiechnęła się leciutko i wyszła z pokoju.

W chwilę potem Tom stanął na balkonie. Powietrze było ciepłe i pachnące. Patrzył, jak Róża oddalała się w stronę lasu koło jeziora. Zniknęła wśród drzew i znów pojawiła się w kręgu światła. Wówczas pomachała mu ręką. On również zwrócił się z gestem pożegnania w stronę drobnej, lecz o zdecydowanych ruchach, postaci.

10

Potem nie mógł już zasnąć. Wciąż pamiętał jej twarz, bliską i piękną. To, że pozwoliła mu pocałować się, było cudownym darem. Jednak były to pocałunki zupełnie inne od pocałunków

247

— Czemu po prostu nie wyjedziesz?

— Podejrzewam, że stale ktoś mnie obserwuje. Niekiedy, oczywiście, udaje mi się wymknąć i przepłynąć jezioro. Po zwalają mi pływać. Dziś musiałam porobić sprawunki w mieś cie, więc zgodzili się, żebym pojechała. Wiedzą, że czasami rozmawiam z Delem. To też im nie przeszkadza. Śmieją się z tego. — Jej twarz na moment stężała. — Nienawidzę ich.

Naprawdę nienawidzę. Gdyby pan Collins był taki jak dawniej, wszystko byłoby w porządku, ale... — Nie skończyła zdania. —

Musiałam ci powiedzieć o tym wszystkim. Chcesz stąd odejść?

— Musiałbym zaufać ci — odparł Tom.

— Och, masz na myśli, że to jakaś pułapka, sztuczka magiczna?

Tom potaknął.

— Tutaj wszystko to sztuczki kuglarskie.

— No cóż, ale czy mi jednak ufasz? Co mogę powiedzieć, żebyś poczuł, że... — Zarumieniła się. — Tom, jestem taka samotna.

Lubię cię. Chcę cię lepiej poznać. Cieszę się, że przyjechałeś tutaj. Uważam, że moglibyśmy wzajemnie sobie pomóc.

— W takim razie chyba ci zaufam — powiedział Tom, choć w istocie wydawało mu się niemożliwe, by nie ufać jej.

Uśmiechnęła się.

— Byłoby straszne, gdybyś we mnie wątpił. Chcę pomóc, Tom. Chcę pomóc nam.

Nam. To słowo wraz z jej spojrzeniem na wpół śmiałym, na wpół wstydlwym trafiło go jak strzała w samo serce.

— Del ma o tobie bardzo wysokie mniemanie — powiedział.

— Ja również bardzo go szanuję.

— Chciałem powiedzieć, że on cię ogromnie lubi.

— Del jest jeszcze chłopcem — oświadczyła Róża, patrząc

mu prosto w oczy, a Tom poczuł, że zakołysał się cały wszech świat i zachwiały się jego zasady moralne. — Fizycznie jest małym chłopcem, ale niezmiernie przemądrzałym. To z powodu wychowania, jakie otrzymał. W rzeczywistości jesteś o wiele starszy od Dela. Była to pierwsza rzecz, jaką zauważyłam, kiedy cię poznałam, poza tym, że byłeś taki nieprzystępny.

— Nieprzystępny? Byłem zdenerwowany jak żółtodziób. Roześmiała się. Potem, z twarzą zwróconą ku niemu pochyliła się i ujęła go za rękę. Na policzki wypłynął jej rumieniec.

— Tomie, moje życie jest takie dziwne... proszę, byś mnie ratował. To pewnie brzmi głupio... jakbym była księżniczką z bajki. Zaledwie cię znam, a czuję, że jesteśmy sobie bliscy. Musisz przekonać Dela, żeby opuścił swego wuja, nawet jeśli to złamie mu serce...

246

Włożył list do koperty, napisał adres hotelu w Londynie, w którym zatrzymała się Rachela Flanagan, wykaligrafował: POCZTA LOTNICZA i PROSZĘ WYSŁAĆ, na wszelki wypadek, i położył kopertę na biurku. Wpatrując się w nią, utwierdzał się w przekonaniu, że musi skłonić Dela, aby opuścił Krainę Cieni, pomyślał, że teraz naprawdę był zdrajcą, tak jak powiedział czarodziej. Mógł zostać czarodziejem bez pomocy Colemana Collinsa, podobnie Del. Nie potrzebował zamykać się w fortecy i terminować u szalonego alkoholika... Takie myśli chodziły mu po głowie, chociaż nie chciał ich do siebie dopuszczać. W pewnym stopniu był zafascynowany Krainą Cieni i zaintrygowany istnieniem sił, które Coleman Collins usiłował w nim obudzić. „Jesteś akurat w odpowiednim wieku... Dwa i pół miesiąca to nie tak długo”. Pokusa była wciąż żywa, szczególnie po tym, jak widział Collinsa przy pracy. Każde zajęcie, poza zawodem iluzjonisty, wydawało mu się teraz nudne i bezbarwne.

Tom ubrał się, wiedział, że już nie będzie mógł zasnąć. Włożył kopertę do portfela, a portfel do kieszeni spodni. Przez jakiś czas spacerował po pokoju. Miał świadomość, że zamierzał coś zrobić, ale nie pamiętał co, ponieważ Róża Armstrong wypełniła całkowicie jego myśli. Chciał coś zobaczyć... tyle tylko zdołał sobie przypomnieć.

Usiadł ciężko na krzesło, na krzesło, na którym ona siedziała, i wziął książkę. Starał się zainteresować tym, co robił Nero Wolfe w oranżerii, w kuchni i w biurze, przeczytał jednak tylko z dziesięć stron i dał spokój. Uporządkowany, rozgadany świat dorosłych nie był jego światem. Zaburzało mu w brzuchu. Postanowił zejść na dół i pomyszkować w lodówce. Tego Collins nie zabraniał.

Zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem. Pokój czarodzieja był ciemny. Jak było wewnątrz? Czy równie nieprzytulnie jak w pokoju Toma? A może tak jak w pokoju Dela u niego w domu — pełno fotografii i akcesoriów służących do wykonywania sztuk magicznych? Jednak nie miał ochoty sprawdzić.

Zszedł po schodach, minął w ciemności zakręt i znalazł się w obszernym holu. Tym razem przypomniał sobie, żeby przystanąć przed afiszami. Jeden reklamował ozdobną czcionką: WIECZÓR ZACHWYCAJĄCYCH SZTUK MAGICZNYCH w Teatrze Rozrywki w Dublinie. W połowie listy wykonawców Tom Przeczytał: HERBIE BUTTER — zdumiewający iluzjonista i akrobata. Poniżej czcionką tej samej wielkości wydrukowano: oraz SPECKLE JOHN, mistrz czarnej magii. Pod tym, trochę większymi literami: WSTRZĄSAJĄCE POKAZY ILUZJI, ZAPIERAJĄCA DECH WIEDZA OKULTYSTYCZNA. Na sa-

249

(i.
UI

Jenny Oliver lub Dianę Darling. Róża Armstrong była poza jego wszelkimi doświadczeniami pod każdym względem. Otaczała ją tajemnica, a skutek tego każde jej słowo i każdy gest nabierały wyjątkowego znaczenia. Jej rozmarzona, zadumana, urodziwa twarz, majająca przed nim, nie tyle prosiła o zaufanie, co domagała się go; w pewien sposób była ona istotną treścią Krainy Cieni. Była czymś nieoczekiwanym, czymś podobnym do snu. Całowanie się z Różą Armstrong było o wiele przyjemniejsze niż całowanie się z którąkolwiek z dawniej znanych dziewcząt. Jej usta były czułe, wrażliwe i namiętne.

Leżał na wąskim łóżku i rozmyślał. Co mu obiecywała? „Del jest małym chłopcem”. Nie był w stanie myśleć o tym, że ona znajduje się w towarzystwie brutalni pana Peeta, a jednak obraz ten trwał perwersyjnie w jego wyobraźni. Kiedy tylko zamknął oczy, widział, jak Ziarno i Cierń, brzuchaci i brodaci, przysuwali się do niej. Potem widział ją płynącą miarowo w ciemnych wodach jeziora.

Po półgodzinie odrzucił przykrycie i wstał. Czuł się zniecierpliwiony, uwięziony w tym pokoju. Nie mając nic do roboty, postanowił napisać do matki. Arkusiki papieru i koperty leżały pod klapą biurka. Wciąż w bieliźnie, usiadł i napisał:

Kochana Mamo,

Bardzo za Tobą tęsknię. Brak mi też Taty, tak jakby żył i jakbym miał wkrótce wrócić do domu i znów go zobaczyć. Chyba długo jeszcze będę miał takie uczucie.

Del i ja przybyliśmy bezpiecznie, ale pociąg jadący przed nami miał okropną katastrofę. To jest najdziwniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić. Wujek Dela jest takim wspaniałym iluzjonistą, że aż się kręci w głowie. Stale powtarza, że ja również mógłbym zostać dobrym czarodziejem, aleja nie chcę być taki jak on.

Pragnę wrócić do domu. To nie tylko tęsknota. Mówię prawdę. Gdyby udało nam się stąd wydostać, to czy załatwisz wszystko tak, żebym przyjechał do domu? W ciągu dwóch tygodni pewnie nie zdąży przyjąć list od Ciebie, ale proszę Cię...

To było do kitu. Zgniółł papier i wrzucił do kosza na śmieci.

Kochana Mamo, "

Wy tłumaczę Ci później wszystko, ale Del i ja musimy wydostać się z tego miejsca.

Czy mogłabyś skrócić swą podróż i wrócić wcześniej, niż planowałaś? Wyślij mi depeszę. To pilne. Nie żartuję i nie jest to tylko tęsknota za domem.

#?•- Całuję Cię, Tom

248

— Mama? Twoja mama?

Kiwnął głową.

Proszę, Eleno. Pomóż mi.

Okay. Poczta. — Wyrwała mu kopertę i schowała w fartuchu. Potem przeszła koło niego bez słowa.

A więc to zostało załatwione. Jeszcze najwyżej dwa tygodnie j on, Del oraz Róża opuszczą Krainę Cieni.

11

Tom zapalił w kuchni światło. Zarówno piec, jak i lodówka były wielkich rozmiarów, a wykonano je ze stali. Widywał takie w restauracjach. Gdy otworzył podwójne drzwi lodówki, ujrzał stopy kotletów, pieczone szynki, główki sałaty, torby pomidorów i ogórków, słoje majonezu, wielkie sztufady. To wszystko dla jednego mężczyzny i jego gospodyni? A restauracyjne wyposażenie kuchni? Oczywiście, było to również dla pana Peeta i jego kompanów, a nie tylko dla Collinsa i Eleny. Tom znalazł w szufladzie długi nóż z kościanym trzonkiem i zakrzywionym ostrzem i odkroił kawał szynki.

Jedząc przypomniał sobie, co chciał zrobić i na myśl o tym szynka nieomal utkwiała mu w gardle. Postanowił bowiem raz jeszcze zobaczyć Kolekcjonera w lustrze w łazience. Bracia Grimm

powiedzieli przecież, że jest on tam ze względu na niego.

Del twierdził, że twarz ta pojawia się i zbliża do twojej, a potem cofa się. Był to ponury żart, żart z Krainy Cieni. Tom chciał przekonać się, czy ta straszna twarz rzeczywiście podobna jest do Szkieleta Ridpatha. Chciał to sprawdzić, chociaż bardzo się bał.

Wyszedł z kuchni i powoli przeszedł korytarzem do drzwi łazienki. Był zdenerwowany. Teraz pomysł zaznajomienia się z makabryczną sztuczką Collinsa wydał mu się idiotyczny. Być może jednak nie, rozważał dalej, ponieważ, jeśli przekona się, że Kolekcjoner nie przypomina Szkieleta Ridpatha, to wreszcie uwolni się od wrażenia, iż Del i on nawet tutaj są w jakiś sposób związani ze Szkieletem Ridpathem. Miał nadzieję, że wraz z kończącymi egzaminami ich drogi rozeszły się ostatecznie. Z pewnością tak się stało, zapewniał sam siebie, kładąc rękę na gałce u drzwi. Wtedy przypomniał sobie dzień, kiedy rozpoczął szkołę i Szkielet, ośmioklasista, powalił go na boisku i po-

251

mym dole listy przeważnie irlandzkich nazwisk widniało-Niezwykły Pan Peet i Włóczędzy — muzyka i szaleństwo Wśród ornamentów u góry plakatu Tom wyszukał datę: 21 lipca 1921 roku.

Afisz obok był w języku francuskim, przedstawiał iluzjonistę w czarnym kapeluszu wyłaniającego się z kłębu dymu. Czy to stąd zaczerpnął Del pomysł rozpoczęcia ich przedstawienia? MONSIEUR HERBIE BUTTER, UORIGINAL. AVEC SP& CKLE JOHN. Ten nosił datę 15 maja 1921 roku.

Inne plakaty pochodziły z Londynu, Rzymu, Paryża po raz wtóry, Berna, Florencji. Na niektórych nazwisko Speckle Johna poprzedzało Herbiego Buttera. Pan Peet i Włóczędzy figurowali na większości z nich. Daty przedstawień obejmowały okres od 1919 do 1924 roku.

Ostatni afisz z Teatru Letniego w Londynie oznajmiał: Pożegnalne przedstawienie schodzącego ze sceny ulubieńca publiczności Herbiego Buttera. Gwarantowane wzruszenia, niespodzianki, dreszcz emocji. Tutaj przedstawiony był przystojny, młody mężczyzna we fraku, unoszący się nad zdumioną widownią. Miał ramiona wyciągnięte do przodu i złączone nogi niczym nurkujący pływak. Pod ilustracją widniała informacja, iż wystąpi również Pan Peet i Włóczędzy, a także ukaże się Kolekcjoner. Zademonstrowane będzie odczytywanie myśli, pogwałcenie prawa ciężkości. Ogień. Łód. Zdumiewający Kolekcjoner! Fenomen niewidzialność! Niespotykane czary — Sztuki magiczne nigdy nie pokazywane na angielskiej scenie! Magiczna ekstrawagancja! Plakat nosił datę 27 sierpnia 1924 roku.

Nagle Tom usłyszał za sobą szelest, ktoś wyszedł z salonu do holu. Tomowi zaparło dech, odwrócił się. Ujrzał Elenę. Spojrzała na niego groźnie i zniknęła w salonie.

— Eleno! — zawołał Tom. — Poczekaj! — Wbiegł przez hol do pokoju. Kobieta przycupnęła za kanapą, osłaniając się rękoma. Była przerażona. Tom zatrzymał się, podniósł ręce, ukazując puste dłonie.

— Proszę — powiedział.

Wbiła w niego swe czarne oczy, powoli opuściła ręce, ale wyraz twarzy nie uległ zmianie. Tom wyjął portfel i pokazał jej list. **

— Poczta. Wyślesz mi to?

Spojrzała na list w jego rękę.

— Poczta?

— Si. Da. Tak. Proszę.

Elena wskazała palcem list.

250

zawołał Tom, dobywając z trudem głos. Upiorna twarz zareagowała na ten okrzyk i z wykrzywio-ch ust pociekła ślina. Kolekcjoner był ślepy. Grymas ust dślonił czerwoczną jamę pozbawione zębów. Utrzymując °ie w równowadze na brzegu umywalki, postawił jedną, potem

drugą nogę na P°dłodze-

Tom rzucił się do wyjścia, czuł za sobą Kolekcjonera, uchylił drzwi, wymknął się na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Słyszał po drugiej stronie szuranie nogami po podłodze.

Zebrał wszystkie siły i trzymał drzwi. W jednej chwili świat stanął do góry Rugami, a w głowie miał pustkę. Czuł delikatny nacisk od wewnątrz, potem mocniejsze pchnięcie, któremu prawie uległ. Rozpaczliwie podparł drzwi ramieniem i przyłożył do nich policzek. Słyszał, jak coś mu gwizdże w krtani. Myślał tylko o jednym — nie dopuścić do otwarcia drzwi. Następne pchnięcie spowodowało, że zachwiał się, ale zdołał utrzymać się na nogach. Kiedy Szkielet ponownie usiłował wydostać się z łazienki, udało mu się uchylić drzwi na parę cali, lecz Tom zdołał znów je zatrzasnąć.

Wyobrażał sobie, że będzie stał tu całą noc, by nie wypuścić Szkieleta z łazienki.

Kolejne uderzenie zważyło go z nóg, a drzwi otworzyły się. Na progu stał Kolekcjoner, ręce mu zwisały, a głowa chwiała się z boku na bok. Miał na sobie wiekowy, czarny garnitur z purpurowym połyskiem. Ruszył naprzód.

Tom skulił się, ale natychmiast wstał, robiąc tyle hałasu, że od razu skierował na siebie uwagę. Twarz Kolekcjonera wykrzywił pusty uśmiech.

— Wspaniała zabawa — wyszeptał głosem Szkieleta. Posuwał się do przodu. — Mówiłem ci, żebyś trzymał się z daleka od tego fortepianu. Zdejmuj tę elegancką koszulkę. Chcę zobaczyć gołe ciało.

?łóm puścił się biegiem przez hol.

— Flanagini! Flanagini! FLAAAAANAGINNNIII!

Tom dysząc, skręcił do bawialni. Skryć się za kanapą? Za kotarą? Nie mógł się skupić. Obrazy różnych kryjówek, jednak zbyt małych, by mógł się w nie zmieścić, kłębiły mu się w głowie. Przyszła mu na myśl Róża Armstrong... Ależ tak, pomyślał Tom z przerażeniem, Róża chciała wydostać się z Krainy Cieni, a Szkielet z lustra. Jasne.

— Widziałem twoją sowę, Vendouris — wyszeptał jakiś głos za nim. — Jesteś mój.

Tom odwrócił się i ujrzał purpurowego Szkieleta sunącego ku niemu. Wydał jakiś pisk i uskoczył na bok. Szkielet wy-

253

III

nownie przewrócił, gdy próbował wstać. „Ty mały, ga^ irlandzki śmieciu” — powtarzał bez opamiętania, oczy błysk, czały mu dziko. Bił go po twarzy, śliniąc się z radości, uderzył go w nos tak mocno, że aż puściła się krew. Tom próbował bronić się, lecz bezskutecznie. Szkielet był starszy o trzy lata, by) silniejszy i śmiał się z niego. Trwałoby to w nieskończoność gdyby jeden z nauczycieli nie odciągnął Szkieleta i nie odesłał do domu.

Upokorzenie było gorsze od bólu. Ból ustąpił, ale Szkielet Ridpath codziennie przychodził do szkoły i dręczył Torna samym spojrzeniem. Na długo przed przybyciem Dela do Carson, Tom czuł się zaszczuty przez tego chudego, o pająko-watych rękach i nogach chłopaka będącego synem nauczyciela wychowania fizycznego. Jednak nie poddał się. Starał się dorównać mu podczas zawodów rozgrywanych pomiędzy starszymi i młodszymi uczniami. Nieraz udawało mu się być nawet lepszym od Szkieleta, co później pomogło przeciwstawić się mu, kiedy pojawiły się kłopoty z Delem.

No dobrze. Przełknął ślinę, przypomniał sobie, że to tylko żart, że Del patrzył w to lustro setki razy i otworzył drzwi. Zapalił światło. Z lustra spojrziała na niego własna, strapiona twarz. Guziczek, którym przywoływało się Kolekcjonera, był tuż koło włącznika światła. „To po prostu przybliżyła się, a potem rozplywa w lustrze”. Zacerpnął powietrza i przycisnął guzik.

Żółte światło stało się natychmiast purpurowe. Twarz wyłoniła się z lustra, jakby była ukryta za jego twarzą. Przez moment jego rysy zaciemniały tamto oblicze. Miał głęboką świadomość, że

popęłnił błąd. I wtedy ta pożądliva twarz nabrała życia. Była purpurowa, miała wykrzywione usta, trupa skórę i obwisłe worki pod oczami. Tom jęknął i z lękiem cofnął się pod ścianą. To była jednak twarz Szkieleta Ridpatha. Był to Szkielet wypalony do wnętrza swej istoty, odarty ze wszystkiego co ludzkie. Szkielet wyszczerzył do niego zęby i podpełznął do przodu. Pod Tomem ugięły się kolana. Odrażająca postać uniosła ręce. To tylko odbicie w lustrze, tłumaczył sobie Tom. Teraz już cały korpus wystawał z lustra i pochylał się w jego stronę. Tom uskokzył, lecz w przerażeniu zapomniał o guziczku. Twarz Szkieleta płonęła. Przytrzymał się ramy zwierciadła, przenosząc ciężar ciała na ramiona, wydobywając kolano poza srebrną powierzchnię lustra.

— Odejdź — wyszeptał Tom.

Kolano Szkieleta pojawiło się na skraju lustra. Otworzył usta w bezdźwięcznym okrzyku uniesienia i przepchnął nogę poza ramę.

252

— Szszzsz! — wyszeptał Del. — To Róża. Peł odsunął się trochę i Tom stanął koło niego. Kiedy Tom oirzał na dół, zabiło mu serce. Róża Armstrong stała w najbliższym kręgu światła, bardzo blisko domu. Brudne łachmany jyywały jej ciało. Do drzewa przybity był siwy łeb konia. Na granicy świetlnej plamy krążyły dwie postacie: tęgi mężczyzna z młodą, bladą, arystokratyczną twarzą oraz drobna kobieta haczykowatym nosem i drwiącym uśmiechem wiedzmy. Oboje odziani byli w złote płaszcze. Pan Peet i Elena? Tom w pierwszej chwili myślał, że łeb koński jest wypchany albo z plastiku, później jednak dojrzał smugi krwi plamiące pień.

— O, Boże — wyrwało mu się.

Przypomniał sobie zarys siwego konia w ciemnościach, kiedy pierwszej nocy CoUins skręcił do swej posiadłości oraz siwego konia brnącego w śniegu, a wiozącego go do palącej się szkoły. Brzegi rany otoczyły owady, unoszące się jak białe chmurki i znów siadając. Róża w proszącym geście podnosiła złączone dłonie. Światło nagle zgasło i chłopcy widzieli już tylko własne odbicia w okiennej szybie.

— Falada — powiedział Del. — Gęsiarka. Pamiętasz?

O, nieszczęsna księżniczko.

Gdyby się matuś twa kochana o tym dowiedziała.

O jakże gorzkie łzy by wylewała.

— Magia, Tomie, jest celem mego życia. Opowiadam się za tym... za tym, co właśnie widzieliśmy. Nic mnie nie obchodzi, czego dowiadujesz się, gdy wychodzisz ukradkiem nocami, ponieważ nie jestem już po twojej stronie. Zapamiętaj to sobie.

— Jesteśmy po tej samej stronie — odparł spokojnie Tom.

Del spojrział na niego z irytacją i odrazą, i wrócił do swego Pokoju.

f.

ciągnął rękę i wbił palce w jego ramię. Te palce nawet poprZe koszulę paliły do żywego ciała Toma.

— Ty mały, plugawy, irlandzki śmieciu!

Tom zamierzył się pięścią na pozbawioną wyrazu Szkieleta, ale czując szaloną odrazę, odwrócił się i stracił równowagę. Szkielet pochylił się, a Tom uderzył w twardą jaja skała klatkę piersiową, chciał powtórzyć cios, lecz obaj upadli na kwiecistą kanapę.

— Wspaniała zabawa — wyszeptał Kolekcjoner. — Chce zobaczyć goie CialO. — Lodowate ręce sięgnęły do szyi Toma.

Tom patrzył na tę nieludzką twarz, "wCTKl pod pustymi oczodołami były czarne. Smrodliwy, zatęchły zapach uderzył go w nozdrza. Szkielet leżał na nim jak worek słomy, ale jego ręce ścisnęły go niczym imadło.

— Ty mały, plugawy...

W tym momencie nagła jasność poraziła Toma w oczy i lodowate ręce uwolniły go. Z trudem powstał na nogi. Szkielet zniknął. Tom zobaczył tylko rozsuwane drzwi i oświetlony las.

Coleman Collins, w ciemnoniebieskim szlafroku i w jasnoniebieskiej pidżamie, kuśtykając wkroczył do pokoju.

— Wcisnąłem guzik, mały głupcze — oświadczył. — Nie rozpoczynaj czegoś, skoro później tracisz głowę i nie pamiętasz, jak to skończyć. — Zamierzał odejść, ale jeszcze dodał: — Wy kazałeś jednak swoją moc jako iluzjonista, jeśli cię to interesuje. Sprawiliś, że to się stało. I jeszcze jedno. Ocaliłem ci życie, uchronię cię przed konsekwencjami twych własnych zdolności. Zapamiętaj to sobie. — Zmierzył Toma surowym wzrokiem i wyszedł.

f2

Tom chwiejnym krokiem wrócił do holu. Collins poszedł zapewne do któregoś z teatrów lub wrócił do swej sypialni. Dom znów pogrążył się w ciszy. Tom zerknął w stronę łazienki i mimowolnie zadrżał. Skierował się na schody. Na górze paliło się jedno słabe, żółtopomarańczowe światło, którego zwykle nie gaszono przez całą noc. Szedł pomału schodami, a będąc prawie u szczytu, wyjął z kieszeni chustkę i otarł twarz. Potem, tak zmęczony, iż myślał, że upadnie, zmusił się, żeby wejść na podest.

W mrocznym korytarzu przed drzwiami swej sypialni Tom dostrzegł Dela. Był w takim samym ciemnoniebieskim szlafroku, jaki nosił jego wuj. Stał sztywno i wyglądał przez okno.

254

CZEŚĆ TRZECIA

„KIEDY WSZYSCY ŻYLIŚMY W LESIE...”

„Człowiek stworzony jest na podobieństwo Boga”,

a często słyszy się sardoniczną uwagę, że „Bóg stworzony jest na podobieństwo człowieka”.

Magia oba stwierdzenia uznaje za prawdziwe.

Richard Cavendish, Sztuki tajemne

. Miał do niej mnóstwo pytań, ale najbardziej pragnął Liąć ją w ramiona. po pięciu minutach na polankę przywlokł się ociężałe Del.

»jął na sobie wykrochmaloną, niebieską koszulę i dzinsy sprasowane na ostry kant. Dzieło Eleny. Do mankietów spodni przyczepiło się parę rzepów. Obrzucił Toma obojętnym spojrzeniem jak kogoś obcego i usiadł obok.

Dzień dobry — powiedział Tom.

Del opuścił głowę i przekręcił nogawkę spodni, szukając rzepów. Wyglądał świeżo, ale był spięty. Na jego gęstych, czarnych włosach rysowały się wyraźnie ślady grzebienia.

— Musimy ze sobą porozmawiać — oświadczył Tom

Del oderwał ostatniego rzepa, wygładził mankiety i spojrzał w stronę domu.

— Nie zamierzasz nawet spojrzeć na mnie? — nie rezygnował Tom.

Nie odwracając głowy, Del powiedział:

— Wydaje mi się, że gdzieś tu jest śmierzący szczur.

— Ja jednak muszę z tobą pomówić.

— Uważam, że ten śmierzący szczur powinien czym prędzej wrócić do domu, jeśli mu się tu nie podoba.

Słowa te zaskoczyły Toma, były zbyt bliskie tego, co sam zamierzał powiedzieć. Siedzieli w upale, w milczeniu, nie patrząc na siebie. Kiedy Coleman Collins kulejąc wyszedł z lasu na polankę, zaskoczył obu. Miał na sobie czarny garnitur, czerwoną koszulę, czarne, błyszczące lakierki i wyglądał, jakby przed chwilą zszedł ze sceny po wyjątkowo udanym przedstawieniu.

— Zbliźcie się, dzieci. Dzisiaj nauczymy się wielu rzeczy. Dzisiaj będziemy podziwiać *son et lumiere*. Jest to druga część opowieści pod tytułem *Śmierć miłości* i proszę, żebyście skupili całą swoją uwagę.

Uśmiechnął się do nich, Tom jednak nie był w stanie odwzajemnić uśmiechu. Czarodziej przechylił głowę, łypnął okiem i ściągnął z powietrza wysoki, czarny stołek, na którym usiadł.

— Czyżbym czuł jakieś napięcie w atmosferze? Nie jest ono zresztą niewłaściwe, jeśli bowiem pierwszą część mych zwierzeń można by zatytułować *Uzdrowienie uzdrowiciela*, to ta część może być nazwana *Kłęska króla kotów*. — Collins spojrział w górę na krążącego jastrzębia i powiedział: — Wieści o uleczeniu przeze mnie kaprala Washforda w sposób odbiegający od ogólnie przyjętych wzorów zaczęły krążyć wśród żołnierzy Murzynów.

239

Przyjęcie

Następnego dnia, jeśli był to następny dzień, Del traktował mnie jak wroga, jak szatana, który pojawił się we własnej osobie, aby zniszczyć wszystkie jego ziemskie układy. Rozpoczął od spożywania posiłków samotnie, w swoim pokoju. Przypuszczałem, że na tacy ze śniadaniem otrzymał taką samą notatkę jak ja, z poleceniem, żeby stawić się w oznaczonym miejscu w lesie o dziesiątej rano. I najprawdopodobniej, kiedy się pokażę, on już tam będzie. Zapewne nie przywita się ze mną, a jeśli nawet spojrzy na mnie, to tylko po to, ażeby dać mi do zrozumienia, iż nasza przyjaźń skończyła się. Miałem świadomość winy, czułem się jak rażony piorunem. W jakiś sposób udało się Róży także wsunąć pod mój talerz kartkę z prośbą, żebym był na plaży o dziesiątej wieczorem...

Wyznaczone miejsce odległe było od domu o około pół mili. Znajdowało się w pobliżu kotlinki, gdzie pierwszej nocy po przyjeździe Tom widział pana Peeta i jego kompanów. Zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, powinien wyruszyć z lewej strony plaży i iść prosto aż do szóstej latarni. Droga w dzień okazała się o wiele łatwiejsza aniżeli nocą. Kiedy doszedł do latarni, usiadł na trawie i czekał. Kartkę od Róży Armstrong złożył i wsadził pod koszulę. Jej dotyk sprawiał, że czuł radość i wdzięczność. Nie był w stanie zniszczyć tego liściku, pragnął co chwilę wyjmować go i czytać od nowa: Kochanie! Plaża koło przystani, dzisiaj, dziesiąta wieczór. Uściski, R. Kochanie! Uściski! Marzył już o wieczorze i wyobrażał sobie, że Róża wyłania się z wody i śpieszy na umówione spotkanie. Chciał zagadnąć ją o wydarzenia poprzedniej nocy, które obserwował

258 "r":—

Zbierał naczynia ze stolików i będąc w pobliżu tylko spojrział na nie spode łba.

Kiedy następnym razem udałem się do *Libraire Du Prey*, jmy czarny żołnierz przerzucał książki na ladzie. Ten przyglądał mi się bardziej śmiało, a kiedy i ja spojrziałem na niego badawczo, stanąłem jak wryty. Był czarodziejem. Wiedziałem, był podoficerem, obcym, nie znanym mi, kiedy jednak patrzyłem na niego, czułem, że to mój brat, a on wiedział, co ja czuję. Życzę wam chłopcy, żebyście choć raz przeżyli moment takiego podniecenia, moment brzemienny w tak niesamowite możliwości jak tamta chwila, którą wtedy przeżyłem. Mężczyzna odwrócił się i wyszedł ze sklepu,

a ja ledwo mogłem powstrzymać się, żeby za nim nie pobiec.

Następnego popołudnia, kiedy wchodziłem ze szpitalnej kantyny, jeden z posługujących chłopców wsunął mi jakąś karteczkę do kieszeni marynarki. Przez cały dzień oczekiwałem, że wydarzy się coś takiego i wiedziałem, iż pozostawało to w związku z czarodziejem, którego spotkałem w księgarni. Kiedy tylko znalazłem się za drzwiami, wyjąłem kartkę i przeczytałem. Bądź dziś o dziewiątej wieczorem przed księgarnią — tyle tylko, ale to mi wystarczało. Na salę operacyjną wróciłem w nastroju gorączkowego oczekiwania. Zbliżało się, cokolwiek to było, a ja pragnąłem spotkać się z tym twarzą w twarz. Było to moje przeznaczenie, już mu się nie przeciwawiałem i nie lękałem się niego. Chciałem wreszcie otworzyć

: drzwi.

— Punktualnie o dziewiątej byłem przed księgarnią. Czułem się jak wystawiony na pokaz, jedyny w tej okolicy biały mężczyzna. W jakimś lokalu, nieco dalej, ktoś grał na banjo namiętą, wibrującą melodię. Noc była parna i ciepła. Przechodzący murzyńscy żołnierze przyglądali mi się z agresywną ciekawością i wyczułem, że jeden czy dwóch powstrzymało się od zaczepienia mnie tylko ze względu na moją ranę. O, gdybym był pijanym szeregowcem z tygodniowym żołdem w kieszeni... Pamiętam, że uderzyła mnie paradoksalność sytuacji — otaczało mnie nieznanie i jednocześnie znajdowałem się na progu nieznanego.

O dziewiątej piętnaście jakiś żołnierz, Murzyn, przeszedł koło mnie wielkimi krokami, spojrzął, skinął głową i pomasze-

261

— Nie powiem, abym był z tego rad. Ta moc, o której mówiłem wam, moi cudowni chłopcy, rośła we mnie, chociaż nie zdawałem sobie sprawy z jej rozmiarów ani podstawowej roli, jaką odegra w moim życiu, i odruchowo przez pewien czas utrzymywałem ją w tajemnicy. Gdybym nawet mógł powtórzyć z innymi rannymi to, co zdołałem uczynić z Washfordem, sądzę, że nie byłoby to już to samo. Chciałem najpierw uporządkować te wrażenia oraz doskonalić te cudowne umiejętności. Jak zobaczycie, nie rozumiałem jeszcze natury tego daru i nie wiedziałem, że będę musiał ujawnić otrzymaną moc. Myślałem oczywiście, że jestem jedyny. Byłem aż takim ignorantem. O tym, że była tradycja, że było wielu innych, całe stowarzyszenie istniejące w ciemnych zakamarkach świata instruowane przez jedno wielkie gremium reprezentujące wiedzę, której ułamki poznałem dzięki Leviemu i Korneliuszowi Agrypie,

O tym wszystkim nie miałem pojęcia. Zachowywałem się jak mały chłopiec, który wyrysował mapę gwiazd i był przekonany iż wymyślił astronomię. Kiedy Murzyni pracujący w kantynie i w aptece zaczęli przyglądać mi się uważnie, a jednocześnie podejrzliwie, poczułem się nieswojo. Wiedziałem, że często o mnie mówili. Może zaczął to sam Washford, choć bardziej prawdopodobne było, że raczej pielęgniarka z sali operacyjnej. Tak czy inaczej było to niepożądane.

Mówiłem już, że Murzyni mieli własne życie całkowicie odrębne od naszego. Walczyli szlachetnie, wielu wręcz bohatersko, ale pomimo to większość białych nie postrzegała ich. Nieraz któryś z nas trafił przypadkowo do ich klubu i wówczas mógł się przekonać, że ich życie było bogatsze niż nasze. Mówiono, iż wiele Francuzek uważa, że Murzyni są atrakcyjni, prawdopodobnie po prostu traktowały ich jak mężczyzn, nie zwracając uwagi na kolor skóry. Ja z rzadka zaglądałem w rejony, gdzie byli zakwaterowani kolorowi żołnierze. Natomiast często chodziłem do pewnej księgarni, gdzie wertowałem książki. Księgarnię tę, Libraire Du Prey, odwiedzałem przez wiele tygodni i wreszcie — było to po wydarzeniu z Wasftor-dem — zwrócił moją uwagę inny klient, czarny szeregowiec, który również często zaczął się tam pojawiać. Nigdy jednak nie zauważyłem, żeby kupował jakąś książkę. Odnosiłem natomiast wrażenie, że mnie obserwuje.

Kiedys tenże mężczyzna zjawił się w kantynie. Poznałem go dopiero po paru chwilach, gdyż na wojskowym mundurze miał strój kelnerski, co nieco mnie zdezorientowało.

Zrobiłem to. I wówczas wkroczyłem w Krainę Cieni, która towarzyszyła mi od chwili, gdy postawiłem nogę w Europie.

Kiedy przechodziłem przez próg, kapral obdarzył mnie uroczym uśmiechem, co przyznaję, nieco zaskoczyło mnie. Oczekiwałem, że za drzwiami będzie drugi pokój, ale znalazłem się na słonecznym polu porośniętym żółto kwitnącą gorczycą. Odwróciłem się — dom zniknął. Zniknęło całe St. Nazaire. Byłem na wsi, na łagodnym wzgórzu, a pod stopami miałem żółte kwiaty gorzycy.

przede mną siedział mężczyzna na wysokim, drewnianym, ozdobnym krześle. Na poręczach wyrzeźbione były głowy sów, a na podnóżku — ptasie szpony. Był Murzynem, przystojnym, młodszym ode mnie, miał gładką twarz o regularnych rysach. Na tym krześle wyglądał jak król. Pojawił się nie wiadomo skąd. Miał na sobie stary mundur, jednak bez żadnych dystynkcji. Mężczyzna, który kuglarskimi sztuczkami wyprowadził mnie ze slumsów w St. Nazaire i który dzięki jakimś czarom znalazł się tutaj, splótł dłonie i spojrzał na mnie uprzejmie, chociaż badawczo i wyczekująco. Odczułem jego moc i wtedy zobaczyłem jego aurę. To znaczy on pozwolił mi ją zobaczyć. Widok tej aury prawie mnie oślepił. Tworzyły ją jarzące się promienie, jaśniejsze od kwiatów gorzycy. Nieomal upadłem na kolana. Wiedziałem bowiem, kim on jest i co może dla mnie uczynić. Miałem dwadzieścia siedem lat, a on mógł mieć dziewiętnaście lub dwadzieścia, ale był królem. Królem czarodziejów. Cieni. Królem kotów. On był moim Spełnieniem.

— Witaj w Zakonie — powiedział. — Nazywam się Speckle John.

— A ja... — zacząłem, lecz on podniósł rękę, a wokół niej zdawały się igrać jaskrawe barwy.

— Charles Nightingale. William Vendouris. Doktor Kolekcjoner. Teraz już nie będziesz nosił żadnego z tych nazwisk. Teraz przyjmiesz nowe imię, imię nadane ci przez Zakon. Będziesz nazywał się Coleman Collins. Początkowo tylko dla nas, kiedy jednak skończy się wojna i będziemy mogli pojechać, gdzie nam się spodoba, Colemanem Collinsem będziesz dla całego świata.

Wiedziałem, nie musiał mi mówić, że było to nazwisko Murzyna, nazwisko czarnego czarodzieja, który niedawno zmarł. Wydawało mi się, jakbym już kiedyś je słyszał, ale absolutnie nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie i kiedy. Pragnąłem być godnym tego imienia. I w tej sekundzie stałem się w sercu Colemanem Collinsem.

— Czego chcesz ode mnie? — spytałem.

263

II

rował dalej. Zajęło mi chwilę, nim zorientowałem się, co powinienem uczynić. Żołnierz znajdował się już na rogu, kiedy ruszyłem za nim. Gdy doszedłem do rogu, zobaczyłem, jak znika za następnym zakrętem. Prowadził mnie, wciąż zmieniając kierunek, parę razy myślałem, że go zgubiłem, uliczki były bowiem wąskie i kręte, wokół mnie rozbrzmiewały różne głosy, mężczyźni śpiewali, śmiali się albo szeptali coś do mnie. Bez mojego przewodnika prawdopodobnie zgubiłbym się dawno. Nie miałem pojęcia w jakiej części miasta znalazłem się i nie rozpoznawałem żadnej z ulic. Zaprowadził mnie do dzielnicy domów publicznych, gdzie po zapadnięciu zmroku nawet porucznik nie jest bezpieczny. Wreszcie, kiedy niemal bez tchu minąłem kolejny zakręt, pojawił się przede mną czarny mężczyzna wielkiego wzrostu w mundurze i przyparł mnie do ściany jakiegoś budynku.

— Ty doktor? Ty Kolekcjoner? — pytał. Miał wyraźny południowy akcent.

— To on, to on — powiedział inny mężczyzna, którego nie mogłem dojrzeć. — Właźcie.

Zdziwiło mnie, że ten olbrzym chichotał i powiedział coś, czego nie mogłem zrozumieć, a potem otworzył drzwi i wepchnął mnie do środka.

Był to pusty pokój cuchnący potem. Czarodziej, którego widziałem w księgarni, stał pod jedną z szarych ścian. Miał na sobie zniszczony mundur z naszywkami kaprała. Odezwał się:

— Porusznik Nightingale? Znany jako Kolekcjoner?

— Wiem, kim jesteś — oświadczyłem.

— Myślisz, że wiesz — odparł. — To ty operowałeś żołnierza

o nazwisku Washford?

— Nie nazwałbym tego operowaniem — zauważyłem.

— Inny lekarz odmówił udzielenia mu pomocy ze względu na jego rasę, a ty podjąłeś się tej roboty?

„Podjąłeś się tej roboty” — nie był chłopakiem ze wsi jak pozostali, widać po nim było, że pochodzi z miasta i to z dużego miasta, być może z Chicago.

— Podjąłem się.

— Powiedz mi, jak uleczyłeś Washforda? — zapytał.

W odpowiedzi podniosłem dłoni. *->-

— Obserwujecie mnie przecież od chwili, gdy to się stało.

— Nigdy nie słyszałeś o Zakonie? Nigdy nie słyszałeś o Księdze?

— Wszystko zawiera się w tych rękach — odrzekłem.

— Poczekaj — powiedział i wyszedł. Po chwili wrócił

1 skinął na mnie, abym udał się za nim. .. J ??-

262

ecież noc w dzień i potem znów przywrócił właściwą porę! ?nfeiego rodzaju „przyjęcie” mnie oczekiwało?

jjawet bardzo podniecony człowiek potrzebuje trochę snu, tak też było i ze mną. Zacząłem drzemać, przysypiać, a wreszcie zapadłem w głęboki sen.

Zbudził mnie lis. Jego ostry, piżmowy odór, jego sapiący oddech, jego niespokojna, nerwowa obecność koło mnie. Otworzyłem oczy, pysk lisa był tuż przy mojej twarzy. Szarpnąłem się do tyłu, bałem się, że mnie ugryzie.

— Panie Collins — powiedział lis.

Rozumiałem go! Powiedziałem albo pomyślałem:

— Słucham?

— Nie potrzebuje się pan mnie obawiać.

— Nie.

— Należy pan do Zakonu.

— Należę.

— Zakon jest pańską matką i ojcem.

— Tak.

— Nikomu innemu nie będzie pan wierny.

— Nie będę.

— Jest pan przyjęty.

Odskoczył, a ja nie wiedziałem, czy rozmawiałem z lisem, czy z mężczyzną w postaci lisa. Przez długi czas leżałem w zdumieniu. Gwiazdy przybladły i otaczała mnie ciemność. Zacząłem zastanawiać się, czy mógłbym unieść się z ziemi, jednak nie śmiałem uczynić nic, co zakłóciłoby nastrój tej nocy. Wreszcie usłyszałem trzepot skrzydeł. Nie widziałem nic, ale usłyszałem, że ogromny ptak siadł w odległości paru stóp ode mnie. Pomyślałem i myślę tak teraz, że wiedziałem, co to za ptak. Przeraziłem się. Wtedy ptak przemówił i rozumiałem jego głos tak, jak rozumiałem

lisa.

— Collins.

— Słucham.

— Czy zawierasz w sobie świąty?

— Tak, we mnie zawarte są świąty.

— Czy pragniesz panowania?

— Pragnę panowania. — I doprawdy pragnąłem. Chciałem wydobyć tę siłę tkwiącą we mnie i dać ją poznać światu.

— Wiedza jest skarbem, a skarb to panowanie.

Przypuszczam, że musiałem wymamrotać słowa: „wiedza”, „skarb”.

— Przypatrz się historii swego skarbu, Collins.

Potem przed moimi oczyma zaczęła rozgrywać się scena. Byłem dzieckiem. Niemowlęciem trzymanym w ramionach.

265

Roześmiał się głośno.

— Ależ chcę być tylko twoim nauczycielem. Chcę z tobą pracować — oświadczył. — Nie wiesz jeszcze, kim jesteś Colemanie Collinsie, i ja pragnę wskazać ci drogę do celu. Być może jesteś najbardziej utalentowanym osobnikiem, jakiego w ostatnim dziesięcioleciu odkrył Zakon, a może sam dokonałeś tego odkrycia.

— Co chcesz, żebym uczynił?

— Dziś w nocy zostaniesz tutaj. Tak, tutaj. Nie obawiaj się niczego. I jeśli dziś doznasz ciepłego przyjęcia... przekonasz się, co to znaczy... Jeśli zostaniesz przyjęty, wkrótce będziesz mógł, kiedy tylko zapragniesz, powtarzać to, czego dokonałeś wobec pana Washforda. — Znów roześmiał się szczerze i ten dźwięczny śmiech niósł się po polu gorzycy niczym tony różka francuskiego. — Nie zalecałbym oczywiście, abyś robił to każdego dnia.

— A jutro? — zapytałem.

— Rozpoczniemy nasze studia. Rozpocznie pan nowe życie, panie Collins.

Podniósł się ze swego tronu i światło słońca zgasło. Przede mną stał Speckle John na skraju ciemności, na progu rozgwieżdżonej nocy. Nie byłem w stanie dostrzec jego twarzy.

— W nocy będziesz bezpieczny, doktorze, bezpieczniejszy niż w swojej dzielnicy St. Nazaire. Pamiętaj, jutro rozpoznamy. — I odszedł.

Postąpiłem nieco do przodu, wyciągając rękę i natrafiłem palcami na oparcie jego krzesła. Noc wydawała się wszechogarniająca. W oddali cykały tylko pojedyncze świerszcze. Gwiazdy błyszczały z przedziwną jasnością i wyobrażałem sobie, że patrzę na nie nowymi oczyma, które ofiarował mi Speckle John.

I tak znalazłem się sam na wzgórzu w środku nocy. Nie miałem pojęcia, gdzie byłem, lecz krzepiły mnie słowa Speckle Johna, że jutro powrócę do St. Nazaire i do swej pracy. Jego krzesło stało przede mną, byłem jednak zbyt przesądny, żeby na nim usiąść, chociaż miałem na to ochotę. Pragnąłem mieć to krzesło na własność. Wiedziałem, co ono sobą przedstawia.

Wyciągnąłem się jednak na kwiatach gorzycy, co nie było zbyt wygodne. „Jeżeli zostaniesz przyjęty” — powiedział, a ja nie mogłem przestać rozmyślać, co to może znaczyć. Przeszło mi nawet przez głowę, że padłem ofiarą jakiejś okropnej mistyfikacji i że ten Murzyn pozostawił mnie samego na tym pustkowiu. Miałem jednak dowód jego niezwykłej obecności i pamiętałem, ile

włożył trudu, żeby mnie odszukać. I zmienił

264

ranną przechadzkę dla zdrowia. Zobaczył mnie i odezwał się
i

Schłał się pan wczoraj, doktorze Nightingale, i nie mógł do domu, co? Miło pana zobaczyć —
odparłem i roześmiałem mu się
w twarz.

Od tego czasu, nieomal co dzień widywałem Speckle Johna. Otrzymywałem kartkę, zwykle od
usługującego chłopca, czekałem przed księgarnią i prowadzono mnie labiryntem wąskich uliczek w
dzielnicy ruder aż do tego nędznego, obrzydliwie cuchnącego pomieszczenia, które stało się dla
mnie lepszą szkołą niż jakikolwiek uniwersytet. Zostałem przeniesiony do czasów, kiedy wszyscy
żyliśmy w lesie, wkroczyłem do królestwa, które należało do mnie od najmłodszych lat. Speckle
John uczył mnie przez cały rok i zaczęliśmy snuć plany wspólnej pracy po wojnie. Miałem jednak
świadomość, iż nadejdzie dzień, kiedy moja wzrastająca siła będzie musiała zmierzyć się z jego
siłą. Nigdy nie zadowalało mnie drugie miejsce.

— Otwórzcie oczy, chłopcy. Natęźcie uwagę. Będzie to wasza własna noc poza domem.
Znajdujemy się w Imperium Zielonego Lasu w Londynie w sierpniu tysiąc dziewięćset
dwudziestego czwartego roku.

Chłopcy nieświadomi, że mieli zamknięte oczy, otworzyli je. Była noc gorąca i parna. Przez
moment Tom czuł zapach kwiatów gorczycy, był senny, członki miał ociążałe i bolały go nogi.
Collins siedział w kręgu światła, ale na wysokim drewnianym krześle, a nie na stołku, którego
pojawienie się sprawił tego ranka. Na ciemne ubranie miał zarzuconą czarną pelerynę spiętą pod
szyją złotą klamrą. Tom usiłował poruszyć nogami i znów poczuł woń kwiatów gorczycy.
— Och... nie... — powiedział Del, patrząc w las.

Tom przekręcił głowę w bok, podążając za wzrokiem Dela. Gęste drzewa tworzyły tunel
prowadzący ku otwartej przestrzeni. Tunelem szedł chłopiec oraz wysoki mężczyzna w
przeciwdeszczowym płaszczu z paskiem. Tom, bliski mdłości, pojął, że ten chłopiec to on sam.
Spojrzał na Collinsa, który siedział rozparty na krześle, ze skrzyżowanymi nogami i złośliwym
267

H

Niósł mnie mój ojciec. Byliśmy w teatrze w Bostonie, w yju który został rozebrany, gdy byłem
młodzieńcem. Nazywał się Teatr Orientalny Vaughana. Na scenie występował Murzyn we fraku,
demonstrując mechanicznego ptaka, który śpiewał różne piosenki na życzenie widowni. Mój ojciec
zawołał: Ty!c0 ptak w złoconej klatce i wszyscy śmiali się, a metalowy ptajj zaczął ćwierkać
cukierkową melodię. Pamiętam, że wzruszała mnie muzyka i zdumiewał nadmiar ozdób w tym
teatrze.

— Spójrz na to nazwisko, Charlie — odezwał się mój ojciec
wskazując afisz umieszczony z boku sceny. — Nazywa się Stary
Król Kapusta. Czy to nie jest zabawne?

Pamiętam, jak patrzyłem z rozdziawioną buzią na mężczyznę na scenie i chciałem się śmiać,
ponieważ ojciec powiedział, że to zabawne, byłem jednak tak oszołomiony, iż nie widziałem w tym
nic humorystycznego. I nagle zamarłem. Czarodziej, Stary Król Kapusta, patrzył wprost na mnie.

A więc tak to było... pewne zdarzenie zagrzebane w pamięci, może najważniejsze, które
kierowało moim życiem, chociaż świadomie o nim zapomniałem. Mężczyzna na scenie był
autentycznym Colemanem Collinsem. A może przed nim był jeszcze inny Coleman Collins?
Wiedziałem, że pewnego dnia ja sam znajdę się na scenie, że będę występować pod innym
nazwiskiem.

— Widziałeś.

— Widziałem.

— I wiesz, że ten czarodziej widział ciebie.

Przypomniałem sobie, że Stary Król Kapusta patrzył ze sceny i odszukał mnie wtulonego w ramionach ojca, chłopczyka osiemnasto- może dwudziestomiesięcznego.

— Wiem.

— Mam co do ciebie wątpliwości — powiedziała sowa.

— Przecież on mnie widział! — zaprotestowałem, przeżywając na nowo cud tych paru sekund, tak jakby zdarzyło się to przed pięcioma minutami. — On mnie wybrał?

— Ujrzał zawarty wewnątrz skarb — wyszeptał niewidoczny ptak. — Musisz być go godny. Musisz przynieść zaszczyt Księdze. Jesteś przyjęty.

Ogromne skrzydła zatrzepotały, mój rozmówca odfrunął i znów zostałem sam. Oszołomiony znów zasnąłem. Wszystko wokół mnie było zamazane, moje myśli gdzieś błądziły, każdą komórkę ciała ogarniało miłe znużenie i przespałem mocno parę godzin. Gdy zbudziłem się, siedziałem oparty o jakiś mur w St. Nazaire, kilka domów od szpitala. Przechodził właśnie Withers, który zwyczajem Południowców odbywał

266

rze w wilka. Potem z zadziwiającą łatwością uniósł w górę, ierzę. Łapy wilka kołysały się nad jego kapeluszem. Cofnął, j zniknął między drzewami.

„Wilki i ci, którzy je zobaczą, będą zastrzeleni na miej-scU” — przypomniał sobie Tom.

— Nałożyłem klątwę na Speckle Johna — oznajmił Collins. — Wił się nabity na mój sztylet. Ha, ha! Wciąż trzymam go na tym sztylcie. Mając to na uwadze, mój pożegnalny występ w Imperium Zielonego Lasu jeszcze się nie zakończył. Dojdziemy jednak i do tego w odpowiednim czasie. Chcę, żebyście dzisiejszą noc spędzili na dworze. „Przyjęcie” może nastąpić albo i nie. Śpiwory znajdziecie za drugim drzewem po lewej stronie polanki.

Wstał i otulił się peleryną, jakby było mu zimno.

— Muszę jeszcze powiedzieć, że tylko jeden z was dostąpi tego wyróżnienia. Obaj nie możecie zasiadać na sowim krześle. Nie chodzi tu jednak o żadne współzawodnictwo, ten bowiem, który nie zostanie przyjęty, straci tylko to, czego nigdy nie posiadał. Ale posłuchajcie mnie, ptaszyny, ten który zatrium fuje, zostanie władcą Krainy Cieni, on dostanie sowie krzesło i cały świat. Zapanuje nowy król, będzie to król Flanagini albo król Noc.

Przez moment jego czarna sylwetka rysowała się na tle lasu, potem oddalił się. Tom zauważył przygniecioną trawę w czterech miejscach, w których tkwiły przed chwilą nogi sowiego krzesła.

— To nie będziesz ty — stwierdził Del. — Nie zasługujesz na to.

— I wcale nie chcę — odparł gniewnie Tom. — Del, czy ty nie rozumiesz? Niczego nie chcę ci odbierać. Przyjechałem tutaj, bo pragnę ci pomóc. Naprawdę chcesz żyć tak... jak on?

Del zawahał się przez moment, potem odwrócił się, żeby poszukać śpiwora.

— Ty nie musisz. Możesz żyć, jak ci się podoba. Tomowi przyszło do głowy coś, co wydawało się oczywiste, choć było mało optymistyczne.

— Jeżeli ciebie dopuści i pozwoli ci... Dlaczego miałby zrezygnować właśnie teraz? Jest stary, ale wciąż cieszy się dobrym zdrowiem.

Del wyciągał coś spod liści za drzewem, które wskazał Collins.

— Dlatego, że mnie wybrał. Właśnie dlatego. Ty tu jesteś na Przyczepkę. Nigdy nie chciałeś zostać czarodziejem, dopóki mnie nie spotkałeś.

269

uśmiezkciem na twarzy. Czarodziej wskazał rozgrywającą się scenę:

— Teraz!

Kiedy Tom ponownie spojrzął, nie było już mężczyzny ani chłopca. Otwartą przestrzeń na końcu tunelu wypełnił teatr. Wśród widowni panował gwar, ludzie wachlowali się karteczkami z programem. Rozsunęła się śliwkowego koloru kurtyna i oto byli obaj; on i Del, Flanagini i Noc. Tom zobaczył wy. raźnie tłustego Dave Bricka, opuszczonego, siedzącego samotnie w tylnym rzędzie krzesel.

— Tak — powiedział Collins.

Kurtyna płomieni rozciągnęła się przed sceną. Ściana ognia, pomyślał Tom, słyszał ruch zrywających się ludzi, odgłosy paniki, przytłumione krzyki i komendy.

— Wychodzić! Wszyscy wychodzić!

— Zostać na miejscach!

— Moja wiolonczela!

— Gorące! Zaraz się zapalą!

— Wstawaj z podłogi, Whipple!

Podobnie jak przedtem, został przeniesiony ponad czterdzieści lat wstecz, do czasów wojennych przeżyć Collinsa, kiedy widział Speckle Johna, Withersa i kaprala, tak i teraz przeżywał na nowo te momenty, kiedy chłopcy zbili się w gromadę najpierw przy wielkich drzwiach, potem przy drzwiach do holu, krzycząc, potracając się, kiedy Brown upominał się gwałtownie o swój instrument, a Del błądził w gęstniejącym dymie...

Młody mężczyzna w nieskazitelnym stroju, z białą twarzą i w rudej peruce stał na scenie. Ogień rozwiął się jak mgła.

— Nie! — krzyknął Tom.

Herbie Butter dał sygnał ręką i światła natychmiast przygasły, potem zalśniły czerwono jak płomienie, a wreszcie oświetliły drewnianą chatkę w gęstym lesie. Na krętej ścieżce pojawiła się dziewczynka w czerwonym płaszczku. Niosła wiklinowy koszyk, z którego około pół tuzina kosów wystawiało łebki. Światła zgasły i scena zniknęła. ,•»

— I jeszcze coś — powiedział Collins.

Zza drzew po jednej stronie dróżki biegnącej przed nimi wyszedł mężczyzna w czarnej pelerynie i w kapeluszu z połową runda zagiętą w dół. W chwilę później pomiędzy drzew po drugiej stronie wybiegł wilk, wysikał się i przykulił, szykując się do skoku. Wyglądał na wygłodzonego i ogarniętego wściekłą żądzą. Mężczyzna zebrał się w sobie. Wilk zawarczał, wreszcie skoczył. Mężczyzna wyciągnął sztylet, który zapewne cały czas trzymał w pogotowiu pod peleryną, rzucił się naprzód i wbił

Wybiegł zdyszany, bez tchu, na brzeg lasu i zatrzymał się.

d stopanu poczuł piasek i miał ochotę zdjąć buty. Z dala, na ^Ogórzu, dom świecił tuzinem okien. Na srebrnoszarej plaży, ^ gnącej się wzdłuż gładkiej czarnej powierzchni wody, ni-
gdzie

nie dostrzegł Róży. Sprawdził godzinę na zegarku,
hvła dziesiątą pięćdziesiąt. Pewnie nie doczekawszy się jego

odeszła.

Tom ciężkim krokiem ruszył po piasku. Ze zdziwieniem stwierdził, że poczuł ulgę, iż nie spotkał Róży. Teraz będzie mógł wrócić do Dela.

A może Róża czeka po drugiej stronie przystani? Widział już, jak wilk skrada się do niej, jak mu cieknie ślina z pyska. Bo jeśli Collins zobaczył, że ona czeka na plaży...

Natychmiast zmienił zamiar i rozpaczliwie zapragnął przekonać się, czy dziewczyna jest bezpieczna. W głowie kłębiły mu się różne obrazy: wilk nabity na sztylet, borsuk podrzucony do góry i spadający wielkim łukiem do jamy, Dave Brick siedzący na metalowym krześle i czekający aż się zwierzę upiecze.

Tom pchnął drzwi do budynku na przystani wioślarskiej i stanął w płytkiej wodzie. Cofnął się z niemiłym uczuciem. Wewnątrz zniszczonej szopy było pusto. Szeroki na trzy stopy betonowy próg otaczał spore wgłębienie wychodzące na jezioro. Nagle drzwi za nim zatrzasnęły się. Serce skoczyło mu do gardła. Usłyszał dźwięk zasuwanego metalowego sztaby. Uderzył w drzwi ramieniem, zatrzeszczały, ale nie ustąpiły. Zaczął w nie walić pięściami. Jego strach zmieniał się w przerażenie. Kto to był? Collins? Kolekcjoner puszczonego samopasa przyszedł, żeby dobrać się do niego? Któryś z ludzi pana Peeta? Będzie chyba musiał skoczyć do wody. Spojrzał w dół na czarną, połyskującą smarami powierzchnię i wtedy usłyszał chichot spoza drzwi. Róża.

— Wypuść mnie!

— Wystawiłeś mnie do wiatru. Czekałam przez trzy wieczory, czemu miałabym teraz cię wypuścić?

— Trzy wieczory? — Tom poczuł skurcz w żołądku. — Twój list dostałem dziś rano.

— Co też mówisz? To było trzy dni temu.

— O, Boże. — Tom oparł się o trzeszczące drzwi.

— Nie wiedziałeś?

— Myślałem, że to było dziś rano.

— Opowiadasz! Ale wypuszczę cię.

271

i

— Nie jesteś już moim przyjacielem? — spytał
oi *

Tom. — Del nie odpowiedział. — Ja wciąż jestem twoim przyjacielem.

— Chcesz mnie wykołować.

— Przecież to niemożliwe! Jesteś lepszy ode mnie.

Ciągnąc swój śpiwór na polankę, Del wreszcie spojrzał na Toma. W jego oczach malował się triumf.

— Widzisz Del, bez względu na to, co się stanie, uważam, że on nie ma zamiaru... Myślę, że to pułapka, w którą obaj mamy wpaść.

— Idź do diabła.

— Och...

Tom nagle poczuł pod koszulą list od Róży, o którym zapomniał. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta trzydzieści. Pój godziny spóźnienia! Odwrócił się w udręce w stronę Dela, który właśnie usiłował wejść do śpiwora. Spod zaciśniętych powiek płynęły mu łzy. Skarpetka zahaczyła się o ząbki suwaka i nie mógł jej uwolnić, mając zamknięte oczy. Tom podszedł, uwolnił skarpetkę i wsadził nogę Dela do śpiwora.

— Del, jesteś moim najlepszym przyjacielem — oznajmił.

— Ty jesteś moim jedynym przyjacielem — powiedział Del płacząc. — Ale on jest moim wujkiem. Ja tu przyjeżdżam

stale. Ty jesteś tu tylko raz.

— Muszę opuścić cię na chwilę — powiedział Tom, przy klękając obok Dela. — Jak wrócę, pogadamy. Dobra? Del otworzył zażawione oczy.

— Idziesz się z nim spotkać?

— Nie.

— Dajesz słowo?

— Daję słowo.

— No dobrze. — Twarz mu na chwilę stężała. — Nie pozwoliłeś mi nawet zobaczyć braci Grimm.

— Byłem taki zdumiony... pokój wyglądał zupełnie inaczej.

— Ale widziałeś. Widziałeś siebie i jego. Tak jak mówiłem-

— To jakaś sztuczka. Nigdy z nim nie byłem. Powiedział bym ci. „j,

— Czułem się taki osamotniony — poskarżył się Del.

— Kiedy wrócę... — zaczął Tom, ale nagle zerwał się i pobiegł przez polankę.

— Hej, dokąd idziesz? — usłyszał płaczliwy głos Dela, ale nie odpowiedział.

—

—

270

•?•et

Róża zbliżyła się i szarpnęła za drążek. Żelazna płyta

woływała się na zawiasach i powróciła na dawne miejsce. Tom za olgał się na nią i spojrzął w dół na wodę.

— Chciałam zapytać, jak myślisz, jaki dziś dzień?

— Nie widzę tego teraz. Jaki dzień? Nie mam pewności. Wtorek albo środa.

Dziś jest sobota.

— Sobota?

Stał tuż koło szopy, na piasku. Spojrzął na nią. Wydała mu się bardzo, bardzo kobieca. Chociaż była szczupła, na jej ciele wyraźnie rysowały się ponętne wypukłości.

— Który twoim zdaniem mamy miesiąc? Który tydzień?

— Usiłuję coś odszukać — powiedział. — Coś, co tu przed tem widziałem. — Spoglądał w dół na ciemną wodę. — Och.

— Znalazłeś?

— Który tydzień? — Wstał. — Który miesiąc?

— Jak myślisz?

— Początek czerwca. Szósty albo siódmy. A może już nawet dziesiąty.

Potarła nos.

— A więc myślisz, że mamy dziesiątego czerwca. Biedny Tom. — Róża dotknęła koniuszkami palców jego policzka. Tom poczuł przyjemny dreszcz w miejscach, gdzie spoczęły jej palce. — Co zobaczyłeś tam, na dnie?

— Powiedz mi, Różo, jaki dziś dzień?

W świetle księżyca ujrzął jej figlarny uśmiech.

— Nie jestem pewna, ale chyba pierwszy lipca. Albo drugi.

— Lipiec? Jestem tu już cały miesiąc?

Róża potaknęła. Poszukała wzrokiem twarzy Toma. W jej spojrzeniu odnalazł tyle sympatii, że znów miał ochotę wziąć ją w ramiona.

— Jak on to robi?

— Po prostu robi. Pewnego lata sprawił, że Del myślał, iż w ciągu jednego dnia minęło sześć lub siedem tygodni. To było wtedy, kiedy Del złamał nogę.

— I przyjechał Bud Copeland.

Uniosła brwi.

— Wiesz o tym? Och... Del ci powiedział. Tak, tego lata. Nie chciał, żeby Del... Nie mogę powiedzieć.

— Co się stało?

— To te żelazne schody. Oderwały się od skały.

— Czego nie możesz powiedzieć?

— Spytaj Dela. Może przypomni sobie. Ja nie mogę powiedzieć, Tomie.

273

I

Sztaba została odsunięta, drzwi otworzyły się i Tom jyy przed sobą Różę w zielonej sukience w stylu lat dwudziestych Uśmiechała się złośliwie, dla Toma jednak był to najpiękniejszy widok. W tej zielonej sukni wydawała mu się bardziej atrakcyjną niż jakakolwiek inna dziewczyna.

— Jeszcze chwila, a dostałbym tam ataku serca — powje, dział Tom. — Tak się jednak cieszę, że cię widzę, że zgodziłbym się nawet umrzeć.

Wydeła wargi i odsunęła się krok do tyłu.

— Mogłoby spotkać cię coś gorszego niż atak serca. Wiesz co chciałam ci zrobić?

— Mnie coś zrobić?

— Popatrz. — Róża z wdziękiem przeszła wokół niego i zauważył, że ma pantofle na wysokich obcasach. — Stałeś po drugiej stronie drzwi, prawda? No więc, proszę. — Pochyliła się i wyciągnęła metalowy pręt wbity w piasek koło drzwi. Buch! Żelazo uderzyło o beton. Próg, na którym poprzednio stał, przechylił się na zawiasach. — To rodzaj zapadni. Dawno temu była tu łódź i jakiś kołowrót... W każdym razie niewiele brakowało, a znalazłbyś się w sadzawce. Jest tu dostatecznie głęboko. Mogłabym utopić cię, chłopczyku... trzy noce? Mam sporo siły dzięki pływaniu w jeziorze.

— Dzisiaj nie płynęłaś — zauważył Tom.

Odwróciła się do niego tyłem.

— Oczywiście, że nie. Zniszczyłabym sobie pończochy i pobłociła sukienkę. — Uniosła brzeg spódniczki i oczyściła. — Przewędrowałam pieszko przez cały las. Potem usiadłam na pomoście. Przechodziłeś obok, lecz nawet na mnie nie spojrzaleś.

— Teraz będę na ciebie patrzył — powiedział i zrobił ruch, żeby wziąć ją w ramiona. Najpierw chciała się cofnąć, ale zrezygnowała i pozwoliła się objąć. — Co się stało?

— To.

— Och, przepraszam. — Zasmucony opuścił ramiona. Nie był w stanie dostrzec wyrazu jej twarzy. W tej sukni wyglądała dorośle i niedostępnie. — Naprawdę. Wiadomość przyszła dziś rano. Przynajmniej sądziłem, że to dziś rano. A ta scena w lesie? To było teraz, prawda? Jakies pół godziny temu.

— Oczywiście. Słuchaj, jaki dzień...? *t

— Chcę ci coś pokazać. Coś, na co sam też chcę jeszcze raz spojrzeć.

— Och?

— Tutaj. — Otworzył drzwi do szopy na łodzi i przyklękął. — Pociągnij tę dźwignię.

—
272

?.?*"

bię- Muszę jednak robić, co on mi każe, bo w przeciwnym na ^ zacznie coś podejrzewać. Jednak zaufaj mi. raZ!! Boże, ja nie tylko ufam ci — odparł Tom. — Ja cię... -jagje Róża znalazła się na nim. Twarz jej pochyliła się nisko i ;ego twarzą, zasłaniając niebo i błyszczące gwiazdy. Jej "ta unosiły się nad jego ustami, a jej zęby chwyciły jego ugi Nogi Róży przylgnęły do jego nóg, jej piersi opadły na rs. Tom pieścił jej włosy i zatracił się w pocałunku. ^Spiewana erekcja wtopiła się w miękkość jej brzucha, jęczał, nie przestając jej całować, rozkoszował się delikatną wonią jej ciała i zapachem włosów. To była ona, była tą dziewczyną z okna. Do tej pory nie dopuszczał do siebie tej myśli, ale teraz trzymał w ramionach dwie Róże Armstrong: tę w zielonej sukni i tamtą nieosiągalną, oszałamiającą dziewczynę, która uniosła ramiona i pokazała się przerażonemu chłopcu siedzącemu na mrozie i wietrze w zaśnieżonych saniach.

— Połamiesz mi kości — szepnęła Róża.

Znowu zanurzył ręce w jej włosach.

— Nie możemy.

— Czego nie możemy? — wymamrotał Tom.

— Nie możemy kochać się. Nie tutaj.

To nieomal doprowadziło go do wybuchu. Nie tutaj! Tom jęknął, chciał wydostać się ze świata, w którym, obawiał się, oznaki jego pożądania mogły ją przerazić lub napełnić wstrętem. Pragnął znaleźć się w świecie, gdzie pozwoliłaby na spełnienie jego pożądania.

— Gdzie?! — zapytał, nie panując zupełnie nad swoim głosem.

— Nie krzycz, ja jestem tylko... Gdybyś wiedział...

— O, Jezu, wiem — powiedział i znów poszukał jej ust.

— Tak nie można. — Odsunęła od niego twarz, ale by mu to wynagrodzić, dotknęła go biodrami. — Och, jaki ty jesteś piękny.

— Gdzie? — powtórzył.

— Nigdzie. Nie teraz. Muszę wracać, Tomie, i zobaczyć się z nim. A poza tym, ja...

Była dziewczicą.

— Ja też — wyznał. — Och, mój Boże. — Przyciągnął ją mocniej do siebie. — Tak bardzo cię pragnę.

— Śliczny Tom. — Musnęła go ustami w policzek.

Tyle wydarzyło się ostatnio w życiu Toma, tyle kamieni milowych pozostawił za sobą, że teraz pogubił się zupełnie. Wbrew temu, co dawał do zrozumienia Delowi, zarówno

Odeszła kawałek dalej i znowu odwróciła się do nie
Zrozumiał, że jest to sekret, którego nie zdradzi. ®°

— Nie mogę zostać długo — powiedziała miękko.

— Chcę cię pocałować — wyznał Tom. To, że potragj
zachować swoją tajemnicę, sprawiło, iż stała się jeszcze bardzi *
pociągająca. — Chcę cię przytulić. 6j

— Mówiłam ci. Teraz nie pora na to. Muszę ci coś jeszc»
powiedzieć, a nie chcę wszystkiego pogmatwać. Nie mam zbyt
wiele czasu, bo jeszcze dziś muszę się z nim zobaczyć.

— Dziś wieczór?

Szedł ku niej po szarym piasku. Skinęła głową.

— Po co?

— Żeby porozmawiać. Lubi rozmawiać ze mną. Mówi, że
mu to pomaga myśleć.

— Ależ to doskonale. Będziesz mogła powiedzieć mnie
i Delowi...

— No właśnie. Dlatego posłałam ci tę wiadomość. Dowie
działam się czegoś. Ale może teraz, po dzisiejszym wieczorze,
sam już wiesz.

— Nic nie wiem — wyznał Tom, a ona ujęła go za rękę.

— Chce dać jeszcze raz swoje pożegnalne przedstawienie,
z udziałem twoim i Dela. Jeżeli zamierzamy uciec, to uważam,
że trzeba to zrobić tuż przed tym przedstawieniem, kiedy
wszyscy będą zajęci przygotowaniami

Dotyk jej ręki sprawiał, że poczuł miły, podniecający dreszcz.

— Ważne jest, że na to swoje przedstawienie zaplanował coś
niezwykłego, coś niebezpiecznego. Powiedział, że będziesz
musiał dokonać wyboru pomiędzy swymi skrzydłami a swoją
pieśnią. Czy wiesz, co to znaczy?

Tom potrząsnął głową.

— Do mnie też to kiedyś powiedział. Nie wiem, co miał na
myśli.

— Powiedział, że Speckle John wybrał swoją pieśń, ale on
mu tę pieśń odebrał i nic mu nie zostało. Uważam, że musimy
się stąd wydostać, zanim...

— Zanim dowiem się, co to znaczy — dokończył Tom trochę
zaniepokojony.

— Tak myślę.

Róża puściła jego rękę. Tom pochylił się i podniósł jej dłoń do swoich ust. Drżał. Przypomniat
sobie dziewczynkę w czerwonym płaszczku z wiklinowym koszykiem idącą leśną ścieżką. Róża
odezwała się:

— Tomie, czuję się tak strasznie... jakbym wciągała cię

jr 274

_ Kiedyś-

Kiedyś- Tak. Ale teraz, proszę, nie zaczynaj. — Odsunęła

. od niego. S1C ____ Kocham cię — powiedział. — Jestem w tobie śmiertelnie
załC!-C Cudowny Tom.

_ Nie jest już nieprzystępny?

__- Mam nadzieję, że nie. — Róża uniosła ręce w geście ainonagany. — Muszę iść. Naprawdę.

Bardzo mi przykro. S — Mnie również. Kocham cię.

Tom powoli wracał na ziemię. Posłała mu dłonią pocałunek. Odeszła po piasku, zatrzymała się, żeby zdjąć pantofle, i posłała mu drugi pocałunek, potem zniknęła w lesie okalającym jezioro.

— Hej! — zawołał. — Możemy wracać razem! Ja muszę...

Ale już jej nie było. Tom wciąż oszołomiony popatrzył na przystań, a później poszedł jej śladami do końca plaży. Przypomniawszy sobie, że dzisiejszej nocy ma spać w lesie i zastanawiał się, czy odnajdzie drogę do Dela. Co mu powie? To, co zrobiła dla niego Róża, wydawało mu się aktem nieomal boskiego miłosierdzia.

Kiedy dotarł do brzegu jeziora, zdjął ubranie i wszedł do zimnej wody.

— Kocham Różę Armstrong—powiedział do siebie i wszedł głębiej.

Światło księżyca kładło się na falach smugą prowadzącą wprost do niego. Kiedy zanurzył twarz w wodzie, przypomniało mu się, co zobaczył na dnie basenu w przystani. Była to odrąbana końska głowa, chwiejąca się lekko w ciemnościach pod naporem fal.

Wyszedł z jeziora i osuszył się pośpiesznie koszulą. Otarł piasek ze stóp, włożył spodnie i wsunął na nogi mokasy, potem skierował się z powrotem do lasu. Moką koszulę trzymał pod pachą.

Sześć światła: wprost przed nim migotało pierwsze, koło "tiejsca, gdzie Róża odegrała scenę z Gęsiarki. Potem Collins wyrzucił głowę konia do wody. Tom zdawał sobie sprawę, że czarodziej, gdyby musiał, podobnie bez żadnych skrupułów Potraktowałby i jego, i Dela, i Różę.

Najważniejsze teraz

277

Jenny Oliver, jak i Dianę Darling nie pozwalały mu nawet niewinne pocałunki, a tu brzusek Róży w cudowny sposób stawał się gniazdkiem i przyjmował jego erekcję. °^

— Śliczny Tom — powtórzyła. — Nie chcę cię okłamywać. Ja też ciebie pragnę. — Zarzuciła mu ręce na szyję, a on myślał, że otworzyło się niebo. — Tylko po prostu boję się...

— W porządku — uspokoił ją Tom. — Och, Różo!

— W cieniu szopy—powiedziała Róża i popchnęła go całym ciałem.

Oboje postąpili niezgrabnie parę kroków wstecz.

— Nie ma żadnego cienia, jest przecież noc — stwierdził }

Tom i wydało mu się to takie zabawne, że roześmiał się głośno.

— Głuptas. — Przycisnęła go do chropowatych desek i znów ustami otworzyła jego usta. Zamruczała. — Szkoda, że nie wrzuciłam cię do tej wody, musiałbyś zdjąć ubranie.

Ciało jej było jak chmura ogarniająca go w cudowny sposób. Opanowało go nieprzeparowane pożądanie.

— Dobrze, Tomie — szepnęła mu wprost do ucha. — Wiem.

Wszystko w porządku. Nie powstrzymuj się.

Jej jedna ręka przestała pieścić włosy Toma i lekko spoczęła na jego spodniach.

— Och, nie — zaprotestował.

Przesunęła rękę jeszcze bliżej. Cały drżał. Róża wygięła palce, tworząc jakby miseczkę i ujęła go... wydawał się bardzo długi. Szepnęła:

— Och, Tom...

Przytulił ją mocno i czuł, że wszystko w nim podrywa się, że zaraz nastąpi jakaś eksplozja w jego kręgosłupie i w głowie, i tam, gdzie była Róża.

— Kochany Tomie — powiedziała i przylgnęła twarzą do jego policzka. — Naprawdę nie powinniśmy tego robić — mówi

ła do jego policzka, a on śmiał się, dopóki nie cofnęła ręki. —

Jak teraz będziesz wyglądał?

— Doskonale.

— Pewnie uważasz, że jestem okropna. Ale jak czułam
ciebie... a ty tak jęczałeś... Nie chcę, żebyś myślał, że jestem—

— Myślę, że jesteś zdumiewająca. Piękna. Zachwycająca.

Niewiarygodnie fantastyczna. — Serce mu wciąż walito. —

Jesteś też wielkoduszna. A ja nie bardzo wiem, co się ze mną
stało.

— No... — powiedziała i wyraz jej twarzy sprawił, że znów
się roześmiał.

— Jak się czujesz?

— Świetnie. Nie wiem. Świetnie. i/ ~ .

276

kierownicę. Kręcone blond włosy pokryte były odłamkami 0 Czerwone krople były jego
krwią. Tomowi zrobiło się

edobrze. Nie mógł dłużej patrzeć na te wzbierające i spadają-° krople- Z obawą obszedł samochód i
spojrzał na umieszczoną ° przodu tablicę rejestracyjną. Floryda. Czy miał zobaczyć tego
mężczyzny? Dojrzał nieznajome rysy. Był to mąż ś

tWar g

czynna w średnim wieku. Ktoś nieznajomy. W miejscu przedziałka zauważył coś okropnego. I
wtedy pomyślał przez moment, że jednak zna tę twarz, poczuł się nagle bezradny i odwrócił się w
udręce, nie chcąc dopuścić do siebie strasznej świadomości, że rysy zmarłego są mu znajome.

Z drugiego końca parkingu zbliżał się do niego i do zielonego auta starszy mężczyzna w
sportowej koszuli i baseballowym kaszkiecie.

— Proszę pana! — zawołał Tom, a stary spojrział na niego badawczo. — Hej... potrzebuję...

Mężczyzna zaczął wygrażać mu pięściami. Odraza malująca się na jego twarzy spowodowała, że
Tom cofnął się. Mężczyzna coś wykrzykiwał, ale Tom odwrócił się i uciekł.

Kiedy dotarł do końca parkingu i zamierzał iść dalej chodnikiem, poczuł się, jakby spadł ze skały:
nogi ugięły się pod nim, miasto zniknęło w okamgnieniu, a on potoczył się po mokrych liściach.

Znów była noc i powietrze pachniało świeżością. Znowu był w lesie. Kiedy się wreszcie pozbierał,
stwierdził, że znajduje się po drugiej stronie podmokłej polany. Musiał iść dalej.

To nie był Marcus — to nie leniwy, wesoły Marcus osunął się bez życia w tym samochodzie. Ten
mężczyzna był za gruby, za stary. Potrząsnął głową, nie chciał w to uwierzyć, ale wiedział, że to był
Marcus. Po chwili opuścił pustą polankę.

Wąska, wydeptana ścieżka prowadziła do czwartego świat-Ja. Tom potykał się o jakieś korzenie,
jakieś ramiona wyciągały się ku niemu. Las pełen był szyderczych, złośliwie łypiących okiem
twarzy. Zatrzeszczała jakaś gałązka, ktoś na niego mrugnął. A potem roje robaczków świętojańskich
zaczęły krążyć, kołować przed nim. Poprzez chmurę owadów ujrzał następne światło.

Czwarte. Pozostały jeszcze tylko dwa.

Tom zbliżał się do kolejnego światła nieomal na palcach. Przypominał sobie, że ta latarnia
umieszczona była na szerokiej, płaskiej półce skalnej, przypominającej scenę. To tutaj °óza
odegrała rolę w opowieści o początku wszystkich bajek Pierwszego wieczoru ich pobytu w Krainie
Cieni. Również 1 tutaj czekano na niego.

279

było, aby zdołał przekonać Dela, że muszą uciec, zanim dojech^j do tego, co Collins zaplanował.
Tom czuł w głębi duszy, iż be względu na to, co mówi Collins, nigdy nie ustąpi swego miejsCa w
świecie czarodziejów piętnastoletniemu chłopcu. Bardziej prawdopodobne, że postąpi tak, jak
postąpił wobec Speckle Johna, ale o tym będzie wiadomo dopiero w dniu przedstawienia.

Drugie. Drugie światło przebijało się przez kurtynę liści Tom, marząc o Róży Armstrong, rozsunął

gałęzie, przeskoczy} przez omszały, gnijący pień i zatrzymał się. Na środku oświetlonej polany stał potężny mężczyzna okryty futrem. Na ramionach miał ogromną głowę wilka. Tom patrzył na tę postać jak urzeczony. Nie był zahipnotyzowany, nie spał i jego zmysły funkcjonowały normalnie. Człowiek-wilk, bardziej niż cokolwiek innego, co widział Tom, uosabiał magię — był personifikacją magii. Tom dostrzegł, że futro było zeszyte z kilku skór. Człowiek-wilk uniósł rękę i wskazał w głąb lasu. Tom puścił się biegiem, pędząc pomiędzy drzewami, dopóki człowiek-wilk mógł go obserwować, później zwolnił i już pomału podążał naprzód.

Trzecie. Tom przemykał się od drzewa do drzewa, starając się nie sprawiać hałasu. W pewnej chwili wyrzwał spoza ogromnego dębu i zobaczył bagnisty płacheć ziemi zalany światłem. Ostrożnie stąpnął na gąbczasty grunt. Las wokół niego zaczął się rozplýwać.

— Nie! — zawołał.

Usiłował cofnąć się, aby uniknąć transformacji. Plecami uderzył o coś metalowego. Momentalnie rozjaśniło się. Znajdował się na parkingu. Był wczesny, trochę mglisty poranek, wschodzące słońce zaczynało malować stojące po lewej stronie Toma domy rozległego, nisko zabudowanego miasta. Czy to tu miał być przyjęty? Żaden ze stojących na parkingu nowych samochodów nie wydawał mu się znajomy.

— Gdzie? — zapytał na głos.

Nie było żadnych kierunkowskazów. Wtedy, pomiędzy osłonecznionymi budynkami po prawej stronie dojrzał blado-niebieską smugę. Ocean. Kalifornia? Floryda?

Wszedł na jeden z betonowych chodników. Przedmiot metalowy, o który się uderzył, okazał się licznikiem na paliwo samochodowe. Co czekało go tutaj, w tym mieście? Nagle ujrzał przed sobą rozbity, zielony wóz. Na dole ramy drzwi zbierał się łańcuszek kropli, które pęcziały, rosły i spadały, rozpryskując się o beton. Krople były czerwone. Tom spojrział na przednią szybę samochodu i zobaczył męską głowę opartą

278

j? postać przypominająca Bricka wyła gdzieś daleko po jego stronie.

i na ślepo torował sobie drogę w oświetlonym księżym lesie. Szedł w kierunku, gdzie drzewa rosły rzadziej. «r iaż pomiędzy gałęziami widział twarze, ale teraz pa-v}v one na niego z przerażeniem. To dlatego, że opuścił

piąte. Spodziewał się, że tu będzie i było. Płonąca po-hodnia, a nie światło elektryczne. Znów chciało mu się płakać Miał przeczucie, że ujrzy Różę stojącą w wysokiej trawie i pieszczącą wilka... Różę z wilczymi zębami...

Te wszystkie nocne koszmary w szkole, te wszystkie okropne przywidzenia, to wszystko było w nim samym. W nim powstawało, w nim rodziło się i z niego wypływało, zakażając każdego, kogo znał. Już wtedy, gdy myślał, że magia to tylko parę zręcznych karcianych sztuczek, już wtedy był na drodze prowadzącej tutaj. Pochodnia płonęła w czarnym gąszczu. Tom zadrżał i postąpił naprzód.

Najpierw zobaczył zdechłego wilka. Wilk miał brzuch rozplątany sztyletem. Tom nagle poczuł zapach kwiatów gorczycy, przez który przebijała delikatna woń ciała Róży. Rana w brzuchu wilka była otwarta, bo zwierzę miało łapy przybite do drewna i zwisało całym ciężarem. Wilk wisiał tuż pod pochodnią.

— Rózo... — powiedział Tom. — Rózo, proszę...

Z lasu wyszedł mężczyzna w czerni. Był w czarnej pelerynie i w czarnym kapeluszu ocieniającym mu twarz. W rękę trzymał zakrwawiony sztylet i skierował go w pierś Toma.

— Mieścisz w sobie światy?

— Nie. — Nie chciał tych światów.

— Pragniesz panowania?

— Nie.

— On dojrzał w tobie skarb, dziecko.

— I zapalał nienawiścią.

— Uczcij Księgę.
— Nawet jej nie znam.
— Należysz do Zakonu.
— Do niczego nie należę. — Tom bał się, że człowiek z niewidzialną twarzą przebiję go, ale on powiedział:
— Wiesz, czym jesteś, dziecko.

JUŻ

Mężczyzna przywiesił do boku sztylet i wskazał drogę, którą powinien iść. Droga prowadziła do szóstego światła, teraz wygaszonego.

281

Tom podkradał się w stronę skalnej półki. Tak, ktoś * niego czekał, pomiędzy gałęziami dojrzał głowę okrągłą jj* kula armatnia. Ślimak albo Cierń z gębą jak dynia. Ton, przesunął się chyłkiem na bok, żeby dojrzeć twarz. Najpierw zobaczył czerwone mięsiste ucho i różowe ciało pod strzyżonymi szczeciniastymi włosami, potem resztę ociężałego oblicza.

O Boże.

Stąpnał na gałązkę, która głośno trzasnęła. Dave Briccj podniósł głowę i wyprostował skrzyżowane nogi. Siedział na metalowym, szkolnym krześle.

— Tommy? — odezwał się płaczkliwie. — Proszę cię, Tom my.

— Chciałbym — odparł Tom. — Ale teraz już za późno.

— Wciąż tu jestem, Tommy. Czekam. Ty jednak wybrałeś skrzydła. Wróć i odszukaj mnie. Wyratowałeś altówkę i eksponaty magiczne. Teraz kolej na mnie. — Głos Bricka był smutny i trochę poirytowany.

— Już za późno — powtórzył Tom. Pomyślał, że zaraz zwariuje, że jego rozum da za wygraną i opuści go.

— Potrafisz czynić czary. Uratuj mnie. Chcę żyć... Tom my. Coś spadło na mnie... coś mnie uderzyło... i pan Broome powiedział, żebym się nie ruszał... — Brick wyglądał, jakby miał się rozpłakać, potem rzeczywiście zaczął płakać.

— Och, nie płacz — prosił Tom. — Nie mogę tego znieść. Nic na to nie poradzę. Tego już za wiele dla mnie.

— To Del zabrał tę sowę — powiedział Brick przez łzy. — Widziałem. To on to wszystko zrobił. Spytaj go. Potem wróć i wyratuj mnie. To wszystko jego wina, Tommy. Zrobił to dlatego, że to ty masz zasiąść na krześle sowy. Spytaj go.

— Ty nie nazywasz się Dave Brick — oświadczył Tom. Twarz, na którą patrzył, była pomarszczona, ręce były duże i silne. Tom biegł po kamiennych płytkach, a to coś siedzące na krześle zaczęło wyc.

— Możesz być uratowany, Tommy! On może cię ocalić! Tak jak ty możesz ocalić mnie! ?""*?•

Tom uciekał od tego głosu daleko w las. Sam zaczął płakać. Czy ze strachu, czy z oburzenia — nie miał pojęcia. Czy Coleman Collins opowiadał teraz o tym Róży, rechocąc ze śmiechu? A może przedtem wiedziała, co mu się przydarzy, wówczas kiedy posyłała mu pocałunki? Nie, to niemożliwe. Biegając zawadził o korzeń, potknął się i przystanął. Gdzie

280

2 było do dna złe. Mówiło wysokim głosem, w którym 1 się wściekłość, lecz zwierzę to nie było zwierzęciem, iało mężczyznę ze sztyletem. Zdradzisz Dela.

— Nie.

— Ty zostaniesz tu na zawsze i przepędzisz stąd Dela.

— Nie.

— Jesteś przyjęty, chłopcze.

W jednej chwili ptaki zerwały się z drzew, czyniąc hałas • szum niczym fale na oceanie. Tom zakrył twarz w obawie, że spadną na niego i rozdziobią go na strzępy. Del płakał przez sen. po chwili ptaki odleciały.

Tom wtulił się w śpiwór i zasnął.

Kiedy się zbudził, zaczął myśleć o realizacji powziętego planu. Jeśli Róża nie pomyliła daty, to matka musiała otrzymać jego list już parę dni temu. Lada dzień nadejdzie pora ucieczki. Tom obrócił się i zobaczył Dela siedzącego na trawie, wspartego o drzewo na drugim końcu poręby.

— Dzień dobry — pozdrowił go.

— Dobry. Gdzieżeś polazł wczoraj w nocy? Powiedz mi.

— Spacerowałem tu, w okolicy. Zabłądziłem.

— Nie widziałeś się z moim wujkiem?

— Nie. Nie widziałem się.

Del potarł rękę o mokrą trawę.

— Mam nadzieję, że nie przydarzyło ci się nic... Mam na myśli... to, o czym mówił wujek.

— A tobie coś się przydarzyło? Zostałeś przyjęty?

— Nie — odpowiedział Del. — Nie zostałem przyjęty.

— Ja również nie — skłamał Tom. — To była chyba najnudniejsza noc w moim życiu.

— Tak, dla mnie też. — Del rozpromienił się. — Ale wydawało mi się, że coś słyszałem... musiało już być bardzo Pozno. Jakiś wielki hałas, jakby miliony ptaków zerwały się do lotu. — Spojrzał nieśmiało na Toma. — A może zostałem Przejęty? Może to właśnie było to?

— Chodźmy umyć zęby — zaproponował Tom.

Tom włożył koszulę. Obaj zwinęli śpiwory i pozostawili na Polance.

~~ Wyglądasz inaczej — zauważył Del.

283

Del leżał skulony w śpiworze, na ciemnej porębie, głowę podłożył sobie ręce. Tom, gdy rozwinął własny

pity-

i wsunął się do niego, czuł udręczonym ciałem wszystk' nierówności gruntu, każdą górkę i dołek. Słyszał ćwierkan/ świerszcza, mechaniczny, idiotyczny dźwięk radości. Przewr/ cił się na plecy i ułożył możliwie wygodnie. Wpatrywał sje w księżyc, który wyglądał jak uszczerbiona skorupa orzecha „Wiesz, czym jesteś”. Odwrócił głowę i wzrok jego napotka} drzewo rozdarte na pół piorunem.

Del poruszył się i coś zamamrotał.

— Pomóż mi, Różo. Wydostań mnie stąd.

8

Jakieś zwierzę dmuchało mu w twarz ciepłym, śmierdzącym oddechem. Wzdrygnął się i opuściła go senność. Zwierzę uciekło. Tom czuł, że się go bało. Upłynęło już parę godzin, księżyc zaszedł. Widział tylko w odległości dziesięciu stóp biały owal twarzy Dela. Chociaż nic więcej nie mógł dostrzec, czuł wokół siebie obecność setek żywych istot — zwierząt. Wśród drzew rozlegał się furkot wielu skrzydeł.

— Nie — szepnął Tom. Zamknął oczy. — Wynoś się!
Coś z szelestem zbliżało się do niego. To coś nie bało się
i posuwało się pewnie, ze spokojem. Zatrzepotały setki ptaków.
— Wiesz, czym jesteś, chłopcze.
Tom potrząsnął głową i zacisnął oczy.
— Jest w tobie skarb.
Starął się zatkać sobie uszy.
— Jakie jest pierwsze prawo magii?
Waż czekał cierpliwie na jego odpowiedź. Nie odpowie.
— Nie mamy co do ciebie żadnych wątpliwości, chłopcze.
Tom tak mocno potrząsnął głową, że aż zaboląła go szyja.
— Nauczysz się wszystkiego, co powinienesz wiedzieć.
Potem zbliżyło się jeszcze coś, inne zwierzę, którego nie
mógł rozpoznać. Wąż wykonał parę gwałtownych ruchów i zniknął w poszyciu, a Tom jeszcze
mocniej zacisnął oczy. Wcale nie chciał zobaczyć tej istoty, promieniowała bowiem z niej taka sama
dociekliwość i zaborczość jak z tej małej postaci w alei na skarpie, wtedy na początku wszystkiego.
Zwierzę to otaczała atmosfera niegodziwości. Nie było obojętne

282

pamiętam na przykład, jak Bud dyskutował z wujkiem

- pySkutowali o tobie?

~ Niezupełnie. Przypominam sobie, że Bud chciał, żebym wracał do domu. I Bud wygrał.

Pojechałem z nim do

u Pamiętam, że wujek Cole szydził z niego. Powiedział, iż ^""nadzieję, że Bud nie spodziewa się,
że zostanie moim ^dkobiercą. Wiem, że to obrzydliwe powiedzieć coś takiego, sPaon Dyl wściekły.
To chyba tyle. Chociaż... pamiętam, jak v- dyś Bud siedział w jednym końcu salonu, a wujek Cole
drugim, ja chyba leżałem na kanapie. Oni obaj tylko Spoglądali na siebie. Wyglądało to tak, jakby
zmagali się bez sjów. Potem wujek powiedział:, „No, dobrze. Zabierz go, ty stara babo. Ale on tu
wróci. On mnie kocha". Bud poszedł na górę po moje rzeczy i wyszliśmy wszyscy do samochodu.
Bud powiedział: „Nie życzymy sobie żadnych powtórzeń tego przedstawienia, panie Collins".

— Żadnych powtórzeń tego przedstawienia?

— Tak. — Del w smugach światła i cienia wtapiał się
w las. — To było oczywiście głupie, bo przecież nie miałem
zamiaru ponownie złamać nogi. Myślę, że Bud był przesadnie
ostrożny.

— Dobra — powiedział Tom i skierował się w stronę
występu skalnego.

— Ciekaw jestem, czy zobaczymy dziś Różę — zastanawiał
się Del, podążając za nim.

„Zdradzisz Dela". To właśnie się stało.

— Jak?

— Po prostu inaczej. Jakby starszy.

— Nie wyspałem się.

Szli lasem pod koronami wielkich drzew. Po paru minut znaleźli się na polanie, gdzie mężczyzna
ze sztyletem działał, że Tom wie, kim jest.

— Może zobaczymy dziś Różę — powiedział Del.

— Może. — Tom przeszedł prosto przez polanę w]
ledwo widocznej ścieżki prowadzącej do skalnej półki.

— Tom, przykro mi, że się tak na ciebie wściekłem,
lałem, że chcesz wszystko popsuć... no, wiesz. To było głupie
Naprawdę, bardzo mi przykro.

— Nie ma o czym mówić. — Tom odsunął paprocie i znów zagłębił się w las.

Po chwili Del znów się odezwał:

— Wiesz, myślę, że jesteśmy tu znacznie dłużej niż nam się wydaje. On to już mi kiedyś zrobił.

— Tak, ja też mam takie wrażenie.

— Słońce znajduje się w innym położeniu. Czy to nie nadzwyczajne? Tak, jakby mógł przesunąć słońce.

— Del, boli mnie głowa.

— Och, to pewnie dlatego wyglądasz inaczej. Słuchaj, co ty myślisz o Róży? Wiem, że tylko raz ją widziałeś, ale co o niej myślisz? Mam nadzieję, że ją polubiłeś.

— Lubię ją — powiedział Tom.

To było nie do zniesienia. Zastanawiał się, jak powstrzymać Dela, żeby nie mówił o Róży. Ścieżka, którą szli, skręciła i znaleźli się w pobliżu skalnej półki, w kręgu bladego światła. Del, skoro pozbył się wątpliwości, spoglądał na Toma jak przyjazny psiak.

— Chcę cię o coś zapytać — powiedział Tom.

— O Różę? Możesz być moim przyjacielem, jeśli ci na tym zależy.

— Wtedy, gdy złamałeś nogę. To wtedy byłeś tu dłużej, niż myślałeś?

— Skąd wiesz? — Del patrzył na Toma w osłupieniu.

Tak. Masz rację.

— Możesz przypomnieć sobie, co się wówczas stało? Kie

Bud po ciebie przyjechał?

Zdumienie Dela zmieniło się w zakłopotanie.

— No, to tak, jakby spało się przez długi czas czy coś; takiego. Dlaczego to cię interesuje? Czasami przypominają się fragmenty tego, co się wtedy wydarzyło, tak jak przypominają się sny.

Tom czekał.

284

pyszności — powiedział Del, zabierając się do jedzenia. 1, Trochę kawy? " Nie, dziękuję.

— To tak, jakby się było królem, a nawet lepiej. Nie

trzeba pokazywać się publicznie i zbierać podatków, czy co? Proszę królowie. Ale on chyba jest królem, prawda? Wno-W c z tego, co wczoraj powiedział...

— Mhm-

— Ty naprawdę nie chcesz tego, co? — spytał nieśmiało Del.

— Nie, nie chcę. Ty będziesz serdecznie przyjęty.

Ale nie będę sam jak on. Mam na myśli, że ja nie musiałbym być sam.

Boli mnie głowa — przerwał mu Tom. — Chyba za szkodziły mi te nerczki.

— Och, tak mi przykro! — wykrzyknął Del. — Tom, jest tyle rzeczy, za które powinienem cię przeprosić. Chyba trochę pokręciło mi się w głowie. Wiem, że nie było powodu, żebym był zazdrosny, ale on tyle czasu spędzał z tobą. To jednak znaczy tylko, że zostaniesz fantastycznym iluzjonistą, prawda? Zawsze będę liczył na twoją pomoc, Tomie. Wiem, że wybrał mnie, no i w ogóle... ale, myślałem sobie, że mógłbyś mieć dla siebie jedno skrzydło tego domu i moglibyśmy odbywać razem tournée artystyczne tak jak on ze Speckle Johnem.

— Byłoby świetnie — powiedział Tom. Odsunął talerz. — Del, bądź po prostu ostrożny. Nic jeszcze nie zostało ustalone. — Nie mógł mówić o planach ucieczki, kiedy Del pochłonięty był problemami swego przyszłego królestwa.

— Będziemy musieli wybrać sobie nowe nazwiska. Myślałeś już o tym?

— Del, nie wiemy, co jeszcze może się wydarzyć. — Del spochmurniał. — Nie śpiesz się tak. Jeszcze wiele musimy się dowiedzieć.

— No, tak, to prawda — powiedział Del i wrócił do swoich jajek. Tom zaryzykował.

— Nigdy dotychczas nie pytałem cię o to. W jaki sposób zmarli twoi rodzice?

Del podniósł wzrok, był zaskoczony.

— Jak? Rozbił się samolot. Samolot należał do spółki. Pilotował go mój ojciec, miał licencję. Coś się wydarzyło. — Del odłożył widelec. — Nie mieli nawet pogrzebu, ponieważ katastrofa nastąpiła wskutek eksplozji. Nic nie pozostało, tylko popalone szczątki. Zresztą mój ojciec zastrzegł w testamentach, żeby nie było żadnych uroczystości żałobnych. Po prostu... odeszli. — Uderzał widelcem o talerz.

287

Ucieczka

ze byli

leśnej {

^

holu. Panował

gdy zmier[^]i do

Jak on Pko coraz bardziej. Nie perfekcji.

S[^]Wgłębiać się w [^] c, tylko doskonalić się. Dążyć do

Tom. - Czy

Panie-

Na *? densle stał rząd p * kwiatami freajiPPo3Sn ~ Oczy wiście jSt-mamy. - Unosił

i [^] jadalni nakrycia. Na kre*

k Oraz wazony stoła

rzuł dom wokół siebie tak jak własną skórę. Nie słysząc ego odgłosu, wiedział, że Del leży już w łóżku — ciepły

ibuszek wtulowy w zimną, nieskazitelną doskonałość. Gdy-#ęw domu była Róża Armstrong, wyczułby ją jak żar ognia. W Odszedł od okna i skierował się schodami na dół. Wydawało się, że jest w stanie dojrzeć wewnętrznym wzrokiem każdy m kątek tego domu, każde zagięcie poręczy na schodach, każdą l opelkę wody, jaka pozostała w kuchennym zlewie.

Nie zostanie w tym domu ani dnia dłużej niż będzie to konieczne.

Wyobraził sobie dom bez mebli, gołe ściany i podłogi pachnące świeżą farbą, dom pusty oczekujący nowego właściciela. Pomyślał, że Kraina Cieni to niefortunna nazwa dla domu, była jednak właściwa dla tego domu, gdzie wszystko było tajemnicze i nikczemne, a ludzie mieszkający tutaj nienawidzili światła. Kraina Cieni kojarzyła się z dematerializacją, a Coleman Collins wydawał się człowiekiem zagubionym w kręgu własnych mocy, cieniem w świetle cieni. Był starym królem, który wiedział, że dozna cierpienia z rąk swego następcy.

Tak przynajmniej określił to trzydziestoseścioletni Tom Fla-nagan — oczywiście nie użyłby takich porównań w wieku piętnastu lat, a ja, w pewnym sensie, improwizuję opierając się na jego słowach, ale jako piętnastolatek, który stał u podnóża schodów, czuł, że ten dom go wciąga. Przeżywał rozpacz i żal, które opisywał mi już jako dorosły. Wiedział bowiem, że został wybrany, choć odmówił; wiedział, że miał zostać nowym królem kotów, choć nie chciał wyrazić zgody również na to, gdyby jego zdanie miało jakiegokolwiek znaczenie. A dorosły Tom mówił mi, że w wieku piętnastu lat już wiedział, że parking na Florydzie, gdzie wi-•^iał rozbity samochód z trupem mężczyzny, był najprawdziwszym wyobrażeniem Krainy Cieni. Nie mógł uwolnić się od tego obrazu.

Tak więc odwrócił się u podnóża schodów i powlókł bez-^ednie w kierunku drzwi frontowych. Nie były zamknięte. w osłepiającym blasku słońca Tom wszedł na ostatni stopień.

10 ~ Kraina Cieni 289

— Gdzie wtedy byłeś? De miałeś lat?

— Dziewięć. Byłem tutaj. Było lato. Mieszkałem wtedy w s>i>le z internatem w New Hampshire. Była to nędzna dziura, ty ^działem, że po tym wszystkim wyrzucą mnie. I tak się stało. Gtjyj! wujek Cole nie był dla mnie taki dobry, to pewnie bym tego J przeżył. Nie wiem. — Spojrzał niepewnie na Toma, który sied^zamyślony. — Wujek Cole pomógł mi, nie pozwolił mi się załan^-
— Dlaczego nie zamieszkałeś razem z nim?

— Chciałem, ale ojciec w swojej ostatniej woli zarządził, ż»mam mieszkać z Hillmanami. Ojciec nie znał zbyt dobrze wujb Cole i chyba mu nie ufał. Możesz zresztą sobie wyobrazić, co bankierzy myślą o iluzjonistach. Czasem musiałem wręcz błagać ojca, żeby mi pozwolił przyjechać tutaj w lecie. Ostatecz nie zawsze pozwalał. W ogóle dawał mi zawsze to, czego pragnąłem.

— Tak — powiedział Tom. — Mój również. — Po chwili Tom odezwał się: — Chyba pójde położyć się albo może pospaceruję.

— Ja też jestem zmęczony. Mam ochotę wziąć kąpiel.

— Świetny pomysł—potwierdził Tom i obaj chłopcy wstali od stołu.

Del poszedł na górę, a Tom wrócił do salonu. Usiadł na kanapie, potem położył się i wyciągnął nogi. Gdzieś w ścianie warczała rura wodociągowa. Wielki dom, idealnie wysprzątnany i wypucowany, zdawał się pusty, wyczekujący. Gdyby spalił dywan, to czy ten natychmiast by się

odtworzył? No, bo wyglądał jak żywy. Del chciał tutaj zamieszkać; w swej wyobraźni już rządził Krainą Cieni.

Tom zeskoczył z kanapy i wbiegł po schodach. Zrzucił ubranie i poszedł do łazienki pod prysznic. Zimny tusz powiedział: Nie możesz.

Świeży ręcznik zawołał: Pokonamy cię.

Nowa tubka pasty do zębów na umywalni szepnęła: Będziesz nasz.

Tom włożył czyste ubranie, a kalesonki wrzucił do koszyka na śmieci i przykrył zmiętymi arkuszami papieru z biurka. Ten symboliczny akt buntu poprawił mu samopoczucie. Przynajmniej jedno miejsce w tym domu nie będzie nieskalane.

Wyszedł z pokoju. Przez wielkie okna w holu popatrzył na przystań: Róża w zielonej sukience i w pantoflach na obcasach. Jeżeli wyglądał inaczej, to z powodu tego zdumiewającego wydarzenia, które tam miało miejsce, a nie ze względu na nadzieje związane z królestwem magii, którymi karmiono go po drodze na polanę. •:•** -•

288

I6Z

'3fni{ ais t^aizo^ — jBtpn op 'ZBia? — "nut _T,^ aizo BU Alty njnxu 0{o>[feofeuso i azozjq B5(OS^AV BU JBZ oatzpatMod ora aiims A\ ofepaq atu 'utox ifeujjaf— uoooo DBMyCjOOiCM §IS n^UyCzoBZ t Xzoo oSatu M i^BidaiM jfButns I yjaTO "^UOJBZS 5[Bf ats { Btuisazoi Kzoo jfzjoMlo i Aiojs A2j% azazsaf ats jsciufi „azog <Q« ifoaid nui ojBdBjp atuazpojSo fejuiaiz psu Xdojs ^ZJ^ nzjja^ - od M §ts psoun uioj, „jfB^" atMtizBjazjd oazDXzj3| JBZDBZ t Xzoo oSatu M iBtdaiM hfBad JCUUIOJSO oSajpiJf pods 'igns j^CzoBqoz l>f" -aos fauoiutXpBz z AzejjZOj oSaDBfn3[^zjjlyCM B.auioojg BJa: ZBjqo ats ftMBfod tuiczoo pazjd B 'fazjz ZBJOO 'oj[ojazs p fazjz ZBJOO O3[ojazs ais fepBjaiMzoz ajp^Jt ^OBUOUIBJ I{OXMS O { Bis^uiod r Xzoo { feuspue^ ?naoappo oSazaiMsaiu 'fac-qs fóofeuqDnD 'faupnjā ipsdBZ fnzood ^"Oi ".o-^zouoifBz oł ?æ 'TMJ2{ fauuirz p yfzDjBjsAw az 'psou -Mad ZSBUI atu ijsaf 'oSaZoiu op ats fBjataBZ atu 'fBiaurej" ituałod Azo 'Xuiazjatqop oSatu op §ts UIIUBZ t^fBui AY 5[Bf — yjato { yfzBAvnBZ — 3[BtuzBM ośatu z amazsnd^d 6B5(nsjoq arnj^ uo azoui y — uotuiBJ aiusatui pi zszou i atN oSaiu op 5ts n wd „d - -^ fB!2ps>!Aloapo _ oSomt msi^:; ""T*01 TM<zaims BU iis szpeąDazjd az iapp teuzDiR fafoMi zVqnzs - „„„„„„„ „ « "TMJ BUBMAZSZOd '6MtTpAZaq« •"?? Aoi- iHjouDtqoBZl[euItIsuJat3fBizpaiAvod-BIBIBix ^i(J %ZT^TI^O^V <feJBZSP^ -OBJpotqBunaS^ JfBuitts npzBfpod BOUBJ5T op IIZS9po4d T^DzauI fBq0 x [pod UIOJk i wAaruS uxtu ez OQ j^zsBZBjqoXAV atqos yfj 03 — Aajd ^fzpaiutod aiuej atu[Bjuaiuyf jads^a { M i |B[SyCuiod 'ozpłf 'BMOIOS zsatzpaq OJflA ^pa?x 3[BA ^IIFH ^P tP? DIZpBMOjdBZ BJBUI BJOJf 'aSojp BłSiCZOZSBld 'fejfsBM BU BIU Zazjd J/CzjBcI -BUIBjq JBBAVBłSOZOd 0§IAV y "jnjp AłSBZO[OJ] azozsaf §is |IAV uiapfzs pBN apuauiao M o5auoido}BZ Bpfzs oSauozonpod BMJSJBAI haruS j^Cq AiozouatAiz ^SBiuiołBu mui ifuB[5ao atqopzo anuCpaf Ayfznjs ara Bpsoumad z AVO5[-dn{s qor3[łSifzsAv BtuazouoifBz aj;so Ta??IQ azozsaf fpazspoj

auibjq

 pj B[Sao j^fzBA\nBZ ruiBAvazjp ^zpatj\|f
 vfuiBjq n Avojfndn|s AifzDzs oazjfop znf f3oxu vuoj1 ^°jp aiMojod JVV BtuaisatuzM
Bzpupod n |BoajjfBz pzBfpod
 ?yfzozj Bqonjsod ouAvad BU [3Q '5[BJ, 'aMOjS 1
BIIUIIBJ M oS OJBZJŚ auojs aofejof) atqos jttuopBiMsn — BZ
% j XqBjSoj\| nuBfd qor psouzsns op B[aQ a
 r ojBpyfAv asfaiupnjfBN 'psojzs/Czjd po tfj
 łsoadfBU XqoiyCq iuaiQ iCuiBj^ atuazozsndo ję
 atzpaq ijsaf 'Bpd 1 SB[zazjd }3AVBU 3[BA AUH °P 9?f°P
9,p ^N-Sojic 'Aiouia^ojd oarui ruutAvod atu BZOJJ 1 \a(j 'uo
y ^t^Jd zazjd ais Dfeuspazjd kjBfopz aiu ^aiMojzo ASOJOQ
•^ ejq BZ { Bzjfods 1 faiBp jpazsod i(qifpś 'OJBJS ats Aq 00 y
^^ ałBui ifjBMisfsAod aizpazfpod B^ liBjsB BU jpazsz uiox
^az ozatAvs j|Bf ^BZDzs/fjq ^Cusps AŞ
oj nur
3/fzjoMjo njjyfs feooutod BZ ojatdop r ats DBUI^ZJJBZ Xqi[atnui 'i[Bşps qot Aq yfejpa^jf
'ISBIUIOJBU 13 'JCMJO rjfBj zazjd ats afeuspazjd oupnjj /(qo^q atu aiBOj^ 't[BO o^tMaizp ojojfo
o aqais po es auofBppo atuiBjq M Aajd az '^zoBqoz 1 fazt[q jpazspoj mm uaj zazjd ats OBjsopazjd
zatuMOj Aax\Soyi 'B^OJAI uia[O •fpd Xofefriui,faqo jnuj /fuB[Sao j^fzBA\nBZ ruiBAvazj

poszedł dalej holem do Małego Teatru. Mosięzna tabliczka ih nie była już pusta, wyryto na niej następujący

Imperium Zielonego Lasu 21 sierpnia 1924

Tom otworzył drzwi. Publiczność na fresku spoglądała na „jego. Na twarzach widzów malowały się różne uczucia: przy-emność, rozbawienie, cynizm i zaborcza zachłanność. Gdy przekroczył próg, znalazł się tuż koło sceny, nieomal na deskach. Wycofał się.

Przeszedł parę kroków holem, żeby dostać się do Wielkiego Teatru. Tutaj też wszystko lśniło, błyszcząły nawet rezerwowe boczne krzesła. Kurtyna była odsłonięta. Wyfroterowane deski prowadziły do czystej, białej ściany. Nad podłogą, na różnej wysokości, zwisały liny. Tom przeszedł pomiędzy rzędami i usiadł na jednym z wyścielanych krzesel. Jakże pragnął wyprowadzić już tego południa z Krainy Cieni Różę i Dela. Nie miał najmniejszej ochoty oglądać pożegnalnego przedstawienia Collinsa. Wiedział, że będzie to więcej niż tylko pożegnanie Colemana. Będzie więcej pożegnań. Odczuwał to wszystkimi zmysłami.

Jego zmysły podlegały również tej ogólnej przemianie, jaka w nim nastąpiła. Zostały dostrojone do otoczenia. Przez cały dzień widział wszystko i słyszał z większą jasnością. Od chwili, kiedy z Delem wrócili do domu, zaostrzyła się jego zdolność postrzegania. Prawie niesłyszalne zwykle dźwięki uderzały go z% wielką siłą. Najdziwniejsze było to, iż wciąż miał świadomość, że istnieje Del, że śpi w swoim łóżku — mały, ciepły kłębuszek. Ta świadomość nie opuszczała go ani na chwilę. Del świecił mu jak gwiazda.

Nagle Tom uzmysłowił sobie, że w domu coś się dzieje, Poczłł ruch powietrza, jakby ktoś otworzył drzwi i wszedł do °uka. Tom słyszał niemal szum krwi pulsującej w ciele ^/zybysza, wiedział, że był to Coleman Collins. Czarodziej ekiwał go, był gdzieś w teatrze, chociaż w zwykły sposób nie I mozJ* go było odnaleźć.

fl wstał z krzesła i poszedł w kierunku pustej sceny. Co | to z*a* Collins o czarodziejach w bajce o wróblach? „Dają ci c' . co Prosisz, ale każą za to zapłacić". Przekroczył pro-.Jotju^111 i znalazł się przy końcu bocznego przejścia. Przy-I ^> bi > s°k*e' ze widział te zielone ściany płynące jak obło-I ' ate kolumny przywodziły na myśl słupki w bramie —

wystrzał armatni. Brzoza pochyliła się na lewą stronę i prawdopodobnym trzaskiem oderwała się od ziemi ^
— Fenomenalne! — wrzasnął Ślimak.

Drzewo przewracając się, wyniosło na powierz masę splecionych korzeni i wielkich grud ziemi PiP* 7
siał nieomal równolegle nad Tomem i chłopcu zdawał **"
ze słyszy, jak brzoza wyje z bólu i przerażenia Odw *ę>
się od niej. Miał wrażenie, jakby porzucił zdychającego??
hka lub mysz, jakieś małe żyjątko, któremu przedtem J^
śmiertelne obrażenie. Napełniło go obrzydzenie do sam
siebie. Nie wiedząc czemu, stanął mu przed oczami wynSf
z korzeniami mlecz i miał wrażenie, że po rękach płwiM» m
krew. J m"

Cierń i Ślimak zniknęli w lesie. Tom spadł na wyasfoi
towany podjazd. Tego właśnie pragnął Szkielet, pomysŚ'
Upadek spowodował wstrząs, trudno mu było wstać przekrerił
się wspierając na łokciach i kolanach i policzkiem przywarł do
asfaltu. Gdyby Cierń i Ślimak wrócili, mogliby skopać go 2
nieprzytomności. s

Wreszcie Tom jakoś zebrał się, wstał i pomaszerował z powrotem ku domowi. Kraina Cieni
jarzyła się od światła. Dom wyglądał jak nowy. Ceglane stopnie zapraszały żeby na nie wkroczyć,
klamka prosiła, żeby ją dotknąć. Tom czuł łomot w głowie.

Owiały go znajome zapachy i ciepła atmosfera powitania. Minął hol, wszedł do małego, bocznego
korytarzyka i otworzył! na oścież drzwi do zakazanego pokoju. Nie spojrzała na niego żadna
rozumna twarz w okularach. Pokój nie był ani zapchanym gabinetem, ani podziemnym sztabem
wojskowym-Był pusty i goły. Srebrnoszare ściany, białe ramy okienne, ciemnopopielaty dywan.
Pozbawiony życia pokój wciągał go jednak do swego wnętrza.

„Wszystko, co tu zobaczysz, wynika z wzajemnego oddziaływania twego umysłu i mojego”.

Jakaś niewidzialna scena unosiła się pomiędzy tym' ścianami, czekając aż Tom wejdzie. Tom
cofnął się i usłyszał' jak pokój westchnął, wyrażając doznany zawód. A może b}* coś w tym
pokoju... jakiś odczarowany olbrzym...Tom zamknął! drzwi.

292

Iluzjonista wzruszył ramionami i znów napił się whisky.

„ Mogę cię zapewnić, że jest to ostatnie lato Dela w Krainie
ni Ale nie twoje. Ty będziesz przyjeżdżał tu często i na
Mu?O. Tak musi być, moje dziecko. Wybór nie należy do nas. —
Ponownie uśmiechnął się do Toma i z kieszeni marynarki wyjął
pajomą kopertę. — Łączy się to z tym. Dała mi Elena, jak
owinięś był przewidzieć. Nie mogłem pozwolić, żeby został
wysiany. I uważam, iż jest to obraza mojej gościnności.

„gł to list do matki, Tom patrzył nań z przerażeniem. Collins wciąż uśmiechał się, trzymając list
pomiędzy dwoma palcami.

— Pozbędziemy się go, prawda?

Na wystającym u góry rogu koperty pojawił się płomień. Collins trzymał list, dopóki ogień nie
doszedł prawie do jego palców, wtedy podrzucił kopertę do góry i natychmiast cały list stanął w
płomieniach.

— A więc nie ma już tego pomiędzy nami — oświadczył
Collins. — I nic podobnego nie będzie w przyszłości. Rozu
miesz?

— Rozumiem. — Tom zbladł. W pewien sposób list był dla

niego gwarancją, że opuści Krainę Cieni.

— To jest dla ciebie o wiele ważniejsze niż szkoła, chłopcze. To będzie twoje prawdziwe wykształcenie. A teraz pokażę ci coś, o co i tak z pewnością wcześniej lub później byś mnie zapytał. — Pochylił się i wydobyl spod krzesła cienką, oprawną w skórę książkę. Ani na okładce, ani na grzbiecie książki nie było tytułu. — To jest Księga. Nasza Księga. Księga, którą zobowiązani jesteśmy czcić. — Podniecenie czarodzieja było niemal dotykalne. Collins, na ogół chłodny i opanowany, teraz promieniał. — Dał mi ją Speckle John. W odpowiednim czasie będzie twoja, do tej pory zresztą przeczytasz ją wiele razy.

Oryginał zaginął przed stuleciami i być może skończył swój żywot w ognisku pewnego Araba, który natrafił na kryjówkę nieznanymi ewangelii. Jego matka używała je na podpałkę, zanim okazało się, że mają wielką wartość. My jednak swoją kopię posiadamy od setek lat. Jest ona przekazywana z rąk do rąk. Wersja, znana jako „Ewangelia Tomasza”, dostępna jest od blisko trzydziestu lat. Ten dokument nie ujawnia jednak naszych tajemnic. Jak jest pierwsze prawo magii?

' Jak na górze, tak na dole — odpowiedział Tom.

7~ Czy wiesz, co to oznacza? — Collins czekał. Tom czuł jego aPięcie. — Znaczy to, że bogowie są tylko ludźmi posiadający-
V*1 większą zdolność pojmowania. Magowie. Ci, którzy odnale-
J wyzwolili istniejącą w nich boskość. Jezus wiedzę tę odzielił tylko z kilkoma, my zachowujemy ją w tajemnicy,

295

proste, masywne, rozdzielające otwartą przestrzeń, pojął, gdzie jest czarodziej.

Pewnie, choć z pewnym zażenowaniem, Tom przycisnął dłoń do ściany. Przez moment czuł twardy tynk chłodniejszy od jego ręki. Po chwili odniósł wrażenie, że molekuly tynku zerwały się z uwięzi i zaczęły oddalać od siebie. Ściana robiła się cieplejsza. Na ułamek sekundy tynk wydał się wilgotny. Wreszcie pozostał tylko kolor, nic, tylko kolor. Dłoń Toma zanurzyła się w nim aż po nadgarstek. Po drugiej stronie ściany z koloru słabo rysowały się jego zielonkawe palce. Tom podążył za swoją ręką.

Znalazł się na ogromnej, białej przestrzeni, serce skakało mu w piersi. Coleman Collins siedział na swoim krześle, przypatrując mu się wnikliwym, ale ciepłym spojrzeniem. Szklanka napełniona do połowy nie rozcieńczoną whisky stała na poręczy krzesła koło prawego łokcia czarodzieja.

— Wiedziałem już, kiedy usłyszałem twoje imię — powiedział Collins, opierając się ręką pod brodę — a nabrałem pewności, gdy cię ujrzałem. Gratuluję. Zapewne jesteś z siebie bardzo dumny.

— Nie jestem.

Collins uśmiechnął się.

— Powinieneś być. Prawdopodobnie jesteś najlepszy od stuleci. Kiedy zakończysz swe studia, będziesz w stanie zrobić i mieć wszystko, czego zapragniesz. — Collins opuścił rękę i znalazł szklankę, nie patrząc na nią. Pociągnął małego łyka. Bez wątpienia masz jakieś pytania.

— Del myśli, że to on został wybrany — powiedział Tom-

— Nic z tego dla ciebie nie wynika. — Collins przechylił

głowę i wyglądał po prostu uroczo. Tom miał wrażenie, jakby patrzył na Lakera Broome'a, który stara się być sympatyczny. Tom wyczuwał napięcie i podniecenie iluzjonisty i słyszał prawie pulsowanie jego krwi. — Prawdę powiedziawszy; sądzę, że nie możesz rozpraszać swoją uwagę na sprawy tego rodzaju. To jest jedno z niebezpieczeństw mocy, ptaszku, nie możesz oglądać się na mniejsze ptaszki usiłujące wydostać się z chmur.

— Ale co stanie się z Delem, kiedy się dowie? Nie chcę, żeby się dowiedział.

294 --**?

16Z

96Z

ats znf

"

Ł v sujnoo fBjzpajMod — DASOQ ___ ' fpBjsn vCqaz 'BPQ {Bqo^Cdod femui feujMam z 'ofefnuifodaju oju 3[Bf 'ajqajs oSaures jyfzoBqoz 'ajUBMouazBz au -UIOJSO J apBjz zazjd BUOzpnqzM BZBipo 'ajuazejazjd 'osopm oj BjXg jufad /A qoj OBUJBSO ajUBjs AV j?q aiui uioid az 'auAvksua}in

I[Bł AXq BPQ po aDBUAđ BJonZDfl BUXOX BU JSOJdM {ifzjJBCf UIJ3[OJZAV uijfjzpb 'OB;SA\ djs JBJBJS PQ ajzpdzj ŁUJUJEJSO AV 'PQ tfa UIBJ y unq^Jł auojjs AY §S B^JOCJAIZ BAVO{S ošaf •feAVBqoz z Buozofejod OSOJJUI §js BfAzoBjop uiajod 'josoujaiuiBU B[BJ BBJUJBSO Bjajajfz uiajajajfz az ajs afajzpb oo 'DnzoAw JSOUI uioid/fuiz uiyCuoZjjsoidM OAIUOUI/(AVS j3fdtzQ aiuafodn ajS OfEMOJBUI yfZJBM} oSaf BU 'BAYOJSjajd BfłBpf B{łBAł pBU jyfz fajj[uajo BU ajs BofefajAvqo B^ajaj J[zs 9A\OJ5 ^zosqoz uiox

•zjfods 'ajqajo npoMod z ZBJO atuur BU ^zjjed jłJA\qD fał M yfjplf 'aoMBj BU oSaoBzpjajs Bodojqo OS3UVJAOM -jauapz o3a% npoMod z fBin} uiajsaf MopoMod qopAvp z — aiMp ais AłBSBUIZ njfsioq TSJSL ruiB Botzpoj auozDOłBZ Xunq/fJJ §is XfisouzAi uitu BZ '3M -joq — IUIBIUII uiaudBM IUI/CUOZDBUZBU Z Bjod op ZB šis jBz uaja? dcjs qoi /j •ifjfcj aizpS 'psoMi[dłBM JBIUI atu tuoj; •uiapuoju uii3[ojazs z zstijadEJf jBtuapo ZJB af 'uiajouajł uiiSnfp jXq XuoinłO faizpojBZD .OJB^BZ Btuoji ujnoo {BizpaiMod — dis zsardsoj — i[Bppo AV 'jfpoqoouiBS qDBp5zJ A1 ^

SUjnOO '•^U^ZriTr. =T»~ »--

S |BtutzjqBz i[Bppo AV 'jfpoq

'{BUZOđZOJ ł(aim[O3fOD UIIUBZ 'UIA

is i[BAVop(Buz 'feMBJi feqons Aš

8

pz feMBJi feqons Aštusojod uaja; /C}SiCK>zs8-BU fizsAw ASui z pczjdBU jifzsrut BUOIUIBJ aJBZs feqos PaZ { jBZjfn Aipuz UIOJ, uiajoj apiAvoj[{Bo fara AV {feujfiuz sufli[°0_ 'Bjnuiqo BofefBzjBUiBz 3[Bf Bjsaš 3{BJ B{Xq a[łA\qo zazid 1 8^} JO3{OA\ ais BfBjaiqz BJšJ["ai^ui fajBzs AV Bjauoj ajzntiujB^ -Bfatdod M BfaizpojBzo DB^sod B^OSJCM-uuu BZ fXzfepod'ueS ?

?OOff

05afoAv; z .ofefo(f " ?*>*>* oSaS -

f

MBJdo fau BZSBU jsaf

If

_ Marnujesz czas — brutalnie wtrącił się czarodziej. —

^cZi co dzieje się w pokoju.

Tom przesunął wzrok. Szkielet bezmyślnie przechadzał się rA ścianą, wyglądał jak robot, jak automat. Tom spojrzał znów P ^j i zobaczył, że Del odsunął się od Toma Flanagana, stał °taz sam, a jego wzrok skierowany był wprost na Szkieleta. tC _^ Mój siostrzeniec jest słabszy od Speckle Johna — powieka} czarodziej. — Widzisz, czuje się zagrożony, nie wie, czy oże ufać własnym oczom, choć wyraźnie mówią mu, że najlepszy przyjaciel tajemnie współdziała z jego bożyszczem. Nie mógł zignorować ani wyprzeć się najlepszego przyjaciela. Musiał jednak jakoś zareagować. Przyszło mu do głowy, iż osoba, której bał się najbardziej, którą najbardziej nienawidził na świecie, może również mieć sekretne stosunki z jego idolem.

Del był napięty i skupiony. Wydawało się, że powietrze wokół niego staje się ciemne. Tom widział i czuł napięcie Dela dzięki swym wyostrzonym ptasim zmysłom.

— Nie chciej być wielkim człowiekiem — powiedział czaro dziej — bądź wielkim osłem.

Po przeciwnej stronie pokoju Szkielet zbliżał się do półek. Jego ręka błądziła ponad szklanymi figurkami, w pewnej chwili opadła i zacisnęła się. Wsunął coś do kieszeni i uśmiechnął się obojętnie.

Del odetchnął z ulgą. Był to jednak jakiś dowód. Tomowi zrobiło się przykro ze względu na Dela, ze względu na Dave'a Bricka (który ścisnął swój suwak logarytmiczny i gapił się na Szkieleta) i także ze względu na siebie: tyle nieszczęść, tyle zamieszania z powodu zazdrości.

— Wykorzystał twoją moc — oświadczył Collins.

— A lewitacja...

— To także twoja moc. — Collins wstał i Tom wstał również, mrużąc oczy. — Chodź.

Ogromna, szara sowa uniosła się z dachu i poszybowała w chmury. Tom zachwiał się, uniół ramiona i przekonał się, iż oyJy skrzydłami. Znów ta błyskawiczna transformacja. Wokół mego kłębiły się białe chmury, sowa zniknęła.

Kiedy Tomowi wróciła jasność myślenia, przekonał się, że leży ozoognięty przed pierwszym rzędem krzeseł w Wielkim Teatrze.

wsunął się do łóżka. Nie mógł zasnąć. Kiedy zamykał wydawało mu się, że fruwa albo spada.

299

Tom nie był dla nikogo innego widoczny — był tylko cieni Collinsa. ^

— Jest to oczywiście dzień tej sławnej kradzieży—ozna im czarodziej.

Szli dalej wśród zieleni, a Tom przypominał sobie, że widzi to już we śnie dawno temu. Wiedział, że Szkielet Ridpath będ*¹ stał w radosnym uniesieniu koło budynku szkoły w Ventno

— Kiedy wszyscy żyliśmy w lesie — mówił Collins — m'

gliśmy na każde życzenie zamieniać się w ptaki.

Weszli za narożnik betonowej ściany. Tom pocił się, by) bliski omdlenia. Czarodziej uniósł się nad ziemią, będąc wiel kimi, szarymi skrzydłami. Był sową.

Tom zatrzepotał własnymi skrzydłami, też stał się ptakiem W dole, za nim jęknął Szkielet. Transformacja była natychmiastowa i bezbolesna. Przyodziać się w pióra było łatwiej niż włożyć na siebie koszulę. Wewnątrz małego ptaszka był wciąż sobą, Tomem Flanaganem, a kiedy spojrzął na sowę, widział w niej Colemana Collinsa. Czarodziej uśmiechnął się. Sowa poszybowała naprzód, a potem zawróciła nad budynki Vent-nor. Tom poleciał za nią. O ile mógł się zorientować, był sokołem.

— Sokół wędrowny — oznajmił Collins. — Jesteś oschliwym ptakiem — w jego głosie kryło się rozbawienie.

Tom popatrzył na krajobraz i na moment poraziło go jego piękno i niezwykłość — drzewa, lśniąca jezioro, płachty zieleni. Było jak w raj, wszystko błyszczało nieskalaną świeżością, było pełne obietnic. Dalej rozciągała się siatka dróg i skupiska domów, pustynia. W odległości wielu mil wznosiły się łańcuchy gór. W trawie i w piasku uwijały się różnorakie drobne żyjątka. Zadumę Toma zakłócił głos Collinsa:

— Dziecko.

Tom spojrzął w dół i zobaczył czarownika siedzącego na dachu przeszklonego budynku. Kiedy wylądował na tym dachu, był znów Tomem i cudowne widzenia zniknęły. Posunął się po powierzchni dachu w stronę Collinsa.

— Widzisz, nie wszystko jest złe — powiedział Collins' Spojrzął w dół przez świetlik. — No, ale zbliża się nasz moment. Uważaj.

Tom zobaczył siebie i Dela w tłumie głów, w pobliżu kobiety nalewającej herbatę. Potem zbliżył się Marcus Reilly, a za nim Tom Pinfold i Tom obserwował siebie, jak się odwraca, żeby z nimi pogadać. Wpatrywał się w pszeniczną czuprynę Maf' cusa, tak jakby mógł dojrzeć w jego głowie przyczynę, która doprowadziła go do splamionego krwią samochodu. *

298 J .

Mógłbym pokazać ci ten sposób tasowania, o który111 pytałem-

— Świetnie.

Del ściągnął ręcznik z głowy i wytarł nogi. Na skroniach miał włosy puszyste, ale za uszami były jeszcze wilgotne. Odrzucił ręcznik i zaczął wkładać czystą, białą bieliznę.

— Już niedługo, może jutro, usłyszymy pozostałą część historii mego wuja.

— Chyba tak.

Zapinając żółtą, elegancką koszulę, Del prawie * spoglądał na Toma.

— Mam nadzieję, że od tej chwili obaj będziemy ra^ spędzać tutaj każde lato. Moglibyśmy razem uczyć się, prawda?

Del nie zwracał uwagi na małomówność Toma, podszedł ó° biurka, wyjął świeżą talię kart i przeciął celofanowe opakow^" nie.

— Przysuń krzesło do biurka — powiedział, rozkładając karty w wachlarzyk. Potem manipulował nimi w skomplikowany sposób, a zakończył przerzucaniem z jednej ręki d° drugiej. — No, dobra. Patrz. — Rozłożył karty na biurku jak wachlarz. Razem leżały cztery dwójki, trójki i tak dalej aż do asów. — Ładnie, co? Tym potrójnym tasowaniem można zrobić prawie wszystko. Za parę miesięcy będę robił to tak doskonale że...

— Del — przerwał Tom — powiedz mi o sowie z Ventno:f •

Del zwrócił na Toma ogromne, zaniepokojone oczy. Zebr[^] karty i zaczął je znów tasować.

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Ja wiem.

Del spojrzął w dół na swoje ręce.

— Śmieszne, że każdy uważa, iż liczy się szybkość, B. t^{<°} nieprawda. Niczyja ręka nie jest szybsza od oka. Tutaj ważniejsza jest czucie, finezja. A szybkość to sprawa drugorzędna.

Powiedz mi o tym, Del.

Del rozłożył karty, dwa czerwone króle widniały w morzitu-1 czerni.

„7 Chciałem zaszkodzić Szkielecowi — wymamrotałem — nciałem, żeby go wykopali. — Spojrzął na Toma w udręce- —" Aie skąd wiesz? Jak się o tym dowiedziałeś?

~~ Twój wujek powiedział mi.

i 2 ' zbladł. Zebrał karty na kupkę, przełożył, potasował p n[°]w Przełożył. Podniósł cztery karty z wierzchu: cztery asy -

n[°]wnie potasował i podniósł następne cztery: króle.

~~ Wykręcasz się.

30*

Wreszcie wstał i zszedł na dół. W jadalni nakryte był0 d lunchu na jedną osobę. Plastry szynki i zimnego mięsa, kaw[°]łek sera Stilton, kiszona kapusta. Szklanka lodowatego mleka Tom nie zastanawiając się zjadł, potem zabrał naczynia d kuchni i wstawił do zlewozmywaka.

Przez pewien czas krążył po bawialni i przyglądał si obrazom, zbliżył się do oszklonej szafki. Na najwyższej półce na welwecie, leżał bardzo stary rewolwer w otwartej kasecie ze skóry. Niżej znajdowała się porcelanowa figurka przedstawiająca pasterkę z kijem. Inne figurki z porcelany stały w pewnej odległości od niej. Był tam chłopiec ze szkolnym tornistrem pełnym książek, jakiś tłuścioch z kuflem piwa, grupka muzyków z powykrzywianymi twarzami, trzymających nuty. Tom ponownie spojrzął na pasterkę i zauważył, iż ma ona twarz Róży — wysokie, jasne czoło, pełne wargi, szeroko rozstawione oczy. Wyglądała, jakby była zakłopotana, że odsunięto ją od innych. Ręka Toma zbliżająca się do oszklonych drzwiczek zatrzymała się, dotknąwszy metalowego zamka. Ogarnęła go zabobonna obawa przed dotknięciem porcelanowej figurki. Odwrócił się i odszedł.

Potem zmorzył go sen. Wieczorem po długiej drzemce nastąpiło nieuniknione spotkanie z Delem.

Drzwi do pokoju Dela były do połowy rozsunięte. Tom wszedł i usłyszał szum wody w łazience. Usiadł na łóżku.

Po krótkiej chwili Del wyłonił się z łazienki, ręcznik miał zarzucony na ramiona, mokre, błyszczące włosy przylegały mu do głowy. Tomowi wydał się dzieckiem, kruchym dziewięcioletkiem.

— Czuję się doskonale. Przespałem chyba cały dzień! — Del promieniał.

— Ja również — powiedział Tom.

— Jak tak dalej pójdzie, niedługo przeżyjemy rozkład godzin czarodzieja; całą noc na nogach, cały dzień w łóżku. Ale to fajnie. Lubię noc, a ty? — Del zaczął wycierać włosy ręcznikiem, nie zwracając uwagi na swoją nagość.

— Ja wolę dzień.

Del wyrztał spoza brzegu ręcznika. ^

— Jesteś w złym humorze?

Tom potrząsnął głową, twarz Dela zniknęła pod ręcznikiem-

— Może popracowałbyś z kartami, zanim się ubiorę?

— Doskonale.

— Musimy częściej ćwiczyć. Nie dotknąłem talii od V' godni. Nie można się zaniedbywać, bo człowiek wyjdzie

sOS

zOS

„^a^zsAi i —jpug aABa

'JBZO«J Bpsaz3zsaiu aijfjs^zsm aj uia{BAvopoMods Bf jfBupaf oj BqXqo oatM o/<[— BUIOJ, BU af jsotupod uiajod ^zoo tpsndg — ogaj op oS uiajisnuiz i ojizpBSzoj aiu aiui [BUIO az 'ozpjBq ^BJ ais uiajBAiojjuaouosfS "9iQojz oj aSoui az 'uiajBizpaiM 'urajnzood ajSBU ajE 'oşai5[Bj oi uiajB^zon ai uiajpazjd ^pSi^j AVOJBZD uiaf^zn fBizM fef Xqaz 'oş uiajpsnuiz — BUIOJ, BU {Bzjfods 'uiasou jBuSEpoj — — BjajB B3fBj o^aj z ais iqojz a? 'uiajBZDzsnd^zjd atu J^pSi^ uo oj az 'tfaijpaiM fepaq nzBJ po fos/fesAi i auiooja uBd az 'uiajB[s^uiOc? Bjapiifzs ais apaqzod 3? 'oaiAi uiajBisAluiOc — kzoo E3p.i jiuofsazjd pa — •"OBpegod kqoj z uiajSour atu i aujSpwBuaru ais IUI OJEJS OJ[JSXZSAV — aSou wafEuiEjz ^paiif 'Btup o^aj JfBf J[BJ ojyfa a^zDBqoz dp JSOUI ai u^fum J^IU ajB 'aiui BU JSOJOIAY sa^zjjBd A B 'ap uiajBizptM 'uiox UIIU z aiqap uia^zoBqoz XpajM jBjn»B i -""^ui ui^uozo Od JBIZD3T««^† - npOAYOd Z

v\3(j rujuaid BU oSaofezpais p?3f jods 'ije u uituojf 5{Bf ais paofefBzaMZ O{O3['aiuBjod B^ SB[zazad JaOB BU ais pjjaifAY uiatupnjodod uijfusazoM Biup oj?audajsevr "dojs ^P

auzooiM OfosiOM Bjaaj BUBd nreduioi nj i\Aa az {BIUI ais niuazpnao oj JBUSBZ I n^sBid BU ISBU ais {feuSfeio^ 'Azsmjaid ZBJ od UIEJ ais JZBIBUZ Xpai3i dojs oaid BU atM -pajBz Bjfojazs 'BZBjd ais BJBSBIDZOJ BJotzaf nousj B^J Tijfoa BU aiu^d iifuiopo asznpj zazjd i BM^Czoodpo nsaf 'ojoizaf ofeuAri -azjd Bjopz az 'ais {Buoifazjj "aouojs oS ojijBd AJOS z B' 'UDB -ajd BU aizpoM BU ofezai ojsazo 'azjotzaf M jBMXjd UIOJL 'tm -JB3{ Z aMOIOSOUZDaJZ tSJZOnłZS JBMXUO5{XAV PQ yCpS SBZDpoj oSafais p3js.?uiop 'atuBAizam atzppCzjd Xzj3{s M ais qo^ofefnprBuz M^ BZ

oAa aoqo

p uazoIMO auzoj j, oSaijfjaiu

op {izpoip ojsazo \3(j qoi BjBdjazoAw BMOUIZOJ BUOOUO{BD BłuiBj yCaşjBf 3[B; 'aiaiMaiu aiqais op ats qBMXzpo a^B 'JCOOU fapzBjj XuizpoS faişnpj qni fazsmjaid op ats tipBjj aiu Xodo{qo feao •qounx ojBAvodaisBZ atuBpBius i ampnjod BU aiMEJd uia^od e 'Ejfeisaizp BU fauise z ats Bfaunsazjd BiuBpBius BJOJ 'arzpaiqo Xzjd i niuBpBtus Xzjd atuzBMazjd ais i^BMifptjw 'BłqBtp {B3[-jods i |BAvoJoqDBz UIOJ, UIIUBZ 'uaizpA uai — uaizpA tfeu?W M

'ouu

? † OUI?UIOd

o un pmniKKLCzad

o BIU z ai^otuod azoui 'oj

•feqos,

: STBU OBjqBz i -oapn aoqo az 'Btudojs oSaj oa —

iais ioq BZOJI — ojJBjop oSaiu op oj, •zaiu/Yioj aiqars o SBU O ais BtMBqo

I feqos pBU pBjj jpfNM (OAYJ az 'BZBAIQ ruaio şuwsyi

A "uisiuinMod az 'BZBMn Bzpli 'pa — BppBpfzjd BU <S jBzjfods — 'jBMojnifSjCp feqoj z UIA"J o paq ai^j —

•ifuozBjn aiuzBj^M pa fifzopBiMso — uiafaizpojBzo osop sajsaf atu UIBS ZBmaiud '3{Bj zsiAYOpe — oSazoBjp 'IUI sajBtzpapwod B[pwqo pazjj — ?pa JBMOjsajojdEZ — fiqojz oj az

'uiajpWBJds Bf oj a'y —

"Ojqop AY IUB 'OJZ M. IUB

jfeiaim 3*M oSaf z soo oiU/Czon azoui az 'oj AV Xzjapw atu uo AJBJf OJ[[XJ oSaiu B[p oj
aijzpnf ap^fz 'JBZoj izsatuinzoj —BSB ais zsbMaizpods /fpaiJf 'ajffpAip p afnzBJ[od 'BAvXjj[n
BUUI '-"' feupaf 'afnsB^ oj 2[Bf '3fBx — qoBjjBJ[BU uojp 3[Bj oj 'iqoj uo oo 'oj, — -jBtzpaiMOd

pqojz oj uo — "mój, puifBUzo

atu oj '

nui oiQojBu jur aiupBJ5[

do ais

az

: oj

Tom usłyszał odgłos zamykanych drzwi i kroki bliżające S*C ^° nieS°- Na moment zmartwił ze strachu, potem zaczął wycofywać się w stronę frontowego wyjścia. a W przejściu pojawiła się Róża Armstrong z podwiniętymi I ogawkami dżinsów i w niebieskiej koszulce. Kiedy go spostrzegła, upuściła ręcznik.

Co ty tu robisz? — Stała z otwartymi ustami.

— Rozglądam się. — Patrzył, jak podnosi ręcznik. — To I twoje... tutaj mieszkasz?

Oczywiście nie. Chodźmy stąd. — Szła do niego przez I zagracony pokój. — Nie mam wanny, przychodzę więc i korzys-Itam z ich łazienki, kiedy ich nie ma. Chodź. Kiedy tu jestem, Idostaję gęziej skórki.

— Możesz kąpać się w jeziorze.

— Żeby wszyscy przyglądali się? Och! — Róża wzięła go za rękę i wyprowadziła przez ganek na trawę.

Twarz miała bladą, wydawała mu się młodsza i mniejsza niż wtedy, gdy widział ją ostatni raz. Na jej raczej eterycznej twarzy, po obu stronach ust, rysowały się drobne linie świadczące o napięciu. Przyszło mu do głowy, że pierwszy raz widzi ją w świetle dziennym.

— Tutaj — powiedziała i poprowadziła go przez drogę pomiędzy topole. — Cieszę się, że cię widzę, ale musisz wracać.

Nie możesz tu zostać. Rozerwaliby cię na strzępy, gdyby przychwycili cię na tym, jak wtykasz nos w nie swoje sprawy.

Mówię serio.

— Kocham cię — powiedział.

Małe kreseczki w kącikach jej ust zebrały się w fałdki.

— Ja też cię kocham, cukiereczku. Ale nie mamy czasu... i jestem zakłopotana tym... no, wiesz.

— Nie powinnaś — zapewnił ją Tom. — Nigdy nie mógłbym myśleć nic złego o tobie.

— Nie znasz mnie jeszcze zbyt dobrze — oświadczyła Róża.

Nie mógł dojrzeć wyrazu jej twarzy. — Miałam zamiar przyjść dzisiaj, ale czułam się brudna.

— Gdzie mieszkasz?

Wskazała na „park” po prawej stronie zarośniętej drogi.

— W tym kierunku. Ale nie możemy tam pójść. Chciałam ci Powiedzieć, że wszyscy czekają na jakieś rzeczy, które mają nadejść... Szykują ognie sztuczne i inne rekwizyty potrzebne do •>ego występu. Ci mężczyźni rąbią drewno na ognisko, a czasem chodzą do Hilly Vale i piją w karczmie. Teraz właśnie tam są. M°gą jednak wrócić lada chwila. Biorąc kąpiel, śpieszyłam się, J^ tylko mogłam.

— Och, cześć — powiedział zaskoczony Del. — Ja właśnie mmm... siedzę. Wybrałem się na przechadzkę.

— Ja również — oznajmił Tom. — Chyba pójde jesze2e trochę dalej.

Obaj wiedzieli, że każdy ma nadzieję spotkać Różę Ari^ strong. Tom pomachał ręką i zniknął wśród drzew. Z twarzy Dela wyczytał naganę.

Teren opadał łagodnie. Po półgodzinnym marszu Tom znalazł się na równinie. Od czasu do czasu poprzez drzewa przeświecał błękit jeziora. Potem Tom dojrzał złoty pasek piasku. Przedarł się przez gąszcz, żeby się tam dostać. Kiedy wyszedł na jasną plażę, zobaczył wskazujący nań z drugiego brzegu palec mola, a obok budynek przystani niczym otwarte usta. Kraina Cieni, wysoko na urwistym cyplu, promieniowała światłami wszystkich okien. Ten dom też wydawał się żywy. Okna tonęły w oślepiającym blasku i nie były już oknami, ale zdawały się oczyma boga egoisty, zbyt zaabsorbowanego sobą, ażeby zwracać jakkolwiek uwagę na ziemskie sprawy.

Ślady stóp wciąż znaczyły piasek. Tom ruszył wzdłuż nich. Oddalał się od Krainy Cieni i niebawem po przejściu przez wysoką, pierzastą trawę wkroczył na obszar podobny do parku, gdzie z rzadka rosły topole, a trawniki były skoszone. Przed nim, skręcając łagodnie na lewo, rysowała się porośnięta chwastami dróżka.

Po chwili ujrzał drewniany budynek z rozdartą, wydętą wiatrem zasłoną umocowaną nad przekrzywionym gankiem. Letni domek. Wyglądał, jakby nikt nie korzystał z niego od lat. Nad dachem splatały się konary drzew. Tom szedł powoli, ostrożnie w stronę zdewastowanego budynku. Zajrzał przez dziurę w zasłonie. Na ganku stały dwa zdezelowane krzesła, na poręczu jednego ujrzał przepelnioną popielniczkę, a na stole ilustrowane pismo z widniejącą na okładce kobietą z uniesionymi w górę tłustymi nogami. Nadśluchiwał: ze środka nie dochodził żaden dźwięk.

Tom uchylił zasłonę i wszedł na ganek. Zajrzał przez okno. Łóżko ze śpiworem i poduszką, otwarta szafa z wiszącymi na wieszakach koszulami. Do ścian przypinane fotosy nagich kobiet. Odszedł od okna i wszedł do środka przez uchylone drzwi.

Pokój wypełniony był połamanymi meblami, w powietrzu unosiła się przykra woń papierosów. Boczne drzwi prowadziły zapewne do kuchni i sypialni. Na podłodze walały się puste butelki po piwie. Z rozdartego oparcia fotela zwisało białe płótno.

304

— Wujku Cole, czy dzięki magii dokonałeś jeszcze jakiegoś zdrowienia w wojsku?

U _ - Kiedyś, tak. — Szklane oczy Collins zwrócił na Toma. — tfedyś dokonałem pięciu uzdrowień z rzędu. Nic mnie nie ^chodziło, czy ktoś widział. Wiedziałem, że wkrótce wyjadę... H Paryża, spotkać się ze Speckle Johnem. — Pięciu?

— Pielęgniarkom kazałem odwrócić oczy. Byłem w wyjątkowej formie. Mogłem wówczas uleczyć i stu. W jednej chwili. popracujesz jeszcze z nami?

— Któregoś dnia.

Minęły dwa dni od chwili, gdy Tom spotkał Różę w letnim domku. Postanowił wybrać się tam ponownie. Rankiem przepłynął przez jezioro i czekał na plaży w ociekających kalesonkach z nadzieją, iż Róża zmaterializuje się z powietrza lub wody. Po paru godzinach, słysząc kroki mężczyzny w głębi lasu, wszedł do wody i popłynął w stronę mola.

Na mokre spodniki włożył suche ubranie i wrócił do domu. Nie zauważywszy nigdzie Dela, Tom skierował się do bawialni. Zapowiadało się kolejne nudne popołudnie, jeszcze jedno nieprzyjemne spotkanie przy obiedzie. Czuł, że to ciągłe napięcie doprowadzi go do choroby. Ilekroć przy obiedzie Collins zwracał na niego swój przenikliwy wzrok, Tom był przekonany, że czarodziej wie wszystko o nim i o Róży. I naprawdę poczuł się chory, jego ciało opanowała gorączka. Przeszło... potem wróciło, jakby stał przed rozpalonym piecem, miał zawroty głowy. Znów na chwilę ustąpiła choroba i Tom zdał sobie sprawę z doznań swego ciała, czuł palenie w gardle, brakowało mu

powietrza, żołądek dawał znać nieustannymi skurczami, było mu niedobrze. Podeszedł do gablotki przy ścianie i położył dłonie na szybie. Spojrzał do wnętrza. Figurki poruszały się. Zobaczył porcelanowego chłopca leżącego na politurowanym drewnie półki i muzykantów z powykrzywianymi gębami, którzy zawzięcie go kopali. Brodaty grubas z kuflem piwa przyglądał się temu i zaśmiewał. Mężczyźni masakrowali chłopca, kopali go w żebra i w głowę. Chłopiec uniósł głowę i Tom w miejscu twarzy ujrzał krwawą miazgę.

— O, tak — szepnął Tom. — Oto Kraina Cieni. — Ból głowy Powrócił ze zwielokrotnioną siłą i Tom chwiejnym krokiem skierował się do łazienki w holu.

307

— Czy wiesz coś jeszcze, co Collins zamierza robić w tego przedstawienia? — Potrząsnęła głową. — Czy uważasz, że powinniśmy uciekać?

— Powiedz mi — spytała Róża — czy usiłowałeś wydostać się stąd, gdybyś mnie nie spotkał?

— Tak. Teraz muszę stąd odejść. I muszę zabrać Dela.

Uniosła brwi.

— Dobrze.

— Powinnaś jednak pomówić z Delem. On jest przekonany, że kiedyś tu zamieszka.

— O, Boże — szepnęła Róża. — Czasem wprost nienawidzę magii.

— Czemu sama nie wyjedziesz? Co tam jest? — Wskazał poza jezioro.

— Wielki mur. Ze szkłem na wierzchu. Nie sposób przedostać się. Potrzebuję twojej pomocy.

— A ja twojej — powiedział Tom. — Cały czas o tobie myślę. Naprawdę kocham cię, Różo. — Czuł się beznadziejnie głupio, wypowiadając te banalne słowa.

— Ja też cię kocham, śliczny chłopcze — oświadczyła Róża, zbierając się do odejścia. Spoglądała co chwila przez ramię na domek. — Wkrótce pewnie będę mogła przyjść, wtedy pomogę z Delem. — Zatrzymała się na moment i spojrzała na niego. — Nigdy mnie nie znienawidzisz, prawda?

— Nienawidzić ciebie?

— Muszę jeszcze wykonać pewne jego polecenia.

Potrząsnął głową, a ona przesłała mu pocałunek i zniknęła

wśród topoli. Tom stał parę minut, rozmyślając o niej. Był nią zaintrygowany i pragnął jej. Potem przez pusty las powrócił na plażę.

Podczas tego okresu oczekiwania na przedstawienie obiady podawane były o ósmej. Elena nie pokazywała się nigdy—Kiedy Collins schodził na dół, cała trójka szła do jadalni i zdejmowała pokrywy z dymiących półmisków. Przy nakryciu Collinsa zawsze stała karafka z whisky i druga z winem. Czarodziej na ogół był już pijany, gdy zasiadał do obiadu, pił jednak dalej. Del wypijał zwykle szklankę wina, po czym zarumieniały mu się policzki. Kiedy jedli, Collins bacznie przypatrywał się jednemu i drugiemu, mówił mało. Del najwidoczniej był do tego przyzwyczajony, ale Tom z lękiem schodził do jadalni.

Del często zadawał pytania, które Toma wprowadzały w zakłopotanie.

306

eoē

OD

altoui

aiqap o \$ts ozpjeā j[Bf 'BjBi

?5tqnj fef zaiuMOJ Bf ^BJ, •iqnj ap BUO az 'uiaf&azjnisodg •nuBX5(z o|epai oSajBiiredsM jfB* SOD az 'aDefBMat •3{BUIs apatMS BU jCzsCauiaAiopnofeu BJBIOUS Bpo^ "asprepizs -ox Dfefepod jBizpaiAiod — BZpy o^s5zo n% Bpzc 1

fetaā z fpojM i tsjuaizBf op jpazs^M \Q

i^poM aqaoJf o Dtsojd Sio aSoj\l

•ZSIMOUI uiifzo o 'uiaitunzoi aiū 5[Bupaf nSfep uiAzsjep «. 9G IBizpatMod — faidaj ooatu ZSBPBJŠ./CAI fBisrzQ

Epa B5I?9f M04!0 ^?BAVnBZ 'ifZDO

[B 'i3[znspod BU {pBdo i {feufaf utox t •tuoj, jBfXds—ipiJnSrij a./vvouBpDjod aj sati A

j

uiatitio oāiau BU {feu

iatuauisBjD atJfBf jnzD UIOJ, ogazDBiQ [apAlzanBu j{Bf {IMO za; a[B 'jap^zoneu ypeCiAā XuBjqn O3[[A ara BUIOJ, BDMOUIZOJJ

aiZiCoap BMpsBfM zsaiuizaMod az 'uiaf — j\l pzpjaiM;s — aiupfeszoj

ZSTMCUI ZBjBJ, —

?aiuauisBjD aiJfiatM jBMnzDpo az 'BjjMBjds uia^āBip z BMOUI -ZOJJ utox fBtzpaiMod — tuā o aiSitaod az 'afnoaiāo —

?psojj{iCzjd njaiM p otzpazDzsoez

SoifO 'oiAYOuid feqoj z uiajBisnui oSazDBjp 'zsaiM IUBS 'DOtuod p JSOUI apaq apiMaiu BfB 'BiuBf./CdBZ uiaf(Buz pod aiuBjs apsazozs afoMj, "Xfodoj3[M zsampBdM }SBturq[aA|sj ^Eupar uiBDajod 3?N ^OBdaJāM od aSojp DBjq^M zszop\l BiuazpoMod JIBJ BU aiqap op aizpKzjd 'zsaiuSBjdsz oSazo o^s^zs^ aiuaioMopez aDfefBp 'aAVB3{ap 'afBšoq aioSz {BIUI zsaizpag uiafarzpojeza uatuiBuz ZBJOD 3IS ^BMB^S zsaizpdg •feqof pazjd BfZiCoafI qAv OD Xza[BZ OX "atu OQIV 'IU9TO -^UIBJX uiauBd &s zsarubjs nuiai isfatza uiBDajod aiuzDapjas OD 'DaiupsoS OBia^ zszoj^ — jBizpatMod — iSojp atMp OJJIAJ BS 'zszpA

uiox reS^1SSLBMOIBIUpO BWB?P nranqo BU jfBf '{XzDBqoz. "X tBMoisajojdBz — uiajoŋuau UIIOUI jsaf aiU uO -

I ferasorST" ^TZpfeS OUIBS'^i zsafnujBui ars f i OJMH™ 1Z n?OJPZOJ BU *is

apsiTzaiBuz juaiBi To*!!

DBISazJnT/^ I5ft9?AV ZSBUI <O^S^SM OUIIW "D^ZDajp *?

amam^f ^M "C>O-IZ TBq^ ^uis^qiIgoui Ł -BDUOP - zsnofnsa^ZDZSndaZJd ^^ ^f "L

^zojzoa amofO uirow a?T?]^3P ° B5fSOJ'1 feqo1 PBU BZ3a^ fāfuiari aoipjfo M uofP fsotun H _ J9IUBPBZ

o3%Aāz aiujadn

-arqap o dis aiAYjjBUi 'aiuioj, 'DBIA\OUI

s ozpjBq oj /CqojidfeSBU 'afqojoi{D fa; aiqap BU pzpB

fqXpf) aiū DIU J[B} I B 'ais ZS^ZDZSIUZ v

902

aiū

[] I B ais ZS^ZDZSIUZ vfzDazj

t^ uiifuiBjnjBU z zsyfzofBjW 'tuyCf o zsaiAv 'zsidBjj uit3{f -SXZSAV ats ozpjBq BZ XDOU

fajuiB} ^pa^Ai aAvi[zour o; ofyfq ziu 'r)azjpfzjd ars p faidaj ura^BpaD j 'DBiAiBuizojod feqoj z

oiupajs -odzaq apzsajAY Xqaz 'qosods ^Uyfpaf ^fpMBjdop o% {Xg — iuiajBMOjoāDBZ az

'sajiAYBjds JL% ox —

UIBł

znf ajs y(uisi[Bj];ods — '&U\3/A fajBzs z arapods i feAvozfejg 'B3i3[a[AV 'faAYOMBjspot
Aojfzs [a^^(UBjqn laqBip J^Z
?zapazjd JB^

ą

fpaiMod apsiAufzDO — •nqnp[o^auDou z BjuBipauiojf XZJBMJ JBAU fau;uaSjjaiui
'fa^dnzDZS o Buz^CzDzai iCz^Cj 'rsfsru o^ BUIOX op ais jBqDaiuisn i BJfzoi nSazjq BU
jBizpats ^aqBia

tuaio yfuiBJjf op fkakzid Xpaii[SBZDMOAY 'ośauui soSojf op OUIBS 3[B} ais jBMzapo az
'aiqos DBfBuiuiocLCzjd 'XuBłodoj3[-BZ ais jnzood ZBJBZ i jBtzpaiMod — sa^saf uipf 'uiaiww
—

•uiajqBip z fizpBMOJd JfqaoqD aisBZD AV XMOUI -ZOJ auzDiSof au^fpaf 'Xua[3
fajnuod i B[3Q oSauozsBJjsazad op {IMOUi a[B 'uiox fBSB{q — fBiMOjz^fM uivCqaz 'MBJds
BD[Bd Oj5

oj?aur DBAYifzn 'aiuui op śis DBIBDEJAIZ zsazoui 'zsaDqD ifsaf ?uiBMyfzBu ars i[Bf
'sajBiuiodBZ a[B 'ais tuajiAYBłspazJj

fBSB{q — fBiMOjz^f

BD[Bd Oj5aDB(YIZB3fSAVf jpSfOM ^jfZDUBJBZ

AYBJd jsoiupoj — j[Bł 'o qDBZDO qDfOAVł BU — "j^zopeiMso — uiajBjs^M aiu
'apsiM^ZDO —

łBdUIyfS BMyfZSfBJ Z 3IS nUI fBpfelS/fzjd apO [OJ3[yfJBJS

n}si[oSaui SBJ BfSiCA\ aifó — jsn op adnz nui B{BMA[Av i Bqj apods °?aiu BU B^ZJ^BJ

"^Cuafg op jBizpapwod — ais ZSI^JC BZOJJ Bjtzpjaiaijs — ifJoqD ojflifł sajsaf 'ai

ajfaj BZ oj?

'XZOJJ Op IAYOUI az 'j^ZBAinBZ 'BMOJS d%

ajy — -ojfłSCzsAi oj 'yfuBJBJfn njsojd od nui jBpqD — ars

— po prostu doskonale.

— powiedziałbym, że podobny jest do Houdiniego w młodo- / • zgodzisz się ze mną? Promienieje
siłą, zdrowiem i zręczność-SC1 Nie do pokonania. Czujesz się nie do pokonania, Tom?

— Czuję się zupełnie dobrze — odparł Tom, nienawidząc CoHjnsa za to, że stroi z niego żarty.

Wspaniale. Cudownie. — Reszta wina spłynęła do gardła

czarodzieja. — Skoro zostałeś nam wskrzeszony, to jutro będziesz mógł zapoznać się z
przedostatnim epizodem mego życiorysu. Czujesz się na siłach, żeby mnie posłuchać, ptaszku?

— Naturalnie — odparł Tom.

— A więc do jutra. O dziesiątej wieczorem. Koło szóstej
latarni. Będę czekał.

10

Tom poddawał próbie i wzmacniał swe mięśnie pływając. Oprócz wysiłku fizycznego, który był
mu potrzebny, pływanie zapewniało mu samotność. Wkrótce miał nastąpić kres zwierzeń Collinsa,
a wraz z końcem jego opowieści zbliżał się koniec ich pobytu w Krainie Cieni. Tom każdej godziny
spodziewał się wiadomości od Róży. Modlił się, ażeby nie opóźniła terminu ich ucieczki aż do
dnia finalnego przedstawienia. Teraz, kiedy Del, przynajmniej teoretycznie, gotów był opuścić
swego wuja, im prędzej uciekną, tym lepiej.

Pogoda była wciąż słoneczna, ale w powietrzu zbierała się wilgoć. Nad środkiem jeziora często
zalegała mgła, a jej smugi snuły się też po lesie. Woda była bardzo ciepła.

Z dala dochodziły odgłosy uderzania młotem: buch, buch, buch. Tom słuchał ich ze strachem,
jakby każde uderzenie Przykuwało go do Krainy Cieni. Chociaż wiedział, że na próżno, ale miał
nadzieję, że Róża przyśle im dziś jakąś wiadomość.

Zamiast oczekiwanej wiadomości, zobaczył ją samą. Wyszła z lasu, rozpięta kraciastą spódnicę i
w czarnym kostiumie kąpielowym brodziła po wodzie jak łania.

Tom płynął ku niej, serce waliło mu z miłości.

Róża usłyszała, jak płynąc rozpryskiwał wodę. Zanurzyła Słę głębiej i stanęła, mając tylko szyję i głowę nad taflą jeziora.

— Dzięki, że przyszłaś mnie odwiedzić — powiedział.

— Przychodziłabym ciągle, ale nie chciałam denerwować Pana Collinsa. — Róża patrzyła mu prosto w oczy ze wzruszającą otwartością.

311

— To było... — zaczął Tom, ale nie skończył. — To dlatego i się przemęczyłem. Ugryzł mnie jakiś robak, kiedy pływałem

— Chyba tak. W każdym razie rozmawiałem z Różą. ^
Nie powiedział nic więcej, ale zabrzmiało to jak sygnał trąbą
— To dobrze.

— Myślę, że naprawdę musimy ją stąd wydostać. Zastanawiałem się, czy nie lepiej, żebym poszedł i wytłumaczył wszystko wujkowi Cole. Pozwoli mi dalej ze sobą pracować. Zrozumie. Czy czujesz się na tyle dobrze, że mogę ci o tym mówić?

Tom uśmiechnął się. Del z taką niecierpliwością czekał, żeby mu to powiedzieć, że próba powstrzymania go przypominałaby próbę zatrzymania ręką fali powodzi.

— Czuję się już lepiej — powiedział.

— No, bo widzisz, on jest moim wujkiem. Będzie na mnie wściekły, ale mu to przejdzie. Jest przecież moim wujkiem.

— Pójdziemy drogą po wertepach — powiedział Tom z wymuszonym uśmiechem. — Za bardzo wszystkim się trapisz.
— Jest jakaś droga po wertepach?

— Mniejsza o to. Muszę się przespać, Del. — Zamknął oczy i usłyszał, jak Del odszedł na palcach.

Kiedy Tom zebrał dość siły, żeby wstać z łóżka, poszedł do bawialni, gdzie stała gablotka. Chińskie figurki znajdowały się na swych dawnych miejscach, pasterka z kijem, chłopiec tłusciuch, muzykanci. Twarz chłopca była nienaruszona. Ta okropna wizja wywołana została jego wysoką gorączką, była to halucynacja spowodowana tym samym napięciem, które doprowadziło go do choroby. Nogi Toma drżały ze słabości, bolały go wszystkie mięśnie.

Tego dnia przy obiedzie czarodziej wieszował mu powrotu do zdrowia.

— Obawiałem się, że możemy cię stracić, mój chłopcze.

Co to było, jak myślisz? Jakaś grypa?

— Coś takiego — odparł Tom. Unikał wzroku Collinsa.

— Cóż to by była za ironia, gdybyś zmarł, nie sądzisz?

— Trudno mi patrzeć na to tak obiektywnie.

Collins uśmiechnął się i łyknął wina.

— W każdym razie teraz wyglądasz doskonale. Nie uważasz Del, że on wygląda doskonale? -^

Del kiwnął głową i coś zamruczał.

310

Tom podpłynął do niej.

— Tak się cieszę, że cię widzę — powiedział.

— Ja również — odparła.

— Czy możemy wydostać się stąd już? Nawet dziś? Wieczorem ma zamiar znów opowiadać nam o sobie. Boję się tego.

— Dzisiaj złapałoby nas — oświadczyła. — Wszędzie kręca się ci mężczyźni. Jeszcze za wcześnie. W każdym razie do czasu tego wielkiego, zapowiedzianego przedstawienia nic wam się

nie stanie. Bądź cierpliwy. Robię, co mogę.

— Ufam ci, Rózo—zapewnił ją. — Tylko że... sam nie wiem To czekanie doprowadza mnie do szału. Myślę, że dlatego zachorowałem.

Uniosła ręce i położyła na jego ramionach.

— Nie będziesz robił głupstw, gdy zobaczysz mnie dziś wieczorem, dobrze?

— Dziś wieczorem?

— Kiedy będzie opowiadał. Mam wtedy coś dla niego zrobić.

— Och. Znowu jedna z tych scenek.

— Coś w tym rodzaju. Ale nie... no, wiesz. Nic nie mów.

— Nic nie powiem. — Drżał.

Podpłynęła bliżej. Pod dotknięciem jej ust zamarły mu słowa. Potem odezwała się:

— Nie słuchaj niczego, co o mnie powie. Myślę, iż wie, że cię kocham. Nic nie da się przed nim ukryć. Jeśli będzie coś o mnie mówił, to będą same kłamstwa. Tutaj wszystko jest kłamstwem.

Róża przytuliła go mocno, a potem poklepała po koleżeńsku po plecach.

— Bądź cierpliwy—poprosiła. — Muszę już iść.—Zanurzyła głowę pod wodę, odbiła się od dna i odpłynęła.

Tom serce miał przepełnione uczuciem, odwrócił się. Nagle ujrzał wysoką, smukłą postać stojącą na pomoście i patrzącą wprost na niego. Coleman Collins. Tom obejrzał się, lecz Róża akurat była pod wodą. Poczul nedorzeczne przerażenie, jakby tamten człowiek podsłuchiwał ich. Collins dawał mu znaki-Tom skierował się z powrotem do Krainy Cieni.

Collins ruchem ręki prowadził Toma ku molu.*Kiedy Tom podpłynął już blisko, spojrzął w górę na twarz czarodzieja.

— A więc znasz naszą małą Różę lepiej, niż przypuszcza liśmy ?— odezwał się Collins. — Wyłaż.

— Spotkałem ją przypadkowo — tłumaczył się Tom.

— Wejdz na pomost.

312

Tom podpłynął jeszcze bliżej, a Collins pochylił się i wyciągnął rękę, Tom chwycił ją, a czarodziej uniósł go na pomost jak .., jco- Ociekający wodą i przerażony Tom stanął przed nim.

P1 Teraz nie polecałbym żadnych dystrakcji — oznajmił CoUins.

Dopiero po chwili Tom pojął, co czarodziej miał na myśli.

_ - Nadmierne odwracanie uwagi od czekających cię zadań, Tomie, może okazać się niebezpieczne. Rozumiesz? Potrzebna jni będzie twoja całkowita koncentracja.

— Tak, proszę pana.

„Tak, proszę pana”. Jak mały chłopiec w szkole.

Czy to możliwe, że wciąż nie zdajesz sobie sprawy z powagi tego, w czym uczestniczysz?

— Sądzę, że zdaję sobie sprawę — odparł Tom.

Czarodziej wydawał się trzeźwy, chociaż bardzo rozgniewany.

— Tak sądzisz. Mam nadzieję, iż wiesz, że nie należy dawać wiary żadnemu słowu wypowiedzianemu przez Różę. Jej nie można, powtarzam, nie można ufać. Jeśli pozwolisz, żeby ta dziewczyna wyprowadziła cię na manowce, będziesz zrujnowa

ny. Czy to jasne?

Tom potaknął.

— Widzę, że w dalszym ciągu nie rozumiesz. Powierzę ci więc jedną z moich tajemnic. To urocze dziecko, które obejmowałaś w wodzie, nie widziało nigdy miasta Hilly Vale. Róża nie ma żadnej babki i nigdy nie miała rodziców. Ja ją stworzyłem. Pozbawiona jest wszelkiej moralności, a tym bardziej nie zna uczucia miłości.

Tom patrzył na niego posepnie. Nienawidził go.

— Och, miły Boże. Lepiej opowiem ci bajkę — powiedział czarodziej. — Siadaj i słuchaj.

11

sVrena

Wiele lat temu, kiedy wszyscy żyliśmy w lesie i nikt nie gdzie indziej, pewien samotny, stary król miał nad jeziora zamek, po którym hulał wiatr, lecz który pamiętał lepsze czasy. Niegdyś był to bowiem najpięk-zamek, a król był najpotężniejszym królem w całym ogromnym lesie rozciągającym się na pół kontynentu.

313

!?'

Lester, który zdobył władzę dzięki temu, iż wytruł prawie J3^ gtlcich krewnych. — Wielki okoń ponownie wyskoczył W ody. zatoczył łuk i spadając, trzepnął ogonem, wybijając Z rn4f°n*anne" Królowi serce ścisnęło się na myśl o poniesio-i stratach.

Oni mają własnych czarowników, parweniuszy myśl-cn tylko o pieniądzech. Gdybym dla nich pracował, to rzynajmniej miałbym nowe odzienie, prawda? ^ __ Mhm — zgodził się król. — Wyglądasz raczej jak obszar-paniec, czarowniku.

_ I czuję się nieszczegóhiie. Ale zdaje się słyssałem, że przed chwilą wyraziłeś jakieś życzenie? Ze względu na pamięć

0 dawnych czasach, byłbym rad, mogąc ci pomóc.

— I ocyganić mnie tak jak każdego, komu pomagales.

— Czarownikom też należy się zapłata — stwierdził sta rzec. — A więc czego pragnales? Wielkiej armii? Skarbca pełnego złota? — Potem spojrzal przenikliwie na króla i na moment wygladziły się wszystkie jego zmarszczki. — A może pięknej, młodej żony, żeby rozgrzewala ci kości? A może żony mającej taką władzę, że odnowione zostaloby twoje królestwo 1 powróciło do ciebie to wszystko, co utraciles?

Twarz króla pociemniała.

— Sądzę, że mógłbym znaleźć ci żonę — ciągnął w zadumie czarownik — taką, która zaczarowałaby wojska Halvora i Bruna, tak byś mógł na powrót podporządkować sobie terytoria należące kiedyś do ciebie, zgromadzić potem potrzebne fundusze i zawładnąć prowincją Ambitnego Lestera. Żonę, która chociaż nie mogłaby dać ci dzieci, dałaby ci złudzenie miłości. — Tylko złudzenie? — spytał zawiedziony król.

— Spójrz na to z mojego punktu widzenia — tłumaczył czarownik. — Dla czarownika każda miłość jest iluzją. Skoro Jednak chcesz posiadać ten błogosławiony stan szczęśliwości, wystarczy, żebyś mi powiedział, iż gotów jesteś poświęcić swoje siwe włosy, a za to mieć brodę. To doprawdy lepszy interes, niż zrobiły wróble. Gorzka to prawda, Wasza Wysokość, ale mniej do stracenia aniżeli one.

Chociaż król był próżny i niemiła była mu myśl, że będzie spytał:

- Czy będzie to gęsta broda?

~ Bardzo szlachetna bródka — zapewnił go czarownik. — V mam ci zwrócić uwagę, że włosy wcale nie są potrzebne, ^oy cieszyć się owocami miłości? Żona, którą ci dam, sprawi, że ' staniesz się młody. Skąd ją weźmiesz? — dopytywał się król. — Może

315

Wtedy gobeliny zdobiły ściany komnat, na stole lśniły talerze i cały zamek zdawał się rozświetlony wielką chm. króla. Ale królowa zmarła, a księżniczki poślubiły i z odległych krajów. Inni królowie z lasu zdobyli oręż, terytorium króla i stary król żył odtąd sam, zgorzkr pozbawiony sławy i miłości. Jego żołnierze poumierali starości albo odeszli od niego, nie mógł więc powiększ* obszaru swego państwa przez podboje. Pozostało mu tyl[paru drwali i myśliwych którzy płacili podatki, a czynili < głównie z poczucia lojalności wobec swego króla.

Jedną z nielicznych przyjemności starego króla był wiecz ny spacer brzegiem jeziora. Woda była tu głęboka i błękitna, < czasu do czasu wyskakiwał okoń i zakłócał panujący spok pluskiem tak głośnym jak wystrzał armatni, a powstałe krę na wodzie rozszerzały się aż do brzegu. W takich chwilach króij ogarniał smutek, przypominał sobie bowiem, że kiedyś taką potęgę, iż słuchy o niej rozchodziły się na setki w każdym kierunku. Dawne czasy, kiedy był u władzy i ciesz się miłością, o jakże tęsknił za nimi!

Pewnej nocy, kiedy odbywał swój spacer brzegiem jeziora znów ujrzał, jak wielki okoń wyskoczył nad wodę. Ogarnął taki żal za utraconą przeszłością, że wyszeptał do siebie:

— Och, tak bym chciał...

I wtedy usłyszał głos równie starczy i zmęczony jak jegoj własny.

— Czego chciałaby Wasza Wysokość?

Król obrócił się i zobaczył starca z pomarszczoną twarzą, I w poprzecieranej długiej szacie, siedzącego na powalonym [pniu drzewa. Nie od razu rozpoznał staruszka, nie widział go bowiem od tych czasów, za którymi zatęsknił.

— Och, to ty, czarowniku — powiedział król. — Myślałem, że już nie żyjesz.

— Umieram na nowo każdego ranka — oświadczył czarownik. — Ale kaszel przywraca mnie do życia.

— Zawsze tylko zwodziłeś mnie i dawałeś niejasne od powiedzi — rzekł król i zirytowany począł oddalać się od jeziora. Właściwie widok czarownika sprawił mu przyjemność, chociaż prawdą było to, co przed chwilą powiedział.

— Halvor teraz wiele znaczy na północy — mówił czarownik jakby sam do siebie — a Bruno zdobył sławę na południu> także Ambitny Lester na zachodzie i...

— Zamkny się — mruknął opryskliwie król. — Wiem o ty**1 i przypuszczam, że zaprzedałeś się im tak jak wszyscy inru-Przypuszczam, że służysz swymi sztuczkami takim gadzinoi*1

314

rr i nocy stary król znów cieszył się miłością, chociaż młoda owa była zimna w dotyku jak ryba, przysięgała jednak, że ocha, a jej piękność sprawiała, że topniało mu serce. Stary znów czuł, że wraca do niego młodość, tak jak wróciła owa królestwa.

Rankiem kroi wraz z małżonką i armią Halvora ruszył na „nłudnie. I tam żołnierze Bruna upadli przed nimi na twarz, jjalcali i witali ich. Bruno umknął na południe, do kraju, gdzie |v cuchnących rzekach żyły aligatory i ogromne jaszczury.

Król wracał do pałacu oszołomiony szczęściem. W ciągu dwóch dni odzyskał swe królestwo, posiadał armię, z którą mógł podbić każdy kraj. Ambitny Lester zostanie pokonany bez

najmniejszego kłopotu. Jego młoda żona darzyła go spojrzeciami słodkimi jak miód, a zatem czarownik pomylił się, mówiąc, że nie będzie zdolna kochać.

Kiedy król z żoną i połączonymi wojskami przybył do pałacu, ujrzał czarownika siedzącego na kamieniu przy bramie.

— Witaj, wielki królu — pozdrowił go czarownik. — Zado wolony jesteś z zawartej transakcji?

- Ze wszystkiego jestem zadowolony, przyjacielu — odparł król z wysokości siodła wielkiego, białego konia.

Król i jego dworzanie weszli do wnętrza, aby ucztować zwycięstwa, zasiedli przy pieczonych prosiakach, wołowinie i galonach piwa. W czasie biesiady król z dumą spoglądał, jak najdzielniejsi i najprzystojniejsi rycerze ze wszystkich trzech prowincji nadskakiwali królowej, a ona jak prawdziwa królowa odnosiła się do nich uprzejmie, z uśmiechem.

Kiedy król z królową opuścili swych gości i udali się do królewskiej sypialni, król zamknął drzwi i przystąpił do swej małżonki.

— Wstrzymaj się chwilę, Wasza Wysokość — odezwał się czarownik, który siedział w niszy pod oknem.

Król zaklął i zamierzał wyrzucić intruza przez okno, ale czarownik podniósł rękę i powiedział:

— Ja dotrzymałem słowa, teraz proszę cię, żebyś ty dofrzymał swego.

— Bierz moje włosy... ale wynoś się stąd! — krzyknął król. Królowa, która zaczęła się rozbierać, nie przerwała tej czynności.

— Zrobione — powiedział czarownik i pstryknął palcami.

Króla ogarnęły bólesci, cierpienie większe, niż można sobie wyobrazić, ból rozrywał go, aż oczy wychodziły mu z głowy, życząc, upadł na kolana. W obliczu królowej, która dalej Sejmowała szaty, jakby nic ważnego nie działo się, przed cza-
317

będzie to jakieś mechaniczne obrzydlistwo z wosku i ft dzwiedziego sadła?

— Ależ nie. — Czarownik uśmiechnął się. — Wezmę stąd. — Wskazał jezioro i w tej chwili ogromny okoń wysko nad powierzchnię. — Będzie cudownie piękna, oczaruje cała armię, ale serce będzie miała zimne jak ryba. Jak długo jednak! będziesz królem, będziesz wierzył w jej miłość.

— Silne plecy i jędrne ciało — powiedział król. — I zdolność oczarowania całej armii! — Wahał się przez chwilę przed podjęciem decyzji, obawiał się bowiem, że może popełnić fatalny błąd, ale wyobraził sobie kobietę cudownie piękną mającą władzę zwrócić armie Halvora i Bruna przeciwko własnym dowódcom, krew mu się wzburzyła i powiedział: — A więc ubiliśmy interes, czarowniku!

— W takim razie przybądź tu o północy — powiedział czarownik, krzywiąc w uśmiechu pomarszczoną twarz, po czym zniknął.

Już o jedenastej król stał nad jeziorem. O wpół do dwunastej rozbolały go kości, więc usiadł na nadgniłym pniu, na którym siedział czarownik. Był pełen nadziei i niecierpliwości, piętnastu minutach ujrzał, że na powierzchni jeziora pojawiła się wielka bańka. Wstał i przy świetle księżyca podszedł? brzegu. Rozcierał swe obolałe ręce, przygryzał wargi. Czuję!

0 całe lata młodszy.

O północy powierzchnia wody na środku jeziora rozstąpiła się. Stary król przerażony cofnął się akurat w chwili, ukazała się głowa pięknej kobiety. Następnie pokazały się jej ramiona oraz głowa i szyja konia. Stary król cofał się. Kobie w całości wyłoniła się z jeziora. Ubrana była w długą, bia-

suknię i siedziała na wspianiałym, białym rumaku. Włosy mia blondrude, twarz cudownie piękną i król nie miał wątpliwości| iż rzeczywiście będzie mogła oczarować całą armię.

— Chodź, mój mężu — odezwała się i wyciągnęła do króla j rękę, a kiedy ją ujął, kobieta chwyciła go mocno i z wyjątkowa, j łatwością podniosła go i posadziła na siodle obok siebie.

Odjechali na białym koniu do zamku. Tej nocy król zaznał rozkoszy małżeńskiego łoża. Czuł się, jakby był dwudziestoletnim młodzieńcem.

Następnego dnia wyprawili się na północ do kraju Halvora

1 napotkali tam jego waleczną armię. Kiedy żołnierze ujrzeli twarz królowej, natychmiast rzucili broń i przysięgli wierność starem królowi. Potem oboje udali się do zamku Halvora i przekonali się, iż zbiegł on daleko na północ, tam gdzie żyją tylko renifery i wilki.

316

6IS

AJBMOJfBJJ OMOjnS

aiu Bf i UIACJB 'pcsfzsazjd qoA"upBZ znf i&a i faiusazoM BifsfoM z AI aufAOBZinqouiap
Ajusuinsfop BU

dez ata {iqoj zs

[B &\3\XI AV 5IS UIXDBfB[BppO UI3UIOX BZ faiZpZO

Az aruur BU sajsaf az 'ifsuajajd UIBŁU ar^j —;

Bfouj! znjpm fyfzsna r Bsuijpo po ars po UIOJ, — •OAVJSUIBJI[oj "'auzsaiuis •"audiojfo oj,
— •aoqo aiujadz faj jsaf yfpAVBJd apafod zBMaiud 'nAvojs faj nuiaupBz zjaiM atu a^B
'zsaiu^BJdBZ ap 'fef fnjBO iuaiQ XUIB opsndo azoui ara BZO JJ ^oarzpaiMod azsnui kpAVB jdop
AZ ?aofBq A\ BJfiuMOJBZo qoaiuisn l[E He% aDayuisn oj \Aq zoaj 'ogaru op ais jfeuaaiuisn
9[3IO UIX{ BO BU DBZjp 'UIO^ JEJA"dS — ^fBJOUI O^

^_ ,...y^...*. BU 3jBf AUIBUI apoifod t uazjatMz qoioui njBtzpzoj

oSaiujBjsopazjd op AUISUZSOG aiuzBAin apfBaon^s r 'Aodopp 'qDBDSfaitu qoAp[A.JAZ
qaAMS BU apfBpsis Aojais 5fBf atujoies faj M apsjBMOjpaM 'SJBj OU '§jod BUIBS jy s
TUIBUB{O3(Xzparui az 'ijAZBMnBz Xodojqo feqQ -AAvxp aiu jBiui sojf) oiMOjpszod qot
Xqaz '3AVO|§ ofeft -od 'suttpo jBizpaiAYOd — BJfiuzaiS3{oujBzo apwoiuzofj -•5zoy AZOBqoz
BMazjp zazjd ui^uozjoMjn njaunj M 'losaiModo osazo ej 5is AzouoifS UITUBZ az 'jBizpaiM
'auj^s ffeujfjazad uiox

-o3{osvfM BU auBA\ozXzj3fs {Biui iSou 'aisazj5[uipwos BU {Bizpais ?{Bł{azo qoiu BU znf
sunjoo uBurapo 'IUIBjBI fójsczs otołj isjuBiod

Op I];zsoP ^Pa3I 'IUIB{SOJBZ ifzpaiUI ^Ojp HBJfnZS TJOAIod

•§5[aj BZ BUIOJ,

{BTZAV i pa tBtzpaiMod — ixiqn3z atu OJIAJ §TS AwsAqaz —

jcz 'aoBDatMS XjBuiuid^zjd feuBiod pBU Xdui /Czpatuiod §is Bjnus i uiajotzaf pBU

B^BISTM zfePM

Apejz ai

ou

^pfeq aij\[uiajzoif oAq azotu ojnn uiaipJf jsaf sizp oo 'uaj^ aiuiioj, 'apajd ais
aiuzcj ap^z —

.BfaizpojBzo so\S jBZsA\sn 'n[qazozs uiyfzsMJatd BU a^ou fiMBjsod vfpo •yfuiqBjp fauzBpz
dojs n znf dts jBAvopfBuz uioj,

aiuzBMOd j^fqz faf fn}5[BJtj arjtf -Biuazazjjs oSaii ftuuiodez

ata '{iqoj zszatpaq

Jf3IAVrO3fOO 3[B — &\3\Xl AV 5IS UIXDBfB[BppO UI3UIOX BZ faiZpOJBZO

fBfOMBz — Az aruur BU sajsaf az 'ifsuajajd UIBŁU ar^j —;

ZŁ

M BIUIJB B3f[3IA\

zjd jfruA

i BUOZ feuifaid z KI3

Ł1% I ajzon i[BA\onuXj

op ouBjsapo Bjzof 'faAVO[OJj{ j[oqo

IAVOJR7-> -r' faiifzpn nui ot

Bfouj! znjpm fyfzsna r Bsuijpo po {pojMpo UIOJ, — •OAVJSUIBJI[oj

Cz

oJ\$?af eu ASOJ ais ouuriz

mmmmm

pognał jak huragan, żeby donieść o tym pułkow-- ^ j/[iałem to w nosie. W każdym razie, mówiąc krótko, m znalazłem się w Anglii, było o mnie głośno. I to nie tylko Zawód murzyńskich żołnierzy. W angielskich i francuskich *s etach zaczęły pojawiać się artykuły o tytułach Cud na polu ^MV i i11116 w tym rodzaju. Byłem jeszcze w Yorkshire, kiedy dzienniki angielskie podjęły poszukiwania „cudownego leka-

.- Gdybym pragnął tego rodzaju sławy, miałbym ją natychmiast, mógłbym do końca życia być małpą wykonującą sztuczki. Ale ja chciałem być w Paryżu, pracować nad naszym dziełem, występować w przepelnionych teatrach. To, czego chciałem, pełne było tajemnic, wymagało wiedzy.

Na francuskiej ziemi postawiłem ponownie stopę pierwszego grudnia osiemnastego roku, chory z przepicia, nie ogolony, przemoknięty. Moje podrobione dokumenty nigdy nie były kwestionowane, a nawet nikt nie spojrział na nie dwa razy. Po paru tygodniach pobytu w Paryżu przekonałem się, że gazetom udało się zidentyfikować „cudownego lekarza" i jest nim porucznik Charles Nightingale, który, nie wiedząc czemu, zniknął z angielskiej wioski na krótko przed zwolnieniem z armii. Uznano, że opuścił służbę wojskową bez zezwolenia. Wtedy już jednak poczynania porucznika Nightingale'a były dla mnie równie mało ważne jak wyczyny generała Pershinga.

Speckle John mieszkał w pokojach przy ulicy Vaugirard, a ja zająłem pokój piętro niżej. Do budynku wchodziło się z ulicy przez ogromne, drewniane drzwi prowadzące na otwarte podwórze otoczone ze wszystkich stron wysokimi, szarymi, ceglanyimi ścianami. Mniejsze drzwi wiodły na klatki schodowe. Po prawej stronie znajdowała się portiernia, na wprost schodów do pokoiów Speckle Johna. Dom był zaniedbany, 2 plamami pleśni, ale mnie wydawał się piękny. Nawet teraz mam go przed oczyma. Myślę, że wy też.

. Chłopcy spojrzeli w tunel utworzony przez drzewa i oczom lch ukazały się wśród mgły wysokie, szare ściany z ciemnymi °knami. Na ich tle wyraźnie rysowała się wysoka postać v Kapeluszu i płaszczu burberry. Po chwili zza drzwi wyłoniła J? inna postać z twarzą ukrytą w cieniu. Oczekiwał mnie mój mentor, przewodnik i rywal.

Mężczyzna w kapeluszu i długim płaszczu szedł w kierunku T^Siej postaci. Wtem otworzyły się inne drzwi i smukła aeWczyna przebiegła obok obu mężczyzn. Róża.

" Kraina Cieni

przypadki przedwczesnego opuszczenia armii. W tym właściwie nie pełniłem żadnej służby. Na nadejście papier-le czekałem w letniej willi zamienionej na szpital i dom d* ozdrowieńców. Było to w Surrey, więc pozostawałem na uboczu. Przebywali tutaj przeważnie żołnierze pozorują chorobę. Przypuszczam, że wy, chłopcy, jesteście za młfcf

ocfc

żeby to zrozumieć. Nikt nie wiedział, kiedy mogą nadejść dokumenty. Niektórzy powtarzali pogłoski, że mogą nas ni zwolnić albo nie zdemobilizować, jak mówili Anglicy, jeszcze przez rok. Nie myślcie, że były to bezpodstawne pogłoski pewne grupy żołnierzy pozostały we Francji przez dalsze osiem miesięcy.

Nie sądczę, żebyście znali Surrey. Jest to piękne hrabstwo i przed wojną musiało być rajem dla zamożnych ludzi. Ale pogoda, przynajmniej w tym okresie, kiedy ja tam przebywałem, była fatalna, zimno i mglisto. Pogoda, przy której więdną nadzieje i wniwecz obracają się oczekiwania. Anglicy w tej wojnie stracili prawie całe pokolenie mężczyzn i sądczę, że w tych wioskach w Surrey odczuwano tę stratę szczególnie dotkliwie. Kiedy przyszedł list od Speckle Johna, poczułem, że jak najszybciej muszę się stamtąd wydostać.

No i w pierwszym tygodniu grudnia wyszedłem, biorąc ze sobą tylko walizkę; było w niej parę książek, brzytwa i szczoteczka do zębów. Pomaszerowałem dwie mile do wioski, czekałem parę godzin na stacji i wsiadłem do pociągu jadącego do Charing Cross. Od momentu, kiedy przekroczyłem bramę tamtego domu, byłem kryminalistą i uciekinierem podróżującym z fałszywymi dokumentami, które przezornie kupiłem na czarnym rynku tuż przed opuszczeniem Francji. Następnego dnia wsiadłem na statek mający połączenie z pociągiem do Paryża. W fałszywym paszporcie widniało nazwisko Coleman CoUins. Polowanie na porucznika Charlesa Nightingale'a odbywało się bez mego udziału.

Bo było to polowanie i to było powodem, że zostałem odosobniony w Surrey. Przy obiedzie opowiedziałem wam, chłopcy, o tym dniu, w którym dokonałem pięciu magicznych uzdrowień. Zachowałem się lekkomyślnie, nawet głupio, a na pewno arogancko. Roznosiła mnie niecierpliwość. Austro--Węgry złożyły właśnie broń po włoskim zwycięstwie P^{of}* Vittorio Veneto. Niemcy były całkowicie wyczerpane. Skończone. Chciałem się wydostać. No i poszedłem na całość chłopcy. Pięciu od razu. Irlandzka pielęgniarka myślała, że wstąpił we mnie diabeł. Mój wyczyn oczywiście wywoła* wrzawę. Withers widział, co robiłem i gdy skończył swój?

320

oże równać się z nami. Jedną z naszych najslawniejszych nuzji był Kolekcjoner, wymyślona przeze mnie śmieszna kukła. Dopiero po osiemnastu miesiącach doszedłem do wniosku, . posiadam niezbędną moc, ażeby wykorzystać prawdziwą osobę jako Kolekcjonera.

Del głośno złapał oddech, a czarodziej spojrział na niego i uniesionymi brwiami.

— Masz jakieś zastrzeżenia? Speckle John też miał. Chciał, byśmy zostali przy naszej zabawce. Skoro jednak przyszło mi na myśl, że mogę napełnić, jeśli można się tak wyrazić, swoją kukielkę żywym istnieniem, zabawka wydała mi się niewystarczająca. Pierwszym Kolekcjonerem został pewien dżentelmen o nazwisku Halmar Haraldson, Szwed, który poznał nas w Paryżu i od tego czasu nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, żeby być czarodziejem. Upatrywał w tym możliwość wywarcia zemsty nad światem, który nie docenił jego zdolności. W nas

widział coś więcej niż zwykłych iluzjonistów występujących na scenie. W magii frapował go, zupełnie słusznie, jej aspekt antyspołeczny, wywrotowy, a ponieważ tak bardzo nienawidził świata, pragnął i pożył naszej mocy. Haraldson ubierał się zawsze w czarne, bez wyrazu garnitury, z których sterczała jego jajowata, skandynawska głowa. Brał narkotyki. Był najskrajniejszym przedstawicielem powojennego nihilizmu, jakiego spotkałem. Przypominał jedną ze zjaw na obrazach Edwarda Muncha. Tak więc poznaawszy go, pewnego wieczoru uczyniłem z niego Kolekcjonera i od tej chwili moja kukła żyła nowym życiem. Halmar przyczaił się w niej niczym dziwny w lampie Aladyna.

— Co dzieje się potem z osobami, które wykorzystujesz? —
Pytał Tom. — Co stało się z Halmarem?

Uwolniłem go wówczas, kiedy wreszcie można było na nim polegać. Usłyszysz o tym, dziecko. Speckle John upierał się, żeby w ogóle zrezygnować z Kolekcjonera, ale ja już go panowałem. Mimo wszystko byłem sukcesorem Speckle Johna i moje siły miały wkrótce dorównać jego mocy. Nie obstawiał przy swoim, chociaż obserwując go w czasie naszych wspólnych objazdów, widziałem, że jest coraz bardziej nieszczęśliwy -

o czym mówię, działo się na przestrzeni lat. Ogięta prawda była w tym ironia. Partnerzy pracują razem, sukcesy, lecz personalne więzi między nimi kruszą się. Speckle John zaczął dawać do zrozumienia, iż popełnił błąd.
523

— Tego pierwszego dnia zobaczyłem dziewczynę przebiegającą koło nas, ale nie przyjrzałem się jej. Później dowiedziałem się, że nazywała się Róża Forte, że była śpiewaczką i że! pokoje mieściły się na parterze, tuż pod moim apartamentem!

Róża zniknęła wśród drzew. Dwaj mężczyźni również zniknęli. Scenę na końcu tunelu ogarnął mrok.

— Z początku myślałem, że była najbardziej uroczą dziewczyną, jaką znałem, odważną, inteligentną, z twarzyczką, która zachwycała mnie bardziej niż najpiękniejsze malowidło. Wkrótce zakochałem się w niej. Któregoś dnia w prowincjonalnej antykwarni zauważyłem figurkę pasterkę ładną podobną do Róży. Ponieważ nie miałem pieniędzy, żeby ją kupić, ukradłem, wsunąłem do kieszeni i zabrałem do domu. Kiedy Speckle John i ja urządziliśmy objazd, zabierałem ją ze sobą. Patrzyłem jej w oczy, wgłębiałem się w jej oczy. Ona znała tajemnice, których nie znał Speckle John.

W dali, w wąskiej przestrzeni między drzewami, pojawiła się Róża Armstrong ubrana w długą, białą szatę z nieokreślonej epoki. Trzymała laskę pasterską, znieruchomiła jak figurka i błędnym wzrokiem patrzyła na Toma.

— Tajemnice, tak. Tajemnica jest zawsze o dwoistej naturze, a jeśli ją poznasz, najczęściej okazuje się banalna. Po pewnym czasie zaczęła nękać mnie myśl, że Róża Forte jest jak pewna dziewczyna z baśni, piękna, ale wewnątrz pusta, jak czysta kartka, na której każdy mógł pisać.

Collins podniósł butelkę, gdy tymczasem Róża Armstrong zniknęła wśród drzew we mgle.

— Ze Speckle Johnem zacząłem pracować niemal natychmiast. Występowaliśmy w teatrach i w salach publicznych w całej Francji. Obawiałem się pozostawać przez dłuższy

okres w Anglii ze względu na sprawę „cudownego lekarza > ale kilka razy przejechaliśmy wyspę, występowaliśmy równie w Irlandii. Udało nam się wprowadzić zupełnie nowy rodzaj magicznych sztuk i wykorzystując nasze umiejętności, zdołaliśmy wypracować sobie czołowe miejsce na afiszach. Dążyliśmy do ekstrawagancji. Chcieliśmy tak zawładnąć publicznością, - ażeby pod koniec przedstawienia nie wiedziała, co się z. działo, żeby nabrała przekonania, iż żaden inny iluzjonista

322
li po prostu bać się mnie. Pracowali u mnie na chleb,

ale ich zabić jednym spojrzeniem, robili więc wszystko, 10ego od nich zażądałem. Równocześnie nasze występy nabrały liecej wyrazu, były bardziej porywające, bardziej teatralne. Teraz ja przejąłem kierownictwo nad całością.

W tamtym czasie, chłopcy, byliśmy najślawniejszymi iluzjonistami w Europie. Znane osobistości, ludzie utytułowani pragnęli nas poznać, wydawali dla nas przyjęcia, przychodzili o poradę. Poznałem wielu surrealistów, malarzy i poetów. Spotykałem amerykańskich pisarzy przebywających w Paryżu, członków rodów książęcych, hrabiów. Spędziłem wiele wieczorów, przepowiadając przyszłość tym, którzy postanowili zaplanować swoje życie, wykorzystując wiedzę tajemną. Ernest Hemingway postawił mi drinka w barze na Montparnassie, ale nie chciał przysiąść się do mojego stolika, gdyż uważał, że jestem szarlatanem. Słyszałem, że nazywał mnie „Rasputinem dla ubogich”. Określenia tego nie uważałem za obraźliwe. Fałszowanym Rasputinem był rzeczywiście pewien Anglik, Aleister Crowley, który miał się za demona. Gdy zobaczyłem go, zorientowałem się natychmiast, że to oszust, chory, zawiedziony człowiek, który wygłaszał napażone tyrady i robił z siebie bożyszczce.

Crowley i ja spotkaliśmy się w ogrodzie, w pewnym domu w Kensington, należącym do bogatego, lecz głupiego miłośnika okultyzmu, który wspierał finansowo nas obu i ciekaw był naszego spotkania. Byłem już w ogrodzie, kiedy Crowley wszedł służbowym wejściem. Wyglądał odrażająco. Ubrany był w czarny kaftan, nogi miał bose, brudne, głowę ogoloną. Na twarzy malowało mu się szaleństwo, lecz emanował z niego ^frygujący, prymitywny magnetyzm. Crowley spojrzał mi w oczy, usiłując przerazić mnie.

— Halo, Aleister — powiedziałem.

Precz, szatanie! — zawołał i wskazał na mnie grubym Palcem.

Zmieniłem mu rękę w ptasie szpony i prawie na miejscu trafił go szlag.

— Sam idź precz — powiedziałem.

Schował rękę pod kaftan i spieszenie wyszedł. Dowiedziałem się później, że tę rękę pokazał kiedyś pewnej wielbicielce jako °wod swoich satanicznych możliwości. Miesiącami studiował

2ynianie uroków, zanim udało mu się przywrócić rękę do werwotnego kształtu.

°s poruszyło się w ledwo oświetlonym lesie.

325

niono wobec mnie pomyłkę, że nigdy nie należało mnie wybrać -Nie mógł niestety wykazać się szeroką wiedzą. Jego j°

0 magii były dość ograniczone, a ambicje skromne. „

dojrzałego czarodzieja jest to — zwykły mówić — że nie

rzystuje swych możliwości i mocy w zwykłym życiu" j

twierdziłem, że miarą dojrzałego czarodzieja jest to, że w ogóle

nie ma on zwyczajnego życia.

Po pewnym czasie Róża przyłączyła się do nas. Jej śpiewanie nie było nam do niczego przydatne, ale zgodziliśmy się, bo nie miała żadnej innej pracy. Speckle John lubił ją, a ponieważ występowała już na scenie, nie odczuwała tremy. Nauczyliśmy ją wszystkich standardowych sztuczek i szybko nabrała w nich biegłości. Jej arogancja i zuchwałość podobały się publiczności Mój współnik

odnosił się do niej po ojcowsku, co uważałem za śmieszne. Róża była moja i mogłem robić z nią, co mi się podobało. Nie sprzeciwiałem się ich wspólnym rozmowom, gdyż to pomagało jej pogodzić się ze swoją pozycją. Drugim powodem było to, że troska mego partnera o tę dziewczynę dowodziła, iż to on mylił się, a nie ja. Moja mała pasterka była cała z porcelany, miło było na nią patrzeć, lśniła jednak tylko pożyczonym światłem.

Wiatr dmuchnął, zawirowały kłęby mgły, na polanie zrobiło się chłodniej.

— W czasie naszych podróży poznaliśmy innych iluzjonistów występujących w tych samych teatrach. Jimmy Nervo

1 Teddy Knox, Maidie Scott, Vanny Chard, Lianę D'Eve...

Zainteresowała mnie grupa Pan Peet i Włóczędzy. Było to sześciu „chłopców” — akrobatów, osiłków. Ciemne charaktery. Sądzę, że wszyscy odsiadali kiedyś wyroki za ciężkie przestępstwa jak gwałt, rabunek, napad. Inni wykonawcy trzymali się od nich z daleka. W istocie ich akrobacja była tylko poprawna, a nie na tyle dobra, żeby wzbudzała większe zainteresowanie. Występy swoje urozmaicali komicznymi piosenkami i wyreżyserowanymi bijatykami. Od czasu do czasu bijatyki te przenosiły się poza scenę. Wiem, że kilkakrotnie w prjackiej burdzie zatłukli człowieka prawie na śmierć. By skrajnie prymitywni. Postanowiłem ich zaangażować i kiedy poszedłem z tym do ich szefa, Arnolda Peeta, zgodził się natychmiast. Lepiej grać drugie skrzypce w przedstawieniu mając powódzenie, niż wegetować na własny rachunek; Zgodził się również, że „chłopcy” będą zatrudnieni jako tacy goryle wówczas, gdy nie będziemy występować. Szybko

324

No, chyba — odpowiedział, wyraźnie napawając się zwycięstwem. — Opuściłeś służbę wojskową bez ze-woa. Jesteś wciąż poszukiwany, a ja już dopatrzę, żeby cię właściwie ukarano. Zawołałem więc Halmara Haraldsona.

W bladym świetle ukazał się Kolekcjoner z kretyńskim uśmiechem na twarzy. Rudowłose cofnął się. Stojąca na schodach, za postacią udającą CoUinsa, Róża nie mogła widzieć, czego przeląkł się człowiek odgrywający Withersa. Patrzyła na niego zmieszana i sama zaczynała odczuwać niepokój.

Hej! — krzyknął rudy mężczyzna. — Hej, panie Collins!

Tom poczuł skurcz żołądka: to nie była zwykła teatralna scena. Kolekcjoner ciężkim krokiem posunął się do przodu. Róża ujrzawszy go, zapiszczała.

— Nie, to ciebie odnaleziono, Withers — oświadczyłem.

— A teraz patrzcie uważnie, chłopcy, jak świetnie wasz przyjaciel, pan Ridpath, odegra swoją rolę.

— O mój Boże — wyszeptał Del i zaczął wstawać z miejsca.

Róża znów krzyknęła, a sobowtór CoUinsa chwycił ją za ramię.

Kolekcjoner rzucił się na rudowłosego mężczyznę, który krzyczał:

— Zatrzymać go! Zatrzymać go!

Kolekcjoner powalił go na ziemię.

— Collins! Ratuj mnie!

Rudy wiecheć spadł mu z głowy i Tom poznał, iż jest to mężczyzna z pociągu, podeszły w latach Szkielet Ridpath. Kolekcjoner przycisnął go do ziemi i pięściami walił po twarzy.

— Odnaleziono cię! Odnaleziono cię! — wył przeraźliwie.

, Del zdążył wstać i krzyczał. Róża, niezdolna wykonać żadnego ruchu, też krzyczała.

— Milczeć! — rozkazał Collins i oboje posłusznie zamilkli.

Jeden cios, jeszcze jeden. Kościste pięści potwora spadały
42 po raz na głowę leżącego człowieka. Róża odwróciła się rł twarz w załomie muru przy
schodach.

s.

Do ^ ^k' zrobiłem to. Zaraz zobaczycie, jak to się stało — s. ^dział spokojnie Collins. — Musicie
to zobaczyć. Biedaczy- nic oczywiście nie wiedział, ale był to jedyny powód, dla e& tu się znalazł.
Żeby wystąpić w roli Withersa.

327

— Z tego, co usłyszeliście, domyślacie się zapewne, ?
przyzwyczaiłem się przebywać w Anglii. Moje początkoty6
obawy opuściły mnie. Gdy nadszedł rok tysiąc dziewięćSe?
dwudziesty pierwszy, podróżowaliśmy swobodnie po całe
Anglii, występując w teatrach od Edynburga do PenzanceJ
ale najczęściej zatrzymywaliśmy się w Londynie, na ogó>
w Teatrze Imperium Zielonego Lasu. Sądziłem, że świat zapo
mniał już tajemniczego doktora Nightingale'a. Ktoś jednak
pamiętał o „cudownym lekarzu". Spotkałem go pewnego
letniego wieczoru po przedstawieniu. Czekał przy wyjściu
z teatru, zobaczyłem jego rude włosy i wiedziałem, kto to
zanim spojrzałem mu w twarz.

Lampa wśród drzew oświetlała teraz schody, ceglany mur, kawałek wąskiej alei. Ze schodów
zszedł mężczyzna w płaszczu burberry i w kapeluszu. Za nim Tom ujrzał Różę. Czarodziej podniósł
butelkę w geście toastu, ale nie wypił. Kiedy się odezwał, okazało się, że kogoś chciał uczcić tym
toastem.

— Oto i ona, Róża Forte, moja porcelanowa pasterka, moja
zaczarowana rybka. Cieszyłem się, że tu była, chciałem, żeby
zobaczyła, do czego jestem zdolny. Chciałem, żeby wiedziała, że
żadne jej zasady ani zasady Speckle Johna nie powstrzymają
mnie na moment. Chcę, żebyście i wy, chłopcy, o tym wiedzieli.
Nie pozwolę, by cokolwiek stanęło mi na drodze.

Mała scena wśród drzew była mroczna, niewytłumaczalnie złowieszcza. Zastępca Collinsa w
kapeluszu i długim płaszczu, za nim na schodach wąż dziewczyna. Wydawało się, że otacza ich
aura dzikości, że we mgle czai się rozpaczliwa przemoc.

Z ciemności wystąpił jeszcze jeden mężczyzna. Miał lśniąco, rude włosy.

— Wiedziałem, że to ty — przemówił do mnie Withers. —
Można było spodziewać się, że tak skończysz... bezwartościowy
pasożyt. Teraz przybrałeś nazwisko Coleman Collins, co, mor
derco? Muszę przyznać, że dajesz wcale niezłe przedstawienia-
Mam nadzieję, że i w obozie karnym pozwolą ci występować-

Stał ziejąc nienawiścią. Promieniowała z niego nienawisc i zadowolenie, gdyż sądził, że tym
razem wpadłem mu w ręce-Ten nędzny doktor, rasista z Południa, jeżdżący po całej Europie za
zdewaluowane amerykańskie dolary, zbierają^ anegdoty i dowcipy, żeby brylować nimi po
powrocie w Mco" albo w Atlancie.

— Grozisz mi, Withers? — spytałem.

326 -*?"--.-

m o Kolekcjonerze jak o zabawce, którą był, kiedy go ^ psułem. Ta jego siła była oczywiście moja,

nie Haraldsona. nn był tylko narzędziem, kukłą wypełnioną moją własną
obraźnią. Ale ponieważ teraz Haraldson obciążony był Odpowiedzialnością, pomyślałem, że
można go zastąpić przez którąkolwiek z otaczających nas osób, nawet przez któregoś
włóczęgów", jeśli zajdzie potrzeba. Kiedy przekonałem się, że Withers nie żyje, odłączyłem
Haraldsona od Kolekcjonera, policja znalazła go nieomal natychmiast, Szwed znajdował się w
takim zamroczeniu, że umieszczono go w szpitalu dla mnysłowo chorych. Został skazany za
zabójstwo Withersa, ale wyroku nie wykonano. Przez pewien czas było trochę szumu w gazetach,
ale potem wszystko ucichło. My wyjechaliśmy i pracowaliśmy na prowincji. Nikt nigdy nie łączył
Withersa ani Haraldsona ze mną.

Jeszcze coś mi się nasunęło, kiedy Kolekcjoner obrabiał biednego Withersa, a mianowicie, że
„włóczędzy" właściwie nie są mi już potrzebni, Kolekcjoner wystarczy jako straż przyboczna. To
było tylko ziarenko, które zakiełkowało mi wówczas w głowie, ale myślałem o tym, kiedy
organizowałem dla nich ulubioną przez nich rozrywkę, czyli szczucie psami borsuka. W nocy, po
śmierci Withersa, przebywaliśmy na wsi, na zachód od Yorku, patrzyłem na tych sześciu trollów i
ich przywódcę, jak zatracili się zupełnie żądni krwi tych biednych zwierząt, i myślałem: Czy
naprawdę są mi potrzebni? Odsunąłem jednak tę myśl, miałem bowiem wiele ważniejszych spraw.

Po pierwsze, Róża Forte. Stała się niedostępna, ponura i to mnie rozwścieczało. Często, kiedy
byłem pijany, biłem ją. Nie potrafiłbym powiedzieć, czy ona kochała mnie, czy nienawidziła. Jej
zachowanie było pełne sprzeczności. Speckle John, który wtysiąc dziewięćset dwudziestym drugim
roku już zdecydowane zszedł na drugi plan, zwykł udzielać mi rad co do Róży. e&° rady były
radami starej baby. Bądź dla niej miłszy, traktuj \$ lepiej, słuchaj, co mówi i podobne bzdury.
Chodziła do niego, eby się wypłakać. Pogardzałem obojgiem. Zaprzętała mnie
wruez sprawa pieniędzy. Chociaż w tych czasach odnosi-do!|ly su^cesy J^0 iluzjoniści, ustawicznie
potrzebne mi były bi i we sumy. Nie zadowalało mnie nawet to, co zara-j0, em na wróżbach i
horoskopach dla bogaczy. Chciałem Ze żyć, pragnąłem oszałamiać. Sądzę, że już wtedy naro-we
mnie myśl zorganizowania mego pożegnalnego awienia. W każdym przedstawieniu ważny jest
finał, o tym, kiedy znosiłem trudy kolejnych objazdów

329

Szkielet podśpiewywał pod nosem i w dalszym ciągu dał pięściami starego człowieka.

— Bezwartościowy typek, niewydarzony aktor o nazwisk
Creekmore, nie lepszy niż jakiś szlifibruk z nędznej dziel
nicy. — Collins prychnął z rozbawieniem. — Zgłosił na n
ogłoszenie, możecie w to uwierzyć? Sam mnie odszukał. Tak
jak i Withers. Withers wiedział, że ukradłem pieniądze Ven-
dourisa. Czy zabranie pieniędzy trupowi było zbrodnią? —
Collins podniósł butelkę i wypił.

W dali, we mgle, Szkielet znęcał się nad swoją ofiarą. Krew lała się z głowy aktora. Tom dojrzał,
że skóra odchodzi od kości wstał i odwrócił się.

— Nawet nie myśl o tym, żeby uciec — zagroził Collins ze
swego tronu. — Twój przyjaciel schwytałby cię natychmiast,
a wtedy to wszystko stałoby się rzeczywiste.

Tom spojrział znów tam, gdzie miała miejsce ta okropna scena. Kolekcjoner zanurzył się na
powrót w mgłę, ciało leżące na ziemi zniknęło. Ślimak, Cierń i Groch stali koło schodów z rękoma
skrzyżowanymi na piersi.

— To nie było rzeczywiste? — zdumiał się Tom.

— Tym razem nie, moje dziecko. Withersa już nie ma,
a o Creekmora nie martw się. Ma parę zadrapań, nic więcej.
Zapłacę mu jutro i odeślę go. Zapewniam cię, że będzie o mnie
myślał z wdzięcznością.

Del stopniowo opanował drzenie.

— To naprawdę był Szkielet — mamrotał. — Widziałem,

jak poranił głowę temu człowiekowi... tyle krwi.

— Parę woreczków wypełnionych krwią zwierzęcą i ukrytych w jamie ustnej. Creekmore jest już w letnim domku, myje twarz i rozgląda się za następną butelką.

We mgle, na schodach, Róża pomału podniosła głowę. Collins pomachał butelką i scenę ogarnęły ciemności.

— Dla mnie okropności dopiero miały nadejść.

Chłopcy, trzęsąc się, usiedli z powrotem na wilgotnej trawie-

— Nawet ja byłem zdumiony brutalnością Haraldsona- *? ' co widzieliście, to jedynie trochę świńskiej krwi. Rodzaj gfc ski. To, co ja widziałem, było rzeczywistym katowaniem człowieka i celowym przedłużaniem strasznej agonii.

328

po całym świecie, ciągnąc ze sobą tych dziewięciu IU(j .

Pragnąłem, aby mój finał zaćmił wszystko, co kiedykolwiek oglądano. *

To oczywiście wiązało się z wielkimi wydatkami. Ponieważ, opłaty za bilety podnieśliśmy już do maksymalnej wysokości musiałem rozzejrzeć się za innymi sposobami osiągnięcia do' chodów. Mogli w tym pomóc mi „włóczędzy”.

Któregoś dnia późnym wieczorem udałem się bez zapowiedzi do pewnego bogatego głupca w Kensington, Roberta Chalfonta. Kiedy otworzył mi drzwi, odczytałem z jego twarzy, że moja wizyta schlebia mu, choć jednocześnie niepokoi go a nawet trochę przeraża. Doskonale, pomyślałem. Wiedział, co w lecie, tu w jego ogrodzie zrobiłem z ręką Crowleya. Wprowadził mnie do biblioteki i zaproponował drinka. Poprosiłem o trochę whisky i usiadłem, a on spacerował po pokoju. Przedtem kilka razy zapraszał mnie na kolację, ale nie przyszedłem. Teraz byłem tutaj i on był zdenerwowany.

— Miło, że wpadłeś — powiedział.

— Chcę pieniędzy — oznajmiłem bezceremonialnie. —
Dużo pieniędzy.

— Posłuchaj, Collins — powiedział. — Obawiam się, że nie mogę tak po prostu dać ci je. Są pewne sposoby załatwiania tych spraw.

— Ja również mam swoje sposoby — odpowiedziałem. —
Chcę otrzymywać od ciebie rocznie trzy tysiące funtów. I masz podpisać dokument stwierdzający, iż dajesz mi to dobrowolnie, w uznaniu mojej pracy.

— Do licha, człowieku, nikt nie podziwia cię bardziej niż ja, ale to, czego żądasz, jest niedorzeczne.

— Nie, to twoje postępowanie jest niedorzeczne — oświadczyłem. — Chcesz mieć przywilej obcowania z wielkimi czardziejami, chcesz znać ich tajemnice, pragniesz być świadkiem ujawniania się ich mocy magicznej, pora więc, abys płacił za te przywileje. — I przypomniałem mu, co może go spotkać, jeśli odmówi.

Poprosił mnie o czas do namysłu. Dałem mu dwa dni-Widziałem na jego głupawej twarzy żal, że nie pozostał przy polowaniu i łowieniu ryb.

Następnego dnia posłałem do jego domu pana Peeta v^aZ z osiłkami, by zrobili tam trochę nieporządku. Chalfont pojawił się natychmiast w moim hotelowym apartamencie i zgodził »a wszystko, czego żądałem. Ale wtedy zdecydowałem, że tera2

chcę więcej, prawdę mówiąc, wszystko. Oddał mi wszystko, c^o
posiadał. ? **>?-*
330

— Oddał wszystkie swoje pieniądze? — zapytał Tom. — Tak po prostu?

— No, niezupełnie. — Czarodziej uśmiechnął się. — Zarosiłem Chalfonta do uczestnictwa w
naszych występach. P — Włączyłeś go do kolekcji? — spytał Tom ze zgrozą.

— Oczywiście. Kiedy dostał próbkę tego, co może go cze
kać, przepisał na mnie wszystko. Nakazałem trollom, żeby byli
z utai każdego dnia w czasie załatwiania formalności. Kiedy
miałem już jego nazwisko na swoich dokumentach i jego
pieniądze na moim koncie, znów włączyłem go do kolekcji. Tak
jak powinien być się tego spodziewać. Dzięki niemu Kole
kcjoner zyskał nowy wymiar, nabrał pewnej pikanterii. Za
czynałem nawet żałować, że nigdy nie umieściłem Crowleya
w Kolekcjonerze. Wyobraźcie sobie, jakiego stworzyłby Ko
lekcjonera! Musiał nam jednak wystarczać Chalfont, póki
byliśmy razem. I nie miałem innego Kolekcjonera, aż usłysza
łem prośby waszego szkolnego kolegi i doszedłem do wniosku,
że tego lata może być nam tu przydatny.

W dali, pomiędzy drzewami, przeblyskiwało przez mgłę słabe światło.

— Uważajcie teraz, chłopcy. Zbliżamy się do następane
go punktu zwrotnego w moim życiu. Wydarzenia tej wa
gi, co śmierć Vendourisa albo spotkanie ze Specklem
Johnem.

Kwestia pieniędzy została rozwiązana nadzwyczaj pomyślnie, gdyż wielu moich bogatych
wielbicieli zaczynało podejrzewać, co przytrafiło się Chalfontowi, i dawali mi spore sumy,
kiedykolwiek zażądałem. Europa jednakże już mnie nudziła. Europa była martwa. Czułem, że w
Ameryce budzi się nowe życie, życie, które nie ma zapachu trupów. Europa była wielkim
cmentarzyskiem, a w Ameryce moja rodzina miała dość pieniędzy, żeby utrzymywać mnie do
końca życia. Przerwałem pracę na miesiąc i pożeglowałem do Stanów, żeby rozejrzeć się za
odpowiednim miejscem na założenie swojej wierdzy. Miał to być teren strzeżony, odległy od
jakiego-^o*wiek miasta, gdzie moja magia mogłaby rozwijać się ez Przeszkód, bez wścibskich i
ciekawskich. Znalazłem takie eJsce, kupiłem je i sprowadziłem robotników mających ^Prowadzić
zaplanowane przeze mnie zmiany. Cena posiadło-Początkowo była zbyt wysoka, ale
wyperswadowałem ^Cicielom' ze^oy h rozsądnie obniżyli. Wykorzystałem też .^ Metody w celu
upewnienia się, że nikt nie będzie się tu " w czasie mojej nieobecności.

331

i1

M

n^^^H i

1 nmop ui3[3ppsBtM ui3{^q aiuo3qo osouzoI[qnd p^fzjd dśjsyfM foui ^pzBif az '^CUMBJS 3[BJ I
ojBqc -o 'ojfjs^zsM oiqoj uiajSoui zi 'Aß§oq J[B} uiajiCg { "3zjcJ ojEtuisatu 3iuXpaf a[B5urjqSi^

saiJBqQ atuaiujsr IJAUO:

RS 3} JBUTMZQJ t JZB[BUpO SUIIPO UBUI3[O0 UiaS3f UI^ZO I
^f 'urafBizpatM ZBjax jBoiuzpj BZ oo B 'njA^od m oSazsMjttad aiu P° ?BI oatd ojstdop ojauipl
ifouBjj 3M uiafEMOpEi^M atu Ouod njfoj uipazjj uiA_sai_zpnMp łasoaiMaizp ofeisa /& —
^azozsafiToŁ

sss

fef BU fejiCjsin JBIUI ZJBMJ 'luiBpn iuiA"uzalod i IUIBUOIUIB tuiCujBinsfsnui z 'IŠBU zaj
'BUZA"zozai Aqx\J3 fBzsj fam BJJ •nf/ op Buonzjpo B^MOJJ? puojq faf'uiaisjoa BUIOX op
ojA"q auooojM A"zoy; OJBI;3 ?iSA".rjso njopj{ qoBUBps o nrosjod uipfijaj^ M
3IS BfBMOpfBUZ "3TUBAVXp UITUpoqOSM UIA_s^ZJOZM BTJ 0ŠBU {BZjfn UIOX
T O{BZJO3ZOJ M3Zjp pOJSM O?IBIAVg

-fapod A"q OUMBP znf jfBtuzon A^pzBsj oo 'oj uiajXzoBqo2 uia{XzoBqoz A^psj^ BtuazBjazjd i
BiuBjodopiBz ZBJAJW ^ZJBMI BU JBIUI 'oSaiu BU uiafBZJfods i uiatpazs^ SSojpod o
A" {A"zjann

OUSOjS OMOJftBptM ajCfSf 'A^ZIJBM fIMEJSOd I MCHJOJJ

azozsaf uiapozad BłaaJ BUBd uiałiosndazjd i nfojjod op tA\zjp UI3JXZJOAVIO 'ui^MO^BpuBS
uiaua\ajp o{BtuqoBd nuiop Ja^uiiBp B5[iuzBSBq z 3UOIABVISXM iCzijBM aznp ai/wp j UBd
B '5qjoj BJBUI uia{ sotu 'Xpoqos eu Auisi\zsa^ spAz oS o^BMOłzsojf apsfaja M OD 'n^iuo^BS M
B^uup feuui az {idAv\ Xqaz 'Bjaatj BUBd tua^isojdz nfojisBu uiXurnoqouBiaui M uiałiCq
zfep^v "Buopizouuiap BA\BJJ B 'aiojz AXq qSBiauBy M BMazjp az 'uiBł5iuiB{j -patzp ais
qD/CDfeiM SBU XpzpoqooQ -uiop pod XuisnBqoafpotj uoq.pnj BU nuiop tuij{ouBSaxa M
^uisiiB3{zsatui atzpS 'suapjBo -auBy op A"uisiiBłop tuiB3[ZDim IUII^SBM I aiOAaqjno3 ap J^
zazjd duBMsjas ^uisn^zooj5{azjj nj^d ^uBuin; feqos BZ ofef -BLMBJSOZ 'npoqoBZ oSauDoujed
po ^uisnBqoafM BZAJBJ QQ

Aq M arui B^p Šis BJ^UIBZ uiafaj BJ{Sfadoi BJBd BI OJO3{S 'oBzpzafAiW pfels SBZO
A^zsiCMfBU az -OJZ i JEJ npaisaizp po AzsMaatd ZBJ od uitu o u atsunopuaA o uiajBis^uiuj
^qaz atBiq 'aMOjz 5is {Buqoaiuisn npoqoouiBS oSaiu 5{opiAv BU soSaisfBfuijBZjfn uiaz^jEj
pazjd

aruui BjaujBSO az 'o{iMB.ids OJJJS^ZSM OJ 'BCIUI SBZO az 'apnzon o% ? •uuBpn luiAaiunszoj
z

-Jod O BZO?{ EObfB^aZO -Bpd BIMi3I SjaiU^EISBU 3ł ""*

pazjd jjBf siuspaiMso oj, 3UBiuuiodBZ siujadnz aiuoqo « -zoA_sAjnsjo qoBjajs M aisszo
UI^CMO M ausuz BI{SMAZBU —? 2. -usdsno I Msftzpjng aiuii o^Mpszjd OIUBJJSO njdfelsX*
I ^ -Bf z 'qoB2{BłB o Z3j uiajEisAuij so{3 M ais uiap?tuissaz ^ iMO^aiMOJ3 nuisuozsndBu
'nuiapaiq nuiaj ui3{iqoJZ o3 ^ IUI oiBiuiiodiCz.ij MIUZ sofefnsiazoo Bpd a% M BJJIBIS* 8 ' ^
'TMJ3J o uia{B{sXiv nzjnsi ^uBuinj 3ts ^jtsoupod tSoap z „m -jszo 3is ^łBMBis A"UBIZSE-W
'3uozjnuiqoBZ

BU I[SaiOd A"ZJÓJ3{ 'aqA IUIB3{StMZBU IUIXUBStdAiVI Z 3[SII

psoMoosfatui fapzB5[A\ [BUiaij] "aiSAv afa[O3f ofefBftui BU \uii njsaizp^zjj oł{st[q
fepsoifpajd feofefBiuiBjBzso z ^uiq3f "zozjpod fazsznjp z uiajBDBJM Xpai3f 'azsMBZ jfBf
<eUÓIU3fS5łS OUIBS 3[BJ 3IZpaq '3IUII DBfłJAI 'BZOJI 3Z 'SfólZpBU
majBiH tuiA^wo^azo tuiB3tzo3zfeTS3{ iuiXqnjŠ ZBJO IUIBUOIUIBJ jm^aiuSfep^M z aiuii
fefnsiazDAjw Aaiqoj[ajp^Jf i BiuazsojdBZ Azs^zjd oJto3[po 'ui3jXq MB5[aiO B5[nsjoq spnzozs
suddjSBu mi oizpezjn ^q3z '3is OBSBUIOP BUZDBZ MOUZ ajp-łł A^P^pT 'zaj ars
tU3{BIAVBUB}SBZ 'U^Of 3[:>padg SBU B]p OIA\łBJBZ JB|OpZ Ał[BjłUO3{
aMOU aiJfBf 'ui3jy{q MBJfajo •uianrazjBiu ui^uojsajjfoatu f9Zijq jf 3[łS^zsM arzBJ BJJ -
npXz UIXMOU uiroui AV jzsajz B 'aiuii azaq oAz XqBjuBJłod aiu 3Z M futy op feqos 3Z faf
ntUBjqBZ o ui3{B[sA"j][^ZCJI uia{vfq AVBJ[ap aiujcSszazs 'urauqof 3[3[oads i a^JOj fezoy; z
BiuBiłłods UI3JBAVIS[3ZOXAV EpsMi^djapstu 2 'BZ^jEjj njfunj -ai3[AV sfouBj ferupoqDEZ
zszjd 'niuazpais ui^ufA EU AjBdzoj

Bf B 'BJ3IUIIBP BDtUAVOjai5[BZ UO 'Bf I JSaj UBd 'A"UISIIBUC>9f —

•B|au3jruz BMOS i apsj ifjpsajazs -BZ 'aizajB^ A^BtuinzsBZ A^auojd Xzoo
faf 'BAvazjp zazjd ui^u
-OZJOMjn n{3Unł AV IUIBfpXzj5[S BfBJOdaZJJBZ MOUZ BMOS B^Bia
•A"uiA"zoBqoz atusBjM oo 'oj XuiXzDBqoz 'uiajBisATurod /(pa^w y Bfoui ziu
BUZOIŞEUI feps fezsifaiM ^uozjBpqo faizpojBzo Ais tMBfod aiu tfjpdop 'ošn^p jfB*
fatuiufBu^zjj -aMi[zoui 3izpaq 03IIA o% j[Bf 'oŞnpj jfB} OBUi^zjjn uia^BuSBJd afo^zod ax uiXu
3z '0Bfh03iqo 'ojsuojd z
?ZOAsAmjfO apSIMS M BMBfs 'MOŃO3[UI3[OJ3{ UI3fA*q
8 oSatJf

ssc

IAU BU SOD o,2s
ara zazid IJZS ^par
-AZJĆ. 9IŞBU pwouioj, 'uofBS
•ats
z tjpBds feqo [s ai C
31S OJ[ŃS.&ZSM OJ — UIOJ, {BIUAY3dBZ M SIZ
•aiqais op Xq:5{Bf {BtzpatMod — tieAwftuepfo atuui JCDS^ZS^ •Ž!poqos BU ipazsAi ofzap
'aoBzoajod BU aoaj jJBdo j
jXq A oj sXqaz 'uiyftBpqQ
?atu az 'tuajnzo zepoip 'Bf 5paq oj az 'uia|B[sXjā uiajyCzsapn ara ais a^BOM Bf ajy
ldQ 3IS {BAVXI^dop — i
'oiapfzjd aiqap ox — 'Ajnuip AV BofezpBMOJd BuiqBip ifpoqos auzB[az AŞOJXM IUIIU pazjj
•UTOZJJ z 5is ojBp
3[aUIO|S OJIPB 5[Bf yfpOAV EIUtpZJatAWd pBU B{BISIM
3
SIZQ
o^oiu «{eig 'BqBZ B{B5[Uin3f ntMOJIS UI^fUZ3ZjqpBU ^
feujqajs qoiu BU OEZJOMJ 'XSOJAV aujBZo oSaf BU 5IS
BDjfZ3IS3{ O{JBIAyğ \3Q {BIZpaiMod — ^UBjqAw SajBJSOZ A^
•BjoiZ3f Sazjq psu SBJ zazjd uiajojMod z B[3Q jtzpBA 'BUŁfcjjsMod atu SBU jifiu i "XDOU AV
sizp pejs 3ts -opAja Aw 3jv — mój, mazi — fezczy z OD 'utaiM
[z 03 ifeiu z OD v — 'JCZDO ?IBJO — 'feuii az fAq A T r-n«^, — AŞZJP ntu tSJBy^ [aa
Sts jtzpoSz — BjqoQ —
oston oatM Auiazoyi oiuiu>[uiA z znf 3[Bł j tejni o}B[JSO afOMł oj az 'jstzpaiMOcj 'Au^saAM.
SSJBJSOZ Aj SIN "OJ ini {ciżpai/wojj -aiqap Bnp jsaf ara znf JJBj I IU3IQ BUIBJ^ ^zsaiumzoa
•/CuozsojdBZ nj ZS3IUBJSOZ SIU yCpSiu znf i[Bj J ^onjsod — Iaa {BizpatMod — tui azjqop3t>j
— Dsop oSaj UIBJV ^uiaiujfapn a[B 'yfunqoz oj 3[Bf' aifrl "Xoou M sizp azozs3f pfejs
Xui3tu3i3pfi 'AwCeOT"TLŁ
BtUatUIOJOZSO atuBłs, m {BMOpfBUZ ZfepjW \3Q {JBdpO —
ZSISOJdod 5f3IMIO3{OD O "
idzsojddod sp OD o 'oj zsiqoz XZQ —
DBJSM IMOX3Q jSęUOd I %
I -atqats op UIOJ, ttAipui — jBiqBtp op 'feqoj z B{qBtp oQ
op
BU ais uiafpsuiaz jfBf 'Btuazjojfdn oSaur
j3f 'Bjaaj Bpjoujy uiajfeunsn JfBf 'piu apf

•-? " 'apiCzoBqoz uisjozoaiAł n «»»»

dSJSAtt IUJBJSO fOAlS OBM

oj

otlBjd iua{ BZ3BZ ifpajM naozoapw oUaiupszjdod ais oj/CzJBpAw 00 'uiAł o {EiuuiodsAi aiu
SBU Z uspbZ 'Buqof 3[3foads _^ZDBqoz Biup oSaudajsBU /CpaiJf v azoBjd i 3ts BiMi^patMEJ
jfBf 'njsojd od ui3jBqon{s ui3ltsou oS azsMBz qoBSBz M 'j3AV[0Maj aiqos kzjd uisjeiui zBpoqo
'fóf uiapia ora ifBupaf uiajiuAzon aijj uiBZDBqazjd az 'i* q 'pqz fef uiXqaz 'B|Bpqo 'aftqz fef az
'ais BJI .._(, I feupaiq fefoui fBzsapod uqof aj^oads oj 5[Bf 'aiqos uiaf oAf^ oBuiB^Jf faf
uiapioMZOTf faidaj uiafBizpatM jfBupaf t yfzsAVJ3id ats oj of/CzjBpz az 'Bjtzpjpawj, 3qonjj[s
B{BM -Bpn i 'BUBiqn znf 'Bjtfq UIBJ zfefA\ BZOJI 'uiajpojM aiutzpoSjod od ^patji "UIIU BZ ais
uiajpsnd 'jj[apn jaaj ppujy 'ojpoiAiod oj 5is tui az 'azpijw t9BAvatuz t nsfezjjsAv uiafBuzop
oJsfapfBf '^CDdojqo 'ijnzopo aps^q3z 'o^Ał uiajBpqo uqof af^osds 'jaujJBd foui 3[B 'fezoa fefoui z
atqos jBAłyCzn uazjo^i 3iu oj apsiA\ .?zof •^CuBAiouazBz \Ał 'oiqoj BUI OD 'jBizpapw 3tu i
?(<UiaAVJSUIBJ3{ JS3f O5[JS/ —

„iBpMBjd 'UI3JOZ3

-aiM sizp 3iuii zsXzoBqoz XpS 'Mjsdnji? fiqoj zs3tzpaq aifj;"

•yCZDO 3MJJBUI JBIUI 'jBqoXppO

oazap pQ ?uiafetzpo.iBzo z IUIBS i[ifq MOUZ I OJSBSZ OJJBIMS wajoj /uz/fzozau app BU ais
AauspBz /fzofj iSou t BUOIUIBJJ feiu op jjBAi^Czjd 11BZjpBz 'Xqonj j^Czsaid^fzjd fatu BU
^Cofezaf BU •z^zDzaję •Bqooj[08 az 'AłAVOUi ajojif 'Bjsn 1 OJOZD aiifojazs 'ausBf fezfjn
UIOJ, t nqaiu n3[ZJBMJ BJPOJMZ BuXzoAvaizp faiuzo^ "nsf
ttnjBJ I3{S3p fótUJBJSO 5[Bf BIUaZDpBIMSO fsf O§3J 3IS JpyfAVqQ

„uraMjsuiBfjf jsaf oi[jsyfzsAv fBjnj,"

•t[S/fUI BU

Ids Bqoz u° OD

B{Biui aiusBjM oj fepsouMad z 'jfBj, ((oiqojz oSaiu B[p azozsaf ?°a Szsnj)\ ijzpiMBuatu aiuii
zsaizpaq ai^[" .uiajpaizd y 3jzp OM M sBd od raazjnuBz ifBjs XpaiJ['tisz BU 3DSJ ntu ofefBj
"BIds 'B^BizpaiAyod ^BJ, (<iBpA\BJd 'uiajzoatAi sizp atuui zs^Czo Bqoz f"a 'MjsdnjS [iqoj
zs3izpdq 3JM" "Oł ofezpiM 'BAivfazjd o 'n[3Q o oa[Syfuiod atuBjs AV JSAYBU t/!q stu 'Ałaiu aj,
Moqonj oSaf op 3is ofefnMosojsop 'japoiq o^af , Ł-f»uj3[Azjd BZpłi •ojfoupfoBuiunruf njjjund
BpaiuSfetso op 'aiu[Bjnjq feiu M ofezpoqoM 'ojBpBdo 1 ais opsoun oj[S[ap w 'tsjaid faf Apsaid
aoaj at5[iaAV 'tuiBjsn IUŁAJEMJO ?Avod jBdBj pa JBIUM^JZS3Z 'njfozs [Buzop uioj, niuatuisj

— Chcę się stąd wydostać — oświadczył Del. — Dłużej już
tu nie wytrzymam. Och, Tomie, dokąd pójdziemy?

Tom poprowadził przyjaciela na dół po schodach, przez bawialnię, poza dom aż na wybrukowany
chodnik. Owiało ich chłodne nocne powietrze.

— Uciekamy przez las — powiedział. — Tym razem na
prawdę i ostatecznie.

— Dokąd tylko każesz.

—

— Poczekaj.

Del wyłonił się z holu i stanął jak skazaniec pod szubienicą Tom podszedł do szafki w rogu i
otworzył oszklone drzwiczki Porcelanowa pasterka była rozbita na dwie części.

Najprawdopodobniej zrobił to Collins. Był to albo żart, albo ostrzeżenie albo ostatni morał z bajki
Perraulta. Połówki figurki leżały oddalone od siebie na drewnianej półce, między nimi było nieco
białego proszku. Pozostałe figurki odsunięte były do tyłu. Stały przodem do niego. Chłopiec z
książkami, sześciu pijanych muzykantów, grubas. Ich oczy, ich twarze były martwe. Wtedy Tom
zrozumiał. To oni zamordowali pasterkę. Było to przesłanie Collinsa skierowane wprost do niego.
Oderwał wzrok od figurek, wziął kawałki rozbitej pasterki i włożył do kieszeni. Po namyśle sięgnął

również po pistolet leżący na półce i schował pod koszulą.

Podążył za Delem na górę. Szli korytarzem, mijając ciemne okno.

— Patrz — powiedział Del.

Tom również zauważył, że wszystkie światła w lesie były wygaszone, nie było żadnej sceny, żadnego teatru. Chłopcy widzieli tylko własne twarze odbite w czarnej tafli szyby.

Del zniknął za drzwiami swojego pokoju. Tom wszedł do własnego. Rozsuwane drzwi były zsunięte. Usiadł na łóżku, coś zaszeleściło. Poklepał pościel i znów usłyszał słabe szeleszczenie. Wsunął rękę pod przykrycie i namacał kartkę papieru. Nie chciał jej zobaczyć. Nie, jednak chciał. Wydobył papier i z wielkim wysiłkiem woli przeczytał: Jeśli mnie kochasz, przyjdź na małą plażę.

A więc ona też chciała uciec dziś w nocy. Tom ujrzał Colemana Collinsa w postaci wielkiej, białej, drapieżnej sowy spadającej na nich z góry i miażdżącej ich swymi szponami. Złożył kartkę i wsunął pod rewolwer, tak że dotykała jego ciała. Potem dotknął połówki figurki w kieszeni.

— No, dobrze — powiedział. — Dobrze, Rózo.

Podszedł do drzwi i rozsunął je. Del leżał w ciemności na łóżku. Cały drżał.

— Co takiego? — zapytał.

— Idziemy zaraz — odpowiedział Tom. — Mamy spotkać się z Różą.

Stojące rzędem w szafce porcelanowe figurki patrzyły tępych wzrokiem na dzieło swoich rąk. Róża Forte została zamordowana przez „włóczęgów” i Collins chciał, żeby Tom o tym wiedział. ,V>---~

336

sję pomiędzy drzewami. Tom wybrał leśną drogę wiodącą tam, gdzie wznosił się teren.

. — Może będziemy mogli zabrać ją ze sobą do Arizony — powiedział Del.

— Może.

— Trzymaj mnie za rękę — poprosił Del.

Tom ujął jego wyciągniętą dłoń.

Róża czekała na małej plaży. Zobaczyli ją, zanim ona ich zauważyła — smukła dziewczyna w zielonej sukience, trzymająca w ręce pantofle na wysokich obcasach. Kiedy zbliżyli się do niej, odwróciła się gwałtownie.

— Przepraszam — wyszeptwała. Obrzuciła wzrokiem Dela, ale oczy jej badały twarz Toma. — Nie wiedziałam, czy przyjdziecie.

— Zobaczyłem to — powiedział Tom i wyjął z kieszeni potłuczoną pasterkę.

— Co to jest? Pokaż. — Z wahaniem, jakby obawiała się stanąć koło niego, podeszła parę kroków bliżej. — Podobna do mnie. Śmieszne. — Róża wpatrywała się w twarz Toma, uśmiechnęła się do niego wymuszonym, na wpół gorzkim uśmiechem. — Nie sądzisz, że to śmieszne? — Ponieważ nie odwzajemnił jej uśmiechu, znów skierowała wzrok na rozbitą figurkę pasterkę. Coś w jej zachowaniu podpowiadało Tomowi, że chce się wycofać. Wtedy zrozumiał. Bała się, że ją uderzy. — Nie uważasz, że to śmieszne — powtórzyła. — No, dobrze.

— Hej, ja też tu jestem — zwrócił na siebie uwagę Del.

Róża poczuła się natychmiast swobodniej i odezwała do niego:

— Wiem, że tu jesteś, mój drogi. Cieszę się, że przyszedłeś. — Jej oczy ponownie skierowały się na Toma. — Nie byłam pewna, czy...

— Skończ z tym, dobrze? — powiedział Del. Głos mu drżał. — On jest szalony i to wszystko. Nie zwariowany, tylko kompletnie szalony.

— Tutaj wszystko jest kłamstwem — oświadczyła Róża. — Nawet jeśli to widzieliście, wcale nie znaczy, że naprawdę miało to miejsce.

Tom skinął głową. Dziwne, ale wzdragał się przyjąć ofiarowaną przez nią pociechę. Czuł, że gdyby wyciągnął ku niej rękę, zostałby boleśnie pokąsany. Del natomiast nie tylko wyciągnął rękę, ale gorąco przyjął tłumaczenie Róży. Policzki mu płonęły.

— Tak czy owak, jesteśmy tutaj. Dokąd teraz pójdziemy?

339

Zabawa w cienie

Tom wydobyl rewolwer spod koszuli i umieścił go w ukrytej kieszeni w szerokim pasku. "ywa

— Co to? — zdziwił się Del. — Rewolwer? Po co ci rewol-
r r

— Prawdopodobnie wcale nie będzie potrzebny — powie-
srisssss *-To tyk° na
S byL °sttozn1'

— Gdybyśmy byli ostrożni, to przede wszystkim wcale byśmy tu nie przyjeżdżali. Chodźmy poszukać Róży. — Zaczął zstępować po koślawych, żelaznych stopniach. Drabina wygięła się nieco i odsunęła od ściany. Tom przełknął ślinę. Zawsze chwiała się, gdy po niej schodził.

— Coś nie w porządku?! — zawołał Del.

Tom nie odpowiadając, szybko zbiegł po stopniach Zaczął isc w ciemnościach przez plażę. Słyszał za sobą uderzenia stóp ueia, który biegł, żeby się z nim zrównać.

— Chciał cię tu zatrzymać, prawda? Na zawsze.

— Jeszcze gorzej chciał postąpić z Różą — odparł Tom —
Musimy dostać się na tę plażę po drugiej stronie jeziora. Będzie tam czekała. v

— A co potem?

— Powie nam.

— Ale, co my jej powiemy, Tom? Nie mogę nawet pojąć..."

Tom też nie mógł pojąć.

— Dasz radę przepłynąć jezioro, czy pójdziemy przez las?

— Lepiej chodźmy — zdecydował Del. — Ale, żebyśmy się me zgubili. Nie zostawiaj mnie samego, Tom.

— Nie mam zamiaru. Przecież przyjechałem tu dlatego, żeby cię chronić — odpowiedział Tom. Smugi mgły wciąż snuły

338

—
bólu

Sądzę, że miało to coś wspólnego z przemytem alko-- powiedziała Róża.

Oczywiście — przytaknął Del, wykazując nagłą znajomość rzeczy.

— Wyjście musiało być w pobliżu bocznej drogi. Wtedy nie było tu ogrodzenia. Jeśli usłyszeli, że jest obława, mogli natychmiast ukryć w tym tunelu trunki, podejrzane osoby i inne rzeczy.

— Tylko wtedy, jeśli tunel miał połączenie z Krainą Cieni — zauważył Tom.

— Del ma rację — powiedziała Róża. — Jest tu nie tylko jeden tunel. Zaraz zobaczycie. — Stary, odrapany dom wyglądał we mgle niemal upiornie. Dziura w markizie nad gankiem ziała jak otwarta paszcza potwora.

Wszyscy troje posuwali się w stronę domu. Tom wyobrażał sobie to miejsce latem, zaraz po wojnie, zanim odnalazł je Collins. Dom stał wówczas w otoczeniu innych budynków, w których mieszkali mężczyźni noszący sportowe kurtki i ubrania stosowne do żeglowania po jeziorze oraz kobiety postrojone w sukienki podobne do tej, jaką miała na sobie Róża. W przystani kołysały się przycumowane łódki, jakiś chłopak gdzieś grał na banjo, a kostki lodu dzwoniły w dzbankach z martini.

„Dobry gatunek. Przedwojenny. Sprowadzony z Kanady”.

„Nick, może przepłyniemy jezioro i zanocujemy po drugiej stronie, w domku?”

„Świetny pomysł”.

„Słuchaj, słyszałeś coś o tej sowie, którą podobno Philly widział wczoraj w nocy?”

„Tak, zobaczymy, jak będzie w domku. Czuję, że mam szczęście. Zechciej przysunąć tu dżin, proszę”.

— Marzysz na jawie?! — wykrzyknęła Róża. — Czy po prostu boisz się wejść?

Tom wszedł razem z nimi na ganek. Róża wprowadziła ich do wnętrza domu i zapaliła lampę. Stary budynek wyglądał, jakby nikt w nim nie przebywał od czasu, gdy skrzydlaty emisariusz czarodzieja kazał wszystkim spakować się. Kurz zalegał na podartych obiciach krzeseł i na poplamionym dywanie.

— Tamci mężczyźni gotują się do wyjścia pojutrze wieczorem — powiedziała Róża. — Ich rzeczy albo wyrzucono, albo złożono w domu. A może znajdują się w którymś z innych tuneli.

— Zaraz, zaczekaj — wtrącił Del. — Ile ich jest?

— Trzy. Nie martw się, potrafię odszukać właściwy. —

341

^SzzJZZiz ffir Tom »

— Tam jest tunel, podejrzliwce — odparła Róża v
który nas stąd wyprowadzi. Cały dzień strasam ?b7«^
ko przygotować. Zobaczycie.m> zefc>y wszyst-
~ Tnni "TT^f uZi3ł T°m' a Del Powtórzył ~ Z f -tak jakby naprawdę bliż d
zauważa, „ was nie ma, .

- A co z twoją babcią? - spytał Tom.

— Uwiadomię ją, jak dojedziemy na miejsce
cy wzrok spoczął na moment na jego twTrzy

tut^l ^^ ^^ ^ przyPUSZC2ałem, że coś takiego jest

— Myślę, że dawniej mieszkali tu jacyś ludzie ale oan

Collins sprawił, że opuścili swoje domy ' P

Tom skinął głową: wypłoszyła ich ogromna szara

340

- A po co potrzebny był im tunel? _ zastanawiał się Tom.

ao kosza czarodzieja uniosła koc. — Mam nadzieję, że nie spostrzeże braku koszyka. Czy ktoś jest głodny?

Napięcie sprawiło, iż chłopcy zgłodnieli. Róża ustawiła latarkę pośrodku jaskini i podała im kanapki z szynką zapakowane w pergamin. Szynka Collinsa, papier również pewnie Collinsa. Do

posiłku usadowili się każde pod inną ścianą, tak że w słabym świetle byli dla siebie ledwie widoczni.

— Którym tunelem pójdziemy, Rózo? — spytał Del.

— Tym koło Toma. — Tom odwrócił się i pochylił, żeby zajrzeć w ciemny korytarz. Uderzyła go fala zimnego powietrza. — Jeden z tych tuneli łączył się z drugim letnim domem.

Z zimnej ciemności tunelu Tom usłyszał dźwięki banjo: czinga-czink-czink oraz słodki głos: Księżyc płynie po niebie, dum da dum-dum, słodka Zuziu kocham ciebie.

— Uważam, że powinniśmy przespać się — powiedział Tom. — Rzuć mi, Rózo, jeden koc, dobrze? — Twarz jej oblał rumieniec, kiedy pochyliła się do przodu, rzucając mu kraciasty piec.

— Doskonały pomysł — przyznała. Przez jakiś czas wszyscy układali koce na twardej podłodze.

— Nie sądzę, żebyście mogli coś usłyszeć — powiedział Tom.

— Co mielibyśmy słyszeć? — zapytał Del.

— Tak tylko mówię...

Róza stanęła na środku jaskini. Spojrzała na chłopców niepewnym wzrokiem, jakby pytała: Przebaczyście mi? Wtedy snop światła przesunął się po ścianach i nagle oślepił Toma, świecąc mu prosto w oczy. Z tyłu za nim, na ścianie, wyrósł jego gigantyczny cień. Światło posunęło się dalej i Tom ujrzał sylwetkę Róży, niby zjawę z lat dwudziestych, kobietę w zielonej sukni śpieszącą gdzieś.

..Kim była ta dama, z którą widziałam cię, Nicholas?"

•.Po prostu dama, która potrafi być w dwóch różnych "tejskach równocześnie".

Snop światła odnalazł rozłożony już koc Róży. Pantofelki delikatnie upuściła na ziemię.

' Dobranoc, moi kochani.

~~ Dobranoc — odpowiedzieli.

343

Uśmiechnęła się do Toma. — Zaniośłam tam już kanapki termos i parę pledów. Będzie nam wygodnie w nocy.

— No więc, gdzie jest ten tunel? — niecierpliwiał się Del. Jeśli pokażą się szczury, to Tom będzie je mógł powystrzelać

— Nie widziałam tam żadnych szczurów — oświadczyła Róza i obrzuciła Toma pytającym spojrzeniem.

— Tak, wziąłem jego rewolwer — przyznał się Tom. — Jia pewnie ze sto lat, a zresztą i tak nie umiem się z nim obchodzić.

— Tunel jest tutaj. — Róza odsunęła zakurzony, pleciony z łożyny stolik i odrzuciła dywanik. W podłodze znajdowała się kłapa. Dziewczyna pochyliła się, chwyciła za metalowe kółko i podniosła ją. — Było tu zejście do piwniczki. — Szerokie, cementowe schody wiodły w ciemność. — Tunele wykopali później.

— Ojej — zdumiał się Del. — Jakie to proste.

— Czekasz na coś? — spytała Róza. Del spojrział na nich, pisnął jakieś „och” i zaczął pomału schodzić po stopniach. — Na ostatnim schodku jest latarka.

— Znalazłem. Chodźcie.

Tunel był na tyle wysoki, że można było wyprostować się. Podłogę i ściany zrobiono z ubitej

ziemi, sufit podparto belkami. Kiedy Róża zaświeciła latarkę, zobaczyli, że tunel ciągnie się daleko i trochę obniża, a w oddali wydawało się, że zakręca.

— No i proszę, powiedziałeś, że będziemy iść wyboistą drogą — odezwał się Del. — Ale tu zimno! Popatrzcie, jaki ten tunel wielki! Myślałem, że będziemy musieli czołgać się albo iść na kolanach.

— O czym ty mówisz — zachnęła się Róża. — Czy mogłabym narazić was na coś takiego? — Szła oświetlając im dróg? latarką.

Powietrze stało się jeszcze chłodniejsze i bardziej suche, wokół panowała ciemność. W miejscu gdzie tunel rozgałęzi* się na trzy odnogi, światło latarki zatrzymało się na niewielkiej kupce rzeczy. W tym miejscu była kolista jaskinia, trochę wyższa niż tunele. Zaokrąglony sufit podtrzymywała konstrukcja kratowa.

— Tu jest nasza sypialnia — oznajmiła Róża. — Są koce, jedzenie i wszystko, czego potrzeba. — Przykłękała i z plecione-
342

któryś z tuneli, znalazłby kościotrupa. Nick z lat dwu-tch, z zapasem przedwojennego dżinu, mający coś z żoną

i, gdy tymczasem jego własna żona chorowała i umarła. : przyjechał tu spędzić mile lato, grając w karty i flirtując. ; z lat dwudziestych, który został, aż było za późno i teraz już nie wyjedzie... Nucił Słodką Zuzię w tunelu, który ^ozliwiał jemu i jego lubej być równocześnie w dwóch miejscach.

Collins pozabijał tych, którzy nie przelekli się na tyle, aby ^jechać. Potem przejął tę starą miejscowość i coraz bardziej doskonalił swoje umiejętności, bawiąc się każdego lata z Delem Nightingalem, kiedy jeszcze myślał, że Del zostanie jego sukcesorem. Później oczekiwał innego następcy, nie zapraszał żadnych gości, wiedział bowiem, że w odpowiednim czasie i tak pojawi się jedyna na świecie osoba, zagrażając jego pozycji.

Kiedy wszystkie zdobyte szantażem pieniądze skończyły się, zabił rodziców Dela i upomniał się o część spadku. Potem już tylko nastawiał uszu i czekał na właściwy moment, wiedząc, że nadejdzie on prędzej czy później, gdy usłyszy o jakimś młodym człowieku, który sam jeszcze nie wie, kim jest.

„Dolej no mi jeszcze trochę tego pysznego trunku”.

Wiele dolewania było przez te lata.

„Twoje zdrowie, Nick”.

„I twoje, słodka Zuziu”.

Tom słyszał te głosy, jakby rozmowy toczyły się w najbliższym tunelu. Przewrócił się na bok. A może to sen? Poczuł falę chłodu. Na tej fali, z otworu tunelu wypłynął diabeł M. Lśnił blade, jakby oświecał go promień księżyca. Nie miał już na sobie garnitur, ale sportową marynarkę i wysoki sztywny kołnierzyk. Znad kołnierzyka patrzyła sympatyczna, inteligentna twarz. Ukłękł koło Toma.

— A więc mimo wszystko poszedłeś wyboistą drogą i oto tu jesteś.

— Zostaw mnie w spokoju — odburknął Tom.

— No, no. Chcę dać ci jeszcze jedną szansę. Nie chcesz chyba skończyć tak, jak ten nasz przyjaciel, tam, co? Zasolony niczym śledź. To nie dla ciebie.

—? Nie — zgodził się Tom. — Nie dla mnie.

— Ale, drogie dziecko, czy nie widzisz, że to beznadziejne?

UaJę ci ostatnią szansę. Wstań i wyjdź. Zostaw ich. Oni na nic ci

Sa. Potrzebni. Daj mi rękę. Zaprowadzę cię na powrót do

—*o jego pokoju. — Wyciągnął rękę, była czarna i dymiąca. —

ch, trochę zaboli, ale przecież zniesiesz to. Za to ocalisz życie.

Latarka zgasła i pograżyli się w nieprzeniknionej ciemności

— Jakbym unosił się w powietrzu — mówił Del. — Jakbym był ślepy.

— Tak — szepnęła Róża.

Serce Toma wybiegło obojgu naprzeciw. Wyciągnął się na swoim kocu i okrył, bo było mu zimno. „Jakbym był ślepy” Kiedy słyszał głosy rozmów rozlegające po tunelach, wiedział że to, co postanowili uczynić, nie będzie tak łatwe, jak to sobie wyobrażał Del. Nic nigdy nie było łatwe i strach nie dał mu zamknąć oczu, chociaż i on był ślepy.

Plusk wody, podnoszące się i zanurzające wiosło, błysk zza jeziora wpadający ci w oczy.

„W dwóch miejscach równocześnie, to bardzo wygodne Nick”.

„Lato jest po to, żeby się bawić, drogi chłopcze”.

„Żona znów chora?”

„Mówi, że coś jest w wodzie. Bzdura. Bardziej prawdopodobne, że coś jest w dzinie”.

„Albo w powietrzu. Philly znów wczoraj wieczorem widział tę sowę”.

„Nie ma żadnej sowy, drogi chłopcze. Zaufaj mi”.

Nie ufaj mu, powiedział Tom sam do siebie. Jest, jest sowa.

„Philly jest przez nas tolerowany jedynie ze względu na swą uroczą żonę...”

Potem dobiegły Toma głosy z końca lata; słyszał w nich zbliżające się chłody, obietnicę zeschniętych liści i szarej zamarzającej wody.

„Joan nie można stąd ruszyć. Nie mam pojęcia, co robić... lekarze też nie wiedzą. Chyba zwariuję”.

„A ja widziałem tę sowę nad twoim domkiem, Nick...”

„Nie mogę jej stąd zabrać i nie mogę zostać...”

„Żona Philly'ego zmarła... coś w powietrzu czy w wodzie?”

„Słyszałem, że sprzedali całą posiadłość. Chyba kupił to jakiś diabeł”.

„Przysuń dzin, Nick. Wciąż mam te koszmarne sny”.

Róża i Del spali. Tom leżał sztywno, owinięty kocem, nasłuchiwał ich miarowych oddechów, a z tunelów głosy płynęły melodyjnie, zmieniając natężenie i barwę. W końcu pozostał tylko jeden głos.

„Do widzenia, do widzenia... I już sam. Tylko ja, tchórzliwy policjant z numerem dwadzieścia trzy. Doleję sobie jeszcze trochę dzinu... sam... zupełnie sam... Księżyc płynie po niebie, da-da-dum-dum...”

Tom wiedział, że gdyby zagłębił się dostatecznie daleko

344

Czy mi się zdawało, że mówiłaś, iż to ten koło mnie? —

Tom.

To jest właśnie ten, który oznaczyłam. __ Dokąd prowadzi? — chciał wiedzieć Del. __ Daleko — odrzekła Róża. — Będziemy musieli iść jakieś ^j godziny. __ Pewna jesteś, że to ten? — niepokoił się Tom.

— Zrobiłam znaki. Jestem pewna.

....sprzeda cię”. To tylko taki przykry sen. Ale czy to nie z tego właśnie tunelu słyszał głosy z tamtego strasznego lata?

— Oświeć swoją buzię — poprosił Tom. — Wprawisz mnie w lepszy humor.

Róża zwróciła latarkę w stronę swej twarzy. Przymrużyła oczy porażone blaskiem, ale ręka jej nie zadrżała. „To stworzenie, w którym myślisz, że jesteś zakochany”. Ona była tą dziewczyną w oknie, ona była tą dziewczynką w czerwonym płaszczyku z koszykiem idącą leśną dróżką. Objął palcami połówkę figurki w swej kieszeni.

Żegnaj, Nick.

„Wróć jeszcze kiedyś, słodka Zuziu”.

W jeziorze? Przybity do drzewa i wydany na pastwę ptaków?

— No, to ruszajmy — zdecydował Tom.

Światełko podskakiwało przed nimi, przenosząc się z belki na belkę. Odgłos ich kroków tłumila miękka ziemia. Toma trapił jakiś obraz, którego nie mógł rozpoznać, jakieś wspomnienie, ale nie mogło to być wspomnienie, bo przecież nigdy tu nie był. A jednak wrażenie podobnego przeżycia plątało mu się po głowie. Coś, co prowadziło do... do czego? Posmak czegoś •uemiłego, uczucie, że coś jest źle, że wszystko nie jest tak, jak Ogląda.

— Co ci się wydawało, że tam słyszysz? — spytał spokojnie Del.

— Chyba byłem po prostu zdenerwowany.

Ja też — przyznał Del.

Szli dalej, szukając po omacku drogi. Powietrze w tunelu ?^Wało się bardziej wilgotne i chłodniejsze.

Czy naprawdę przyjechałeś tu tego lata, żeby mnie... °> wiesz. Żeby mnie chronić? — Del wreszcie zapytał o to, ^korzystując ciemności, które kryły mu twarz.

347

Tom wzdrygnął się i odsunął ze wstrętem od ohydnej }a

— Zastanów się. Zapewniani cię, iż to stworzenie, w któiw, sądzisz, że jesteś zakochany, sprzeda cię. Podaj mi rękę. Wi^f że nie jest najpiękniejsza, ale musisz ją chwycić. — Białe snin ' dymu wiły się nad wyciągniętą dłonią. — Pan Collins przecj!f wytłumaczył ci, że ona nie jest na twoją modłę, chłopcze.

Tom pojął, iż jest to nieuniknione — zdrada, którą popełnić Róża Forte.

— Jeśli nawet... — powiedział.

M. cofnął rękę, która stała się gładka i różowa.

— Ciekaw jestem, gdzie ty skończysz? Tu na dole? W jeziorze? Przybity do drzewa na pożarcie ptakom? Wrócę i przypomnę ci, że starałem się pomóc.

— Proszę bardzo.

„A nie mówiłem ci”, musi być najulubieńszym powiedzeniem diabła, pomyślał Tom.

M. uśmiechnął się szyderczo i zniknął.

— Która godzina? — spytał po raz kolejny Del.

Latarka zapaliła się, oświetlając przegub i gołe ramię Róży.

— Dwadzieścia minut później niż wtedy, gdy pytałeś ostatni raz. Szósta pięćdziesiąt jeden. Wszyscy już się obudzili?

— Aha — powiedział Tom, otrząsając się z głębokiego snu.

Róża bawiła się latarką, kierując światło na sklepienie jaskini, na twarz Toma, później Dela, wreszcie na siebie. Siedziała pod ścianą i w przeciwieństwie do Toma i Dela nie wyglądała nieporządnie. Miała uczesane włosy, a nawet, co Tom zauważył ze zdumieniem, umalowane usta.

— W termosie jest jeszcze kawa i mam ugotowane na twardo jajka. Możemy zjeść śniadanie, zanim ruszymy dalej.

— Muszę zrobić siusiu — oznajmił z zakłopotaniem Del.

— Ja też — powiedział Tom.

W ciemnościach choć oko wykol weszli do pierwszego tunelu i opryskali ściany, po czym wrócili wiedzeni światełkiem, aby zjeść jajka na twardo.

— No więc, którym tunelem pójdziemy? — spytał Del.

— Tym. — Róża skierowała światło latarki w otwór w ścianie. Podeszła do wejścia do tunelu i oświetliła białą, narys°"waną kredą linię. — Zrobiłam ten znak, kiedy przyniosłam W rzeczy. To jest ten tunel.

— Chyba tak.

348

miałe* n i
 me, zobaczyłem czarownika i zW
 człowiek zapanował n^T gO
 to „
 do
 Del zachichotał.
 mularzy w bibliotece,
 p JK>„WyPetai<""

6

6

Znacznie później Tom wyczuł *
 nachylenia tunelu. Zmęczone mi^Zmienił się kierunek
 wały ciężar ciała przy ????? w^ ktÓre P^wstr^ny-
 a wysiłek podjęły inne mięśnie ' przestały pracować,
 zewnątrz.

wyjdziemy na Tom- Ustawiczna
 A nr, "kładanka z kawałków
 zamrugały do Toma. '*• Przesunęła się w powietrzu, oczy
 -Stało się coś? -zapytał Del — Jestem zmęczony.
 zauważył Del.r "

. Pamiętasz, kiedy powiedziałeś, że coś słyszysz? — Oczywiście.

— No, to teraz chyba ja słyszę. Prześniemy mówić, posłuchajmy.

Znów fale strachu przed czymś, czego nie da się uniknąć. Latarka zgasła, lecz przez moment Tom widział jeszcze jej światło.

— Ja nie... — zaczął Del. Przerwał.

Obaj usłyszeli gwar i pośpieszny tupot.

— O Boże — jęknął Del. — Gonia nas.

— Prędejj, prędejj, prędejj! — przynaglała Róża. Zapaliło się oślepiająco jasne światło, penetrując tunel za nimi. — Proszę, prędejj...

Róża, trzymając latarkę, zaczęła biec. Tom słyszał z tyłu pościg. Mogło to być dwóch ludzi, czterech albo pięciu, wydawało się, że są dość daleko. Zaczął biec za Delem i Różą. Przerażony Del płakał. Światło latarki jak szalone skakało przed nimi.

— Wiedzieli, gdzie szukać! — krzyknął Tom.

— Nie gadaj, biegny! — rozkazała Róża.

Biegł. Uderzał boleśnie ramionami o drewniane stemple. Raz byłby już upadł. Ból przeszył mu ramię, otarł rękę o kamień wystający ze ściany, ale zebrał się w sobie i podążył dalej. Nagle wpadł na Dela krzyczącego ze strachu.

— Wstawaj i uciekaj! — zawołał Tom. — Masz... trzymaj mnie za rękę.

Del chwycił go i wstał. Róża była już daleko z przodu. Niecierpliwie machała latarką, świecąc im prosto w oczy. Del Pognał jak spłoszony zając.

— Mam cię! — zawył jakiś głos w głębi tunelu.

Psy i borsuki. Oślizła, zakrwawiona jama. Czy już wtedy Collins wiedział, że tak skończą?

— Mam cię!

— Schody! — zapiszczał Del. — Znalazłem schody!

Tom poczuł niewypowiedzianą ulgę. Mogli jeszcze uciec, Jeszcze była szansa. Biegł sapiąc ciężko. Ponad wszystkimi °dłgłosami słyszał, jak Del wdrapuje się na schody.

— Tom. — Róża dotknęła jego ramienia i zatrzymała go.

— Jeszcze może się udać — dyszał Tom. — Jeszcze są dość o. Może nam się udać.

— Kocham cię — powiedziała. — Pamiętaj o tym. Jej amiona otoczyły go, a usta poszukały jego ust. Nagłe światło 2ałało tunel.

349

— Rózo — błagał i posunął się w kierunku światła, prawie ją

Tom wszedł do zatłoczonego pokoju. Róża stała koło Cole- Collinsa, a czarodziej przyglądał mu się z szatańskim gładząc delikatnie górne wargę wskazującym . Czterej „włóczędzy” stali z boku z psami na smyczach. Wielkie nieba, co za mina — powiedział Collins. — Nie życzę sobie nic takiego, w każdym razie nie podczas naszego podniecającego finału, nie w czasie pożegnalnego występu. Uy, no jeszcze, ale absolutnie nie skwaszone miny.

Tuż za Collinsem pan Peet trzymał Dela za ramię, ściskając tak mocno, że bolało, gdyż twarz Dela była wykrzywiona, szara izupełnie zmieniona. Pan Peet ubrany w staromodny garnitur, ten, który miał w pociągu, uśmiechał się złośliwie i potrzasał Delem niby szmacianą kukłą.

— Czemu tak musi być, Rózo? — spytał Tom.

Spojrzała na niego jakby z oddali. Collins uśmiechnął się, przestał pieścić swą wargę i ujął rękę dziewczyny. „Czemu tak musi być?” Del przerażony zaczął płakać.

— Odpowiem ci, jeśli pozwolisz — odezwał się Collins wciąż uśmiechnięty. — Musi tak być, ponieważ nie nadajesz się, żeby zostać moim następcą i dziedzicem. Właśnie przed chwilą tego dowiodłeś. Obawiam się, że świat będzie musiał poczekać, aż pojawi się inne utalentowane dziecko. Dla ciebie, Tomie, nie ma już żadnej nadziei. Zostaniesz przesunięty na swe stare miejsce. Odtąd uczestniczysz jako widz. No dobrze, a oto i inni.

Najpierw Korzeń, potem Cierń wyłonili się z podziemia. Cierń ciężko oddychał, zmęczył go bieg.

— A mogłem być twoim zbawieniem — mówił w zadumie Collins. — O, jak się starałem! Ale najlepszy nawet garncarz nie zrobi nic z podłej gliny. — Wzruszył ramionami, a oczy wciąż mu tańczyły. — Sprawdźmy nasz rozkład. — Podniósł do góry r?ce i rękę Róży i spojrzał na zegarek. — Mamy jeszcze parę godzin do finału. — Pochylił się i musnął wargami dłoń Róży, Potem delikatnie puścił ją i zwrócił się do mężczyzn, którzy stali P°d ścianą. — Cierń, Groch i Ślimak. Zaprowadźcie tego chłopca do Wielkiego Teatru. Rózo, kochanie, zechciej poczekać w mojej sypialni. Wy, reszta, wyprowadźcie mego katanka i pobawcie się z nim parę godzin. Jeśli będzie skamlać, darcie go. On już jest do niczego.

Jest jego przyjaciółką, pomyślał Tom. Jego kochanką. Zdra-* Po zdradzie spadała na niego jak kamień. Dwa osiłki chwyciły go brutalnie pod ręce. Spojrzał w oczy Róży.

351

niosąc. Twarz miał dziką. Obrócił ją, żeby móc zoba stopnie.

Coś źle. Coś nie tak... W głowie mu huczało. Wielkie k

ruletki, tak zakurzone, że kolor czerwony i czarny był j^oi^o nakowo szary, chybotąło się z boku schodów. Nagle nogi Del oderwały się gwałtownie od stopni, ktoś chwycił go i pociągi,) przez otwór do góry. Del przeraźliwie krzychał. ^

— Co...? — Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. _
Rózo...? — Wysunęła się z jego ramion i szła w kierunku betonowych schodów.

— Lepiej chodź — powiedziała. — Tak musi być.

Był jak spraralizowany. Patrzył, jak wchodzi na pierwszy stopień, odwraca się i spogląda na niego. Wyprostowana w zielonej sukni i w pantoflach na wysokich obcasach. Odchodzi. Wykonała swoje zadanie.

„Nie czuj do mnie nienawiści”.

— Przyprowadziłaś nas z powrotem — powiedział. Wargi i palce zdrętwiały mu. — Kim ty jesteś?

— Tak musi być, Tomie — odparła. — Teraz nie mogę nic więcej powiedzieć.

Krzyk Dela zmienił się niemal w zwierzęce wycie. Tom odwrócił głowę i spojrzał w głąb tunelu. Korzeń i Cierń, nie biegnąc, zbliżali się ku schodom. Zatrzymali się na skraju plamy światła, które wpadało przez otwartą klapę, czekając, co Tom zrobi. Tom spojrzał na Różę, która również czekała. Twarz jej była pozbawiona wszelkiego wyrazu. Cierń i Korzeń stali murem, mieli skrzyżowane ramiona i rozstawione nogi. Róża weszła na następny stopień, Tom podszedł ku niej.

Coleman Collins wesoło podśpiewywał:

— Wychodźcie, wychodźcie, gdziekolwiek jesteście.

Toma, zanim zbliżył się do schodów, nawiedziła przerażająca myśl. Wyciągnął koszulę ze spodni, żeby ukryć rewolwer. Kiedy już wszedł na schody i rozejrzał się, gdzie jest wylot tunelu, rozpoznał pokój, do którego nie wolno było wchodzić. Teraz wiedział, w jaki sposób „bracia Grimm” pojawiali się i znikali.

— A więc ptaszki raz jeszcze wróciły do gniazda — powie
dział Collins. *,;

350

„Nie czuj do mnie nienawiści”

wzroku Toma. Nie ez, i* dę' me moSąc oderw -
zrobić". " le CZU3 do ^e nienawiści za to^ Si?

- Powiedziałem, żebyś już poszła ' ^

Roza odwróciła się i odeSzła ni, ,
trzymały Toma. weszła. Obłąkane oczy Collin

— Rozumiesz? — zwrócił <=,»,* • ** 2a
przekonać się, czy naorlwH umegO C2arodziej _ M
swojezdolności aletltlZ * °hcesz uci<*- Niezasł,, Usia
ć ich pi

w ubrania. Pokryta bliznami twarz Ciernia ociekała Co oni zrobią z Delem?

— Och, nie będzie to tak interesujące jak to, co się tobie rzytrafi — oświadczył czarodziej. — Ty zostaniesz ukrzyżowany— Czy tak samo postąpiłeś ze Speckle Johnem?

Ależ nie. On otrzymał długoterminową karę, czy nie ilem ci? Zrobiłem z niego sługę. Ostatecznie został synem y. Może to jednak przerasta twoją znajomość Biblii? Wiem, co to znaczy.

Czarodziej roześmiał się i rzucił okien na spoconych mężczyzn. — Zabierzcie go.

Ślimak położył łapy wielkości piłek futbolowych na ramionach Toma. Tymi rękoma mógłby mu zmiażdżyć kości i Tom wyczuł tę intencję w jego brutalnym zachowaniu. Był całkowicie pozbawiony ludzkich uczuć. Skrzywdzą go i sprawi im to przyjemność, tym większą, że ich poprzednio upokorzył. Ślimak uniósł go z ziemi, chwytając tak mocno, iż od razu pojawiły się sińce

i wyniósł z pokoju. Dwaj pozostali kompani wybuchnęli chrapliwym, rubasznym śmiechem. Nie powiedziała im o rewolwerze, zdał sobie sprawę Tom. Wiedziała o tym, ale nic im nie powiedziała. Ta myśl na tyle dodała mu siły, że nie zemdłał.

352

oblędna radość. napięte> Pal« go gniew i roz-
Zostań tu, panie PM* „• u
wrzeszczącego chłopaka. Wszystkimi Jf ^^^zą tego Korzeń, Ziarno i Kamień posune^f ' C° 2
nim zr°Wcie.
* —wadzić z p ^ °ela do ^i
& ^fi a nimt - gS^ ^ia'
Prz?J TMedZy °bu teatra«i- Potrzebn eet> Pr°S2ę usunąć
Przestrzeń. potrzebna nam będzie duża
Pan Peet skinął głową i oddalił
^K^Stó . Cieni,
balony, wtto-

8

Paluchy Ślimaka niczym stalowe pręty wpijały się w ciało Toma. Niosąc go korytarzem, niby szmacianą lalkę do zabawy, wyciągnął głowę i szepnął Tomowi do ucha:
— Och, mój tatuś bił mnie... mój tatuś prawie zdierał mi skórę z tyłka... och, jak mnie lał mój tatuś! — wydał z siebie ordynarny odgłos, który, jak Tom przypuszczał, miał być phichotem. Potem znów przyłożył wargi do ucha Toma: — Ale J? wcale nie miałem takiej białej, delikatnej skóry jak ty. — %knął śmiechem.

Tom kopał nogami, lecz zdołał zaledwie trafić Ślimaka w łydkę, na co ten potrzęsnał chłopcem tak mocno, że nieomal °y% skręcił mu kark.

— Zaraz będziesz wierzgał — oznajmił Ślimak, sadzając go Przed wejściem do małego teatru. Wciąż przytwierdzona była m°sieżna tabliczka z napisem:

" Kraina Cieni

353

— Trzymaj go, powiadam.

Collins pochylił się, żeby wziąć gwoździe z dywanu. Kiedy je dotknął, zamigotały, a gdy znalazły się w jego rękach, śwrieciły jak srebro, jakby paliły się wewnątrz.

Groch w obie wielkie dłonie chwycił nogi Toma. Ślimak przytrzymał go za nadgarstki i chłopiec nie był w stanie poruszyć się. Napiął całe ciało, ale Cierń ścisnął mu klatkę piersiową, aż zabrakło mu tchu. Pan Peet odszedł i usiadł na bocznym krześle, odwrócił się tak, żeby móc patrzeć. Kwaśny oddech Ciernia owiewał twarz Toma.

— Obserwujcie gwoździe — powiedział Collins.

W prawej ręce czarodziej trzymał drewniany młotek. Długie gwoździe zmieniły się w rozpalone, złotoczarne pręty.

— Dobra sztuczka — zachwycił się Cierń.

— Śmierdzisz — powiedział Tom, a Cierń znów uderzył go w głowę. Chłopcem wstrząsnął ostry ból.

— Ten chłopak jest czarodziejem. Potrzeba nam coś ekstra, żeby go unieruchomić. — Collins trzymał gwoździe przed oczyma Toma. — Rozumiesz? Tego nigdy nie wyciągniesz

z deski. Myślę, że z ochotą poczekasz na przedstawienie. —
Zwrócił się do Grocha i Ślimaka: — Podciągnijcie go do góry.
Trzech drabów poniosło Toma do ramy, Cierń szedł tyłem.

— Trzymajcie dobrze — powiedział Cierń i uwolnił swe
ręce, żeby móc uchwycić Toma w pasie. — Przysuńcie się, ja go
przywiążę. — Podniósł Toma i z całych sił wbił pięść w jego
brzuch, następnie zajął się poprzęciem. Tom wyrwał się, ale
Cierń jeszcze mocniej przygniótł mu żołądek do krzyża. Wkrót-
ce pas zacisnął się wokół jego brzucha. Mężczyźni odskoczyli.
Tom został unieruchomiony około cztery stopy nad ziemią.
Klamra raniła mu ciało, stary pistolet wrzynał się w plecy.

Collins znów podniósł gwoździe. Rzuciły wiązki tęczyowych promieni jak pryzmaty.

— W porządku. Cierń, uklęknij i przytrzymaj mu nogi przy
ścianie.

Cierń pochylił się i wbił pięty Toma w zielony tynk.

— Ślimak, ty trzymaj mu prawe ramię. Groch, ty lewe.

Rozprostujcie mu dłonie.

Chwycili go za ręce i wykręcili tak, że w łokciach ugięły się "nieomal w drugą stronę."
— Nie! Nie możesz! — wrzeszczał Tom.

— To twoja opinia — odparł Collins i zbliżył się, trzymając
błyszczący gwóźdź pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym
i unosząc młotek w prawej ręce.

—• Neeee!!! — ryczał Tom.

355

Imperium Zielonego Lasu 27 sierpnia, 1924

Collins otworzył drzwi, a Ślimak wepchnął Toma ścianą

Jedna ściana zniknęła. Oba teatry zostały?!

Peet znajdował się za krzesłami ustaSonym^a^oW * ^ i przyglądał się swej podobiznie na ścianie
P^odwyzs*eniu — Hej, to nawet niezłe! — zawołał do Collinsa —

S ^j3k ł

S zsi?

— Jesteś idiotą? — warknął Collins Wmni •

Mina mu zrzedła, był *r, ale po^ókl s^^SZ^

— Weźcie go do tyłu - powiedział Collins -ŻebTń^

widział, kiedy zaczniemy. I wygaście światła robrze

— Słuchaj, ty chyba nie...? _ zaczął TQ ,

uderzył go w twarz. - On naprawdę zdrowo^ie tfuk?

warknął wykrzywiając się. - Wybił mi prawiewSl ^

Podobnie jak Ziarno i on miał braki w uTębSu Po T*' Toma przez mniejszą scenę w kierunku
pJstySS?^* lampy wygasły, tylko słabe bursztynowe światła

Się>

— Co się ze mną stanie? — zapytał Tom

— Ja tu tylko pracuję - odrzekł Ślimak. —

co Korzeń robi teraz z twoim kolegą? _ T

a Ślimak dodał: - Tylko nie próbuj tych

Zrobisz coś takiego, a powyrywam d nog7

•*

Mówiąc o „tych wariactwach”, Ślimak miał cję. Ta sfera była w nim jednak martwa żeby
odnaleźć klucz do działania. Dosz krzesel Ukrzyżowany?" fnmn^^^^ kiedyś, dawno: wielki sęp
z żółtym dziobem rozdzierk/mu rTce

Jakaś drewniana rama w kształcie wielkiej litery x była przyśrubowana do ściany. Była wyraźnie proWLycSa zmontowana pośpiesznie. Z centrum tego X ziS k7

~ nh Prtżf*ez. te«° nie może zrobić - zaprotestował Tom.

- Oby tylko me mnie, to może, może - stwierdził Ślimak.

- Przestań gadać i podnieś go - rozkazał Collins - Złao go mocno, bo będzie się opierał. «~oinns. Złap

Tom odskoczył w bok i próbował uciec na dół schodami ale

Cierń otoczył go ramieniem i szarpnął do tyłu Tom 1

354

^81' 16CZ ".*. °ierń Wii ^

Groch przytrzymał mu palce do tyłu, eksponując dłoń

— Ból nie będzie taki straszny, jak ci się wydaje — uspokajał z uśmiechem Collins, po czym przytknął czubek gwoździa do lewej dłoni Toma.

Tom zacisnął oczy i postanowił nie poddawać się. Mężczyźni trzymali go rozpostartego jak orła, klamra wrzynała mu się w skórę. Collins zamierzył się młotkiem w główkę gwoździa Rozległo się chrząknięcie, potem zaraz uderzenie. Tom poczuł niewiarygodny ból, jakby nie tylko gwóźdź, ale cały młotek rozdzierał mu dłoń. Krzyczał i słyszał własny krzyk, jak gdyby miał halucynacje. Widział ten krzyk niby łopocącą chorągiew.

— Jeszcze się nam nie wypłaciłeś — usłyszał głos Grocha.

— Ślimak, odegny mu palce.

Palce u prawej ręki Toma wyprostowały się. Moje ręce, pomyślał. Czy będę kiedykolwiek... Ukłucie gwoździa, uderzenie i rozerwana prawa ręka.

Moje ręce! Zdawało się, że są wielkości całego ciała i płoną. Widział, jak jego krzyk falował przed nim.

— Nawet nie za wiele krwi—zauważył Collins z satysfakcją.

Tom wydostał się ze swojego ciała i unosił się wśród rozjarzonych krzyków.

Po pewnym czasie ból w jego ogromnych dłoniach przywiódł go z powrotem do umęczonego ciała. Pot ściekał mu po nosie, drażniąc niby dziesiątki mrówek. Gardło miał wyschnięte niczym pergamin, mięśnie napięte do ostateczności, skronie pulsowały. Co parę chwil głośny wybuch na zewnątrz wstrząsał ramą, do której był przybity i wtedy w jakimś szale radości myślał, że to spadają bomby, że Kraina Cieni jest pod ostrzałem. Później jednak zdał sobie sprawę, że te eksplozje to jedynie sztuczne ognie. Jeden po drugim, pojedyncze wybuchy, P°~ dwójne i potrójne, jak rozkazy bez słów, uparte, natarczywe.

— Ba-bang ! Ba-bang! Buch!

Bał się spojrzeć na swoje ręce. Trzech „włóczęgów" rozpierało się na krzesłach w ostatnim rzędzie. Spoglądali na niego bez specjalnego zainteresowania jak na mierne widowisko. Jeden gwóźdź przesunął kostkę od jej właściwej pozycji, co sprawiało, że ból stawał się coraz bardziej dojmujący. Starał się rozpostartymi dłońmi mocniej przywrzeć do drewna i ózas cierpienie wydawało się nieco mniejsze.

«?#? 356

Groch i Ślimak spojrzeli zaciekawieni.

— Ładnie śpiewa — powiedział Groch, a Ślimak zachichotał. — Chłopak miał rację — ciągnął Groch. — Śmierdzisz.

— Pocałuj mnie w dupę — zareagował Cierń.

Tom zaryzykował i zerknął na swą lewą rękę. Trochę skrzepłej krwi oblepiało pasek od zegarka.

„Jesteś czarodziejem, prawda?”

Nigdy nie chciałem być.

„Ale jesteś?”

Tak. u „No, to wykorzystaj swe siły, żeby wyciągnąć te gwoździe”.

Nie mogę.

„Tak samo myślałeś, gdy kazałem ci podnieść tamtą kłodę. Spróbuj”.

Spróbował. Z niedowierzaniem obserwował gwoździe wychodzące z deski, łagodnie wysuwające się z jego rąk, wyslizgujące się powoli, z łatwością...

i widział, jak te gwoździe połyskują, jak zmieniają barwy, są złote i niebieskie, i zielone... i wydobył z siebie piskliwy, wysoki dźwięk i ujrzał, iż on też niczym cienka szmatka poszybował pod sufit.

— Dzieciak zawodzi jak alkoholiczka — powiedział Groch.

„Widzisz, jakich dziwnych rzeczy dowiadujesz się? Gdybyś nie spróbował, nie wiedziałbyś, że Groch jest mędrce trollów”.

— Nie zostaliśmy za to dostatecznie wynagrodzeni — oświadczył Groch. — Borsuki to jedna sprawa, a to, to coś zupełnie innego.

— Powiedz mi, dlaczego — warknął Cierni.

— Odwracaj głowę w drugą stronę, kiedy do mnie mówisz.

Tom wychylił się, na ile pozwolił popręg.

Zobaczył, że M. siedzi w pobliżu z podciągniętymi kolanami i plecami opartymi o siedzenie Ciernia. Był znowu w garniturze. „Czyż nie przewidziałem tego? Oddaj mi przynajmniej trochę sprawiedliwości”.

Tom zamknął oczy.

— Z tego, oczywiście, wyzwolić cię nie mogę, mogę jednak Ratować cię od tego, co cię jeszcze czeka — oświadczył M. — Otwórz oczy. Przyznasz w każdym razie, że dostałeś za swoje.

~~ Zostaw mnie w spokoju.

— Mówi! — huknął Groch.

— Wciąż jeszcze mogę wyświadczyć ci przysługę — konynuował spokojnie M. — Weźmy te gwoździe. Mógłbym ci je Półwyjmować. Chciałbyś?

357

urodził, i bym rozpoznał ciebie, gdy cię tylko ujrzałem i bym cię teraz usłyszał.

— Czy ja umrę? — spytał Tom i popłynęło mu parę piekących łez.

— Tak, jeżeli nie zejdziesz z tego — zaczął mówić cięń Buda. — Ale ty jesteś silny, chłopcze. Nie wiesz jeszcze, jak jesteś silny. To dlatego zrobili wokół ciebie tyle zamieszania. Jesteś silny jak słoń... tak silny, że zdołałeś mnie tu sprowadzić.

O jakże pragnąłbym uczynić więcej, niż tylko mówić. — Bud przesunął się i stał się mniej przezroczysty. — „Włóczęgom” zrobił to samo, co tobie... w piwnicach Imperium Zielonego Lasu. Panu Peetowi i im wszystkim... tym głupim ludziom, którzy myśleli, że będą mieli przy nim aksamitne życie. Tak, dał przedstawienie, dał wspaniałe przedstawienie, chłopcze. Wciąż wspomina to z dumą. Był taki skandal, że musiał uciekać z Europy.

— Co zrobił Róży?

— Róży? Nie zaprzataj sobie tym głowy, chłopcze. Teraz tylko staraj się uwolnić z tych więzów. Tam na zewnątrz bawią się z Delem. Zapewne zabiją go, jeśli nie pojawisz się w porę.

— Nie mogę — zawodził Tom.

— Musisz.

Tom krzyknął przenikliwie.

— Nic z tego, chłopcze. Jest tylko wyłącznie jeden sposób.

Musisz użyć swojej siły. Musisz uwolnić ręce.

— Nieee! — zawołał Tom.

— Zrób to najpierw z jedną ręką, z drugą pójdzie łatwiej.

Musisz wybrać swoją pieśń... musisz zdecydować, czym się posłużysz. Skrzydła już wypróbowałeś i zawiodły. Nie możesz go opuścić.

Tom oparł głowę o ścianę i patrzył na Buda zaczerwieniony-"li oczami, pytał bez słów.

— Próbowałem pieśni, Tomie. On jednak był od mnie silniejszy. Wszystko, co mogłem zrobić, to trzymać Dela z dala °Q niego. Wiedziałem, że pragnął zawładnąć tym chłopcem, dopóki nie usłyszał o tobie. Potem zresztą też chciał go mieć. feraz nadeszła twoja kolej. Musisz zrobić coś więcej, niż tylko °calić Dela. Wiesz, co masz zrobić.

~~ Zabić go — powiedział Tom słabym głosem.

Chyba że chcesz, aby on zabił ciebie. Zrób teraz, co ci Wysuń lewą rękę do przodu. Dołóż wszelkich wysił-p. Będzie bolało jak wszyscy diabli, ale przecież synu, czy już ® boli? Gdy oswobodzisz jedną rękę, uwolnisz i drugą. Te ^oźdi nie mogą ci przeszkodzić, mogą tylko sprawić, że

— Dlaczego? — spytał Tom.

— Chce wiedzieć, dlaczego — oznajmił Groch.

— Ponieważ przykro mi patrzeć, jak się marnujesz. p0 prostu dlatego. Od twego mentora przez te lata spotkało nas wiele dobrego, ale ty, ty byłbyś kimś wyjątkowym. Mam zabrać się do tych gwoździ? To prosta sprawa, zapewniam cię.

— Odejdź — łkał Tom. — Wynoś się stąd. Nie chcę cię widzieć. Gardzę tobą. Nie mogę znieść twego smrodu... to ty jesteś tymi gwoździami. — Głos mu się załamał. Pocił się wszystkimi porami skóry. Oblewał go zimny, śmiertelny pot.

M. wciąż uśmiechając się, zniknął.

— Ten dzieciak działa mi cholernie na nerwy — powiedział Cierń.

— Dajmy mu chwilę odzipnąć — zaproponował Groch. — Już i tak ledwie dyszy. Ledwie dyszysz, co, mały? A my, wiecie, zejdźmy na dół.

— On, do diabła, oszalał — powiedział Ślimak. — Postradał zmysły. — Wstał.

Wszyscy trzej powlekli się schodami do pierwszego rzędu. Tom zamknął oczy, oparł głowę o ścianę.

— Słuchajcie, możemy przecież stąd wyjść, no nie? — usłyszał Cierń. — Kto nam zabroni?

Tom zemdłał.

Gdy wrócił do przytomności, myślał, że jest noc. Był sam w wielkim, ciemnym teatrze. Z kurtyny promieniowało śliwkowe światło. Był zlany potem, zimny jak lód. Ręce pulsowały, kostka w dłoni

sprawiła tak nieznośny ból, że wibrowały mu Wszystkie nerwy.

— Tom — usłyszał aksamitny znajomy głos.

— Dość tego — wyszeptał Tom i obrócił głowę w kierunku, skąd dochodził głos. W ciemnym przejściu jak ciemniejszy cień stał Bud Copeland. — To nie jesteś naprawdę ty...

— Nie, nie naprawdę. Naprawdę nie mogę zrobić nic, mogę tylko mówić do ciebie.

— Ty chyba jesteś Speckle John — domyślił się Tom? — Już dawno powinienem był wiedzieć.

— Byłem niegdyś Speckle Johnem. On mi odebrał całą siłę magiczną. Uważał, że to gorsze niż śmierć. — Bud przysunął się bliżej. Tom zdał sobie sprawę, że widzi poprzez niego, widzi przez śnieżnobiałą koszulę i popielaty garnitur Buda lin*? bocznych krzeseł i ciemną ścianę na końcu przejścia. — Został mi jej jednak wystarczająco, bym mógł usłyszeć Dela, kiedy s#
358

A teraz kolejna sztuczka... Cudowny „spadający chłopiec” będzie usiłował zejść po schodach.

Powoli podczołgał się do stopni. Głową w dół? Zobaczył siebie, jak spada, uderzając czaszką o metalowe krzesła, jak Jamie ręce... z trudem przekręcił się, usiadł, spuścił nogi za krawędź stopnia i zjechał ze schodów na pupie niczym przedszkolak.

No, Tomie, stary chłopie, teraz czeka cię coś naprawdę trudnego. Musisz iść. Stopy postawił na podłodze, siedzenie na drugim stopniu. Machając ramionami i wyginając bółą grzbiet, zdołał wstać. Natychmiast zakręciło mu się w głowie i musiał oprzeć się o ścianę. Aż dziw bierze, ile bólu może pomieścić się w ciele. Jest ono jak kubek wypełniony bólem. Myślisz, że wyleje się trochę po drodze, ale nic z tego, kubek robi się jeszcze bardziej pojemny.

„Każdy, kto chce zobaczyć cud, niech wyjdzie na zewnątrz”. Szkielet, kryjąc się z tyłu sceny i czekając, aż pianista oddali się. Chciał przejrzeć skradzione arkusze egzaminacyjne. Spojrzał na sowę z Ventnor ciekaw, czy ma mu dziś coś specjalnego do przekazania...

„Rozleciała się po prostu, panie Robbin. Jezus, podleciała do góry i rozpadła się”.

„Ojej, ale z was niezdary”.

„Tak, proszę pana. Wszystko dziś knocimy...”

Zmusił się, żeby iść naprzód, drzwi popchnął ramieniem i otworzyły się. No tak, kubek z bólem wciąż wypełniał się. Tom, potykając się, wszedł do mrocznego korytarza, zatoczył się na przeciwległą ścianę i stanął, aby odpocząć.

„To nie jest łatwa szkoła. Nie! Nie jest łatwa!”

Trzeba przyznać, że nie byli kłamcami.

Pochylił się i powlókł korytarzem. Dopóki opierał się prawym ramieniem o ścianę, mógł iść w pozycji wyprostowanej. Krew ściekała na brązowy dywan. Minał pokój, do którego nie wolno było wchodzić, minął kuchnię.

Znów usłyszał krzyk Dela.

Chwiejnym krokiem wszedł do bawialni. W myślach wytyczył sobie drogę do oszklonych drzwi. Od krzesła do stołu, od stołu do kanapy, a potem długi odcinek bez żadnej podpórki. Coraz głośniejsze były rozpaczliwe krzyki Dela. Tom delikatnie Położył lewą rękę na oparciu krzesła i postawił dwa kroki w stronę stolika z zastawą do kawy.

Na kanapce siedział Bud Copeland. Poprzez jego ciało Tom ostrzegał delikatny, zielono-niebieski wzorek na obiciu.

Tyle już ci się udało, Tomie, dokonasz i reszty. Pamięć-

361

ad.ouj.

cc
"AfAzsmod

nur

op aiS Bzod aiS

OL

'UBAIxp

BU |pBds jjajoM 3{Bf i B3{SBd oSauuaiuiazj po ais pujOMn 'tuofp z B{duAđod Maxj{
'^SBZJJBZ jfeunspo 'oajBd jfeiSif^ 'njfSBZJJBZ BU {BA^zoods oa^Bd a[B 'BjBMOsjnd nui B^aa
-.,Daidopio Xofe(BpBds" —XUBAVJCUOJIXAV ani sszoipAop '^Mosidod jautnu toję -jf
SBZJJBZ uiapfnpjf lfeuspBU i asf5j feMaj jsoiun ••B3(ZDnłzs BudajsBU Bfoui 'apnoued i aiUSD
'ZBjaj y "opsp AV ais nui B{BftdAV 'JfSBzjłBz BU BjaidBZ B{yfq BJUiBfJi tuaiSaidod pBU ais
|i[^tlood ofefB3lj UIOJ^

of&ą atu znf Bpng 'Sis tfeUiCj<Jzof sof?) ,, ?•5oBjd aj uiajfepfzjd oSazoBip 'azodojqo
'zsaiAv ZBjaj—" •Bjsazxj| uxiu pazjd aofetojs Bp?gz?iqo Majjj

•npozjd op ajfaj BAvejd tfeudJBZs i

}3iqzj§ tfeiSifM uianflis^M uiyCzszAwfBU z 'jfaf oS fjsnp oq 'Bjsn {^ZJOAIJO 'iuoip faAiai M
n[eq oSaujOaijod oBMOUBdo smf Bjopz ara az 'ais nui O{BMBPXAV 'azj^apwod onpl op
jfeusfepAv uiox

jft/wjapo ojfiif} '[sXui atu uiA o }3AVBU ••B^Bip op 'fef ftMjapo •?•feSnjp i ftu|OAvn dp azsojd
'azodopjo 'azog ?iqop o "feStup ZBjaj i^ts p opjpn 'nu^Cs 'nzaf pipo^s Q — •BizpzoAiS po ats
BjniJOAm B3[aj i I

B JC flA J(Bf 'OUOOUI 3fBł JBUgfepoj

Btuanpuio pfsnq l^a 'izpzoAvS isjias ABftqM AVCJ|JO jBAiiCjpo i aoaj faMaj faAis BU dis
{BAvoj:łuaouoj|g jBMBpifM fe^iMaō pazjd UIBS aptBf 'I3i5f BiuazBjaz ij^sid oSaf |BzsX{Sfi -
spa iBzs^sn UIOJ, ^pajAl fzsXjs aiuui ^ZQ iaiuui zs^zsAš -aiuBisoz atu oSaru z oq 'OIM^JBUI ats
jBAvoqazjłod zsaizpaq ani znf zaj BjaQ O I oS azozsaf feqoj z aizpaq 'zsqojz atu oSaj na?3f "nu?s
'ZSBUI f 'yfps ai3[łsXzsAv Z5:JBJSJ jajaj ftAuapo faiupnjł p atzpaq

ny palec podciągnął troszkę koszulę. Jeszcze, jeszcze trochę. jColba pistoletu została odsłonięta. Teraz z najwyższym wysiłkiem poszukiwał tego, co sądził, iż jest zabezpieczeniem spustu. Zlany potem, zakrzywił palec wskazujący i odciągnął.

Bu-buch! Wokół niego zrobiło się jasno, ale mając twarz przyciśniętą do kamieni, nie mógł zobaczyć, co tym razem przedstawiają sztuczne ognie.

Znowu pociągnął i usłyszał najśłodszy odgłos — pistolet upadł na kamień. Wtedy rozplakał się, czując niewypowiedzianą ulgę. Przekręcił się na bok i obiema rękoma przygarnął do siebie pistolet. Kolba była jasnoczerwona. Nie znał się na broni i obracał pistolet, zastanawiając się, gdzie jest bezpiecznik. Wreszcie wypatrzył mały, kanciasty występ.

Posuwając się na kolanach, minął róg domu i zsunął się z płyt chodnika w bujną trawę. Sześciu mężczyzn stało kręgiem w odległości, która Tomowi wydawała się ogromna. Korzeń i Ślimak żartowali, domyślił się tego po wykrzywionej w uśmiechu bezzębnej gębie Ślimaka. Cierń wycierał swą pokiereszowaną twarz rękawem. Ziarno, któremu koszula wydymała od wiatru, szturchał coś nogą.

Del, prawie pomiędzy nimi niewidoczny, żałośnie popiskiwał.

Tom rozplaszczyl się w trawie i próbował wycelować. Nie było to jednak proste. Pistolet trząsał mu się w rękach. Gdyby teraz wystrzelił, pocisk trafiłby gdzieś w las, w jezioro, lub zakopałby się

w ziemi.

— Przestańcie — usiłował krzyknąć, lecz wydobył z siebie tylko szept.

Pistolet wypadł mu z rąk, chwycił go jednak i poczołgał się naprzód. Wydawało mu się, iż posuwa się nieprawdopodobnie powoli. Gdzieś w trawie odezwał się świerszcz. Jeszcze kawałeczek.

. — Zobacz no, może przyłożyć mu pod żebra? — odezwał się Ślimak. — Stawiam dziesięć dolarów, że go w ten sposób wykończysz.

— Przestańcie — powtórzył Tom. Usiadł na trawie. — Przestańcie. Powiedziałem, przestańcie.

Ziarno, który był zwrócony do Toma twarzą, otworzył ze Sumienia oczy. Tom drżącą ręką uniósł broń i starał się Wycelować w stronę mężczyzn. Zastanawiał się, czy ten stary Pistolet w ogóle strzela. Usiłował opanować drżenie rąk i pociągał za spust.

2 początku myślał, że urwało mu ramię. Huk był o wiele głośniejszy, niż oczekiwał i na chwilę ogłuchł. Pistolet wysunął

363

taj, rewolwer posiada bezpiecznik, jeśli o tym zapomnisz, założysz sobie stryczek na szyję.

— Powtórzenia występów nie będzie — zażartował Tom

— No właśnie, synu.

Tom instynktownie odwrócił głowę i spojrzał na oszkloną gablotkę w rogu pokoju. Żołądek podskoczył mu do gardła. Wewnątrz szafki zauważył krew.

Ba-bach! Wystrzeliły ognie sztuczne. Buch!

Preludium do przedstawienia.

Poprzez pomazane krwią, płynącą mu z rąk, drzwi zobaczy! niebo: pomarańczowy kwiat opadał więdnać. Na krańcach przybierał już siną barwę... Uubuch! Purpurowa kolumna wytrysnęła z jego środka i rozprzestrzeniała się na cały firmament.

Wkrótce zapadnie noc.

Ba-bach! Buch! Buch! Spod czerwonej kolumny świetał sowa z białego światła rozłożyła ogromne skrzydła i poszybowała przez ciemniejące niebo.

— Otwórz te drzwi... musisz to zrobić — doszedł go głos

Buda.

Tom oparł śliskie od krwi ręce o szkło. Słyszał krzyki Dela z lewej strony. Pochylił ramiona i udało mu się rozsunąć drzwi. Potknął się o metalowy próg i runął na kamienie chodnika. Od łokci do ramion przeszył go wibrujący ból, ręce płonęły. Jęknął. Przekręcił się na plecy i przesunął nogi do przodu. Serce ze strachu nieomal przestało bić. Srebrnobiała sowa zniżala się i wyciągała w jego stronę straszne szpony.

Tom zamknął oczy. No dobrze. Nie dam sobie z tym rady. Możesz chwycić mnie w swoje szpony i zrobić ze mną, co ci się podoba. Tylko niech to się już skończy.

Nad jego głową rozległ się następny wybuch. Spojrzał w górę i zobaczył, że sowa umiera, zmienia się w popiół i rozpada.

Tom wstał na nogi. Potem znów przyklęknął, ujrzał ich bowiem tuż za rogiem domu. „Włóczędzy” znajdowali się na opadającym w dół trawniku, w odległości około trzydziestu jardów, tam, gdzie zaczynał się las. Ujrzał Ślimaka i Korzenia, którzy przez moment spoglądali ku górze, obserwując ostatfite sekundy istnienia sowy, a następnie znów zabrali się do swoich czynności. Del skamlał.

No już, wyciągaj ten rewolwer. Taki z ciebie chojraK-Wyciągaj rewolwer z portek. Położył się płasko na płytac" chodnika, twarzą do ziemi i próbował sięgnąć ręką do tyłu-Wskazujący palec prawej ręki namacał metal. Ten sam cudoW-

Groch krzyknął. W ciszy pomiędzy kolejnymi wybuchami ogni nagły łoskot walącej się konstrukcji metalowej rozległ się jak grzmot. Tom zdążył podejść do podstawy drabiny w porę, aby

zobaczyć jeszcze, jak Groch, który rozpaczliwie chwycił się żelaznego pręta, szybuje w powietrzu. Wydawało się, że spada bardzo powoli. Wreszcie rozległ się trzask łamanych desek, gdy Groch uderzył o pomost. W pomoście zrobił się otwór, a w sekundę potem spadająca drabina rozcięła go na dwie części. Odłamki drewna poleciały w górę. Po chwili wszystko pochłonęła woda. Teraz została tylko jedna droga odwrotu.

11

Tom powrócił do Dela i wpół siadł, wpół upadł na trawę. Del wycierał rękawem krew z policzków.

— Jak się czujesz? — spytał Tom.

Oczy Dela podpiły do góry, powieki trzepotały.

— Co ci zrobili?

— Cały jestem pobity.

Na wargach Dela pojawiła się czerwona piana. Patrzył tępym wzrokiem na rżęzącego Ciernia, potem na Ślimaka leżącego twarzą do ziemi bliżej domu.

— Co oni ci zrobili? — spytał Del. — Też cię bili?

— Coś w tym rodzaju — odparł Tom.

Niebo zadrżało, zahuczała grzmot i lodowoniebieska fontanna wytrysnęła w niebo.

— Wracają! — krzyknął Del.

— Nie — uspokoił go Tom. — Z nimi już koniec.

— Och. — Del zamknął oczy i położył głowę na trawie.

— Możesz się ruszać?

— Chcę do domu.

— A kto by nie chciał.

W lesie migaly światełka, dom jaśniał. Tom dostrzegł czerwone plamy krwi na ścianie. Nagle ruszył jakiś samochód i na Odjeździe zapiszczały opony. Czyżby Collins tak łatwo dał za Ograną? Cierń zaczął charczeć. Tom spojrział na niego ze zgrozą. ~p Ach... — wymówił Cierń.

pomimo że żaden ptak o białych piórach nie zerwał się P^ri Ciernia, Tom wiedział, że uszło z niego życie.

Samochód... — wyszeptał Del. — On wyjechał, To-

365

mu się z ręki. Trolle patrzyli na niego z najwyższą uwagą i zdumieniem. Bładozielony dym, który uniósł się po wybuchu przesłonił niebo.

Tom ponownie podniósł pistolet i wykręcił tak, by lufa była skierowana w stronę mężczyzn. Ślimak ruszył ku niemu marszcząc brwi.

— Hej! — krzyknął Tom. — Uważaj!

— Ma podziurawione łapy, nic nam nie może zrobić — po_ wiedział Ślimak, wciąż jednak na twarzy miał wyraz zaniepokojenia.

Tom oparł pistolet o piersi, trzymając kolbę palcami prawej ręki, a palcami lewej popychając spust. Siła odrzutu wytrąciła mu broń z ręki. W uszach mu dzwoniło.

Na koszuli Ślimaka pojawiła się czerwona plamka. Wyglądała jak kwiat w butonierce. Pod Ślimakiem ugięły się nogi.

Tom pospiesznie podniósł z ziemi pistolet i stanął. Płakał, nie tylko dlatego, że przeraźliwie bolały go ręce i ramiona, ale dlatego, że był spięty nerwowo do ostatnich granic.

Puff! Wszystko przesłoniła żółta mgła. Zobaczył skulonego Dela leżącego na trawie. Z wysiłkiem, niezręcznie uchwycił pistolet i wycelował w Grocha, lecz ten uskoczył w bok i pobiegł do żelaznej drabiny wiodącej na plażę.

Tom strzelił, tym razem na chybił trafił. Cierń zachwiał się do tyłu i ciężko upadł. Z jego gardła wydobywało się rżężenie.

Del przekręcił się na bok i wlepił w Toma tępy wzrok. Twarz miał czerwoną.

Pozostali mężczyźni co sił w nogach uciekali do lasu. Tom był pewien, że nie wrócą tutaj. W

końcu byli u Collinsa po prostu zatrudnieni. Nie płacił im aż tyle, żeby ryzykowali życiem. Groch był już prawie na szczycie drabiny. Tom przypomniał sobie, że to właśnie on prostował mu palce, żeby Collins mógł wbić gwoźdź w dłoń. Upuścił pistolet, który uderzając o ziemię sam wystrzelił, nie czyniąc nikomu krzywdy. Przypomniał też sobie Grocha, kręcącego się na krześle i przyglądającego się mu niczym kiepskiemu obrazowi.

or-

Drabina — pomyślał. Bolce. Obluzowane bolce. Zobaczycy* je, zobaczył zardzewiałe pręty wchodzące w kłamry. Zacz[^] z trudem posuwać się ku drabinie. Słyszał, jak szczeble trzeszczały pod ciężarem Grocha. Dwa szczeble, trzy, cztery..

Wstrząsający wybuch: na niebie wykwitła czerwona chidea.. fe

Jego nienawiść do Grocha rosła. W myślach widział, J bolce zaczynają drzeć, kruszyć się i rozpadać... jak waj się poza kłamry i spadają na dół...

364

gigantyczną twarz i Herbie Butter rozciągnięty na niebiosach szczyrzył do nich z góry zęby w uśmiechu. Wyglądał jak dwuwymiarowa karykatura narysowana grubą kreską.

ZDUMIEWAJĄCY MECHANICZNY CZARODZIEJ I AKROBA-TA! KRÓL KOTÓW!

Collins objawił się Tomowi jako potężny, pomysłowy i doświadczony iluzjonista. Tom patrzył, jak ogromna sylwetka spływa w dół wypatrując ich. Potem zwrócił wzrok na dom. Wszystkie okna były oświetlone. Przypomniał sobie pierwszy daień w Krainie Cieni, Collinsa z pyskiem wilka, który pokazywał mu wszystko, co mógłby mieć, gdyby zapragnął... potem poczuł, jakby Collins unieruchomił go w powietrzu koło siebie, przebijając mu piersi ćwiekiem. Róża Armstrong spoglądała na niego z okna, w którym widział ją tamtego dnia. Nawet tamtego pierwszego dnia byli aktorami w przedstawieniu reżyserowanym przez czarodzieja.

„Tak musi być. Nie jest to łatwa szkoła”.

Róża miała udreńczoną twarz. Dawła mu znaki, żeby został tam, gdzie jest, że ona zejdzie na dół. Potrząsnął głupio głową. Odwróciła się od okna. Znów spojrział: Herbie Butter spływał do nich z wysokości.

Wzrok Toma padł na pistolet, czarny kształt w zielonej trawie. Nie mógł uwierzyć, że zdołał go utrzymać. Z jego ran spływało już niewiele krwi, ale obie ręce były spuchnięte. Czuł, jakby nosił za małe rękawiczki.

— Idzie Róża — oznajmił przyjacielowi.

Twarz Dela straciła wszelki kolor.

— Och, nie — pojękiwał.

— **CZY ZEHCĄ Z WIDOWNI ZGŁOSIĆ SIĘ DWAJ OCHOTNICZY? PROSIMY BARDZO.**

— Myślę, że ona już swoją rolę odegrała — powiedział Tom.

Jego serce było tak samo drętwe jak ręce.

— **PROSIMY, PROSIMY, ŚMIAŁO... POTRZEBNY NAM WASZ WSPÓŁDZIAŁ, DZIELNI MŁODZI LUDZIE!**

Róża wypadła z bawialni na patio i zaczęła biec w ich stronę. Iła w zielonej sukience, a w prawej ręce trzymała jakąś białą tkaninę.

. "~~ Zostaw nas w spokoju! — krzyknął Del. Róża z przeraże-f[^]ni spostrzegła dwa leżące ciała.

— Wracaj do domu, ty Judaszu!

~~ Musiałam to zrobić — tłumaczyła. — Nie wiedziałam,

367

mie. Wyjechał! Teraz możemy odejść... możemy się stąd wy. dostać.

— Nie sądzę. Widzisz te wszystkie światła? Zmieniła się tylko scena i to wszystko.

— Och, mój Boże — jęknął Del. Patrzył na ręce Toma, —
W jaki sposób...?

— Miałem szczęście — powiedział Tom. Spojrzał na dom. —
On wciąż tam jest, Delu. Myślę, że to dopiero się zaczyna.
— Nie damy mu przecież rady.

— Zrobimy wszystko, co potrzeba. — Nie było to stwierdzenie pełne stanowczości i siły, bo też Tom wcale nie czuł się silny. Czuł się pusty, pozbawiony jakichkolwiek pomysłów, zdolny tylko do leżenia na trawniku i czekania z rozpaczą, aż Collins zrealizuje swoje wymyślne zamierzenia.

Nagle na całym niebie rozbłysły fajerwerki, zapalały się jedno po drugim, eksplozje bez przerwy następowały po sobie. A więc zbliżał się kres.

12

— WITAJCIE W IMPERIUM ZIELONEGO LASU! Wzmocniony przez megafon głos odbijał się od drzew, od ścian domu, jakby mówiły same drzewa i mury.

PRZEDSTAWIAMY SENSACYJNE WIDOWISKO NIEPORÓWNYWALNE Z ŻADNYM NA SCENACH CAŁEGO ŚWIATA. FINAŁOWE PRZEDSTAWIENIE, OSTATNI WYSTĘP ULUBIEŃCA PUBLICZNOŚCI HERBIEGO BUTTERA. JEST ON JEDNĄ OSOBĄ CZY WIELOMA? ZDECYDUJCIE PAŃSTWO SAMI. PANIE I PANOWIE, TE MAGICZNE CUDA I ILUZJE, KTÓRE ZOBACZYCIE, PRZEKRACZAJĄ MOŻLIWOŚCI JAKIEGOKOLWIEK INNEGO ŻYJĄCEGO CZARODZIEJA.

DLA WŁASNEGO BEZPIECZEŃSTWA PROSZĘ POD ŻADNYM POZOREM NIE OPUSZCZAĆ TEATRU.

Del znów płakał, jego mokrą twarz oświetlały co chwila barwne błyski sztucznych ogni.
UWAGA... PAN HERBIE BUTTER!

Na niebie wybuchały niezliczone eksplozje, z megafonom rozlegało się bicie w werble. Białe plamy, które rozkwitwały na niebie, zbierały się jak w układance wokół oczodołów i otwał" tych, wykrzywionych ust. Bu-buch! Czerwień obramowała

366

— Będziemy musieli tam iść — powiedział Del z nabożnym lękiem w głosie.

— Tak właśnie powiedział w związku z tą drabiną. — Róża związała oba końce drugiej chusteczki. Na obu chusteczkach pojawiły się czerwone plamy. — Że będziecie musieli przyjść. I powiedział, że będziecie chcieli to zrobić.

?— To na pewno jakaś pułapka — twierdził Del. — Jest ich tylko dwóch... a ten pan Peet ucieknie jak tamci.

— Może nie. — Tom próbował poruszyć palcami. — Jest ktoś jeszcze. Chciał mieć dwóch ochotników, pamiętacie?

Jeden jest z nim przez cały czas.

Sylwetki czarodzieja poznikały z okien.

— Jestem po twojej stronie, Tomie — oświadczyła Róża. Mówiła to z rozpaczą. — Powiedziałam ci, że nie miałam pojęcia, co on chce zrobić... wiesz, że mówię prawdę. Przecież przyszedłam do was.

— Nie myślałem o tobie. — Tom starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie. — Ma przy sobie Szkieleta.

— CZY KTOŚ JESZCZE ZGŁOSI SIĘ NA OCHOTNIKA? — rozległo się z megafonów.

— KTO JEST CHĘTNY? ACH! TEN PRZYSTOJNY DŻENTELMEN W CZARNYM GARNITURZE.

Na trawniku za nimi pojawiła się ciemna postać, a może już tam była od dawna? Róża chwyciła Toma za ramię, Del cofnął się.

— To Szkielet — powiedział piskliwym głosem.

Tom wiedział jednak, że to nie był Szkielet. Postać postąpiła naprzód i rogowa oprawa okularów nabrała czerwonej barwy w blasku światła padającego z domu.

— Ta szkoła jest chora — powiedział Laker Broome —

\ Pora odciąć zarażone gałęzie. — Postać podeszła jeszcze bli-
^j — Oczyszczyć drzewo, panowie... oczyszczyć. Najwyższy czas

nasz ogród. — Tom poprzez niego widział światła Połyskujące w lesie. — Dobierzemy się do was! Wiemy, kim Jesteście i dobierzemy się do was! — Uniósł przezroczystą pięść, a Róża i chłopcy odskoczyli do tyłu.

— Mieliśmy łamanie dyscypliny, palenie papierosów, za-
db w nauce i kradzież, a teraz spadła na nas plaga

369

co on... myślałam, że to należy do przedstawienia... Tom, tak mi ogromnie przykro... — Wyciągnęła ramiona. — Byłby mnie zabił, teraz żałuję, że tak się nie stało... Przyniosłam chusteczki żeby ci opatrzeć ręce. Nic innego nie mogłam znaleźć. Pozwól że to zrobię. Proszę cię, Tom.

— Kto odjechał samochodem? — spytał Tom.

Del krzyknął:

— Nie pozwól jej, żeby cię dotykała!

— Elena — odparła Róża. — Uciekła. Zobaczyła krew...
zostawiła go. Chcę ci pomóc, Tom. Proszę. Muszę to zrobić.

— Bo on ci kazał! — krzyczał Del. — Wynoś się!

— Kazał mi czekać w swoim pokoju — mówiła Róża. —
Miałam już nigdy więcej was nie zobaczyć. Ale naprawdę
myślałam, że to tylko przedstawienie. Tom, gdybym wiedzia-
ła... moglibyśmy ukryć się w lesie... Nie przyprowadziłabym
was z powrotem. :

— Kłamczucha! — darł się Del.

— Nie, to prawda — zaprzeczył Tom. — Ona nic nie
wiedziała. Ją też oszukał.

— Mogę opatrzeć ci ręce?

— Proszę.

Podeszła.

ZATRZYMAMY SIĘ, ABY WSPOMNIEĆ NASZĄ BOHATERKĘ WOJNY KRYMSKIEJ...
ANIOŁA PÓL BITEWNYCH... FLORENCJĘ NIGHTINGALE!

Ssssss! wystrzeliła rakietka po czerwonym torze na niebie i... bu-buch! eksplodowała, tworząc
angielską flagę.

— Dostanie nas w swoje ręce — skowyczał Del. Wytarł
rękawem krew, która wciąż sączyła się z twarzy. — Nie ma
ratunku...

— Zwiąż tak mocno, jak się da — poprosił Tom.

Róża określiła mu rękę chusteczką i zawiązała końce.

— Kto został, Rózo? Kto jeszcze jest w domu?

— Tylko pan Peet. Obaj byli na górze, kiedy usłyszeliśmy
strzały. Z początku myśleli, że to rakietki. Potem zeszli na
dół. — Drugą chusteczką zaczęła obwiązywać prawą rękę
Toma. — I on powiedział coś o drabinie.

— Co się stało z drabiną? — spytał Del. — Nie ma drabiny] -^
Znów wpadł w panikę. — Nie będziemy mogli zejść! — Zwróci
głowę w stronę domu i zamilkł. W każdym oknie stał ColemaP
Collins. Było ich sześciu, siedmiu...? Nie miało znaczenia, "u>
mogła to być każda liczba. Każdy identyczny Coleman Collins P°
cieriał identyczną górną wargę identycznym palcem wskazujący111'

rosnące na dziedzińcu, były coraz bliżej, tak blisko, iż zdawały je parzyć mu twarz.

palce Róży zacisnęły się na jego prawej poranionej dłoni, sprawiając tak nieznośny ból, że zaczął
krzyczeć akurat ^ chwili, kiedy ogarnęły go narysowane płomienie.

Byli znowu w Carson. Na drewnianej podłodze audytorium Xom stał pomiędzy Delem i Różą,
pan Broome na podium i twarzą wariata coś mamrotał. Setka chłopców wierciła się na swoich
miejscach, wielu miało pokrwawione twarze. Nad nimi unosił się hałas jak kłęb dymu, a pan
Broome wrzasnął: „Proszę Steve'a Ridpatha! Szkielet Ridpath! Jedyny absolwent z licznej klasy.
Podejdź i odbierz swoje świadectwo!” Wyciągnął przed siebie płonący dokument, a Tom czuł, że
unosi się do góry, że jego ręce i nogi stają się jak odnóża pająka, a skóra jest tak napięta, iż omal nie
pęknie... a pod nim, w dole — fotografia? Poruszyła się. Zmarli chłopcy kręcili się i krzyczeli.
Nauczyciel, ubrany w luźną bluzę z paskiem, przesunął się po ciemniejącej podłodze i chwycił Dela
za ramię, wykręcił je brutalnie i szarpnął, ciągnąc chłopca za sobą. Było to jak obraz na fotografii
— jeden moment zatrzymany w czasie. Twarz Dela stawała się jednak purpurowa, Róża krzyczała
przenikliwie, a mężczyzna nie był nauczycielem. To był pan Peet... Tom znajdował się wciąż nad
nimi, płynąc w stronę Lakera Broome'a, który wyciągniętą płonąca ręką złapał chłopca za
nadgarstek, przypalając mu ciało, wykrzywiając się i mówiąc: „Uprzedzałem, że będzie trochę
bolało, prawda? Trzeba było wziąć mnie za rękę, chłopcze, tam w tunelu. Nie sądzisz, że wtedy
sprawy potoczyłyby się dla ciebie korzystniej?” Paląca ręka zacisnęła się mocniej. „Nie bądź
niemądry, mały i nie wyobrażaj sobie, że to się nie dzieje”. Tom czuł, że jego dłoń również pali się
w szponach diabła. „Pan Collins ma twego kumpla. Ty wybrałeś swoją pieśń”.
„No, więc śpiewaj”.

Pod białą chusteczką ręka Toma była czerwona, pokryta Pęcherzami.

— T-o-o-o-m! — wołał Del. Głos jego stawał się coraz słabszy. — Tom, Tom...

Tom potrząsnął głową, próbując otrząsnąć się z zamroczenia, bo wydawało mu się nieomal, że
jest Szkieletem Ridpat-hem, widzi to, co chciał widzieć Szkielet, chce tego, czego Szkielet pragnął
całym swym zapaskudżonym sercem...

— Zabrali nas gdzie indziej — łkała Róża. — Och, Tomie, °przytomij, przez chwilę wyglądałeś
jak nieżywy.

371

I

czegoś tak obrzydliwego, tak chorego, czego w całej swojej
karierze wychowawcy nigdy nie spotkałem! NIGDY! J

Postąpił znów do przodu, spychając ich na płyty chodnika w krąg światła.

— Skażone winą umysły i dusze są niebezpieczne, szerzą
zepsucie. Wy wszyscy jesteście dotknięci tą chorobą. Ty
Flanagan. Czy ty ukradłeś tę sowę? '

— Tak — odparł Tom, była to bowiem ostateczna prawda
Wskazujący palec dyrektora szkoły godził w Dela.

— Ty, Nightingale. Czy ty ukradłeś tę sowę?

— Tak — potwierdził Del.

— Zgłosisz się natychmiast do mego gabinetu. Pozbę
dziemy się ciebie, słyszysz? Zostaniesz relegowany, wykre
ślony, wyrzucony... Mała causa est quae requirit misericor-

diarn.

Wydawało się, że twarz ma wielkości tablicy ogłoszeń. Róża, trzymając Toma za ramię, wciąż pochlipywała.

— I widzę, że sprowadziłeś do szkoły dziewczynę. Z tym też trzeba się będzie rozprawić, chłopcy. Obawiam się, że nie ujdziecie stąd z życiem. Kradzież, zaniedbania, palenie papierosów, łamanie dyscypliny... i niewdzięczność! Niewdzięczność jest śmiertelną obrazą! — Laker Broome spojrział przezroczyś tymi oczyma na przezroczyśy zegarek i powiedział: — A teraz, jak sądzę, dwaj uczniowie z pierwszego roku pokażą nam jakieś sztuczki magiczne.

Del wytrzeszczał na niego oczy, na twarzy zaczęły mu występować sińce.

Pyski zwierząt. Tom nagle odniósł wrażenie, że znajduje się w zatłoczonym pokoju, wyklejonym fotografiami tworzącymi szaleńczą układankę na ścianach i na suficie. Spozierały na niego przerażające twarze jak w domku czarownika we śnie, łypały oczyma, ale nie mogły się ruszyć, były przytwierdzone na zawsze...

— T-o-o-o-o-m — łkał Del.

...nie mogły unieść się w powietrze. On natomiast uniół się wprost z jakiegoś cuchnącego barłogu aż pod sam sufit. Ramiona Róży przytrzymały go, ale uwolnił się i płynął ku tym obrazom, ku nieżywemu mężczyźnie w samochodzie, którego mózg rozbryzwał się na szybach, a krew ściekała na asfalt pustego parkingu... ku Colemanowi Collinsowi w płaszczu burberry i w kapeluszu z szerokim rondem, z twarzą będącą tylko białym owalem... ku Szkole Carson, czarno-białej fotografii obrysowanej czerwoną kredką. Wymalowane czerwoną kredką płomienie buchały z audytorium, obejmowały drzewko

370

Znowu zmarszczyła czoło. Tom podniósł się na kolana. Widownia na fresku przyglądała się teraz z pełnym współczucia ||a|interesowaniem.

— Panie i panowie, teraz następna sztuczka, taka jakiej gdy dotychczas nie widziano na tym kontynencie...

— Oszalałeś? Czy ten człowiek pokręcił ci coś w głowie?

— Uspokój się, Rózo.

Malowidło na ścianie jarzyło się kolorami. Mógł nieomal ojrzeć, jak widzowie na fresku podnoszą rękami jedzenie do jak ze sobą rozmawiają: „Będzie mi brak starego Her-(ie)ego, mów, co chcesz, ale on był najlepszy. Czy ktoś potrafił-? jak on zamienić ludzką rękę w szpony? No, wiesz, wtedy r Kensington". Była to publiczność zajmująca tanie miejsca, zekujająca niezwykłych wrażeń na ostatnim występie pana Littera.

Kolekcjoner na fresku odwrócił głowę, żeby pokazać swą uciechę Tomowi Flanaganowi. „Przyznaj, że niezły ten kociak. Francuzka”.

— Bądź cicho — powiedział Tom. — Idź gdzieś... idź, ukryj się gdzieś na scenie. Znajdź sobie jakiś kąt, schowaj się i siedź cicho.

— Co...?

Odrzącił ją gestem ręki, mając nadzieję, że wyszuka sobie jakąś kryjówkę w Krainie Cieni. Teraz nie było już żadnego wyłącznika, którego przyciśnięcie sprawiłoby, że wszystko obróci się w żart. Głos w megafonie zatrzeszczał:

— ACH, JEST TU PAN, DROGI PANIE! TAK, PAN W CZARNYM GARNITURZE. PANIE I PANOWIE, OTÓŻ MAMY NASZEGO NASTĘPNEGO OCHOTNIKA. PROSZĘ, SERDECZNIE WITAMY.

Rzęsiste oklaski, aplauz z 1924 roku chlusnął ze ścian.

Kolekcjoner zsunął się na podłogę, darząc Toma krzywym uśmiechem bezzębnych ust.

„Przeستاń, Mary. Ten typek jest z nami, należy do przedstawienia. To taki pomocnik komika na widowni”.

Kolekcjoner przesunął się korytarzem do mniejszego pokoju. Twarz pozbawiona wszelkiej osobowości. Doktor Kolekcjoner. Właściwie wszyscy oni wyglądali podobnie. Szkielet, ^ker Broome, czarodziej, pan Peet i „włóczędzy” — tak °Panowani nienawiścią i chciwością, że kradliby, zabijali, Oszukiwali i tyranizowali każdego słabszego od siebie. Collins naWet zmarłemu opróżnił kieszenie. Tak. Doktor Kolekcjoner.

373

Otworzył oczy i spojrzał na wystraszoną twarz Róży. Już nie była ładna. Czoło miała pomarszczone i przypominała starą wiedźmę, kiedy tak się nad nim pochylała, potrząsając go za ramię.

— Och — wyszeptał.

— Ten mężczyzna dotknął cię i wydawało się, że umarłeś
Przyszedł pan Peet, przeniósł cię tutaj i pociągnął Dela, a ja poszłam za wami. Biłam go po plecach, ale nawet na mnie nie spojrzał. Później zabrał Dela. Och, Tomie, co ty teraz zrobisz?

— Nie wiem — rzekł Tom. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Jakieś schody, jakieś światła mrugające z góry. Czy była jakaś orkiestra? — Grają polkę — powiedział. — Fielding zszedł ze ściany za saksofonistą. Sześć szklaneczek ponczu. Wszyscy wyszli popatrzeć na satelitę, ale był to tylko po prostu samolot. Był tam Szkielet, wyglądał jak nędzna kreatura. Cały na czarno.

— O czym ty mówisz? — Róża znów miała twarz czarownicy,

— Carson. Nasza szkoła. Kiedy Del i ja... — Wstrząsnął głową. — Pan Peet? Widziałem go.

— On przyniósł cię tutaj. I zabrał Dela.
Tom jęknął.

— Nasz dyrektor był diabłem — powiedział. — Czy przypuszczaliście, że mógł nim być? A może był tym mężczyzną w alei na skarpie zeszłego lata. To był jego pierwszy rok, wiecie? Nowi chłopcy nie zdawali sobie z tego sprawy. Myśleli, że był tu zawsze. Nic dziwnego, że wszyscy miewaliśmy koszmarne sny.

— Czy dobrze się czujesz?

— Jest doprawdy utalentowany — uśmiechnął się Tom — ten dobry, stary M.

— Tom?!

— Och, wszystko w porządku. — Usiadł. — Gdzie właściwie jesteście? Och. Powinienem wiedzieć. — Byli w Wielkim Teatrze. Ze względu na usuniętą ścianę mógł widzieć, co dzieje się w Małym Teatrze. Postacie na fresku obserwowały 8° z rozbawieniem, przyjemnością, a także ze znudzeniem. I z nieziemską poządlivością.

— Collins ma rację, wiecie? Dał Szkieletowi to, czef^ Szkielet pragnał. A Szkielet pragnał dokładnie tego, co się wydarzyło. On to nawet wyrysował.

— Ale co teraz? — pytała Róża. — Tom, co zrobimy?

— Wiesz, o czym myślę, Rózo? Myślę, że wciąż cię kocha10' Czy sądzisz, że Collins nadal kocha swą małą pasterkę? Czy rzeczywiście masz babkę w Hilly Vale, Rózo?

ając się od ściany, obserwował Kolekcjonera, jak schodził ję sceny Małego Teatru. Jeszcze dwa stopnie, a znajdzie się ^większej sali. Kolekcjoner, śliniąc się, wyciągnął przed siebie ręce. Tom przypomniał sobie, jak to jest, być wewnątrz Kolekcjonera. Poczłł, jak nienawiść, która była niegdys miłością, rozsadza mu głowę, poczuł bezradność Szkieleta, jego uczucie do Collinsa oraz jego szaleństwo.

—? Nie jestem Vendourisem! — zawołał Tom, wciąż czując odrazę do Szkieleta.

— Aaach — zajęczał Szkielet i zwrócił głowę w stronę Toma, po czym ogarnięty dreszczem rozkoszy wszedł pomiędzy rzędy krzesel.

— Nazywasz się Steve Ridpath — oznajmił Tom. — Oszuki wałeś w czasie egzaminów. Jesteś najniebezpieczniejszym chłopcem w całej szkole. Na jesieni masz pójść do Clemson. Twój ojciec jest trenerem drużyny piłki nożnej.

— Odpieprz się ode mnie — wysyczał Szkielet.

— Ty podpaliłeś pawilon! Chciałeś, żeby wszyscy poumierali!

— Odsuń się od tego przeklętego fortepianu.

Kolekcjoner stał na końcu rzędu krzesel Toma, może dwanaście kroków od tylnej ściany teatru. Za nim po lewej stronie Tom zobaczył wielką, drewnianą literę X ze zwisającym pasem upstrzonym czerwonymi plamami.

Ale dlaczego byłem Szkieletem, zastanawia się Tom. Potworna zabawka poczęła tymczasem schodzić po stopniach.

— Nie zbliżaj się do mnie — rzekł Tom na w pół proszącym głosem.

Tom ze strachu prawie nie był w stanie ruszyć się. Wiedział, że jeśli zacznie uciekać, Szkielet dogoni go bez wysiłku i powali jak lew polujący na zebnę.

— Och, Flanagini — usłyszał szept Kolekcjonera odległy zaledwie o cztery kroki. — Nie krzywdzić pana Collinsa, ^anagini. Nie krzywdzić pana Collinsa.

— Już ja go urządzę. — Tom podniósł swoje bezużyteczne rece.

— Potrafię fruwać, Flanagini.

?— Jesteś wart śmiechu, Szkielecie — również wyszeptał OIri> gdyż ledwo mógł wydobyć z siebie głos. . Potem znów zobaczył wewnątrz pokoju, ponure fotografie... *uał wrażenie, jakby miał czaszkę wytapetowaną tymi obrali.

"To taki pomocnik komika na widowni".

Szkielet zawył z bólu albo z radości, przeskakując ostatni

375

Tylko dla takich jak oni mieli litość. „Chcesz być mężczyzną? Zrobię z ciebie mężczyznę. Jestem twoim ojcem i matką".

— Szkielet, jestem tutaj — odezwał się Tom. Przepęniało go obrzydzenie i odraza. Wstał. Ręce miał ciężkie jak z ołowiu. — Chodź tu, Szkielet.

Kolekcjoner skwapliwie podążył w dół schodami.

14

Prawdą jest, że Tom nie miał pojęcia, jak pokonać Kolekcjonera. Gdy usłyszał za kulisami stukot wysokich obcasów pantofelków Róży, przypomniała mu się scena, w której aktor Creekmore odgrywał Withersa. Uzmysłowił sobie, że impuls, który popchnął go do stawienia czoła temu potwornemu wyobrażeniu Szkieleta Ridpatha, był fałszywy. Kolekcjoner był najlepszym gorylem czarodzieja, sam Collins tak twierdził. Tomowi nagle przyszło do głowy, że prawdopodobnie

umrze, że umrze w sposób bardzo nieprzyjemny w Grand Theatre des Hlusions, tak samo jak umarł Withers w alejce za teatrem.

— Vendouris! — zawołał Kolekcjoner. — Widziałem twoją sowę, Vendouris!

Tom przemykał się przy ścianie tak cicho, jak tylko mógł i zastanawiał, czy uda mu się wydostać z teatru i odebrać Dela Collinsowi... a Kolekcjoner niech chodzi po teatrze i nawołuje...

Kolekcjoner jednak był wytworem sztuki magicznej.

— Chcę zobaczyć gołe ciało — szeptał. — Gdzie jesteś, Vendouris?

Kolekcjoner jest dziełem magii, a Tom jest magikiem.

W halucynacjach, które wystąpiły u Toma, po tym jak dotknął go Laker Broome, zarysował się pewien cień, pewien ślad rozwiązania na tyle jednak silny, iż chłopiec uwierzył, że Kolekcjonera można unieszkodliwić.

— Gołe ciało — powtarzał Kolekcjoner, otwierając usta ziewające purpurową czernią. Puste oczodoły błyszcząły radośnie. Potykał się, idąc przez scenę Małego Teatru, ale instytut ślepeca prowadził go do Grand Theatre.

Tom starał się umknąć, idąc spokojnie przez proscenium-Jakie to rozwiązanie? Jak brzmi ta odpowiedź? PamiCta audytorium wypełnione martwymi chłopcami i siebie, w Cx . Szkieleta, unoszącego się nad nimi. To gdzieś tam znajdU) się ta odpowiedź. Musi pomyśleć. Jak jednak może ślj skoro w głowie ma pustkę? Po prostu magia, to w

374

nosiła swoje pantofelki na wysokich obcasach, paznokcie wbijały się JeJw ciało, sprawiając, iż każdy krok był krzyżowaniem niemal takim, jakiemu został poddany Tom...

Pragnęła znaleźć się z nim w pociągu, położyć nogi na siedzeniu przed sobą i oddalać się stąd, oddalać, oddalać.

Natrafiała ręką na drzwi prowadzące na scenę. Zza kurtyny dochodziły krzyki Kolekcjonera i wiedziała już, że nie będzie żadnego pociągu ani ukochanego Toma w wagonie sypialnym koło niej... Tylko Collins potrafił wnikać do wnętrza Kolekcjonera...

Róża szukała po omacku klamki. Znalazła ją, nacisnęła i drzwi otworzyły się na ciemny korytarz.

— Droga. Róża — powiedział Collins.

Złapała powietrze otwartymi ustami. Stał w holu, opierał się o ścianę, ręce miał skrzyżowane na piersiach.

— Proszę... — zaczęła i wtedy zobaczyła, że to nie był Collins, lecz jeden z jego cieni, jedna z postaci, które pojawiły się w oknach przed pojawieniem się na niebie satanicznego tworu. Zawsze potrafiła odróżnić cień od rzeczywistej osoby, chociaż tworzenie cieni było jedną z jego najlepszych sztuczek. Delowi, który widział to wiele razy, też czasem udawało się odgadnąć fortele wuja.

— A dokąd to się wybierasz, kochanie? — zapytał cień.

— Donikąd — odparła posepnie.

— To rzeczywiście prawda. Nigdzie nie pójdziesz. Nie wol no ci. Pamiętaj o tym, Różo, dobrze?

— Pamiętam.

— Myślisz, żeby z nim uciec? Czy to ta mała rólka, którą odegrałaś, sprawiła, że zapragnęłaś, aby tak było naprawdę? Patrzyła na cień, a on się do niej uśmiechał.

— Rozmawiałaś z nim o Hilly Vale? — spytał urągliwie. —

Och, jestem niedobry dla naszej ślicznej, małej Róży z Vermont. Nie powinienem być niegodziwy wobec kogoś, kto tak bardzo mi pomógł.

— Nie powinienes — powiedziała. W oczach poczuła łzy.

— Jeśli ten twój przyjaciel zdoła wywinąć się mojej zabaweczce, co jest mało prawdopodobne, to jednak zmusi my go, żeby zatańczył, jak mu zagramy, prawda? Będzie Musiał jeszcze raz wybierać i znowu dokona niewłaściwego wyboru. Będzie mu się bowiem zdawało, że jest to jedyny możliwy wybór. A wtedy pomożesz mi, czy nie tak, Rózo?

— Nie pomogę — oświadczyła.

— Bunt? I to buntuje się ktoś, kogo tak często wspierałem?

377

stopień i jego ręce objęły szyję Toma. Z pustych oczu świecących przed Tomem wydobywały się promienie przenikające do jego mózgu, a kiedy kościste ręce zacisnęły się wokół jego szyi usłyszał zmieszane, nieskładne zdania. „Sowa doktor Kolekcjoner widzi jakieś ciało sowa wylatuje okno wie, że on tam był OGIEN! sowa sowaogień zabiera to życie twoje też, Ven-douris, skąd nadchodzi? lisiągłowa SOWAOGIEN FLANAGI-NIPŁOMIEN wilcza głowa na oszczepie światło świeci przez zakrwawioną szybę coś rusza się w mojej kieszeni...” Nie kończący się bełkot płynący z duszy i umysłu Szkieleta był bardziej przerażający niż palce zaciskające się na szyi Toma.

Wtedy znów nastąpił zwrot w umyśle Toma i ponownie uniósł ręce w obronie przed atakującymi go obrazami, przed zagmatwaną osobowością Szkieleta, która w niego wnikała, lecz zbrodnicze ręce kontynuowały swoje dzieło.

15

Róża brnęła poprzez dziwne zbiorowisko rekwizytów zgromadzonych za kulisami, przeciskając się między stołami, zrzucała porozkładane na nich karty. Któraś talia zawierała same asy kier i dwójki pik. Z pudełka po rozsypanych kartach wyskoczył dzoker, który był diabłem, wykrzywił się i podniósł do góry czerwone widły. Róża myślała tylko o tym, żeby się stąd wydostać. Widziała, jak Tom raz umarł, kiedy przezroczysty mężczyzna dźgnął go palcem i teraz wiedziała, że umrze ponownie. Otarła się o jakąś wysoką konstrukcję, która wyglądała jak brama albo zaporę i wtedy z góry spadło z sykiem błyszczące skośne ostrze i uderzyło o podstawę ramy.

Usłyszała echo braw spoza kurtyny, stamtąd, gdzie znajdował się Tom. Oklaski? Prawdą było to, co powiedziała Tomowi, że przez całe lato pan Collins nie panował nad sobą, że pił więcej niż zwykle i krzyczał przez sen. Wiedziała, że myślnami przebywał w innych czasach, w okresie dla ni*111 mitycznym, ze Speckle Johnem, Różą Forte i prawdziwymi „włóczęgami”... Przyczyną takiego stanu Collinsa był Tom Flanagan.

Róża natomiast odczuwała ból. Róża zawsze czuła ból i tylk° Coleman Collins wiedział o tym. Jeśli bowiem chodziła, stapać po mieczach, po rozłuczonym szkle, po rozpalonych węgla0*1' ziemia raniła jej stopy. Jedyne Collins wiedział, że kiedy

376

jelta. Inbush widział dziesiątki mężczyzn, którym tak właśnie ^pjeniało się zabarwienie twarzy, kiedy pojęli, że nadszedł kres ich życia-

Jego przyjaciel z łatwością poradził sobie z sześcioma dorosłymi mężczyznami — powiedział Collins.

— Był uzbrojony! — wykrzyknął Inbush. — Daj broń dóeciakowi, a będzie równie dobry jak żołnierz. Do licha, jeśli jeSt uzbrojony, to jest żołnierzem.

— Muszę stwierdzić, że nie nadajesz się do pracy, do której

cię zaangażowałem.

— Mówisz, że się nie nadaję, ty stary draniu? — Inbush postąpił krok w stronę Collinsa siedzącego w swoim krześle i spoglądającego na niego obojętnie.

— Doszedłem do wniosku, że będzie dla ciebie lepiej, jeśli zrezygnujesz ze służby u mnie.

— Do diabła, masz rację. Trzej moi ludzie nie żyją, dwaj uciekli, śmierdzące tchórze, a ty chcesz, żebym bronił cię przed tym małym głupkiem? — Znów brutalnie potrząsnął Delem. — Mogę odejść i to natychmiast.

— Odejdiesz, panie Peet. Twoja przydatność definitywnie się skończyła.

— Zaraz, chwileczkę. Dobrześ pan wyglądał, kiedy pod kopywaliśmy się pod tego borsuka, powiedziałybyśmy nawet, że jesteś w doskonałej formie jak na swój wiek, ale ja cię załatwię. Już ja cię załatwię.

— Denerwujesz mnie, panie Peet. — Collins wyprostował się w swoim krześle. — Zejdź mi z drogi i pilnuj mego bratanka.

Del jęknął, kiedy Inbush odepchnął go i ruszył w stronę Collinsa.

— Uważaj — powiedział Collins i zamknął oczy.

Na sekundę pojawił się wokół niego czarny cień. Inbush s*anał bez ruchu. Czarny cień został obramowany czerwoną l[^]ią i oba kolory zaczęły wibrować, tworząc jedną grubą niebieską smugę. Inbush wydał okrzyk grozy.

Aura Collinsa lśniła przez chwilę. Inbush chwycił się rękoma za głowę. Zapach prochu wypełnił pomieszczenie i Floyd {[^]bush eksplodował, jakby w jego wnętrzu znajdowała się bomba.

Coleman Collins i jego bratanek zostali ochlapani lepką,

Czerwona cieczą. Różowa masa uderzyła Dela w piersi z siłą [^]ocno kopniętej piłki i przylgnęła do jego koszuli. Del spojrzał a to, otworzył usta i zacisnął powieki. Zaszumiało mu Uszach. Del był ocalony. Stał nic nie słysząc i nic nie widząc.

379

Czy chcesz mi powiedzieć, że chciałybyś wrócić do Różyczko?

Był spokojny. Wiedziała, że wygra. Coleman Collins zawsze wygrywał. Mimo to potrząsnęła przecząco głową. e

— Jest to, naturalnie, pytanie akademickie — Powiedział cień — ponieważ zawsze będziesz tu ze mną mieszkała i będziesz moją królową. Umiłowany chłopiec zostanie odnaleziony u podnóża skały wraz z moim bratankiem, a następnego lata znajdzie się tu, być może, inny uroczy młodzieniec. Następnego lata albo za pięć lat... chłopiec odczuwający w sobie dziwne poruszenia, chłopiec, który nie wie, kim jest. Jeszcze parę głosów w tunelu? Następnego roku będę bardziej nad sobą panował, obiecuję ci.

— Nienawidzę tych tuneli — wyznała Róża.

— Będę bardziej nad sobą panował — przyrzekł cień rozpluwając się. — I bardziej nad tobą, kochanie...

16

— Trzymaj go mocno, panie Peet — nakazał czarodziej. — Trzymaj, nie popuszczaj, wkrótce dowiemy się, czy jeszcze będzie potrzebny, żeby zagrać swoją rolę. Czy muszę mówić, że twoi ludzie swoje role odegrali bardzo źle?

— Gdybyśmy byli sami, bez niego — pan Peet wolną ręką szarpnął brutalnie Dela za włosy—gdyby nie to małe gówno, to czy też tak by mnie pan nazwał? — Pan Peet był w rzeczywistości zwolnionym z aresztu żołnierzem piechoty morskiej o nazwisku Floyd Inbush, który został karnie wydalony z wojska w Korei za obcięcie uszu Koreańczykowi z Korei Południowej. Przedtem Inbush spędził pięć lat w stanowym więzieniu w Joliet za napad z bronią w rękę. Teraz ta afera z „panem Peetem” działała mu na nerwy, tak samo jak uwagi obecnego szefa na temat nieudolności ludzi, których zwerbował.

— Dopóki przebywasz w tym domu i na tym terenie, jesteś panem Peetem — oznajmił czarodziej. — Znałeś warunki, kiedy cię najmowałem.

— Rzeczywiście? — prychnął Inbush. — Dużo wiedziałem o tej parszywej robocie, a pan zdawał sobie sprawę, że nic nie wiem. Spójrz pan na tego szczeniaka. To przed czymś — kin1 mieliśmy pana strzec? — Znów pociągnął Dela za włosy.

Del miał oczy szeroko rozwarłe, błyszczące, jego z natury oliwkowa przybrała szary kolor jak u chorego

378

^yj pokój to ja. Tom zdawał sobie sprawę z ostateczną, całkowitą pewnością, że mówiąc to, staje się wreszcie czaro-j^jejem, nie drugorzędnym medium, ale czarodziejem, czarną postacią ze sztyletem.

Powitał sam siebie, potem kiedy uświadomił sobie własną nikczemność, odkrył,

jaki sposób oswobodzić Szkieleta Ridpatha od Kolekcjonera.

Spoglądał na odgrywającą się przed nim parodię magii i widział chłopca z gimnazjum z zębami z wosku jak u Drakuli i w peruce

jak straszdyłło o krótko ostrzyżonych włosach, uczniaka, który

żalorny sposób pragnie budzić przerażenie.

— Wyjdź, Szkielecie. Teraz możesz wyjść. Wyjdź z tego zaklętego dzbana.

poczuł ucisk, ból głowy — rnuś się udać.

Tom sięgnął do wnętrza, wsunął długą sondę i tym razem Szkielet oplótł się wokół niej.

WYCHODŹ! Tom pociągnął, jakby wyciągał z oceanu rybę^miecz, która opiera się i chce pogrążyć go w głębinie. WYŁAŹ! Ciągnął tak mocno, że prawie z wysiłku stracił przytomność.

Nagły brak oporu odrzucił go do tyłu, a gorący wicher przyparł do ściany. Przed sobą ujrzał coś przypominającego miękki worek, a obok wysokiego, chudego chłopaka z zaczerwienionymi czarnymi oczyma. Worek przewrócił się, pociągając za sobą chłopca.

Tom, przykłęknąwszy, spojrział na Kolekcjonera, żeby zobaczyć, jak wygląda, kiedy jest pusty. Twarz z gumy, reszta zgałganów i drutu. Szkielet oblany potem poruszył palcami jak niemowlę. Oczy miał zamknięte.

— Flanagini. Och. Ogień — zajęczał.

— Już się skończyło.

Tom pochylił się nad nim. Zapach nie umytego, chorego ciała był wprost przejmujący. Szkielet miał na sobie brudne dżinsy i koszulkę pachnącą spalenizną.

— Rozumiesz mnie, Ridpath? Już koniec. Jesteś wolny.

— Mhm — zamruczał Szkielet z twarzą wbitą w dywan.

— Możesz się ruszać?

Szkielet otworzył nabiegłe krwią oczy.

— Flanagan?

-Tak.

Twarz Szkieleta zaczęła nabierać wyrazu.

— Dopadłem go! — krzyknął. — Naprawdę. Wreszcie go
^Padłem.

Możesz się poruszać? Musisz jak najszybciej opuścić ten
Jaki dom? — zapytał Szkielet i po raz pierwszy jego

381

08S

o% Biajapizg łsAim i js.?uin oSaf zi osouiopeuw jBfSod — uiafosiod UIIOMI
XJDXUS3ZDAV a JA Xzsnp CaMS XuiBjq tajo:pf Bjp
p% 'njs?um oSafpsazo fauBMonnuib^Bz fauMad uiaiuajp 'uisidosBzo z iuiB3iupXAV Błapi3{zs
zazjd fep?oqn^ feifBł z 'tosoudoj^o BiupfSBf BJ az 'oSauibS
apuauiou

3

iiCł M zBMaraod 'j^feted UIJCZOIU tunuoł^pnB njgns z oSaofefBSiMZ BTzPT^ uo OMIA 3?
'osouAvad ztu 13MBU BZSJOS

az ^sXui BZSJOSIBU OX •tuafoifod UIIOMI Tiaa^a UIIOAVI xxia\Aą Bf 'nfo5{od uiioMł M
ats uiajpMopreuz az 'osop aiN "apatapizs 'pp^od fcui 'uaiSo fci^ -|BtzpaTAV ataos o SBZO -ip^jop
OD 'ołłs-iCzsM A^Czjna 'aujaj^SAi BUIOX B^p A^I 9ł TT?^W •UIBUI oS az 'tiajBizpaiM
a^c9o M IITUBZ 'Bio;B];nuin3iB ośau i op sa^ci Xuozofejpod 'apapi^zg 'A V 'ysT"

•jauorojiap^ jBjdazs^M — uaiuioid T •UB9BUBIJ[UIOJ, zoai 'pa aiN uo 9TN apapi^zs
'XzajBZ p mp{ BU uiajsar Bf -uojiMBd uiapiBdpod Bf o,^ -Biajapizs nSzcu i op
afOMS OBUSpM {BAS.OJIST1 tUOX — 3A.OS 3} UI3{pBJ3in Bf
•atUBps BU BajBj 3{Bf BJSASBZ
BUO^BZS 'BUIOJL TiCzS Z ^BpBdO BjaUOf0513{O5I 90^ ",^BJ,"
5is o{XqopXAV BiuBłoJuiBut OSSIJ^OBUBM n^ołod pods 'UIB; aiuii zsXzs^g Htp^zji[s d%
atuui Ałsoun —

:Bjapi3izs op ;jiA\ouiazjd uiox T z^jao iCum ats {feunsBu uiaiOjj "yfa^zs o Bzaapn
iraBjppCzjsis TuiAuz§jod iiUiCMs 5tBf{Bzs^{sn t ferjBZjfn AVCU2 -&AVOS uiaujfo BZ
utajBizpiiw 'npojjod UIIOMJ M tuaj^a 'lapi^zs ląB^so §qoojł Mco^Bd sfspn aęsods ^UMopno
sisfBf A^ i UIOJ, |BisXuiod — nposiod UIIOMJ M uia^g
jpnu aiąos soo 'ais

' 5IS Xj§uspM Bj

oSaf

i uBps op auBzpjaiAvj^zjd 'faiSrup od feupaf "°loj 'faMosuBuoazj apAd fauBtuMaip BU
feofeza^ 5MOS {^zoBqo2 'UOSJBQ /A nuBidajJoj &AvyCjj{od aofezsoudpod 'I ośaf AąAą Aąaet
'Błapisizs aoai tBtzpi^ -B

'BUT^S BMAđs Bjauaj; \sn z ^Bf" 'BU^S O§3MS sftą

§ f 3zjqop ł^qz oS {Buz

3z 'OŚSJBIP OMops5zo B 'nSzcu i OS3UOZO^5IUIZOJ

oSazouajBzs npoMod z

LI

różowe światło, rafy koralowe połyskujące w żałogach, jakby gnieździły się w nich robaczki
świętojańskie. I rozrzuconej na podłodze talii kart wyglądał diabeł i uśmiechał się do Toma.
„Lubisz wyboistą drogę, mój chłopcze?” jeden z podwodnych robaczeków świętojańskich okazał się
łśniącym nożem gilotyny.

— Rózo.

Była w ciemnym korytarzu, opierała się o ścianę. Tom vpszedł przez wyjściowe drzwi ze sceny i
patrzył na nią przez (jłuższą chwilę, zanim go zauważyła. W swojej zielonej sukience isryglądała
jak mała dziewczynka, o której zapomniano na urodzinowym przyjęciu. Czowała się samotna i

opuszczona. Tom pomyślał, że i ona musiała przejść przez własny „pokój Szkiele-ta”. Nagle zorientowała się, że ktoś jeszcze znajduje się w korytarzu, obróciła się gwałtownie i zobaczyła Toma. Twarz jej przybrała wyraz radosnego zdumienia.

— Ty to zrobiłeś — powiedziała spokojnie, ale głos jej zadźwięczał jak dzwon.

Tom skinął głową.

— Jak się czujesz?

— Teraz świetnie — odparła. — Kiedy cię widzę, czuję się doskonale. Dlaczego tak na mnie patrzysz? — spytała.

Tomowi wydawało się, że mógłby zawładnąć jej duszą tak, jak uczynił to z duszą Kolekcjonera. Coś go jednak powstrzymało. Nie tylko przekonanie, że postępek taki byłby niczym włamanie się do biurka przyjaciela, żeby przeczytać jego korespondencję, ale też nagłe uczucie, delikatne jak muśnięcie piórkiem, iż znajduje się w obcym miejscu.

— Del jest na górze. Z nim — powiedziała Róża.

Oboje poczuli niemiłe zakłopotanie, uświadamiając sobie niemal jednocześnie, że znają prawdę o sobie.

— Coś ci się przydarzyło, kiedy tam byłem. Co to było?

— Był tu pan Collins. Nie ten prawdziwy, lecz jeden z jego Qeni, jeden z tych, które widzieliśmy w oknach. Rozmawiał ze n. — Róża buńczucznie potrząsnęła głową. — Powiedział, że mi nie wolno go opuścić.

— Chce skrzywdzić Dela?

Róża zamrugła powiekami.

— Nie, jeśli go nie zmusisz.

— Idę po pistolet — oznajmił Tom i wszedł w ciemny korytarz. — Nie pozwolę, żeby skrzywdził Dela.

. Zrobił zaledwie parę kroków, kiedy podbiegła do niego i wzięła go pod rękę.

383

oczy wydały się normalne, oczy koloru błota w przydrożny**, rowie.

Tom potrząsnął go za ramię, które robiło wrażenie, było z miękkiej gliny.

— To już dla ciebie nieważne. Wstawaj i wynoś się. Znaj, dziesz drzwi. Idź podjazdem do ogrodzenia, przeciśnij się przez» pręty i skręć w lewo. Jesteśmy w stanie Vermont. Godzinę drogi stąd jest miasto o nazwie Hilly Vale.

— Jesteś taki sam jak on, no nie? — Szkielet usiłował wstać opierając się na rękach i kolanach, chwiejąc się jak mały żreback. Na szczęście zdołał sobie poradzić. — Nie musisz odpowiadać. Wiem.

Tom spojrział na posiniaczoną, znieawidzoną twarz i ujrzał — o zgrozo! — wyraz obrzydzenia, jakie sam odczuwał. Szkielet splunął mu w twarz. Żółta flegma przylgnęła do policzka Toma.

— Jesteś taki jak on — powtórzył Szkielet.

Tom powoli wytarł plwocinę z pobródka.

— Wynoś się, Szkielet, w przeciwnym razie on cię zabije. — Jakiś szalony głos w jego głowie domagał się, żeby użył swej siły, podniósł Szkieleta i trzasnął nim o ścianę, połamał mu kości. W powietrzu ujrzał fotografię Szkoły Carson, której kontury były obrysowane czerwonymi płomieniami.

Szkielet, patrząc w twarz Toma, wstrząśnięty cofnął się. Uderzył w krzesła w pierwszym rzędzie.

— Ujeżdżaj! — rozkazał Tom.

Szkielet niepewnie ruszył w stronę drzwi. Ręce Toma były jak rozpalone ciężary.

18

Oklaski, panowie? Ale postacie na fresku ponownie znieruchomiały. Nawet Kolekcjoner znalazł się znów na ścianie Małego Teatru i wpatrywał się w Toma, wciąż go pożądam. Nie ma potrzeby, już mnie pożarłeś. Tom poczuł niesamowitą siłę przyciągania. Gdyby był choć odrobinę słabszy, znalazłby się wewnątrz Kolekcjonera, dzieląc wieczność ze Szkieletem Bici" pathem.

Podszedł do sceny, ale nie miał siły, aby na nią wejść.

— Rózo? — Nie odpowiedziała. — Rózo?

Ruszył ku schodkom z boku sceny i wszedł na deski za kurtynę. Nieoczekiwanie znalazł się w podwodnym świetle-

382

ciągnął pistolet do piersi. Zapach prochu i oleju przypomniawszy jemu swąd jego spalonego puzonu.

— Idziemy na górę? — spytała Róża.

—? Idziemy na górę. Po cichu.

Wyszli z bawialni i przemknęli na główne schody. Wznosiły się z szarej ciemności w dole do przytłumionego światła na górze. Umieszczone we wnękach koło sypialni Collinsa lampy oświetlały górną część ścian oraz wahadłowe drzwi.

Róża weszła na pierwszy stopień i obejrzała się na Toma. Przyciskając rewolwer do piersi, skinął głową, a ona bezszelestnie postawiła nogę na następnym stopniu. Tom starał się iść równie cicho. Zauważył, że Róża zdjęła pantofle i niosła je teraz w lewej ręce. Tom stawał stopy w miejsca, gdzie przed chwilą były jej bosa stopy i nagle odniósł wrażenie, że kroczy po nożach, po płomieniach. Zdumiony spojrzał w górę. Róża powoli wchodziła z jednego stopnia na drugi. Tom przesunął nogę trochę na bok — poczuł miękką, zwyczajny dywan. Kiedy znów szedł śladami Róży, powtórzyło się wrażenie stąpania po ostrzach, choć wydało mu się słabsze.

Róża stanęła na podeście i czekała na niego. „Powiedział, że nigdy nie wolno mi go opuścić”. Czy powiedział ci, Rózo, że zawsze będziesz stąpała po nożach?

— Och, Rózo — wyszeptał.

Potrząsnęła głową i spojrzała z niepokojem na drzwi wahadłowe, potem znów na Toma. Tom ustawił rewolwer tak, żeby lufa skierowana była do przodu, prawą ręką ujął kolbę i podparł ją lewą. Róża delikatnie popchnęła połówkę wahadłowych drzwi, uchylając je. Tom wsunął się w ciemność. Zobaczył światło przesączające się przez nie domknięte drzwi sypialni Collinsa. Pozostało mu wpaść przez nie do środka. Jeszcze raz poprawił rewolwer, przesuując cały jego ciężar na prawą rękę i położył palec na języczku spustu. Po prostu wejdź i strzel, mówił sam do siebie. Nie myśl o niczym, tylko Pociągnij za spust. I wszystko się skończy. Serce biło mu gwałtownie. Kiedy był gotów, otworzył kopnięciem drzwi i wtargnął do sypialni.

To, co zobaczył, zaparło mu dech. Gigantyczna, pokrwawiona czaszka uśmiechała się do niego ustami jak paszcza rekina.

— Del! — krzyknął przeraźliwie i lufa pistoletu zachwiała się, gdy bezwiednie pociągnął lewym palcem za spust.

13 _

Kraina Cieni

385

19

Światła przed domem rozjaśniały dwa słabo widoczne stony znajdujące się na trawniku. Tom pozwolił Róży prowadzić się w tamtym kierunku. Zapadła już ciemna noc i niebo usiane było gwiazdami.

— Zauważysz go w takich ciemnościach? — spytała.

— Muszę — odparł.

Starał się przypomnieć sobie, gdzie upuścił pistolet. Czy stało to się, zanim podszedł do drabiny,

czy miał go jeszcze przez jakiś czas? Pamiętał, że rzucił pistolet, że ten wystrzelił w trawę i został odrzucony siłą wybuchu.

— Zatrzymaj się, Rózo. To gdzieś tutaj. Podniosłem się chyba w tym miejscu. Nie oddalałem się zbyt od tych kamieni.

Rozglądał się wokół, lecz nie dostrzegł broni. Znow ogarnął go strach.

— Nie widzę go, nie widzę — wyszeptał.

— Chodźmy jeszcze dalej — zaproponowała Róza.

Poszli parę kroków naprzód.

— Nie, to za daleko — powiedział Tom, patrząc na leżące na trawie ciało Ślimaka. Ślimak wyglądał jak eksponat w muzeum figur woskowych. Ciało Ciernia leżało zdumiewająco daleko.

— Czy Ślimak aż tak blisko podszedł do ciebie? — zapytała Róza.

— Nie sądzę... Nie wiem.

Tom postąpił do tyłu, przypominając sobie, w jakiej znajdowali się odległości. Zrobił kilka kroków w bok i kiedy spojrzął pod nogi, zobaczył leżący w trawie pistolet. Ukląkł i podniósł go obiema rękami. Lufa była wciąż ciepła. Wstał, unosząc go na dłoniach jak ofiarę.

— Zostały jeszcze dwa naboje — oświadczył. — Wystrzelę mu je prosto w oczy.

Kiedy spojrzął na Różę, zobaczył aureolę włosów wokół jej głowy oświetlonej lampą z tarasu.

— Pomóż mi — poprosił. — On jest szatanem i ja mu przestrzelę oczy. *»

W dalszym ciągu trzymał pistolet w złączonych dłoniach-Róza pomogła mu dojść do patio i przejść przez nie. Weszli do bawialni, w której zauważyli plamy po krwi. Tom nie poczuł prądu powietrza budzącego podniecającą ciekawość jak w dniu przybycia. Kraina Cieni zastygła w oczekiwaniu.

Przy-

384

— Dlaczego w takim razie nie zatrzymasz mego serca?

— Bo wtedy sam wyłączyłbym się z przedstawienia. To ty musisz zdecydować. — Znow się uśmiechnął. — Dam ci jeszcze możliwość innego wyboru. Możesz oddać swoją pieśń. Zostaw Dela. Zostaw Różę. I tak będziesz musiał to zrobić. Wyrzeknij się magii. Mnie przekażesz swoje umiejętności. Możesz po prostu wyjść z Krainy Cieni i być tym chłopcem, za którego uważałeś się, zanim tu przyjechałeś. — Collins podniósł i rozłożył ręce. — To najlepsza propozycja, jaką mogę ci przedstawić. Poświęć swoją pieśń, a wykorzystaj swoje nogi, żeby jak najprędzej i na zawsze odejść z Krainy Cieni.

— Del umrze, ty zatrzymasz Różę, a ja odejdę bez przeszkód, czy dobrze zrozumiałem?

Del niemal zwiślał z kolan czarodzieja. Jego twarz była szara i ledwie oddychał.

— A to drugie, co innego mam do wyboru?

— Odrzucisz pistolet. Twoja pieśń przeciwko mojej. Przedstawienie będzie toczyło się, dopóki Kraina Cieni nie będzie miała bezspornego pana. Nowy król lub stary. Co powiesz na to, chłopcze?

Zabierz moją moc magiczną i wypuść mnie stąd — wołał wewnętrzny głos Toma. Usłyszał z tyłu jakiś ruch, odwrócił głowę i zobaczył Różę stojącą w otwartych drzwiach. Noże. Jak często, ile

nocy przebywała w tym pokoju, gdzie sowy pohukiwały z sufitu?

— Pieśń — powiedział Tom i rzucił pistolet w stronę łóżka.

Kątem oka dojrzał, że Róża wysunęła się za drzwi. Pistolet wylądował daleko, poza zasięgiem ręki czarodzieja. Wnętrznosci Toma skurczyły się, oblał go zimny pot. Wywiodłem was w pole — przyszła mu na myśl ironiczna piosenka Lonniego Donegana skierowana do policjantów na Rock Island i zrozumiał, że został zmuszony, że sam przyzwolił na dalsze Uczestnictwo w grze Colemana Collinsa.

— Dobrze. Ale oczywiście pamiętasz dewizę czarowni ków — powiedział Collins.

„Wywiodłem cię w pole, wywiodłem cię w pole...”

— Brać to, co cudze, jeśli dla ciebie jest coś warte, a w grze fozdawać swoje własne karty. Powinieneś był uciec, dziecko.

Collins wstał, oczy mu rozblęły. Na podłodze oszołomiony Ptak trzepotał skrzydłami, rysując pokrwawionymi piórami "elikatne, japońskie wzory.

.X

387

20

Pistolet odskoczył, ale Tom zdołał go utrzymać. Eksplozja omal nie rozsadziła mu głowy, w uszach poczuł ucisk, jakby się kręcił na diabelskim młynie. Z sufitu odpadł kawałek poplamionego krwią tynku. Cały pokój pokrywały skrzepy krwi. Na wprost Toma powiększona fotografia czaszki upstrzona była krwią, plamy krwi znajdowały się na łóżku i innych meblach, krew kapiała z sufitu, na którym poprzyklejane były zdjęcia sów.

— Del! — wrzasnął Tom.

Na podłodze, gdzie miał właśnie postawić nogę, zobaczył fragment górnej szczęki, z której sterczał jeden biały ząb.

— Jesteśmy tutaj, Tomie — doszedł go z prawej strony głos Collinsa. — Ufam, że pragniesz ocalić życie swemu przyja cielowi.

Obrócił się w stronę, skąd płynął głos. Ledwie oddychał, rewolwer ciążył mu w dłoniach. Collins, wyraźnie teraz widoczny, siedział na sowim krześle, a na jego kolanach — Del. Oni również pochłapani byli krwią.

— Został jeszcze jeden pocisk — oświadczył Tom, trzy mając pistolet wycelowany w rozbawioną twarz czarodzieja. Del przyglądał mu się, ale wydawało się, że go nie poznawał. — Del, zejdz mu z kolan.

— Nie słyszy cię. I nie będzie słyszał, śmiem powiedzieć. On dał za wygraną. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. A teraz odłóż tę broń.

Tom jak szalony usiłował umieścić palec na spuście.

— Mogę sprawić, że ten rewolwer roztopi ci się w ręku w przeciągu sekundy — oświadczył Collins. — Mogę też zabić cię, powodując eksplozję. Nie masz żadnej szansy. Przyszła pora, Tomie, byś poniósł ofiarę. Przyszła pora, abyś dokonał wyboru, tak jak Speckle John musiał wybrać. Przedstawienie jeszcze się nie skończyło, a właściwie dopiero się zaczęło.

Tom stopniowo rozpoznawał wiszącą za czarodziejem P^o większą fotografię: Róża Armstrong — ubrana jak porcelanowa pasterka, z inteligentną twarzą, zupełnie niewspółc^es-ną, ale z jakiejś innej epoki i z innego miejsca.

Tom opuścił broń.

— Czy poświęcisz ten pistolet, żeby ocalić życie mojemu bratankowi? Muszę przyznać, iż Del znajduje się w szoku pourazowym i może umrzeć. Ale jeżeli nie poświęcisz tego rewolweru, to natychmiast zatrzymam bicie jego serca. W z pewnością, że mogę to zrobić.

— Och, poskarżyłaś się na mnie — oznajmił cień, zamigotał tuzinem tańczących płomieni i zniknął.

— WITAJCIE W IMPERIUM ZIELONEGO LASU! — buczał metaliczny głos.

Ptaszek w rękach Toma drżał i kwilił, i wykręcał szyję, żeby spojrzeć mu w oczy. Płomienie zgasły, nim dosięgły ziemi, tak jak ognie sztuczne. W dole w łolu światło księżycy rzucało srebrne plamy na podłogę i ściany, poza tym Kraina Cieni pogrążona była w ciemności, podobnie jak tunele znajdujące się pod letnim domkiem.

Del uspokoił się w jego rękach, a Tom przestraszył się, że umarł. Poczł jednak pod palcami słabe, regularne bicie serduszka wróbla. Rozpiął koszulę i tkliwie przytulił Dela, piórka muskały mu piersi.

Na zewnątrz zaczęły strzelać sztuczne ognie, wstrząsając całym domem i oświetlając go czerwonymi oraz błękitnymi promieniami. Przytulony do serca Toma Del zapłakał prawie ludzkim głosem.

U wejścia na schody pojawiła się smuga światła; w niej ukazał się Herbie Butter otoczony jasną aureolą, ubrany w czarny frak, w rudej peruce, z ubieloną twarzą.

— Panie i panowie, mamy ochotnika, jest nim dzielny Tommy Flanagan, który przybył tu z daleka, aż ze słonecznej Arizony w Stanach Zjednoczonych! Gotów jesteś, Tomie? Możesz nam zaśpiewać?

— Odmień go z powrotem! — zawołał Tom, a Herbie Butter zrobił salto do tyłu i wylądował na nogach, wskazując palcem w niebo.

— Odmienić go? Łatwiej to powiedzieć niż wykonać, chłopcze. Teraz jednak ta sztuczka należy do ciebie. — I zniknął wśród tańczących płomyków.

— STARY KRÓL, JEDYNY KRÓL!

Tom zdołał znaleźć po ciemku drogę w dół po schodach.

„...żona Philla wygląda raczej mizernie tego lata, Nick...”

„...co masz z tego, że jesteś w dwóch miejscach naraz...”

Z tuneli płynęły głosy, współgrając w przedstawieniu odbywającym się w ciemnościach. Słychać też było głosy z innych miejsc Krainy Cieni, „...jeśli któryś senior upuści swoje książki

podłogę, macie je podnieść. Zanieść je tam, gdzie wam Powie, żebyście zanieśli. Macie robić wszystko, co wam każe senior...”

Zszedł z ostatniego stopnia i byłby się potknął, bo spodziewał się, że będzie jeszcze jeden.

zrozumiano? Będziecie skazani na unicestwienie, SKA-

389

21

Tom wiedział. Collins przygotował go do tego starannie przepowiedział to, zasiał w jego umyśle ziarno tej ostatecznej zdrady. „Niegdyś były ptakami, ale zostały oszukane przez wielkiego czarownika i teraz wciąż usiłują śpiewać i wciąż starają się fruwać”. Wróbel, rysujący krwią pana Peeta japońskie litery na wypolerowanej podłodze, usiłował pofrunąć. Wróbelek popiskiwał, a Tom wiedział, że to Del płacze. Z przerażeniem patrzył, jak ptaszek przewrócił się na bok i wodził za nim wystraszonym i oszalałym oczkiem podobnym do czarnego kryształka.

Bajki porozpadały się i pomieszały. Stary król miał pod koroną głowę wilka, a młody książę

zakochany w pięknej dziewczynie trzepotał skrzydełkami, będąc w ciele wróbelka. Mały Czerwony Kapturek stapał po nożach i mieczach, a mądry czarodziej, który kroczył na końcu orszaku, ażeby wszystko doprowadzić do porządku, był piętnastoletnim chłopcem. Uklęknął na pokrwawionych deskach podłogi i wyciągnął ręce, chcąc ogarnąć przemienione ciało swego najbliższego przyjaciela.

— Nie mogę, Rózo, przywrócić mu poprzedniej postaci —
łkał.

Serduszko wróbla pod jego palcami biło jak oszalałe.

— Nie wiem, jak go znów odmienić! — Słyszał swój głos jak wtedy, gdy wbijano mu w dłoń gwoździe. Wróbelek drżał mu w dłoniach, małe skrzydełko leciutko uderzyło go w kciuk.

— Będziesz musiał nakazać panu Collinsowi, żeby go przemienił — powiedziała Róża. Stała w drzwiach i patrzyła na Toma unoszącego oszołomionego ptaszka w zabandażowanych rękach. — Zmusz go, żeby to zrobił. — Jej głos był ostry.

22

Tom wyszedł z sypialni, trzymając Dela tak, jak trzymał pistolet. Coleman Collins opierał się o poręcz schodów.

— Witaj w Imperium Zielonego Lasu — powiedział czarodziej. — Miejsca w pierwszym rzędzie? Doskonale.

— Przywróć mu dawną postać — zażądał Tom.

— Proszę zająć miejsca.

— To nie on — szepnęła mu Róża do ucha. — To jego cień-

—

Tom stał w ciemności z Różą, czuł szalone bicie serduszka Dela.

— Wiesz, że ma rację. Nie potrafię zrobić tego, co on robi. Zwycięży mnie i wie o tym. — Dostrzegł przerażenie w oczach Róży, więc powiedział z udawaną pewnością: — Nie znaczy to, że nie będę próbował, ale nie potrafię robić takich rzeczy. Po prostu nie umiem.

— A czy kiedyś próbowałeś?

— Nie... nigdy nie próbowałem ukazywać się w postaci zjawy.

— No więc spróbuj.

— Teraz?

— Oczywiście.

— Nie wiem nawet, od czego zacząć.

— Zrobiłeś chyba jakieś postępy... nauczyłeś się czegoś.

— Sądzę, że tak.

— No, to zaczynaj. Od razu. Uwierz w siebie.

Przyszło mu do głowy, że to, czy się uda, nie ma nic wspólnego z wiarą w siebie, jednak postanowił spróbować. Pomyślał, że ma w głowie specjalne miejsce i tylko trzeba je odnaleźć. Wyobraź sobie, Tomie, że jest przed tobą lustro. Wyobraź sobie, że możesz siebie zobaczyć. Wyobraź sobie, że ten Tom w lustrze może mówić.

— Jesteś lepszy od niego, Tomie — szepnęła Róża.

Del skulił się jeszcze bardziej i przywarł do Toma, a Tom przypomniał sobie, jak wdzierał się do umysłu Szkieleta, jak równocześnie zdobywał nad nim kontrolę i tracił ją... jak miał wrażenie, że płynie... Zamrugnął powiekami i odniósł wrażenie, że przekreślił się w nim jakiś klucz... Wtedy pojawiła się w korytarzu drżąca, świetlista kula.

— Och, zrób to, zrób to zaraz — błagała Róża.

Tom skoncentrował się.

W stronę Toma sunął Kolekcjoner, w jego oczach malował się zawód, na ustach miał głupi uśmiech...

BA-BAACH! Nad domem eksplodowała rakietka i ogniste błyski pojawiły się w oknie nad frontowymi drzwiami.

Kolekcjoner przewrócił się.

— Przepraszam — powiedział i nawet roześmiał się. — Ale czy nie widziałeś? Tym razem obyło się bez żadnej szkody.

Wewnątrz nie było nikogo.

— Umieść tam Toma — prosiła natarczywie Róża.

Tom wyobraził sobie nie lustro, ale siebie samego tego dnia, śdy poznał Dela i nagle poczuł, że płynie i dał się ponieść, i inny Tom Flanagan pojawił się w świetlistej kuli w korytarzu. Na

391

ZANI NA UNICESTWIENIE, jeśli nie skorzystacie z moralne •
nauki, jaką wam daje ta szkoła..." J

Poczuł cierpki aromat dżinu.

— Odmień go z powrotem! — zawołał. Bał się, że za raz wpadnie w histerię, a to oznaczałoby ostateczną zgrubę.

— Musisz znaleźć prawdziwego — powiedziała Róża. — On chce, żebyś go znalazł, Tomie.

Tom osłonił rękoma drżące ciało Dela. Wróbelek podciągnął nóżki, złożył skrzydełka i leżał maleńki i ciepły pod koszulą Toma. Maleńki i ciepły, i tak przerażony, że umierał ze strachu. Wobec tego strachu wszystkie obawy Toma stawały się mało znaczące. Spojrzał na wyrzucenie pod koszulą i zobaczył dwie krwawe plamy, tam gdzie spoczywały jego ręce. Napad histerii, którego przed chwilą się obawiał, już mu nie groził.

— Ja też chcę go odszukać — oświadczył.

23

Zawrócili z powrotem do głównej części budynku. Nagle oślepiło ich światło. Coleman Collins stał w słupie ognia koło rzędu teatralnych plakatów. Po przeciwległej ścianie i po suficie ślizgały się pomarańczowe płomienie.

— Widzisz, doznałeś niepowodzenia — rzekł cień. — Nie skorzystałeś z nauki. Księga okazała się dla ciebie bezużyteczna. Niewiele też dobrego przyniosła Speckle Johnowi, o ile się orientuję.

— Przekreśliłeś słowa Księgi — powiedział Tom. — Używałeś niewłaściwie sił magicznych. Speckle John powinien był zostawić cię na tamym pagórku, żebyś umarł. Dziki lis powinien przegryźć ci gardło.

Postać w płomieniach zachichotała.

— Teraz mówisz jak Ouspensky. — Udawał, że ziewa, a potem uśmiechnął się krzywo. — Wiesz, oni bali się mnie, Ouspensky i Gurdzyew. Dlatego tak dziwnie się zachowali. Bali się mnie, tak jak i ten napuszony Crowley.

Sztuczne ognie strzelały w niebo.

Płomień przybrał kształt kropli łyzy wiszącej w powietrzu. W niej majaczyła głowa Collinsa.

— A on był silniejszy niż ty, drogi chłopcze... — Płomień i głowa zniknęły równocześnie.

390

Mężczyzna oraz kobieta, których głowy wyglądały jak zwęglone pieńki, wstali z kwiecistej kanapy, wyciągając ręce i usiłując powiedzieć coś ustami, które mieli wypalone. Tom poczuł mdłości i cofnął się. Ich ubrania tliły się, a zza kołnierza mężczyzny wyskakiwały płomyki ognia. — ...znoszę wariackiej muzyki!

— Nie przejmuj się nimi, mój mały. — Ręką otoczył ramiona Toma. — Zanadto przypieчени, żeby mogli wyraźnie mówić. Przypominasz sobie te inne osoby, o których wspomniałem?

Ślimak i Cierń stali koło stołu. Para w wieczorowych strojach szykowała się do tańca (teraz Tom słyszał muzykę — melodii granej na trąbce wtórowały smyczki. „Jackie Gleason gra tylko dla zakochanych”).

— Nie mogę tego znieść! — krzyknął William Bendix i rozbił szklankę o bufet.

Ślimak i Cierń mieli krwawiące dziury w czołach, chociaż kule Toma ugodziły ich w zupełnie inne miejsca. Ich twarze były niewinne i łagodne, pozbawione wszelkich uczuć...

— Napij się, czyż nie jesteś mężczyzną? — Bogart nalał coś, co dymiło i pienilo się, z karafki do szklanki. Mrugnął okiem i połowa twarzy zaczęła mu drgać pod wpływem nerwowego skurczu. — Wlej to w siebie, a zaraz poczujesz się lepiej.

Tom rozglądał się za Różą. Humphrey Bogart wciskał mu do rąk dymiącą szklankę. Róża zniknęła.

Rudowłosa kobieta w czarnej sukni z głębokim dekoltem łypnęła na niego okiem... „ona jest... ona jest...” Twarz, jaką widuje się na setkach filmów, zadarty nos, śliczne usta, nagle stała się obrośniętym rudym futrem pyskiem szczerzącym kły. W jednej chwili twarze wszystkich zamieniły się w zwierzęce mordy, małpie, lisie i wilcze, i spoglądały na Toma złośliwie, gdy tymczasem rozlegały się takty melodii Ty i światło księżycy.

Postać ze świńskim ryjem chwyciła szklankę z rąk Toma i przytknęła do warg. Przez środek pokoju, potykając się, szedł mężczyzna o nazwisku Creekmore. Jeden policzek zwiślał mu z błyszczącej kości, do ramion przylgnęły mu ociekające wodą chwasty.

— Różo! — zawołał Tom, ale gwar przyjęcia zagłuszył jego wołanie.

Knur zachichotał mu wprost do ucha, a perliste tony głosu Bobby'ego Hacketta stały się głośne i chrapliwe... Coś gorzkiego i palącego dotknęło jego ust.

PRECZ!!! krzyknął w myśli. Zamknął oczy i zacisnął usta.

393

głowę naciągał szkolną czapkę, uśmiechał się, otworzył usta, z których wydobył się nieprzyjemny odgłos. Zniknął.

— Widzisz? — powiedziała Róża.

Wtedy w świetle salonu zobaczyli Kolekcjonera i Tom uświadomił sobie, iż przeniósł go tutaj z Wielkiego Teatru dzięki swoim myślom o Szkielecie. Usłyszał terkotanie jakby nakręcanego mechanizmu.

W chwilę potem z salonu wyszedł Humphrey Bogart.

24

— Będziesz nam pokazywał jakieś sztuczki, co, mały? — spytał Bogart. Miał na sobie czarny, wyszczuplający smoking, w palcach trzymał zapalonego papierosa. — Parę tych starych, ale śmiesznych numerów, zanim podniesie się kurtyna?

— Del opowiadał mi, że kiedy miał dwanaście lat, wszystko było jak w kinie... — powiedział Tom do Róży, patrząc na aktora, który niecierpliwie bawił się papierosem. Róży jednak nie było, odeszła w panującą za nim ciemność.

— Chodź, jest tu parę osób, które się tobą interesują —
oznajmił aktor i strzelił palcami. — Tak, tedy, chodź, przyłącz
się do towarzystwa.

Tom skierował się ku wejściu do salonu. Płonęły wszystkie światła. Pokój wypełniali mężczyźni
w smokingach i kobiety w eleganckich sukniach. Nozdrza Toma podrażnił znów aromat dżinu.

— Hej, synku! — zawołał mężczyzna o płaskiej, szerokiej
twarzy, w którym Tom rozpoznał Williama Bendixa. — Jak ci
leci?

— Oooo, Tom — zapiszczała platynowa blondynka o kar
minowych wargach i rozkosznej buzi.

— Jesteś miłośnikiem ptaków — zauważył Bogart i zamie
rzył się, żeby klepnąć Dela skulonego pod koszulą Toma. —
Sam mam parę małych piesków.

— Co za małpia muzyka... nie znoszę takiej wariackiej
muzyki — warknął William Bendix, chociaż Tom słyszał
jedynie odgłosy rozmowy. Bendix zsunął na tył głowy miękki
kapelusz i z hałasem postawił na bufecie szklanekę od piwa.

— O, zostawmy go... biedak ma w głowie płytę gramofono
wą — powiedział Bogart, ciągnąc Toma. — Sądzę, że nie miałeś
przyjemności poznać państwa Nightingale. Specjalnie tu przy
byli.

392

Róża spojrzała na niego przez ramię i zniknęła w ciemnościach panujących za drzwiami.

— Dlaczego...? — „Dlaczego boli cię, gdy chodzisz?” Włożył
ostrożnie prawą rękę do kieszeni i dotknął kawałka rozbitej
pasterki. Wyciągnął go na wierzch. Górna część dziewczyny.
Górna część dziewczyny.

— Jak...

Tom poszedł za nią.

— Różo? — Odrzucił kawałek figurki.

Na zewnątrz rozległ się hałas przypominający grzmoty — BUBUMM! BUBUMM!

— Różo!

— A TERAZ, PANIE I PANOWIE, SŁYNNNE PŁONĄCE
OKNO!

W Toma uderzyła fala gorąca, aż się cofnął. Znów zawołał jej imię. W chwilę później, w miejscu,
gdzie korytarz łączył się z drugim skrzydłem domu, wybuchły jasne płomienie. Róża biegła do
niego, kryjąc twarz w dłoniach. Wśród tego ognia coś skręcało się, obracało, owijało wokół siebie,
jakby była tam gromada węży.

Róża całym pędem wpadła na Toma i objęła go ramionami. Na suficie pojawiły się czarne plamy,
oszkłony plakat w ramach zadrżał i szkło pękało z trzaskiem.

— To naprawdę węże — powiedział Tom, patrząc na skre
cające się w ogniu kształty.

— Nie. To jestem ja — szepnęła Róża, tuląc się do niego.

Zobaczył. Winorośle skręcały się i zwijały, główki róż
opadały, wbijając się na kolce. Krwawiły... Na drugim afiszu pękło szkło.

BANG! Następny gigantyczny podmuch. Pod koszulą Toma Del drżał.

Krew była płatkami, które spadały i ulegały zniszczeniu. Całe kwiaty jednak nie ginęły od razu,
lecz wiły się w długiej agonii.

— I OKNO Z LODU!

Tak jak gorąco poprzedzało ogień, tak teraz ostry chłód *ionął przez korytarz. Płomienie
znieruchomiały, zamarzły, stały się szarobiałe. Wraz z ogniem zniknęło pomarańczowe światło, a

kolejną wersję Colemana Collinsa oświetlała pojedyncza biała lampa umieszczona na suficie. CoUins, w koszuli ? r°zpiętym, wyłożonym kołnierzykiem, opierał się o lodowatą ^i . Widzisz, mogłeś pójść tamtą drogą, ale to byłoby zbyt atwe, zwłaszcza że odmówiłeś wypicia szklaneczki w sa-
395

Coś pięknego połało mu się po podbródku... a potem nastąpi }
cisza, jakby wszystko zamarło. a
Róża dotknęła jego twarzy. ..,->?

— Przerażasz mnie. ;

— Widziałaś ich?

Znajdowali się sami w mrocznym pokoju. Światło księżyca sączące się przez oszklone drzwi srebrzyło meble.

— Co miałam widzieć?

Smuga dżinu — jałowiec i alkohol — wlokła się w powietrzu. Ciało Dela drgało przy jego ciele.

— Co cię tak przeraziło, Rózo?

Ja również oświecał blask księżyca, jej twarz widniała przed nim jak biały żagiel.

— Mówiłeś sam do siebie i zachowywałeś się dziwnie.

Serce stopniowo przestawało mu łomotać.

Wybuch sztucznych ogni zalał pokój i jej twarz czerwienią — czerwona róża.

25

— Nie potrafię tego opisać — powiedział Tom. — Myślę, że mało brakowało, a byłby mnie zabił. Nic nie wi działaś?

— Tylko ciebie.

— Nie widziałaś nawet tego aktora... Creekmore'a?

Potrząsnęła głową.

— Nie żyje. To wcale nie były torebki z krwią zwierząt ani niegroźne zadraśnięcia. Umarł tak, jak ja miałem umrzeć. — Okna zatrzęsły się od następnej eksplozji, a twarz Róży stała się bladoniebieska. — Co myślałaś, Rózo, że się stanie, kiedy przyprowadziłaś nas tu z powrotem?

— Nic takiego. — Skrzywiła się, była bliska płaczu. — Myślałam, że urządzi przedstawienie i myślałam, że w tym czasie uda mi się was wyprowadzić. — Rozpłakała się. — Bardzo mi przykro, Tomie.

— Myślałaś, że wyprowadzisz mnie. i Dela, a co z tot>4- Oblana księżycowym blaskiem wydawała się jeszcze bledsza. Przystała płakać i wytarła oczy.

— Oczywiście. Oczywiście ja też miałam pójść z wanu.

— Mamy ze sobą coś wspólnego, nie sądzisz?

Róża odwróciła się i ruszyła z powrotem do holu.

— Dlaczego powiedział, że nie możesz go opuścić?

394

26

— Pomyśl — powiedziała Róża. — Ty wiesz i on wie, że ty wóesz. Pamiętaj o tym, Tomie.

— Del? — Brzmiało to jak żart, przewrotny i okrutny. — To niemożliwe. — Kciukiem i palcem wskazującym manewrował koło dwóch guziczków u koszuli i wreszcie białe krążki natrafiły na dziurki. Del wypadł mu na dłoń. — Och, mój Boże!

Och, Del!

— Myśl o tym, co on powiedział — napominała Róża.

W salonie z trzaskiem pękła kolejna szyba.

— Na lekcjach angielskiego w klasie czytaliśmy różne opowiadania — mówił Tom, usiłując przypomnieć sobie... wróbelek? — Czytaliśmy o Gęsiarce, czytaliśmy Brata i siostrę. Czytaliśmy... do licha! Nic z tego. O rybaku i jego żonie, Dwaj bracia. Nie, tam też nic takiego nie było. — Przypomniał sobie natomiast, jak go prześladowały ptaki, jak drozd skaczący po trawniku zaglądał przez okno i świdrował go oczkami, jak szpak na drzewie w Quantum Heights spoglądał kpiąco, wtedy gdy walił mu się świat, a wiedzmy fruwały po niebie.

— To na nic — powiedział Tom. — Nasz nauczyciel mówił... ach, Kopciuszek! Powiedział, że był taki ptaszek, który przeno sił myśli. I to ptak dał jej piękne ubranie, a inny ptak wydziobał oczy jej przyrodnim siostram. Och, czekaj. To Kopciuszek! — Tom wyciągnął przed siebie ręce, na których spoczywał Del. — Ptaki powiedziały księciu, że żadna z tych sióstr nie może zostać jego żoną. Kazały mu odnaleźć Kopciuszka.

Róża patrzyła na Toma błyszczącymi oczami. Del poruszył się nieco.

— Odszukaj go — wyszeptał Tom. Czuł się podniecony, a jednocześnie przestraszony niemożliwością wykonania zadania, które stało przed nim i przed Delem. — Znajdź go.

Del uniósł główkę i rozłożył skrzydełka. Tomowi serce Podskoczyło z emocji. Leżący na jego zakrwawionych, obolałych dłoniach ptaszek uniósł skrzydełka i zatrzepotał nimi. Raz. ^Wa razy. „Leć, mała ptaszyno. Leć, Del”. Skrzydełka rozpostarły się i wróbelek zerwał się z rąk Toma.

Mały wysłannik uniósł się w powietrze. Odszukaj go. Ze Względu na nas, ze względu na siebie. Odszukaj go. . Ptaszek zakołował w ciemnościach nad nimi, potem przy-Sladł na ramieniu Toma, jakby chciał go serdecznie pozdrowić i Pofrunął korytarzem.

397

łonie. Spodziewałem się zresztą, że się od tego wykręcisz Gratuluje!

— Przywróć Delowi jego postać — powiedział Tom.

— W tej sprawie musisz pomówić z oryginałem — oświadczył cień. — Nadal czeka. Pragnie też zobaczyć koniec przedstawienia. Tyle to już czasu, przeszło trzydzieści lat. — Cień uśmiechnął się. — A nawiasem, jak ci się podoba sytuacja małej Róży?

Za nim w lodzie widać było nakłute na ciernie wędnące kwiaty.

— Róża, która sama siebie rani — zadumał się cień.

Przejmujące, prawda? Ale nawet w połowie nie tak przejmujące, jak ona sobie życzyła. O co modliła się. O co błagała. Być może nie aż tak, jak zebrał twój stary przyjaciel, pan Ridpath, aby umieścić go w tej wymyślnej machinie. — Wskazał głową na leżącego pod ścianą przypalonego Kolekcjonera.

Następne, gigantyczne uderzenie skrzydła wstrząsnęło domem, aż zadrżały oszklone drzwi w salonie.

— Wszyscy już zaczynamy mieć cię dość, panie Flanagan — odezwał się cień. — Czemu nie ustalisz wreszcie miejsca pobytu starego króla i nie załatwisz tej sprawy?

— Staram się właśnie to uczynić — odparł Tom. — A ciebie niech wezmą diabli!

Cień uderzył w dłonie i ściana z lodu przestała istnieć, stała się tak przezroczysta, że zamarznęte

róże rozbłysły na moment i również rozplynęły się.

— Twój przyjaciel powinien pomóc ci odróżnić prawdę od fałszu. A może już zapomniałeś stare historie?

Potem i on odszedł, pozostawiając za sobą zapach przypalonego dywanu i farby.

— Co za stare historie, Rózo? — Zwrócił się do niej.

Powiedz mi. Jakie historie miał na myśli? Jeśli wiedziałś przez cały czas...

Cofnęła się przestraszona.

— To nie ja — powiedziała. — Nie mnie miał na myśli. Nic podobnego.

Tom prawie krzyknął pełen rozgoryczenia i złości:

— Nie ma nikogo innego! Myślał o tobie!

— Sądzę, że miał na myśli Dela — oświadczyła Róza.

396

— Przemień z powrotem Dela! — Tom usiłował przekrzy-
ać wzmagający się gwar.

— Ach! Ten chłopaczyna prosi, żebym odczarował jego
ulubieńca, panie i panowie, tego wróbelka! Żartowniś z naszego
wolontariusza. — Wzniósł do góry dłoń. — To nie wszystko, moi
przyjaciele. Ten młody człowiek jest praktykantem u iluzjo-
nisty. Uważa, że potrafi zabawić was równie dobrze jak ja.

Brawa i drwiące okrzyki nasiliły się. Tom obejrzał się przez jamie i zobaczył, że Róza odwraca się od publiczności z wyrazem udręki i przerażenia. Na jej twarzy malowało się przekonanie, że absolutnie nie mają żadnej szansy. W środku dwudziestego rzędu rodzice Dela ze zwęglonymi głowami, w płonącym odzieniu uprzejmie klaskali. Siedzący wokół nich mężczyźni i kobiety o zwierzęcych pyskach wydawali głośne wrzaski i piski.

— Widzicie, jaka to jest publiczność, moi mali ochot-
nicy — rzekli trzej Butterowie jednym głosem. — Publicz-
ność wszędzie jest taka sama. Żadna rywalizacji i krwi. Z pub-
licznością nie można żartować. Gotów jesteś dokonać swego
wyboru?

Z widowni rozległo się tupanie i ryki jak w ogrodzie zoologicznym. Tom obejrzał się i zobaczył, że wszyscy, nawet rodzice Dela, mają zwierzęce głowy. Był tam też Dave Brick, z łbem owcy, ubrany w szkolną marynarkę Toma.

— Widzisz, nie wolno ci... — powiedział Herbie Butter, ten
z lewej strony.

— ..popęłnić fatalnej pomyłki, myśląc... — powiedział Her-
bie Butter w środku.

— ...że jakkolwiek publiczność jest przyjazna — powie-
dział Herbie Butter z prawej. — Czy jesteś gotów dokonać
swego wyboru? Będziesz surowo ukarany, jeśli źle wybierzesz.
Obiecuję ci to! — Ostatnie zdanie wykrzyknął w stronę wi-
downi, która odpowiedziała rykiem tysięcy zwierzęcych gło-
sów.

Tom uniósł wzrok ku górze. Ich posłaniec zataczał kręgi Pod sufitem, poszukując zapamiętane wyjścia na zewnątrz.

Czy pozostało w tobie jeszcze coś z Dela? — pomyślał Tom. W głowie zamęt spowodowany hałasem widowni. A może już cię nie ma i został tylko ten wróbelek?

Wróbel przysiadł na małym występie u sufitu, żeby od-Począć. Był prawie niewidoczny. Tom dojrzał jednak, że kręci Stówką z jednej strony w drugą.

?— Czekamy — odezwały się trzy głosy. — Jeżeli nie dokonasz wyboru, zostaniesz odesłany z powrotem — oznajmiły

399

27
Poszli za nim, mijając porzuconego Kolekcjonera, myjąc wejście do zakazanego pokoju i ciemne drzwi do Małego Teatru. Przed Grand Theatre des Ulusions Del począł zataczać kręgi, raz po raz gwałtownie uderzając w odrzwia.

Róża dobiegła do drzwi przed Tomem.

Kolejne potężne uderzenie skrzydłem wstrząsnęło domem Tom usłyszał odgłos przewracającej się gablotki w salonie dźwięk pękającego szkła. Porcelanowe figurki znajdujące się wewnątrz zostały z pewnością również rozbite.

— Co tam się dzieje? — spytała Róża.

— To sowa. Inny posłaniec.

— To nie on?

— Nie. To znak, że ktoś umrze — powiedział Tom. — To znaczy, że już ktoś umarł. Przedstawienie miało się skończyć w chwilę potem jak oni... — Niewiele brakowało, a był by zemdłał, kiedy przypomniał sobie Collinsa trzymającego iskrzące się gwoździe i później wbijającego mu je w rękę. — Zostań tutaj — nakazał Róży.

— Idę z tobą — powiedziała i otworzyła drzwi. Postąpiła dwa kroki i zatrzymała się.

Do środka wleciał wróbelek. Było tam jasno i panował hałas. Tłum wypełniał rzędy krzesel.

28
— Macie miejsca w pierwszym rzędzie. — Trzech Butterów odezwało się z trzech sowych krzesel. — Proszę, siadajcie.

Tom spoglądał na nich, nie zwracając prawie uwagi na widownię, która Różę wprawiła w osłupienie. Ludzie z innej epoki wpatrywali się w czarodziejów, obierali ze skórki pomarańcze, wpychali do ust cukierki, palili cygara. W przeciwieństwie do wymalowanej publiczności w Małym Teatrze, ci ludzie kręcili się na krzesłach, wznosili ramiona, klaskali i rozmawiali, wywołując ogólną wrzawę.

— Widzicie, podobają im się moje magiczne sztuczki ?— powiedzieli jednogłośnie trzej iluzjoniści. — A teraz moi wolontariusze postarają się odróżnić rzeczywistość od jej Cienia. A jeśli im się nie uda, to, panie i panowie, spadnie na nich kara.

Na widowni rozległy się okrzyki i gwizdy.

398

kaskada dźwięków, melodia, jakiej nie zna żaden wróbel, pieśń smutku.

Och, Del, to ty. I wcale się nie boisz.

— Widzicie, niezwykle ptak. Czy nie zasłużył na miejsce w wieczności?

pojmany ptak wyśpiewywał nadal łamiącą serce melodię.

— Pojmujecie, panie i panowie, iż ten śpiewający ptak to uosobienie magii. Rzeczywiście jest on wysłannikiem myśli.

I potrafi zaśpiewać każdą melodię, zapewniam was, jaka tylko rzyjdzie wam na myśl. Pokazał już zresztą, że takie sztuczki to i niego fraszka. Proponuję więc mojej wspaniałej publiczności, aby za waszym przyzwoleniem ten żywy wysłannik myśli Otrzymał swą finalną, ostateczną postać.

— Nie! — zawołał Tom, starając się przekrzyknąć ryk

widowni.

— Tak. — Collins obdarzył go uśmiechem i puścił wróbla.

Z przepelnionej udrczeniem duszy ptaka popłynęła pieśń będąca jedyną mową Dela. Ugodziła ona Toma prosto w serce. Del opuścił się o cal ponad rękę czarodzieja i...

Nie, nie, nie, nie... proszę...

...zneruchomiał, rozbłyskując tęczą kolorów. Cudowna pieśń urwała się nagle, ostatnia nuta zamarła nagle. Szklany ptak spadł na dłoń czarodzieja.

Del.

— Jesteś w Krainie Cieni, chłopcze — powiedział Collins. — Jesteś częścią przedstawienia. Nie możesz odejść.

Tom podszedł i stanął przed czarownikiem. Bał się, że ten upuści Dela, tak jak Del celowo potknął sowę z Ventnor. Publiczność uspokoiła się. Tom dostrzegł niezbyt wyraźnie, że zbliża się do niego Róża. Była wystraszona.

— Nic nie poradzimy, Tomie. Myślałam, że się uda, ale pyliłam się, on zawsze będzie tutaj.

Tom, drżąc, wziął szklanego wróbelka z rąk Collinsa.

— Zdajesz sobie sprawę, że to już koniec, prawda? — rzekł Collins. — Spójrz. Widzowie rozeszli się do mów.

Tom nie musiał patrzeć. Wiedział, że miejsca są puste.

— Róża należy do mnie — oświadczył Collins. — Ty również, chociaż jeszcze o tym nie wiesz.

Światła pogasty, tylko szklany wróbelek lśnił wielobarwnym blaskiem.

? Kraina Cieni

401

głosy. — Staniesz się na zawsze częścią widowni. Zresztą każdy z nich jest ważny i wnosi swój wkład do całości. y

„Znajdź Collinsa”.

— Twój ulubieniec nie jest ptaszkiem z bajki — powiedział Herbie Butter z lewej strony.

— Jest zwyczajnym wróblem — oświadczył Herbie Butter w środku.

Tom pomyślał, że być może jest to prawda. Żadne anioły nie opiekowały się nim ani Delem. Posłaniec myśli nie był już żadnym posłańcem. Umysł Dela umarł w tym rozdygotanym przerażonym ciałku.

— Del! — krzyknął.

— Jeszcze jeden z wielu utraconych ulubieńców — odezwał się któryś z iluzjonistów.

Wróbelek zerwał się do lotu i zakręcił w stronę sceny. Tomowi serce przestało bić i krew zatrzymała się w żyłach. Wróbel przeleciał nad trzema postaciami na scenie, zawrócił i ponownie przefrunął nad nimi. Nagle zaczął obniżać lot i opadł na kolana iluzjonisty siedzącego po lewej stronie. Wtedy Tom krzyknął:

— Uważaj! Nie zbliżaj się do niego! On cię...

Wróbelek usiadł na kolanie czarodzieja z lewej strony.

— Panie i panowie, ten młody człowiek to naprawdę czarodziej — zabrzmiał głos Collinsa poprzez maskę Herbiego Buttera. — A więc ta część przedstawienia jest zakończona. — Wyciągnął rękę i delikatnie ujął ptaszka. Jego obaj

towarzysze rozplętnęli się w ciemności za sceną. — Moi mili przyjaciele na widowni, ulubione stworzonko tego oto młodeńca poświęciło swe życie, aby jego pan mógł przejść do następnego etapu.

— On jest tylko pomocnikiem iluzjonisty — szepnął ktoś za Tomem. — Zobaczysz. To stanowi część numeru.

Collins powstał z swojego krzesła, trzymając wróbla w wyciągniętej prawej ręce i wymachując nią.

— Macie przed sobą prawdziwego ptaka — zaczął mówić z przejęciem. — Widzieliście, jak fruwał. A czymże on właściwie jest? Ulubieńcem chłopca, uskrzydłym gryzoniem czy wystannikiem myśli? Słyszeliście, jak czarodziejskie ptaki pomagają swym panom, służąc przepowiedniami i poszukując zaginionych rzeczy, wiecie, jak swobodnie przemierzają szeroکی świat, roznosząc dobre nowiny, jak unoszą się ponad tym wszystkim, co stanowi naszą ziemską egzystencję. Panie i Państwo, czy ptaki nie są uosobieniem sił magicznych? — Uniósł ptaka do góry i z jego gardziółka, z ust Dela, wystrzeliła

400

30

W pustym teatrze rozległ się śmiech Collinsa. Róża po kilku krokach powiedziała:

— Nie mogę, nie mogę biec. Sam uciekaj. Ja i tak należę do niego.

— Nie zostaniesz tutaj. — Mocniej chwycił ją za rękę.

— I tak się stąd nie wydostaniemy.

Tom obejrzał się i zobaczył za plecami Różę rozmigotaną sylwetkę, która spokojnie zbliżała się do drzwi.

„Moja dziewczeczka ma rację”. Collins wtargnął do jego umysłu, tak jak on wtargnął do wnętrza umysłu Szkieleta. „Nie możesz. Spójrz na mnie”.

Zbliżająca się postać płonęła silnym światłem, purpurowe płomienie jarzyły się niczym błyskawice. Wydawało się, że na jej przeciw drzwi migocze reklama neonowa.

„Kraina Cieni będzie dla ciebie domem, Tomie. Jestem teraz roim ojcem i matką”.

— Nie zatrzymuj się — powiedział Tom i pociągnął Różę korytarzem. Zaczęła płakać. Wiedział, że nie ze strachu. Z bólu. — Prędkiej!

Tom pomyślał, że mają tylko jedną szansę. Jeśli Collins może zawładnąć jego umysłem, on również to potrafi. Każdy krok wyciskał Różę łyż z oczu.

— Jeszcze trochę, jeszcze tylko mały kawałeczek. — Na ścianie koło kuchni wymacał kontakt i przesunął palcami po jego powierzchni. — Jest. — Zalało ich żółte światło.

Afiszki były porwane, wszędzie leżały odłamki szkła, w dywanie widniały powypalane dziury. Na ścianach farba tworzyła większe i mniejsze pęcherze, w wielu miejscach odpadała całymi płatami. Teraz już cienie nie są potrzebne.

Róża drżała, odczuwała ból i była zaskoczona. Tom sądził, że to z powodu Collinsa. Ona jednak spoglądała w innym kierunku, w stronę salonu i frontowych drzwi.

— Przyda ci się pomoc, Red — odezwał się aksamitny głos.

Tom odwrócił się. Odrażająca, pusta forma, z której wygnął Szkieleta Ridpatha, zatrzęsła się u jego nóg.

„Wejdiesz sam, chłopcze, czy mam cię wepchnąć?”

— Nie zapominaj, że masz w sobie wielką naładowaną

baterię — oznajmił Bud Copeland. — Dowiedziałeś się dzisiaj wielu rzeczy o sobie samym, teraz jednak musisz o tym zapomnieć. Myśl tylko o tym, co masz zrobić, synu. Kolekcjoner objął się o ściany holu. Jego pusta głowa

403

29

Tom comął się w ciemność. Dojmujący ból, który odczuwał ustąpił i chłopiec zrozumiał, że czarodziej uzdrowił jego rany. W chwili bólu szklany wróbel wysunął mu się z rąk, lecz upadł bezpiecznie na dywan przed sceną. Jarzące się wewnątrz niego światło ściemniało i zgasło. Z rąk Toma spadły chusteczki.

— Tom?

— Zaraz — powiedział i podniósł szklanego wróbelka.

— Teraz na ciebie pora, mój uczniu — szepnął Collins.

— Dlaczego mnie uzdrowiłeś?

Róża otoczyła go ramieniem i tak złączeni oboje przeszli do pierwszego rzędu krzeseł.

— Chcę, żebyś był taki jak wtedy, gdy tu przybyłeś — oświadczył Collins. — Aura. Nie chcę, żebyś miał aurę zranionego jelonka. Pragnę mieć Toma Flanagana doskonałego pod każdym względem... promiennego chłopca.

Tom popchnął Różę w stronę, gdzie, jak pamiętał, znajdowały się drzwi.

— Widzisz mnie, prawda? — szeptał Collins. — Nawet w ciemnościach, prawda, chłopcze? Ja widzę cię zupełnie wyraźnie.

Tom również widział czarodzieja, był on bowiem otoczony olśniewającą, falującą wstęgą.

— Del to nie wszystko. Inny wysłannik upomina się o ciebie.

— Lub o ciebie — powiedział Tom. Podniósł prawą rękę.

Było ciemno, ale rękę otaczały świetlne smugi.

Róża, przestraszona, wstrzymała oddech.

— Przeraziłeś naszą drogą, małą Różę. Nigdy dotychczas nie widziała cię w pełnej gali. Nigdy zresztą jeszcze w niej nie wystąpiłeś, prawda?

— Jestem równie dobry jak ty — oznajmił Tom, wiedząc, że to nieprawda.

— Speckle John też tak myślał.

HUK! Następne ogłuszające uderzenie skrzydłem.

— Sowa dopomina się o pożywienie.

Tom upewnił się, że szklany wróbelek nie wyśliznie mu się, z dłoni, drugą ręką chwycił Różę za nadgarstek i pociągnął za sobą.

popychała go do przodu. Wiatr rzucał nim na boki i Tom ude-Jrzał głową o ściany. Zapach spalenizny, zapach szkoły w Car-son. Wewnątrz głowy czuł silne ręce, w mózgu haczyk, który ciągnął go, ciągnął...

„Silny jesteś, mój mały ptaszku”.

Szklany wróbelek w jego ręce zaczął świecić czerwonym blaskiem. NIE! — wykrzyknął w nim wewnętrzny głos i ucisk tych obcych rąk osłabł. Tajfun był już poza nim.

Twarz Collinsa unosiła się tuż nad jego twarzą — drwiące usta, potężny nos. Szminka, którą ucharakteryzowany był na Herbiego Buttera, ściekała mu z policzków i wysychała, jakby ogrzewana od wewnątrz.

Dla niego to też wysiłek, Tom zdał sobie sprawę.

Skoncentrował się i wysłał impuls myślowy wprost w oczy Collinsa. Był świadom, że Róża krzyczała, gdzieś w salonie, krzyczała od chwili, kiedy go od niej oderwano. Collins cofnął się, a Tom starał się w ślad za tym impulsem wedrzeć do głowy czarodzieja.

Coś go jednak powstrzymało. Nie było to uczucie zagubienia, jakiego doświadczył, próbując wysondować umysł Róży, ale instynktowna odraza przed dotknięciem czegoś obrzydliwego... Wejście do umysłu Collinsa zatrzasnęło się przed nim.

„Nie tędy droga, mój mały. Pora, żebyś poszedł spać”.

Collins wciskał się do jego umysłu z przerażającą siłą, a on zataczał się pomiędzy obrazami przedstawiającymi ptaki, dymiące ciała. Jakieś ogromne ptaszysko zniżyło lot, aby go porwać „...Będziesz zamknięty w tym pokoju na zawsze, chłopcze, tutaj zostaniesz...” Szklany wróbelek w jego rękach stał się czarny.

Ręce, haczyki na ryby, metalowe szczytce podobne do tych, którymi trzymano wijącego się z bólu borsuka, to wszystko wlewało się w Toma, to wszystko chwyciło łapczywie coś, co wydawało się ogromnym, białym ptakiem.

„Pora spać, moje dziecko”.

Collins zaczął wywlekać Toma na zewnątrz. Białka oczu czarodzieja płonęły czerwono.

Tom resztką słabnącej energii wezwał Buda Copelanda: Bud, wracaj, zaraz... teraz...

— Znowu ty — usłyszał Collinsa, a przez głowę przeleciała ftiu odbita myśl: „Zdradziłeś mnie, ptaszku...”

— To ty jesteś zdrajcą — doszły do niego słowa Buda. — Ty, nie chłopiec. Puść go, doktorze.

— Wynoś się! Zostaw mnie! — krzyczał Collins. — Odebrałem ci całą moc!

405

obracała się w stronę Toma, w stronę Róży, znów w stronę Toma.

Bud siedł obok nich. Tom był zaszokowany, bo patrząc na niego, widział równocześnie pęcherze farby na ścianie, które wyglądały jak plamy na ubraniu Buda. Nagle poczuł zawrót głowy i piekący ból.

— Przypomnij sobie, co słyszałeś, Red. Każdy, w każdej chwili może być włączony do kolekcji.

Collins ponownie zarzucił wędkę do umysłu Toma i haczyk natrafił na obraz Toma i Szkieleta znajdujących się wewnątrz Szkieleta jak w potrzasku. Tom cofnął się, gdyż obraz ten przeraził go bardziej niż cokolwiek w Krainie Cieni, bardziej niż sama śmierć.

— Nie chcesz chyba uciec, prawda, Red? Chcesz zostać tam, gdzie powinienesz.

Tak, pomyślał Tom. Tam, gdzie powinienem. Poczuł, że Collins szarpie go jak rybę i ogarnęło go oburzenie.

— Wiesz, czym jestem, Red — powiedział Bud. — Teraz jestem tylko tym, jestem po prostu twoim cieniem. Sprowadź mnie tutaj, żebym mógł ci powiedzieć, że twoja bateria jest naładowana, Red. Musisz ją uruchomić.

Ale ja nie mam pojęcia, jak ją uruchomić, pomyślał z rozpaczą Tom.

— Tak jak to zrobiłeś, mając ręce przybite gwoździami do drewna — szeptał Bud. A może to był jego własny głos? — Nie będzie to łatwiejsze niż tamto. Przez tyle czasu pomagałem jemu, teraz pomogę tobie. — Zniknął i Tom poczuł się ogromnie opuszczony.

W rogu holu ukazał się Collins otoczony tęczowym światłem.

Jeśli to ja sprawiłem, że przybyłeś — powiedział Tom w duchu — to powróć teraz. Jesteś mi potrzebny. Teraz.

— Teraz — powtórzył Collins jak echo i swą wewnętrzną

siłą przyciągnął Toma do siebie. — Teraz, mój ptaszku.

31

Tom miał wrażenie, że znalazł się w oku cyklonu. Jakaś wichura popychała go, wymiatała z jego myśli wszystko oprócz uczucia bezradności. Zapomniał o Róży i o Budzie i walczył tylko o to, aby utrzymać się na nogach. Ze wszystkich sił stara się nie zbliżyć do Collinsa i do Kolekcjonera, ale wichura

404

— Tym razem będę pamiętał, jak z tym skończyć — powiełał Tom.

Kolekcjoner szedł w ślad za nim, a Tom sięgnął do wnętrza łazienki i wcisnął guzik.

32

Całe ciało, purpurowe od wcześniejszych poparzeń płomieniami, przeleciało koło Toma, wydając okrzyki pełne oburzenia i niewiary i zostało wciągnięte przez drzwi. Chwyliło palcami za framugę. Rozwodnione oczy odszukały Toma i chłopiec ujrzał to, czego nie chciał zobaczyć: głęboko wewnątrz znajdował się Collins usiłujący rozpaczliwie wydobyć się i wierzący wciąż, że zdoła uciec z tego okropnego pokoju pełnego horrorów, pełnego szumowin ludzkiej nędzy. Udało się, pomyślał Tom. Należy do ciebie. Palce zwiotczały i Kolekcjoner zniknął.

Tom wszedł do łazienki. Zapalił światło. Lustro było zamazane. Zgasił światło i wyszedł.

— Dokonałeś tego — powiedziała zadyszana Róża. — Aż trudno... Nigdy nie spodziewałam się, aby ktokolwiek...

— Tak — zgodził się Tom. Usiadł. Bud odszedł. Buda nigdy tu nie było. — No, dobrze. Muszę jeszcze coś zrobić.

— Jeszcze coś...? — spytała Róża pełna strachu.

— Panie i panowie — wydeklamował, ciesząc się nieomal zaniepokojeniem Róży. — Podejdź tutaj, Różo, żeby nic ci się nie stało. Panie i panowie... zdumiewająca „ściana ognia”.

Miał dość siły, żeby wgłębić się w siebie i odnaleźć klucz, który powinien się tam znajdować. Ogień, pomyślał i rząd małych płomyków pojawił się na dywanie tuż przed nim.

— Precz ze ścianą — powiedział i zachichotał.

Był wyczerpany. I chociaż bolała go głowa, myśl przerodził w istnienie. Płomienie wspięły się na ścianę i zaczęły lizać sufit. Tom, zgnębiony, siedział w holu i patrzył, jak rozpala się ogień.

Płomienie trawiły framugę drzwi do łazienki. Były dla Toma Piękne niczym róże w ogrodzie.

Słyszał, jak pożar rozprzestrzenia się w holu, jak zajął się dywan i ogień ogarnia salon. Jak pięknie będą się paliły schody, pomyślał. Niech wszystko spłonie, nie będzie musiał wyteżać sił, gdy ogień wszystko pochłonie. Tępo przypatrywał się, jak języki ognia skakały po afiszach.

Znowu zachichotał.

— Zapomniałem, Różo, pomyśleć o drodze odwrotu. Bę-

407

L

Tom spojrzął w bok. Zdołał wyzwolić się z uchwyt Collinsa. Szklany wróbelek zapalił się żółtym światłem i jeffU ciepło poczuł na dłoni, zapiekła go świeża blizna.

— Powiedziałeś chłopcu, że wszystko tutaj dzieje się na skutek spotkania twego umysłu z jego umysłem — oświadczył Bud. — I dlatego też ja tu jestem. Sądzę, doktorze, iż nie zdawałeś sobie sprawy, że dajesz mu w ręce broń.

A potem nieśmiały, cichutki głosik w jego głowie, głos, który wiedział, że jest jego głosem, chociaż posiadał piękne brzmienie głosu Buda: „Czekasz na następny pociąg, moje dziecko?”

— NIE! — wrzasnął Collins. — Ty mu pomogłeś, zdrajco!

Cały dom zatrzęsł się od uderzenia potężnych skrzydeł, przypominając Tomowi, jaką siłą posiadają jego oczy i jego język.

— Spójrz na mnie, morderco — odezwał się. — Zaraz będę

karmił sowę.

Wiedział, że szklany ptak stał się złoty i czerwony, wiedział, że wysyła aurę, która wypełnia cały dom.

— ZDRAJCA! — krzyczał Collins.

Oczy wbił w oczy Toma, Tom już jednak wylewał swoją moc i trzymał Collinsa, tak jak poprzednio trzymał Szkieleta Ridpatha. Przed oczami Toma przesuwały się obrazy przedstawiające martwych mężczyzn z twarzami, które były jedną raną, i eksplodujące aeroplany, widział odrażające bagno duszy Collinsa i nic już nie mogło go zatrzymać, szedł niezwyciężony, jakby miał na sobie stalową zbroję i czuł, że Collins słabnie. Ugodziła go jakaś strzała jak błyskawica, ale chwycił ją i skierował z powrotem na Collinsa. „Zabieraj te paluchy”.

Tajemnica tkwiła w nienawiści.

— Ból nie będzie tak straszny, jak się spodziewasz — wyszeptał.

Wyteżył wszystkie wewnętrzne moce i czuł, że swą potęgą zalewa Collinsa, czuł jego siłę, która przeciwstawiała mu się, wrywała się, wreszcie stała się bezradna i złamał ją, złamał. Coś niewidzialnego, krzyczącego przenikliwie zawisło w powietrzu, coś zdradzieckiego i wściekłego, coś, co mogło być czyste, gdyby nie zostało zbrukane niewłaściwym użyciem Tom stęknął i wtłoczył to głęboko w Kolekcjonera.

— Włóż, do diabła — mruknął.

Róża z przerażenia nie mogła wydobyć z siebie głosu i odeszła chwiejnym krokiem. W korytarzu przed Tomem leżał Collins w głębokim omdleniu. Ku niemu sunął, znajdując się w pobliżu, znów groźny Kolekcjoner, odrażający, nienasycony.

ręki odsunęła się tafla, odsłaniając małą wnękę. Na drewnianym pulpicie obitym pluszem leżała otwarta Księga Collinsa, chociaż nadużywał i przekreślał sens Księgi, to jednak otaczał ją szacunkiem. Chłopiec wyciągnął rękę i wziął oprawny w skórę tom, po czym wsunął go za pas, tam gdzie poprzednio miał stary pistolet.

— W porządku — oświadczył. — Teraz mogę iść.

Róża pierwsza zeszła do tunelu.

33

Droga z powrotem była łatwiejsza, jak to zwykle bywa, niż droga do przodu. Tom nie słyszał żadnych głosów, żaden Nick z lat dwudziestych nie śpiewał Słodkiej Zuzi i nie pociągał następnego łyka przedwojennego dżinu. Jedyny hałas, jaki słyszeli i który towarzyszył im co najmniej przez pół godziny, to szum ognia pożerającego Krainę Cieni, jakby to było właśnie to, co pragnął usłyszeć Nick z lat dwudziestych, zanim będzie mógł pogрузić się w głęboki, długi sen. Sowa została nakarmiona.

— Taki jestem zmęczony — powiedział Tom.

Róża podążała przed nim i bawiła się, oświetlając latarką drewniane wsporniki i odrapane ściany. Wkrótce ujrzał śpiwory rozłożone w bocznej niszy.

— Proszę cię, chciałbym się położyć.

— Do domku jest jeszcze tylko dziesięć minut — odparła. — Mam lepszy pomysł. Będziesz mógł spać na plaży. Na świeżym powietrzu.

Poszedł za nią do letniego domku.

34

Przecierając oczy, wszedł do ciemnego saloniku. Wróbelek, którego niósł w prawej ręce, ważył teraz tyle co ciężka waliza. Przed nim połyskiwała zielona suknia Róży. Zdał sobie sprawę, że przez całą drogę szła boso.

— Pewnie też chcesz się położyć — powiedział. — Są tu chyba jakieś łóżka. Och... mógłbym zasnąć na stojąco. — Oczy Piekły go dotkliwie.

— Czyje chcesz łóżko? — spytała Róża. — Ciernia czy

Ślimaka?

409

dziemy więc siedzieć i cieszyć się widokiem pięknego pożaru. Podniósł szklanego wróbelka i tulił go na kolanach. — Słyszałaś, jak śpiewał? Słyszałaś, Rózo? Było to coś cudownego... Ogień podchodził mu do nóg. — Przykro mi, Rózo, że nie możesz stąd wyjść.

— Ależ jest droga, którą można wyjść — powiedziała.

— To tak jak barbecue. Siadaj, upieczemy się razem. Nie wiem właściwie, kim jesteś, ale i tak cię kocham.

Pochyliła się i ujęła go za rękę. Żar zaczynał go już parzyć i pomyślał, że przez minutę lub dwie będzie odczuwał ból, może nawet niewiele większy niż ten, którego już doświadczył. Róża jednak, zamiast usiąść koło niego, pociągnęła go za rękę.

— Nie mogę — zaprotestował, ale ona znów szarpnęła, więc podniósł się.

— Tunele, głuptasie — powiedziała. — Możemy wyjść pod dnem jeziora.

Podniosła pokrywę w podłodze, a Tom rozejrzał się po raz ostatni po pokoju, do którego wstęp był zabroniony.

— Wiesz — odezwał się — on naprawdę był wielkim czarodziejem. Co do tego Del miał rację. I na początku, teraz trudno w to uwierzyć, na początku była nawet niezła zabawa. Cały czas starałem się wykryć, o co właściwie chodziło.

Przyglądała mu się ostrożnie, nieomal z matczyną ciekawością.

— Jest w tym pokoju, Rózo, coś — przypomniał sobie Tom — co muszę odnaleźć, zanim stąd odejdę.

— Tutaj nic nie ma — zapewniła go. I wydawało się, że to prawda.

— Powiedział, że coś tu dla mnie zostawi, wtedy gdy myślał, że z nim pozostanę. Muszę to znaleźć.

— Nie mamy czasu.

— Myślę, że na to nie potrzeba wiele czasu.

Patrzył nie bardzo przytomnym wzrokiem na szarosrebrne ściany. Był taki moment, następnego dnia po tym jak został przyjęty, gdy zatrzymał się przed tymi drzwiami, poczuł za nimi jakąś niewidzialną obecność, to coś, Kraina Cieni, żądajfe. żeby przeczytał Księgę.

— Prędzej — ponagliła Róża.

W holu szalał już ogień.

— Jest tutaj — powiedział sennie.

Obrócił się, wciąż zdumiony, że może stać. Patrzył na ścianę naprzeciw drzwi. Przeszedł obok wejścia do tunelów i przeciąg" nął ręką po jej powierzchni. Była już ciepła. Pod dotknięciem*

408

— Nie będziesz musiał... Pójdiesz ścieżką za letnim domem. Prowadzi do drewnianej bramki.

— Dobra i mądra Róża.

Położył się przy niej na piasku, obok siebie umieścił Księgę, a na niej szklanego ptaszka. Potem odwrócił się i wziął w ramiona tę wspaniałą dziewczynę, nie będącą już dla niego wytworem magii, ale cudownym ziemskim darem.

35

Nie kochali się. Tom był szczęśliwy, mogąc tulić Różę, czuć aksamitną skórę jej ramion i rozpoznawać kształt jej ciała. Mógł śpiewać tak jak Del w ostatnich chwilach, wielbiąc doskonałość otaczającego go świata — blask księżycy, ciepły piasek, spokojny oddech dziewczyny kołyszący go

do snu.

Po wieczne czasy byli sobie poślubieni.

— Rózo? — wyszeptał.

— Mhmm?

— Opowiedział mi bajkę... mówił, że to bajka o tobie.

— Szszsz.

Przyłożyła palec do jego ust. Zasnął.

36

Czy wyznała coś, zanim go opuściła? Nie wiemy. Sądzę, że mogła mu coś powiedzieć, szepnąć coś do ucha, kiedy spał, jakieś przesłanie, które wsączyło się do jego podświadomości, niczym ostatnia pieśń Dela, przesłanie, którego nie można było wypowiedzieć niedoskonałym ludzkim językiem.

I tak samo jak pieśń Dela będąca wyrazem spełnienia, końcem przemian, przesłanie to mówiłoby, śpiewałoby, sławiłoby dalszą konieczną, nieprzewidzianą transformację. Można by powiedzieć, iż przesłanie to było bijącym sercem magii.

Spał i słyszał we śnie, jak odchodzi, słyszał plusk wody.

Kiedy zbudził się, słońce stało wysoko. Był ciepły, bezchmurny dzień. Zobaczył, że Rózy nie ma.

Zawołał ją. Po chwili znów zawołał jej imię.

Za jeziorem Kraina Cieni dymiła jak stara fajka.

411

— O, mój Boże. — Nie mógł spać w tych łózkach. —
dlaczego na plaży?

Otoczyła go ramieniem.

— To już blisko, drogi Tomie. Jeszcze tylko parę kroków

Wyprowadziła go z pokoju na ganek. W srebrnym świetle

księżycy wszystko przybierało tajemnicze kształty, świat był pełen cudów. Na skraju nieba rozlewały się pomarańczowe i czerwone barwy.

— Lubię tę małą plażę — powiedział Tom. — Często
czekałem tu na ciebie tego tygodnia, zanim zachorowałem.

— Ja zawsze czekałam na ciebie. Czekałam na ciebie długo
przedtem, nim tu przybyłeś.

— Wróc ze mną do Arizony. Mogłabyś to zrobić, Rózo? —

Prowadziła go w dół po stopniach. Trawa była jak szumiący
ocean obłany blaskiem księżycy, jaki kiedyś widział. — Del tego
pragnął, mówił mi o tym. Moglibyśmy znaleźć ci jakieś miesz-
kanie. Z pewnością moglibyśmy.

— Oczywiście — zgodziła się Róża.

— Moglibyśmy pobrać się, gdy skończę osiemnaście lat.

Będę pracował. Zawsze mogę pracować, Rózo.

— Oczywiście, możesz — potwierdziła.

Szli drogą nieomal zupełnie zarośniętą. Każdy liść na mijanych drzewach lśnił srebrnym
światłem. Pnie wyglądały jak ze srebra i czarnego onyksu.

— A więc wyjdiesz za mnie?

— Po wieczne czasy jesteśmy sobie zaślubieni.

— Po wieczne czasy od dziś — powiedział Tom. Było to
nieprawdopodobnie cudowne i nieprawdopodobnie prawdzi-
we. — To już chyba niedaleko, prawda?

Księżyc srebrzył gęstwinię ciągnącą się do samej plaży. Kraina Cieni na drugim brzegu była
słupem ognia, z płonącego dachu buchały kłęby dymu. Tom i Róża stali przez chwilę na piasku,
patrząc na pożar. Tom ujrzał płomień wydobywające się z górnych okien, tam gdzie Collins
roztaczał przed nim kuszące widoki.

— Mów, co chcesz, ale on był wspaniały — odezwał się Tom. — Był rzeczywiście tym, za kogo się podawał.

— Połóż się — powiedziała Róża. — Nie chcę już na to patrzeć, a tobie potrzebny jest sen. — Sama wyciągnęła się na szarym piasku. — Proszę cię, połóż się koło mnie.

— Słuchaj... jak się stąd wydostaniemy? Ten mur... druty kolczaste... chyba będziemy musieli wrócić... .^i _
410

ADCHODZI KONIEC STULECIA

— Rózo?! — ponownie zawołał. Spojrzał na zegarek, był jedenasta rano. — Rózo, wróć!

Wstał, rozejrzał się, w pobliżu nie zauważył jej i przez moment pomyślał z przerażeniem, że wróciła do domu. Nie było to jednak możliwe, gdyż dom już nie istniał. Gruzy zawałyły zapewne wejście do tunelu i zostało zamknięte na zawsze Sterczało parę desek oraz jeden komin niczym czarna kolumna. Reszta rozpadła się. Róża była wolna.

On również. Po raz pierwszy popatrzył na swoje ręce w świetle dnia. Ujrzał okrągłe poduszeczki zabliznionej tkanki.

Usiadł i czekał, chociaż wiedział, że gdyby czekał lata całe, ona nie wróci. Pomimo to czekał. Nie mógł zdobyć się, żeby odejść.

Tom czekał cały dzień. Minuty wlokły się. Słońce wolno posuwało się po niebie, a jezioro zmieniało kolor z ciemnoniebieskiego na bladoniebieski, potem na jasnożłoty i znów na niebieski. Kiedy nadeszło południe, przesunął delikatnie szklanego wróbelka na piasek i otworzył oprawioną w skórę Księgę. Przeczytał pierwsze słowa: Oto jest tajemna nauka Jezusa, syna Boga, przekazana przez niego jego bliźniakowi Tomaszowi, xvi Judzie. Zamknął książkę. Przypomniał sobie, jak Róża zareagowała na ten szaleńczy pomysł, że mogliby wrócić przez zburzony dom. Nie, nie możesz — powiedziała, a nie: Nie, nie możemy. Nie zamierzała zatem ani pójść z nim ścieżką do bramy, ani przejść przez wieś, trzymając go za rękę, ani stać z nim razem na peronie i czekać na pociąg.

Zapał zmierzch. Resztki Krainy Cieni wciąż żarzyły się i dymiły.

Tom wstał i skierował się ku jezioru, niosąc szklanego wróbelka oraz książkę. Na granicy wody uklękł na mokrym piasku i położył wróbelka na dłoni. Patrzył na niego. We wnętrzu ptaszka tliło się niebieskie światelko. Chciał powiedzieć coś, coś niebanalnego, ale nie był w stanie, chciał powiedzieć coś, co wyrażałoby jego wzruszenie, ale właśnie wzruszenie trzymało mu język na uwięzi.

— Idź!

To było wszystko, co z siebie wy dobył. Zsunął wróbelka do wody. Na powierzchni jeziora pojawiły się zmarszczki. Błękit wewnątrz ptaszka był taki sam jak błękit wody. Następna niewidoczna fala porwała go i wróbelka odpłynął — odfrunął tak daleko pod taflą jeziora, że Tom nie mógł go już dostrzec.

Tom podniósł się, wsadził książkę za pasek i odszedł od brzegu. Wkrótce zagłębił się w zarośla. «,**—..

przez rok; może mam niewłaściwe nazwisko? Odpisałem natychmiast, lecz powiadomiono mnie, że tego rodzaju sprawy są poufne i żadna szanująca się szkoła nie może ujawniać ich ze względu na swych byłych pracowników. Było to bardzo podejrzane — no, bo czy nie dają referencji? Niewątpliwie jednak nie życzyli sobie poinformowania mnie o tym, czego pragnąłem się dowiedzieć. Miałem zresztą prawie całkowitą pewność, że Laker nie był Carlem Broome'em, nie było więc sensu prowadzić dalej tej korespondencji. Wąż Boa stracił posadę i zniknął. I to było wszystko, co wiedziałem.

W opowieści Toma dzieje Steve'a Ridpatha urywają się w momencie, gdy ten (prawdopodobnie)

przemknął przez drzwi frontowe, a potem przecisnął się przez pręty w bramie. Wyobrażałem sobie, że rozmowa z Ridpathem wyjaśniłaby mi, co w opowiadaniu Toma jest fikcją. Tutaj miałem więcej szczęścia niż z Lakerem Broome'em. Szkielet poszedł do Clemson, a uniwersytety przechowują dokumenty personalne. W biurze do spraw alumnów powiedziano mi, że pewien Ridpath, Steve, otrzymał w 1963 roku dyplom z najniższymi nieomal ocenami wśród wszystkich absolwentów. Potem rozpoczął studia teologiczne w Kentucky.

Studia teologiczne? W szkole biblijnej w Kentucky?

Wydawało się to niemożliwe, a jednak było prawdą — Instytut Teologiczny Headleya we Frankforcie powiadomił mnie, iż pan Ridpath figurował na liście słuchaczy w latach 1963—1964, kiedy to przeszedł na katolicyzm i przeniósł się do seminarium w Lexington. Z seminarium w Lexington otrzymałem wiadomość, że Steve Ridpath został bratem Robertem i przebywa w klasztorze koło Coalville w Kentucky.

Udałem się przeto z Connecticut do Coalville w nadziei, że zechce ze mną porozmawiać.

Coalville było nędzną miejscowością liczącą około trzystu mieszkańców. Ponure domostwa tkwiły w ponurym krajobrazie. Jeśli nawet gdzieś rosła jakaś grupa drzew, to za nią rozpościerały się hałdy żużlu i opuszczone zabudowania kopalni. Był tam jedyny motel, w którym byłem jedynym gościem. Posłałem do klasztoru kartkę — czy brat Robert zgodzi się pomówić ze mną na temat powodów, które doprowadziły go do tego raczej niezwykłego celu? Dałem do zrozumienia, że pracuję nad artykułem, czy też książką, o powołaniu do stanu duchownego.

Przyjdź, jeżeli musisz, brzmiała odpowiedź doręczona mi odwrotną pocztą. Obawiam się, że podjąłeś zbędną podróż.

Stawiłem się przed furką klasztoru o godzinie, którą wska-

415

L

Zbliża się koniec stulecia, a opowieść Toma Flanagan dotyczyła wydarzeń odległych o ponad dwadzieścia lat. Słuchałem jej tu i tam na świecie i zastanawiałem się, jaka właściwie jest ta opowieść i ile w niej prawdy. Interesowały mnie też lektury Toma. Te jego nieprawdopodobne iluzje z pewnością preparowała wyobraźnia—to przyśpieszenie czasu, wiaje ludzi z głowami zwierząt pochodzące wprost z dzieł malarzy sym-bolistów takich, jak Puvis de Chavennes — i pomyślałem, że musiał karmić się sensacyjnymi, ponurymi i fantastycznymi powieściami. Nie chciał częstować mnie byle czym.

Pomyśl, że Laker Broome był diabłem pośledniego gatunku, stanowił istotny tego przykład. Prawdą było, że ja, jak wszyscy nowi chłopcy, przypuszczałem, iż stanowisko w Carson zajmował od wielu lat, a w rzeczywistości dyrektorem był tylko przez pierwszy rok naszych studiów. Kiedy wróciliśmy do szkoły we wrześniu, funkcję jego sprawował kompetentny pedagog o nazwisku Philip Hagen. Uważaliśmy, że załamanie psychiczne Broome'a i jego zachowanie podczas pożaru szczęśliwie usunęło go z naszego życia.

Napisałem do Stowarzyszenia Dyrektorów Szkół Średnich i dowiedziałem się, że nie posiadają tam żadnych informacji dotyczących Lakera Broome'a. Nie figurował w ich rejestrach. Pewnego wieczoru, wciąż starając się wyjaśnić, co się z nint stało, zatelefonowałem do Fitz-Hallana i spytałem go, czy może wie, co się dzieje z Broome'em. Fitz-Hallan sądził, że byłemu dyrektorowi udało się dostać posadę w... wymienił szkołę równie mierną jak Carson. Gdy wysłałem zapytanie do wskazanej szkoły, otrzymałem odpowiedź, iż od roku 1955 do obecnego 1970 mają tego samego dyrektora, a żaden Laker Broome nigdy u nich nie pracował. W liście znajdował się jednakże dopisek ołówkiem, że w 1959 został u nich zaangażowany niejaki Car Broome jako nauczyciel łaciny, ale zajmował ten etat tylk°

414

Zignorował moje pytanie.

— Muszę zająć się różami. Są w okropnym stanie. — Wziął Isekator i ruchem głowy wskazał mi ławkę, abym usiadł. —

|Mogę ci poświęcić piętnaście minut — powiedział. — Muszę
ak zaznaczyć, że tracisz czas.

— To już moja sprawa — oświadczyłem. — Ale i tak od razu
przystąpię do rzeczy. Czemu zdecydowałeś się po Clemson
irstąpić na studia do Instytutu Teologicznego? Trudno sobie
^obrazić, że myślałeś o tym, rozpoczynając naukę. — Wyją-em notes i pióro.
— Nie zrozumiesz tego — oznajmił i zatrzasnął sekator.

— Skoro przeznaczyłeś dla mnie piętnaście minut, może
spróbujesz mi to wyjaśnić. W przeciwnym razie twój czas też
będzie zmarnowany. Dowiedziałem się, że jesteś utalentowa
nym ogrodnikiem.

Skrzywił się kwaśno, lekceważąc komplement.

— Przeszedłeś jakiś kryzys? Jakiś duchowy kryzys?

— Przeszedłem kryzys. Możesz go nazwać duchowym.

— Mógłbyś go opisać?

Westchnął. Naprawdę korciło go, żeby natychmiast zająć się różami.

— Możesz przecież wykonywać swą pracę i równocześnie
rozmawiać ze mną — powiedziałem.

Poderwał się z ławki i mruknął:

— Dziękuję. — I zabrał się do róż.

Ciach, ciach i gruba, brązowa łodyga obwieszona ciężkimi kwiatami upadła, obsypując płatkami
ławkę.

— W drugiej klasie w gimnazjum — zaczął, a mnie dziwnie
ścisnęło się serce — nieomal oblałem egzaminy. Miałem niepo
kojące przywidzenia, a jedno z nich okazało się prorocze.

— Cóż to było takiego? — spytałem.

— Ukazał mi się jeden z naszych kolegów. — Odwrócił się,
żeby na mnie spojrzeć. — Zobaczyłem Marcusa Reilly'ego.

Widziałem jego śmierć. Nie raz, ale wiele razy.

Myślę, że przestałem oddychać.

— Znajdował się w swoim samochodzie. Wyjął z kieszeni
rewolwer. Przyłożył do skroni. Mam mówić dalej?

— Nie — wyszeptałem. — Wiem, jak zmarł Marcus.

Ciach. Spadła następna kiść róż. Jeszcze więcej płatków
pokryło ławkę.

— Tyle ci powiem. Reszty nie będziesz w stanie pojąć.

Reszta już jest zwyczajna. Niezwykłe w tym tylko to, że jestem
nawróconym katolikiem.

— Oddałeś swe skrzydła, prawda? — powiedziałem.

—

•5 — Kraina Cieni

417

zał. Było tak wcześnie, że koguty dopiero zaczynały pisać, bracia bowiem prowadzili gospodarstwo i
sami dbali o dostawy żyj^, ności. Pociągnąłem za duży dzwon i czekałem, drząc w chłodzie poranka.

Wreszcie jakiś mnich otworzył wrota. Miał na sobie zgrzebny, brązowy habit, kaptur osłaniał mu
twarz.

— Brat Robert? — spytałem zaskoczony.

— Brat Theo — odparł. — Brat Robert czeka w ogrodzie.

Odwrócił się i bez słowa poprowadził mnie kamienistą
dróżką. Minęliśmy dormitorium z czerwonej cegły.

— Nasze gospodarstwo — poinformował brat Theo i machnął rękawem.

Spojrzałem w lewo, gdzie wznosiła się również czerwona obora, z której wychodziły krowy po porannym dojeniu. Wciąż wydawało się niemożliwe, że Szkielet Ridpath znajduje się w takim miejscu.

— Kurnik — oznajmił brat Theo. — Mamy sześćdziesiąt osiem kur. Dobre nioski.

Doszliśmy do drugiej furtki. Poza ceglany murem widoczne były gęste krzewy różane. Bracia zapewne zaczną wkrótce je przycinać, gdyż róże rozrosły się i splątały. Mój przewodnik otworzył bramę. Wyżwirowana alejka biegła między klombami róż.

— Proszę iść tą ścieżką — powiedział. — Za piętnaście minut wyprowadzę pana.

— Piętnaście minut? — zdziwiłem się. — Czy nie mógłbym mieć trochę więcej czasu?

— Tyle określił brat Robert. — Odwrócił się i odszedł.

Ruszyłem alejką i za zakrętem znalazłem się we właściwym ogrodzie. Zaparło mi dech. Ogród założony był na modłę średniowieczną, podzielony na małe pólka, na których rosły rozmaite zioła i kwiaty. Był znacznie większy, niżlim się spodziewałem, utrzymany w idealnym porządku, tchnący spokojem. Na żelaznej ławce przed klombem rozrośniętych róż siedział mnich. Koło niego na ławce coś lśniło w porannym słońcu — sekator. Gdy usłyszał chrzęst żwiru pod moimi stopami, podniósł oczy i zsunął kaptur z głowy.

Był to Szkielet, co do tego nie było wątpliwości. Szczecinias-te, siwiejące włosy miał krótko przycięte, a część policzków pokrywały rzadkie bokobrody, ale był to wciąż Szkielet Ridpath.

— Podoba ci się nasz ogród? — zapytał.

— Bardzo — odparłem. — Jest rzeczywiście piękny. Ty go dogładasz? -*?

416

wałem ją. — Tam, gdzie był ten wielki pożar w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym, wydaje mi się. Pod koniec lata.

— Och, naturalnie — powiedziała, a ja znów poczułem to ściskanie w piersi. — Nikt nie zorientował się, aż wszystko spaliło się. Właściwie to dowiedzieliśmy się dopiero po paru tygodniach. Okropna historia. Pan Collins wtedy tam zginął. Wie pan, on był kiedyś sławnym czarodziejem. — Obdarzyła mnie filuternym uśmiechem. — Pan chyba nie jest panem Flanaganem?

— Ależ nie — zaprotestowałem. — Skąd to pani przyszło do głowy?

— Myślałam, że pan wie. To teraz posiadłość pana Flanagan. Oczywiście, nie siedziba, to nie. I powiem, że to wstyd, żeby tyle ziemi leżało odłogiem, wiele osób nabyłoby chętnie tutaj ja kies działki. A może pan jest kimś z handlu nieruchomościami?

— Nie — odparłem. — Jestem po prostu przyjacielem pana Flaganana. Nie wiedziałem jednak, że jest posiadaczem tego majątku.

— Całego — oznajmiła. — Wszystko wokół jeziora. Nigdy tu wprawdzie nie przyjeżdża, gdyż zapewne uważa się za coś lepszego od nas tutaj. On również jest czarodziejem. Och, pan przecież wie o tym. Ale panu CoUinsowi nie dorównuje. Nie jest taki jak pan Collins. Mieszkał tu od tysiąc dziewięćset dwu dziesiątego piątego, pan Collins oczywiście. Był odludkiem. —

Potwierdziła swoją opinię stanowczym kiwnięciem głową.

— Tak, też jestem zdania, iż nie jest on taki jak pan

Collins — zgodziłem się.

— Według mnie ani się do niego nie umywa.

— Widziała pani kiedyś występy Collinsa? — zapytałem nie spodziewając się potwierdzenia.

— Nigdy w życiu go nie widziałam — oświadczyła. — Mogę jednak objaśnić panu, jak dostać się do tej posiadłości, skoro to tak pana interesuje.

Wyjechałem z miasta we wskazanym kierunku i wkrótce znalazłem się w okolicy, którą opisywałem, nigdy jej nie widząc. Tu było rozwidlenie drogi, tu bity trakt schodzący w dół pomiędzy drzewami, a tutaj pastwisko, gdzie Tom zobaczył konie. Teraz było zarośnięte cykorią i łopianami: brat Robert mógłby tu wykorzystać swoje ogrodnicze talenty.

I wreszcie pojawiła się pętla podjazdu.

Zaparkowałem wóz i wysiadłem. Niegdyś były tu bruki. Obecnie, aż do samego wejścia, pomiędzy kamiennymi płytami pieniły się chwasty i trawa. Ktoś, prawdopodobnie grupa jakichś wyrostków, wyłamał bramę i resztki jej rdzewiały w cią-

419

— Nigdy nie opuszczę tego miejsca. Nigdy nie będę chciał. Jeżeli to miałeś na myśli.

Wydawało mi się, że nagle ogarnęło go podniecenie.

— Bracie Robercie, co wydarzyło się w Vermont? — ośmie liłem się spytać; niemądrze.

— Czas naszej rozmowy już na pewno minął — oświadczył, nie patrząc na mnie. — Żałuję, że w ogóle zgodziłem się spotkać z tobą. — Teraz róże zaścieniały całą ławkę i spadały na ścieżkę.

— Gdybym sprowadził tu Toma Flanagana, to zechciałbyś go zobaczyć? — Przyszło mi nagle do głowy, że to byłoby doskonałym rozwiązaniem.

Brat Robert przestał przycinać róże. Przez moment stał bez ruchu jak słupek soli, z rękoma uniesionymi w taki sposób, w jaki trzymał je, kiedy wypowiedziałem imię Toma.

— Absolutnie nie, pod żadnym warunkiem. Ciebie również nigdy już nie chcę widzieć. Czy to jasne? — Obciął kolejną kiść róż i tak skończyło się nasze spotkanie. Nie pozwolił, żebym spojrzął mu w oczy.

— Dziękuję ci za to, co mi powiedziałeś.

Oddaliłem się w stronę bramy, gdzie oczekiwał brat Theo, który nie potrafił ukryć zawodu, iż nie udało mu się nic podsłuchać. Spytał, czy jestem zadowolony z wizyty.

Jeszcze tego roku odwiedziłem przyjaciół w Putney w Vermont. Przed odjazdem odszukałem na starej mapie miejscowość Hilly Vale i w powrotnej drodze zboczyłem o sto dziesięć mil.

Miasteczko wyglądało nieomal tak, jak opisał je Tom. W ciągu dwudziestu lat niewiele zmian zaszło w Hilly Vale. Zaparkowałem na głównej ulicy i wszedłem do sklepu ze zdrową żywnością — to była jedna z tych paru zmian. Za ladą stał młody człowiek z włosami do ramion, w fartuchu w paski. Żuł kawałek chleba świętojańskiego.

— Szukam siedziby starego Collinsa — odezwałem się. — Czy może mi pan w tym pomóc?

Uśmiechnął się.

— Jestem tu dopiero od półtora roku — oznajmił. •J— Może pani Brewster będzie coś wiedziała. — Wskazał głową pięć dziesięcioletnią kobietę w długim żakiecie, która przeglądała

rozłożone torebki w plastikowych opakowaniach.

— Pani Brewster!—zawołał. — Ten gość chce...?—Wzniósł brwi, spoglądając na mnie.

— Posiadłość starego Collinsa, proszę pani — poinformo-
418

SPIS TREŚCI

| | |
|---|-----|
| I Wstęp: TOM W „ZANZIBARZE" | 7 |
| Część pierwsza: SZKOŁA | 15 |
| Sny na jawie | 16 |
| Pokaz sztuk magicznych | 81 |
| 3 część druga: KRAINA CIENI | 133 |
| Ptaki wróciły do gniazda | 134 |
| Król elfów | 150 |
| Gęsiarka | 211 |
| Część trzecia: „KIEDY WSZYSCY ŻYLIŚMY W LE SIE..." | 257 |
| Przyjęcie | 258 |
| Ucieczka | 286 |
| Dwie zdrady | 319 |
| Zabawa w cienie | 338 |
| NADCHODZI KONIEC STULECIA | 413 |

gu lat. Mury otaczające Krainę Cieni wciąż stały, chociaż pomiędzy cegły wciskały się winne latorośle, a tam gdzie był w murze wyłom, rośliny tworzyły całe kępy. Druty kolczaste, ciągnące się górą wzdłuż murów, dawno zniknęły, zapewne jakiś zapobiegliwy farmer zwinął je i wyniósł.

Szedłem wyboistym podjazdem, ślizgając się trochę na obluzowanych kamiennych płytach i zastanawiałem się, kiedy wreszcie ujrzę dom. Porzuciłem zdradliwą drogę i wkroczyłem na trawę. A więc było to grube, ordynarne kłamstwo. Nie ma żadnego domu i nigdy nie było.

Wtedy natrafiłem nogą na jakąś cegłę i zdałem sobie sprawę z niewypowiedzianym zdumieniem, że właśnie stoję w domu. Obrośnięte mchem cegły porozrzucane były w trawie. Zacząłem się bacznie rozglądać i zobaczyłem rozwalony kominek, w palenisku znajdował się jeszcze popiół i jakieś śmieci. Wokół wałały się opakowania z napisem: O. Henry and Snikers, z trawy wyzierała butelka po piwie, obok leżała stara książka z komiksami, już prawie nieczytelna. Znajdowałem się w piwnicy Krainy Cieni, tutaj wszystko się zawaliło. Teraz zostało tylko wgłębienie w ziemi jak dół polodowcowy. Schyliłem się i po'ndniosłem jedną z cegieł, zgarnąłem z niej mrówki, była pozbawiona koloru, przysmolona ogniem.

Ale stroma skalna ściana wciąż wznosiła się i było też jezioro. Poszedłem przez wysoką trawę, mając dziwne wrażenie, że idę razem z Tomem Flanaganem i Różą Armstrong, którzy uciekają z płonącego domu i wydostałem się z zagłębienia. Teren obniżał się malowniczo aż do bujnie zarośniętego urwiska. Jezioro lśniło w promieniach słońca, okolone lasami Toma. Nie wyobrażałem sobie, że posiadłość jest tak wielka, a lasy takie gęste, ani że jezioro jest takie długie. Musiało mieć chyba z milę szerokości.

Róża Armstrong — pomyślałem i wtedy zobaczyłem mały, wąski, złoty pasek po drugiej stronie jeziora i serce przestało mi bić. W tym momencie uwierzyłem we wszystko, co mówił Tom.

Nieomal ich tam widziałem, Toma i jego Różę, skulonych na piasku, a obok nich Księgę i szklanego ptaszka. Nieomal słyszałem jej szept, cokolwiek szeptala mu do ucha, zanim,- co? Zanim wsunęła się do wody, pozostawiła za sobą wszystko co ludzkie i wtopiła się w pamięć Toma Flanaganą?

Nie wiadomo skąd powiał ciepły wiatr: kwiaty gorzycy, dżin, dym cygar. Czuję te wszystkie zapachy. Niebo zasnuło się chmurami, powierzchnia jeziora ściemniała i wzdeła się. Odwróciłem się i przez ruiny Krainy Cieni wróciłem do swego samochodu.

KLUB CIEKAWEJ KSIĄŻKI

Interesujące książki, wybitni pisarze:

JONATHAN CARROLL, DAVID LODGE, CHRISTOPHER HOPE, ROBERT SILVERBERG, IRIS MURDOCH, CARLOS FUENTES, JOHN FOWLES, D. M. THOMAS, ROBERT LIPSCOMBE, KING-SLEY AMIS, MALCOLM BRADBURY, WILLIAM WHARTON, PAUL BOWLES, TOM WOLFE i inni.

SALAMANDRA — to alchemiczny symbol przemiany, to stapianie w jedno przeciwstawnych elementów.

To wybitni pisarze w doskonale czytających się, adresowanych nie tylko do wąskiego grona czytelników, książkach.

To także dopiero wschodzące gwiazdy światowej literatury w niezwykle obiecujących debiutach. To cudowność, mistyka obok realizmu, groteski i ironii.

W serii tej prezentujemy książki, które z przyjemnością Państwo przeczytacie, znajdując w nich wiele rozrywki, ale też — w chwili zadumy — sporo niezwykle problemów intelektualnych.

PETER STRAUB

Twórca nowoczesnego horroru, jest obok Stephen Kinga zaliczany do mistrzów-od-nowicielei tego gatunku literackiego. Jest autorem wielu głośnych w Stanach Zjednoczonych i na całym świecie horrorów, m.in. *Marriages*, *Under Venus*, *Julia*, *Floating Dragon*, *Upiorna opowieść*. Jego powieść *Kraina Cieni* została nagrodzona w 1981 roku nagrodą *World Fantasy*, a *Upiorna opowieść* posłużyła za scenariusz do głośnego filmu pod tym samym tytułem. Ze względu na wybitne wartości literackie swoich utworów stawiany jest w rzędzie najlepszych pisarzy amerykańskich.